

Heinrich Harrer

Siedem lat w Tybecie

Moje życie na dworze Dalajlamy

Sieben jahre in Tibet

Przełożyła: Ewa Waldeck-Kurtyka

Wydanie polskie: 1998

TMN

Przedmowa

Wszelkie marzenia życia rodzą się w młodości...

Już jako dziecko o wiele bardziej ekscytowałem się czynami bohaterów naszych czasów, niż szkolną wiedzą. Mężczyźni, którzy wyruszali badać nieznane kraje lub, znosząc trudy i wyrzeczenia, obierali za cel zmierzenie swych sił w zawodach sportowych... Zdobywcy najwyższych szczytów świata – to były moje ideały – im bezgranicznie pragnąłem dorównać!

Brakowało mi jednak kogoś doświadczonego, kto służyłby mi radą i mógł mną pokierować, więc upłynęło wiele lat zanim zrozumiałem, że nie wolno uganiać się za wieloma celami jednocześnie. Próbowałem swych sił niemal we wszystkich dziedzinach sportu, lecz nie osiągałem satysfakcjonujących mnie wyników. W końcu skupiłem się na dwóch dyscyplinach, które ze względu na ich ścisły związek z przyrodą bardzo lubiłem: na narciarstwie i wspinaczce.

Większą część dzieciństwa przeżyłem w górach, a później, w okresie studiów, każdą wolną chwilę spędzałem latem na wspinaczce, a zimą – jeżdżąc na nartach. Drobne sukcesy coraz bardziej podsycaly moją ambicję i dzięki wytężonemu treningowi dopiąłem tego, że w 1936 roku mogłem wystąpić w barwach austriackiej drużyny olimpijskiej, a rok później wygrałem bieg zjazdowy podczas akademickich mistrzostw świata.

Podczas tych a także następnych zawodów, przepełniało mnie szczęście; było to oszołomienie prędkością i takie fantastyczne uczucie, którego się doznaje, gdy wielki wysiłek nagrodzony jest zwycięstwem. Jednakże ani triumf nad przeciwnikiem, ani publiczne uznanie – wszystko to mi nie wystarczało. Pragnąłem zmierzyć się z górami i tylko to naprawdę się liczyło!

Spędzałem więc długie miesiące wśród skał i lodów, aż osiągnąłem taką sprawność, że nie było ściany, która wydawałaby mi się niemożliwa do pokonania. Lecz ponieważ wszystko ma swoje granice, ja także musiałem zapłacić frycowe. Na wspinaczkach często odnosiłem drobne obrażenia, ale pewnego razu „odpadłem” pięćdziesiąt metrów i tylko cudem uszedłem z życiem.

Oczywiście, powrót na uniwersytet był dla mnie zawsze przykrą koniecznością. A przecież nie powinienem był narzekać, ponieważ to właśnie w mieście przestudiowałem

olbrzymią ilość literatury alpinistycznej i podróżniczej. W miarę jak pochłaniałem wszystkie te książki, z zamętu początkowo lekkomyślnych pragnień coraz wyraźniej krystalizował się wielki cel, marzenie wszystkich wspinaczy, aby chociaż raz wziąć udział w wyprawie w Himalaje!

Jednak czyż mężczyzna taki jak ja, młody i zupełnie nie znany, mógł żywić nadzieję na spełnienie tak śmiałych marzeń? Himalaje! Aby tam dotrzeć musiałbym być bardzo bogaty lub być obywatelem kraju*, którego synowie – wówczas jeszcze – mogli piastować stanowiska administracyjne w Indiach. Człowiek nie posiadający takich możliwości mógł jedynie wykorzystać rzadką szansę, która istniała także dla „outsiderów”. W tym celu musiałby on jakimś wyczynem zwrócić na siebie uwagę opinii publicznej tak skutecznie, że odpowiednie władze nie mogłyby tego zignorować.

Cóż by to jednak mogło być? Czyż w Alpach nie zdobyto już dawno wszystkich szczytów? Pokonano nawet pojedyncze granie i ściany, często w niewiarygodnie śmiałych przedsięwzięciach...! Ależ nie! Pozostała jedna jedyna ściana, najwyższa i najtrudniejsza – północna ściana Eigeru! Dotychczas żaden zespół nie zdołał przejść w całości jej dwóch tysięcy metrów. Wszyscy musieli się wycofać, wielu straciło życie. Krąg legend spowił ten niesamowity mur skalny i w końcu rząd szwajcarski wydał zakaz wchodzenia w tę ścianę.

Bez wątpienia było to zadanie, jakiego właśnie szukałem. Pozbawić północną ścianę Eigeru jej nimbu! To mogła być „przepustka” w Himalaje... Z wolna dojrzewała we mnie decyzja o podjęciu tego zdawałoby się beznadziejnego ryzyka. O tym jak później, w 1938 roku, wraz z partnerami: Fritzem Kasparkiem, Anderlem Heckmairem i Wiggerlem Vorgiem rzeczywiście udało mi się przejść tę budzącą grozę ścianę można przeczytać w wielu książkach*.

Jesienią tego roku trenowałem nadal bardzo intensywnie, żywiąc nadzieję na zaproszenie do uczestnictwa w niemieckiej wyprawie na Nanga Parbat, planowanej na lato 1939 roku. Ale gdy nadeszła zima i nic w tej sprawie nie drgnęło, wyglądało na to, że moje nadzieje się nie spełnią.

Do rekonesansowego wyjazdu w Kaszmir, na tę fatalną górę wybrano innych. Nie pozostało mi więc nic innego, jak tylko z ciężkim sercem podpisać umowę zobowiązującą mnie do współpracy przy filmie o narciarstwie.

Prace przy realizacji filmu były już znacznie zaawansowane, gdy nagle wezwano mnie do telefonicznej rozmowy zamiejscowej. To było tak gorąco oczekiwane zaproszenie na wyprawę w Himalaje! Wyruszyć mieliśmy już za cztery dni! Bez chwili namysłu zerwałem kontrakt z filmem, pojechałem do rodzinnego miasta Grazu, w ciągu jednego dnia spakowałem rzeczy i już nazajutrz znajdowałem się w drodze do Antwerpii, przez Monachium, razem z pozostałymi członkami wyprawy: Peterem Aufschnaiterem,

* Chodzi o Wielką Brytanię (przyp. tłum.).

* Heinrich Harrer, „Die weiße Spinne”, Fritz Kasperek, „Ein Bergsteigerleben. Vom Peilstein zur Eigernordwand (przyp. tłum.).

kierownikiem tej niemieckiej Wyprawy Rekonesansowej – Nanga Parbat 1939, oraz Lutzem Chickenem i Hansem Lobenhofferem.

Dotychczasowe czterokrotne próby zdobycia wysokiego na 8215 m wierzchołka Nanga Parbat nie powiodły się, pochłaniając wiele ofiar. Zaczęto więc myśleć o znalezieniu nowej drogi wejściowej. Nasze zadanie polegało na przeprowadzeniu rekonesansu, ponieważ nowy atak na szczyt zaplanowany był na przyszły rok.

W czasie podróży pod Nanga Parbat uległem całkowicie magicznemu urokowi Himalajów. Piękno tych gigantycznych gór, niesamowita rozległość kraju, egzotyczni mieszkańcy Indii – wszystko to wywarło na mnie niezwykle silne wrażenie. I chociaż od tego czasu upłynęło wiele lat, nie uwolniłem się od Azji już nigdy. Jak to się stało, spróbuję opisać w tej książce, a ponieważ nie jestem doświadczonym pisarzem, będę się trzymał wyłącznie nagich faktów.

Obóz internowania i próby ucieczki

Pod koniec sierpnia 1939 roku zakończyliśmy podróż rekonesansową. Zgodnie z przewidywaniami znaleźliśmy możliwość poprowadzenia nowej drogi wspinaczkowej i teraz oczekiwaliśmy w Karaczi na frachtowiec, który miał nas przewieźć z powrotem do Europy. Statek spóźniał się, a gęste chmury drugiej wojny światowej nadciągały coraz bliżej. W tej sytuacji Chicken, Lobenhoffer i ja postanowiliśmy w jakiś sposób wymknąć się z sieci rozciąganej już przez tajną policję. W Karaczi pozostał tylko Aufschnaiter. Właśnie on, który brał udział w pierwszej wojnie światowej, nie mógł uwierzyć w wybuch drugiej...

Planowaliśmy przedostać się do Persji i stamtąd do ojczyzny. Bez trudu zdołaliśmy pozbyć się naszych „opiekunów” i po przejechaniu kilkuset kilometrów pustyni rozklekotanym samochodem, dotarliśmy do Las Bella – małego państewka maharadży, położonego na północny-wschód od Karaczi. Tu jednak los nas zaskoczył. Nagle, pod pretekstem zapewnienia nam osobistego bezpieczeństwa, znaleźliśmy się pod ochroną ośmiu policjantów. Praktycznie oznaczało to aresztowanie, mimo iż Niemcy nie były jeszcze w stanie wojny ze Wspólnotą Brytyjską.

W tej solidnej asyście rychło znaleźliśmy się ponownie w Karaczi, gdzie znowu spotkaliśmy Petera Aufschnaitera, a dwa dni później Anglia rzeczywiście wypowiedziała Niemcom wojnę! Od tej chwili wszystko poszło gładko: po pięciu minutach do ogrodu hotelowego, w którym właśnie siedzieliśmy, wkroczyło dwudziestu pięciu uzbrojonych po zęby żołnierzy, pojmali nas i samochodem policyjnym zawieźli wprost za druty przygotowanego już obozu. Jak się okazało, był to obóz przejściowy, bo już po czternastu dniach przewieziono nas do wielkiego obozu dla internowanych w Ahmednagarze niedaleko Bombaju.

Tak oto siedzieliśmy ciasno stłoczeni w namiotach i barakach, pośród nieustannie wybuchających sprzeczek między pozostałymi mieszkańcami obozu... Nie, ten świat nazbyt różnił się od świetlistych, bezludnych wyżyn himalajskich. To nie był świat człowieka miłującego wolność! Natychmiast dobrowolnie zacząłem szukać pracy, aby przygotować okazję i drogę ucieczki.

Oczywiście nie tylko ja snulem takie plany. Niebawem, z pomocą podobnie myślących,

znalazły się kompas, gotówka i mapy, które uszły wcześniejszej kontroli. Udało się nawet „zorganizować” skórzane rękawice i nożyce do cięcia kolczastego drutu. Ich zniknięcie z magazynu Anglików spowodowało ostre śledztwo, które jednak nie przyniosło spodziewanych rezultatów.

Zwlekaliśmy ciągle z ucieczką, ponieważ wszyscy wierzyli w rychłe zakończenie wojny. Aż pewnego dnia, niespodziewanie przesiedlono nas do innego obozu. W konwoju, pod eskortą wieziono nas do Deodali. W każdej ciężarówce jechało osiemnastu więźniów pod nadzorem zaledwie jednego indyjskiego żołnierza, zbrojnego w karabin przymocowany do pasa. Na początku, w środku i na końcu kolumny jechały samochody pełne uzbrojonych strażników.

Jeszcze w obozie Lobenhoffer i ja twardo postanowiliśmy uciekać, zanim nowe trudności w więzieniu udaremnią nasze plany. Usadowiliśmy się więc w ciężarówce na dwóch tylnych siedzeniach. Szczęście nam sprzyjało – droga była kręta i okrywająca nas co chwila tumany kurzu stwarzały szansę, by wyskoczyć niepostrzeżenie i zniknąć w dżungli. Nasz strażnik najwyraźniej miał rozkaz obserwowania samochodu jadącego przed nami i tylko od czasu do czasu spoglądał w naszą stronę, było więc mało prawdopodobne, żeby mógł nas przyłapać. Wszystko wskazywało na to, że ucieczka nie będzie trudna, więc postanowiliśmy zaryzykować jak najpóźniej. Naszym celem miała być portugalska enklawa*, leżąca niemal dokładnie na trasie konwoju!

Wreszcie nadeszła odpowiednia chwila. Wyskakujemy! Leżałem już w buszu w niewielkim dołku, odległym o dwadzieścia metrów od drogi, gdy ku mojemu przerażeniu cały konwój nagle stanął! Przeraźliwe gwizdki, krzyki, strażnicy biegnący na drugą stronę drogi... Nie było wątpliwości, że Lobenhoffer został nakryty! Ponieważ to on miał plecak z całym wyposażeniem, nie pozostało mi nic innego, jak zrezygnować z dalszej ucieczki. Na szczęście, w całym tym zamieszaniu udało mi się niepostrzeżenie wskoczyć z powrotem na swoje miejsce. Moją ucieczkę widzieli tylko koledzy, a oni oczywiście zachowali milczenie.

Wreszcie ujrzałem Lobenhoffera. Stał z podniesionymi rękoma przed rzędem bagnietów. Byłem kompletnie załamany i okropnie rozczarowany. W dodatku to nie mój przyjaciel winien był tego nieszczęścia. Wyskakując narobił nieco hałasu ciężkim plecakiem, który trzymał w rękach, i obudził czujność naszego strażnika. W ten sposób został schwytany, zanim jeszcze zdążył ukryć się w dżungli.

Z tego zajścia wyciągnęliśmy gorzką naukę, że nawet przy wspólnej ucieczce, każdy musi mieć przy sobie własne kompletne wyposażenie!

W tym samym roku jeszcze raz znaleźliśmy się w innym obozie. Pociągami przewieziono nas aż do stóp Himalajów, do największego indyjskiego obozu internowania, oddalonego o kilka kilometrów od miasta Dehra-Dun. Nieco wyżej leżało Musoorie, letnia siedziba

* Daman – do 1962 roku kolonia portugalska

Anglików i zamożnych Hindusów, zwana *Hillstation**. Nasz obóz składał się z siedmiu wielkich skrzydeł, ogrodzonych podwójnymi zasiekami z kolczastego drutu. Cały obóz otoczony był dodatkowo podwójną siecią kolczastych krat, między którymi nieustannie krążyły straże.

To była zupełnie nowa sytuacja. Dopóki obozy znajdowały się na równinie indyjskiej, za cel naszych ucieczek obieraliśmy zawsze jedną z neutralnych kolonii portugalskich, lecz tutaj, wprost przed nami wznosiły się Himalaje! Jakże kusząca dla alpinisty była myśl przedarcia się przez przełęcz do Tybetu! Potem ostatecznym celem byłyby japońskie pozycje w Birmie lub Chinach...

Taka ucieczka wymagała oczywiście specjalnych, gruntownych przygotowań. W owym czasie nasze nadzieje na rychłe zakończenie wojny rozwiały się całkowicie, przystąpiłem więc do systematycznego organizowania nowego przedsięwzięcia. Ucieczka przez gęsto zaludnione Indie nie wchodziła w rachubę, ponieważ warunkiem koniecznym były pokaźne środki finansowe i doskonała znajomość angielskiego, a obu tych wymogów nie spełniałem. Zrozumiałe więc, że mój wybór padł na słabo zaludniony Tybet. I oczywiście na Himalaje! Nawet gdyby mój plan ostatecznie się nie powiódł, to i tak krótki okres wolności w górach wart był tego ryzyka.

Najpierw przystąpiłem do nauki języka hindostani, tybetańskiego i japońskiego, by móc porozumieć się z tubylcami. Następnie przewertowałem wszystkie dostępne w obozowej bibliotece przewodniki po Azji, szczególnie po tych okolicach, przez które miała przebiegać nasza trasa. Zrobiłem notatki i przekopiowałem mapy. Peter Aufschnaiter, który także wylądował w Dehra-Dun, posiadał jeszcze nasze wyprawowe podręczniki i szkice. Nadal pracował nad nimi niezmordowanie i wszystkie swoje rysunki bezinteresownie oddał do mojej dyspozycji. Z każdego sporządziłem po dwie kopie – jedną na drogę, drugą jako rezerwę na wypadek zaginięcia oryginału.

Przy tak zaplanowanej trasie ucieczki nie mniej ważne było utrzymanie ciała w jak najlepszej kondycji. Wiele godzin dziennie spędzałem na ćwiczeniach sportowych. Zadanie, które sobie sam wyznaczałem, odrabiałem niezależnie od pogody. Ponadto – niekiedy jeszcze nocą – stawałem na czatach, aby poznać zwyczaje wartowników.

Najbardziej jednak martwił mnie brak pieniędzy. Chociaż sprzedawałem już wszystko, czego mogłem sobie odmówić, nie wystarczało mi na pokrycie nawet najskromniejszych potrzeb życiowych w Tybecie, nie mówiąc już o nieodzownych w Azji łapówkach i prezentach. Mimo to pracowałem nadal systematycznie i pomagali mi ci przyjaciele, którzy sami nie mieli zamiaru uciekać.

W początkowym okresie, tuż po internowaniu, odmówiłem podpisania tzw. „słowa honoru”, dotyczącego urlopów udzielanych w okresie pobytu w obozie, na wypadek gdyby pojawiła się szansa ucieczki. Tu, w Dehra-Dun, mogłem i musiałem to uczynić, wycieczki

* Uzdrowisko

bowiem służyły tylko do penetrowania okolic obozu.

Pierwotnie planowałem ucieczkę w pojedynkę, aby uniknąć konieczności liczenia się z drugą osobą, co mogłoby zmniejszyć moje szansę. Ale któregoś dnia mój przyjaciel Rolf Magener powiedział mi, że pewien włoski generał ma podobne zamiary. Słyszałem już o nim wcześniej. Pewnej nocy przedostaliśmy się z Magenerem przez kolczaste druty do sąsiedniego skrzydła, w którym umieszczono czterdziestu włoskich generałów.

Mój przyszły towarzysz nazywał się Marchese i wyglądał jak typowy Włoch. Miał nieco ponad czterdzieści lat, szczupłą sylwetkę, przyjemne maniery, a jego ubiór prezentował się – w naszym pojęciu – bardzo elegancko. Najkorzystniejsze jednak wrażenie wywarła na mnie jego kondycja fizyczna.

Sęk w tym, że na razie nie mogliśmy się porozumieć; on nie znał niemieckiego, ja nie znałem włoskiego, a angielskim obaj władaliśmy bardzo słabo. Z pomocą przyjaciela rozmawialiśmy więc łamaną francuszczyzną. Marchese opowiedział mi o wojnie w Abisynii i o swej wcześniejszej próbie ucieczki z obozu internowania.

Na szczęście Marchese pobierał gażę angielskiego generała i pieniądze nie stanowiły dlań problemu. Ponadto miał możliwość zdobycia rzeczy, o jakich ja nie ośmieliłbym się nawet marzyć. Brakowało mu jedynie partnera obeznanego z Himalajami... Wkrótce uzgodniliśmy wspólne zasady: ja odpowiadałem za zaplanowanie całości, on zaś miał zgromadzić fundusze i ekwipunek.

Tak więc teraz kilka razy w tygodniu pokonywałem ogrodzenie z drutów kolczastych, aby omawiać z Marchese dalsze szczegóły, i zostałem prawdziwym ekspertem od pokonywania takich przeszkód. Zasadniczo istniało wiele możliwości ucieczki, ale jedna wydawała mi się szczególnie obiecująca. Oba płoty okalające kompleks obozowy pokrywał co osiemdziesiąt metrów słomiany daszek, osłaniający strażników przed gorącym indyjskim słońcem. Gdyby udało nam się wspiąć na jeden z nich, moglibyśmy za jednym zamachem sforsować oba ogrodzenia!

W maju 1943 ukończyliśmy wszystkie przygotowania. Mielśmy pieniądze, suchy prowiant, kompas, zegarki, buty i mały wysokogórski namiot. Pewnej nocy postanowiliśmy zaryzykować. Tak jak to dotąd często robiłem, przedostałem się do skrzydła, gdzie mieszkał Marchese. Tam stała już przygotowana drabina, którą udało nam się zdobyć kiedyś podczas małego pożaru w obozie. Oparliśmy ją o ścianę, tuż w zasięgu ręki, i czekaliśmy w cieniu baraku. Dochodziła północ. Za dziesięć minut miała nastąpić zmiana warty. Strażnicy, wyraźnie oczekujący na nią, chodzili leniwie tam i z powrotem. Nad plantacjami herbaty powoli wschodził księżyc. Wielkie elektryczne lampy rzucały krótkie, podwójne cienie. Nadeszła właściwa chwila: teraz albo nigdy!

Gdy obie straże znalazły się w maksymalnej odległości od nas, wyprostowałem się, chwyciłem drabinę, podbiegłem do drutów, oparłem ją o część płotu przewieszoną do wewnątrz, wspiąłem się po niej i przedarłem przez dodatkowo jeszcze rozpięte druty, które

miały uniemożliwić przejście przez słomiany dach. Marchese odciągał resztę drutu długimi grabiami tak, że udało mi się wśliznąć na dach.

Ustaliliśmy wcześniej, że Włoch zacznie się wspinać natychmiast po mnie, a ja będę rękoma rozchyłać dla niego druty. Lecz nie nadchodził! Przez kilka strasznych sekund zawahał się, myśląc, że nie zdąży, że patrol już się zbliża... Istotnie, było słychać ich kroki! Nie mieliśmy chwili do stracenia! Chwyciłem go za ramię i wciągnąłem na górę wraz z plecakiem. Przeczółgaliśmy się przez dach i ciężko skacząc znaleźliśmy się na wolności.

Wszystko to odbyło się niezbyt cicho i wartownicy wszczęli alarm. Ale gdy oni oddawali w noc pierwsze strzały, nas pochłonęła już gęsta dżungla.

Marchese z właściwym mu temperamentem południowca niezwłocznie zaczął mnie ściskać i całować, chociaż naprawdę nie była to najstosowniejsza chwila na wybuchy radości – rakiety świetlne strzelały w niebo, a zbliżające się gwizdki zdradzały, że depczą nam po piętach. Uchodząc z życiem biegliśmy szybko przed siebie, na skróty, przez otaczającą obóz dżunglę, którą znałem dobrze ze zwiadowczych wypadów. Po drogach poruszaliśmy się z rzadka, a nieliczne wioski przezornie omijaliśmy. Początkowo plecaki nam nie ciążyły, niebawem zaczęliśmy jednak odczuwać ich brzemień.

W jednej z wiosek mieszkańcy bili w bębny, a nam fantazja natychmiast podsunęła myśl o alarmie. Napotykaliliśmy trudności niemożliwe do wyobrażenia w krajach zamieszkanych wyłącznie przez białych. W Azji sahib podróżuje zawsze ze służbą i nigdy nie niesie najmniejszego nawet bagażu. Jakże musieli rzucać się w oczy dwaj obładowani Europejczycy wędrujący pieszo!

Maszerujemy nocą, dzień spędzamy w ukryciu

Hindus lęka się dzikich zwierząt i nocą nie odważy się wejść w dżunglę – postanowiliśmy więc maszerować w nocy. Oczywiście nam także było nieswojo, zwłaszcza że w gazetach dostępnych w obozie często znajdowaliśmy wzmianki o ludziach rozszarpanych przez tygrysy i pantery...

O świcie, wyczerpani ukryliśmy się w głębokim rowie. Spędziliśmy tam cały dzień; wlokący się bez końca, rozpalony skwarem, upłynął nam na jedzeniu i spaniu, a jedynym człowiekiem, którego ujrzeliśmy – w dużej zresztą odległości – był pasterz krów. Na szczęście nie zauważył nas. Najgorsze jednak było to, że mieliśmy tylko po jednej butelce wody i musiała ona wystarczyć nam na cały dzień pozostawania w kryjówce.

Nic więc dziwnego, że pod wieczór, wskutek przymusowego milczenia i siedzenia niemal bez ruchu, ledwo panowaliśmy nad nerwami. Chcieliśmy natychmiast ruszać w dalszą drogę, noce wydawały się nam zbyt krótkie, aby dostatecznie prędko posuwać się naprzód. Chociaż do Tybetu zamierzaliśmy przedostać się najkrótszą drogą, to i tak trzeba było tygodni wytężonego marszu, zanim moglibyśmy poczuć się bezpiecznie.

W każdym razie – już pierwszego wieczoru po naszej ucieczce przekroczyliśmy pierwszy górski grzbiet. Na szczycie zrobiliśmy krótki odpoczynek. Tysiąc metrów pod nami lśniły niezliczone światła obozu internowania. O 22 zgasły wszystkie na raz i tylko reflektory okalające obóz dawały pojęcie o jego olbrzymich rozmiarach.

Pierwszy raz w życiu poczułem naprawdę, co to znaczy być wolnym! Upajając się tą cudowną świadomością, z żalem myśleliśmy o dwóch tysiącach więźniów, którzy tam, w dole, nadal musieli żyć za drutami.

Ale nawet tutaj nie mieliśmy zbyt wiele czasu na rozmyślanie. Trzeba było ruszać dalej, w dół, do doliny Dżamuny zupełnie nam nie znanej. W jednej z jej bocznych odnóg natrafiliśmy na tak ciasny jar, że nie dało się iść dalej i zmuszeni byliśmy poczekać aż do następnego ranka. Miejsce było tak odludne, że bez obawy mogłem przystąpić do przefarbowania na czarno moich jasnych włosów i brody. Dzięki mieszance z nadmanganianu potasu, brązowej farby i tłuszczu, moje ręce i twarz przybrały ciemny odcień i w ten sposób upodobiłem się nieco do Hindusa. To było bardzo ważne, bowiem gdyby nas „nakryto”,

mieliśmy udawać wiernych odbywających pielgrzymkę do źródeł świętego Gangesu. Mój towarzysz był już z natury wystarczająco ciemnoskóry i nie rzucał się w oczy, przynajmniej z pewnej odległości. Do konfrontacji z bliska, rzecz jasna, nie mogliśmy dopuścić.

Tym razem ruszyliśmy w drogę jeszcze przed zmierzchem, wkrótce jednak mieliśmy tego pożałować. Przedarłszy się przez odcinek zupełnie dzikiej okolicy, stanęliśmy nagle oko w oko z wieśniakami, którzy sadzili ryż. Półnaczy, brodzili w gliniastej wodzie, zanurzeni po kolana. Teraz, zdumieni, wytrzeszczali oczy na dwóch mężczyzn obciążonych plecakami. Po chwili zaczęli wskazywać na stok, gdzie wysoko w górze dojrzelśmy wioskę. Najwidoczniej dawali nam do zrozumienia, że jest to jedyne wyjście z wąwozu. Pospieszenie, aby uniknąć kłopotliwych pytań, zaczęliśmy się pięć we wskazanym kierunku. Po wielogodzinnym marszu to w górę, to w dół, dotarliśmy wreszcie do rzeki Dżamuny.

Tymczasem nadeszła noc. Zgodnie z planem mieliśmy posuwać się wzdłuż Dżamuny, aż do jej dopływu – Aglaru, by nim dotrzeć do działu wód. Stamtąd nie mogło być już daleko do Gangesu, który miał nas doprowadzić ku łańcuchowi wielkich Himalajów.

Większa część trasy, którą dotychczas pokonaliśmy, pozbawiona była dróg czy szlaków i tylko od czasu do czasu mogliśmy, posuwając się brzegiem rzeki, korzystać z rybackich ścieżek. Tego ranka Marchese był już bardzo wyczerpany. Przyrządziłem mu płatki owsiane z wodą i cukrem. Zdołałem go też nakłonić, by trochę zjadł. Niestety, miejsce na obozowisko było wyjątkowo niekorzystne. Wokół roilo się od wielkich mrówek, wgryzających się głęboko w skórę; pomimo zmęczenia nie mogliśmy spać i dzień dłużył się nam w nieskończoność.

Pod wieczór mój kolega ożywił się. Znowu nabrałem nadziei, że jego stan fizyczny uległ poprawie. On także sądził, że podola trudom nadchodzącej nocy. Jednak wkrótce po dwunastej był już u kresu sił, po prostu nie dojrzał fizycznie do tak wielkiego wysiłku. Od czasu do czasu musiałem nieść jego plecak, przywiązany do mojego – ostry trening sportowy bardzo mi się teraz przydał. Tutejszym zwyczajem narzuciliśmy na plecaki indyjskie worki z juty, bo o ile u nas, w kraju, plecak jest czymś oczywistym, tutaj natychmiast wzbudziłby podejrzenia.

Podczas następnych nocy błędziliśmy, posuwając się w górę rzeki. Dżungla i skalne urwiska często zagraadzały nam drogę, musieliśmy ciągle przechodzić w bród z jednego brzegu Aglaru na drugi. Pewnego razu, gdy odpoczywaliśmy pomiędzy blokami skalnymi w korycie rzeki, tuż obok przeszło kilku rybaków, ale na szczęście nie zauważyli nas. Innym razem, natknąwszy się na rybaków, w łamanym hindostani zażądaliśmy kilku pstrągów. Nasze przebranie okazało się dobre, bo niczego nie podejrzewający mężczyźni nie tylko sprzedali ryby, ale jeszcze je nam ugotowali. Potrafiliśmy także, bez wzbudzenia nieufności, odpowiedzieć na ich ciekawskie pytania. Palili małe indyjskie papierosy, bardzo niesmaczne dla Europejczyka. Marchese, który przed ucieczką namiętnie palił, nie mógł oprzeć się pokusie i poprosił o papierosa. Zaciągnął się kilka razy taką tłącą się łodygą i nagle padł jak

ścięty!

Na szczęście po chwili przyszedł do siebie i mogliśmy ruszyć w dalszą drogę. Innym razem napotkaliśmy chłopów niosących masło do miasta. Ponieważ rozzuchwaliliśmy się z upływem czasu, zagadaliśmy, aby nam go trochę odsprzedali. Jeden z nich natychmiast się zgodził. Ale kiedy Hindus brudnymi, ciemnymi rękoma zaczął „przekładać” roztopione w upale masło ze swego garnka do naszego, omal nie zwymiotowaliśmy ze wstrętu i obrzydzenia.

Dolina rozszerzyła się wreszcie i droga wiodła teraz przez rozległe pola, obsadzone ryżem i zbożem. Coraz trudniej przychodziło nam znaleźć kryjówkę na dzień. Pewnego razu zostaliśmy nakryci już przed południem, a ponieważ chłopci zaczęli stawiać wiele niedyskretnych pytań, najlepszą odpowiedzią wydało nam się szybkie spakowanie rzeczy i wyruszenie w drogę.

Nie zdążyliśmy jeszcze znaleźć nowej kryjówki, gdy ponownie natknęliśmy się na ośmiu mężczyzn, którzy głośnymi krzykami zmusili nas do zatrzymania się. Wyglądało na to, że szczęście ostatecznie nas opuściło. Na ich liczne pytania odpowiadaliśmy uparcie, że jesteśmy pielgrzymami z bardzo odległej prowincji. Ku naszemu zdumieniu, jakoś zdołaliśmy zdać ten „egzamin”, bo po chwili, bez dalszych nagabywań, pozwolili nam iść dalej. Nie mogliśmy w to uwierzyć i jeszcze długo zdawało nam się, że nas tropią i depczą nam po piętach...

Tym sposobem okazało się, że „odnowienie” koloru mojej skóry na ostatnim postoju było całkiem niezłym pomysłem. Lecz ten dzień był jak zaczarowany i emocjom nie było końca. Niechętnie musieliśmy przyznać, że wprawdzie przekroczyliśmy dział wodny, ale wciąż znajdowaliśmy się w dorzeczu Dżamuny. To oznaczało, że straciliśmy co najmniej dwa dni.

Znowu podejście w górę. Weszliśmy w rododendronowe lasy; wyglądały tak pusto i bezludnie, że obudziły w nas nadzieję na spokojny dzień. Ach, żeby tak raz wypaść się porządnie! Lecz niebawem ukazali się pasterze krów i znowu trzeba było zmienić miejsce obozowania. O długim śnie nie było mowy.

Podczas następnych nocy maszerowaliśmy przez okolice stosunkowo słabo zaludnione. Niestety, rychło mieliśmy zrozumieć, dlaczego było tu tak pusto. Brakowało wody! Pragnienie dokuczało nam tak dotkliwie, że pewnego razu popełniłem błąd, który mógł spowodować bardzo przykre następstwa. Gdy wreszcie natknęliśmy się na niewielką kałużę, bez namysłu rzuciłem się ku upragnionej cieczy i zacząłem łapczywie pić. Skutek był obrzydliwy. Była to jedna z kałuż, w których godzinami wylegują się bawoły szukające schronienia przed skwarem. Jej głównym składnikiem nie była woda, lecz mocz! Zacząłem okropnie kaszleć i wymiotować. Upłynęło sporo czasu, zanim przyszedłem do siebie po tym „orzeźwiającym” napoju.

Wkrótce po tym incydencie pragnienie dręczyło nas tak bardzo, że nie byliśmy w stanie iść dalej i mimo głębokiej jeszcze nocy musieliśmy położyć się na odpoczynek. O świcie wspiąłem się na strome stoki w poszukiwaniu wody. Następane trzy dni i noce nie były lepsze.

Szliśmy przez suche sosnowe lasy, ku naszej radości tak puste, że tylko z rzadka napotykalismy Hindusów, dzięki czemu uniknelismy zdemaskowania.

W dwunastym dniu naszej ucieczki nadeszła wreszcie wielka chwila: stanelismy na brzegu Gangesu! Najbardziej bogobojny Hinduś nie byłby głębiej wzruszony widokiem tego „świętego nurtu” niż my. Oczywiście, rzeka nie miała dla nas znaczenia religijnego, lecz praktyczne. Teraz mogliśmy poruszać się traktem pielgrzymów w górę rzeki, aż do jej źródła, a to znacznie zmniejszało trudy naszej wędrówki. W każdym razie tego się spodziewalismy... Osiągnąwszy tak wiele, nie chcieliśmy już dłużej podejmować ryzyka, którego można było uniknąć. To oznaczało, że będziemy maszerować wyłącznie nocą!

Niestety, sprawa naszej żywności zaczęła wyglądać rozpaczliwie. Zapasy się skończyły, a z biednego Marchese została tylko skóra i kości. Mimo to spisywał się dzielnie. Ja, na szczęście, czułem się stosunkowo świeżo i miałem jeszcze dość rezerw.

Całą nadzieję pokładalismy w sklepikach z herbatą i żywnością, rozciągniętych wzdłuż trasy pielgrzymek. Niektóre, widoczne dzięki matowej lampce oliwnej, otwarte były do późnego wieczora. Poprawilem swój „makijaż” i ruszyłem do pierwszego sklepu. Lecz zanim zdążyłem wejść do środka, przepędzono mnie ordynarnymi, dzikimi wyzwiskami. Najwyraźniej wzięto mnie za złodzieja! Chociaż nie była to przyjemna chwila, to, patrząc w przyszłość, miała też zalety: moje przebranie było znakomite!

Zanim wszedłem do następnego prymitywnego sklepiku, trzymałem już w ręce pieniądze, i to tak, aby były widoczne. Sprawilo to, najwyraźniej, dobre wrażenie. Obawiając się, że 40 funtów mąki, cukru trzcinowego i cebuli – ilość zbyt duża dla jednej osoby – wzbudzi podejrzenia, wyjaśniłem, że chcę zrobić zakupy dla dziesięciu mężczyzn.

Sklepiarz zajął się bardziej sprawdzaniem banknotów niż moją osobą. Niebawem, obładowany, opuściłem sklep. Spędziliśmy szczęśliwy dzień. Nareszcie mogliśmy się najeść do syta, a trakt pielgrzymek – po „drogach”, które przebyliśmy – był dla nas najpiękniejszą promenadą.

Jednak radość nie miała trwać długo. Już na następnym postoju wytropili nas wieśniacy zbierający drewno. Marchese z powodu upału leżał rozebrany do pasa. Był tak wychudzony, że można było policzyć mu wszystkie żebra, i sprawiał wrażenie naprawdę bardzo chorego. Poza tym wyglądaliśmy i tak dostatecznie podejrzanie, ponieważ obozowalismy z dala od szlaku pielgrzymów. Hindusi zaproponowali, abyśmy razem udali się do ich domostwa. Ze zrozumiałych względów nie przyjęliśmy zaproszenia, a zły stan zdrowia Marchese posłużył nam za wymówkę.

Ludzie oddalili się. Niestety, niebawem znowu powrócili. Tym razem nie było już wątpliwości, że uznali nas za zbiegów. Próbowali nas szantażować! Opowiadali o jakimś Angliku, który z ośmioma żołnierzami poszukuje dwóch uciekinierów i za wszelką informację obiecuje wysokie wynagrodzenie; gdybyśmy jednak im zapłacili – zachowają milczenie... Twardo utrzymywałem, że jestem lekarzem z Kaszmiru, pokazując jako dowód

apteczkę.

Czy to jęki Marchese, autentyczne niestety, czy też przedstawienie, które urządziłem, było tak sugestywne – w każdym razie odeszli. Następne chwile upłynęły nam w strachu przed ich powrotem w towarzystwie jakiejś urzędowej osoby. Pozostawili nas jednak w spokoju.

I tak dni nie tylko nie przynosiły wytchnienia, ale często były bardziej wyczerpujące niż noce; nie tyle dla mięśni, ile dla nerwów, ponieważ żyliśmy w ciągłym napięciu. Zazwyczaj około południa nasza butelka z wodą była już pusta, a reszta dnia dłużyła się niemiłosiernie. Marchese maszerował heroicznie aż do wieczora. Pomimo jego wyczerpania, spowodowanego utratą wagi, do północy szło się nam zawsze bardzo dobrze. Później jednak, aby przejść jeszcze kawałek drogi, musiał przespać się dwie godziny. O poranku zatrzymywaliśmy się na biwak. Z ukrycia można było obserwować wielki trakt, którym wędrował nieprzerwany strumień pobożnych pielgrzymów. Szczęśliwcy! Często dziwnie ubrani, nie musieli się przecież ukrywać! Podobno co rok, tylko w miesiącach letnich, przechodzi tędy około sześćdziesięciu tysięcy ludzi... Słyszeliśmy o tym jeszcze w obozie, teraz przekonaliśmy się, że to prawda!

Znoje i niedostatki – wszystko na nic

Po długiej wędrówce, około północy dotarliśmy do świętego miasta Uttar Kaszi. Niebawem zabłądziliśmy w jego wąskich uliczkach. Marchese usiadł z plecakiem w ciemnym zaułku, a ja próbowałem na własną rękę zorientować się w sytuacji. Przez otwarte bramy świątyń widać było światła jarzące się przed posągami bóstw o wytrzeszczonych oczach. Często musiałem kryć się błyskawicznie, gdy mnisi przechodzili z jednej świątyni do drugiej. Zanim trafiliśmy wreszcie za miastem na trakt pielgrzymek, straciliśmy około godziny...

Z licznych książek o ekspedycjach wiedziałem, że niebawem powinniśmy przekroczyć tzw. „wewnętrzną granicę”, która przebiega równolegle do rzeczywistej granicy państwa, w odległości 100-200 km. Poza miejscową ludnością, każdy, kto chce wejść na ten obszar, musi posiadać paszport. Nie mając paszportów, musieliśmy bardzo ostrożnie omijać posterunki.

Im głębiej wchodziliśmy w dolinę, tym rzadziej była ona zaludniona. W ciągu dnia bez kłopotu znajdowaliśmy odpowiednie miejsca na odpoczynek i mogłem często wychodzić z ukrycia po wodę. Pewnego razu rozpałem nawet małe ognisko i ugotowałem owsiankę; był to nasz pierwszy ciepły posiłek od czternastu dni.

Znajdowaliśmy się już na wysokości około 2000 m n.p.m. i nocą często mijaliśmy obozowiska Bhutiów. Są to tybetańscy kupcy, którzy w sezonie letnim prowadzą drobne interesy w południowym Tybecie, na zimę zaś przenoszą się do Indii. Wielu z nich spędza ciepłą porę roku w małych wioskach, położonych na wysokości 3000 – 4000 m, gdzie uprawiają jęczmień. Obozowiska, które mijaliśmy nocą, miały jedną bardzo nieprzyjemną cechę: w ich pobliżu zawsze natrafialiśmy na tybetańskie psy, jakich wcześniej nie znaliśmy. Były średniej wielkości, o długiej sierści, bardzo silne i agresywne.

Pewnego razu dotarliśmy do jednej z bhutyjskich wiosek, zamieszkanymi tylko latem; z niskimi domami o dachach krytych gontem i obciążonych kamieniami, wywarła na nas niezwykle wrażenie. Tuż za wsią czekała nas jednak przykra niespodzianka. Miejsce, w którym staliśmy, wisiało podmyte, jak po powodzi, nad rwącym potokiem, sprawcą tego spustoszenia. Na próżno szukaliśmy mostu, a innej możliwości przejścia potoku nie było. W końcu zrezygnowaliśmy z poszukiwań i postanowiliśmy z ukrycia obserwować okolicę. Przecież trakt nie mógł, tak po prostu, nagle się urywać. Ku naszemu zdumieniu, wczesnym

rankiem ujrzeliśmy gromadę pielgrzymów przechodzących przez potok, dokładnie w tym miejscu, gdzie nocą przez wiele godzin bezskutecznie usiłowaliśmy odnaleźć bród.

Następnego wieczoru w tym samym miejscu znów próbowaliśmy przedostać się na drugą stronę. I znowu okazało się to niemożliwe! Wreszcie zacząłem się domyślać, że stoimy nad potokiem, którym spływają wody z topniejących śniegów. Takie potoki lodowcowe wzbierają najsilniej od przedpołudnia do późnej nocy, a najniższy poziom wody jest w nich zawsze rano.

Okazało się, że miałem rację. Gdy wczesnym świtem stanęliśmy na brzegu naszego „strumienia”, zobaczyliśmy wystające z wody pnie prymitywnego mostu. Ostrożnie balansując, przeszliśmy na drugi brzeg. Niestety, przed nami pojawiały się coraz to nowe odnogi potoku, które pokonywaliśmy z wielkim trudem. Właśnie przebrnąłem przez ostatnie łóżysko, gdy Marchese pośliznął się i wpadł do wody – na szczęście powyżej pnia, inaczej porwałby go prąd. Gdy przemoczony i zupełnie wyczerpany stanął wreszcie obok mnie, nie chciał już iść dalej. Mimo moich nalegań, aby ukryć się w pobliskim lesie, rozłożył rzeczy i zaczął rozniecać ogień. Po raz pierwszy zacząłem żałować, że nie usłuchałem jego prośb i nie kontynuowałem ucieczki sam, lecz ciągle upierałem się, że musimy przetrwać razem...

Po chwili pojawił się jakiś Hindus i widząc porozkładane na ziemi europejskie przedmioty zaczął nas wypytywać. Marchese dopiero teraz pojął grożące nam niebezpieczeństwo i szybko spakował rzeczy. Lecz zanim zrobiliśmy kilka kroków, drogę zastąpił nam inny Hindus, po miejsku odziany, a za nim – dziesięciu silnych mężczyzn. Doskonałą angielszczyznę zażądał okazania paszportów. Udawaliśmy, że go nie rozumiemy, że jesteśmy pielgrzymami z Kaszmiru. Po chwili namysłu wpadł na bardzo sprytny pomysł, który oznaczał dla nas całkowitą klęskę. Oznajmił, że w pobliskim domu mieszkają dwaj Kaszmirczycy, jeżeli potrafimy się z nimi porozumieć, będziemy mogli ruszyć w dalszą drogę. Cóż za diabelski przypadek sprowadził tu właśnie Kaszmirczyków? Przecież tym wybiegiem posłużyłem się wyłącznie dlatego, że w tych okolicach ludzi z Kaszmiru spotyka się niezmiernie rzadko.

Dwaj Kaszmirczycy, o których mówił, przybyli tu jako rzeczoznawcy szkód powodziowych. Gdy stanęliśmy przed nimi, zrozumieliśmy, że nadeszła chwila naszego zdemaskowania. Zacząłem rozmawiać z Marchese po francusku, tak jak to było przewidziane na podobną okoliczność. Hindus przerwał nam natychmiast i po francusku zażądał otwarcia plecaków. Gdy zobaczył moją gramatykę angielsko-tybetańską, rzekł, że będzie lepiej dla nas, jeżeli powiemy kim jesteśmy. Przyznaliśmy się więc, że jesteśmy zbiegami, lecz nie ujawnialiśmy narodowości i rozmawialiśmy z nim po angielsku.

Chociaż niebawem siedzieliśmy przy herbacie w przytulnym pokoju, przeżywałem głębokie rozczarowanie. Był to osiemnasty dzień naszej ucieczki i cały nasz trud i wysiłek okazał się daremny. Mężczyzna, który nas indagował, był naczelnym dyrektorem leśnictwa w prowincji Theri-Gharwal. Leśnictwo studiował w uczelniach Anglii, Francji i Niemiec,

dlatego władał tymi językami. Przybył tutaj na inspekcję z powodu katastrofalnej powodzi, która nawiedziła te okolice po raz pierwszy od stu lat. Śmiejąc się wyraził ubolewanie z powodu swej obecności. Ponieważ jednak złożono mu doniesienie, zmuszony jest wypełnić swój obowiązek.

Kiedy dzisiaj myślę o zbiegu okoliczności, który doprowadził do ujęcia nas, stwierdzam, że było to coś więcej niż pech, wobec którego byliśmy bezsilni. A jednak ani przez chwilę nie wątpilem w to, że znów spróbuję ucieczki. Marchese był tak wyczerpany, że nie chciał mi już towarzyszyć. Po przyjacielsku przekazał mi większą część swych pieniędzy, wiedząc że mam ich niewiele. Dzień wykorzystałem gorliwie, najadając się do syta, ponieważ od kilku dni maszerowaliśmy niemal bez jedzenia. Kucharz leśnika przynosił bez przerwy dania. Połowa z nich przepadała w moim plecaku. Tuż z nastaniem wieczoru oznajmiliśmy, że jesteśmy zmęczeni i chce się nam spać. Drzwi do naszego pokoju zamknięto, a pod oknem na werandzie leśnik kazał postawić swoje łóżko, aby odciąć nam drogę ucieczki. Zgodnie z ustalonym wcześniej planem, gdy tylko na chwilę się oddalił, rozpoczęliśmy kłótnię. Marchese, pozorując dziką awanturę, łomotał, krzyczał i głośno przeklinał, na przemian to cieniem, to niskim głosem. Tymczasem ja wyskoczyłem z plecakiem przez okno na łóżko leśnika i pobiegłem na koniec werandy. Było już ciemno. Odczekałem kilka sekund, aż za rogiem budynku zniknęli patrolujący wartownicy.

Potem skoczyłem cztery metry w dół, trzymając w rękach czterdziestokilogramowy plecak. Ziemia nie była bardzo twarda a uderzenie zbyt mocne, szybko więc pozbierałem się i zniknąłem za murem ogrodu w czarnym jak smoła lesie.

Byłem wolny...! Panowała nieruchoma cisza. Pomyślałem o Marchese, który zgodnie z umową nadal wymyślał i krzyczał, o leśniku trzymającym straż w łóżku za oknem i pomimo zdenerwowania roześmiałem się.

Ale czas naglił. Podniecony biegłem dalej, aż wpadłem na śpiące stado owiec. Zanim zdążyłem się cofnąć, już jakiś pies uczeplił się moich spodni; uwolniłem się dopiero, zostawiając kawałek nogawki w jego zębach. Przestraszony pobiegłem pierwszą lepszą drogą, lecz wkrótce zrobiło się zbyt stromo. Nie, tędy nie było przejścia! Dalej więc, z powrotem! Ominąłem stado owiec i pobiegłem naprzód. Około północy zorientowałem się, że znowu idę złą drogą. A więc znowu, bez tchu, kilka kilometrów z powrotem! Błądząc tak, straciłem cztery godziny. Nadchodził świt. Nagle, za zakrętem, w odległości dwudziestu metrów ujrzałem niedźwiedzia. Na szczęście on mnie nie zauważył. Z nastaniem dnia ukryłem się znowu, chociaż okolica wyglądała na nie zamieszkaną. Wiedziałem, że przed granicą tybetańską powinna znajdować się jeszcze jedna wieś, a za nią – nareszcie wolność! Maszerowałem przez całą następną noc i znajdowałem się już na wysokości 3000 m. Powoli zacząłem się dziwić, że nie minąłem jeszcze wsi. Według moich szkiców powinna znajdować się na przeciwległym brzegu rzeki i miał do niej prowadzić most. Pocieszając się, że wieś trudno przeoczyć, maszerowałem beztrząsco dalej, mimo że już dniało.

To sprowadziło na mnie nieszczęście. Skręciwszy za piaszczyste wzgórze, stanąłem nagle tuż naprzeciw wioski i gestykującego tłumu. Miejscowość była błędnie zaznaczona na moich mapach, a ponieważ nocą błądziłem dwukrotnie, prześladowcy zdołali mnie wyprzedzić. Natychmiast otoczyła mnie cała wieś. Zażądano, abym się dobrowolnie poddał. Następnie zaprowadzono mnie do jakiegoś domu, gdzie zostałem ugoszczony.

Tutaj po raz pierwszy zetknąłem się z tybetańskimi nomadami, którzy wędrując ze stadami owiec przenoszą do Indii sól, a w drodze powrotnej – jęczmień. Po raz pierwszy poczęstowano mnie tybetańską herbatą z masłem oraz podstawowym pożywieniem tego narodu – *campa*^{*}, którą później miałem jeść przez wiele lat. Ale tym razem przeciwko tej niezwyklej potrawie zaprotestował dość energicznie mój żołądek i jelita.

W tej wiosce, która nazywała się Nelang, spędziłem dwie noce. Chociaż przychodziły mi do głowy nowe myśli o ucieczce i dostrzegłem nawet kilka możliwości, to po raz pierwszy byłem zbyt zmęczony i zniechęcony, aby je zrealizować.

Po przebytych dotąd trudach podróż powrotna była przyjemnością. Nie musiałem niczego dźwigać i regularnie otrzymywałem bardzo dobre posiłki. Po drodze spotkałem znowu Marchese, który jako gość przebywał ciągle jeszcze w prywatnym bungalowie leśnika. Ja także otrzymałem zaproszenie. Jakież było moje zdumienie, gdy w kilka dni później przyprowadzono dwóch innych zbiegów z obozu internowania i w jednym rozpoznałem mojego starego towarzysza wyprawy, Petera Aufschnaitera; drugim był Peter Calenberg.

Tymczasem, znowu całkiem serio, zacząłem myśleć o ucieczce. Zaprzyjaźniłem się bliżej z jednym z naszych strażników – Hindusem, który gotował dla nas i budził zaufanie. Oddałem mu na przechowanie moje mapy, kompas i pieniądze, bo wiedziałem, że oczekująca nas osobista rewizja uniemożliwi przeszmuglowanie tych przedmiotów na teren obozu. Umówiłem się z Hindusem, że po moje rzeczy wrócę tu następną wiosną. Ustaliliśmy, że weźmie on w maju urlop i będzie na mnie czekać. Zaklinał się na wszystkie świętości, że dotrzyma słowa. Tak więc, znów wracaliśmy do obozu – gorzka droga, którą zniosłem tylko dzięki myślom o nowej rychłej ucieczce.

Marchese wciąż jeszcze chorował i mógł podróżować tylko konno. Podczas tej podróży mieliśmy jeszcze jedną miłą przerwę: otrzymaliśmy bardzo uprzejme zaproszenie od maharadży z Theri-Gharwalu, który nas wspaniale ugościł. A potem – znowu czekały nas kolczaste druty.

Ucieczkowy epizod pozostawił na mnie widoczny ślad: pewnego razu, po wyjściu z kąpieli w gorącym źródle napotkanym po drodze, zorientowałem się nagle, że w dłoniach pozostały mi całe kępy włosów. Najwidoczniej farba, której używałem przebijając się za Hindusa, była szkodliwa.

Ta nie zamierzona kuracja, która spowodowała, że wyłysiałem, oraz poniesione trudy

^{*} Campa – mąka z prażonego jęczmienia lub pszenicy, rozrabiana najczęściej z herbatą, mlekiem lub piwem na gęstą papkę i spożywana na surowo.

sprawiły, że gdy już wreszcie przybyliśmy do obozu, niektórzy koledzy z trudem mnie poznali.

Ryzykowna maskarada

– *You made a daring escape. I am sorry, I have to give you twenty eight days!*^{*} – powiedział angielski pułkownik przyjmujący nas do obozu.

Cieszyłem się wolnością przez trzydzieści osiem dni, a teraz przez dwadzieścia osiem musiałem odpokutować w karcerze za próbę ucieczki. Ponieważ jednak strona angielska nie odmówiła rycerskiego uznania dla „śmiałej próby ucieczki”, wymierzona kara była krótsza niż można by się spodziewać.

Podczas samotnej odsiadki słyszałem, że Marchese odbywał taką samą karę w innej części obozu. Obiecał mi pomoc przy następnej próbie ucieczki, sam jednak nie chciał więcej o tym słyszeć. Natychmiast, nie tracąc ani jednego dnia, zacząłem szkicować nowe mapy i wykorzystywać doświadczenia nabyte podczas ucieczki. Byłem właściwie pewny, że następnym razem mi się uda. Jednak teraz chciałem uciekać sam.

Zima upłynęła mi szybko na przygotowaniach i z nadejściem nowego „sezonu ucieczkowego” byłem zupełnie dobrze wyposażony. Tym razem chciałem wyruszyć wcześniej, by dotrzeć do wsi Nelang, póki będzie jeszcze nie zamieszкана. Nie licząc na zwrot depozytu powierzonego Hindusowi, zaopatrzyłem się od nowa w najpotrzebniejsze rzeczy. W obozie spotkałem się ze wzruszającymi gestami koleżeństwa; chociaż każdy potrzebował gotówki, wspomagano mnie datkami pieniężnymi na drogę.

Nie byłem jedynym, który chciał się wyrwać. Dwóch moich najlepszych przyjaciół, Rolf Magener i Heins von Have, także przygotowywało się do ucieczki. Obydwaj mówili płynnie po angielsku i chcieli przez Indie dotrzeć na front do Birmy. Przed dwoma laty Have, uciekając wraz z kolegą, dotarł już prawie do Birmy, ale niestety tuż przed granicą zostali schwytani. Podczas drugiej próby ucieczki jego przyjaciel zginął w wypadku. Inni więźniowie – podobno trzech czy czterech – także planowali ucieczkę. Gdy wreszcie udało nam się zebrać w siódmkę, zdecydowaliśmy się na wspólny skok z obozu, ponieważ pojedyncze próby zaostrzyłyby stan pogotowia, a to znacznie utrudniłoby następne. Gdyby skok się udał, każdy mógł ruszyć zgodnie z własnym planem. Peter Aufschnaiter, którego partnerem był tym razem Bruno Treipel z Salzburga, a także berlińczycy, Hans Kopp i Sattler, chcieli –

^{*} To było śmiałe przedsięwzięcie. Z przykrością muszę wam dać 28 dni aresztu (przyp. tłum.).

podobnie jak ja – uciekać do Tybetu.

Ucieczkę wyznaczaliśmy na 29 kwietnia 1944 po obiedzie. Przebrani za grupę naprawiającą zasieki, mieliśmy wydostać się na wolność. Takie grupy robocze stanowiły zwykły widok, ponieważ białe mrówki stale podgryzały liczne słupy okalające nasz obóz i ogrodzenie trzeba było nieustannie naprawiać. Ekipa robocza składała się z kilku Hindusów i nadzorującego ich Anglika.

O wyznaczonej porze spotkaliśmy się w małej chatce w pobliżu – jak się właśnie dowiedzieliśmy – najmniej strzeżonego odcinka zasieków i obozowi eksperci od makijażu błyskawicznie zamienili nas w ciemnoskórych Hindusów.

Have i Magener otrzymali angielskie mundury oficerskie, uszyte potajemnie w obozie. Nam, „Hindusom”, ogolono głowy i nałożono turbany. Mimo powagi sytuacji wybuchaliśmy śmiechem, patrząc na siebie, bo wyglądaliśmy jak przebierańcy na balu maskowym. Dwóch z nas niosło drabinę przygotowaną tu już poprzedniej nocy. Ponadto zorganizowaliśmy jeszcze długi kawał drutu kolczastego, nawinięty na kołek. Nasze manatki ukryliśmy w luźnej odzieży i w tobołkach, które nie wzbudzały podejrzeń, ponieważ Hindusi zawsze coś taszczą ze sobą.

Nasi dwaj „angielscy oficerowie” wyglądali jak prawdziwi. Pod pachami nieśli rulony z planami budowy i nonszalancko bawili się oficerskimi laseczkami. Wcześniej zrobiliśmy w ogrodzeniu dziurę, którą teraz przedostawaliśmy się po kolei do nie strzeżonego przejścia, przedzielającego poszczególne skrzydła obozu. Stąd do głównej bramy pozostawało jeszcze około trzystu metrów. Nikt nie zwracał na nas uwagi. Tylko raz, gdy obok bramy pojawił się na rowerze starszy sierżant, zatrzymaliśmy się, a „oficerowie” gorliwie zaczęli oglądać druty. Dalej, już bez mrugnięcia okiem, miniliśmy strażników, którzy prężąc się zaszalutowali naszym „oficerom”, a nas, kulisów, nie zaszczycili nawet spojrzeniem. Nasz siódmy człowiek, Sattler, który nieco później wyszedł ze swego baraku, wymalowany czarną farbą, biegł za nami wymachując czajnikiem. Dogonił nas dopiero za bramą.

Gdy tylko znaleźliśmy się poza polem widzenia wartowników, zaszyliśmy się w buszu pospiesznie zrzucając przebranie. Pod spodem mieliśmy zwyczajne ubrania khaki, które nosiliśmy także podczas wycieczek. Pożegnaliśmy się, nie mówiąc wiele. Have, Magener i ja bieглиśmy razem jeszcze kilka mil, a potem nasze drogi się rozeszły. Zamierzałem uciekać tą samą trasą co poprzednio. Wziąłem nogi za pas, aby do rana znaleźć się jak najdalej od obozu. Twardo postanowiłem maszerować wyłącznie w nocy, a z nastaniem brzasku szukać kryjówki. Nie, tym razem nie chciałem ryzykować! Czwórka kolegów, których celem był także Tybet, beczelnie ruszyła głównym traktem, prowadzącym przez Mussoorie do doliny Gangesu. Ja nie odważyłem się na to i podążałem moją poprzednią trasą, przez dolinę Dżamuny i Aglaru. Pierwszej nocy musiałem co najmniej czterdzieści razy przechodzić Aglar w bród, ale i tak zabiwakowałem nad ranem dokładnie w tym samym miejscu, do którego wiosną dotarliśmy dopiero po czterech dniach. Tak szybko poruszałem się sam! Chociaż

byłem podrapany i poraniony, chociaż dźwigałem tak ciężki bagaż, że już w tę pierwszą noc zdarłem parę nowych tenisówek, czułem się bardzo szczęśliwy – wolny i zadowolony z siebie.

Pierwsze obozowisko rozłożyłem pomiędzy głazami nad rzeką. Ledwo rozpakowałem rzeczy, pojawiło się nade mną stado małp. Przerażliwie jazgocząc, zaczęły obrzucać mnie grudkami ziemi. Zajęty tym hałasem, nie spostrzegłem, że brzegiem rzeki biegnie trzydziestu Hindusów i zobaczyłem ich dopiero, gdy byli już całkiem blisko mojej kryjówki. Do dzisiaj nie wiem, czy byli to tylko przechodzący przypadkowo rybacy, czy też rzeczywiście chodziło im o nas – o zbiegów. Nie mogłem uwierzyć, że przebiegając zaledwie kilka metrów od mojej kryjówki, nie zauważyli mnie. Odetchnąłem z ulgą... To zdarzenie było dla mnie ostrzeżeniem. Pozostałem w obozie aż do wieczora i wyruszyłem w drogę dopiero z nastaniem ciemności. Przez całą noc Aglar służył mi za drogowskaz i szło mi się dobrze. Następny biwak minął bez kłopotów, wypocząłem i zregenerowałem siły. Nie mogłem się doczekać wieczora i wyruszyłem w drogę nieco za wcześnie. Ledwie przeszedłem kilkaset metrów, natknąłem się na Hinduskę niosącą wodę. Krzycząc z przerażenia upuściła gliniany dzban i uciekła w kierunku najbliższych domów. Nie mniej wystraszony umknąłem z głównej trasy do bocznej doliny. Było bardzo stromo i chociaż wiedziałem, że tędy też zdołam dojść do celu, to nie było wyjścia – czekało mnie wielogodzinne, uciążliwe obejście. Musiałem pokonać stoki góry Nag Tibba o wysokości ponad 3000 metrów, w górnych partiach pokrytej gęstym lasem i zupełnie nie zasiedlonej.

O brzasku, gdy dość zmęczony pięłem się w górę, stanąłem nagle oko w oko z pierwszą panterą w moim życiu. Serce zamarło mi z przerażenia. Byłem całkowicie bezbronny, bo jedynym moim orężem był przymocowany do laski długi nóż, który zrobił mi obozowy kowal. Pantera siedziała na grubej gałęzi drzewa, pięć metrów nad ziemią, gotowa do skoku. Błyskawicznie pomyślałem, co mam robić; opanowałem strach i spokojnie ruszyłem dalej. Nic się nie stało. Ale jeszcze długo ciarki chodziły mi po grzbiecie.

Dotąd szedłem granią Nag Tibba, teraz nareszcie znów trafiłem na główną drogę. Zaledwie przeszedłem kilka kilometrów, a już czekała na mnie nowa niespodzianka. Na środku drogi leżało chrapiąc kilku mężczyzn – był to Aufschnaiter i trzech kolegów z obozu! Szarpaniem obudziłem ich ze snu. Znaleźliśmy wspólną kryjówkę i dzieląc się dotychczasowymi przeżyciami, rozkoszowaliśmy się wspaniałym położeniem miejsca naszego odpoczynku. Wszyscy byliśmy w znakomitym nastroju i wierzyliśmy, że przedostaniemy się do Tybetu. Po dniu spędzonym w towarzystwie przyjaciół było mi naprawdę ciężko ruszyć samotnie w dalszą drogę. Pozostałem jednak wierny swym postanowieniom. Po rozstaniu z kolegami, jeszcze tej samej nocy dotarłem do Gangesu. Był to piąty dzień mojej ucieczki z obozu.

Zanim przybyłem do miasta świątyn – Uttar Kaszi, o którym wspomniałem już przy opisie pierwszej próby ucieczki, musiałem raz jeszcze ratować się przed utratą wolności.

Mijałem właśnie jakiś dom, gdy nagle wyszli z niego dwaj mężczyźni i zaczęli mnie gonić. Uciekałem na łeb, na szyję przez ryżowe pola i zarośla, w dół do Gangesu. Tam ukryłem się pomiędzy skalnymi blokami. Panowała cisza. Szczęśliwie wymknąłem się prześladowcom. Dopiero po dłuższym czasie odważyłem się wyjść znowu w jasne światło księżyca. Znajomą już drogą szło mi się przyjemnie i z radości, że posuwam się tak prędko, zapomniałem nawet o ciężkim plecaku. Moje stopy były oczywiście poobcierane, ale po postoju zawsze przychodziłem do siebie. Często sypiałem po dziesięć godzin, nie budząc się ani razu.

Dalej, już bez kłopotów, dotarłem do gospodarstwa mojego hinduskiego przyjaciela, który przed rokiem wziął ode mnie na przechowanie pieniądze i rzeczy. Był już maj i zgodnie z umową miał on w tym miesiącu czekać na mnie, co noc o północy. Zanim wszedłem na podwórze, ukryłem plecak, ponieważ zdrada była zawsze możliwa.

Księżyc jasno oświecał gospodarstwo. Stałem w cieniu stajni i dwa razy cicho zawołałem przyjaciela po imieniu. Niebawem drzwi się otworzyły, wybiegł z nich Hindus, rzucił się ku mnie i zaczął całować moje stopy. Łzy radości spływały mu po policzkach. Pospiesznie zaciągnął mnie do najdalszego pokoju, na którego drzwiach wisiała kłódka niezwyklej rozmiarów. Łuczywem oświecił pomieszczenie i otworzył dużą skrzynię: zobaczyłem moje rzeczy, troskliwie zaszyte w czystych bawełnianych woreczkach. Rozpakowałem je i wzruszony wiernością Hindusa wręczyłem mu wynagrodzenie, po czym ze smakiem przystąpiłem do jedzenia, które mi podał. Poprosiłem, by do następnego dnia przygotował mi żywność i wełniany koc. Obiecał to zrobić i ponadto podarował mi utkane ręcznie wełniane spodnie i szalik.

Cały następny dzień przespałem w pobliskim lesie, a wieczorem poszedłem po swoje rzeczy. Mój przyjaciel jeszcze raz nakarmił mnie do syta i odprowadził spory kawałek drogi. Uparł się, by nieść część mojego bagażu, ale ponieważ biedak był niedożywiony, nie miał siły, by dotrzymać mi kroku. Wkrótce poprosiłem więc, aby zawrócił, i po serdecznym pożegnaniu znowu zostałem sam.

Minęła właśnie północ, gdy raptem natknąłem się na bardzo niepożądane towarzystwo: pośrodku drogi stał na tylnych łapach niedźwiedź i fukał na mnie ostro. Niedźwiedź, podobnie jak ja, nie usłyszał wcześniej, że zbliżamy się do siebie, ponieważ Ganges szumiał bardzo głośno. Wymierzyłem moją skromną broń wprost w jego serce i, nie spuszczać go z oczu, krok po kroku zacząłem się cofać. Za pierwszym zakrętem rozpalilem błyskawicznie ogień, wyjąłem rozżarzoną głownię i wymachując nią odważyłem się ruszyć naprzód. Ale miejsce, gdzie stał przed chwilą niedźwiedź, było już puste. Dopiero później, w Tybecie, dowiedziałem się od wieśniaków, że niedźwiedzie atakują tylko w dzień, nocą same się boją.

Po dziesięciu dniach marszu znowu dotarłem do wsi Nelang, która przed rokiem przyniosła mi zgubę. Tym razem znalazłem się tu o miesiąc wcześniej i wieś rzeczywiście była jeszcze nie zasiedlona. Jakaż była moja radość, gdy ujrzałem tu czterech kolegów z obozu! Wyprzedzili mnie, kiedy zatrzymałem się u mojego hinduskiego przyjaciela.

Założyliśmy kwaterę w jakimś otwartym domu i pierwszy raz przespaliśmy spokojnie całą noc. Niestety, Sattler zapadł na chorobę wysokościową, czuł się źle i wątpił, czy podoła dalszym trudom. Zdecydował się na powrót do obozu, obiecując, że zamelduje się dopiero za dwa dni, aby nie zagrozić naszej ucieczce. Kopp, który z bokserem Kramerem wiosną przebił się tą samą trasą do Tybetu, przystał teraz do mnie.

We czwórkę wędrowaliśmy jeszcze siedem długich dni, zanim dotarliśmy do grani, w której znajdowała się przełęcz stanowiąca przejście graniczne między Indiami i Tybetem. To opóźnienie było spowodowane fatalną pomyłką, która nam się przydarzyła. Opuszczając Tirpani – miejsce postoju karawan – wybraliśmy dalszą trasę przez jedną z trzech dolin, dolinę wschodnią. Później zorientowaliśmy się, że idziemy złą drogą. Aby rozejrzeć się po okolicy, wspięliśmy się z Aufschnaiterem na wierzchołek, który obiecywał rozległy widok. Ze szczytu po raz pierwszy ujrzeliśmy przed nami Tybet. Zmęczenie jednak nie pozwoliło nam napawać się tym utęsknionym widokiem. Znajdowaliśmy się na wysokości około 5600 m i dodatkowo dokuczał nam brak tlenu. Wielce rozczarowani stwierdziliśmy, że musimy wrócić aż do Tirpani. A przełęcz znajdowała się tuż na wyciągnięcie ręki! Pomyłka kosztowała nas trzy stracone dni i bynajmniej nie dodała nam wewnętrznej siły. Złorzecząc schodziliśmy z powrotem do rozwidlenia dolin. Martwiliśmy się poważnie, czy niewielkie porcje żywności, jakie nam pozostały, wystarczą do następnej miejscowości.

Z Tirpani szło się lekko w górę przez nie zaśnieżone hale, wzdłuż jednego ze strumieni źródłowych Gangesu. Zaledwie przed tygodniem był to rwący potok, spadający z ogłuszającym hukiem w dolinę, a teraz wił się po łące jako mały strumyczek. Za kilka miesięcy będzie tu zielono i liczne ślady po obozowiskach w postaci murków z kamieni rozbudzały w nas wyobrażenia karawan z Indii, przeciągających w sprzyjającej porze roku przez przełęcze.

Pewnego razu natknęliśmy się na stado górskich owiec*. Wcale nas nie zauważyły i skacząc elegancko jak kozice umknęły nam z oczu; niestety także z naszych żołądków. Bardzo pragnęliśmy najeść się wreszcie do syta i jakże chętnie widzielibyśmy jedną z nich w garnku! Pobudzona fantazja długo jeszcze podsuwała nam różne wersje polowania.

Pod przełęczą zrobiliśmy ostatni postój w Indiach. Zamiast krzepić się wymarzoną mięsą z garnka, piekliśmy na rozgrzanych kamieniach małe placki z resztek mąki rozbełtanej z wodą. Było potwornie zimno, w dolinie wiał przenikliwy himalajski wiatr, a osłaniał nas od niego tylko kamienny murek.

17 maja 1944 roku stanęliśmy wreszcie na przełęczy Cangczokla. Pamiętny dzień! Z map wynikało, że przejście znajduje się na wysokości 5300 m n.p.m. Dotarliśmy zatem wreszcie do tej wymarzonej granicy pomiędzy Indiami i Tybetem. Tutaj nie mógł nas zaaresztować już żaden Anglik i po raz pierwszy mogliśmy się nacieszyć poczuciem bezpieczeństwa.

* Prawdopodobnie chodzi o dzikie barany błękitne gna, które wymieniają Snellgrove i Richardson w swojej książce „Tybet, zarys historii i kultury”, PIW, 1978 (przyp. tłum.).

Wprawdzie nie wiedzieliśmy jak potraktuje nas rząd tybetański, mieliśmy jednak nadzieję na gościnne przyjęcie. Nasza ojczyzna nie prowadziła bowiem wojny z Tybetem.

Przełęcz oznaczona była flagami modlitewnymi, które w ofierze swym bogom zatknęli pomiędzy kupami kamieni pobożni buddyści. Mimo dokuczliwego zimna zrobiliśmy długi odpoczynek, zastanawiając się nad naszą sytuacją. Nie znaliśmy prawie języka, mieliśmy mało pieniędzy, ale przede wszystkim zagrażała nam śmierć z głodu i dlatego musieliśmy jak najszybciej dotrzeć do jakiegoś zaludnionego osiedla. Jednak jak okiem sięgnąć widać było tylko puste doliny i góry. Na podstawie map mogliśmy jedynie niejasno przypuszczać, że muszą tu istnieć jakieś wioski.

Naszym ostatecznym celem były – jak już wspomniałem – japońskie pozycje, oddalone o tysiące kilometrów. Zaplanowana przez nas trasa miała prowadzić najpierw do świętej góry Kajlas, potem z biegiem Brahmaputry, aż do wschodniego Tybetu. Nasz kolega Kopp, który uciekając rok wcześniej dotarł już do Tybetu, lecz niestety został stamtąd wydalony, stwierdził na podstawie własnych doświadczeń, że nasze mapy były dość dokładne.

Po bardzo stromym zejściu dotarliśmy do nurtu Opczu i około południa zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Strzeliste ściany zamykały tu dolinę tworząc rodzaj kanionu, teren był nie zamieszkany i tylko porozrzucane kawałki drewna wskazywały, że czasem przechodzili tędy ludzie. Drugą stronę doliny tworzyły piarżyste stoki, którymi musieliśmy teraz piąć się w górę. Zanim wyszliśmy na plateau nastał już wieczór i czekał nas znowu lodowaty biwak. W ostatnich dniach jako opał służyły nam tylko cierniste gałązki zbierane na stokach. Tutaj nie było nawet tego i z wielkim trudem udało nam się nazbierać trochę wysuszonego krowiego łajna na wątlę ogień!

Tybet nie lubi obcych

Następnego dnia około południa dotarliśmy do pierwszej tybetańskiej wioski – Kasapuling. Wieś składała się z sześciu domów, które robiły wrażenie opuszczonych i gdy pukaliśmy do drzwi nikt nie odpowiadał. Jak się wkrótce okazało, wszyscy mieszkańcy zajęci byli żmudną pracą sadzenia jęczmienia na okolicznych polach. Patrzyliśmy na nich z uczuciem, jakie kiedyś zapewne poruszyło Kolumba, gdy po raz pierwszy zobaczył Indian. Jak nas przyjmą? Przychylnie czy wrogo? Na razie jeszcze nas nie zauważyli, a jedynymi dźwiękami, które do nas docierały, były wrzaski starej kobiety, o wyglądzie wiedźmy, i nie dotyczyły nas, lecz niezliczonego stada dzikich gołębi, które rzuciły się na dopiero co posiane ziarno. Do wieczora nie zaszczycono nas ani jednym spojrzeniem. Rozbiliśmy więc w czwórkę obóz w pobliżu jakiejś chaty, a wieczorem, gdy ludzie powrócili z pól, próbowaliśmy nawiązać kontakty handlowe, proponując pieniądze za owcę lub kozę. Chłopi jednak byli nam zdecydowanie nieprzychylni i nie chcieli niczego sprzedać. Granice Tybetu pozostają nie strzeżone, ale ludność nauczono, by przyjmowała obronną postawę wobec obcych i handel z nimi jest zabroniony pod najsroższą karą. Nie mieliśmy innego wyboru jak tylko ich zastraszyć – o ile nie chcieliśmy zginąć głodu. Zaczęliśmy się odgrażać, że weźmiemy zwierzaka siłą i nie zapłacimy, jeżeli nie zechcą sprzedać go dobrowolnie. Ponieważ nasza czwórka nie wyglądała mizernie, metoda okazała się skuteczna. Kiedy wreszcie, za nieprzyzwoicie wysoką cenę, sprzedano nam kozła – chyba najstarszego na świecie – zrobiło się już zupełnie ciemno. Pomimo tego jawnego oszustwa zachowaliśmy spokój, ponieważ zależało nam na zdobyciu przychylności w tym kraju.

Zarżnęliśmy naszego kozła w jakiejś oborze i było już dobrze po północy, gdy wygłodniaли rzuciliśmy się na półsurowe jeszcze kawałki mięsa.

Następny dzień przeznacziliśmy na wypoczynek i rozejrzenie się po wsi. Chaty, zbudowane z kamieni, pokryte były płaskimi dachami, na których suszył się materiał zgromadzony na opał. Tybetańczyków żyjących tutaj nie można porównać z mieszkańcami wnętrza kraju, których poznaliśmy później. Ożywiony ruch karawanowy i handel z Indiami zdemoralizował ich. Brudni, ciemnoskórzy, o skośnych stale rozbieganych oczach nie przejawiali ani śladu uprzejmości, przypisywanej temu narodowi. Zawzięcie oddawali się

swej codziennej pracy. W tej nędznej okolicy osiedlili się zwabieni zapewne możliwościami korzystnej sprzedaży swych plonów w okresie karawan. Jak mogłem stwierdzić później, te sześć domostw było chyba jedyną wsią bez klasztoru.

Następnego ranka bez przeszkód opuściliśmy to niegościnne miejsce. Zdążyliśmy nieco wypocząć i Kopp, berliński dowcipniś, który w ostatnich dniach zamilkł, znowu rozśmieszał nas swymi żarcikami.

Zeszliśmy polami w dół, do małej doliny, a przy podejściu na następne plateau nasze bagaże ciążyły nam już bardziej niż dotychczas. To fizyczne zmęczenie było zapewne reakcją na rozczarowania, które zgotował nam tak wytęskniony kraj. Także i tę noc musieliśmy spędzić w jakiejś nie zagospodarowanej dziurze, która ledwie chroniła nas przed huraganowym wiatrem.

Już na początku naszej podróży rozdzieliliśmy pomiędzy siebie obowiązki. Noszenie wody, rozpalanie ognia, przyrządzanie herbaty w tym przejmującym zimnie było ciężką pracą. Każdego wieczora opróżnialiśmy plecaki, ponieważ nocą służył nam jako śpiwory na nogi. Tego wieczoru, gdy wytrząsałem rzeczy z plecaka, nastąpiła mała eksplozja – wskutek tarcia zapaliły się zapalki. To oznaczało, że znajdujemy się już w suchym powietrzu płaskowyżu tybetańskiego.

Następnego ranka w pierwszych promieniach wschodzącego słońca ujrzeliśmy miejsce naszego biwaku. Okazało się, że jest to okrągła dziura o pionowych ścianach zrobiona niewątpliwie ludzką ręką. Pierwotnie służyła prawdopodobnie do chwytania zwierząt. Za naszymi plecami wznosiły się Himalaje z równoboczną śnieżną piramidą Kametu, a przed nami rozciągał się górzysty, poorany krajobraz. Schodziliśmy w dół lessowym terenem, aż w południe dotarliśmy do wsi Duszang. I tutaj było zaledwie kilka domów, ale za to wiele nieuprzejmości, podobnie jak w pierwszej wsi. Nie uzyskaliśmy niczego, ani pieniędzy, ani dobrym słowem. Peter Aufschnaiter na próżno popisywał się znajomością języka, którego nauczył się podczas wieloletnich studiów. Nie pomogła także gestykulacja. Za to tutaj po raz pierwszy ujrzeliśmy prawdziwy tybetański klasztor. Z lessowych wzgórz wyzierały na nas ciemne jamy, a na grani widać było ruiny olbrzymiej budowli. Niegdyś musiało tu żyć wielu mnichów. Obecnie tylko jeden nowy budynek dawał schronienie zaledwie kilku, ale żadnego nie zobaczyliśmy. Na tarasie przed klasztorem wznosiły się rzędy mogił pomalowanych czerwoną farbą...

Przygnębieni wycofaliśmy się do naszego namiotu, który w tym interesującym, lecz niezrozumiale wrogim świecie stanowił namiastkę własnego domu.

W Duszangu także nie było żadnego urzędu, w którym moglibyśmy poprosić o zezwolenie na pobyt lub dalszą drogę. Okazało się jednak, że narzekaliśmy przedwcześnie, ponieważ „urząd” osobiście siedł już nam naprzeciw. Gdy wyruszyliśmy następnego ranka, Aufschnaiter i Treipel pozostali nieco w tyle, a na czele maszerowałem ja i Kopp. Nagle usłyszeliśmy dźwięk dzwonek. Na małych koniach podjeżdżało ku nam dwóch uzbrojonych

mężczyzn. Zatrzymali się i w miejscowym języku wezwali nas do bezzwłocznego powrotu do Indii, tą samą drogą, którą tu przybyliśmy. Jasne było, że słowa na nic się nie zdadzą, dlatego energicznie usunęliśmy na bok oniemiałych mężczyzn. Na szczęście nie sięgnęli po broń, przypuszczając zapewne, że my także jesteśmy uzbrojeni, i po kilku słabych próbach nakłonienia nas do odwrotu odjechali. Bez przeszkód dotarliśmy do następnej osady, która – jak wiedzieliśmy – była siedzibą gubernatora okręgu.

Teren, który przemierzaliśmy w tym marszu, był wyludniony i pozbawiony wody. Jak okiem sięgnąć żadnego żywego stworzenia. Centrum okolicy – małe miasteczko Caparang, zamieszkane było tylko zimą i gdy odnaleźliśmy gubernatora, powiedziano nam, że właśnie pakuje rzeczy, by udać się do letniej rezydencji w Szangce. Jakże byliśmy zdziwieni, gdy rozpoznaliśmy w nim jednego z owych uzbrojonych mężczyzn. Był wobec nas niezbyt uprzejmy, z trudem zgodził się dać nam nieco mąki w zamian za lekarstwa. Mała apteczka, którą miałem w plecaku, okazała się teraz naszym ratunkiem, także później przydała mi się wiele razy.

W końcu gubernator wskazał nam jakąś dziurę na nocleg i zażądał ponownie, abyśmy opuścili ten kraj tą samą drogą, którą tu przybyliśmy. W wypadku naszej zgody gotów był zapewnić nam darmowy transport i prowiant na drogę. Odrzuciliśmy jego propozycję, usilnie go przekonując, że Tybet jako państwo neutralne musi nam udzielić azylu. Jednak ani jego inteligencja, ani kompetencje nie wystarczały, aby mógł to zrozumieć. Zaproponowaliśmy, aby pozostawił decyzję urzędnikowi wyższej rangi – mnichowi, który urzędował w oddalonym o osiem kilometrów Thulingu.

Caparang było kuriozalnym miejscem Z literatury przestudiowanej w obozie wiedziałem, że niegdyś znajdowała się tutaj pierwsza katolicka misja w Tybecie. Portugalski jezuita, ojciec Antonio de Andrade, założył tu w 1624 roku gminę katolicką i podobno zbudował kościół. Rozglądaliśmy się za śladami lub szczątkami tego bożego przybytku, jednak nie dostrześliśmy niczego. Znajdowaliśmy tylko liczne wyrwy i jamy, świadczące o wielkości dawnego Caparangu. Dotychczasowe doświadczenia pozwoliły nam wyobrazić sobie łatwo, z jakimi trudnościami musiał borykać się ojciec Antonio *...

Przeszukując ruiny natrafiliśmy na drewniane drzwi, które nas zaintrygowały. Po ich otwarciu natychmiast odskoczyliśmy z przerażenia: tuż, naprzeciwko, wpatrywały się w nas olbrzymie oczy... Były to oczy Buddy, którego posąg nadzwyczajnych rozmiarów umieszczono w głębi jaskini.

Następnego dnia pomaszerowaliśmy do Thulingu, aby pomówić z mnichem-urzędnikiem. Tam spotkaliśmy ponownie Aufschnaitera i Treipela, którzy zboczyli z naszej trasy. Razem odszukaliśmy przeora klasztoru, owego poszukiwanego przez nas urzędnika. Ale i on pozostał głuchy na nasze prośby o zezwolenie na dalszą wędrówkę na wschód i był gotów sprzedać

* Ojciec Antonio d'Andrade był pierwszym misjonarzem, który dotarł do Tybetu (z Ladakhu do Caparangu – stolicy zachodniotybetańskiego królestwa Guge) Wojna Ladakhu z Guge w 1640 r. położyła kres działalności założonej przez niego misji (przyp. tłum.).

nam żywność pod warunkiem, że udamy się do Szangce, miejscowości położonej na trasie do Indii. Odczuwaliśmy już brak żywności, więc nie pozostało nam nic innego jak przyjąć jego propozycję.

Poza nim w Thulingu rezydował jeden urzędnik świecki, lecz u niego mieliśmy jeszcze mniej szczęścia. Z wściekłością odrzucił wszelkie próby porozumienia, a nawet podjudzał ludność przeciwko nam. Za odrobinę zjełczanego masła i robaczywego mięsa musieliśmy zapłacić bardzo drogo, a trochę drzewa kosztowało jedną rupię. Jedynym naszym miłym wspomnieniem z Thulingu jest widok klasztoru usytuowanego na tarasie ponad wodami Satledżu i połączonych dachów, lśniących w promieniach słońca. Chociaż jest to największy klasztor zachodniego Tybetu, wydawał się opustoszały, ponieważ spośród dwustu sześćdziesięciu mnichów obecnych było zaledwie dwudziestu.

Kiedy wreszcie przyrzekliśmy skierować się ku Szangce, przydzielono nam cztery osły do transportu bagażu. Byliśmy zdziwieni, gdy pozwolono nam odejść tylko z poganiaczem osłów, bez żadnej eskorty. Niebawem okazało się, że w Tybecie istnieje najpewniejszy rodzaj dozoru – obcym sprzedaje się żywność jedynie za specjalnym zezwoleniem.

Podróżowanie z osłami nie było przyjemne. Zwierzęta opierały się przed wejściem do wody i przejście w bród przez Satledż trwało ponad godzinę. Musieliśmy je bez przerwy poganiać, by przed zmrokiem dotrzeć do następnej wsi, która nazywała się Cziłang i mieszkało w niej zaledwie kilku ludzi. Tymczasem na wzgórzach, podobnie jak w Caparangu, dostrzegliśmy setki jaskiń. W Cziłangu spędziliśmy noc. Szangce oddalone było jeszcze o cały dzień drogi.

Następny dzień przyniósł nam wspaniały widok na Himalaje, zadośćuczynienie za pusty, monotony krajobraz, przez który popędzaliśmy nasze osły. W czasie tego marszu po raz pierwszy napotkaliśmy khyangi – gatunek dzikich osłów żyjących w Azji Centralnej, które gracją swych ruchów zachwycają wszystkich podróżnych. Mają wzrost muła, często podchodzą bardzo blisko, po czym nagłym, eleganckim zwrotem wchodzą w kłus. Żywią się stepową trawą. Ludzie pozostawiają je w spokoju i zagrażają im jedynie wilki. Te nieokiełznane, piękne zwierzęta są tu od dawna symbolem wolności.

Szangce także okazało się wsią o zaledwie sześciu domach zbudowanych z darni i glinianych, suszonych na słońcu cegieł. Nie przyjęto nas tu bardziej uprzejmie niż w poprzednich wioskach. Znowu natknęliśmy się na naszego niegrzecznego urzędnika z Caparangu, który przeniósł się tutaj na lato. Pozostawiał nam wybór drogi do Indii, ale za żadną cenę nie chciał nam pozwolić na dalszą podróż do Tybetu. Mogliśmy wracać przez Caparang albo zachodnim traktem przez przełęcz Szipki i jedynie pod tym warunkiem gotów był sprzedać nam żywność.

Wybraliśmy oczywiście drogę przez przełęcz Szipki, ponieważ, po pierwsze nie znaleźliśmy jej, po drugie wciąż żywiłmy skrytą nadzieję na jakieś rozwiązanie. Teraz mogliśmy zakupić dowolną ilość masła, mięsa i mąki. Mimo to byliśmy trochę przygnębieni, ponieważ

perspektywa wylądowania ponownie za drutami była mało zachęcająca. Treipel nie był zachwycony krajem i chciał wracać bez ponawiania prób uzyskania zezwolenia na pobyt w Tybecie.

Niezależnie od wszystkiego dzień wykorzystaliśmy, najadając się wreszcie do syta. Ja uzupełniłem szkice w swoim dzienniku i leczyłem zapalenie ścięgien, którego nabawiłem się podczas forsownych nocnych marszów. Za wszelką cenę pragnąłem uniknąć obozu, Aufschnaiter myślał chyba podobnie.

Następnego ranka gubernator pokazał nam swoje prawdziwe oblicze. Aufschnaiter poczuł się źle – mięso gotowaliśmy w małym miedzianym kociołku i prawdopodobnie z tego powodu nabawił się lekkiego zatrucia. Gdy poprosiłem gubernatora, aby zezwolił nam na przedłużenie postoju, pobił on rekord swej nieuprzejmości. Zacząłem się z nim ostro sprzeczać i wreszcie oprócz dwóch jaków przydzielił nam dodatkowo trzecie zwierzę, wierzchowca dla Aufschnaitera.

Przy tej okazji pierwszy raz zetknąłem się bliżej z jakim. To typowe dla Tybetu juczne zwierzę przypomina długowłosego wołu. Może żyć tylko na znacznych wysokościach, a oswojenie go wymaga dużej zręczności. Samice jaków są znacznie mniejsze i dają bardzo dobre mleko.

Żołnierz eskortujący nas od Szangce miał przy sobie list polecający, dzięki któremu mogliśmy wszędzie kupić dowolną ilość żywności oraz – za darmo – zmieniać jaki na każdym postoju.

W dzień panowała bardzo przyjemna i chłodna pogoda, za to noce były zimne. Minęliśmy kilka wsi i zamieszkałych grot; ludzie nie zwracali na nas uwagi. Nasz przewodnik, pochodzący z Lhasy, był wobec nas grzeczny i przyjazny, a w osiedlach chętnie udawał bardzo ważną osobę. Gdy zatrzymywaliśmy się gdzieś na dłużej, ludność była bardziej ufna, co najwyraźniej sprawiał nasz glejt.

Przemierzając dystrykt Rongczung posuwaliśmy się kilka dni śladami Svena Hedina*. Jako wielbiciel tego badacza, przypominałem sobie żywo jego opisy. Krajobraz niewiele się zmienił. Musieliśmy wchodzić na coraz to nowe plateau, schodzić w głębokie doliny i przepaściste wąwozy, aby po drugiej stronie znów mozolnie piąć się w górę. Niektóre doliny były tak wąskie i głębokie, że chociaż głos z drugiej strony było wyraźnie słychać, to dotarcie tam wymagało wielu godzin. Takie forsowne chodzenie to w dół, to w górę, podwajało naszą trasę i sprawiało, że panował nie najlepszy nastrój – każdy milczał zajęty swoimi myślami. Mimo to posuwaliśmy się całkiem sprawnie do przodu. O jedzenie nie musieliśmy się kłopotać. Pewnego razu przyszła nam chętka na zmianę naszego menu, spróbowaliśmy więc szczęścia w łowieniu ryb. Gdy nie udało się nic złowić na wędkę, zrzuciliśmy ubrania i weszliśmy w przejrzysty górski potok, by schwytać ryby rękoma. Przypuszczalnie miały one

* (1865-1952) – podróżnik szwedzki, badacz Himalajów i Azji Centralnej. W 1901 r. próbował dotrzeć do Lhasy w przebraniu Buriata. Później przez wiele miesięcy oczekiwał bezskutecznie na pozwolenie wejścia do Lhasy. Jest autorem wielu książek (przyp. tłum.).

bardziej interesujące zajęcie, niż wylądować w naszym garnku...

Coraz bardziej zbliżaliśmy się do łańcucha Himalajów i równocześnie – co nas bardzo przynębiało – do granicy indyjskiej. Klimat zrobił się łagodniejszy, ponieważ zeszliśmy już niżej. To właśnie w tym miejscu Satledź toruje sobie drogę do Himalajów. Wioski przypominały małe oazy, obok chałup znajdowały się nawet niewielkie warzywniki i rosły drzewa morelowe. Po jedenastu dniach od wyruszenia z Szangce dotarliśmy do granicznej wioski Szipki. Był 9 czerwca. Już ponad trzy tygodnie przebywaliśmy w Tybecie. Zobaczyliśmy wiele, ale przede wszystkim zdobyliśmy gorzkie doświadczenie, że bez zezwolenia na pobyt nie da się tutaj żyć.

Spędziliśmy w Tybecie jeszcze jedną noc, biwakując romantycznie pod drzewem morelowym, o niedojrzałych – niestety – owocach. Tutaj, pod pretekstem konieczności posiadania jucznego zwierzęcia na dalszą drogę do Indii, udało mi się za 80 rupii kupić osła. Wewnątrz Tybetu odmówiono mi sprzedaży, a przecież bez jucznego zwierzęcia nie mógłbym zrealizować moich dalszych planów. Nasz strażnik – poganiacz osłów, opuścił nas tutaj zabierając swoje zwierzęta. Może spotkamy się jeszcze w Lhasie – powiedział śmiejąc się. Opowiadał nam wiele o pięknych dziewczętach i dobrym piwie w stolicy.

Kilka serpentyn w górę ku przełęczy Szipki i oto stanęliśmy na granicy. Nie było tu żadnych posterunków, ani indyjskich, ani tybetańskich. Nie znaleźliśmy niczego poza kopcami usypanymi z kamieni i chorągwiami modlitewnymi oraz kamieniem milowym z napisem „Simla 200 mil” – pierwszym znakiem cywilizacji.

Byliśmy znowu w Indiach. Tymczasem żaden z nas nie miał zamiaru zatrzymać się dłużej w tym „gościnnym” kraju, gdzie groził nam obóz za drutami.

Jeszcze raz przez zieloną granicę

Planowaliśmy wraz z Koppem przedostać się znowu do Tybetu przy pierwszej nadarzającej się okazji. Byliśmy przekonani, że spotkanym dotychczas drobnym urzędnikom brakowało kompetencji, wystarczających do decydowania w naszej sprawie. Dlatego też postanowiliśmy, że następnym razem spróbujemy od razu w wyższej instancji. W tym celu trzeba było wybrać się do Gartoku – stolicy Tybetu Zachodniego, siedziby gubernatora. Zeszliśmy więc szeroką, dobrze utrzymaną drogą handlową kilka mil w dół, do pierwszej indyjskiej wioski. Nazywała się ona Namgya.

Mogliśmy zatrzymać się tutaj bez wzbudzania podejrzeń, ponieważ przybyliśmy z Tybetu, a nie z terytorium Indii. Podawaliśmy się za amerykańskich żołnierzy w podróży, zakupiliśmy świeże zapasy i przenocowaliśmy w gospodzie. Potem się rozdzieliliśmy. Aufschnaiter i Treipel ruszyli traktem handlowym wzdłuż Satledżu; ja i Kopp popędziliśmy osła na północ w boczną dolinę, ku przełęczy wiodącej do Tybetu. Z naszych map widać było wyraźnie, że najpierw czeka nas przejście przez nie zaludnioną dolinę Spiti. Cieszyłem się, że Kopp przystał do mnie, bo był to zręczny, praktyczny człowiek i przy tym usłużny, pogodny kolega, a jego berliński humor rzadko zawodził.

Dwa dni posuwaliśmy się w górę rzeki Spiti, później weszliśmy do bocznej doliny, której kierunek wskazywał, że musi prowadzić przez Himalaje. Niestety, na naszych mapach nie wyrysowano tego terenu. Od miejscowych ludzi dowiedzieliśmy się, że na moście o nazwie Sangam przekroczyliśmy już granicę. Podczas tej wędrówki widzieliśmy przez cały czas po prawej stronie piękną sylwetkę Riwo Phargyul, szczytu w grani Himalajów sięgającego niemal 7000 m. Przeszliśmy do Tybetu w jednym z niewielu miejsc, gdzie kraj ten sięga poza grani Himalajów*. Znowu zaczęliśmy się martwić, jak daleko uda nam się dojść tym razem. Ale tutaj nie znał nas nikt i żaden nieprzyjazny urzędnik nie zaalarmował mieszkańców. Utrzymywaliśmy więc, że jesteśmy pielgrzymami zmierzającymi ku świętej górze Kajlas*.

Pierwsza tybetańska wioska, do której dotarliśmy, nazywała się Kyurik i liczyła sobie

* tzn. sięga na południową stronę Himalajów (przyp. tłum.)

* 6714 m n.p.m. Święta góra hinduistów, buddystów i wyznawców religii bon. Cel pielgrzymek – „oś świata”, „niebiańskie” centrum Tybetu (centrum ziemskim jest Lhasa) W pobliżu góry Kajlas biorą początek trzy wielkie rzeki Himalajów Brahmaputra, Indus i Satledż (przyp. tłum.)

dwa domy. Następna, Doco, była już znacznie większa. Natrafiiliśmy na wielu mnichów, około stu, znoszących pnie topól, które miały być przetransportowane przez przełęczę do Traszigangu na budowę klasztoru. Jest to największy klasztor w prowincji Tsurubjin, a jego opat jest równocześnie urzędnikiem świeckim. Przebywał tu właśnie u swoich mnichów i obawialiśmy się, że nasza podróż zakończy się przedwcześnie. Odpowiadając na jego pytania utrzymywaliśmy, że jesteśmy strażą przyboczną wielkiego europejskiego pana, a ten zaopatrzony jest w żelazne listy centralnego rządu w Lhasie. Zdawało się, że w to uwierzył i z ulgą ruszyliśmy w dalszą drogę.

Wejście na przełęcz zwaną przez Tybetańczyków Būd-Būd La było męczące. Musi ona leżeć na wysokości około 5700 m, ponieważ rozrzedzone powietrze dawało nam się we znaki, a biały jezior pobliskiego lodowca bez nazwy spływał kawałek poniżej przełęczy.

Spotkaliśmy po drodze kilku Bhutiów, którzy także zmierzali w głąb kraju. Jak na Bhutiów byli to wyjątkowo sympatyczni, przyjaźni ludzie, którzy zaprosili nas nawet do ogniska na garnuszek herbaty ze zjełczałym masłem. Ponieważ rozbiliśmy obóz blisko nich, przynieśli nam jeszcze pod wieczór smaczny szpinak z pokrzyw.

Znajdowaliśmy się w zupełnie nie zasiedlonej okolicy i przez następne osiem dni tylko od czasu do czasu napotykaliliśmy jakąś niewielką karawanę. Jedno spotkanie utkwilo mi szczególnie w pamięci. Był to otulony w długą owczą skórę nomada, młody mężczyzna z warkoczem, jakie zwyczajowo noszą wszyscy Tybetańczycy nie będący mnichami. Poprowadził nas do swojego czarnego namiotu zrobionego z wełny jaka, gdzie czekała nań młoda żona, miłe stworzenie, śmiejące się bez przerwy. W namiocie odkryliśmy skarb, na widok którego ślinka pociekła nam z ust: znakomitą szynkę z dzika. Chętnie odsprzedał nam część swej zdobyczy po śmiesznie niskiej cenie. Prosił tylko, aby nie opowiadać o jego polowaniu, bo grozi mu za to kara. Zabijanie żywych stworzeń, człowieka czy zwierzęcia, to wykroczenie przeciwko religijnym przykazaniom buddyzmu i dlatego polowanie jest zabronione. Ponieważ w Tybecie panuje system feudalny, ludzie i zwierzęta należą do dalajlamy, a jego zalecenia są prawem.

Okazało się, że byłem w stanie już dość dobrze porozumieć się z tym miłym towarzystwem i moje postępy w opanowaniu języka bardzo mnie uradowały. Umówiwszy się na następny dzień na polowanie, zamieszkaliśmy u tej młodej pary. Nomada i jego żona byli pierwszymi wesołymi Tybetańczykami, jakich spotkaliśmy, i dlatego pozostali nam długo w pamięci. Jako szczyt gościnności, wychynęła z kąta namiotu drewniana butelka napelniona świeżym jęczmiennym piwem. Był to podobny do mleka, mętny napój*, w niczym nie przypominający tego, co nazywamy piwem, ale działał podobnie.

Nazajutrz z rana wyruszyliśmy w trójkę na polowanie. Młody Tybetańczyk niósł przedpotopową strzelbę nabijaną przez lufę, a w torbie na piersiach miał ołowiane kule, proch i lont. Gdy wytropiliśmy stado dzikich owiec, zapalił mozolnie lont przy pomocy krzesiwa. W

* czang (przyp. red.)

napięciu czekaliśmy, jak zadziała ten muzealny eksponat. Rozległ się grzmiący huk – bach bach! – i gdy dym się rozwiął, w pobliżu nie było ani jednej owcy. Tylko hen, w oddali dojrzeliliśmy umykające stado. Owce, zanim zniknęły za ostatnią skalną granią, oglądnięły się jeszcze raz, jakby chciały nas wyśmiać. Nam pozostawał także tylko uśmiech. Aby nie wrócić z pustymi rękami, nazbieraliśmy dzikiej cebuli, rosnącej wszędzie na stokach, która znakomicie smakowała z dziczyzną.

Żona naszego myśliwego najwidoczniej przywykła już do tego, że mąż miał pecha w polowaniu, przezornie przygotowała posiłek z wcześniej upolowanej dziczyzny i teraz pochłonięta była smażeniem. Przyglądając się jak gotuje, zdumieliliśmy się bardzo, gdy bez wstydu zsunęła z ramion okrywającą ją ogromną owczą skórę, przewiazaną kolorowym paskiem. Wielkie futro utrudniało jej ruchy, a teraz obnażona do pasa, dalej spokojnie pracowała. Później nie raz jeszcze stykaliśmy się z takim naturalnym zachowaniem. Niechętnie opuszczaliśmy tę sympatyczną parę. Wypoczęci i zaopatrzeni w świeże mięso znowu ruszyliśmy w drogę. Po drodze widywaliśmy często dzikie jaki pasące się w oddali na stokach, wyglądające jak czarne kropki. Ich widok podzielał niestety na naszego osła, który także zapragnął wolności. Zaczął uciekać przez szeroki potok i zanim go dopędziliśmy, zdążył zrzucić swój bagaż. Przeklinając i złorzeczając dopadliśmy go wreszcie. Zajęci jeszcze suszeniem przemoczonych rzeczy, ujrzelśmy naraz na drugim brzegu dwie postacie. Pierwszą rozpoznaliśmy natychmiast po równomiernym, powolnym kroku wspinacza – to był Peter Aufschnaiter, który podchodził drogą w towarzystwie objuczonego tragarza. Takie spotkanie w odludnym terenie może zdawać się niewiarygodne. Ale pewne doliny i przełęcze służą za przejścia od stuleci, a my wybraliśmy jeden z najbardziej uczęszczanych szlaków.

Aufschnaiter, przywitawszy się serdecznie, zaczął opowiadać, jak wiodło mu się dotychczas. 17 lipca rozstał się z von Treipelem, który konno, jako „Anglik”, udał się do Indii i na ten luksus wydał resztę swoich pieniędzy. Aufschnaiter rozchorował się, a gdy przyszedł do siebie, podążył naszą trasą. W drodze dowiedział się o ostatnich wydarzeniach z wojny i chociaż żyliśmy tu jak w innym świecie, przysłuchiwaliliśmy się chciwie jego relacji.

Aufschnaiter początkowo nie chciał iść z nami do Gartoku, podejrzewając, że stamtąd także nas wydalą. Uważał, że byłoby mądrzej przedostać się do nomadów w centralnym Tybecie. Ostatecznie ruszyliśmy jednak razem i od tego dnia miałem się z nim nie rozstawać przez wiele lat.

Wiedzieliśmy, że gdy wszystko pójdzie gładko, przejście do Gartoku zajmie nam pięć dni. Znowu musieliśmy pokonać wysoką przełęcz, o nazwie Bongrü La. Biwaki o tej porze roku nie były przyjemne. Znajdowaliśmy się na wysokości powyżej 5000 m i noce były bardzo zimne. Na dodatek ciągle zdarzały się jakieś drobne kłopoty. Pewnego razu Kopp, przechodząc przez rzekę, zawiął buty w spodnie i trzymał je pod pachą. Nagle jeden wypadł mu do wody. Kopp rzucił się za nim, ale but porwany prądem zniknął i poszukiwanie go było daremne. Nigdy nie widziałem Koppa bardziej wściekłego – pomstował na Boga i na cały

świat! Miałem parę zapasowych butów tybetańskich, które były na mnie trochę za ciasne, ponieważ tam nie ma rozmiarów odpowiednich dla Europejczyków. Niestety, Kopp miał jeszcze większe nogi. Dałem mu więc mój lewy but wojskowy i kuśtykałem obuty na poły tybetańsko, na poły europejsko.

Pewnego razu przyjemnej rozrywki dostarczył nam spektakl walki dzikich osłów. Zapewne były to dwa samce walczące o przywództwo w stadzie żeńskich khyangów. Spod kopyt wylatywała trawa, drżała ziemia – pochłonięte do reszty pojedynkiem wcale nie zauważyły widzów. Wokół nich tańczyły osobniki żeńskie, łaknące sensacji, i całe pole walki pokrywały co chwila tumany kurzu.

Przeszliśmy obie przełęcze i znów mieliśmy Himalaje za plecami. Tym razem chętnie się z nimi rozstawałem, bo nareszcie weszliśmy w cieplejsze regiony. Nasza droga prowadziła przez prowincję, gdzie dwa lata później miał stracić życie jeden z największych niemieckich wspinaczy, Ludwik Schmaderer. Po ucieczce z tego samego obozu co my, zamierzał wraz z przyjacielem Paidarem ruszyć naszymi śladami. Został tutaj haniebnie i podstępnie zamordowany. Paidarowi udało się wymknąć. Później zginął on w Alpach na Großglocknerze.

Tutejsza ludność nie jest typowa ani dla Tybetu, ani dla Indii. W dużym stopniu stanowi mieszkankę ras i żyje w tradycji lamaistycznej, niemniej jednak poprzez handel związana jest silniej z Indiami. Podczas schodzenia w dolinę Indusu napotykalismy wiele karawan jaków, transportujących wełnę do Indii. Naszą uwagę zwróciły uderzająco duże i silne zwierzęta, a także ich poganiacze – młodzi dorodni chłopcy, którzy pomimo okrutnego zimna chodzili odkryci do pasa. Podobnie jak kobiety, mężczyźni noszą futra na gołe ciało, włosom do spodu i wysuwają na wierzch ramiona, dla zachowania swobody ruchów. Swoje jaki popędzali i utrzymywali w szyku za pomocą proc Wyglądało na to, że obcy ich nie obchodzą i bez przeszkód mogliśmy iść dalej.

Przez pięć dni maszerowaliśmy wzdłuż górnego biegu Indusu, aż dotarliśmy do Gartoku. Nie zapomnę nigdy tej drogi. Wędrowaliśmy powyżej granicy lasu, wśród łagodnie wznoszących się łańcuchów górskich, ale krajobraz nie był bynajmniej monotony. Wzrok przyciągały zachwycające barwy i rzadko miałem okazję oglądać tak harmonijne przenikanie się wszystkich kolorów palety: żółtawo-białe pola boraksu tuż przy brzegach przejrzystych wód Indusu, dalej delikatna zieleń wiosny, która tutaj zaczyna się dopiero w czerwcu. W tle lśniące, ośnieżone górskie szczyty. Odległa burza przeciągająca nad Himalajami pokazała nam swój wspaniały spektakl gry światła, którego czaru nie da się opisać.

Pierwsza wioska po drugiej stronie Himalajów to Traszigang; kilka domów zgromadzonych przy klasztorze, otoczonym fosą pełną wody. I tutaj mieszkańcy przyjęli nas wrogo. Ale tym razem ani nas to nie zdziwiło, ani nam nie przeszkadzało. Przybyliśmy właśnie o tej porze roku, kiedy napływają tu po wełnę indyjscy kupcy, a od nich mogliśmy bez trudu odkupić żywność. Aufschnaiter daremnie próbował zamienić swoją złotą bransoletę

na gotówkę. Gdyby ją sprzedał, stać by go było na to, żeby omijając Gartok, przedostać się bezpośrednio w głąb Tybetu. Co chwila zatrzymywali nas dostatnio wyglądający Tybetańczycy na koniach, pytając, co mamy do sprzedania. Ponieważ podróżowaliśmy tylko z objuczonym osłem, bez służących, mogli nas brać jedynie za kupców. Przekonaliśmy się, że – biedni czy bogaci – wszyscy Tybetańczycy są urodzonymi kupcami i handel wymienny oraz targowanie się to ich wielka namiętność. Dwa dni drogi przed Gartokiem z bijącym sercem mijaliśmy miejscowość Gargunsa. Jest to zimowa siedziba gubernatora zachodniego Tybetu, i chociaż wiedzieliśmy od przechodzących karawan, że go tam jeszcze nie ma, niepokoił się, że tu, na samym końcu, zostaniemy zatrzymani. Szczęśliwie nasze obawy były bezzasadne. Mały, ale bardzo czysty, budynek urzędu stał jeszcze pusty.

Niekiedy przyłączaliśmy się do karawan jaków, dźwigających do Lhasy suszone morele z indyjskiej prowincji Ladakh. Karawany trwają długie miesiące i docierają do Lhasy tuż przed tybetańskim Nowym Rokiem, wielkim świętem obchodzonym około osiem tygodni po rozpoczęciu naszego Nowego Roku. Karawanom towarzyszą uzbrojeni w dobre miecze i karabiny młodzi mężczyźni z Lhasy, którzy mają je ochraniać przed rabusiami. W drodze znajdują się najczęściej transporty państwowe i przewodnicy karawan posiadają paszporty upoważniające do bezpłatnego zajmowania jaków i koni. Jeszcze przed Gartokiem zaprzyjaźniliśmy się z takim Tybetańczykiem i z zazdrością oglądaliśmy jego cenny dokument z wielką czworokątną pieczęcią z Lhasy. Dopiero teraz, widząc te okazałe karawany, uprzytomniliśmy sobie własne ubóstwo. Nasz mały osioł często kładł się razem z ładunkiem na ziemi i wtedy nie pomagały nawet razy. Wstawał, kiedy jemu się podobało. Zdarzało się też, że po prostu zrzucał cały ładunek i rozzuchwalony uciekał.

Niedaleko Gartoku spędziliśmy w ciepłym namiocie wieczór obżarstwa. Karciane sztuczki Koppa tak zachwyciły pewne towarzystwo podróżujące do Lhasy, że zaproszono nas do namiotu z prośbą o ponowne zademonstrowanie całego repertuaru.

Podczas tych spotkań z karawanami, ciągle miałem przed oczyma postać ojca Desideriego^{*}, któremu przed ponad dwustu laty udało się dotrzeć z podobną karawaną bez przeszkód aż do Lhasy. Nam nie miało to przyjść tak łatwo.

^{*} Jezuita Ippolito Desideri – misjonarz, który w 1716 r. dotarł z misją do Lhasy. Wkrótce po nim przybyła do Lhasy także misja kapucynów, kierowana przez o. Orazio della Penna. Między obiema grupami rozpoczęła się rywalizacja o wyłączne prawo prowadzenia misji w Lhasie. Rzym rozstrzygnął spór na korzyść kapucynów i w 1721 r. o. Desideri opuścił Tybet. W swym „Sprawozdaniu z Tybetu” („Account of Tibet”, Londyn 1931, wyd. poprawione 1937) opisał życie i religię Tybetańczyków (przyp. red.)

Gartok – siedziba wicekróla

Gartok znaleźliśmy z literatury jako „stolicę Zachodniego Tybetu, siedzibę wicekróla”, a z książek geograficznych wiedzieliśmy, że uznaje się go za najwyżej położone miasto na świecie; ale gdy stanęliśmy wreszcie przed tym słynnym miejscem, wybuchnęliśmy śmiechem. Najpierw ujrzelśmy parę namiotów rozbitych przez koczowników na olbrzymiej przestrzeni, potem wyłoniło się kilka chałup ulepionych z gliny i murawy. To był Gartok. Poza kilkoma włóczącymi się psami, nie było widać żywej duszy.

Rozbiliśmy nasze małe namioty na brzegu Gartanczu, dopływu Indusu. Niebawem zjawiono się kilku ciekawskich, którzy powiedzieli nam, że obaj wysocy urzędnicy są nieobecni i przyjąć nas może tylko rządca drugiego „wicekróla”. Tego samego dnia wybraliśmy się do niego z naszą prośbą. Już wchodząc do urzędowego budynku musieliśmy się nisko pochylić, bo zamiast drzwi był tylko otwór, zasłonięty przetłuszczoną zasłoną. Weszliśmy do mrocznego pomieszczenia, w którym okna zaklejono papierem, i gdy oczy przywykły do ciemności, ujrzelśmy przed nami inteligentnie i dystygownie wyglądającego mężczyznę, siedzącego w pozycji Buddy. W jego lewym uchu wisiał około piętnastocentymetrowej długości kolczyk – atrybut rangi. W pomieszczeniu znajdowała się jeszcze kobieta, jak się później okazało, małżonka przebywającego w podróży urzędnika. Za nami wcisnęły się dzieci i służba, chcąc zobaczyć z bliska dziwnych przybyszów.

Bardzo grzecznie poproszono, abyśmy usiedli, i podano suszone mięso oraz ser, masło i herbatę. Serdeczna atmosfera przyniosła nam ulgę, a rozmowa przy pomocy słownika angielsko-tybetańskiego i gestykulacji toczyła się także dość gładko. Nabieraliśmy otuchy, ale na tym pierwszym spotkaniu przezornie nie wspomnieliśmy o naszych kłopotach. Opowiadaliśmy, że jesteśmy niemieckimi uchodźcami, dając do zrozumienia, że chcielibyśmy prosić neutralny Tybet o udzielenie przyjacielskiej gościny.

Następnego dnia zrewanżowałem się urzędnikowi lekarstwami. Bardzo się ucieszył. Wypytywał o ich stosowanie i wszystko sobie dokładnie notował. Odważyliśmy się zapytać, czy nie zechciałby wydać nam paszportów. Nie odmówił wprost, lecz pokrzepiając nas na duchu powiedział, że za kilka dni powinien wrócić jego przełożony, który odbywa pielgrzymkę pod górę Kajlas.

Tymczasem coraz bardziej zaprzyjaźnialiśmy się z jego zastępcą; podarowałem mu soczewkę, przedmiot bardzo tutaj użyteczny. Niebawem nastąpił rewanz. Pewnego popołudnia do naszego namiotu tragarze przynieśli w prezencie masło, mięso i mąkę. Za nimi, pieszo, przybył z rewizytą administrator wraz z orszakiem służących. Gdy zobaczył nasz namiot, nie posiadał się ze zdumienia, że Europejczycy mogą żyć tak prymitywnie.

Im bliższy był dzień powrotu zwierzchnika, tym wyraźniej słabła jego przychylność, aż niemal zupełnie przestał się z nami zadawać. Odpowiedzialność zaczęła mu ciążyć do tego stopnia, że odmawiał nam nawet sprzedaży żywności. Ale i tu było dość indyjskich kupców, którzy za dobrą zapłatą nie odmówili nam pomocy.

Wreszcie stało się. Pewnego przedpołudnia dał się słyszeć dźwięk dzwonków. Do wsi zbliżała się olbrzymia karawana mułów. Przodem jechali konno żołnierze, za nimi postępowała gromada sług i służek, później, dostojnie na koniach, członkowie tybetańskiej arystokracji, z którą zetknęliśmy się tutaj po raz pierwszy. Do miasta wjeżdżał wraz ze swym orszakiem wyższy z dwu wicekrólów, zwanych w Tybecie „garpönami”. Oboje z żoną odziani byli we wspaniałe jedwabne szaty, za kosztownymi pasami zatknęli pistolety. Zbiegła się cała wieś, aby nic nie stracić z tego przedstawienia. Pobożny garpön z odświętnym orszakiem skierował się wprost do klasztoru, by podziękować bogom za szczęśliwy powrót z pielgrzymki.

Ogólne podniecenie udzieliło się także nam. Aufschnaiter napisał krótki list z prośbą o audiencję. Nie mogąc doczekać się odpowiedzi, późnym popołudniem osobiście wybraliśmy się do garpöna.

Dom wicekróla nie różnił się specjalnie od domu jego zastępcy, ale wewnątrz był bardziej solidny i schludny. Garpön na okres sprawowania funkcji wysokiego urzędnika otrzymuje szlachectwo czwartego stopnia. Podlega mu pięć dystryktów, administrowanych przez arystokratów piątej, szóstej i siódmej rangi. W okresie urzędowania nosi w upiętych włosach złoty amulet, który jednakże ozdabia jego głowę wyłącznie na czas piastowania władzy. W Lhasie przysługuje mu szlachectwo już tylko piątej rangi. Arystokrację Tybetu stanowi szlachta w siedmiu stopniach szlachectwa. Arystokratą pierwszej rangi jest sam dalajlama. Wszyscy świeccy dostojnicy noszą wysoko upięte włosy, mnisi gołą głowę, a zwykli Tybetańczycy noszą warkocze.

I oto stanęliśmy przed tym ważnym panem. Gdy zaczęliśmy szczegółowo przedstawiać naszą sytuację, garpön słuchał nas z największą uprzejmością, z trudem powstrzymując dyskretny uśmiech z powodu naszych błędów językowych; natomiast ludzie z jego orszaku wybuchali głośnym śmiechem, ale to dodawało tylko uroku naszej rozmowie i stwarzało przyjacielską atmosferę. Garpön obiecał rozważyć dokładnie nasz przypadek i omówić go z zastępcą swego kolegi – drugiego garpöna. Pod koniec rozmowy obficie nas ugostczono i poczęstowano herbatą zaparzoną na sposób europejski. Później garpön przysłał nam do namiotu prezenty. Znowu odzyskaliśmy nadzieję na pomyślne dla nas decyzje.

Następna audycja miała bardziej formalny przebieg, ale mimo to była serdeczna. Przyjęto nas w godzinach właściwego urzędowania; garpön siedział na podwyższeniu, a obok, nieco niżej, zastępca drugiego garpöna. Na niskim stoliku leżał stos listów, napisanych na tybetańskim papierze. Garpön poinformował, że może nas zaopatrzyć w środki transportu i prowiant oraz paszporty do prowincji Ngari. W żadnym wypadku nie wolno nam iść dalej, w głąb kraju. Szybko naradziliśmy się i poprosiliśmy o wydanie paszportu do granicy Nepalu. Po chwili wahania przystał na to i obiecał wysłać do centralnego rządu w Lhasie list, w którym przedstawi nasze życzenia. Uprzedził, że odpowiedź może nadejść dopiero po wielu miesiącach. Tak długo nie chcieliśmy tutaj czekać. Nie mieliśmy jednak zamiaru zrezygnować z planu przedostania się dalej na wschód i za wszelką cenę pragnęliśmy kontynuować podróż. Ponieważ Nepal był krajem neutralnym i leżał w korzystnym – bo zgodnym z naszym planem – kierunku, mogliśmy być zadowoleni z wyniku pertraktacji.

Garpön uprzejmie zaproponował, abyśmy zechcieli jeszcze kilka dni gościć w Gartoku, ponieważ znalezienie jucznych zwierząt i przewodników wymaga czasu. Po trzech dniach wręczono nam paszporty z ustaloną trasą podróży przez następujące miejscowości: Ngakhyü, Sersok, Mönce, Barka, Thokczhen, Lhölung, Szamcang, Truksum, Gyabnak. Paszporty zawierały także adnotację upoważniającą nas do otrzymania dwóch jaków. Najważniejsza była jednak klauzula zobowiązująca ludność do sprzedaży żywności po miejscowych cenach; bezpłatnie należał się nam opał, a wieczorem także służący do przygotowania kolacji.

Cieszyliśmy się bardzo, że uzyskaliśmy tak wiele. Garpön zaprosił nas jeszcze na kolację, w czasie której udało mi się sprzedać mu zegarek. Następnie wszyscy musieliśmy dać słowo honoru, że z jego prowincji nie udamy się do Lhasy. Wreszcie pożegnaliśmy Gartok. Wyruszyliśmy 13 lipca małą, dostatnio wyglądającą karawaną. Dwa młode jaki, poganiane przez nomadę, niosły bagaże, za nimi kroczył mój mały osioł, który zdążył już wypocząć i teraz był objuczony tylko małym kociołkiem na herbatę. Nasz przewodnik, młody Tybetańczyk imieniem Norbu, jechał konno, a my, trzej Europejczycy, wyglądaliśmy mniej „feudalnie”, bo szliśmy na piechotę.

I znowu w drodze

Od tygodni byliśmy znowu w drodze. Przez cały następny miesiąc nie napotkaliśmy ani jednego większego osiedla; jedynie namioty nomadów i pojedyncze „tazamy”, czyli stacje postojowe przeznaczone dla ruchu karawanowego, gdzie można wymienić jaki, kupić jedzenie i odpocząć.

W jednym z zajazdów udało mi się wymienić mojego osła na jaka. Byłem bardzo dumny z tej transakcji, bo mój żywy majątek wzrósł czterokrotnie. Niestety, radość szybko minęła. Okazało się, że zwierzak jest tak krnąbrny, że chętnie pozbyłbym się go jak najszybciej. Później rzeczywiście wymieniałem to wielkie zwierzę na mniejszego i młodszeo jaka. Niestety był on podobnie uparty. Trzeba więc było uciec się do tutejszych metod. Przez otwór przekłuty w jego nozdrzu przeciągnęliśmy kółko z jałowcowego drewna z przymocowanym powrósem i dzięki temu mogliśmy łatwiej nim kierować. Nazwaliśmy go Armin.

Od wielu dni wędrowaliśmy przez osobliwie piękne okolice. Otwarte, szerokie przestrzenie przechodziły w łagodne wzgórza o niskich przełęczach i często musieliśmy brodzić przez lodowate, rwące potoki. W Gartoku zdarzało się jeszcze gradobicie – tu, gdzie teraz wędrowaliśmy, dni były piękne i ciepłe. Urosły nam długie brody, które chroniły nas przed promieniami słońca. Od dawna nie widzieliśmy już lodowców, ale gdy zbliżaliśmy się do tazamu w miejscowości Barka, naszym oczom ukazał się wielki łańcuch górski, lśniący w promieniach słońca. W panoramie dominowała wysoka na 7730 m Gurla Mandhata; mniej wybitna, ale za to bardziej sławna, była góra Kajlas, o wysokości 6700 m. Wznosiła się samotna, majestatycznie piękna, oddzielona od łańcuchów himalajskich. Na jej widok nasi Tybetańczycy padli na ziemię szepcząc swoje modlitwy. Buddyści i Hinduiści uważają ją za najwyższą siedzibę bogów i ich największym pragnieniem jest przybycie tutaj z pielgrzymką chociaż raz w życiu. Wierni pokonują często tysiące kilometrów, wielu odmierza drogę długością swego ciała, padając na ziemię, podnosząc się i znów padając^{*}; pielgrzymują tak często przez wiele lat. Żyją z jałmużny i wierzą, że w nagrodę za pielgrzymkę odrodzą się po śmierci w wyższych sferach bytu. Tutaj zbiegają się ścieżki pielgrzymów ze wszystkich stron świata. W miejscach, z których pierwszy raz ukazuje się góra, leżą gromadzone od setek lat

^{*} Wykonują tzw „pokłony”, jedną z czterech podstawowych praktyk buddyzmu tybetańskiego (przyp. tłum.)

olbrzymie kopce z kamieni, znak naiwnej pobożności. Zgodnie z tradycją każdy pielgrzym, który po raz pierwszy widzi górę, dokłada kilka nowych kamyczków. My też chętnie obeszlibyśmy górę dokoła*, jak to czynią pielgrzymi, ale niestety... nieprzyjemny zarządca tazaru w Barce przeszkodził nam i zmusił do dalszej drogi utrzymując, że później nie będzie mógł zagwarantować nam transportu.

Całe dwa dni radowaliśmy oczy widokiem obu lodowców*. Byliśmy wspinaczami i bardziej od świętej góry przyciągała nas nie zdobyta jeszcze Gurla Mandhata, odbijająca się w całej swej wspaniałości w jeziorze Manasarowar. Na brzegu rozbiliśmy obóz i nie mogliśmy się nasycić tym nieopisanie pięknym widokiem góry wysokiej na 7730 m, która zdawała się wyrastać z jeziora. Z całą pewnością jest to jedno z najpiękniejszych miejsc na ziemi. Jezioro także uchodzi za święte i wokół zbudowano wiele klasztorów, w których pielgrzymi mogą się zatrzymywać i pograć w medytacji. Drogę dokoła jeziora odbywają oni robiąc pokłony, a wodę, którą napełniają pojemniki, zabierają do domów jako przynoszącą błogosławieństwo relikwię. Wszyscy kąpią się w lodowatych wodach jeziora. My także spróbowaliśmy kąpieli, choć nie z pobożności. Mało brakowało, a przydarzyłoby mi się nieszczęście. Odpłynąwszy kawałek od brzegu, wpadłem w jakieś grząskie miejsce, z którego tylko ostatkiem sił zdołałem się uwolnić, a koledzy nawet nie zauważyli mojej rozpaczliwej walki w bagnie.

Przybyliśmy tu we wczesnej porze roku, przed okresem największych pielgrzymek, dlatego spotykaliśmy głównie kupców, a pielgrzymów tylko niewielu. Widzieliśmy także jakieś podejrzané typy, wszak okolica ta słynie jako eldorado dla rabusiów. Tutaj, w pobliżu targowisk, napady na kupców zdarzają się częściej niż gdzie indziej. Największy bazar tego rejonu nazywa się Gyanyima. W setkach namiotów rozbitych na olbrzymim placu wszyscy sprzedają, targują się i kupują. Namioty Hindusów uszyte są z taniej bawełny, tybetańskie natomiast utkane z wełny jaków i przez to tak ciężkie, że jeden namiot stanowi nieraz ładunek dla dwóch zwierząt.

Kilka godzin szliśmy brzegiem jeziora w kierunku wschodnim i wędrując tak mieliśmy wrażenie, że spacerujemy po morskiej plaży. Radość z pięknej przyrody zakłócały nam natrętne komary, które opuściły nas dopiero, gdy oddaliliśmy się od basenu jeziora.

Idąc dalej, w drodze do Thokczheny spotkaliśmy bogatą karawanę z Lhasy. Jechał z nią do swojej siedziby nowy gubernator dystryktu Caparang. Gdy nas zatrzymano, nasz tybetański przewodnik, za którym nie przepadaliliśmy, znieluchomiał w głębokim pokłonie z wysuniętym na znak powitania językiem i kapeluszem w rękę – była to postawa całkowitego oddania. Wyjaśnił, dlaczego znaleźliśmy się tutaj; broń gotową do strzału opuszczono i łaskawie obdarowano nas suszonymi owocami i orzechami, wyjętymi z juków przytroczonych u siodeł.

* Buddyści wierzą, że po okrążeniu świętej góry Kajlas 108 razy (jedno okrążenie wynosi około 55 km) osiąga się nirwanę (przyp. tłum.)

* Lodowiec spływający spod góry Gurla Mandhata i lodowiec Kajlas (przyp. tłum.)

Najwyraźniej nasz obraz, jako bogatych Europejczyków, pozostawiał wiele do życzenia. W istocie bardziej przypominaliśmy koczowników; od trzech miesięcy sypialiśmy pod gołym niebem, a nasze wyposażenie było gorsze od standardu miejscowego. Nasze małe namioty nadawały się wyłącznie do spania, gotować musieliśmy na zewnątrz, niezależnie od pogody – podczas gdy w ciężkich namiotach nomadów było ciepło i przytulnie.

Jednak mimo marnego wyglądu wcale nie byliśmy przygnębieni i cały czas żywo interesowaliśmy się wszystkim wkoło. W te rejony dotarło niewielu Europejczyków i zdawaliśmy sobie sprawę, że każda obserwacja może być później cenna. Wówczas sądziliśmy jeszcze, że dotrzemy do cywilizacji w niedługim czasie. Przeżywane razem trudy i niebezpieczeństwa łączyły nas coraz silniej, znaleźliśmy wady i zalety każdego z nas i podtrzymywaliśmy się wzajemnie w chwilach depresji.

Dalej droga wiodła przez niskie przełęcze, aż dotarliśmy do okolic, skąd wypływa Brahmaputra, zwana w języku tybetańskim Cangpo. Ten rejon ma dla pielgrzymów w Azji znaczenie nie tylko religijne, jest również niezwykle interesujący geograficznie, ponieważ znajdują się tu źródła rzek: Indusu, Satledżu, Karnali i Brahmaputry. Tybetańczycy, którzy zwykli nadawać wszelkim określeniom sens symboliczno-religijny, kojarzą nazwy tych rzek ze świętymi zwierzętami: lwem, słoniem, pawiem i koniem.

Przez następne czternaście dni kierunek drogi wskazywała nam Brahmaputra. Duże dopływy z pobliskich Transhimalajów i Himalajów powodują, że wzbiera ona coraz bardziej, a im staje się szersza, tym spokojniej płynie.

Pogoda była zmienna; w ciągu kilku minut na przemian robiło się zimno lub prażyło słońce. To przeciągały burze gradowe i deszcz, to się przejaśniało. Pewnego ranka obudziliśmy się nawet pod namiotem zasypanym śniegiem, ale po kilku godzinach roztopiło go palące słońce. Nasze europejskie ubrania nie były dostosowane do takich ciągłych zmian aury i zazdrościliśmy Tybetańczykom praktycznych kozuchów przewiązywanych w pasie, z długimi, szerokimi rękawami mogącymi służyć za rękawice.

Mimo dokuczliwych załamań pogody posuwaliśmy się szybko. Miejsca postojów wytyczały tazamy. Od czasu do czasu ukazywały się granie Himalajów. Ich widoku nie da się porównać z żadnymi cudami przyrody, które dotychczas mogłem podziwiać. Coraz rzadziej napotykaliliśmy koczowników i jedynymi żyjącymi stworzeniami, jakie trafiały się na prawym brzegu Cangpo, były gazyle i khyangi.

Zbliżaliśmy się do Gyabnaku, ostatniej miejscowości wymienionej w naszych paszportach. Tutaj kończył się zasięg władzy naszego przyjaciela z Gartoku. Oszczędzono nam podejmowania decyzji co do dalszych planów, ponieważ trzeciego dnia postoju zjawił się zadyszany posłaniec z Tradün, z poleceniem, abyśmy udali się tam jak najszybciej. Dwóch wysokich urzędników z Lhasy wzywało nas na rozmowę. Gyabnak opuszczaliśmy bez żalu; chociaż rezydował tu urzędnik duchowny prowincji Bongpa, miejsce to trudno było nazwać miejscowością, bo stał tam tylko jeden budynek, a najbliższy namiot koczowników znajdował

się o godzinę drogi. Dlatego wyruszyliśmy natychmiast. Zanocowaliśmy na pustkowiu, w okolicy, gdzie żyły tylko khyangi.

Następny dzień zachowam w pamięci jako jeden z najpiękniejszych w moim życiu. Szliśmy już jakiś czas, gdy nagle w oddali wyłoniły się małe złote wieżyczki klasztoru, a ponad nimi lśniące w porannym słońcu, potężne i wspaniałe lodowe ściany. Uświadomiliśmy sobie, że muszą to być himalajskie ośmiotysięczniki: Dhaulagiri, Annapurna i Manaslu. Ich widok był imponujący i nawet Kopp, który nie był wspinaczem, podzielał nasz zachwyt. Ponieważ Tradün ze swymi filigranowymi klasztorowymi wieżyczkami stał na przeciwległym końcu równiny, jeszcze przez kilka godzin mogliśmy sycić się widokiem himalajskich gigantów. I nawet przejście przez lodowate wody rzeki Cachu nie popsło nam znakomitych humorów.

Czerwony klasztor o złotych dachach – Tradün

O zmierzchu przybyliśmy do miasta. Położony na wzgórzu, czerwony klasztor o złotych dachach w promieniach zachodzącego słońca wyglądał jak z bajki. Za skłonem wzgórza schroniły się przed wiatrem zabudowania, które tutejszym zwyczajem wzniesiono z glinianych cegieł suszonych na słońcu. Tam, stojąc w milczeniu, oczekiwali nas już wszyscy mieszkańcy. Natychmiast zaprowadzono nas do przygotowanego domu. Ledwie zdążyliśmy zrzucić bagaże, a już weszło kilku służących, którzy najuprzejmiej poprosili nas, byśmy zechcieli stawić się przed ich panem. Z nadzieją podążyliśmy do domu dwóch wysokich urzędników.

Odprowadzani poszeptami licznie zgromadzonej służby dotarliśmy aż do wielkiego pomieszczenia, gdzie na wysokich siedzeniach spoczywał dobrze wyglądający, uśmiechnięty duchowny, a obok niego równy mu rangą urzędnik świecki. Nieco w głębi zajął miejsce przeor, urzędnik duchowny z Gyabnaku i jakiś mający służyć za tłumacza nepalski kupiec, który znał kilka angielskich słów. Dla nas przygotowano ławkę z kilku poduszek i nie musieliśmy siedzieć jak Tybetańczycy, ze skrzyżowanymi nogami. Nakłoniono nas do spożycia herbaty i keksów, na razie unikając uprzejmie wszelkich pytań. Wreszcie poproszono nas o pokazanie paszportu. Przechodził z rąk do rąk i oglądany był bardzo dokładnie. Przez chwilę panowało nader przygnębiające milczenie. Wreszcie urzędnicy zaczęli wyrażać wątpliwości, czy rzeczywiście jesteśmy Niemcami? Nie mogli uwierzyć, że udało nam się uciec z angielskiej niewoli i podejrzewali, że jesteśmy raczej Rosjanami lub Anglikami. Musieliśmy przynieść cały nasz bagaż. Rozłożono go na podwórzu i poddano bardzo dokładnej kontroli. Urzędnicy obawiali się, czy przypadkiem nie posiadamy aparatu nadawczego oraz broni i trudno było ich przekonać, że czegoś takiego nie mamy. Poza tym jedynymi rzeczami, które przyciągnęły ich uwagę, była gramatyka tybetańska i jakaś historyczna książka.

Z naszego paszportu wynikało, że chcemy przedostać się do Nepalu. To najwyraźniej odpowiadało ich życzeniom, ponieważ obiecali nam wszelką pomoc. Byli zdania, że wyruszyć możemy choćby nazajutrz, a droga przez przełęcz Korela zawiedzie nas w dwa dni do Nepalu. Ale to przecież nie odpowiadało naszym zamierzeniom. Za wszelką cenę

chcieliśmy pozostać dłużej w Tybecie i byliśmy gotowi walczyć o to z uporem. Poprosiliśmy o udzielenie azylu, powoływaliśmy się na układy o neutralności i porównywaliśmy sytuację Tybetu do Szwajcarii. Urzędnicy jednak, aczkolwiek uprzejmie, upierali się przy naszych danych paszportowych. My równie stanowczo przy naszym zdaniu. W ciągu tych kilku miesięcy spędzonych w Tybecie zdążyliśmy już nieco lepiej poznać mentalność Azjatów i wiedzieliśmy, że nie wolno poddawać się od razu. Cały spór przebiegał w największym spokoju. Co chwila podawano filiżanki świeżej herbaty, a urzędnicy utrzymywali, że są jedynie poborcami podatkowymi i nie piastują – jakby nam się mogło zdawać – wysokich stanowisk w Lhasie. Podróżowali w towarzystwie dwudziestu służących i z mnóstwem jucznych zwierząt, co rzeczywiście sprawiało wrażenie, że są co najmniej ministrami.

Wreszcie pożegnaliśmy się wyjaśniając, że chcemy zostać tu kilka dni. Nazajutrz służba przekazała nam zaproszenie na obiad do bonpo – tak zwą się w Tybecie wszyscy wysoko urodzeni panowie. Czekало na nas wspaniałe chińskie danie z makaronem! Musieliśmy sprawiać wrażenie bardzo wygłodzonych, ponieważ podano nam niesamowitą ilość jedzenia. Po pewnym czasie, mimo najszczerzych chęci nie byliśmy już w stanie niczego przełknąć, a tu wciąż nalegano, abyśmy jeszcze jedli. Przy tej okazji zorientowaliśmy się, że w Azji do dobrego tonu należy, by podziękować, zanim będzie się sytym. Gospodarze wywarli na nas duże wrażenie zręcznością w posługiwaniu się przy jedzeniu pałeczkami, a podziw nasz sięgnął szczytu, gdy ujmowali nimi pojedyncze ziarenka ryżu. Ten wzajemny zachwyt wywołał miły nastrój i obie strony śmiały się serdecznie. Na końcu podano piwo, co jeszcze bardziej poprawiło humory. Zauważyłem jednak, że duchowni wstrzymali się od picia.

Rozmowa stopniowo przeszła na nasze problemy. Usłyszeliśmy, że naszą prośbę o zezwolenie na pobyt w Tybecie postanowiono przekazać do centralnego urzędu w Lhasie. Mamy zaraz napisać odpowiednie podanie w języku angielskim, a obaj urzędnicy załączą do niego list. Natychmiast ułożyliśmy pismo i w naszej obecności dołączono do niego list, wcześniej już przygotowany. Z zachowaniem wszelkich ceremonii został on opieczętowany i przekazany posłańcowi, który natychmiast wyruszył w drogę do Lhasy.

Nie mogliśmy wprost uwierzyć, że potraktowano nas tak przyjaźnie, bo ponadto pozwolono nam pozostać w Tradün aż do czasu nadejścia odpowiedzi z Lhasy. Ponieważ nasze doświadczenia z niższymi urzędnikami były niemiłe, poprosiliśmy o pisemne poświadczenie tego zezwolenia i otrzymaliśmy je. Bezgranicznie szczęśliwi i zadowoleni z odniesionego sukcesu wróciliśmy do kwatery. Ledwo otworzyliśmy drzwi, a już wkroczył orszak służących. Przynieśli nam po worku mąki, ryżu, campy i cztery zabite owce.

Nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć, dopóki burmistrz, który przybył tu także osobiście, nie dał nam do zrozumienia, że to zapewne podarunek od obu urzędników. Kiedy chcieliśmy mu podziękować, bronił się skromnie i nie chciał przyznać, że to on jest ofiarodawcą. Na pożegnanie ten zamożny Tybetańczyk powiedział kilka słów, których mądrość wiele razy przydała mi się w Tybecie. Stwierdził on, że tutaj europejski pośpiech na nic się nie zda i aby

szybciej osiągnąć cel, musimy mieć czas i nauczyć się cierpliwości.

Gdy zostaliśmy znów sami w domu, patrzyliśmy na prezenty i nie mogliśmy uwierzyć, że los się do nas uśmiechnął. Podanie o zezwolenie na pobyt było już w drodze do Lhasy, a na długie miesiące oczekiwania zaopatrzone nas w żywność. Nad głowami zamiast cienkiego płótna namiotu mieliśmy solidny dach, a służąca – niestety już niemłoda i niezbyt urodziwa – rozniecała dla nas ogień i przynosiła wodę. Byliśmy wdzięczni naszemu bonpo i bardzo pragnęliśmy jakoś mu się odwzajemnić. Teraz mogliśmy jedynie ofiarować lekarstwa, ale żywiliśmy nadzieję, że w innych okolicznościach uda nam się lepiej wyrazić naszą wdzięczność. Tutaj, podobnie jak w Gartoku, mieliśmy sposobność lepiej poznać uprzejmość arystokratów z Lhasy, o której tak wiele czytałem w książkach sir Charlesa Bella.

Przypuszczaliśmy, że na odpowiedź z Lhasy przyjdzie nam czekać długie miesiące, układaliśmy więc plany, jak spędzić ten czas. Pragnęliśmy robić wycieczki w rejon Annapurny, Dhaulagiri i na północne wyżyny Czangthangu. Po pewnym jednak czasie wezwano nas do przeora, którego burmistrz poprosił o pomoc. Oznajmił nam on, że zezwolenie na pobyt zawiera zakaz oddalania się stąd dalej niż o jeden dzień drogi. Możemy robić wycieczki dokąd tylko chcemy, jednakże wieczorem zawsze musimy być z powrotem. Jeśli nie uszanujemy tego ograniczenia, będzie on zmuszony powiadomić Lhasę, a to z pewnością nie wpłynie korzystnie na dalsze decyzje. Zadowalaliśmy się więc krótkimi wędrówkami w najbliższe góry. Szczególnie pociągał nas Lungpo Kangri, samotnie wznoszący się szczyt o wysokości 7065 m. Często siadywaliśmy ze szkicownikiem na przeciwległym wzgórzu, aby utrwalić jego dziwne kształty. Położony na uboczu w Transhimalajach, podobnie jak Kajlas, zwracał uwagę wspaniałą sylwetką.

Na południe od naszych wzgórz mogliśmy podziwiać olbrzymy Himalajów, chociaż ich szczyty odległe były jeszcze o dobre sto kilometrów. Nie sposób było oprzeć się pokusie, aby podejść bliżej. Pewnego dnia postanowiłem wraz z Aufschnaiterem wybrać się na górę Tarsangri. Aby dostać się do jej podnóża, trzeba było najpierw przekroczyć szeroką tutaj rzekę Cangpo. Wprawdzie na drugi brzeg można było przeprawić się promem sporządzonym ze skór jaków, ale przewoźnicy mieli zakaz przewożenia nas. Nie pozostawało więc nic innego, jak przedostać się na drugi brzeg wpław. Niewiele brakowało a prąd porwałby tłumoczek z ubraniem, który Aufschnaiter trzymał ponad głową. Na szczęście pochwycił go w porę, bo szkoda byłoby cennych ubrań. Dalej obyło się już bez kłopotów. Z „naszego” wierzchołka rozciągał się rozległy i wspaniały widok na krainę gór, których szczyty alpiniści znają tylko z nazwy. Ponieważ nie mieliśmy aparatu fotograficznego, przynieśliśmy stamtąd jedynie szkice. W drodze powrotnej oszczędzono nam trudności z przeprawą, bo wszyscy się cieszyli, że nas nie „nakryto”.

Tradün był jednym z największych miejsc przeładunkowych w ruchu handlowym i wrzało w nim jak na towarowym dworcu. Codziennie piętrzyły się tu góry soli, herbaty, wełny, suszonych brzoskwiń i przeróżnych artykułów. Po jednym czy dwóch dniach

przejmowały je nowe karawany. Do dźwigania ładunków używano jaków, mułów i owiec. Codziennie spotykaliśmy nowe typy ludzi i o nudzie nie było mowy.

W sierpniu często padał deszcz – resztki monsunu z Indii. We wrześniu zrobiło się pięknie i często spędzaliśmy dni, łowiąc potajemnie ryby lub kupując od nomadów masło i ser.

Właściwą wioskę tworzyło mniej więcej dwadzieścia budynków, a za nią wznosiło się wzgórze z klasztorem, w którym mieszkało tylko siedmiu mnichów. Chociaż domy stały ciasno stłoczone jeden przy drugim, to każdy miał niewielkie podwórze, gdzie składano towary. Bardzo zadziwiły nas grządki sałaty, nie większe niż dwa metry kwadratowe. Czasami udawało mi się wymienić lekarstwa na te drogocenne zielone liście. Wszyscy mieszkańcy wioski trudnili się w pewnym stopniu transportem i handlem. Prawdziwi nomadzi żyli rozproszeni po okolicy. Mieliśmy też okazję uczestniczyć w licznych świątach religijnych. Szczególne wrażenie robiło święto przypominające dożynki. Wkrótce byliśmy ze wszystkimi w dobrych stosunkach i w zamian za leki mogliśmy otrzymać do jedzenia niemal wszystko, czego zapragnęliśmy. Dodatkowo pełniliśmy funkcję lekarzy i szczególnie dobre efekty uzyskiwaliśmy w leczeniu ran oraz bólów żołądka. Monotonne życie w Tradün ożywiały od czasu do czasu wizyty notabli. Szczególnie wyraźnie utkwiała mi w pamięci wizyta drugiego garpöna, który zdązał do Gartoku.

Dużo wcześniej, zanim ukazał się on sam i jego orszak, nadjechali żołnierze, anonsując jego przybycie. Następnie zjawił się kucharz i natychmiast zaczął przygotowywać posiłek. Dopiero nazajutrz ukazał się garpön we własnej osobie wraz z główną karawaną i orszakiem trzydziestu sług i służek. Zbiegła się cała wieś, a my byliśmy oczywiście nie mniej ciekawi. Dostojny gość i jego rodzina jechali na wspaniałych mułach. Każdemu członkowi rodziny towarzyszył służący lub starszyzna wioski, którzy prowadząc zwierzęta za uzdy odprowadzali gości do przygotowanych kwater. Silniejsze wrażenie niż sam garpön zrobiła na nas jego córka. Była to pierwsza zadbana kobieta, jaką zobaczyliśmy od 1939 roku, i uznaliśmy, że jest bardzo ładna. Ubrana była w jedwabie. Miała paznokcie polakierowane na czerwono i chociaż użyła nieco za wiele pudru, różu i szminki, pachniała czystością i świeżością. Zapytaliśmy ją, czy jest najpiękniejszą kobietą w Lhasie, ona jednak skromnie zaprzeczyła mówiąc, że spotkać tam można wiele piękniejszych od niej. Żałowaliśmy, że tak miłe towarzystwo nazajutrz odjechało.

Wkrótce wioska miała podejmować nowego gościa. Pod pretekstem pielgrzymki do Tradün złożył nam wizytę pewien urzędnik rządowy z Nepalu. Odnieśliśmy wrażenie, że chce nas namówić na wyjazd do swego kraju. Utrzymywał, że w stolicy – Kathmandu – znajdziemy mieszkanie i pracę, podróż zaś zorganizują nam władze i nawet przyznano nam już 300 rupii na pokrycie jej kosztów. Brzmiało to bardzo zachęcająco, może aż nadto, bo zdążyliśmy już poznać potęgę Anglików w Azji...

Upłynęły trzy miesiące. Niecierpliwił się coraz bardziej i nasze osobiste stosunki

zaczęły się psuć. Kopp nieustannie podkreślał, że chętnie przyjąłby zaproszenie do Nepalu. Aufschnaiter, jak zwykle, chodził własnymi ścieżkami. Zakupił cztery owce jako juczne zwierzęta i chciał wyruszyć w Czangthang. Było to wprawdzie sprzeczne z naszym pierwotnym planem oczekiwania na list z Lhasy, ale my dwaj zaczęliśmy już powątpiewać w uzyskanie pozytywnej odpowiedzi.

Aufschnaiter pierwszy stracił cierpliwość. Pewnego popołudnia wyruszył ze swymi objuczonymi owcami i kilka kilometrów za wsią rozbił obóz. Pomogliśmy mu przetransportować tam jego rzeczy i następnego dnia zamierzaliśmy odwiedzić go znowu. Kopp zaczął się także pakować, a miejscowe władze, zadowolone z jego decyzji udania się do Nepalu, gotowe były zapewnić mu żywność i środki transportu. Natomiast zachowanie Aufschnaitera znacznie mniej im się spodobało. Pod naszymi drzwiami zaczęli sypiać strażnicy. Jakież było nasze zdumienie, gdy Aufschnaiter ze swoim dobytkiem już następnego dnia pojawił się z powrotem! Okazało się, że w nocy na jego owce napadły wilki i pożarły doszczętnie dwie sztuki, był więc zmuszony do powrotu. W ten sposób jeszcze jeden wieczór spędziliśmy w trójkę. Następnego dnia przy asyście całej wsi pożegnał się z nami Kopp. I tak spośród siedmiu osób, które uciekły z obozu, a pięciu, które skierowały się do Tybetu, pozostaliśmy tylko ja i Aufschnaiter. Jako jedyni wspinacze w tej grupie byliśmy najlepiej przystosowani fizycznie i psychicznie do samotnego i pełnego niewygód życia w tym kraju.

Tymczasem nadszedł koniec listopada i ruch karawanowy zamierał. Duchowny urzędnik z Gyabnaku przysłał nam kilka owiec i dwanaście ładunków wysuszonego łąjna jaków na opał, które bardzo się nam przydało, bo temperatura spadła już do 12° poniżej zera.

Musimy ruszać dalej

Pomimo zimy postanowiliśmy opuścić Tradün, bez względu na to, czy dostaniemy oczekiwany list, czy nie. Gromadziliśmy prowiant i kupiliśmy też drugiego jaka. Nasze przygotowania przerwało przybycie przeora, który oznajmił nam nadejście listu. Stało się to, czego się tak bardzo obawialiśmy: zabroniono nam wjazdu w głąb Tybetu. Listu nam nie wręczono, przekazano nam jedynie, że nie musimy kierować się najkrótszą drogą wprost do Nepalu. Na terenie Tybetu wolno nam poruszać się aż do miejscowości Kyirong. Stąd pozostawało tylko osiem mil do nepalskiej granicy i siedem dni marszu do stolicy – Kathmandu. Na tę podróż mieliśmy otrzymać juczne zwierzęta i służącego. Przyjęliśmy propozycję natychmiast, ponieważ trasa wiodła znowu nieco w głąb kraju, a im dłużej mogliśmy legalnie tu przebywać, tym było lepiej dla nas.

17 grudnia opuściliśmy Tradün, miejscowość w której gościliśmy ponad cztery miesiące. Nie mieliśmy za złe Tybetańczykom, że nie pozwolili nam na wyjazd do Lhasy. Każdy wie, jak trudno jest obcokrajowcowi bez paszportu uzyskać pozwolenie na pobyt w jakimkolwiek kraju. Tybetańczycy nieustannie dawali wyraz swej gościnności, obdarzając nas prezentami i zapewniając nam środki transportu. Znacznie prześcignęli zwyczajową gościnność, przyjętą w innych krajach. Chociaż wtedy jeszcze nie doceniałem tego dostatecznie, to i tak byliśmy z Aufschnaiterem bardzo im wdzięczni, choćby za te osiem miesięcy spędzone poza drutami.

I tak znowu byliśmy w drodze.

Nasza kolumna składała się teraz tylko ze mnie i Aufschnaitera, ale towarzyszyło nam jeszcze dwóch służących. Jeden z nich niósł naszą świętość – pieczołowicie zawinięty list urzędowy do namiestnika dystryktu Kyirong. Wszyscy jechaliśmy wierzchem, a nasze dwa jaki prowadził poganiacz. Już z dala widać było, że zbliża się karawana szacownych ludzi, którzy w niczym nie przypominają owych trzech wagabundów, schodzących tu przed kilkoma miesiącami od strony Himalajów.

Droga do Kyirongu wiodła znowu przez dział wodny Himalajów na południowy-wschód. Rzeka Cangpo, przez którą przechodziliśmy, zamarzła już i noce w namiocie były przenikliwie zimne.

Po tygodniu konnej jazdy dotarliśmy do miejscowości Dzongka, widocznej z dala dzięki

gęstej chmurze dymu unoszącej się nad domami. Dzongka była nareszcie miejscem, które można było nazwać „wsią”. Wokół klasztoru stało około trzystu lepierek z gliny, stłoczonych ciasno jedna przy drugiej i otoczonych uprawnymi polami. Wioska leżała u zbiegu dwóch strumieni, które odtąd już jako rzeka Kosi przebiegały się przez Himalaje, płynąc do Nepalu. Otoczona była murem fortecznym, wysokim naokoło 10 metrów, a z tyłu za nią wzbijał się w niebo wspaniały sześciotysięcznik nazywany przez tubylców Czogulhari. Przybyliśmy do Dzongki w samo Boże Narodzenie i był to nasz pierwszy świąteczny wieczór poza obozem. Przydzielono nam dobrą kwaterę i tak wygodnie urządzoną, że aż byliśmy zaskoczeni. Granica lasu oddalona była o dwa dni drogi, toteż drewno nie było tu tak drogocenne, jak w innych rejonach; używano go do budowy domów oraz do wszelkich potrzeb w gospodarstwie. Nasze mieszkanie przytulnie ogrzewał zrobiony ze starego blaszanego kanistra piec, w którym trzaskały gałęzie jałowca. Wieczorem zapaliliśmy tybetańską lampkę maślaną, a w garnku wkrótce zaskwierczał świąteczny udziec barani.

Jak w całym Tybecie, tak i tutaj nie było publicznych zajazdów. Podróżujących kieruje się urzędowo do prywatnych domów. Przydział kwater odbywa się w określonej kolejności, tak, że mieszkańcy nie odczuwają tego zbyt dotkliwie. Jest to część podatku należnego państwu.

Nie planowaliśmy tutaj dłuższego postoju, ale ciężkie opady śniegu uwięziły nas w Dzoncie prawie na miesiąc. Z powodu bliskości Himalajów śnieg sypał tu grubymi płatami przez całe dni i wszelki ruch zamarł. Potraktowaliśmy tę przymusową przerwę w podróży jako miły odpoczynek. Mieliśmy okazję oglądać kilka uroczystości klasztornych oraz przedstawień grupy tanecznej, przybyłej z Nyenam.

We wsi mieszkało kilku urzędników, wywodzących się z arystokracji. Wkrótce zostaliśmy przyjaciółmi. Dzięki temu, że już dobrze władaliśmy tybetańskim, mogliśmy prowadzić długie dyskusje i poznać wiele obyczajów tego kraju. Sylwester 1944 roku upłynął nam bez muzyki i śpiewu, ale myślami byliśmy bardziej niż kiedykolwiek w Ojczyźnie.

Podczas tego przymusowego postoju, gdy tylko było to możliwe, urządzaliśmy wycieczki po okolicy i wśród skał piaszczystych odkrywaliśmy liczne jaskinie – prawdziwe kopalnie skarbów. Znajdowaliśmy tam stare posążki z drewna i gliny oraz karty tybetańskich ksiąg religijnych, które zapewne przynoszono w darze świętemu, żyjącym niegdyś w tych jaskiniach.

19 stycznia drogi były na tyle przejezdne, że mogliśmy wyruszyć wraz z olbrzymią karawaną jaków. Przodem puszczono nie okulbaczone zwierzęta, które torowały drogę, z wyraźną przyjemnością brnąc, niczym pługi, w głębokim śniegu. Niebawem dolina zwężyła się w tak ciasny wąwóz, że przez pierwsze dwa dni naliczyliśmy na rzece aż dwanaście mostów. Dla mojego jaka, który pochodził z Czangthangu, były one czymś tak niesamowitym, że z całych sił wzbraniał się przed wejściem na nie. Był uparty jak osioł i dopiero, gdy z pomocą pospieszyli poganiacze, udało się, popychając i ciągnąc, przeprowadzić go na drugą stronę. Już wówczas ostrzegano mnie przed zabraniami go do

Kyirongu, gdzie w lecie może nie wytrzymać ciepłego klimatu. Nie chciałem się jednak z nim rozstawać, ponieważ póki co nie porzuciliśmy planów ucieczki.

Przez cały czas mój termometr wskazywał niezmiennie -30°C i na tym wskazaniu zatrzymał się, ponieważ był to koniec skali.

Pewnego razu na skalnej ścianie wąwozu odkryliśmy chińską inskrypcję, która mnie bardzo zaintrygowała. Była to zapewne pozostałość po chińskim najeździe na Nepal w 1792 roku, kiedy to cała armia po przebyciu wielu tysięcy kilometrów stanęła u bram Kathmandu, dyktując swoje warunki.

W pobliżu wsi Longda zrobił na nas ogromne wrażenie skalny klasztor, którego niezliczone cele i czerwone świątynie wykute w skale, dwieście metrów ponad dnem doliny, wyglądały jak gniazda ptaków. I chociaż stoki zagrożone były lawinami, nie omieszkaliśmy z Aufschnaiterem wspiąć się w górę, aby nasycić oczy cudownym widokiem Himalajów. Spotkaliśmy kilka mniszek i mnichów, którzy twierdzili, że jest to klasztor Milarepy*, słynnego tybetańskiego świętego, jogina i poety, żyjącego tu w XI wieku. Klasztor nazywał się Trakar Taso. Czuliśmy, że to wspaniałe otoczenie było jakby stworzone po to, by skłaniać umysł ku medytacji i inspirować tworzenie poezji. Z żalem pożegnaliśmy to miejsce, postanawiając, że kiedyś jeszcze tu wrócimy.

Z dnia na dzień było coraz mniej śniegu; wkrótce doszliśmy do granicy lasu i znaleźliśmy się w obszarze tropikalnym. W zimowej odzieży, ufundowanej przez władze, było nam za gorąco. I oto dotarliśmy już do ostatniego postoju przed Kyirongiem, do małej wioseczki Drothang, poprzecinanej zielonymi łąkami. Pamiętam, że wszyscy mieszkańcy mieli olbrzymie wole, zjawisko rzadko występujące w Tybecie.

Przebycie drogi do Kyirongu zabrało nam cały tydzień, podczas gdy w dobrych warunkach można to zrobić w trzy dni, a goniec dociera tam w jeden dzień.

* por. „Opowieść o życiu Milarepy albo drogowskaz wyzwolenia i wszechwiedzy” Tłumaczenie z języka tybetańskiego I. Kania. Oficyna Literacka, 1996.

Kyirong – wioska szczęśliwości

Kyirong znaczy dosłownie „wioska szczęśliwości” i rzeczywiście zasługuje na tę nazwę. Nigdy nie przestanę za nią tęsknić. Gdybym miał wybierać miejsce, gdzie pragnąłbym spędzić zmierzch mego życia – wybrałbym Kyirong. Zbudowałbym sobie dom z czerwonego drewna cedrowego i przez ogród poprowadziłbym jeden z niezliczonych strumieni wypływających z gór. W tym ogrodzie dojrzewałyby niemal wszystkie owoce, bo chociaż miejscowość leży na wysokości 2770 m, znajduje się prawie na 28 stopniu szerokości geograficznej.

Gdy przybyliśmy tu w styczniu, było jeszcze kilka stopni poniżej zera, a najniższa temperatura w tej okolicy sięga do minus dziesięciu stopni. Pory roku przypominają nasze w Alpach, ale roślinność jest prawie tropikalna. Przez cały rok można by jeździć na nartach w Himalajach, a w lecie wspinać się na liczne sześciu- i siedmiotysięczniki.

Wioska jest siedzibą dwóch gubernatorów dystryktu, którym administracyjnie podlega trzydzieści okolicznych wsi, i składa się z około osiemdziesięciu domostw. Gdy zbliżyliśmy się do wsi, zdumieni mieszkańcy z ciekawością śledzili nasze przybycie. Jak nam powiedziano, byliśmy pierwszymi Europejczykami, którzy tu dotarli. Tutaj także przydzielono nam kwaterę, tym razem u bogatego chłopa. Dom zbudowany był z drewna i stał na prawdziwym murowanym fundamencie. Miał kryty gontem dach, który obciążono kamieniami. Podobny był do małych tyrolskich domów. Zresztą cała wioska mogłaby równie dobrze znajdować się w Alpach, tylko kalenice zamiast dymnikami, ozdobione były flagami modlitewnymi. Flagi te są zawsze pięciokolorowe; każdy kolor jest symbolem tybetańskiego życia*.

W parterze domu stały konie i krowy – gruba drewniana powoła oddzielała stajnie od pierwszego piętra, gdzie znajdowały się pomieszczenia mieszkalne rodziny. Można się tam było dostać tylko po drabinie stojącej na podwórzu. Za łóżko i siedzenie służyły grube materace wypchane słomą. Przy nich stały małe, niskie stoliki. W kolorowo pomalowanych szafach wisiała odświętna odzież, a na wyrzeźbionym w drewnie ołtarzyku, jaki spotykało się

* Pięć kolorów – biały, żółty, czerwony, niebieski i zielony – w symbolice buddyjskiej oznacza m.in. pięć elementów, pięć zakłócających emocji, pięć rodzajów świadomości, pięciu Buddów medytacyjnych, pięć rodzajów mądrości (przyp. tłum.)

w każdym domu, paliły się maślane lampki. Zimą cała rodzina zbiera się przy olbrzymim, otwartym palenisku, podsycanym dębowym drewnem. Wszyscy siadają wkoło na pieńkach i siorbiąc, z wolna popijają herbatę.

Pokój, który nam przydzielono, był tak ciasny, że rychło przeniosłem się do szopy. Aufschnaiter nieustannie walczył ze szczurami i wszami, moimi zaś przeciwnikami były myszy i pchły. Nigdy nie udało mi się pokonać robactwa, lecz zadośćuczynieniem za wszystkie niewygody był piękny widok na wznoszące się ponad lasami rododendronów liczne lodowce, które – jak się zdawało – były tuż, na wyciągnięcie ręki.

Chociaż przydzielono nam służącego, ze względów higienicznych woleliśmy gotować sami. W naszym pokoju znajdowało się palenisko; drewna dostarczano nam za darmo. Pieniędzy potrzebowaliśmy niewiele, bo na jedzenie wydawaliśmy miesięcznie co najwyżej piętnaście marek na osobę. Za uszycie spodni, które zamówiłem u krawca, zapłaciłem siedemdziesiąt pięć fenigów.

Główne pożywienie w tej okolicy stanowiła campa. Tutaj zobaczyliśmy także jak się ją sporządza; do piasku podgrzanego na patelni do białości wsypuje się jęczmień. Pod wpływem wysokiej temperatury ziarno pęka z sykiem. Potem wszystko przesypuje się do gęstego sita, odsiewa się piasek od ziaren, a ziarna miele na drobną mąkę. Pachnącą i zdatną już do jedzenia, rozrabia się najczęściej z herbatą i dodatkiem masła na gotowe do jedzenia ciasto. Do rozrobienia można użyć także mleka lub piwa. Tybetańczycy są bardzo pomysłowi w przygotowywaniu posiłków z campy, która pojawia się na stole kilka razy dziennie. Do tej potrawy zdążyliśmy już przywyknąć, ale z maślaną herbatą było znacznie gorzej. Sposób jej przyrządzania wydaje się Europejczykowi bardzo dziwny. Herbata, złej jakości, sprowadzana tutaj z Chin w formie sprasowanych cegiełek, składa się głównie z odpadów i gałązek. Tybetańczycy gotują z niej ciemną zupę, na wiele godzin, a nawet dni przed spożyciem. Podczas gotowania wsypują nieco sody oraz sporo soli i po precedzeniu, wlewają tę ciecz do naczynia wyglądającego jak maślnica. Stosownie do ilości i wymaganej jakości herbaty, dodają odpowiednią miarkę masła i ubijają tak długo, aż powstanie „coś” o konsystencji emulsji. Niestety, masło długo przechowywane w skórce jaków – miesiące, a nawet lata – jest nieświeże, dlatego maślana i słona herbata smakuje Europejczykowi zrazu obrzydliwie i z trudem się do niej przyzwyczaja. Tybetańczycy zapewne także wolą ją z dodatkiem świeżego masła. Herbata jest tu napojem narodowym i popija się ją często, do sześćdziesięciu razy* w ciągu dnia. Oprócz tych dwóch głównych potraw jadają Tybetańczycy ryż, grykę, kukurydzę, buraki, cebulę, fasolę i rzodkiew. Mięso jest rarytasem. Ponieważ Kyirong jest szczególnie świętym miejscem, nigdy nie zabija się tu zwierząt. Jeżeli na stole pojawi się mięso, to pochodzi ono z innej okolicy lub, co się zdarza częściej, z resztek zwierząt, które padły łupem niedźwiedzi lub panter. Zupełnie nie do pogodzenia z tą postawą był dla mnie fakt, że każdej

* Picie dużej ilości płynów zapobiega odwodnieniu organizmu, o które bardzo łatwo w suchym powietrzu Tybetu i na znacznej wysokości, gdzie żyją jego mieszkańcy (przyp. tłum.)

jesieni pędzono tędy około piętnastu tysięcy owiec do rzeźni w Nepalu, a Kyirong pobierał za nie myto.

Zaraz na początku naszego pobytu złożyliśmy oficjalną wizytę administratorom okręgu. List polecający został im już wcześniej doręczony przez służącego i bonpowie sądzili, że niebawem wyruszymy do Nepalu. To zupełnie nie odpowiadało naszym planom, więc powiadomiliśmy ich, że chcielibyśmy przez pewien czas zatrzymać się w Kyirongu. Przyjęli naszą decyzję spokojnie i obiecali, zgodnie z naszą prośbą, poinformować o tym Lhasę. Złożyliśmy także wizytę przedstawicielowi Nepalu, który opisywał nam ten kraj w coraz to piękniejszych barwach. Ponieważ jednak wiadomo było, że Kopp po kilkudniowym pobycie w stolicy Nepalu odesłany został do obozu w Indiach, wszelkie nęcące obietnice, mówiące o możliwości korzystania z samochodu, rowerów czy kina, nie wywierały już na nas żadnego wrażenia.

Ze względu na ścisłe stosunki handlowe z Nepalem, w tych okolicach bardzo rzadko używano pieniędzy tybetańskich; główną walutą był khotrang. Tutejsza ludność jest znacznie przemieszana i liczni mieszkańcy tybetańsko-nepalscy, zwani Kacarami, w niczym nie przypominali sympatycznych i przyjaznych ludzi czystej rasy tybetańskiej. Nie cieszyli się też szacunkiem ani Tybetańczyków, ani Nepalczyków.

Nie mogliśmy żywić nadziei na otrzymanie od rządu w Lhasie zezwolenia na pobyt, w Nepalu zaś czekała nas deportacja. Postanowiliśmy więc wypocząć w tej cudownej wiosce i pozostać tu aż do chwili, gdy obmyślimy nowy plan ucieczki. Wówczas jeszcze nie przyszłoby nam nawet do głowy, że spędzimy w Kyirongu niemal dziewięć miesięcy.

O nudzie nie było mowy. Codziennie sporządzaliśmy obszerne notatki i nasze grube dzienniki wypełniały się obserwacjami życia i obyczajów Tybetańczyków. Niemal codziennie urządzaliśmy krótsze lub dłuższe wycieczki po okolicy. Aufschnaiter, który był sekretarzem himalajskiej fundacji w Monachium, wykorzystywał okazję i gorliwie kreślił mapy. Na naszej szczegółowej mapie tych okolic naniesione były tylko trzy nazwy, my zaś zanotowaliśmy ich ponad dwieście. Tak więc nie tylko cieszyliśmy się wolnością, lecz także pożytecznie spędzaliśmy czas.

Początkowo robiliśmy wypad w najbliższe okolice, z biegiem czasu zapuszczaliśmy się coraz dalej i dalej. Ludzie przywykli do naszego widoku i przestali nas nagabywać. Najbardziej pociągały nas oczywiście góry oraz liczne gorące źródła wokół Kyirongu. Najgorętsze z nich znajdowało się w bambusowej dżungli, na brzegu lodowatej rzeki Kosi. Tryskającą z ziemi niemal wrzącą wodę ujęto w zbiornik, w którym utrzymywała się temperatura około 40° C. Mogłem brać zimne i gorące kąpiele, zanurzając się na przemian w lodowatych wodach Kosi i we wrzącym źródle.

Wiosną do źródeł przybywają tłumnie Tybetańczycy i zaczyna się prawdziwy sezon kąpielowy. Jak z ziemi wyrastają bambusowe chaty i stragany i w tym zwykle pustym miejscu, oddalonym o dwie godziny drogi od Kyirongu, panuje ożywiony ruch. Mężulkwie i

żony – na golasa – tłoczą się w basenie i, podobnie jak u nas, jest kupa śmiechu, gdy ktoś okazuje przesadną wstydliwość. Wiele rodzin spędza tu urlop. Przybywają na jeden lub dwa tygodnie, obładowani tobołkami i beczułkami z piwem. Arystokracja także nie gardzi tą przyjemnością, ciągnąc ze sobą karawany służących. Ale cały ten zgiełk nie trwa długo, ponieważ z nastaniem lata, podczas roztopów, źródło zalewane jest przez rzekę.

W Kyirongu poznałem mnicha, który studiował w Kolegium Medycznym w Lhasie. Cieszył się wielkim szacunkiem i żył dostatnio dzięki licznym produktom spożywczym znoszonym mu zamiast honorariów. Stosował najprzeróżniejsze metody leczenia. Jedną z nich polegała na przykładaniu do bolącego miejsca pieczęci z modlitwą, co przy schorzeniach o podłożu histerycznym bywało skuteczne. W ciężkich przypadkach wypalał w skórze dziury rozżarzonym żelazem. Osobiście byłem świadkiem, jak dzięki tej metodzie odzyskał przytomność pacjent uznany za zmarłego. Jednakże nie wszystkim wychodziło to na dobre. Tę drastyczną metodę stosował także wobec zwierząt. Ponieważ i ja uchodziłem za lekarza, a medycyna zawsze mnie interesowała, prowadziłem z owym mnichem długie rozmowy. Kiedyś wyznał mi, że zna granice swojej wiedzy, chociaż zbytnio nie zaprzęta sobie tym głowy. Ponieważ często zmieniał miejsce pobytu, dotychczas nie zdarzyły mu się jakieś nieprzyjemne wypadki. Dzięki tym wątpliwym praktykom mógł odbywać pielgrzymki i to uspokajało jego sumienie.

Nasz pierwszy Nowy Rok w Tybecie

W połowie lutego obchodziliśmy nasz pierwszy tybetański Nowy Rok. W Tybecie obowiązuje kalendarz księżycowy, a nazwy lat są podwójne – odnoszą się do zwierząt i do elementów*. Święto Nowego Roku jest tutaj największym – obok rocznicy narodzin i śmierci Buddy – wydarzeniem roku. Już w nocy usłyszeliśmy zawodzenie żebraków i wędrownych mnichów, którzy chodzili od domu do domu, prosząc o jałmużnę. Rankiem zaczyna się przyczepianie do kalenic świeżo ściętych jodeł, ozdobionych chorągiewkami modlitewnymi. Recytuje się uroczyste teksty religijne i ofiarowuje bóstwom *campe*. Mieszkańcy znoszą do licznych świątyń ofiary w postaci masła, którym wypełnia się po brzegi olbrzymie miedziane kadzie. Ma to zadowolić bogów i zapewnić ich przychyłność w nowym roku. Wierni kłaniają się przed złotymi posągami, dotykają ich czołem i jako wyraz czci składają u ich stóp białe jedwabne szarfy.

Biedni czy bogaci, przybywają tu wszyscy, pełni oddania i bez wewnętrznych wątpliwości, by złożyć bogom ofiary i prosić o błogosławieństwo. Nie ma chyba narodu, który tak jak ten bez reszty oddany jest religii i na codzień żyje według jej zasad. Zawsze zazdrościłem Tybetańczykom ich prostej wiary, ponieważ sam przez całe życie byłem i pozostałem poszukujący. Mimo że zetknąłem się w Azji z drogą medytacji, nie zdołałem znaleźć odpowiedzi na pytania ostateczne. Ale w Tybecie nauczyłem się patrzeć spokojnie na sprawy tego świata i nie dopuszczać, by wątpliwości szarpały mną w różne strony.

Modlono się nie tylko w Nowy Rok. Pod przychylnym okiem mnichów lud tańczył, śpiewał i pił przez siedem dni. W każdym domu odbywały się uroczyste uczty, na które i nas zapraszano.

Niestety, w naszym domu świąteczna radość została przyćmiona. Pewnego dnia wezwano mnie do izby młodszej siostry naszej gospodyni. W pomieszczeniu panował mrok. Nagle w ciemnościach poczułem na sobie czyjeś rozpalone ręce i dopiero wtedy zorientowałem się, że stoję przy posłaniu chorej. Po chwili, gdy moje oczy oswoiły się z ciemnością, w przerażeniu, którego nie mogłem ukryć, cofnąłem się od łóżka. Oto ładna, młoda dziewczyna, kilka dni

* np rok Ognia-Myszy. Nazwy 12 zwierząt i 5 elementów – żywiołów (smok, wąż, koń, owca, małpa, ptak, pies, świnia, mysz, bawół, tygrys – ogień, ziemia, metal, woda, drewno) Kalendarz tybetański jest oparty na cyklu 60-letnim łączącym zwierzęta i żywioły (przyp. tłum.)

temu zupełnie zdrowa, leżała teraz chora i całkowicie zeszpecona. Nawet dla takiego laika jak ja było oczywiste, że chora ma ospę. Jej krtań i język były już tak zaatakowane, że tylko jęczała i bełkotała, że musi umrzeć. Próbowałem pocieszać ją, jak tylko mogłem. Wycofałem się jednak pośpiesznie i niezwłocznie wymyłem całe ciało tak starannie, jak tylko było to możliwe. Dla niej nie było już ratunku, pozostawała tylko nadzieja, że nie wybuchnie epidemia. Aufschnaiter także poszedł do chorej i potwierdził moją diagnozę. Dwa dni później dziewczyna zmarła.

W tych smutnych okolicznościach, poza radościami świątecznymi, poznaliśmy także tybetańskie ceremonie pogrzebowe. Z dachu zdjęto ozdobną choinkę, symbol świątecznej radości, i już nazajutrz o świcie zwłoki owinięte białym całunem wyniósł na plecach zawodowy grabarz. Później, za grupą składającą się tylko z trzech mężczyzn, ruszyliśmy i my. Nie opodał za wsią na widocznym z dala wzgórzu, nad którym krążyły sępy i kruki, jeden z mężczyzn porąbał zwłoki siekierą. Drugi siedział obok i mruczał modlitwy kręcąc młynkiem modlitewnym, a trzeci odganiał żarłoczne ptaki i co chwila krzepił pozostałych piwem i herbatą. Kości zwłok tak zmiażdżono, by mogły je zjeść ptaki i by nie został po nich żaden ślad.

Te czynności, chociaż na pozór barbarzyńskie, miały głębokie religijne uzasadnienie. Tybetańczycy pragną, aby po śmierci ich ciało, które bez ducha nie ma żadnego znaczenia, zniknęło bez śladu. Zwłoki szlachetnie urodzonych i lamów są palone. Wśród zwykłych ludzi powszechny jest pochówek przez poćwiartowanie* i tylko zwłoki bardzo ubogich, których nie stać nawet na to, wrzucane są do rzeki. Tutaj funkcję sępów pełnią ryby. Gdy ubodzy umierają na jakąś straszną chorobę, grzebani są przez grabarzy opłacanych z funduszy rządowych.

Na szczęście epidemia ospy nie wybuchła i zmarło tylko kilka osób. W naszym domu na czterdzieści dziewięć dni* zapanowała żałoba. Później wywieszono na dachu nową chorągiew modlitewną. Na tę ceremonię przybyło kilku mnichów, którzy odmawiali modlitwy i grali w szczególny sposób na swych instrumentach. Wszystko to oczywiście kosztuje i dlatego Tybetańczycy najczęściej wyprzedają biżuterię lub mienie zmarłego na opłacenie mnichów i zakup licznych lampek maślanych.

* * *

Przez cały ten okres codziennie chodziliśmy na wycieczki. Wspaniały śnieg nasunął nam pomysł skonstruowania nart. Aufschnaiter przywłókł dwa pnie gruszy, które – świeże jeszcze – kazaliśmy ociosać i suszyliśmy nad piecem. Ja zacząłem majstrować kijki i długie

* Tak zwany pochówek przez powietrze, mający także znaczenie praktyczne ze względu na niedostatek drewna do kremacji (przyp. tłum.)

* tzn. tyle, ile trwa stan pośredni – bardo pomiędzy śmiercią a ponownymi narodzinami; por. „Tybetańska księga umarłych, Kraków 1991 (przyp. tłum.)

rzemienie, a cieśla wystrugał z naszych pni całkiem znośne deski. Nad ogniem wygiąłem ich szpice i przyciskając kamieniami nadałem deskom odpowiednią elastyczność. Cieszyliśmy się bardzo, że nasze narty tak dobrze się prezentują, i nie mogliśmy się doczekać pierwszej jazdy. Nagle, jak grom z jasnego nieba spadło na nas wezwanie do bonpów, którzy zabronili nam opuszczania Kyirongu, z wyjątkiem wycieczek w najbliższe okolice. Na nasze protesty odpowiedzieli wymijająco, że Niemcy są potężnym państwem i gdyby nam się w górach przydarzyło coś złego, protest niemieckiego rządu skierowany do Lhasy oznaczałby dla nich surową karę. Bonpowie niewzruszenie obstawali przy tym zakazie i przekonywali nas o wielkim niebezpieczeństwie, czyhającym ze strony panter i dzikich psów. Nie dowierzaliśmy zbyt ich trosce o nasze dobro. Sądziliśmy raczej, że zabobonna ludność obawiała się, iż nasze wycieczki wzbudzą gniew dobrych duchów mieszkających w górach. Nie mieliśmy innego wyjścia; w tej chwili mogliśmy jedynie udawać, że się poddajemy.

Przez kilka tygodni przestrzegaliśmy tego zakazu, ale z każdym dniem coraz bardziej wabiły nas widoczne w oddali śniegi i stoki lodowe i dłużej już nie byliśmy w stanie oprzeć się pragnieniu pojeżdżenia tam na nartach. Pewnego dnia postanowiliśmy użyć fortelu. Przy jednym z leczniczych źródeł, oddalonych zaledwie o pół godziny drogi od wsi, urządziłem sobie prowizoryczną kwaterę. Po kilku dniach, gdy ludzie przywykli już do mojej nieobecności, zabrałem nocą narty i w świetle księżyca przeniosłem je na stok. Nazajutrz, bardzo wcześnie, wyszliśmy z Aufschnaiterem ponad granicę lasu i zaczęliśmy szaleć na wspaniałym himalajskim firnie. Byliśmy mile zaskoczeni, że pomimo długiej przerwy jazda na nartach szła nam tak dobrze. Ponieważ niczego nie zauważono, po kilku dniach spróbowałem jazdy jeszcze raz. Potem połamałem narty i ukryłem szczątki tego tak dla Tybetańczyków magicznego sprzętu. I tak mieszkańcy Kyirongu nigdy się nie dowiedzieli, że „dosiadaliśmy” nart. Tak nazwali czynność zupełnie im nie znaną.

Tymczasem nadeszła wiosna. Niebawem wspaniałe zazieleniły się łąny oziminy i chłopcy rozpoczęli prace na roli. Podobnie jak w krajach katolickich, także tutaj duchowni błogosławią pola uprawne. Podczas tej ceremonii wokół wsi przeciąga długa procesja mieszkańców i mnichów, niosących 108 ksiąg tybetańskiej biblii*. Modłom towarzyszą dźwięki muzyki rozbrzmiewającej z instrumentów, na których grają mnisi.

Niestety im było cieplej, tym gorzej czuł się mój jak. Miał gorączkę i miejscowy „weterynarz” twierdził, że pomóc mu może tylko niedźwiedzia żółć. Bardziej może, by mu przyznać rację, niż z przekonania, kupiłem ten drogi środek i wcale się nie zdziwiłem, gdy kuracja nie pomogła. Następnie zalecono mi zaaplikować Arminowi żółć kozy i piżmaka. Podświadomie żywiłem nadzieję, że Tybetańczycy mają doświadczenie w leczeniu jaków i

* Autor ma namyśli Kandzur. Tybetański kanon buddyjski składa się ze 108 tomów Kandzuru („Przekład słowa Buddy”) oraz 225 tomów komentarzy – Tandzuru („Przekład traktatów”). Tandzur dzieli się na trzy grupy: hymny, komentarze do sutr i komentarze do tantr. Kandzur zawiera wykład nauk Buddy (Sutry, Tantry) i wskazania dla mnichów (Vinaja). Pozostałe części – to Prajnaparamita, Ratnakuta i Avatamska. Wydrukowany został po raz pierwszy w 1411 roku w Pekinie (przyp. tłum.)

uratują moje cenne zwierzę. Jednak po kilku dniach nie było rady, musiałem kazać zabić biednego Armina, aby uratować chociaż jego mięso.

W takich nagłych przypadkach wzywało się rzeźnika, który zwyczajowo musi żyć na skraju wsi, niczym wygnaniec. Na końcu wsi mieszkają także kowale, jako że ich rzemiosło uchodzi w Tybecie za najpodlejsze. Rzeźnik otrzymuje jako wynagrodzenie nogi, głowę i wnętrzności jaka. Zwierzę zabija się szybko, moim zdaniem w sposób bardziej humanitarny niż u nas. Mężczyzna błyskawicznym cięciem otworzył ciało, włożył rękę i wyrwał z serca główną tętnicę. Zwierzę natychmiast było martwe. Ponieważ leży ono na grzbiecie, ze związanymi nogami, krew pozostaje w jamie brzusznej i trzeba ją tylko stamtąd wyczerpać. Mięso zostało poćwiartowane i uwędzone nad otwartym ogniem. Miało ono stanowić nasz podstawowy zapas prowiantu, niezbędnego dla nowej ucieczki, której plan mieliśmy już gotowy.

Tymczasem w miejscowości Dzungka wybuchła epidemia i zabrała już wiele ofiar. Rezydujący tam arystokratyczny urzędnik obwodu, który miał czarującą żonę i czworo dzieci, chcąc uchronić swoją rodzinę, przeniósł się do Kyirongu. Objawy epidemii wskazywały na jakąś chorobę dyzenteryjną. Niestety, dzieci nosiły już w sobie załążki zarazy i zaczęły zapadać jedno po drugim. Miałem wtedy jeszcze trochę *yatrenu*, który uchodził za najlepszy lek przeciw dyzenterii. Wręczyłem lekarstwo ich rodzicom w nadziei, że jeszcze uda się im pomóc. Była to duża ofiara ze strony mojej i Aufschnaitera, ponieważ zachowywaliśmy tę ostatnią dawkę na wypadek, gdyby zachorował któryś z nas. Niestety, nic nie pomogło i troje dzieci zmarło. Dla najmłodszego, które zachorowało ostatnie, *yatrenu* już zabrakło. Pragnęliśmy jednak uratować je za wszelką cenę. Zaproponowaliśmy rodzicom, aby wysłali gońcem do Kathmandu próbkę stolca dziecka, dla ustalenia diagnozy, i by sprowadzili odpowiednie lekarstwo. Aufschnaiter napisał nawet po angielsku list do szpitala. Niestety, nigdy nie wysłano posłańca i dziecko leczone było tylko przez mnichów. Ostatecznie wezwano nawet z daleka pewnego inkarnowanego lamę – jednak wszystko na próżno. Dziecko zmarło po dziesięciu dniach, tak jak poprzednie. Jakkolwiek bardzo smutny, wypadek ten oznaczał dla nas uniewinnienie. Gdyby dziecko wyzdrowiało, uznano by nas za morderców wcześniej zmarłych dzieci.

Na ospę chorowali także rodzice i wielu dorosłych, ale nie umierali. Być może dzięki temu, że w czasie choroby jedli obficie i wypijali duże ilości alkoholu, w przeciwieństwie do dzieci, które nie chciały jeść i przez to szybko opadały z sił.

Jeszcze długo potem serdeczna przyjaźń łączyła nas z ich rodzicami. Chociaż byli oni zupełnie załamani utratą dzieci, ich rozpacz łagodziła wiara w ponowne odrodzenie*. W

* Buddyści wierzą w odradzanie się istot po śmierci w jednym z sześciu światów zgodnie z prawem karmy (przyczyny i skutku) oraz w możliwość wyzwolenia się z kołowrotu pełnej cierpienia egzystencji poprzez praktykę buddyjską. Forma, jaką uzyskuje się w przyszłym życiu, zależy między innymi od stanu świadomości w chwili śmierci, od rodzaju emocji, którymi człowiek kieruje się w obecnym życiu, np. gdy dominującą emocją jest nienawiść, odradza się w świecie piekieł. Por. „Sześć światów” (przyp. tłum.)

Kyirongu pozostali jeszcze przez pewien czas, zamieszkując w pustelni, gdzie odwiedzaliśmy ich wielokrotnie. Mężczyzna nazywał się Łangdüla. Był człowiekiem nowocześnie myślącym, otwartym i żądnym wiedzy. Nalegał, aby mu opowiadać o świecie i Aufschnaiter spełniając jego życzenie, naszkicował mu nawet z pamięci mapę naszego globu. Jego żona, dwudziestodwuletnia tybetańska piękność, władała płynnie językiem hindi, który opanowała w okresie nauki szkolnej w Indiach. Byli bardzo szczęśliwym małżeństwem.

Po upływie wielu lat mieliśmy usłyszeć jeszcze raz o ich naprawdę tragicznym losie. Gdy wreszcie znowu doczekali się potomka, młoda żona zmarła w poroku, a Łangdüla oszalał z rozpaczy. Był on jednym z najbardziej sympatycznych Tybetańczyków, jakich poznałem, i jego los wstrząsnął mną do głębi.

Nie kończące się kłopoty

Gdy przyszło lato, bonpowie wezwali nas ponownie do siebie i tym razem już stanowczo zażądali, abyśmy ograniczyli nasz pobyt w Tybecie.

Wiedzieliśmy od nepalskich kupców i z gazet, że wojna się już skończyła. Wiadomo nam także było, że po pierwszej wojnie światowej Anglicy zlikwidowali obóz jeniecki w Indiach dopiero po dwóch latach. Zrozumiałe więc, że teraz nie mieliśmy najmniejszej ochoty na utratę naszej wolności. Byliśmy zdecydowani jeszcze raz podjąć próbę przedostania się w głąb kraju. Tybet fascynował nas coraz bardziej i postanowiliśmy zrobić wszystko, by go poznać jeszcze lepiej.

Znaliśmy już dobrze język i doświadczyliśmy wiele – cóż więc mogło nas powstrzymać? Obydwaj byliśmy wspinaczami i oto nadarzała się niepowtarzalna okazja zrobienia szkiców Himalajów i terenów koczowniczych. Już dawno utraciliśmy nadzieję na możliwość rychłego powrotu do domu i teraz chcieliśmy dostać się do Chin przez północne wyżyny Tybetu, żeby – o ile to będzie możliwe – znaleźć tam jakąś pracę. Koniec wojny sprawił, że nasz pierwotny cel – dotarcie do japońskich pozycji – utracił już sens.

Obiecaliśmy bonpom, że w jesieni opuścimy wieś, jeżeli w zamian za to pozostawią nam swobodę poruszania się. Przystali na naszą propozycję i od tego dnia celem naszych wycieczek było odnalezienie w pokrytych śniegiem górach przełęczy, przez którą moglibyśmy wejść na Płaskowyż Tybetański, omijając miejscowość Dzungka.

Podczas letnich wycieczek poznaliśmy zwierzęta żyjące na tych terenach. Spotykaliśmy różne, nawet małpy, które musiały przybłąkać się tu aż z Nepalu, poprzez wąwozy rzeki Kosi. Przez pewien czas zdarzało się, że pantery co noc napadały na krowy albo jaki i wtedy zastawiano na nie sidła. Trzeba było zatem mieć się na baczności przed dzikimi zwierzętami. Na wycieczki brałem zawsze do kieszeni papierośnicę wypełnioną papryką i trzymałem ją w pogotowiu jako obronę przed niedźwiedziami. Niedźwiedź jest naprawdę niebezpieczny w dzień, bo tylko wtedy atakuje człowieka. Widziałem drwali z bliznami na twarzach po uderzeniu łapą, jeden nawet zupełnie utracił wzrok. W nocy wystarczy płonąca głownia, aby niedźwiedzia przepędzić.

Pewnego razu pod lasem w świeżym śniegu zauważyłem głębokie ślady, których nie

umiałem rozpoznać. Myślę, że mogły być pozostawione przez człowieka, ale ludzie z większą fantazją mogliby dopatrzeć się w nich śladów legendarnego śnieżnego yeti*.

Zawsze pamiętałem o zachowaniu dobrej kondycji fizycznej. Zająć mi nie brakowało. Pomagałem w polu lub przy młocce, ścinałem drzewa i rąbałem sosny na smoliste łuczywa. Ciężka praca i klimat, w jakim żyją Tybetańczycy, powodują że są oni ludźmi o dużej wytrzymałości fizycznej i lubią sprawdzać swe siły w zawodach sportowych.

Raz w roku, przez kilka dni, odbywa się w Kyirongu prawdziwe sportowe święto. Główne dyscypliny to wyścigi konne, strzelanie z łuku w dal* i wzwyż oraz skoki w dal. Na najsilniejszych czeka jeszcze ciężki głaz, który trzeba dźwignąć i przenieść na określone miejsce.

Ku ogólnej uciechy i ja startowałem w kilku zawodach. Niewiele brakowało a zostałbym zwycięzcą w bieganiu, bo po zbiorowym starcie cały czas prowadziłem. Nie przewidziałem jednak miejscowych metod. Na ostatnim i najbardziej stromym odcinku doścignął mnie jeden z uczestników i przytrzymał za spodnie. Byłem tak zaskoczony, że stanąłem, nie wiedząc co się dzieje. Szelma tylko na to czekał. Wyprzedził mnie i pierwszy dotknął kamienia na mecie. Nie byłem przygotowany na takie sztuczki i wśród ogólnego śmiechu odebrałem szarfę drugiego zwycięcy.

W Tybecie zajęcia sportowe uprawiają tylko mężczyźni, kobiety nie słyszały jeszcze o emancypacji i zadowolają się przygotowaniem pikniku i nalewaniem piwa.

W pozostałych dniach roku także nie brakowało w Kyirongu urozmaicenia. Latem codziennie przeciągały tędy karawany. Po zakończeniu zbiorów ryżu w Nepalu, kobiety i mężczyźni dźwigali go w koszach aż tutaj, aby wymienić na sól. A sól – to jeden z głównych artykułów eksportowych Tybetu. Wydobywana jest z bezodpływowych jezior wyżyn Czangthangu. Potem, na grzbietach jaków i owiec, transportuje się ją przez długie miesiące aż do granicy, gdzie osiąga już wyższą wartość i można ją korzystnie wymienić na ryż.

Transport z Kyirongu do Nepalu jest możliwy tylko dzięki kulisom, ponieważ szlak prowadzi przez ciasne wąwozy, a niekiedy nawet trzeba wyrąbywać stopnie w skale, aby przejście było w ogóle możliwe. Wielu tragarzy to obwieszane tanią biżuterią nepalskie kobiety o grubych, muskularnych nogach pod krótkimi spódnicami.

Pewnego razu, przyglądając się Nepalczykom wyruszającym na poszukiwanie miodu, byliśmy świadkami osobliwego przedstawienia. Zgodnie z oficjalnym rządowym zakazem, Tybetańczykom nie wolno wybierać miodu, ponieważ religia zakazuje pozbawiania zwierząt pokarmu*. Niemniej jednak, jak na całym świecie, także i tutaj chętnie omija się prawo i

* O spotkaniach z yeti opowiada miejscowa ludność. W jednym z klasztorów, położonym wysoko pod Mt. Everestem, przechowywane są skalp i kości dłoni pochodzące rzekomo od yeti. Uczestnicy polskiej zimowej wyprawy na Lhotse w 1976 r. napotkali na wysokości ok. 6000 m ślady, pozostawione prawdopodobnie przez człowieka śniegu (przyp. tłum.)

* na 500 metrów do tarczy o średnicy równej długości rozłożonych ramion dorosłego mężczyzny. Dyscyplina popularna w Mongolii (przyp. tłum.)

* Buddyści przestrzegają zasady nieczynienia krzywdy żadnym czującym istotom, nie tylko ludziom (przyp. tłum.)

Tybetańczycy, łącznie z bonpami, chętnie płacą mały haracz. Miód, który właściwie mogliby mieć za darmo, pozwalają zbierać Nepalczykom, po czym odkupują od nich ten ulubiony specjał.

Zdobywanie miodu jest przedsięwzięciem bardzo śmiałym, ponieważ pszczoły najchętniej ukrywają swe plastry pod nawisami skalnymi w przepaścistych wąwozach. Mężczyźni opuszczają w dół długie, bambusowe drabiny i schodzą po nich balansując w powietrzu, często siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt metrów nad ziemią. W dole pod nimi płynie rzeka Kosi i pęknięcie liny oznacza pewną śmierć. Rozszalałe pszczoły oczadza się dymem, a mężczyźni w tym czasie zbierają plastry. Obok zwisa druga lina z pojemnikami, w które wkładają swój łup, a inni wyciągają go w górę. Ponieważ sygnały i nawoływania zagłusza szum rzeki, podstawą powodzenia jest przemyślny sposób porozumiewania się. W przepaści pracowało wtedy jedenastu mężczyzn przez cały tydzień, a cena miodu w najmniejszym stopniu nie odpowiadała niebezpieczeństwom, na jakie się narażali. Żałowałem bardzo, że nie mam kamery z kolorowym filmem, aby utrwalić to widowisko.

Gdy tylko ustały ulewne letnie deszcze, zaczęliśmy systematyczne badanie długich dolin. Często wychodziliśmy na całe dni zabierając ze sobą prowiant, materiały do rysowania i kompas. Kiedy indziej mieszkaliśmy na halach z pasterzami, którzy – zupełnie tak samo jak u nas – wypasają latem krowy na bujnych górskich łąkach. Setki krów i jaków płci żeńskiej* pasą się na zielonych halach w krainie lodowców. Często pomagałem ubijać masło i bardzo się cieszyłem tym świeżym, żółtym wynagrodzeniem. Jeżeli chce się ubić masło szybko, wystarczy przynieść z pobliskiego lodowca odrobinę lodu i wrzucić go do olbrzymich kadzi z mlekiem.

Przy wszystkich zamieszkanych chatach spotyka się bardzo złe, agresywne psy. Najczęściej są uwiązane. W nocy szczekaniem odpędzają od zbitego stada pantery, wilki i dzikie psy. Z natury swej są mocnej budowy; odżywiane zwykle mlekiem i świeżą cielęciną, stają się niezwykle silne i bardzo niebezpieczne. Nie raz miałem z nimi przykre spotkania. Kiedyś, gdy zbliżyłem się do chaty, pies zerwał się z łańcucha i skoczył; mi do gardła. Zacząłem się bronić, a on chwycił mnie zębami za rękę i dopiero po długiej walce udało mi się uwolnić. Wprawdzie ubranie miałem w strzępach, ale pies leżał nieruchomo na ziemi. Resztkami koszuli przewiązałem sobie rany – do dziś mam po nich blizny. Moje rany szybko się goiły dzięki częstym kąpielom w gorących źródłach, które o tej porze roku odwiedzane są już niestety wyłącznie przez węże. Później dowiedziałem się od pasterzy, że w tej walce nie tylko mnie się dostało, ale również psu, który leżał potem przez tydzień w jakimś kącie i nie chciał nic jeść.

Podczas wycieczek znajdowaliśmy wiele poziomek, ale tam właśnie, gdzie rosły najpiękniejsze, było też najwięcej pijawek. Wiedziałem z książek, że są one plagą wielu himalajskich dolin. I oto tutaj sam doświadczyłem, jak bardzo można być wobec nich

* Krowa jaka nazywa się dri (przyp. red.)

bezbronnym. Pijawki spadają na ludzi i zwierzęta z drzew. Wkręcają się przez wszystkie otwory w ubraniu, nawet przez w dziurki w butach, byle tylko przyssać się do ciała. Gdy próbuje się je oderwać, traci się jeszcze więcej krwi niż przyzwalając, aby się nassały do syta. Wtedy same odpadają. W niektórych dolinach pijawek jest tak wiele, że nie można się przed nimi obronić. Nie wiem jakim zmysłem wyczuwają swoje ofiary i często musiałem ratować się szybką ucieczką. Ciepłokrwiste zwierzęta w tych okolicach noszą na sobie całe tuziny tych pasożytów, które przyssały się im do skóry, najczęściej przy oczach, nosie i uszach. Najlepszym sposobem, aby trzymały się z dala od nas, jest nasączenie skarpet i nogawek spodni słoną wodą.

Podczas wycieczek zebraliśmy bogaty materiał w postaci map i szkiców, ale nie udało się znaleźć przełęczy, przez którą moglibyśmy uciec. Przy sporym bagażu, większość przełęczy była nie do przebycia bez pomocy odpowiednich środków technicznych, a myśl o powrocie znaną drogą, przez Dzongkę, wcale się nam nie uśmiechała. Dlatego jeszcze raz wystosowaliśmy podanie do władz Nepalu, aby upewnić się, czy czeka nas wydalenie, czy też nie. Nigdy nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Pozostawało jeszcze około trzech miesięcy do chwili, kiedy będziemy musieli opuścić Kyirong, więc gorliwie wykorzystywaliśmy każdy dzień na przygotowania do drogi. Aby pomnożyć nasze pieniądze, pożyczyłem je pewnemu handlarzowi na powszechnie przyjęte 33 procent. Później miałem tego pożalować, ponieważ zwlekał z ich oddaniem i niewiele brakowało, a ukrywany przez nas odjazd byłby niemożliwy.

Z czasem nasze kontakty z przyjaznym, pracowitym ludkiem coraz bardziej się pogłębiały. Podobnie jak u nas, tutejsi wieśniacy nie pracują według godzin, ale wykorzystują każdą minutę dziennego światła. W uprawnych okolicach wyraźnie brakuje rąk do pracy. Nie ma głodu ani biedy. Licznych mnichów, którzy nie pracują, lecz dbają tylko o zdrowie dusz, utrzymuje gmina. Chłopi żyją całkiem dostatnio. W ich skrzyniach leży czysta odświętna odzież dla całej rodziny. Kobiety tkają i szyją same, w domu.

Policja w naszym sensie nie istnieje, ale przestępcy są zawsze karani publicznie. Kary są dość drastyczne, ale bezbłędnie dostosowane do mentalności ludzi. Opowiadano mi o mężczyźnie, który ukradł złotą lampkę maślaną w jednej z licznych świątyń położonych wokół Kyirongu. Po udowodnieniu mu winy wydano – nieludzki w naszym pojęciu – wyrok. Publicznie obcięto mu dłonie i okaleczone, żyjące jeszcze ciało zaszyto w namoczoną skórę jaka, którą pozostawiono do wyschnięcia, a potem wrzucono w najgłębszą przepaść. Nigdy nie byliśmy świadkami tak okropnej kary, wydaje się, że z biegiem czasu Tybetańczycy złagodnieli. Przypominam sobie pewną publiczną chłostę, która mnie osobiście wydawała się nawet zbyt łagodna. Dotyczyła ona mniszki zreformowanego buddyjskiego kościoła, w którym surowo obowiązuje celibat^{*}. Owa mniszka poczęła dziecko z mnichem tegoż kościoła

^{*} Szkoła Gelugpa, nazywana w literaturze europejskiej Żółtymi Czapkami, założona w XIV wieku przez wielkiego uczonego mnicha Congkapę Jest jedną z czterech wielkich szkół buddyzmu tybetańskiego. W pozostałych (Nyngmapa, Kagyüpa i Sakyapa) celibat nie obowiązuje (przyp. tłum.)

i zabiła je natychmiast po urodzeniu. Obydwoje zostali oskarżeni i postawieni pod pręgierzem. Następnie, po publicznym stwierdzeniu hańby, skazano ich na 100 batów. Już podczas wymierzania kary ludzie prosili wykonujących chłostę o litość, ofiarowując jak zwykle dary pieniężne. Dzięki temu zmniejszono karę, a ciasno stłoczony tłum, w którym wielu płakało, odetchnął z ulgą. Zhańbionego mnicha wraz z mniszką napiętnowano i wydano z okręgu. Współczucie okazywane przez całą ludność było czymś nadzwyczajnym i dla typu naszej wrażliwości bez mała niepojętym. Grzeszników obdarowano hojnie pieniędzmi i żywnością. Opuścili Kyirong z pełnymi workami, przysposobieni do pielgrzymki.

Zreformowana sekta, do której obydwójce należeli, jest w Tybecie najsilniejsza, lecz właśnie w tej okolicy, w której się znajdowaliśmy, istniało wiele klasztorów o odmiennej regule. Mnisi i mniszki mogli w nich zakładać rodziny, a ich dzieci pozostawały w klasztorze. Sami uprawiali pola, ale nigdy nie otrzymywali stanowisk publicznych, które były zastrzeżone tylko dla członków sekty zreformowanej.

Władza mnichów w Tybecie jest szczególna i można ją przyrównać tylko do silnej dyktatury. Są oni czujni i podejrzliwi wobec wszelkich wpływów z zewnątrz, które mogłyby zagrozić ich potędze. Zbyt mądrzy, by wierzyć w nieograniczoność swej mocy, ukarzą każdego, kto by w to otwarcie powątpiewał. Niektórym były więc nie w smak nasze kontakty z miejscową ludnością. Nasze zachowanie, wskazujące że nie ulegamy przesądom, musiało w końcu dać wiele do myślenia Tybetańczykom; chodziliśmy w nocy do lasu, a demony nas nie karały, wspinaliśmy się po górach nie zapalając ognia ofiarnych, a nic złego nam się nie stało. W pewnych okolicach okazywano nam wyraźną rezerwę, która była wynikiem jedynie wpływu lamów. Z drugiej zaś strony przypisywano nam nadnaturalne moce. W przekonaniu o szczególnej misji naszych wycieczek, wypytywano nas ciągle, dlaczego tak często rozmawiamy ze strumieniami i ptakami, w jakim celu? Ponieważ żaden Tybetańczyk nie ruszy się na krok bez wyraźnego powodu, nie potrafili inaczej wytłumaczyć naszych wędrówek, wysiadywania w lesie i nad potokiem.

Dramatyczny odwrót z Kyirongu

Nadeszła jesień. Nasze zezwolenie na pobyt kończyło się i z ciężkim sercem przyszło nam opuścić ten prawdziwy raj natury. Minęło półtora roku od naszej ucieczki z obozu i wojna już się skończyła, a ponieważ nie udało nam się otrzymać zezwolenia na pobyt, byliśmy wciąż zdani tylko na siebie. Od obozu internowania do Kyirongu przemierzyliśmy około ośmiuset kilometrów, nie licząc tras wycieczek. Teraz sytuacja stawała się poważna. Ponieważ doświadczenie nauczyło nas, że najważniejszy jest zapas żywności, założyliśmy sobie magazynek na dwudziestym kilometrze drogi do Dzongki. Zgromadziliśmy w nim campe, masło, suszone mięso, cukier i czosnek. Podobnie jak w czasie ucieczki z obozu, transport bagażu miał spocząć wyłącznie na naszych plecach.

Niewiele brakowało a obfite opady śniegu, zwiastujące wcześniejsze nadejście zimy, pokrzyżowałyby znowu nasze plany. Ciężar bagażu wyliczyliśmy co do grama, a teraz musieliśmy zapakować jeszcze po jednym kocu. Zima to oczywiście najmniej sprzyjająca pora roku do wędrówek przez wyżyny Centralnej Azji, jednak w żadnym wypadku nie mogliśmy pozostać dłużej w Kyirongu. Początkowo zamierzaliśmy ruszyć potajemnie do północnego Nepalu, by tam przeczekać zimę, ale gdy usłyszeliśmy, że tamtejsze straże graniczne słyną z gorliwości – zmieniliśmy plany.

Mieliśmy już depozyt żywności. Teraz postanowiliśmy zmajstrować lampę. Najwyraźniej zauważono, że coś knujemy, bo nie spuszczano nas z oka. Ponieważ koło nas kręcili się nieustannie jacyś ludzie, postanowiliśmy wybrać się na dalszy spacer, żeby bez świadków spokojnie przystąpić do pracy. Z okładki mojej książeczki do historii i z tybetańskiego papieru wykonaliśmy coś na kształt abażuru, po czym napełniliśmy papierośnicę masłem, które miało podsycać maleńki płomyk. Posiadanie źródła światła, chociażby najmniejszego, było nieodzowne; dopóki znajdowaliśmy się na terenach zamieszkałych, zmuszeni byliśmy poruszać się tylko nocą.

Tymczasem wciąż czekałem na zwrot pożyczonych pieniędzy. Gdy wyglądało na to, że otrzymam je w najbliższych dniach, przystąpiliśmy do działania.

Najpierw miał wyruszyć Aufschnaiter, pozorując niewinną wycieczkę. 6 listopada 1945 roku bezczelnie, w biały dzień, wyszedł ze wsi z pełnym koszem na grzbiecie i... z moim

psem, podarowanym mi przez pewnego szlachcica z Lhasy. Był to pies rasy tybetańskiej, średniej wielkości i o długiej sierści, do którego bardzośmy się obydwaj przywiązali. Ja tymczasem próbowałem odebrać moje pieniądze, ale miałem z tym sporo kłopotu. Ponieważ podejrzewano, że knujemy ucieczkę, miałem je otrzymać dopiero wtedy, gdy wróci Aufschnaiter. Trudno się zresztą temu dziwić. Wkrótce upływał termin naszego pozwolenia na pobyt w Tybecie, a gdybyśmy zamierzali udać się do Nepału, nie zachowywalibyśmy się tak zagadkowo. Bonpowie podjudzali przeciwko nam mieszkańców, obawiając się ukarania przez Lhasę, w wypadku gdyby udało się nam przedrzeć w głąb kraju. Ludność z kolei żyła w ciągłym strachu przed lokalnymi władzami.

Zaczęły się gorączkowe poszukiwania Aufschnaitera. Wzywano mnie co chwila na przesłuchania i nie dawano wiary moim wyjaśnieniom, że udał się on na niewinną wycieczkę. Co do mnie, to pragnąc za wszelką cenę odzyskać chociaż część moich pieniędzy, zmuszony byłem pozostać we wsi do następnego dnia. Okazało się jednak, że bez powrotu Aufschnaitera nie ma mowy o zwrocie całego depozytu. Postanowiłem więc zadowolić się tym, co mi zwrócono, i z reszty pieniędzy zrezygnować.

Wieczorem 8 listopada – chociaż śledzono każdy mój krok – zdecydowałem się uciekać, nawet gdybym miał użyć przemocy. W domu i na zewnątrz kręcili się mężczyźni, nie spuszczając ze mnie oka. Czekałem aż do dziesiątej wieczór, mając nadzieję, że pójdą wreszcie spać, najwyraźniej jednak nie mieli takiego zamiaru. Uciekłem się więc do podstępu. Zacząłem udawać napad szału – wrzeszczałem wściekle, że nie ścierpię już dłużej ich zachowania i chcę spać w lesie. Do pokoju wpadła przerażona gospodyni razem z matką. Ich zachowanie było wzruszające. Widząc, co się dzieje, padły przede mną na kolana i zaczęły mnie błagać, abym się nie oddalał, bo grozi im chłosta, utrata domu oraz wszelkich praw, a przecież na to sobie nie zasłużyły. Wyrażając szacunek i prośbę stara matka wręczyła mi białą szarfę^{*}. Okazało się, że rozłożyliśmy obozowisko w dawnej pustelni!

^{*} tyb. Katak. Tybetańczycy wręczają kataki przy powitaniu i na pożegnanie jako wyraz szacunku (przyp. tłum). Gdy i to nie poskutkowało, zapytały czy nie chciałbym pieniędzy. Nie zamierzały mnie wcale tym obrazić, ponieważ w Tybecie, we wszystkich kręgach, przekupstwo jest naturalnym sposobem osiągnięcia czegokolwiek. Było mi żal tych kobiet. Próbowałem je pocieszyć dobrym słowem i przekonywałem, że z mojego powodu nic im nie grozi. Ich krzyki i lamenty sprawiły, że cały Kyirong stanął na nogi. Nie mogłem już dłużej zwlekać, musiałem działać.

Jeszcze dzisiaj widzę wpatrujące się w moje okno wysmarowane masłem mongolskie twarze, błyszczące w świetle pochodni, a także obu zasapanych burmistrzów, którzy przybiegli z wiadomością od bonpo. Stali pod oknem i krzyczeli, że mam poczekać tylko do rana, a jutro mogę iść dokąd tylko zechcę. Wiedziałem, że to podstęp, więc udawałem, że nic nie słyszę. Wkrótce oddalili się, by przyprowadzić na pomoc zwierchnika. Gospodyni znowu padła mi do nóg lamentując, że przecież traktowała mnie jak własne dziecko i nie zasługuje

na taką niewdzięczność.

Nerwy miałem napięte do granic możliwości. Musiałem natychmiast coś zrobić! Wziąłem plecak i zdecydowanym krokiem wyszedłem z domu. Jakież było moje zdumienie, gdy zgromadzony pod drzwiami tłum nie próbował mi przeszkodzić. Ludzie szemrali wprawdzie: „Teraz wychodzi, wychodzi!” ale nikt mnie nie dotknął. Wyglądałem zapewne jak człowiek zdecydowany na wszystko, bo na kilka młodych głosów, nawołujących do powstrzymanie mnie, nikt nie zareagował i spokojnie przeszedłem przez rozstępujący się przede mną tłum.

A jednak z ulgą odetchnąłem dopiero wtedy, gdy znalazłem się poza zasięgiem światła pochodni. Na wypadek gdyby mnie tropiono, biegłem chwilę drogą w kierunku Nepalu, potem obszedłem wieś wielkim łukiem i po dwudziestu kilometrach, jeszcze przed świtem, dotarłem na umówione miejsce spotkania. Aufschnaiter czekał już na skraju drogi, a mój pies zaczął mnie obskakiwać skamląc z radości. Ruszyliśmy razem w drogę szukając dogodnej kryjówki na zaczynający się już dzień.

Przez przełęcz Czakhyung-La do jeziora Pelgu-Czo

To było nasze ostatnie na wiele lat obozowisko w lesie. Pierwszy dzień naszej ponownej ucieczki spędziliśmy wygodnie w przytulnej i bezpiecznej kryjówce.

Ale już następnej nocy czekało nas strome podejście ponad granicę lasu. Mimo że te górskie ścieżki znaliśmy już z naszych wycieczek i maleńkie światełko lampki też nam pomagało, kilkakrotnie gubiliśmy drogę. Zdarzyło się, że Aufschnaiter ześliznął się z lodowej płyty i spadł. Miał dużo szczęścia, że wyszedł z tego bez obrażeń. Szczegółnej ostrożności wymagało przechodzenie przez wąskie, drewniane mosty zawieszone nad rzeką, pokryte szklanym lodem, na których trzeba było balansować niczym tancerz na linie. Poza tym posuwaliśmy się sprawnie do przodu, chociaż każdy z nas dźwigał po czterdzieści kilogramów. Za dnia znajdowaliśmy ładne, ustronne miejsca, ale z powodu zimna biwakowanie było raczej średnią przyjemnością. Dolina zwężała się tak, że docierało tu zaledwie kilka promyków słońca. Z niecierpliwością wyczekiwaliśmy nadejścia nocy, żeby wreszcie wyprostować i rozgrzać w marszu nasze skostniałe kończyny.

Jednak pewnego dnia dalej już się iść nie dało: staliśmy przed skalną ścianą, która zdawała się kpić z naszych prób wspięcia się na nią. Pod ścianę prowadziło karkołomne podejście, które zanikało gdzieś wśród złomisk skalnych. Co począć? Ryzykować wspinaczkę z takim obciążeniem na plecach, nad przepaścistą rzeką? Wyglądało to beznadziejnie! Postanowiliśmy zawrócić i popробować przeprawy przez nurt, który w tym miejscu rozlewał się w liczne odnogi. Zdjęliśmy buty i skarpety. Niestety, pora roku nie sprzyjała takim wyczynom: rano temperatura wynosiła około -15° C i było tak zimno, że ziemia i kamienie natychmiast przymarzały nam do stóp. Odrywanie ich było bardzo bolesne, a trzeba było co chwila to ubierać to zdejmować buty, bo wciąż pojawiały się nowe rozlewiska. Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Jak wytłumaczyć tę zagadkę? Przecież droga nie mogła się tak po

Następnego dnia czekało nas znowu strome podejście w górę ku przełęczy. Przeceniliśmy nasze siły i musieliśmy zrobić odpoczynek poniżej przełęczy, w lodowatym zimnie. Nic dziwnego, że byliśmy wykończeni. „Załatwiły” nas nie tylko trudności samego podejścia, lecz także wysokość i rozrzedzone powietrze. Wyszliśmy bowiem powyżej pięciu tysięcy metrów. I znowu zbliżaliśmy się do himalajskiego działu wód.

Na przełęczy stały, jak zwykle, kopce usypane z kamieni i obwieszone flagami modlitewnymi – symbole tybetańskiej religijności. Tutaj po raz pierwszy stanęliśmy przed czortenem*, grobowcem jakiegoś lamy uznanego za świętego. Wznosił się w niebo jak ponure memento z bezkresnej monotonii śnieżnego krajobrazu.

Spodziewaliśmy się, że nasycimy oczy piękną panoramą. Niestety, przełęcz była tak

prostu skończyć! Zdecydowaliśmy, że zostaniemy tu na noc i następnego dnia podpatrzymy z ukrycia, w jaki sposób pokonują tę przeszkodę karawany. Rzeczywiście, tuż po wschodzie słońca ujrzeliśmy nadchodzącą karawanę. Zatrzymała się przed skalną ścianą i... nie wierzyliśmy własnym oczom! Obładowani kulisi, jeden po drugim, jak kozice zaczęli się piąć po ścianie, która nas, wytrawnych wspinaczy, przestraszyła! A długowłose jaki o bujnym futrze brnęły spokojnie przez lodowate potoki, z poganiaczami, którzy wskoczyli na ich grzbiety. Wszystko przebiegało w największym porządku.

Z niecierpliwością czekaliśmy na porę, kiedy będziemy mogli ruszyć w ich ślady. Dzień się dłużył, a lodowaty wiatr zadbał o to, aby nie było nam zbyt przytulnie. Wreszcie nadeszła noc. Na szczęście wielki księżyc oświeślał ścianę jaśniej niż nasza lampka. Ale i tak nie szło nam łatwo! Gdybyśmy na własne oczy nie widzieli kulisów pokonujących tę ścianę, z pewnością byśmy znowu zrezygnowali.

Potem trudności się skończyły, musieliśmy tylko czujnie obchodzić tazamy i miejsca postojów karawan. Zdarzało się, że czasem ktoś do nas zawołał. Wtedy nie odpowiadając, przyspieszaliśmy kroku. Pewnego razu natknęliśmy się na dwóch głośno żebrzących Tybetańczyków. Wyglądali na bardziej przestraszonych od nas, bo kuląc się wyprzedzili nas pospiesznie.

Po dwóch nocach marszu minęliśmy Dzongkę i znaleźliśmy się w terenie już nam nie znanym. Teraz naszym kolejnym celem i zarazem wielką niewiadomą była Brahmaputra, zwana w Tybecie – Cangpo. Jak się przez nią przeprawić? Pocieszaliśmy się nadzieją, że już zamarzła. Ale o tym, jak do niej dojść, mieliśmy jedynie blade pojęcie. Oby tylko nie natrafić na wielkie trudności! Najważniejsze to poruszać się jak najszybciej i omijać miejscowości, w których możliwe było spotkanie z jakimś urzędnikiem.

Kierując się tą zasadą, wyszukaliśmy sobie na kwaterę jaskinię położoną na uboczu, tuż za wsią Dzongka. Odkryliśmy w niej tysiące maleńkich, ulepionych z gliny figurek jakichś bóstw* [*tzw. ca-ca – maleńkie stupy, figurki lub płaskorzeźby bóstw lepiące z gliny, często z domieszką prochów zmarłych lamów, umieszczane na ołtarzach lub w dużych stupach jako relikwie i ofiary (przyp. tłum.)]

* Czorten (skr. stupa) jest typową dla buddyzmu formą budowli sakralnej. Umieszcza się w nim prochy wielkich nauczycieli, święte księgi. Forma stupy i poszczególne jej elementy mają wiele symbolicznych znaczeń, jak np.: symbol makrokosmosu, umysłu Buddy (przyp. tłum.)

głęboko wcięta, że nie było z niej żadnego widoku. Właściwie mieliśmy powód do dumy, ponieważ dokonaliśmy pierwszego wejścia; z całą pewnością byliśmy pierwszymi Europejczykami, którzy stanęli na tej przełęczy, zwanej w języku tybetańskim Czakhjung-La. Ale na radość i dumę było za zimno!

Przez te zaśnieżone pustkowia, gdzie rzadko zabłąka się człowiek, odważyliśmy się maszerować w dzień. Posuwaliśmy się sprawnie do przodu, a zadośćuczynieniem za potwornie zimny biwak w nocy był wspaniały widok, który ukazał się nam następnego ranka. Przed nami leżało olbrzymie ciemnoniebieskie jezioro Pelgu-Czo. Za nim z bieli śniegów wznosiły się nagie, czerwone ściany pojedynczych gór, a całe plateau otaczał łańcuch lśniących lodowców. Byliśmy bardzo dumni, gdy okazało się, że nawet znamy nazwy dwóch szczytów: Gosainthan, wysoki na 8013 m, i nieco niższy – Lapczy Kang. Jak wiele himalajskich olbrzymów, oba czekały jeszcze na swych zdobywców*. Chociaż palce kostniały nam z mrozu, sięgnęliśmy po szkicowniki, aby przynajmniej kilkoma kreskami utrwalić ich kształty. Aufschnaiter za pomocą rozklekotanego kompasu namierzył najważniejsze szczyty i zanotował ich dane – możliwe, że później nam się to jeszcze przyda.

Szliśmy brzegiem jeziora w tej zimowej scenerii, jak we śnie. Wreszcie natrafiliśmy na zgłiszcza jakiegoś tazamu – znowu musieliśmy spędzić noc na śniegu.

Właściwie sami byliśmy zaskoczeni, że tak dobrze znosimy wysokość i mimo ciężkiego bagażu poruszamy się tak szybko. Ale nasz na pół zagłodzony pies, który żywił się tylko naszym kałem, z trudem dotrzymywał nam kroku i bardzo nam go było żal. W nocy leżał wiernie u naszych stóp i grzał je swym ciałem, pomagając nieco nam i sobie, ponieważ tu w górze na plateau termometr wskazywał -22° C.

Nie posiadaliśmy się z radości, gdy następnego dnia napotkaliśmy znowu ślad życia. Z dala zbliżało się ku nam stado owiec, a za nim pasterze okutani w grube futra. Owczarze uprzejmie wskazali nam kierunek do najbliższego osiedla i jeszcze tego samego wieczora doszliśmy do wioski Trakcen, leżącej nieco w bok od głównego traktu. Najwyższy czas, by wreszcie znaleźć się wśród ludzi, bo brakowało nam już żywności! Nawet, gdyby nas mieli aresztować...

Niewielkie osiedle zasługiwało na nazwę wsi. Stało tu około czterdziestu domów, osłoniętych, jak zwykle, wzgórzem od wiatru. Ponad domami górował klasztor. Miejscowość była bardziej okazała niż Gartok i z pewnością leżała kilkaset metrów wyżej. Odkryliśmy zatem naprawdę najwyżej położone stale zamieszkane osiedle w Azji, a może i na całym świecie.

Także tutaj wzięto nas za Hindusów i bez problemów sprzedano nam żywność. Nawet podjęto nas gościnnie w jakimś domu, gdzie mogliśmy wreszcie nasycić się zbawczym ciepłem, po długiej wędrówce w śniegu i mrozie. Odpoczywaliśmy jeden dzień i jedną noc: i

* Szczyt Gosainthan, znany lepiej pod nazwą Shisha Pangma, został zdobyty w 1964 r. przez wyprawę chińską. Lapczy Kang (7367 m) zdobyła w 1987 r. wyprawa chińsko-japońska (przyp. red.)

pies, i człowiek mógł się wreszcie najeść do syta. Szczęśliwie ominęło nas spotkanie z lokalnym urzędem, ponieważ bonpo zamknął swój „pałac”, udając że nas nie zauważa – prawdopodobnie, aby uniknąć odpowiedzialności...

Chcąc nie chcąc, musieliśmy pozwolić sobie na jeszcze jeden kozuch, ponieważ nasza odzież nie sprawdziła się w tybetańskiej zimie. Po długich targach, ku obopólnemu zadowoleniu nabyliśmy od naszych gościnnych gospodarzy także jaka. Był to nasz Armin numer 4, który od swych poprzedników różnił się tylko tym, że zachowywał się jeszcze gorzej.

I znowu wędrowaliśmy przez odludne tereny od jeziora Pelgu-Czo ku przełęczy Yagu-La, ciesząc się, że nikt nam nie przeszkodził i że mogliśmy spokojnie iść dalej. Po trzech dniach zobaczyliśmy pola uprawne, przynależące do dość dużej wsi o nazwie Menkhap Me. Korzystając z doświadczenia i z powodzeniem udając „Hindusów”, kupiliśmy tu słomę dla jaka, a dla naszych żołądków campe.

Ludzie wiodą tu twardy żywot. Pola, na których uprawiają jęczmień i groch, usiane są kamieniami. Wymagają ciężkiej pracy i dają marne plony. A mimo to wszyscy byli ufni i pogodni. Wieczór spędziliśmy siedząc wśród nich i z przyjemnością popijając razem czang – tybetańskie piwo. Na stokach wokół wsi znajdują się małe klasztory, które pomimo ciężkich warunków życia utrzymuje pobożna i ofiarna ludność. Wszędzie natrafialiśmy na zadziwiająco wielkie ruiny, niewątpliwe świadectwo dawnych pomyślnych czasów. Nie udało nam się ustalić, czy to wojny spowodowały upadek tych miejsc, czy też zmiana klimatu.

Niezapomniany widok – Mount Everest

Po godzinie marszu mieliśmy przed sobą niesamowitą wyżynę Tingri, a za nią...! Dech nam w piersiach zaparło – w przejrzystym porannym świetle wznosił się najwyższy szczyt świata, Mount Everest. Zdumieni i zachwyceni, staliśmy przed nim z uczuciem szacunku, jakie rodzi się w obliczu Rzeczy Wielkich. Myśleliśmy o wielu wyprawach, które z narażeniem życia walczyły o jego zdobycie; dotychczas na próżno!* Pomimo silnego wzruszenia nie omieszkaliśmy jednak naprędce naszkicować jego sylwetki. Wszak z całą pewnością z tego miejsca nie widział go jeszcze żaden Europejczyk.

Z trudem przyszło nam pożegnać ten wspaniały widok. Naszym kolejnym celem była położona w kierunku północnym przełęcz Korala o wysokości 5600 m. Przed rozpoczęciem podejścia zanocowaliśmy u jej stóp, w maleńkiej osadzie Khargyu. Tym razem nie przyszło nam już tak łatwo udawać Hindusów, ponieważ w pobliżu znajduje się Tingri, miejscowość, gdzie wszystkie angielskie wyprawy na Everest najmowały tragarzy i gdzie widziano już wielu Europejczyków. Przyglądano się nam z dużą rezerwą i wreszcie padło pytanie, czy zgłosiliśmy się już u bonpo w Suco. Dopiero teraz zaświtało nam w głowie, że wielki dom, który widzieliśmy tuż przed miejscowością, jest siedzibą urzędnika. Zwracał na siebie uwagę, bo stał na wzniesieniu, skąd widać było całą okolicę. Na szczęście przeszliśmy obok nie zauważeni! Teraz trzeba było mieć się na baczności! Przemilczeliśmy pytania i zaczęliśmy opowiadać naszą bajkę o pielgrzymce. Ludzie uspokoili się i uprzejmie wskazali nam drogę, nadmieniając nawet, że jest dobrze wydeptana.

Późnym popołudniem stanęliśmy na przełęczy. Przed nami wreszcie zejście! Zadowoleni ruszamy w dół, ciesząc się bardzo, że mozolne podchodzenie mamy na razie za sobą. Tymczasem nasz jak był innego zdania. Nagle wykonał zwrot i rzucił się naszym podejściem z powrotem w dół. My za nim! Ale o ile galop w rozrzedzonym powietrzu nam wcale nie odpowiadał, dla naszego jaka, mimo osiemdziesięciu kilogramów na grzbiecie, była to fraszka. Gdy wreszcie obaj stanęliśmy znowu na górze, ujrzelśmy naszego zwierzaka pasącego się spokojnie nisko, pod nami. Przeklinając wszystkie jaki na świecie, zacząłem schodzić z wiązką słomy w ręce i tym podstępem udało mi się go schwytać. Potem już

* Mount Everest został zdobyty dopiero w 1951 roku (przyp. red.)

grzecznie szedł za mną do góry. Ale tuż pod samą przełęczą zaczęło się wszystko od nowa. Armin stanął i nie chciał się ruszyć ani na krok. Cóż nam pozostawało? Trzeba się było do niego dostosować. Złorzecząc, zabiwakowaliśmy w nie osłoniętym i niewygodnym terenie, a ponieważ ognia nie dało się rozniecić, musieliśmy zadowolić się suchą campą i surowym mięsem. Naszą jedyną pociechą był Mount Everest, pozdrawiający nas przyjaźnie w purpurowym świetle wieczoru.

Następnego ranka nasz Armin zaczął znowu brykać. Zarzuciliśmy mu więc postronek na rogi i ciągnąc przeprowadziliśmy go przez przełęcz. Ale mimo postronka nadal był krnąbrny. Gdy nie wystarczało mu walenie kopytami, wykonywał nagły skok i człowiek ani się nie spostrzegł jak lądował pomiędzy jego rogami. Mieliśmy już dość Armina numer cztery i postanowiliśmy zamienić go przy najbliższej sposobności na jakieś inne zwierzę.

W następnej wiosce już przy pierwszych budynkach skorzystałem z dobrej, jak mi się zdawało, okazji i za niewielką dopłatą wymieniłem Armina na nieco wychudzoną szkapę. Czuliśmy się jak w czepku urodzeni i w dobrych humorach ruszyliśmy w dalszą drogę.

Jeszcze w tym samym dniu dotarliśmy do szerokiej doliny. W poprzek przecinała ją rzeka o zielonkawych wodach, a na jej falach tańczyły lodowe kry – to była rzeka Cangpo. Na nic więc cała nasza nadzieja, że tak jak wiosną, da się przejść po solidnym lodzie na drugą stronę! Nie traciliśmy jednak ducha. Na przeciwnym brzegu widać było klasztory i wiele domów, musiał więc istnieć jakiś sposób przeprawy przez rzekę. Może promem? Szliśmy wzdłuż brzegu rzeki zachodząc w głowę nad znalezieniem rozwiązania, aż wreszcie ujrzelśmy filary wiszącego mostu. To był znak opatrności! Gdy podeszliśmy bliżej okazało się, że przez zawieszony na łańcuchach^{*}, kołyszący się most mógł przejść człowiek, ale nie koń. Wszystkie zwierzęta musiały przeprawiać się wplaw i jedynie osły przenoszono na brakach kulisów. Jednak nasz koń za żadną cenę nie chciał wejść do wody. Nie pomagały ani słowa, ani razy. Ale zdążyliśmy już przywyknąć do kłopotów z naszymi zwierzętami. Z ciężkim sercem udaliśmy się z powrotem do wsi, aby unieważnić transakcję. Po dłuższych pertraktacjach, sięgając do gróźb i pieniędzy, odzyskałem wreszcie mojego upartego Armina. Nie dał poznać po sobie czy nasze spotkanie sprawiło mu radość, czy też nie.

Gdy dotarłem z jakimś do mostu zrobiło się już ciemno. Na przeprawę było już dzisiaj za późno. Przywiązałem Armina do kołka. Aufschnaiter tymczasem wynalazł nam kwatery i noc spędziliśmy ciepło i wygodnie. Ludność przywykła do przeciągających wtedy kupców i podróżnych, nie zwracała więc na nas uwagi.

Następnego ranka przebaczyłem Arminowi wszystkie jego ekscesy. Już po pierwszej zachęcie wszedł do wody i okazał się doskonałym pływakiem. Fale zalewały mu głowę, znosił go prąd, a on nie tracił spokoju i płynął bezbłędnie do przeciwnego brzegu. Niebawem ujrzelśmy, jak wdrapuje się grzecznie na skarpe po drugiej stronie rzeki, prycha i

^{*} Pierwszy w Tybecie most zawieszony na łańcuchach skonstruował w XV wieku guru Fongten Gyalpo. W sumie zbudował on 53 mosty w Tybecie środkowym (przyp. tłum.)

otrzepuje się z wody. Resztę dnia spędziliśmy w bardzo ciekawej miejscowości Riwoche. Na stromych, skalnych stokach nad rzeką wznosił się słynny klasztor i wiele świątyń z umieszczonymi u wrót chińskimi napisami. Wieś i klasztor okalały stare mury obronne. Na brzegu rzeki rosły wiekowe wierzby. Latem, kiedy zielone gałęzie sięgają wody, musi to być naprawdę idylliczne miejsce. O tej porze roku całą uwagę przykuwa jednak coś innego: olbrzymi czorten, wysoki na mniej więcej dwadzieścia metrów, który jest szczególnie uświęconym obiektem. Wokół niego umieszczono nieprzebraną ilość młynków modlitewnych – ja zdołałem doliczyć się ośmiuset!

Młynki mają kształt walca, a w ich wnętrzu znajdują się paski papieru z formułami modlitw. Obrót młynków zwielokrotnia siłę modlitw i sprawia, że błogosławieństwo bóstw płynie nieprzerwanie. Bardzo ważne jest, aby stale się kręciły; przyglądałem się jak mnich chodząc wokół, dba by nie przestały się obracać, nieustannie je popycha i oliwi osie. Żaden z wiernych nie przejdzie koło młynka, nie obróciwszy nim choćby raz. Starzy mężczyźni i staruszki często siedzą cały dzień przed olbrzymimi kilkumetrowymi młynami, nabożnie wprawiając je w ruch. W ten sposób modlą się o lepsze odrodzenie dla siebie i swoich chlebobawców. Inni trzymają w rękach małe młynki modlitewne i kręcą nimi nieustannie wykonując rytualne okrążenia wokół sakralnych obiektów. Młynki ustawia się także na dachach – obraca nimi wiatr, nawet wodę wprzęga się w te nabożne czynności. Młynki modlitewne i związany z nimi naiwny sposób myślenia są charakterystyczne dla Tybetu, podobnie jak kopce kamieni i flagi modlitewne, które widzieliśmy na górskich przełęczach.

Noc spędziliśmy w bardzo przytulnej kwaterze. Wszystko, co ujrzeliśmy tutaj, było czymś nowym i zafascynowało nas tak bardzo, że postanowiliśmy spędzić w Riwoche jeszcze jedną noc. Nie żałowaliśmy tego, bo wkrótce złożono nam bardzo ciekawą wizytę. Odwiedził nas pewien Tybetańczyk, który przeżył dwadzieścia dwa lata w katolickiej misji w Indiach, a teraz gnany tęsknotą wracał do domu. Podobnie jak my, wędrował samotnie podczas tybetańskiej zimy przez górskie przełęcze, ale gdzie tylko mógł, przyłączał się do napotykanego karawanu. Pokazał nam angielskie czasopisma ilustrowane, w których po raz pierwszy zobaczyliśmy zbombardowane miasta i dowiedzieliśmy się o szczegółach zakończenia wojny. Były to dla nas wstrząsające chwile i gorąco pragnęliśmy dowiedzieć się jak najwięcej. Pomimo tych ponurych wiadomości byliśmy szczęśliwi, że spotkaliśmy kogoś, kto przekazał nam chociaż powiew ze świata, który był naszym światem. To co usłyszeliśmy, utwierdziło naszą decyzję o kontynuowaniu wędrowki w głąb Azji. Jakże bylibyśmy radzi, gdyby ten człowiek zechciał się do nas przyłączyć. Nie będąc jednak w stanie zapewnić mu ani opieki ani wygody, nie mogliśmy go o to prosić. Kupiliśmy więc od niego kilka ołówków i papier, potrzebny do pisania naszego dziennika, po czym pożegnawszy go, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Kuszące ryzyko – zobaczyć Lhasę

Doszliśmy do miejsca, gdzie nasz szlak odchodził od rzeki Cangpo. Teraz trzeba było przejść przez kolejną przełęcz. Gdy po dwóch dniach marszu dotarliśmy do Sang-Sang Gewu, znaleźliśmy się znowu na karawanowej trasie Gartok – Lhasa, z której dokładnie przed rokiem skręciliśmy do Kyirongu. Tu także rezydował bonpo, ale teraz przebywał w klasztorze na medytacyjnym odosobnieniu*. Jego urzędnik zasypał nas wprawdzie pytaniami, ale wieści o dobrym traktowaniu nas przez urzędników w Tradün najwyraźniej dotarły aż tutaj, stając się przykładem godnym naśladowania. Na szczęście nie zorientował się on wcale, że tu przebywaliśmy już nielegalnie.

Dobrze, że urzędnik nie robił nam dodatkowych trudności, bo i tak mieliśmy wystarczająco wiele zmartwień. Musieliśmy podjąć ważną decyzję. Po zrobieniu zakupów żywności oraz nabyciu niezbędnego, piątego Armina zostało nam zaledwie osiemdziesiąt rupii i jedna mała złota moneta. Ceny rosły w miarę jak zbliżaliśmy się do miast i nie było mowy o tym, aby ta garstka pieniędzy wystarczyła nam na dotarcie do chińskiej granicy, oddalonej stąd jeszcze o tysiąc kilometrów. Ale... do Lhasy mieliśmy szansę dojść! Znowu pojawiła się w naszych głowach ta fascynująca nazwa „Zakazane Miasto”... Możliwość poznania go, zdała się nam nagle całkowicie realna. Owładnęła nami tak nieodparta chęć ujrzenia tego miasta, że byliśmy gotowi znieść wszystko, aby tylko osiągnąć ten nowy cel.

Przebywając jeszcze w obozie, pochłanialiśmy chciwie wszystkie książki o Lhasie, jakie tylko były do zdobycia. Skąpa literatura pochodziła głównie od Anglików. Po raz pierwszy do stolicy Tybetu przedostała się w roku 1904 niewielka armia karnej ekspedycji* i dopiero od tego czasu do świata zaczęły docierać informacje o Lhasie, aczkolwiek powierzchowne. Wprawdzie w następnych dziesięcioleciach dotarło tam już więcej Europejczyków*, ale zobaczenie i poznanie miasta dalej było, pozostaje dla badaczy wciąż kuszącym celem. Czyż

* Praktyka buddyjska wykonywana przez mnichów, a także ludzi świeckich, okresowo. Może trwać kilka dni lub miesięcy. Tradycyjne odosobnienie mnicha trwa 3 lata, 3 miesiące i 3 dni (przyp. tłum.)

* 600-osobowa brytyjska ekspedycja dowodzona przez F. Younghusbanda. Zmuszono wtedy Tybet do kapitulacji. Traktat zawarty w 1906 r. dał Brytyjczykom prawo założenia w Gartoku agencji handlowej (przyp. tłum.)

* Do 1979 roku, kiedy to pierwsi zachodni turyści mogli wjechać do Tybetu, widziało Lhasę zaledwie 1200 osób z Zachodu, z ekspedycją Younghusbanda włącznie (przyp. tłum.)

będąc tak blisko, nie powinniśmy tego spróbować? Po cóż więc wszystkie podstępny, dzięki którym zdołaliśmy dojść aż tutaj, wszystkie poniesione trudy? Po co uczyliśmy się tybetańskiego?! Im bardziej o tym rozmyślaliśmy, tym bardziej niewzruszona była nasza decyzja. A więc do Lhasy!

Dotychczasowe doświadczenie nauczyło nas, że u urzędników wyższej rangi znacznie łatwiej jest coś wskórać niż u niższych. W Lhasie z pewnością nam się powiedzie! Wciąż miałem przed oczyma wspaniały przykład pewnego Austriaka, który już przed trzystu laty, jako pierwszy biały człowiek przekroczył bramy „Zakazanego Miasta”. Był nim ojciec Johann Grueber*, któremu w przebraniu udało się przedostać z jakąś karawaną do Lhasy i został tam gościnnie przyjęty!

Tak więc o ile cel był wyraźny, to droga doń – znacznie mniej. Kusilo nas, aby wybrać ruchliwą, znaczną wygodami tazarów trasę, którą dotarlibyśmy do Lhasy w kilka tygodni. Istniało jednak spore niebezpieczeństwo, że zostaniemy łatwo rozpoznani i zatrzymani. Nawet gdybyśmy obeszli Szigace, drugie co do wielkości miasto w Tybecie, to po drodze i tak znajdowało się wiele ośrodków administracyjnych i każdy z nich mógł nam przynieść zgubę. Ryzyko było zbyt wielkie i dlatego postanowiliśmy wędrować przez północne wyżyny Czagthangu, gdzie żyli tylko nomadzi. A z nimi umieliśmy się dogadać. Ponadto – rozważaliśmy dalej – przybylibyśmy do Lhasy od północnego zachodu, skąd obcych przybyszów nikt się nie spodziewa, i wślizgnięcie się do miasta byłoby łatwiejsze. Podobny plan miał już przed czterdziestu laty Sven Hedin, ale wszystko rozbiło się o upór jakiegoś lokalnego urzędnika. I chociaż dla Hedina była to z pewnością osobista klęska, to dzięki niemu badacze dowiedzieli się o terenach zupełnie dotychczas nie znanych. Znajdowaliśmy się obecnie w podobnej sytuacji. Nie było jeszcze ani map, ani opisów trasy, którą chcieliśmy iść. Mieliśmy teraz ruszyć w Nieznane i czujnie trzymać się naszego kierunku północno-wschodniego. Tu i ówdzie spotkamy prawdopodobnie nomadów i będziemy mogli zapytać o kierunek i odległość do Lhasy.

W Sang-Sangu nie zdradziliśmy oczywiście naszych zamiarów, opowiadając, że wybieramy się na północ, gdzie znajdują się olbrzymie złoża soli. Plan nasz wzbudzał powszechną grozę i wszyscy doradzali nam, abyśmy z niego zrezygnowali. Wybieraliśmy się w pustkowia tak nieprzyjazne człowiekowi, że brano nas za szaleńców. Tym kłamstwem jednak uzyskaliśmy zamierzony cel, odwracając uwagę ludzi, którym nie przychodziło już do głowy, że chcemy iść do Lhasy. Nasz plan przerażał nawet nas samych, bo już tutaj, w Sang-Sangu, lodowate burze śnieżne dawały przedsmak tego, co nas czeka.

Wbrew wszystkiemu, 2 grudnia 1945 ruszyliśmy w drogę. W Sang-Sangu zaprzyjaźniliśmy się z kilkoma Szerpami. Szerpowie – to Tybetańczycy żyjący najczęściej w Nepalu, którzy zasłynęli w Himalajach jako przewodnicy i tragarze wysokogórscy. Zyskali

* Jezuita J. Grueber i Albert d’Orville wyruszyli z Pekinu 13.04.1661 r. – do Lhasy przybyli 13.07.1661 r. (przyp. tłum.)

oni piękny przydomek „Tygrysów Himalajów”^{*}. Podczas naszych przygotowań udzielili nam wielu cennych rad i pomogli w wyborze nowego Armina, bo dotychczas zawsze nas nabierano. Oczywiście, gdy tylko ruszyliśmy, od razu mogliśmy się przekonać, jak dobrze zachowuje się nasz jak. Był to silny byk, czarny w białe plamy, o gęstym futrze sięgającym niemal do ziemi. Gdy był młody, odjęto mu rogi powodując, że utracił swą dzikość, ale zachował siłę. Przez nozdrza przewleczono mu kółko i wystarczyło lekko go popędzić, aby przyspieszał ponad swoją średnią trzech kilometrów na godzinę. Biedak był strasznie obładowany, ponieważ przyjęliśmy zasadę niesienia zapasów żywności przynajmniej na osiem dni.

I znowu myśl o czekającej nas przeprawie przez rzekę nie dawała nam spokoju. Tym razem musieliśmy przejść przez wody Raga Cangpo. Ale gdy dotarliśmy do niej okazało się, że jest skuta grubym lodem, który utrzymał nawet naszego Armina. Nie posiadaliśmy się z radości! Pierwszy dzień wędrówki upłynął nam więc bez kłopotów. Dalej droga wiodła przez lekko wznoszącą się dolinę. Właśnie zaszło słońce i zimno zaczęło nas przenikać do szpiku kości, a tu nagle, jak na zamówienie, ukazał się przed nami czarny namiot nomadów. Stał otoczony niskim murkiem zwanym „lhega”. Nomadzi rozbijając swoje namioty, zawsze otaczają je murkiem, a ponieważ często zmieniają swe koczowiska, takie osłony rozrzucone są po całym Tybecie. Lhegi zapewniają także zwierzętom ochronę przed zimnem i atakami wilków.

Gdy zbliżyliśmy się do namiotu, natychmiast rzuciły się ku nam wielkie psiska, wściekle ujadając. Było mi bardzo przykro patrzeć, jak mój biedny pies, znacznie mniejszy od psów pasterskich, przy każdym spotkaniu z nimi koniecznie chciał odgrywać bohatera. Natychmiast też wdawał się w szamotaninę, przez co niemal zawsze udawało mu się odwrócić od nas uwagę rozszalałych psów. Równocześnie, od samego początku, to on bał się ich najbardziej. Na szczęście nigdy nie spotkała go poważniejsza krzywda. Wkrótce wyszedł z namiotu nomada, zwabiony hałasem. Do naszej prośby o nocleg odniósł się niezbyt przychylnie, co więcej – bez ogródek zabronił nam przekraczania granic jego „domostwa”, jednakże po chwili przyniósł nam trochę opału w postaci wysuszonych odchodów jaka. Rozbiliśmy zatem obozowisko pod gołym niebem. Później urządziliśmy się nawet całkiem przyjemnie, grzejąc się w ciepłe ogniska podsycanego jałowcem, którego nie brakowało na pobliskich stokach.

A jednak tej nocy nie mogłem zasnąć. Gdzieś w żołądku tkwiło uczucie, podobne do tego, którego doznałem przed wejściem w północną ścianę Eigeru^{*} i przy pierwszym spojrzeniu na Nanga Parbat. W takich chwilach człowiek zadaje sobie pytanie, czy zaplanowane przedsięwzięcie to nie szaleńcze przecenianie własnych sił, a uspokaja się dopiero po przekroczeniu tego martwego punktu, gdy już przystąpi do działania. Dobrze, gdy człowiek nie wie, co go czeka. Gdybyśmy mieli o tym chociaż blade pojęcie – z pewnością

^{*} Tak nazywani są często potocznie. Oficjalnie jednak jest to tytuł nadawany przez Himalayan Club tylko tym Szerpom, którzy wybitnie zasłużyli się w działalności wysokogórskiej (przyp. red.)

^{*} Zob. Przedmowa (przyp. red.)

byśmy zawrócili. Przed nami rozpościerała się nowa, nikomu nie znana kraina i na mapach tych terenów nasza droga wiodła przez białe plamy.

Nazajutrz, po dotarciu do przełęczy, zdumieliśmy się bardzo, gdy zamiast spodziewanego zejścia ujrzeliśmy rozciągające się przed nami plateau. A więc mówiąc obrazowo, wyszliśmy na „najwyższe piętro Azji”, patrząc od strony Indii. Przełęcz stanowiła równocześnie dział wodny Transhimalajów, które wyglądały stąd jak mało znaczący łańcuch górski. Widok plateau zniewalał. Człowiek miał wrażenie, jakby stał oko w oko z nieskończonością. Trzeba zapewne długich miesięcy wędrówki, aby dojść do krańca tego płaskowyżu. Z pewnością znajdowaliśmy się na wysokości przynajmniej 5400 m. Nad krainą pokrytą grubą warstwą starego śniegu hulał lodowaty wiatr. Jak okiem sięgnąć, ani jednego żywego stworzenia i tylko kopczyki kamieni, które odkryliśmy po pewnym czasie, były nam nikłą pociechą. Zatem niekiedy, pewnie latem, przechodziły tędy karawany zmierzające do słonych jezior! Te niewielkie kopce kamieni były nicią wiążącą wędrowców i wołaniem do bogów, płynącym z tej bezkresnej, zapomnianej krainy...

Następne noce spędzaliśmy w opuszczonych lhegach i w pobliżu znajdowaliśmy zawsze wystarczającą nam do gotowania ilość nawozu. Zatem istnieje okres, kiedy żyją tu nomadzi i wędrują karawany – to lato, gdy zazielenią się hale przykryte teraz grubą warstwą śniegu. Wszystko przypominało nam nieustannie, że wybraliśmy się w podróż w nie sprzyjającej porze roku.

Pewnego razu zdarzył się nam znowu szczęśliwy dzień. Natknęliśmy się na namiot, gdzie podjął nas serdecznie stary nomada z żoną i synem. Koczowali tu już od kilku miesięcy, walcząc o przetrwanie. Po wielkich opadach śniegu, od ośmiu tygodni prawie nie wychodzili z namiotu. Stracili wiele jaków i owiec, które nie były w stanie wygrzebać spod śniegu ani źdźbła trawy. Reszta stada stała apatycznie w pobliżu namiotu, niektóre zwierzęta rozgrzebywały kopytami śnieg, szukając karmy. W suchym klimacie Azji Centralnej tak obfite opady śniegu zdarzają się bardzo rzadko i dla nomadów oznaczały one niespodziewaną katastrofę.

Mieliśmy wrażenie, że nasi gospodarze sami się ucieszyli, widząc znowu jakieś ludzkie twarze. Tutaj po raz pierwszy się zdarzyło, że zaproszono nas uprzejmie do namiotu, proponując nawet nocleg; nie wzbudzaliśmy nieufności – wzięto nas za Hindusów. Mięsa nie brakowało, bo wiele zwierząt zabito zanim padły z głodu. Kupiliśmy bardzo tanio udziec z jaka, od którego natychmiast odcięliśmy nożem kukri* wielki kawał do ugotowania. Potem zasiedliśmy wygodnie, napawając się ciepłem namiotu. Nasi gospodarze – podobnie jak wcześniej spotkani nomadzi – byli przerażeni, słysząc dokąd się wybieramy, i stanowczo doradzali nam, abyśmy zawrócili. W czasie rozmowy napomknęli jednak, że na naszej trasie możemy wkrótce znowu napotkać koczowników i ta wiadomość utwierdziła naszą wolę przetrwania.

* Duży, zakrzywiony nóż popularny w Nepalu i Tybecie (przyp. tłum.)

Nazajutrz, gdy wyruszyliśmy w drogę, rozszalała się burza śnieżna. Marsz w butach nie przystosowanych do takich warunków stał się wkrótce męczarnią. Co chwila zapadaliśmy się w głębokim, miękkim śniegu, podobnie jak nasz Armin. Pod śniegiem płynęły ukryte potoki. Kilkakrotnie musieliśmy brodzić w lodowatej wodzie, której nie było widać, ale już po krótkiej chwili czuliśmy dotkliwie, jak nogawki przymarzają nam do nóg, a buty twardnieją na kamień. Z wielkim trudem posuwaliśmy się naprzód i przeszliśmy tego dnia zaledwie kilka kilometrów. Jakaż była nasza radość, gdy pod wieczór znowu ujrzelśmy nomadów! Wprawdzie tym razem nie chcieli nas w swym wielkim namiocie, ale za to tuż obok rozbili dla nas uprzejmie mały namiocik z wełny jaka. Byłem szczęśliwy, zdejmując wreszcie z bolących nóg zamarznięte buty. Niebawem na kilku palcach dostrzegłem oznaki odmrożenia. Natychmiast zacząłem energicznie rozcierać stopy i po kilku godzinach udało mi się przywrócić krążenie.

Trudy tego jednego dnia i pierwsze odmrożenia dały nam wiele do myślenia. Wieczorem przeprowadziliśmy z Aufschnaiterem długą, poważną rozmowę. Mogliśmy jeszcze zawrócić i ta myśl nie dawała nam spokoju. Szczególnie martwiliśmy się naszym jakim, który od wielu dni nie otrzymywał odpowiedniego pożywienia i oczywiste było, że jego dni są policzone. A bez niego dalsza wędrówka była niemożliwa. Po długich wahaniach, rozważaniach rozmaitych „za” i „przeciw”, zdecydowaliśmy się na kompromis: pomaszerujemy jeszcze jeden dzień i zależnie od warunków śniegowych zadecydujemy, co robić dalej.

Nazajutrz, idąc łagodnie pofałdowanym terenem, dotarliśmy do następnej przełęczy. Przeszliśmy na drugą stronę i jakież było nasze zdumienie, gdy się okazało, że za przełęczą śniegu nie ma ani śladu! Opatrzność zadecydowała.

U przyjaznych nomadów

Rychło napotkaliśmy koczowników. Pozwolili nam zatrzymać się u siebie, a i nasz Armin mógł się wreszcie napaść do woli. Przed namiot wyszła młoda kobieta. Zaprosiła nas do środka i za chwilę podała gorącą herbatę z masłem. Pierwszy raz w życiu piłem ze smakiem taką lurę, która, jak się okazało, mimo paskudnego smaku wspaniale rozgrzała nasze przemarznięte ciała. Dopiero po chwili spostrzeżliśmy, jak malowniczo wyglądała nasza młoda, dziewczęca gospodyni. Jej gołe ciało okrywała owcza skóra, sięgająca do ziemi. W długie, czarne warkocze wplotła muszelki, srebrne monety i różne tanie ozdoby pochodzące spoza Tybetu. Powiedziała nam, że jej dwaj mężowie spędzają właśnie na noc stada rozproszone po okolicy. Podobno są właścicielami 1500 owiec i wielu, wielu jaków. Popatrzyliśmy na siebie zdumieni. Czyżby i tutaj, wśród nomadów, istniało wielomęstwo? Dopiero znacznie później, w Lhasie, mieliśmy poznać wszystkie powody i komplikacje, sprawiające, że poligamia i poliandria są w Tybecie powszechnie przyjęte.

Mężczyźni wrócili pod wieczór i przywitali nas nie mniej serdecznie niż ich żona. Pojawiła się obfita kolacja, a nawet zsiadłe mleko. Był to przysmak, którego nie widzieliśmy na oczy od czasu pobytu na halach Kyirongu. Długo siedzieliśmy przy ogniu, wynagradzając sobie wszystkie przebyte trudy. Nie brakowało żartów, śmiechu i przekomarzań, jak to zwykle bywa, gdy wśród kilku mężczyzn znajdzie się jedna młoda i ładna kobieta.

Nazajutrz, wypoczęci i w dobrych humorach, ruszyliśmy w dalszą drogę. Tu i ówdzie napotyкалиśmy ślady życia i znów cieszyliśmy się, że samotność pośród śnieżnego krajobrazu mamy już za sobą. Po stokach przeciągały stada antylop, niekiedy tak blisko, że strzelając z pistoletu z łatwością moglibyśmy zdobyć pieczone. Niestety nie mieliśmy pistoletu.

Droga prowadziła znowu na przełęcz, a potem przez dziką, poraną rozpadlinami dolinę. Było tu wiele naturalnych jaskiń, ale nie mieliśmy ochoty ich oglądać – lodowaty wiatr przenikał nas do szpiku kości. Nie byliśmy nawet w stanie cieszyć się piękną panoramą, otwierającą się na zachodzie. Z płaskowyżu spływały olbrzymie pojedyncze lodowce, podobne do Kajlas i Lungpo Kangri. Ich widok rozpraszał nieco monotony krajobraz. Byliśmy więc mile zaskoczeni, gdy pod wieczór spotkaliśmy kolejnych nomadów. Okazali się ludźmi nadzwyczaj uprzejmymi, ponieważ widząc nas z daleka, odwołali nawet swoje psy.

Biorąc to za dobry znak, postanowiliśmy natychmiast zatrzymać się tutaj na dzień wypoczynku, a także puścić na popas naszego jaka, aby wreszcie najadł się do syta.

W namiocie mieszkało młode małżeństwo z czwórką dzieci o czerwonych, przemrożonych policzkach. Mimo że sami mieli ciasno, ustąpili nam najlepsze miejsca przy ogniu. Od razu zaprzyjaźniliśmy się z ufnymi maluchami i cały dzień mogliśmy obserwować życie i zachowanie nomadów.

W zimie mężczyźni nie mają zbyt wiele zajęć. Wykonują różne prace gospodarskie, szyją podeszwy do butów, tną rzemienie i ze szczególnym upodobaniem kłusują ze swoimi przedpotopowymi flintami. Kobiety zbierają łajno jaków na opał, nosząc najczęściej ze sobą najmłodsze dziecko. Pod wieczór spędza się stada z pastwisk i doi się krowy jaków, które w zimie dają zaledwie odrobinę mleka. Sztuka kulinarna nomadów przedstawia się nadzwyczaj skromnie. W zimie jadają niemal wyłącznie potrawy mięsne, przyrządzane bardzo tłusto. Nie mają wprawdzie pojęcia o procesach spalania i kaloriach, ale kierując się zdrowym instynktem dobierają odpowiednie pożywienie, potrzebne im do przetrzymania zimy i mrozu.

Gotują także przeróżne zupy, ponieważ campā, będąca w rejonach rolniczych głównym pożywieniem, jest tutaj rarytasem.

Całe życie nomadów skupia się na jak najlepszym wykorzystaniu nędznych środków, które ofiarowuje im natura. Nawet śpią w pozycji umożliwiającej zachowanie ciepła; kucając na podłodze pokrytej futrami, ściągają z ramion swoje kożuchy i przykrywają się nimi razem z głową. O świcie, jeszcze zanim wstaną, rozdmuchują skórzanym miechem nie wygasły żar i w kociołku niebawem zaczyna bulgotać herbata. Palenisko jest centralnym punktem domostwa i nigdy nie wygasa. Dym ulatnia się przez dymnik w szczycie namiotu. Podobnie jak w chatach wieśniaków, w każdym namiocie zobaczyć można mały ołtarzyk. Najczęściej jest bardzo prymitywny, zrobiony ze skrzynki, na której położono amulet lub posążek Buddy. Nigdzie nie brakuje portretu dalajlamy. Na ołtarzyku pali się mała lampka maślana, ale w zimie, z powodu chłodu i braku tlenu, jej nikły płomyk jest prawie niewidoczny.

Wielkim wydarzeniem w życiu każdego nomady jest coroczny targ w Gyanyima. Pędzi tam swe stada, sprzedaje część owiec i kupuje jęczmień oraz inne drobne przedmioty, niezbędne w gospodarstwie: igły do szycia, aluminiowe naczynia i cudownie barwne ozdoby dla żony.

Z żalem przyszło nam pożegnać miłą rodzinę i ufne dzieciaki. Jak zwykle, próbowaliśmy odwdziżyć się za gościnę. Gdy – tak jak tutaj – pieniądze nie były przydatne, dawaliśmy gospodarzom kolorową przędzę i trochę papryki.

Przez następne dni przemierzaliśmy po dwadzieścia, trzydzieści kilometrów dziennie, zależnie od tego, czy spotykaliśmy namioty, czy też nie. Częstokroć trzeba było spędzać noc pod gołym niebem. Wtedy całą naszą energię pochłaniało zbieranie nawozu na opał i noszenie wody i nie mieliśmy nawet siły, by pogadać. Najbardziej bolały nas dłonie,

grabiejące z zimna. Nie mieliśmy rękawiczek, więc ochranialiśmy je skarpetkami, a te trzeba było oczywiście zdejmować przy każdej czynności. Raz dziennie gotowaliśmy mięso, a zupę wyjadaliśmy łyżkami wprost z kipiącego garnka. Na tej wysokości temperatura powietrza i temperatura wrzenia wody jest tak niska, że mogliśmy sobie na to pozwolić, nie ryzykując poparzenia języka. Gotowaliśmy wyłącznie wieczorem, podgrzewając rano to, co zostało z poprzedniego dnia. Wyruszając wcześniej, przez cały dzień maszerowaliśmy bez postojów.

Nie zapomnę tych beznadziejnie długich, wlokących się nocy. Leżeliśmy ciasno jeden przy drugim przykryci pospołu kilkoma kocami, aby nie zamarznąć, i często przez wiele godzin nie mogliśmy zasnąć. Naszym namiocikiem przykrywaliśmy sobie nogi, bo silny wiatr uniemożliwiał zazwyczaj jego rozbicie. W ten sposób zyskiwaliśmy nieco ciepła. Pomiędzy fałdami namiotu spał także wtulony nasz psiak. I tylko Armin nie przejmował się zimnem, pasąc się spokojnie w pobliżu. Ale niebawem zaczynał się nowy rozdział! Ledwo udało nam się nieco rozgrzać, a już budziły się wszystkie wszy, które zdążyły się na nas zagnieździć i rozmnażały się w zatrważającym tempie. Cóż za tortura! Bezlitośnie karmiły się naszą krwią, a my nie mogliśmy w żaden sposób dobrać się im do skóry, bo w tych temperaturach niepodobna było zdjąć ubranie. Dopiero gdy minęło już pół nocy i jako tako się nażarły, zostawiały nas w spokoju. Mogliśmy wreszcie spać. Ale już po kilku godzinach, z nastaniem świtu, z ciężkiego od zmęczenia snu wyrwał nas okropny ziąb przenikający przez nasze okrycie. Leżeliśmy drżąc z zimna i przyciskając się do siebie z nadzieją, że może dzisiaj pojawi się słońce. Gdy tylko istniała jakakolwiek szansa na to, zwlekaliśmy ze wstaniem aż do chwili, kiedy pierwsze promienie dotrą do naszego biwaku.

13 grudnia doszliśmy do Labrang Troła – „osady” składającej się właściwie z jednego, jedyne domu. Rodzina, do której należał, urządziła sobie w nim skład rzeczy, a obok rozstawiła namiot, co nas niezmiernie zdziwiło. Wyjaśniono nam, że w namiocie jest znacznie cieplej niż w budynku. Niebawem okazało się, że wylądowaliśmy w domu bonpo. On sam wprawdzie był nieobecny, ale zastępował go brat. Oczywiście zaczął nas wypytывать, ale najwyraźniej zadowolili się opowieścią o naszej pielgrzymce. Obecnie znajdowaliśmy się już daleko od trasy wyznaczonej tazamami i po raz pierwszy zdradziliśmy, że chcemy dotrzeć do Lhasy. Przerażony mężczyzna pokiwał tylko głową i usiłował nas przekonać, że najszybsza i najwygodniejsza droga do Lhasy prowadzi przez Szigace. Miałem w zanadrzu gotową odpowiedź: celowo obraliśmy tak trudną trasę, by powiększyć ofiarę i zasługę * płynącą z pielgrzymki! Ten argument najwyraźniej trafił mu do serca – natychmiast zaczął nam udzielać dobrych rad na drogę.

Istniały dwie możliwości: jedna trasa była bardzo trudna, prowadziła przez wyludnione tereny i liczne przełęcz. Druga, łatwiejsza, przechodziła przez tereny Khampów. Znowu padło to tajemnicze słowo, które słyszeliśmy już z ust wielu nomadów, wypowiedane

* Praktyka buddyjska, której celem jest osiągnięcie oświecenia. Polega na gromadzeniu „zasługi” poprzez pozytywne czyny oraz „mądrości” poprzez ćwiczenie umysłu (przyp. tłum.)

zniżonym głosem. Khampa to zapewne mieszkaniec wschodniej prowincji Tybetu – Kham. Ale tej nazwie zawsze towarzyszyła nuta strachu i ostrzeżenia. Wreszcie pojęliśmy, że to słowo oznaczało tyle co „rabuś”. Niestety, nie doceniwszy należycie przestrogi, wybraliśmy łatwiejszą trasę.

U rodziny bonpo spędziliśmy dwie noce, ale nie w charakterze gości. Jako biedni Hindusi, nie zasługiwaliśmy na taki honor w oczach dumnych rdzennych Tybetańczyków. Mimo wszystko brat urzędnika był mężczyzną, który zrobił na nas silne wrażenie. Był poważny i mówił niewiele, ale gdy już coś powiedział, miało to głębszy sens. On także miał wspólną żonę ze swym bratem i utrzymywał się z jego stad. Wyglądali na zamożną rodzinę, nawet ich namiot był znacznie większy od namiotów innych nomadów. Tutaj bez trudu mogliśmy uzupełnić nasze zapasy i najnaturalniej w świecie przyjęto od nas zapłatę w gotówce.

Niebezpieczne spotkanie z Khampami

Maszerowaliśmy już przez dłuższą chwilę, gdy z przeciwka nadszedł jakiś mężczyzna. Natychmiast zwrócił naszą uwagę swoim przedziwnym ubraniem. Mówił odmiennym dialektem niż nomadzi w tej okolicy. Nachalnie zaczął nas wypytywać, skąd i dokąd idziemy, a my opowiedzieliśmy naszą zwykłą historyjkę o pielgrzymce. Dał nam spokój i ruszył dalej. Po chwili dotarło do nas, że właśnie poznaliśmy pierwszego Khampę. Dwie godziny później ujrzelśmy w oddali dwóch mężczyzn na kucykach, odzianych w takie same stroje jak niedawno spotkany mężczyzna. Poczuliśmy się nieswojo i przyspieszyliśmy kroku. Dopiero dobrą chwilę po nastaniu ciemności natknęliśmy się znowu na jakiś namiot. Mieliśmy wyjątkowe szczęście, mieszkańcy okazali się bardzo sympatyczną rodziną. Uprzejmie zaproszono nas do środka i wskazano nam osobne palenisko, wyłącznie dla nas. Obowiązkowo –stawiali – musimy także kupić u nich mięso. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że zachowanie ich wynikało z głęboko zakorzenionych przesądów: nomada toleruje w swoim namiocie wyłącznie mięso z własnego stada, obcemu rozpala oddzielne palenisko, ale nie proponuje mu mleka. Oczywiście, tak jak wszędzie, jedni hołdują zabobonom mniej, a inni bardziej.

Wieczorem zaczęła się rozmowa o zbójcach, którzy w tych regionach byli prawdziwą plagą. Nasz gospodarz, żyjąc dostatecznie długo w tej okolicy, mógł coś niecoś na ten temat powiedzieć. Z dumą pokazał nam swojego *mannlichera** za którego zapłacił jakiemuś Khampie prawdziwy majątek: pięćset owiec! Banda grasująca w tej okolicy potraktowała tę nieprawdopodobnie wysoką cenę jako rodzaj okupu i od tego czasu pozostawiono naszych gospodarzy w spokoju.

Usłyszeliśmy też nieco więcej o życiu rabusiów. Zamieszkiwali grupami w trzech, czterech namiotach, stanowiących punkt wypadowy dla ich zbójceckich wypraw. Wyglądało to następująco: mężczyźni, uzbrojeni po zęby w strzelby i miecze, wdzierają się do namiotu nomadów i bezczelnie żądają sutej gościny. Przerażony koczownik podaje, co tylko może. Napastnicy napychają sobie brzuchy i kieszenie. Zabierają ze sobą jeszcze kilka krów i znikają. Codziennie postępują tak z innymi nomadami, aż złupią doszczętnie całą okolicę.

* niemiecka strzelba (przyp. tłum.)

Potem przenoszą swoją bazę w inne strony i zaczynają „grę” od nowa. Koczownicy pogodzili się już z tym losem, ponieważ – najczęściej nieuzbrojeni – stają w obliczu silniejszego przeciwnika, wobec którego, na tych odludnych terenach, nawet rząd jest bezradny. Ale gdy jakiemuś urzędnikowi dystryktu powiedzie się atak na tych rozbójników – tym lepiej dla niego. Cały zbójcecki łup staje się jego własnością. Kary dla schwytanych rabusiów są nieludzkie. Najczęściej obcina się im ręce. Ale jeszcze żadnego Khampy nie odstraszyło to od jego rzemiosła...

Później przyszedł czas na opowieści o przypadkach, jak to Khampowie okrutnie zabijali swoje ofiary. Nie oszczędzali ani pielgrzymów, ani nawet wędrujących mniszek czy mnichów. Zrobiło się nam nieswojo. Cóż byśmy dali za *mannlichera*! Nie mieliśmy jednak ani pieniędzy, ani nawet najbardziej prymitywnej broni. A naszych masztów od namiotów nie bały się nawet psy...

Ruszając nazajutrz w dalszą drogę nie czuliśmy się zbyt komfortowo. Nasz niepokój wzrósł jeszcze, gdy zobaczyliśmy mężczyznę ze strzelbą, próbującego kryć się przed nami za wzgórzem. Maszerowaliśmy jednak dalej, nie zbacając z drogi, i wreszcie straciliśmy go z oczu. Wieczorem znowu napotkaliśmy namioty, najpierw jeden, a kilkaset metrów dalej – całe obozowisko.

Zapukaliśmy do pierwszego namiotu. Prerażeni mieszkańcy wyszli na zewnątrz i wzbraniając nam wejścia do środka wskazywali na inne namioty. Ponieważ ich wzburzenie zaczynało być niebezpieczne, ruszyliśmy dalej. Jakież było nasze zdumienie, gdy w następnym namiocie przywitano nas uprzejmie. Wszyscy wylegli na zewnątrz, zaczęli dotykać naszych rzeczy i pomagać nam przy zdejmowaniu bagaży – nomadzi spotykani dotychczas nigdy się tak nie zachowywali. Nagle pojęliśmy: to Khampowie! Wpadliśmy jak mysz w pułapkę. W namiocie siedzieli dwa mężczyźni, kobieta i jakiś młokos – trzeba było robić dobrą minę do złej gry i mieć się na baczności. Nie traciliśmy jednak nadziei, że uprzejmością i dyplomacją wybrniemy jakoś z tej nieprzyjemnej sytuacji.

Nie zdążyliśmy jeszcze dobrze zasiąść przy ogniu, a już koło nas zrobiło się tłoczno. Z sąsiednich namiotów zaczęli się schodzić mężczyźni, kobiety, dzieci i psy, aby zobaczyć obcych. Nie mogliśmy ani na chwilę spuścić oka z naszych bagaży. Ludzie byli natrętni i ciekawscy, jak Cyganie. A gdy usłyszeli naszą opowieść o pielgrzymce, zaczęli nachalnie nastawać, abyśmy wzięli jednego z mężczyzn jako przewodnika do Lhasy. Utrzymywali, że jest bardzo dobrym przewodnikiem i poprowadzi nas znacznie lepszą drogą, nieco na południe od naszej trasy. Mężczyzna był silny, krępy, a za pas zatknął wielki miecz. Bynajmniej nie budził zaufania. Przyjęliśmy jednak tę „propozycję nie do odrzucenia”, ustalając jego wynagrodzenie. Jeżeli ci ludzie rzeczywiście coś knuli, to tak czy owak w każdej chwili mogli nam wbić nóż w plecy.

Khampowie z wolna rozeszli się do swoich namiotów. Zaczęliśmy układać się do snu. Jeden z gospodarzy za wszelką cenę chciał użyć mojego plecaka jako poduszki pod głowę i

kosztowało mnie wiele trudu, aby odwieść go od tego zamiaru. Prawdopodobnie podejrzewał, że w plecaku mam pistolet... Ponieważ jego obawy były nam na rękę, starałem się swoim zachowaniem podsycić je jeszcze bardziej. Wreszcie dał spokój. Musieliśmy jednak być bardzo czujni i przez całą noc nie zmrużyliśmy oka. Mimo wielkiego zmęczenia nie było to trudne, bo żona Khampy ciągle mruczała w kącie głośne modlitwy. Wyglądało to tak, jakby prosiła z góry o przebaczenie dla swych mężów, mających jutro zostać naszymi mordercami. Byliśmy doprawdy szczęśliwi, gdy ta noc wreszcie się skończyła i nadszedł ranek. Początkowo wszystko było w porządku. Wymieniliśmy kieszonkowe lusterko na mózg jaka, który usmażyliśmy sobie na śniadanie. Potem zaczęliśmy zbierać się do drogi. Gospodarze w napięciu śledzili każdy nasz ruch. Gdy zaczęliśmy wynosić plecaki z namiotu zrobili się niemal agresywni. Odsunęliśmy ich dość szorstko i załadowaliśmy bagaże na naszego jaka. Zaczęliśmy rozglądać się za naszym „przewodnikiem”, ale na szczęście nie było go widać. Nasi Khampowie jeszcze przez chwilę kładli nam do głowy, abyśmy ruszyli trasą południową, gdzie niebawem napotkamy nomadów, pielgrzymujących – podobnie jak my – do Lhasy. Obiecując, że skorzystamy z ich dobrych rad pośpiesznie ruszyliśmy w drogę.

Po przejściu kilkuset metrów zauważyłem, że nie ma naszego psa, który sam zawsze biegł za nami. Gdy zaczęliśmy się za nim rozglądać, dostrzeżliśmy niespodziankę: za nami podążało trzech mężczyzn. Wkrótce nas dogonili i wskazując na słup dymu w oddali, zaczęli opowiadać, że zmierzają także do namiotów pielgrzymów. Wydało nam się to bardzo podejrzane, ponieważ nigdy nie widzieliśmy tak wielkiego dymu unoszącego się z namiotów. Gdy zapytaliśmy o naszego psa, odpowiedzieli, że został w namiocie Khampów i jeden z nas powinien po niego wrócić. Wszystko stało się jasne. Teraz w grę wchodziło nasze życie. Nie odważyli się zaatakować nas obu, więc zatrzymali psa, aby nas rozdzielić. A tam, gdzie unosił się dym, czekało już prawdopodobnie kilku kompanów, którzy mogli nas bez trudu załatwić. O naszym zniknięciu nikt się nigdy nie dowie. Jakże gorzko żalowaliśmy teraz, że zlekceważyliśmy życziwe ostrzeżenia nomadów.

Jakby nigdy nic, szliśmy jeszcze kawałek w tym samym kierunku, naradzając się co zrobić. Khampowie wzięli nas już pomiędzy siebie, a młokos szedł tuż za naszymi plecami. Ukradkiem spoglądaliśmy na boki oceniając nasze szansę. Mężczyźni, zwyczajem rozbójników, nosili na sobie po dwa futra, chroniące przed ciosem i uderzeniem, u pasa przypięli potężne miecze, a wyraz ich twarzy bynajmniej nie był święty.

Trzeba było coś zrobić. Aufsnaiter uważał, że powinniśmy zmienić kierunek marszu, aby nie wpaść ślepo w pułapkę. Rozmawiając, zrobiliśmy nagle zwrot. Khampowie stanęli jak wryci. Ale już znowu byli przy nas! Zastąpili nam drogę i gestykulując niezbyt uprzejmie, zapytali dokąd zmierzamy. „Po psa” – odparliśmy krótko i bardzo stanowczo. Taka odpowiedź zbiła ich z tropu. Zorientowali się, że jesteśmy zdecydowani na wszystko. Jeszcze przez chwilę stali patrząc za nami, po czym poszli swoją drogą. Zapewne, aby jak najszybciej powiadomić współników...

Gdy zbliżaliśmy się do namiotu, już szła nam naprzeciw kobieta trzymając naszego psa na postronku. Pozdrowiliśmy ją grzecznie i natychmiast ruszyliśmy – oczywiście z powrotem! Byliśmy nie uzbrojeni i posuwanie się dalej tą trasą oznaczało niechybną śmierć. Po morderczym marszu dotarliśmy wieczorem do naszej przyjaznej rodziny, u której nocowaliśmy poprzednio. Nasze przeżycia nie zdziwiły ich. Powiedzieli, że spotkane przez nas, budzące powszechną grozę, obozowiska Khampów znajdują się w okolicy zwanej Gyak Bongra. Po tych przygodach podwójną radość sprawił nam fakt, że możemy znowu spokojnie zasnąć...

Nazajutrz ułożyliśmy nowy plan. Nie pozostawało nam nic innego, jak wybrać bardzo trudną drogę przez nie zasiedlone tereny. Kupiliśmy u nomadów tyle mięsa, ile tylko byliśmy w stanie udźwignąć, przypuszczając, że co najmniej przez tydzień nie spotkamy żywej duszy.

Nie mieliśmy ochoty wracać aż do samego Labrang Troła, więc zaryzykowaliśmy skrót stromym i męczącym podejściem, którym mieliśmy wyjść wprost na naszą trasę. Mając już za sobą połowę wspinaczki przystanęliśmy, aby popatrzeć na krajobraz. Nagle ku naszemu przerażeniu zobaczyliśmy w oddali dwóch mężczyzn podążających naszymi śladami. Nie było wątpliwości. To byli Khampowie! Prawdopodobnie zdążyli już odwiedzić i wypytać naszych nomadów. Bez trudu wypatrzyli nas we wskazanym przez nich kierunku, ponieważ w przejrzystym powietrzu Czangthangu widoczność jest wprost niezwykła.

Co robić? Żaden z nas nie powiedział ani słowa. Dopiero później się przyznaliśmy, że obaj myśleliśmy o tym samym: nasze życie będzie drogo kosztować! Najpierw przyspieszyliśmy kroku. Ale prędkość marszu zależała od naszego jaka i, chociaż poganiałmy go nieustannie, zdawało nam się, że idzie żółwym tempem. Niepokojnie oglądaliśmy się za siebie, ale nie sposób było ustalić, czy dystans pomiędzy nami a Khampami się zmniejsza. Znowu odczuwaliśmy, jakże dotkliwie, brak jakiegokolwiek broni. Do obrony, w najlepszym razie, mogliśmy użyć masztów od namiotów i kamieni; przeciwnik miał dobrze wyostrzone miecze. Najważniejsza będzie sprawna współpraca i wzajemne ubezpieczanie. Byliśmy zdecydowani oddać życie za życie. Przez bitą godzinę maszerowaliśmy co tchu, dysząc ze zmęczenia i oglądając się ciągle za siebie. W pewnej chwili zobaczyliśmy, że obaj mężczyźni usiedli. Jeszcze bardziej przyspieszyliśmy kroku, aby jak najszybciej dostać się na drugą stronę wzgórza. Równocześnie rozglądaliśmy się za jakąś kryjówką, która w razie konieczności nadawałaby się na pole walki. Zobaczyliśmy, jak mężczyźni podnieśli się znowu, stali przez chwilę jakby się naradzając, po czym zawrócili. Odetchnęliśmy z ulgą i jeszcze mocniej zaczęliśmy popędzać naszego jaka, aby skryć się wreszcie za stokiem. Po wyjściu na szczyt zrozumieliśmy rychło dlaczego Khampowie woleli zawrócić. Przed nami rozpościerał się najbardziej opustoszały krajobraz, jaki kiedykolwiek widziałem: bezkresne morze zaśnieżonych wysokogórskich wyżyn, doliny i wzniesienia rozchodzące się w nieskończoność, jak fale. W dali leżały Transhimalaje, a w nich jak szczyba po zębie widniała wyraźna przełęcz, przez którą możliwy był odwrót. To była

przełęcz Selala, prowadząca do Szigace, znana nam dzięki opisom Svena Hedina.

Czyżby Khampowie rzeczywiście zaniechali pogoni? W trosce o nasze bezpieczeństwo maszerowaliśmy bez przerwy, aż do późnej nocy. Na szczęście nie była ciemna, w świetle księżyca lśnił śnieg i było tak jasno, że widzieliśmy przed nami nawet odległe pasma górskie.

O głodzie i chłodzie. Niespodziewany prezent gwiazdkowy

Nigdy nie zapomnę tego nocnego marszu. Było to najtrudniejsze wyzwanie dla ducha i ciała, jakiemu kiedykolwiek sprostalem. Zdecydowaliśmy się na drogę w tym nie zagospodarowanym i dzikim terenie, sądząc, że uchronimy się przed Khampami. Teraz musieliśmy stawiać czoła nowym trudnościom. Dobrze, że już dawno wyrzuciłem termometr. Pewnie wskazywałby nadal zaledwie -30° , bo tylko tyle mieściło się na jego skali. Oczywiście panowały tu znacznie większe mrozy. Sven Hedin w tych samych niemal okolicach zanotował -40° C.

Gdy przez długie godziny posuwaliśmy się do przodu, brnąc ciężko w świeżym, dziewiczym śniegu, nasze myśli wędrowały własnymi ścieżkami. Zaczęły mnie dręczyć wizje wygodnych, ogrzanych pomieszczeń, ciepłych potraw, gorących, parujących napojów... Jak na ironię ukazywał mi się obraz najbanalniejszego bufetu z automatami, z moich studenckich czasów w Grazu, i ta wizja doprowadzała mnie niemal do szaleństwa.

Aufschnaiter był myślami gdzie indziej. Wyrzucał z siebie przekleństwa, obmyślał okrutną zemstę i przysięgał, że wróci tu jeszcze uzbrojony. Biada wam, wszyscy Khampowie!

Obydwaj, każdy na swój sposób, próbowaliśmy walczyć z ogarniającą nas depresją. Znowu straciliśmy tyle czasu, a cel był jeszcze tak daleko! Gdybyśmy mogli byli maszerować dalej, drogą od namiotu rabusiów, znajdowalibyśmy się już na północnej trasie tazamów. Zapewne musiało być już dobrze po północy – nasze zegarki już dawno zamieniły się w mięso i campe – gdy wreszcie zdecydowaliśmy się na postój. Przez cały dzień nie napotkaliśmy żywej duszy, raz tylko mignął nam śnieżny lampart. Poza tym ani śladu zwierzęcia, człowieka, czy jakiegokolwiek roślinności. Najmniejszej szansy znalezienia czegoś na ogień. Byliśmy zresztą zbyt utrudzeni, aby zabrać się za rozpalać ogniska z nawozu jaków, co jest sztuką samą w sobie. Zdjęliśmy tylko juki z naszego Armina i natychmiast wleźliśmy pod koce kładąc pomiędzy siebie surowy udziec barani i woreczek z campą, po czym rzuciliśmy się do jedzenia. Ledwie włożyliśmy do ust łyżkę z suchą mąką, zaczęliśmy kłąć na czym świat stoi. Nie mogliśmy wyjąć łyżek z ust! Na tym wielkim mrozie przymarzały do warg i języka i przypłaciliśmy to uszkodzeniem naskórka. Odechciało się nam jedzenia. Skuleni i wyczerpani pomimo straszliwego zimna zapadliśmy w ciężki sen.

Rankiem, bynajmniej nie wypoczęci, wyruszyliśmy w dalszą drogę. Armin na próżno grzebał przez całą noc w poszukiwaniu trawy. Głodny i spragniony, teraz w desperacji jadł śnieg. Poprzedniego dnia nie znaleźliśmy wody do picia, bo napotykanne po drodze źródła mróz zamienił w osobliwe lodowe kaskady.

Marsz w głębokim śniegu jest piekielnie męczący. Ani na chwilę nie odrywając wzroku od naszego jaka, mozolnie, krok za krokiem stąpaliśmy po jego śladach. Nic dziwnego, że gdy nagle po południu zobaczyliśmy hen, na białym horyzoncie trzy karawany jaków, sądziliśmy że to fatamorgana. Sunęły powoli, czasem zatrzymywały się, znowu ruszały – ale przecież nie znikwały. Nie były do licha złudzeniem! Nabraliśmy otuchy. Zebrawszy wszystkie siły i popędzając Armina, dotarliśmy po trzech godzinach marszu do miejsca, gdzie karawany zatrzymały się na postój. Zobaczyliśmy około piętnastu kobiet i mężczyzn, którzy zdążyli już rozbić namioty. Chociaż wprowadziły nas w niemałe zdziwienie, pozdrowili nas uprzejmie i od razu zaprosili do swojego ognia. Dowiedzieliśmy się, że wracają do ojczystych stron nad jeziorem Namczo z pielgrzymki pod górę Kajlas i zarazem podróży handlowej. Ostrzeżeni przez administratora prowincji, podobnie jak my wybrali tę trudną trasę, aby ominąć tereny zagrożone przez Khampów. Wędrowali do swych siedzib poganiając teraz pięćdziesiąt jaków i dwieście owiec. Większość zwierząt wymienili po drodze na towary i teraz stanowili oczywiście smaczny kąsek dla rabusiów. Ponieważ duża grupa zapewniała większe bezpieczeństwo w razie napadu Khampów, trzy gromadki pielgrzymów podróżowały razem, a teraz zaproponowano i nam, abyśmy się przyłączyli.

Jakaż to przyjemność siedzieć znów przy ogniu i siorbać gorącą zupę! To spotkanie było prawdziwym zrządzeniem opatrności. Oczywiście nie zapomnieliśmy o naszym dobrym Arminie, wiedzieliśmy jak wiele mu zawdzięczamy. Uzgodniliśmy z przewodnikiem karawany, że za opłatą w wysokości jednej dniówki, załaduje nasze bagaże na któregoś ze swoich jaków, idących bez ładunku. Dzięki temu Armin będzie mógł sobie trochę odetchnąć.

Odtąd dzień za dniem wędrowaliśmy razem z nomadami, rozbijając na postojach nasz mały górski namiocik obok ich czarnych, wełnianych „domów”. Rozbijanie namiotu przysparzało nam za każdym razem wiele trudu. Huraganowy wiatr wyrwał z rąk linki, a potem po prostu zrywał i trzeba było wychodzić w środku nocy, by ustawiać zwalony maszt i rozpinąć namiocik od nowa. Tylko namioty zrobione z wełny jaków wytrzymywały taką próbę, ale są one tak ciężkie, że każdy stanowi ładunek dla jednego jaka. Poprzysięgliśmy sobie, że jeśli kiedyś jeszcze przyjdzie nam wędrować przez Czangthang, zaopatrzymy się w odpowiedni, lepszy sprzęt. Będziemy mieć trzy jaki, poganiacza, namiot od nomadów i dobrą strzelbę... Na razie jednak należało stawiać czoła rzeczywistości. Powinniśmy się cieszyć, że nasi przyjaciele – nomadzi, przyjęli nas do swojej kompanii. Teraz dzienne marsze były – po naszych doświadczeniach – po prostu spacerkiem. Nomadzi wyruszają bardzo wcześnie rano i po przejściu około czterech, sześciu kilometrów rozbijają namioty, a zwierzęta puszczają na popas. Zanim się ściemni, z obawy przed atakiem wilków, przywiązują zwierzęta w pobliżu

namiotów, by przez całą noc mogły sobie przeżuwać.

Dopiero teraz stało się jasne, do czego zmuszaliśmy naszego biednego Armina! Z pewnością uważał nas za wariatów, podobnie jak Tybetańczycy w Kyirongu, kiedy biegaliśmy po wszystkich okolicznych szczytach. Podczas długich postojów mogliśmy wreszcie znowu poświęcić więcej czasu na pisanie naszych dzienników, ostatnio bardzo zaniedbanych. Przystąpiliśmy także do systematycznego wypytywania uczestników karawany o drogę do Lhasy. Gawędząc z każdym z osobna, wydobywaliśmy od nich stopniowo nazwy kolejnych miejscowości. To były bardzo cenne informacje. Umożliwiały nam zdobywanie od nomadów opisu kolejnych etapów drogi, a jasne było, że nie chcemy spędzić połowy życia na spacerach. Postanowiliśmy, że w najbliższych dniach odłączymy się od karawany.

Dokładnie 24 grudnia 1945 pożegnaliśmy nomadów, ruszając znowu samotnie w drogę. Rześcy i wypoczęci, bez przeszkód przemierzaliśmy tego dnia ponad dwadzieścia kilometrów. Późnym wieczorem stanęliśmy na skraju rozległej równiny w pobliżu kilku stojących pojedynczo namiotów. Ich mieszkańcy byli nadzwyczaj czujni. Zanim zdążyliśmy podejść do pierwszego namiotu, już szło nam naprzeciw kilku dziko wyglądających mężczyzn, uzbrojonych po zęby. Ostрым tonem kazali nam iść do diabła – i to natychmiast! Zatrzymaliśmy się unosząc ręce do góry na znak, że nie posiadamy broni i zaczęliśmy wyjaśniać, że jesteśmy bezbronnymi pielgrzymami. Kilkundniowy wypoczynek najwidoczniej niewiele nam pomógł i nasz wygląd musiał wzbudzać współczucie, ponieważ po krótkiej naradzie właściciel wielkiego namiotu zaproponował nam nocleg. Niebawem zasiedliśmy przy ciepłym ogniu, popijając gorącą tybetańską herbatę. Do herbaty podano nam rarytas – dwie białe bułeczki, nieświeże i twarde jak kamień. W wigilijny wieczór ten skromny dar uradował nas bardziej niż najpyszniejszy świąteczny kołacz. Dobraliśmy się do nich dopiero po kilku dniach, podczas szczególnie męczącego marszu, czerpiąc otuchę i energię z tego nieoczekiwanego gwiazdkowego podarunku od dobrych ludzi.

Wcześniej jednak nasi gospodarze pokazali jeszcze raz swoje szorstkie oblicze. Ofiarodawca bułeczek, słysząc którądy chcemy iść do Lhasy, sucho zauważył, że dotychczas wprawdzie nas nie zamordowano, ale w najbliższych dniach czeka nas to z całą pewnością. Pełno tu Khampów, w całej okolicy, i nie uzbrojeni jesteśmy dla nich po prostu jak łowna zwierzyna. Mówił o tym, jak o czymś zupełnie oczywistym i nieuniknionym.

Spuściliśmy nieco z tonu, prosząc go o dobrą radę. On także zaczął zachwalać drogę przez Szigace, gdzie mogliśmy dojść w siedem dni. Ale o tym nie chcieliśmy nawet słyszeć. Nomada zastanowił się przez chwilę, po czym poradził, abyśmy zwrócili się jednak do bonpo tej prowincji. Jego namiot znajdziemy w odległości zaledwie kilku mil stąd, na południe. Jeżeli już koniecznie chcemy iść przez tereny zagrożone przez Khampów, to bonpo jest władny wydać nam dla bezpieczeństwa odpowiedni glejt.

Tego wieczoru położyliśmy się dość wcześnie. Musieliśmy rozważyć tyle spraw, że nie było czasu na smutne myśli o Bożym Narodzeniu w rodzinnym domu. Wreszcie zgodziliśmy

się obaj, że trzeba zaryzykować i udać się do bonpo. Do jego namiotu było zaledwie kilka godzin drogi. Powitał nas uprzejmie i natychmiast oddał nam do dyspozycji namiot – przyjęliśmy to za dobry znak. Wkrótce przywołał swojego „kolegę po fachu” i we czwórkę zasiedliśmy do konferencji. Tutaj darowaliśmy sobie naszą bajkę o hinduskich pielgrzymach. Przedstawiając się jako Europejczycy, zażądaliśmy kategorycznie ochrony przed rabusiami; oczywiście, że podróżujemy za zezwoleniem. Nie mrugnawszy okiem wyjąłem stary paszport, wydany kiedyś przez garpona w Gartoku. Ten dokument miał już swoją historię. Wówczas urządziliśmy losowanie i wygrał go Kopp, ale gdy rozstawaliśmy się, wpadłem na dobry pomysł i odkupiłem niepotrzebny już naszemu koledze dokument. Teraz nadeszła jego chwila!

Obydwaj urzędnicy obejrzeni pieczęć i najwyraźniej stary papier wzbudził w nich respekt. Uwierzyli, że przebywamy w Tybecie całkiem legalnie. Dziwili się tylko, gdzie też podział się trzeci mężczyzna wymieniony w dokumencie? Najpoważniej oznajmiliśmy, że niestety z powodu choroby wrócił przez Tradün do Indii. Skuteczność tej błagi zaskoczyła nas samych. Uspokojeni bonpowie obiecali nam ochronę, która zmieniając się w określonych punktach miała nam towarzyszyć aż do głównego, północnego traktu.

To była prawdziwie Dobra Nowina na Boże Narodzenie! Wreszcie mogliśmy zacząć świętować. Specjalnie na Wigilię zachowaliśmy trochę ryżu z Kyirongu. Przyrządziwszy go, zaprosiliśmy obydwu bonpów do naszego namiotu. Przyszli chętnie, przynieśli wiele smakołyków, i tak spędziliśmy razem naprawdę bardzo miłą wieczór.

Nazajutrz w towarzystwie jakiegoś nomady zostaliśmy „przekazani” do następnego namiotu. Cała ta procedura przypominała bieg sztafetowy: przewodnik szedł z nami pewien odcinek drogi, przekazywał nas następnemu i wracał. Z nowym przewodnikiem szło się bardzo przyjemnie i szybko ubywało nam drogi w tym nieznanym terenie. Dopiero teraz zaczęliśmy doceniać, co to znaczy mieć dobrego przewodnika! Choćby nawet nie był w stanie uchronić nas przed rabusiami...

Bez przerwy towarzyszył nam wiatr i mróz, zupełnie jakby na świecie istniały tylko huraganowe burze i temperatury około -30 stopni. Brak stosownej odzieży mocno dawał się nam we znaki, więc byłem bardzo szczęśliwy, gdy jeden z nomadów zgodził się sprzedać mi swój barani kożuch. Wprawdzie był nieco za ciasny i brakowało mu jednego rękawa, ale też kosztował tylko dwie rupie! W najgorszym stanie było nasze obuwie, najwyraźniej dokonujące swego żywota. Rękawiczek nie mieliśmy wcale. Aufschnaiter odmroził już ręce, mnie doskwierały stopy. Znosiliśmy ból z tępą rezygnacją, a pokonywanie codziennego etapu pochłaniało wiele energii. Jakże chętnie odpoczęlibyśmy kilka dni w ciepłym namiocie u nomadów. Mimo to, że ich potrzeby były minimalne, a żywot tak twardy, teraz częściej widzieliśmy go w jasnych barwach. Lecz nasze środki były skromne i jeśli mieliśmy dojść do Lhasy, nie wolno nam było nigdzie się zatrzymywać. A co będzie potem? O tym lepiej nie myśleć...

Często widywaliśmy – na nasze szczęście z daleka – mężczyzn na koniach i po towarzyszących im psach orientowaliśmy się, że to Khampowie. Ich zwierzęta mają rzadszą sierść niż zwykle psy tybetańskie, są chude, szybkie jak wiatr i nieprawdopodobnie szkaradne. Dziękowaliśmy Bogu, że oszczędził nam spotkania z nimi i ich panami.

Na tym odcinku naszej podróży dokonaliśmy pewnego odkrycia: przechodziliśmy koło zamrożonego jeziora, które jak się później okazało, nie widniało na żadnej mapie. Aufschnaiter naszkicował je nawet w naszym dzienniku. Jezioro to, nazywane przez tubylców Jöczab (to znaczy „woda składana w ofierze”), położone było cudownie u stóp kilku lodowców, które obchodziliśmy już od tygodnia. Najwyższy szczyt w tej okolicy był także „tronem bogów” i nosił imię szczególnie potężnego bóstwa: Dżo Gya Kang.

Zanim dotarliśmy do głównego traktu tazamów jeszcze raz natknęliśmy się na rabusiów. Wielkie chłopiska uzbrojone były w europejskie karabiny i w wypadku zaczepki nasza odwaga na niewiele by się zdała. Na szczęście pozostawili nas w spokoju – zapewne przez wzgląd na naszą nędzną powierzchowność. Tak to czasem nawet bieda może mieć swoje dobre strony.

Po pięciodniowym marszu doszliśmy wreszcie do sławnego traktu pielgrzymów. Spodziewaliśmy się drogi z prawdziwego zdarzenia, która oznaczałaby kres wszystkich naszych cierpień. Jakże wielkie było nasze rozczarowanie, gdy nie mogliśmy odnaleźć najmniejszego śladu drogi. Naszym oczom ukazała się okolica podobna do tej, którą wędrowaliśmy przez ostatnie tygodnie. Kilka pustych namiotów, przy których może się zatrzymać karawana – i to wszystko. Ani śladu jakiegokolwiek ruchu karawanowego.

Na ostatnim etapie towarzyszyły nam dwie tutejsze amazonki. Teraz już musiały nas opuścić; nie kryjąc wzruszenia, pożegnały się z nami serdecznie. Zrezygnowaliśmy, ulokowaliśmy się w jednym z pustych namiotów i roznieciliśmy ognisko. Grzejąc się przy ogniu, doszukiwaliśmy się pozytywnych aspektów naszej sytuacji. Właściwie nie brakowało powodów do radości! Najtrudniejsza część trasy była już za nami. Teraz znajdowaliśmy się na uczęszczanej drodze, prowadzącej wprost do Lhasy. Do stolicy możemy dotrzeć za piętnaście dni. Cel był tak blisko! Ale gdzież podziła się nasza radość!?

Nic dziwnego. Wielodniowe trudy tak nas wycieńczyły, że nie byliśmy w stanie odczuwać nawet przyjemności. Odmrożenia, brak pieniędzy, nędzne jedzenie – byliśmy naprawdę wykończeni. Ale najbardziej martwiły nas nasze zwierzęta. Z mojego wiernego psa pozostała tylko skóra i kości – sami ciągle nie dojadaliśmy, więc i jemu niewiele się dostawało. Łapy miał całe w ranach, ledwo włókł się za nami i na miejsce postoju docierał często kilka godzin po nas. Nasz Armin był w nie lepszym stanie. Od tygodni nie znajdował dostatecznej ilości trawy i straszliwie wychudł. Wprawdzie dochodząc do jeziora Jöczabczo, opuściliśmy już strefę śniegów, ale i tak trawa tutaj była wyschnięta i marna. Ponadto nasze codzienne mordercze etapy tak czy owak uniemożliwiały tuczącą kurację.

Następnego dnia trzeba było ruszać dalej. Moralną podniechęć czerpaliśmy z faktu, że

znajdowaliśmy się na głównym szlaku karawanowym i nie musieliśmy już czuć się jak Marco Polo. Trakt, którym mieliśmy teraz wędrować, zbudowany został przez rząd i służył pierwotnie do transportu złota z zachodniego Tybetu. Stopniowo, w miarę wzrostu ruchu handlowego w całym Tybecie, trasa ta nabierała coraz większego znaczenia, jako odciążenie drogi południowej, biegnącej wzdłuż rzeki Cangpo. Pierwszy dzień marszu głównym traktem tazamów niewiele się różnił od najgorszych etapów na bezludnych obszarach. Nie napotkaliśmy żywej duszy. Szalała burza. Wściekły wiatr ciskał wielkimi płatami śniegu i przepędzał tumany mgły. Droga zamieniła się w piekło. Na szczęście wichur uderzał w plecy i dosłownie nas popychał; gdyby wiał nam w twarz, nie byłoby mowy o zrobieniu kroku. Nasz biedny Armin był u kresu sił. Gdy pod wieczór ujrzelśmy wreszcie następny zajazd, cała czwórka nie posiadała się z radości. Dzień ten opisałem w moim dzienniku tak:

31 grudnia 1945

Potężna burza śnieżna i mgły (pierwsza mgła, którą zobaczyliśmy w Tybecie), temperatura około -30°C , najbardziej morderczy dzień naszej podróży, co chwila trzeba poprawiać juki na Arminie, niebezpieczeństwo odmrożenia rąk... Gubimy drogę, po dwóch kilometrach spostrzegamy pomyłkę, zawracamy. Wieczorem docieramy do tazamu Nyacang – jest tam osiem namiotów. W jednym mieszka bonpo z rodziną... traktują nas uprzejmie!

Błogosławiony glejt

I oto po raz drugi spędzaliśmy Sylwestra w Tybecie. Rozmyślając o tym, co osiągnęliśmy do tej pory, łatwo można było stracić wszelką odwagę. Wciąż przebywaliśmy tutaj nielegalnie: dwaj nędzni, na pół zagłodzeni wędrowcy – kryjący się przed każdym, nawet najniższym urzędnikiem – dla których Lhasa nadal pozostawała celem iluzorycznym, „Zakazanym Miastem”. W takie wieczory, jak ten, człowiek robi się sentymentalny, zaczyna snuć wspomnienia, myśli wędrują do Ojczyzny, rodziny... Nie wolno nam było jednak ani na chwilę zapomnieć o nagiej rzeczywistości. Walka o przetrwanie wymagała skupienia wszystkich sił, psychicznych i fizycznych. Tutaj możliwość spędzenia wieczoru w ciepłym namiocie była dla nas stokroć cenniejsza, niż gdybyśmy w kraju dostali na gwiazdkę wymarzony samochód wyścigowy.

Uczciliśmy Sylwestra na swój sposób. Chcieliśmy zatrzymać się tu nieco dłużej, odpocząć i odkarmić wreszcie nasze zwierzęta. Nasz list żelazny spełnił znakomicie swoje zadanie. Administrator tazamu natychmiast zrobił się uprzejmy, przydzielił nam służącego, przysłał wodę i łajno jaka na ognisko.

Rozluźnieni pozwoliliśmy sobie na długi sen. Gdy późnym popołudniem przystąpiliśmy właśnie do gotowania śniadania, przed namiotami zapanował nagle spory ruch. Okazało się, że oto nadszedł kucharz jakiegoś wysokiego urzędnika, zwiastując rychłe przybycie swojego pana. Jego zadaniem było przygotowanie wszystkiego na godziwe przyjęcie. Zaabsorbowany biegał tam i z powrotem, udając strasznie ważną osobę. Jako nakrycie głowy nosił całe lisie futro.

Przybycie wysokiego urzędnika mogło okazać się także dla nas bardzo ważne. Jednak zbyt długo przebywaliśmy w Azji, aby nie wiedzieć, że określenie „wyższy urzędnik” – to pojęcie bardzo względne. Na razie nie traciliśmy zimnej krwi. Rychło okazało się, że nie jest tak źle. Wkrótce nadszedł bonpo w otoczeniu świty i służących. Był to kupiec w służbie państwowej, który dozorował w drodze do Lhasy transport kilkuset ładunków cukru i bawełny. Oczywiście on także zaczął nas ciągnąć za język. Z anielskimi minami pokazaliśmy nasz list. Znowu zadziałał! Z oblicza bonpo zniknął urzędowy wyraz twarzy i niebawem otrzymaliśmy zaproszenie do podróżowania z jego taborem. To brzmiało nieźle! Chętnie

zrezygnowaliśmy z odpoczynku, i pospiesznie zaczęliśmy pakować bagaże, bo karawana zatrzymała się tu tylko na obiad.

Jeden z poganiaczy widząc naszego wychudzonego Armina, pokiwał tylko głową i zaproponował, za niewielką opłatą, załadowanie naszych bagaży na jaka wynajętego w tazamie. Przystaliśmy na to chętnie, ciesząc się, że Armin sobie wypocznie. Nie było chwili do stracenia. Bonpo i jego słudzy dosiedli świeżych koni, wymieniono jaki i objuczone zwierzęta natychmiast ruszyły w drogę. Należało wyruszyć równocześnie z karawaną – tylko bonpo nie musiał się spieszyć, ponieważ jadąc konno bardzo szybko nas doganiał.

* * *

Ruszyliśmy w drogę już porządnie zmęczeni, nic więc dziwnego, że dwudziestokilometrowy marsz do następnego tazamu kosztował nas niemało trudu i silnej woli. Bez przerwy myśleliśmy o odpoczynku i nasz pies chyba podobnie. Na próżno przywoływałem go i gwizdałem – zamachał niewyraźnie ogonem i legł, nie mając już sił iść dalej. Wymagaliśmy od niego za wiele. Całe łapy miał w ranach, był na pół zagłodzony. Niestety, teraz przyszło nam się rozstać! Cóż mogłem z nim począć? Jakże chętnie oddałbym go komuś, kto by o niego zadbał! Pocieszałem się, że został w pobliżu jakiejś osady. Wprawdzie jako obcy nie będzie miał łatwego życia wśród miejscowych psów, ale idąc dalej z pewnością padłby gdzieś na odludziu.

Pod ochroną karawany przemierzaliśmy codziennie długie odcinki. Nimb urzędnika był nam ochroną i wszędzie przyjmowano nas bez kłopotów. Tylko raz, w tazamie Lholam, administrator patrzył na nas podejrzliwie. Był na tyle nieuprzejmy, że nie wydał nam materiału na opał, uparcie żądając paszportu wydanego przez Lhasę. Niestety, ze zrozumiałych względów nie mogliśmy służyć takim paszportem! Ale i tak byliśmy zadowoleni, mając przynajmniej dach nad głową. Tuż po dotarciu do tazamu zauważyliśmy kilka bardzo podejrzanych postaci, kręcących się przy namiotach. Zdążyliśmy już poznać tych rzezimieszków – to byli Khampowie. Byliśmy jednak zbyt zmęczeni, aby się tym przejmować. Niech się inni martwią, my nie mamy niczego, co można by ukraść. Dopiero gdy wtargnęli do naszego namiotu i chcieli koniecznie w nami nocować, usłyszeli kilka żołnierskich słów. Na szczęście dali spokój i opuścili namiot.

Nazajutrz rano stwierdziliśmy z przerażeniem, że nasz jak zniknął. Przecież wczoraj wieczorem przywiązaliśmy go przy namiocie! Może jest na łące? Szukaliśmy na próżno, nie było go nigdzie. Po wczorajszej hołocie także ani śladu. Jasne, że to nie był przypadek; ale że też musieli ukraść akurat naszego Armina! To była dla nas bardzo dotkliwa strata.

Wpadliśmy do namiotu zarządcy tazamu ciskając mu pod nogi siodło i derkę. To on, z tą swoją niechęcią do nas, winien był, że straciliśmy jaka! Ta kradzież ugodziła nas dotkliwie. Armin numer 5 był pierwszym dobrze ułożonym przedstawicielem swojego gatunku i

potrafilismy to docenić. To dzięki niemu zdołaliśmy pokonać najtrudniejszy odcinek naszej podróży. Dobry Armin! Dla niego ta zmiana oznaczała zapewne lepszy los. Teraz przez długie miesiące będzie mógł paść się spokojnie na halach, znowu nabierze sił, i ze swojej pamięci jaka szybko wymaże przebyte trudy.

Na opłakiwanie Armina nie mieliśmy zbyt wiele czasu. Nasze bagaże od kilku godzin były już w drodze, bo karawana zawsze wyruszała jeszcze przed świtem, aby dotrzymać kroku jadącemu konno urzędnikowi. Mimo całego rozgoryczenia, szło się nam przyjemnie i lekko. Nie trzeba było poganiać ciągle zwierza, przystawać i poprawiać obluźowanych bagaży.

Już od kilku dni zbliżaliśmy się do olbrzymiego łańcucha górskiego. Wiedzieliśmy, że to masyw Nyenczenthanglha. Tam znajduje się jedyna przełęcz, przez którą prowadzi bezpośredni szlak do Lhasy.

W tym czasie przemęczenie dawało się nam już wyraźnie we znaki. Wieczorem padaliśmy wykończeni i nie byliśmy w stanie zrobić ani kroku.

Stanęliśmy właśnie na odpoczynek w tazamie Tokar. Stąd zaczynało się podejście w góry. Od następnej stacji postojowej dzieliło nas pięć dni marszu. Nie mieliśmy nawet sił myśleć o tym, jak tam dojdziemy. Ale zrobiliśmy oczywiście wszystko, co było w naszej mocy, aby dobrze zaopatrzyć się na drogę, i kupiliśmy dużą ilość mięsa.

Następne dni nie miały końca, a noce wydawały się jeszcze dłuższe. Znajdowaliśmy się w niewypowiedzianie pięknej okolicy, w pobliżu jednego z największych jezior na świecie, zwanego Namczo lub Tengri Nor. Jego obejście wkoło zajmuje podobno jedenaście dni. Chociaż tak bardzo pragnęliśmy poznać to jedno z największych bezodpływowych jezior Czangthangu, teraz nie byliśmy w stanie nawet na nie popatrzeć. Staliśmy na brzegu i nic nie mogło wyrwać nas z apatii.

Podchodzenie w górę w rozrzedzonym powietrzu wypompało z nas siły, a myśl o wysokości 6000 m, którą mieliśmy przed sobą, zupełnie nas porażała. Od czasu do czasu rzucaliśmy zdumione spojrzenie na jeszcze wyższe szczyty. Wreszcie stanęliśmy na przełęczy Guring La. Jako pierwszy i jedyny przed nami Europejczyk, przeszedł tędy w 1895 roku Anglik Littledale. Na mapach Svena Hedina jest ona – jako najwyżej położona przełęcz w Transhimalajach – oznaczona wysokością 5972 m. Jak sądzę, nie popełniam błędu mówiąc, że jest to najwyższa przełęcz na ziemi możliwa do przejścia przez cały rok.

Kolorowe flagi modlitewne wytyczają szlak pielgrzymom

Znów natrafiliśmy na stertę kamieni – taką samą jak kiedyś – z powiewającymi flagami modlitewnymi. Tuż obok poustawiano kamienne tablice z wrytymi modlitwami – dziękczynienie tysięcy pielgrzymów, którzy po znojach długiej wędrówki stanęli wreszcie na przełęczy, otwierającej im drogę do świętej Lhasy.

Z dołu podchodzili pielgrzymi, zadziwiając wielu pielgrzymów. Odwiedzili już wymarzony cel i teraz wracali do swych odległych siedzib. Ileż razy rozbrzmiewały na tym szlaku słowa prastarej buddyjskiej formuły modlitewnej *Om mani padme hum*^{*} którą bez przerwy szepczą pielgrzymi. Wierzą że chroni ona także przed „trującymi wyziewami”, którymi tłumaczą Tybetańczycy występujące na tej wysokości u wszystkich wędrowców objawy niedotlenienia. Doprawdy rozsądniej byłoby zamykać usta! W dole dostrzegaliśmy co chwila szare szkielety zwierząt, świadczące o tym, jak niebezpieczne jest przejście przez przełęcz. Poganiacze utrzymywali, że każdej niemal zimy w burzach śnieżnych giną tu także pielgrzymi. Dziękowaliśmy Bogu, że pogoda była ładna, bo już w pierwszych dniach trzeba było pokonać niemal dwa tysiące metrów różnicy poziomów.

Za przełęczą rozpościerał się zupełnie nowy krajobraz. Zniknęły łagodne wzgórza Czangthangu. Po drodze, maszerując w znoju, często mówiliśmy sobie: jak dobrze byłoby mieć *jeepa*. Teraz jazda by się zakończyła. Góry zrobiły się strome i dzikie, w przepaścistych jarach huczały potoki spływające już ku równinie lhaskiej. Poganiacze twierdzili, że z pewnego miejsca tuż pod Lhasą widać ośnieżone szczyty, przez które teraz przechodzimy. „Zakazane Miasto” było już tak blisko!

Zaczęliśmy zejście po lodowcu. Znów podziwiałem jaki, bezbłędnie odnajdujące drogę wśród lodu. Wlokąc się z trudem za nimi pomyślałem odruchowo, o ile łatwiej by się szło na nartach po tych pozbawionych szczelin polach lodowcowych. Niewątpliwie byliśmy z Aufschnaiterem pierwszymi ludźmi, rozmawiającymi o nartach na szlaku pielgrzymek do Lhasy... Jakże wabiły nas – utrudzonych wędrowców – wznoszące się wkoło sześciotysięczniki! Z czekanami łatwo dałoby się je zdobyć – chociaż jeden!

^{*} lub *om ma ni pe me hung*, jak wymawiają Tybetańczycy – mantra współczucia Avalokiteśwary (tyb. Czenrezi), którego wcieleniem jest dałajlama. Poprzez powtarzanie jej sześciu sylab praktykujący buddysta pomaga istotom wyzwolić się z sześciu sfer tzw. samsary, tj. z cierpienia (przyp. tłum.)

Na zejściu dogoniła nas jakaś młoda para. Szli z daleka i podobnie jak my zmierzali do Lhasy. Chętnie przyłączyli się do karawany i – jak to bywa w drodze – zaczęła się rozmowa. Ich los to nadzwyczajna historia, tybetańskie wydanie Romea i Julii.

Na równinach Czangthangu, w czarnym namiocie z wełny jaków, żyła sobie ładna, młoda dziewczyna, o rumianym licu i grubych czarnych warkoczach. Żyła szczęśliwie ze swymi trzema mężami, którzy byli braćmi. Pewnego wieczoru zjawił się jakiś obcy młody mężczyzna i poprosił o nocleg. Nagle wszystko się zmieniło. To była miłość od pierwszego wejrzenia! Porozumieli się potajemnie i następnego ranka już byli w drodze. O niebezpieczeństwach ucieczki przez pokryte śniegiem równiny Czangthangu nawet nie myśleli i byli szczęśliwi, że zdołali dotrzeć aż tutaj.

Wspominam tę młodą kobietę jak promyk słońca pośród tych ciężkich dni. Pewnego razu, kiedy usiedliśmy aby odetchnąć, sięgnęła do swej sakwy na piersiach i śmiejąc się wręczyła każdemu po jednej suszonej moreli. Ten skromny dar był mi tak samo cenny, jak owa sucha bułeczka, którą dostaliśmy w Wigilię.

Podczas następnych dni przekonałem się, jak mocne i wytrzymałe są tybetańskie kobiety. Ta młodziutka osoba bez trudu dotrzymywała nam kroku, niosąc swój bagaż jak każdy mężczyzna. Nie musiała martwić się o swoją przyszłość. W Lhasie bez trudu znajdzie pracę, jako służąca, i dzięki swojej krzepkości z łatwością zarobi na życie.

Już od trzech dni nie spotykaliśmy namiotów, gdy nagle w oddali ujrzeliśmy olbrzymi słup dymu wzbijający się w niebo. Czyżby to był dym z palenisk jakiegoś zamieszkanego osiedla? A może pożar? Nie, to mało prawdopodobne. Gdy podeszliśmy bliżej, wszystko stało się jasne: to była para unosząca się z gorących źródeł. Niebawem stanęliśmy przed prawdziwym cudem natury. Na powierzchni ziemi bulgotało mnóstwo źródeł, a wśród obłoków pary tryskał na cztery metry w górę wspaniały gejzer. Widok był zniewalający. Nasza następna refleksja była jednak już bardziej prozaiczna: trzeba by się wykąpać! Nasza młoda para bynajmniej nie podzielała naszego podniecenia. Propozycja kąpieli dziewczynę wręcz oburzyła. Ale to nas nie zniechęciło. Z ziemi wydobywał się wprawdzie ukrop, ale przy niskiej temperaturze powietrza (około -10° C) natychmiast stygł. Jedno z naturalnych bajorek powiększyliśmy do rozmiarów wygodnego basenu. Cóż za frajda! Od czasu ciepłych źródeł Kyirongu nie mieliśmy możliwości umycia się, a coś dopiero wykąpania – przecież nasze włosy i brody natychmiast zamarzłyby na kość.

W ciepłym strumyku wypływającym ze źródła roilo się od wielkich ryb. Natychmiast przyszło nam do głowy, że można by jedną złowić i... wrzątek do przyrządzenia jej „z wody” był pod ręką... Niestety, trzeba było gonić karawanę. Odświeżeni kąpielą ruszyliśmy naprzód.

Noc przyszło nam spędzić w namiocie, razem z poganiaczami jaków. Tej nocy miałem pierwszy atak isziasu. Zawsze sądziłem, że ta bolesna przypadłość jest zwiastunem starości i nigdy nie przyszło by mi do głowy, że tak szybko na nią zapadnę. Pewnie się przechłodziłem sypiając co noc na gołej ziemi. Pewnego pięknego poranka nie mogłem wstać. Czulem

straszny ból. Lodowaty strach przeniknął mnie do szpiku kości: co począć? Przecież nie mogę tu zostać. Podniosłem się zaciskając zęby i spróbowałem zrobić kilka kroków. Wraz z ruchem ból nieco ustępował. Odtąd każdego ranka pierwsze kilometry były dla mnie męczarnią.

Czwartego dnia po przekroczeniu przełęczy wyszliśmy z wąskiej górskiej doliny na olbrzymią równinę. Śmiertelnie zmęczeni dotarliśmy do tazamu Samsar. Wreszcie jakaś osada, z domami, klasztorem i zamkiem! Jest to jedno z najważniejszych skrzyżowań szlaków karawanowych Tybetu. Przecina się tutaj pięć dróg; panuje ożywiony ruch, domy noclegowe są przepełnione, karawany nadchodzą, zmieniają zwierzęta i ruszają dalej... Ot, barwne życie wielkiego karawanseraju!

Nasz bonpo przebywał tu już od dwóch dni i nawet on, urzędnik państwowy na służbie, musiał czekać pięć dni na zmianę jaków. Postarał się o kwaterę dla nas, materiał na opał i kucharza. Mieliśmy okazję jeszcze raz podziwiać wspaniałą organizację, jakiej nikt by się nie spodziewał w tym ogromnym, zdawałoby się niemożliwym do przebycia kraju. Na grzbietach jaków wędrowały rocznie setki tysięcy ładunków, pokonywano wiele tysięcy kilometrów, a transport funkcjonował bez zarzutu. Do dyspozycji były zawsze wypoczęte jaki, nie brakowało też miejsc na nocleg.

Teraz ruch był tak intensywny, że musieliśmy liczyć się z dłuższym postojem, nie posiadając bowiem własnego jaka, nie mogliśmy wyruszyć samodzielnie. Postanowiliśmy skorzystać z okazji i wybrać się na jednodniową wycieczkę. W pobliżu Samsaru wzbijały w niebo chmury białej pary, a więc i tutaj znajdowały się gorące źródła! Bardzo nas to pociągało. Wędrowaliśmy sobie bez pośpiechu przez pola leżące ugorem, widomy znak, że ludność przerzuciła się z rolnictwa na handel i transport.

Gorące źródła okazały się doprawdy jedynym w swoim rodzaju cudem natury. Przed nami leżało prawdziwe jezioro – bulgocząca kipiela czarnej wody, wypływającej na zewnątrz przejrzystym, kryształowym strumyczkiem. Zdecydowani na kąpiel weszliśmy do strugi w miejscu, gdzie była przyjemnie ciepła. Brodząc podchodziliśmy coraz bliżej jeziora. Woda stawała się coraz bardziej gorąca. Aufschnaiter pierwszy dał spokój, ja nurzając się z wielką przyjemnością szedłem coraz dalej, myśląc o mojej rwie kulszowej. Miałem przy sobie ostatni kawałek mydła kupionego jeszcze w Kyirongu. Położyłem go na brzegu w zasięgu ręki. Jako gwóźdź programu, zaplanowałem porządne namydlenie całego ciała. Niestety, nie zauważyłem, że przez cały czas obserwuje mnie wielka wrona. Nagle poderwała się błyskawicznie i... zniknęła z moim skarbem! Złorzeczając wyskoczyłem na brzeg, ale natychmiast wskoczyłem z powrotem do ciepłej wody, szczękając zębami z zimna. Tutejsze wrony to takie same złodziejki jak nasze sroki i już w Kyirongu przytrafiła mi się podobna przygoda.

W drodze powrotnej zobaczyliśmy po raz pierwszy tybetańskie wojsko, pułk który w liczbie pięciuset żołnierzy odbywał w tej okolicy manewry. Ludność nie jest tym zbyt zachwycona, bo w czasie ćwiczeń żołnierzom przysługuje prawo do rekwizycji. Wojsko

zakwaterowane jest we własnych namiotach, stojących równiutko w rzędach – tym sposobem nie zajmuje kwater u miejscowych, którzy jednak obarczeni są obowiązkiem dostarczenia żołnierzom koni i jucznych zwierząt.

Nocleg z więźniem zakutym w kajdany

W domu, gdzie mieliśmy nocować, czekała na nas niespodzianka. Zobaczyliśmy mężczyznę z nogami w kajdanach, z którym – jak się okazało – mieliśmy spędzić razem nocleg. Poruszał się drobnymi kroczkami i bez żenady, ze śmiechem wyznał nam, że jest mordercą, któremu wymierzono w Lhasie karę dwustu batów, a ponadto do końca życia musi chodzić w kajdanach. Z wrażenia ciarki przeszły nam po plecach. Czyżby traktowano nas tu na równi z mordercami? Wkrótce jednak mieliśmy się przekonać, że w Tybecie nie traktuje się więźniów z pogardą. Mężczyzna nie był jak to się mówi „społecznie odrzucony”. Uczestniczył we wszystkich rozrywkach i żył z jałmużny. Nieustannie mruczał swoje modlitwy – bardziej chyba dla wzbudzenia współczucia, niż ze skruchy, i najwyraźniej nieźle mu się powodziło.

Wkrótce rozniosło się, że jesteśmy Europejczykami, i bez przerwy przychodzili ciekawscy, aby nas zobaczyć. Był wśród nich pewien młody, sympatyczny mnich. Kierował on transportem towarów do klasztoru Drepung i już nazajutrz miał ruszać dalej. Usłyszawszy, że mamy tylko jeden ładunek i bardzo nam spieszo do Lhasy, gotów był oddać nam do dyspozycji luźnego jaka ze swojej karawany. O pozwolenie na podróż nawet nie zapytał. Mieliśmy rację – im bliżej stolicy, tym mniejsze napotykałyśmy trudności. Uważano za oczywiste, że obcokrajowcy podróżujący tak długo przez Tybet posiadają ważne paszporty. Mimo to dłuższe postoje w jednym miejscu mogły przysporzyć nam kłopotów, a nuż wpadnie komuś do głowy zapytać o pozwolenie... Przezornie staraliśmy się jak najprędzej ruszać w dalszą drogę.

Propozycję mnicha przyjęliśmy natychmiast. Dziękując i zapewniając wielokrotnie o naszej wdzięczności pożegnaliśmy naszego bonpo i tuż po północy, w egipskich ciemnościach ruszyliśmy w drogę. Po przejściu przez region Jangpaczen znaleźliśmy się w bocznej dolinie o nazwie Tolung, wyprowadzającej wprost na równinę lhaską. Jeździec na dobrym koniu dociera stąd do stolicy w ciągu jednego dnia.

Jesteśmy już tak blisko Lhasy! Słyszając coraz częściej to słowo wpadaliśmy w podniecenie. Zdążyliśmy się do niego bardzo przywiązać, bo to ono dodawało nam sił podczas męczących marszów i mroźnych nocy. Nawet pielgrzym z najbardziej odległej

provincji nie mógł bardziej od nas tęsknić do tego Świętego Miasta. Udało nam się podejść do Lhasy znacznie bliżej niż Hedinowi, który zmierzając podobną trasą, dwukrotnie stanął bezradny wobec muru Nyenczenthanglha. My, dwaj biedni wędrowcy, mniej rzucaliśmy się w oczy niż jego karawana; pomogły też nasze fortele i znajomość języka. Niemniej czekało nas jeszcze pięć dni marszu i trudno było przewidzieć, czy uda się nam wejść do miasta.

Wczesnym rankiem nasza karawana dotarła do następnej miejscowości i zatrzymała się na całodniowy odpoczynek. To mogło się źle skończyć. W Deczenie rezydowało dwóch wysokich namiestników prowincji, z pewnością nie nabiorą się na blef ze starym listem...

Nasz zaprzyjaźniony mnich jeszcze nie nadszedł. Mógł sobie pozwolić na dłuższy sen i prawdopodobnie dopiero teraz dosiadał konia. Ostrożnie udaliśmy się na poszukiwanie kwatery i niebawem okazało się, że mamy nadzwyczajne szczęście. Poznaliśmy młodego podporucznika, który już w południe opuszczał Deczen i bardzo uprzejmie zaproponował nam swoją kwaterę. Pobierał on w tym rejonie opłaty, którymi poborowi Tybetańczycy mogą wykupić się od służby wojskowej. Zaryzykowaliśmy pytanie, czy nie zechciałby dołączyć naszego bagażu do swojego transportu pieniędzy. Zrozumiałe, że chcemy zapłacić za tę przysługę. Zgodził się natychmiast i kilka godzin później z lekkim sercem opuszczaliśmy wieś razem z karawaną.

Nasza radość okazała się przedwczesna! Właśnie mijaliśmy ostatnie domy, gdy ktoś nas zawołał. Oglądnąwszy się, ujrzelśmy eleganckiego mężczyznę odzianego w jedwabne szaty. Nie ulegało wątpliwości, że to bonpo. Uprzejmie, ale stanowczo zapytał skąd idziemy i dokąd zmierzamy. Teraz tylko cud mógł nas uratować! W lansadach odrzekliśmy, że wybraliśmy się właśnie na małą przechadzkę i nie mamy przy sobie dokumentów, lecz nieco później nie omieszkamy złożyć wyrazów uszanowania wielmożnemu panu. Fortel się udał i ulotniliśmy się bez przeszkód.

Odtąd szliśmy wiośnie naprzeciw. Starannie utrzymane pastwiska zaczynały się już zielenić, na polach ćwierkały ptaki i chociaż była dopiero połowa stycznia, w kożuchach robiło się nam za gorąco.

Do Lhasy tylko trzy dni! Czy coś jeszcze stanie nam na przeszkodzie? Przez cały dzień szliśmy z Aufschnaiterem sami, dopiero wieczorem zeszliśmy się znowu z porucznikiem i jego małą karawaną. W tych okolicach chłopci używają do transportu wszelkich zwierząt – osłów, koni, krów i wołów, zaś jaki spotyka się tylko w karawanach, ponieważ chłopskie pastwiska są zbyt małe, aby wykarmić ich stada. Wszędzie widać było ludzi zajętych nawadnianiem pól. Gleba nie może być sucha, kiedy nadciągną wiosenne burze, bo wiatr zmiótłby drogocenną warstwę żyznego czarnoziemu. Aby ziemia stała się urodzajna, trzeba pracy całych pokoleń przy nieustannym nawadnianiu pól. Chłopi zbierają żniwo tylko raz w roku, ponieważ śnieg rzadko tu pada i nie ochroniłby oziminy. Poletka uprawne spotyka się nawet na wysokości pięciu tysięcy metrów, ale obrodzić może tam tylko jęczmień, a uprawiają je chłopci, którzy są na pół nomadami. Istnieją także rejony, gdzie jęczmień

dojrzewa w ciągu sześćdziesięciu dni, co pozwala na zbiory dwa razy do roku. W położonej na wysokości czterech tysięcy metrów dolinie Tölung, którą wędrowaliśmy teraz, rosły buraki, ziemniaki i ziele gorczycy.

Ostatnią noc przed Lhasą spędziliśmy w chłopskiej chacie. Daleko jej było do stylowych drewnianych domostw Kyirongu. W tych okolicach brakuje drewna i poza małymi stoliczkami i pryzmami prawie nie spotyka się innych mebli. Domy, zbudowane z cegieł wyrabianych z gliny pomieszanej z chrustem, nie mają okien i światło wpada jedynie przez drzwi i dymniki u powały.

Nasz gospodarz należał do najbogatszych chłopów w okolicy. Jak to bywa w systemie feudalnym, chłop jedynie użytkuje posiadłość pana i sam musi się martwić o to, by po spłaceniu daniny coś dla niego zostało. W rodzinie było trzech synów – dwóch pracowało w gospodarstwie, trzeciego przeznaczono do klasztoru. W zagrodzie były krowy, konie, kilka kur i – świny. To były pierwsze świny, które zobaczyłem w Tybecie. Najwyraźniej nie przywiązywano wagi do ich hodowli, bo nie karmiono ich. Żywiły się same odpadkami i tym, co wygrzebały sobie z ziemi.

Spędziliśmy niespokojną noc, rozmyślając o tym, co przyniesie jutrzejszy dzień. Nazajutrz miały się rozstrzygnąć nasze losy. Roztrząsaliśmy nasze położenie ze wszystkich stron i rozmawialiśmy wyłącznie o jednym – o Lhasie. Jak na razie mieliśmy powody do zadowolenia. Ale czyż dopiero teraz nie nadchodzą decydujące chwile? Nawet jeżeli uda się nam wśliznąć do Lhasy, to czy będziemy mogli tam zamieszkać? Pieniądze nam się skończyły, z czegoż będziemy żyć? Znajdowaliśmy się w opłakanym stanie, wyglądaliśmy bardziej na rozbójników z Czangthangu niż na Europejczyków. Spod naszych wysmarowanych kozuchów, pamiętających wszystkie przebyte trudy, wystawały poplamione wełniane spodnie i podarte koszule. Z butów zostały tylko strzępy. Aufschnaiter miał wprowadzić na nogach szczątki indyjskich butów wojskowych, ale obydwaj wyglądaliśmy bardziej na bosych niż obutych. Nie, nasz wygląd nie świadczył o nas zbyt dobrze. I jeszcze te nasze brody! Tybetańczycy, podobnie jak Mongołowie, są niemal pozbawieni zarostu – na naszych twarzach rósł prawdziwy gąszcz. Z tego powodu często brano nas za Kazachów, członków jednego z plemion Azji Centralnej, którzy podczas wojny masowo emigrowali z Rosji Sowieckiej do Tybetu. Przeciągali oni przez kraj z całymi rodzinami, plądrując i grabiąc po drodze, i armia tybetańska starała się jak najszybciej wyprzeć ich na teren Indii*. Kazachowie mają często jaśniejszą skórę, jasne oczy i normalny zarost. Nic więc dziwnego, że brano nas za nich i dlatego nomadzi często nie wpuszczali nas do swych namiotów.

Naszego wyglądu nie byliśmy w stanie zmienić. Nie było sposobu na to, aby przemienić się w „przyswoitych” ludzi. Nawet gdybyśmy mieli pieniądze, to i tak nigdzie nie można było kupić ubrań. Wyszliśmy jednak cało z tyłu niebezpieczeństw, że takie sprawy nie powinny nas teraz niepokoić! Od opuszczenia wioski o nazwie Nangce byliśmy zdani na łaskę losu.

* Autor ma prawdopodobnie na myśli dzisiejszy Pakistan (przyp. tłum.)

Podporucznik pocwałował wprost do Lhasy i trzeba było teraz targować się z gospodarzem o transport naszego bagażu do następnej wsi. Po zapłaceniu krowy i służącego, którego nam oddał do dyspozycji, pozostało nam zaledwie półtorej rupii i jedna złota moneta, zaszyta w odzieży. W wypadku trudności z transportem, byliśmy zdecydowani porzucić nasz bagaż, który poza dziennikami i szkicami nie przedstawiał większej wartości. Teraz nic już nas nie mogło powstrzymać!

Złote dachy Potali

15 stycznia 1946 rozpoczęliśmy ostatni etap naszej wędrówki. Opuszczamy okolice Tölungu i wchodzimy do rozległej doliny Kyiczu. Skręcamy i... w oddali widzimy połyskujące złotem dachy pałacu Potala. Przed nami zimowa siedziba dalajlamy, słynny symbol Lhasy. Ten widok to zadośćuczynienie za wszystkie trudy. Niewiele brakowało, a padlibyśmy na kolana jak pielgrzymi, dotykając czołem ziemi. Przemierzyliśmy ponad tysiąc kilometrów od Kyirongu, mając nieustannie przed oczyma obraz tego baśniowego miasta. Maszerowaliśmy siedemdziesiąt dni, pozwalając sobie tylko na pięć dni wytchnienia. Codziennie przemierzaliśmy średnio piętnaście kilometrów. Samo przejście wyżyn Czangthangu zajęło nam czterdzieści pięć morderczych dni, wypełnionych walką z głodem, mrozem i rozlicznymi pułapkami. Teraz, wobec widoku tych złotych iglic, nie miało to już najmniejszego znaczenia. Strach i ból – wszystko poszło w niepamięć. Przed nami jeszcze tylko dziesięć kilometrów i będziemy u celu!

Usiedliśmy przy stosie kamieni, układanych tu przez pielgrzymów w miejscu, gdzie oczom po raz pierwszy ukazuje się Lhasa. Tymczasem nasz poganiacz odprowadzał swoje modły, bo Lhasa oznacza dla Tybetańczyków tyle, co dla katolików Rzym.

Niebawem weszliśmy do wsi Szingdonka – ostatniej wsi przed Lhasą. Dalej poganiacz naszej krowy nie chciał iść – za żadne skarby. Nie tracąc zimnej krwi odnaleźliśmy miejscowego bonpo. Poinformowaliśmy go, że jesteśmy forpocztą niezmiernie ważnego obcokrajowca i jak najprędzej musimy dostać się do Lhasy, aby przygotować wszystko na jego przybycie. Bonpo od razu dał się nabrać na ten podstęp i przydzielił nam natychmiast osła i poganiacza. Jeszcze wiele lat później, na dostojnych przyjęciach w Lhasie, nawet u najwyższych ministrów, ze śmiechem opowiadano sobie tę historię. Tybet szczyci się bowiem systemem, który trzyma obcokrajowców z daleka od tego kraju. Sposób, w jaki udało nam się tu przedostać, był tak szczególny, że nie tylko budził szacunek Tybetańczyków, ale pobudzał także ich poczucie humoru.

Ostatnie dziesięć kilometrów sunęliśmy w potoku pielgrzymów i karawan. Przy głównej drodze kupcy ustawili stragany ze słodyczami i białymi bułeczkami smażonymi na maśle. Na widok tych smakołyków łzy zakręciły się nam w oczach... Cóż, nie mieliśmy ani grosza,

ostatnie półtorej rupii należy się poganiaczowi.

Niebawem zaczęliśmy rozpoznawać symbole miasta, które tak często podziwiliśmy w książkach: wtedy nie przyszłoby nam nawet do głowy, że ujrzymy je na własne oczy. Tam, to pewnie Czagpori, wzgórze na którym stoją budowle dwóch znanych Akademii Medycznych*. A tu, przed nami – to Drepung*, największy klasztor świata, w którym żyje około dziesięciu tysięcy mnichów. Drepung – to całe miasto składające się z wielu kamiennych budynków, to setki połączonych iglic wznoszących się nad miejscami kultu. Od klasztoru dzielą nas jeszcze ponad dwa kilometry i będziemy go oglądać przez następne dwie godziny marszu. Poniżej Drepungu widać tarasy klasztoru Neczung, kryjącego w sobie od wieków największe tajemnice Tybetu. Jest siedzibą emanacji buddyjskiego bóstwa opiekuńczego, którego tajemnicza wyrocznia kieruje losami państwa. Do niej zwraca się rząd przed podjęciem każdej ważniejszej decyzji. Teraz zostało nam jeszcze osiem kilometrów. Każdy krok przynosi nowe wrażenia. Teraz przed nami rozpościerają się zadbane pastwiska, obramowane wierzbami – ulubione miejsca wypasu koni należących do dalajlamy.

I oto dochodzimy do bardzo długiego muru, który towarzyszy nam przez całą godzinę. Mówią nam, że za nim znajduje się letni pałac Króla-Boga. Następnie mijamy budynek Misji Brytyjskiej, ukryty za wierzbami na skraju miasta. Nasz Tybetańczyk skręca, przekonany że tam właśnie zmierzamy, i z wielkim trudem udaje się go nakłonić, aby szedł dalej. Przez moment rzeczywiście przemknęło nam przez głowę, aby zwrócić się do Anglików, tak wielka była nasza potrzeba kontaktu z Europejczykami. Ale natychmiast przypomniał się nam obóz i pomyśleliśmy, że w Tybecie jednak rozsądniej będzie prosić Tybetańczyków o pozwolenie na pobyt.

Aż trudno było uwierzyć, że nikt nie zwraca na nas uwagi i nikt nas nie zatrzymuje. Od czasu do czasu oglądał się za nami jakiś bogato odziany jeździec cwałujący na pięknym, dorodnym koniu, zupełnie innym niż małe koniki zachodniego Tybetu. Później zagadka się wyjaśniła: nie wzbudzaliśmy podejrzeń, nawet gdy rozpoznawano w nas Europejczyków, bo bez paszportu nigdy dotąd nie udało się nikomu dotrzeć aż tutaj.

Przed nami coraz potężniej wznosi się Potala*. Miasta jeszcze nie widać. Kryje się za wzgórzami, na których stoi pałac i Akademia Medyczna. Dochodzimy do bramy zwieńczonej trzema czortenami, która łączy dwa wzgórza i równocześnie stanowi wejście do miasta. Nasze napięcie sięga zenitu. Teraz wszystko się rozstrzygnie! Niemal każda książka o Lhasie informuje, że tutaj znajdują się posterunki strzegące Świętego Miasta. Podchodziliśmy z bijącym sercem. Nic! Nie ma nikogo. Tylko kilku żebraków wyciągających ręce po jałmużnę.

* Kolegium medyczne zostało całkowicie zniszczone przez Chińczyków w czasie rewolucji kulturalnej (przyp. red.)

* Jeden z trzech najważniejszych klasztorów Tybetu, położony około 10 km na zachód od Lhasy Założony został w 1416 r. przez ucznia Congkapy Jamyanga Chöje. Przed inwazją chińską był największym klasztorem Tybetu, a także ważnym ośrodkiem życia politycznego szkoły Gelugpa (przyp. red.)

* Kompleks pałacowy dalajlamów, wzniesiony na górze Marpori. Jedna z pereł architektury światowej. Ma 13 pięter i jest wysoki na 117 metrów. W obecnej formie pochodzi z XVII wieku. Po inwazji Chińczyków częściowo zniszczony. Obecnie pełni funkcję muzeum (przyp. tłum.)

Żadnych żołnierzy, żadnej kontroli. Przyłączamy się do gromady ludzi idących gościńcem i bez przeszkód przekraczamy bramy miasta. Poganiacz osła, wskazując na grupę domów po lewej stronie, wyjaśnia że to jedno z przedmieść Lhasy. Idziemy teraz przez dzikie łąki, coraz bliżej do centrum. Żaden z nas nie mówi ani słowa. Patrzymy, patrzymy i wciąż jeszcze trudno nam uwierzyć, że jesteśmy w środku „Zakazanego Miasta”. Nawet dziś nie znajduję właściwych słów na opisanie moich odczuć – tak bardzo byliśmy obaj przytłoczeni i oszołomieni. Wszystkie nasze zmysły były nadzwyczaj wyczulone i równocześnie znużone. Wskutek długotrwałego stresu nie byliśmy już zdolni reagować na natłok nowych bodźców.

Dwóch włóczęgów prosi o dach nad głową

Stajemy przed mostem pokrytym turkusowym dachem i po raz pierwszy widzimy złote iglice Katedry lhaskiej*. Powoli zachodzące słońce oświetla scenę nieziemskim światłem. Drżąc z zimna w wieczornym chłodzie, zaczynamy szukać kwatery. Tutaj nie jest to takie proste, nie wypada wejść do domu, tak jak do namiotu w Czangthangu. Prawdopodobnie natychmiast zaalarmowano by strażę. Nie ma tu schronisk ani tazamów. Jednak trzeba spróbować! W pierwszym domu otworzył nam jakiś służący – niemowa, który nie chciał nas nawet wysłuchać. Pukamy do następnego. Znowu pojawia się służąca. Zaczyna krzyczeć o pomoc – nadbiega gospodyni i składając ręce błaga, żebyśmy szli gdzie indziej, bo udzielając nam kwatery, narazi się na karę chłosty. Trudno nam uwierzyć, że rozporządzenia rządowe mogą być aż tak surowe, ale nie chcemy przysporzyć kobiecie kłopotów i idziemy dalej. Błądząc wśród uliczek, wkrótce znajdujemy się na drugim końcu miasta. Widzimy dom, większy i bardziej okazały od pozostałych. Na podwórku mieszczą się nawet stajnie dla koni. Zdobywamy się na odwagę i wchodzimy. Natychmiast pojawiają się słudzy, którzy próbują nas przepędzić krzykiem i przekleństwami. Nie dajemy za wygraną i zaczynamy po prostu rozładowywać osła. Poganiacz już dawno zorientował się, że coś tu nie jest w porządku i koniecznie chce nas opuścić. Wręczamy mu zapłatę, a on wycofuje się, wyraźnie odetchnąwszy.

Przerażona służba, widząc że nie mamy zamiaru się wynosić, uderza w lament, prosi i błaga, żebyśmy sobie poszli. Słudzy opisują okropne kary, jakie czekają ich po powrocie pana, gdy zobaczy on nieproszonych gości... Nam też nie było przyjemnie domagać się gościnności na siłę, ale nie ruszaliśmy się z miejsca. Niebawem zbiegli się ludzie, słysząc głośnie krzyki, i scena zaczęła przypominać moje pożegnanie z Kyirongiem. Pozostajemy głusi na wszelkie protesty. Śmiertelnie zmęczeni, padając niemal z głodu, siadamy na ziemi przy naszych nędznych tłumokach. Teraz jest nam już wszystko jedno, niech się dzieje co chce... Żeby tylko siedzieć... odpocząć... spać...

* Tyb. Dzo-khang. Świątynia najświętszego tybetańskiego posągu zwanego Dzo-bo, wzniesiona w VII wieku przez króla Songcena Gampo. Rozbudowywana i restaurowana w czasach Dalajlamy V i XIII. Centrum sakralne wszystkich szkół buddyzmu tybetańskiego. W czasie rewolucji kulturalnej częściowo zniszczona. Obecnie odbudowana

Tłum patrzy na nasze opuchnięte, pokryte pęcherzami nogi, cichnie i w miejsce gniewu w tych otwartych, dobrodusznych ludziach budzi się współczucie. Początek czyni kobieta, podając dzbanek maślanej herbaty, to ona błagała, byśmy opuścili jej dom. Po chwili każdy coś przynosi: campe lub inne jedzenie, a nawet materiał na ogień. Wszyscy chcą zadośćuczynić chwilowej niegościnnosci. Wyglodniali, rzucamy się żarłocznie na jedzenie, zapominając na chwilę o całym świecie.

Nagle słyszymy, że ktoś zwraca się do nas doskonałą angielszczyzną. Podnosimy oczy i pomimo zmroku orientujemy się, że stojący przed nami bogato odziany Tybetańczyk z pewnością należy do najwyższego stanu. Zdumieni i szczęśliwi pytamy go, czy jest jednym z czterech arystokratów, którzy studiowali w Rugby? Nie, nie, to nieprawda – odpowiada, ale spędził wiele lat w Indiach. Pokrótce opowiadamy mu o naszych losach. Mówimy, że jesteśmy Niemcami i chcemy prosić o pozwolenie na pobyt w Tybecie. Namyśla się przez chwilę i powiada, że bez urzędowej zgody on także nie może nas przyjąć do swojego domu. Jednak natychmiast udaje się, aby zdobyć dla nas odpowiednie zezwolenie.

Ludzie szepcząc cicho rozstąpili się z szacunkiem, robiąc mu przejście. Gdy się oddalił, powiedzieli nam, że jest to wysoki urzędnik zarządzający elektrownią. Nie pokładając jeszcze zbyt wielkiej nadziei w jego obietnicy, zaczęliśmy powoli przygotowywać się do spędzenia nocy na dworze. Siedzieliśmy jeszcze przy ognisku rozmawiając z ciekawskimi, którzy bez przerwy przychodzili i odchodzili, gdy oto podeszło kilku służących prosząc, abyśmy zechcieli pójść za nimi. Pan Thangme, „naczelnik elektrowni” zaprasza nas do swego domu. Zauważyliśmy, że nazywają swojego pana z czcią „kungö”, co znaczy „Jego Wysokość”, zaczęliśmy więc zwracać się do niego w tej samej formie.

Thangme wraz z młodą żoną przyjęli nas bardzo serdecznie. Ich pięcioro dzieciaków patrzyło na nas z otwartymi buziami, jak na prawdziwy cud. „Wielmożny Pan” przyniósł dobrą wiadomość: urząd miasta zezwolił mu na udzielenie nam gościny na jedną noc, o reszcie zdecydować może jedynie Rada Ministrów. Jednakże teraz nic a nic nas to nie obchodziło. Znajdowaliśmy się w Lhasie i gościliśmy u szlacheckiej rodziny. Przygotowano nam już pokój, prawdziwy, czysty, przytulny pokój! Stał w nim mały żelazny piecyk i jego żar ogrzewał przyjemnie całe pomieszczenie. Przez ostatnie siedem lat nie widzieliśmy pieca! W dodatku cudownie pachniało jałowcem – to był wielki luksus, ponieważ transport drewna jałowcowego do Lhasy na grzbietach jaków trwa kilka tygodni. W naszych łachmanach krępowaliśmy się usiąść na posłaniu pokrytym dywanami.

Wkrótce podano wykwinną, chińską kolację. Jedliśmy oszołomieni. Wokół zgromadzili się domownicy, wszyscy nieustannie zachęcali nas do jedzenia i bez przerwy mówili: Czyżbyśmy doprawdy dokonali tego wszystkiego?! Nie mogli uwierzyć, że przeszliśmy w zimie przez Czangthang i przez przełęcz Nyenczenthanglha. Nasza znajomość tybetańskiego wywoływała głośny zachwyt. A my? Jakże brudni i nędzni czuliśmy się w tym zadbanym domu. Wszystkie rzeczy, które przez tyle lat wlekliśmy ze sobą jako nasz najcenniejszy

majątek, straciły nagle swą wartość i teraz najchętniej pozbylibyśmy się ich wszystkich.

Zmieszani i śmiertelnie zmęczeni, padliśmy wreszcie na posłania. Jednakże nie mogliśmy zasnąć. Tyle nocy spędziliśmy na twardej ziemi, chroniąc się przed strasznym zimnem jedynie pod kożuchem i podartym na strzępy kocem! A teraz leżymy wreszcie w miękkim łóżku, w ciepłym pokoju. Ciało nie przestawia się tak szybko, a myśli wirują jak w kołowrocie. Wszystko uparcie powraca, płacze się, napiera... Obóz dla internowanych! Od naszej ucieczki minęło dwadzieścia jeden miesięcy. Ileż zdążyliśmy przeżyć! A nasi koledzy wciąż tkwią w codziennej monotonii obozowego życia, bo chociaż wojna już dawno się skończyła, więźniowie nie odzyskali jeszcze wolności. Wolność...! A czy my byliśmy wolni?

Nazajutrz, zanim zdążyliśmy się całkiem przebudzić, zobaczyliśmy przy łóżku służącego trzymającego tacę ze słodką herbatą i keksami. Gdy po chwili przyniósł ciepłą wodę, za pomocą brzytwy zabraliśmy się za nasze brody. Wreszcie zaczęliśmy wyglądać przyzwoicie, ale z włosami nie mogliśmy się sami uporać. Wezwano więc muzułmanina, najlepszego podobno fryzjera, który próbował doprowadzić do ładu nasze czupryny. Rezultat był nieco egzotyczny, ale i tak wywołał zachwyt. Tybetańczycy nie mają takich zmartwień – włosy strzygą bardzo krótko lub zaplatają w warkocze.

Pan Thangme pojawił się w domu dopiero w południe. Wrócił w znakomitym humorze, przynosząc nam z Ministerstwa Spraw Zagranicznych pomyślne wieści. „Nie zostaniemy przekazani w ręce Anglików. Chwilowo możemy pozostać w Lhasie, ale uprasza się nas uprzejmie, byśmy nie opuszczali domu naszego gospodarza aż do powrotu regenta^{*}, przebywającego właśnie na odosobnieniu medytacyjnym w Taglung Tra. On to bowiem zadecyduje o naszym losie. Dano nam do zrozumienia, że tego wymaga troska o nasze bezpieczeństwo, zagrożone przez zdarzające się niekiedy wybryki fanatycznych mnichów. Rząd zapewni nam wyżywienie i nową odzież.

Ucieszyliśmy się niezmiernie. Byliśmy w drodze od tak wielu miesięcy i bardzo potrzebowaliśmy kilku dni odpoczynku. Z entuzjazmem rzuciliśmy się na stos gazet, ale ostatecznie doniesienia mniej nas zachwyciły. Na całym świecie wrzało, nasz kraj przeżywał ciężkie chwile, fotografie ukazywały niemieckich jeńców w obozach pracy przymusowej w Anglii i Francji^{*}...

Jeszcze w tym samym dniu złożył nam wizytę bonpo z magistratu, w towarzystwie sześciu nieco brudnych i nie wzbudzających zaufania policjantów. Nad wyraz uprzejmie poprosił o zgodę na przeglądnięcie naszych bagaży. W ręku trzymał dokładne sprawozdanie z Kyirongu, które porównywał z naszymi informacjami o trasie. Ta precyzja działania urzędów w Tybecie, którą teraz mieliśmy okazję podziwiać, wprawiła nas w osłupienie. Po chwili odważyliśmy się zadać pytanie: czy urzędnikom dystryktów, przez które przechodziliśmy,

^{*} Do osiągnięcia przez dalajlamę pełnoletności, władzę sprawował regent (przyp. red.)

^{*} Autor spędziwszy całą wojnę i pierwsze lata powojenne w Azji, nie znał zapewne całej prawdy o tej wojnie. Można przypuszczać, że do Tybetu nie docierały fotografie ukazujące więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (przyp. red.)

rzeczywiście grozi kara? Bonpo odpowiedział ostrożnie, że cała sprawa będzie rozpatrzona przez Gabinet, a bonpowie, którzy zawinili, mogą spodziewać się kary... Zrobiło nam się bardzo nieprzyjemnie i dla rozładowania sytuacji zaczęliśmy mu opowiadać, w jaki sposób unikaliśmy spotkań z urzędnikami i do jakich uciekaliśmy się forteli. On po chwili zrewanżował się opowieścią, jak to wczoraj wieczorem obawiano się inwazji niemieckiej na Lhasę. Okazało się bowiem, że wszyscy ludzie, których prosiliśmy o kwaterę, natychmiast pospieszyli donieść o tym do magistratu i wyglądało na to, że do miasta wkroczyło niemieckie wojsko...

Cała Lhasa mówi o nas

W całej Lhasie wszyscy mówili tylko o nas. Wszyscy chcieli nas zobaczyć i usłyszeć na własne uszy o naszych przygodach. Ponieważ nie wolno nam było opuszczać domu, zaczęły się wizyty. Żona pana Thangme miała teraz pełne ręce roboty i powyjmowała swoje najlepsze serwisy do herbaty, ponieważ to one świadczą o szacunku dla dostojnych gości. Komplet do picia herbaty składa się z metalowej podstawki, często srebrnej lub złotej, porcelanowej miseczki, oraz z przykryweczki ze spiczastym czubkiem, wykonanej z tego samego metalu co podstawa. Często widywałem też przepiękne serwisy, z bardzo starej chińskiej porcelany.

Teraz do domu Thangme przybywali codziennie bardzo dostojni goście. Pan Thangme posiadał szlachectwo piątego stopnia, a ponieważ w Tybecie do etykiety przywiązuje się bardzo dużą wagę, dotychczas podejmował on gości tylko tej samej lub niższej rangi. Ale teraz – rzecz jasna jako pierwsi – chcieli nas zobaczyć najwyższej urodzeni. Najpierw przybył z żoną syn sławnego ministra Caronga. O jego ojcu czytaliśmy już wiele. Pochodził on z prostej rodziny, stał się ulubieńcem Dalajlamy XIII, doszedł do wysokich stanowisk i dzięki pracowitości i inteligencji zdobył wielką fortunę. Przed czterdziestu laty, gdy dalajlama zmuszony był ratować się przed Chińczykami ucieczką do Indii*, pomagał w ucieczce z ogromnym oddaniem i poświęceniem. Później wiele lat był członkiem rządu i jako faworyt praktycznie posiadał władzę regenta. Chociaż później inny ulubieniec dalajlamy, Khünpela, wyparł go z tej pozycji, to i tak zachował on wysoką rangę i należne mu honory. Teraz nosił szlachectwo trzeciego stopnia i kierował mennicą.

Syn Caronga był 26-letnim młodzieńcem, wychowanym w Indiach i władającym płynnie językiem angielskim. Zachowywał się bardzo wyniośle, a we włosach związanych w węzeł nosił złoty amulet, do czego był zresztą uprawniony jako syn ministra. Stopień szlachecki nie wynika wyłącznie z urodzenia, nadawany bywa także za szczególne zasługi.

Służący podali herbatę i niebawem potoczyła się ożywiona konwersacja. Młody szlachcic wykazywał szczególne zainteresowanie techniką, wypytując nas o najnowsze osiągnięcia.

* Gdy w 1910 roku wojska chińskie, dowodzone przez generała Cza Er-fenga, dotarły do Lhasy z zamiarem narzucenia Tybetowi zwierzchnictwa, okazało się, że dalajlama wraz z głównymi ministrami zbiegł do Indii. Powrócił do Lhasy w 1912 r. (przyp. red.)

Powiedział nam, że własnoręcznie złożył radioodbiornik i na dachu swego domu umieścił generator napędzany wiatrem.

Po chwili tę przyziemną rozmowę w języku angielskim przerwała nam, uśmiechając się uroczo, żona młodego arystokraty mówiąc, że i ona chciałaby z nami porozmawiać. Jangczenla była jedną z najpiękniejszych kobiet Lhasy. Ubrana z dużym smakiem i bardzo zadbana. Najwyraźniej też nieobca jej była szminka, puder i róż. Nie była bynajmniej nieśmiała, o czym świadczył sposób, w jaki zadawała nam pytania po tybetańsku. Żywo gestykulując, przerywała nam raz po raz, to okrzykami zdumienia, to wybuchami serdecznego śmiechu, a już opowieść o naszym triku ze starym, nieważnym listem, przedkładanym pod nos tyłu urzędnikom, rozbawiła ją niemal do łez. Wyrażała też podziw dla naszej znajomości tybetańskiego, ale już wtedy zauważyłem u niej jakiś z trudem hamowany, podejrzany uśmieszek, który w rozmowie z nami pojawiał się nawet u najdostojniejszych gości. Dopiero później mieliśmy się dowiedzieć od przyjaciół, o co chodziło. Okazało się, że nasz tybetański był dialektem, najprymitywniejszym językiem chłopów i nomadów, jaki w ogóle można usłyszeć. Przypominało to, co żywo, sytuację jakiegoś drwala z najodleglejszej alpejskiej dziury, który nagle wszedł do wiedeńskiego salonu i zaczął rozprawiać swoim językiem... Nasi rozmówcy byli zbyt grzeczni, aby nas poprawiać, a bawili się przy tym wyśmienicie.

Pożegnaliśmy się z tą młodą parą jak z przyjaciółmi, ciesząc się bardzo ich prezentami. Ofiarowali nam bieliznę, sweter i papierosy, prosząc abyśmy bez ogródek powiedzieli czego nam brakuje i obiecali wstawić się za nami. Później syn ministra polecił przekazać nam wiadomość od ojca, z zaproszeniem do zamieszkania w jego domu, gdy tylko nasza sprawa zostanie pomyślnie rozpatrzona. Wszystko to brzmiało bardzo optymistycznie.

Wciąż przybywali nowi goście. Jako następny odwiedził nas brat ministra gabinetu Surkhanga, generał armii tybetańskiej. Od razu poruszył temat, który wszystkim leżał na sercu: chciał dowiedzieć się jak najwięcej o Rommlu^{*}. Wyznał, że żywi wielki podziw dla niemieckiego generała i mimo słabej znajomości angielskiego, śledzi w prasie wszystkie wiadomości na jego temat. Poprzez Indie dociera tu prasa z całego świata, a kilka osobistości prenumeruje nawet czasopismo „Life”. Dzienniki indyjskie docierają do Lhasy regularnie, chociaż niekiedy z tygodniowym opóźnieniem.

Wizyty wciąż trwały. Urzędnicy duchowni znosili nam podarunki i byli bardzo uprzejmi – niektórzy zostali moimi bliskimi przyjaciółmi. Po pewnym czasie zjawiał się członek Chińskiego Przedstawicielstwa Dyplomatycznego i sikkimski urzędnik z Misji Brytyjskiej w Lhasie. Szczególny honor uczynił nam swą wizytą szef tybetańskiej armii, Künzangce, który koniecznie chciał nas poznać, zanim uda się na czele tybetańskiej delegacji z przyjacielską wizytą do Chin i Indii. Był on młodszym bratem ministra spraw zagranicznych, człowiekiem niebywale inteligentnym i wszechstronnie zorientowanym. On także zapewniał, że nasze

^{*} Feldmarszałek Erwin Rommel – jeden z czołowych dowódców Wehrmachtu w czasie II wojny światowej; dowodził m.in. Afrikakorps i grupą armii „B”, broniącą wału atlantyckiego. Podejrzany o udział w spisku na życie Hitlera, popełnił w 1944 r. samobójstwo (przyp. red.)

starania o pozwolenie na pobyt zostaną załatwione pozytywnie i gdy to słyszałem, robiło mi się lżej na duszy.

Powoli zdążyliśmy się zadomowić, a z panem Thangme i jego żoną łączyły nas coraz serdeczniejsze więzy. Dogadzano nam, karmiono nas i cieszone się, gdy jedliśmy ze smakiem. Niestety, zaczęły nas nękać rozmaite dolegliwości – zapewne reakcja organizmu na wszystkie niedawno przeżyte mordercze trudy. Aufschnaiter gorączkował, a mnie szczególnie dokuczały ataki isziasu.

Z Chińskiego Przedstawicielstwa Dyplomatycznego Thangme sprowadził lekarza, który studiował kiedyś w Berlinie i Bordeaux. Lekarz zbadał nas metodami europejskimi i natychmiast zaaplikował nam kilka lekarstw, a gdy niebawem potoczyła się rozmowa, oczywiście o polityce, przepowiadał nam, że w ciągu najbliższych dwudziestu lat władza nad światem należeć będzie do Ameryki, Rosji i Chin...

Rozpieszczanie zbiegów

Nie ma chyba kraju na świecie, w którym tak by dbano o dwóch zabiedzonych uciekinierów jak w Tybecie. Już po kilku dniach doręczono nam paczkę z ubraniami od rządu z prośbą o wyrozumiałość, że trwało to tak długo. Wyjaśniano, że znalezienie dla nas gotowych ubrań nie było możliwe ze względu na nasz znaczny wzrost w porównaniu z przeciętnym Tybetańczykiem – ubranie oraz buty trzeba było robić nam na miarę. Ucieszyliśmy się jak dzieci, że wreszcie możemy zdjąć z grzbietu nasze stare, zawszone i podarte łachy. Natychmiast zaczęliśmy się przebierać i chociaż nie wszystko pasowało na nas jak ulał, to jednak była to porządna, czysta odzież, w której mogliśmy się wszędzie pokazać.

W przerwach pomiędzy przyjmowaniem gości zajmowaliśmy się naszymi dziennikami i sporządzaniem szkiców. Niebawem zaprzyjaźniliśmy się też z dziećmi pana Thangme. Rano, gdy wstawaliśmy, nie było ich już w domu. Chodziły do prywatnej szkoły, gdzie na wzór naszych internatów spędzały pod okiem nauczycieli większość dnia. Wieczorem chętnie pokazywały nam swoje zadania i to mnie szczególnie interesowało, ponieważ sam próbowałem uczyć się pisma tybetańskiego. Aufschnaiter zajmował się tym już wcześniej i w czasie naszej długiej tułaczki zdążył i mnie nieco nauczyć. Ale upłynęło jeszcze wiele lat zanim mogłem w miarę sprawnie posługiwać się pismem tybetańskim. Nauczenie się liter nie jest trudne, kłopoty zaczynają się dopiero przy składaniu i pisaniu sylab we właściwej kolejności. Wiele znaków alfabetu tybetańskiego pochodzi z pisma indyjskiego o tysiącletniej tradycji i dlatego bardziej przypomina on pismo hindi niż chińskie*. W Tybecie pisze się chińskim atramentem na bardzo trwałym i pięknym papierze, podobnym do pergaminu. W samej Lhasie produkuje się z makulatury papier miernej jakości, ale w Tybecie spotyka się także znakomity papier, pochodzący z okolic, gdzie rosną jałowce. Poza tym tysiące ładunków papieru sprowadza się corocznie na grzbietach jaków z Nepalu i Butanu, gdzie papier produkowany jest metodami podobnymi do tybetańskich. Później przyglądałem się często produkcji papieru, która w Lhasie odbywa się na brzegach rzeki Kyiczu. Bardzo

* Pismo tybetańskie powstało w VII w n.e., po wprowadzeniu buddyzmu do Tybetu, gdy zrodziła się potrzeba tłumaczenia na język tybetański nauk Buddy. Król tybetański wysłał do Indii swego ministra Thomi Sambhoda, który na podstawie sanskrytu ułożył alfabet tybetański, składający się z 30 spółgłosek, 4 samogłosek i 6 symboli na określenie wyrazów sanskryckich (przyp. tłum.)

rzadką, płynną masę papierową rozsmarowuje się na płachtach lnianego płótna rozpiętych na drewnianych ramach. W suchym powietrzu płaskowyzu masa wysycha w ciągu kilku godzin i gotowy papier odrywa się od płótna. Oczywiście tak uzyskana powierzchnia jest chropowata i nawet dorośli mają kłopoty z pisanem na takim papierze. Dlatego dzieci uczą się pisać na drewnianych tabliczkach – piszą bambusowymi piórkami i rozcieńczonym atramentem, a zapisane tabliczki ścierają wilgotną szmatką. Dzieciom Thangme nauka pisania szła podobnie jak naszym dzieciakom w pierwszej klasie i musiały mazać zadanie po dwadzieścia razy, zanim było dobrze napisane.

Zaczęto nas traktować jak członków rodziny. Pani Thangme przychodziła do nas ze swymi drobnymi i większymi kłopotami, rozmawialiśmy o różnych sprawach, a nasze komplementy na temat jej smaku i pięknego wyglądu sprawiały jej widoczną radość. Jak wszystkie kobiety lubiła ładne stroje i ozdoby i była dumna ze swojej biżuterii.

Pewnego dnia zaprosiła nas do swego pokoju i pokazała nam właśnie swoją biżuterię – był to dowód nadzwyczajnego zaufania. Kosztowności znajdowały się w wielkiej skrzyni, poukładane w małych kasetkach lub owinięte w jedwab. Cóż to były za skarby! Nie mogliśmy wyjść z podziwu. Przepyszne nakrycia głowy z koralu, turkusów i pereł, pierścienie, diamentowe klipsy i maleńkie tybetańskie amulety zawieszane przy koralowych naszyjnikach. Takie amulety spotyka się w Tybecie – od najtańszych, aż do bezcennych. Kobiety najczęściej nie zdejmują ich z szyi, ponieważ zawierają one talizmany, które – jak wszyscy wierzą – stanowią ochronę przed wszelkim nieszczęściem.

Nasz zachwyt sprawił pani Thangme dużą przyjemność i powiedziała nam, że każdy mężczyzna obowiązany jest kupić swojej żonie biżuterię stosowną do jego rangi. Gdyby jej mąż uzyskał wyższą rangę, natychmiast musiałby podarować jej odpowiednią biżuterię. Dobrze pomyślane! Z pewnością niejedna kobieta w Europie pragnęłaby czegoś podobnego! Ciekawe przy tym, że pieniądze nie są tu istotne, posiadanie ich bynajmniej nie upoważnia do noszenia kosztownych ozdób. Oczywiście mężczyźni także tutaj narzekają na wymagania swoich żon, gdyż podobnie jak na Zachodzie, każda kobieta pragnie mieć najpiękniejsze klejnoty. Ozdoby głowy, amulety i kolczyki stanowią podstawową własność każdej kobiety. Ich wartość bywa jednak różna. Zdarzało się, że widzieliśmy biżuterię o wartości z pewnością przekraczającej 75000 marek. Randze pana Thangme odpowiadała biżuteria o wartości około 25000 marek. Jangczenla – synowa Caronga, zwierzyła się nam, że nigdy nie odważyłaby się wyjść na ulicę bez służącego, ponieważ napady rabunkowe na bogate kobiety zdarzają się tu dość często.

W gościnie u rodziców Dalajlamy

Upłynęło osiem dni. Zgodnie z nakazem nie opuszczaliśmy domostwa i nie poznaliśmy jeszcze miasta. Jakaż to była miła niespodzianka, gdy pewnego dnia pojawili się służący i wręczyli nam zaproszenie do domu rodziców Dalajlamy! Mieliśmy udać się tam zaraz! Ponieważ jednak czuliśmy się związani obietnicą nie wychodzenia z domu, zapytaliśmy naszego gospodarza, co mamy zrobić. Nasze obiekcje przeraziły pana Thangme – wobec takiego zaproszenia wszystko jest nieważne! Tylko wezwanie do dalajlamy lub do regenta miałoby większą wagę. Nikt nie ośmieliłby się nas powstrzymać lub pociągać do odpowiedzialności za przekroczenie zakazu. Przeciwnie, wahanie oznaczałoby bardzo ciężkie uchybienie!

Słyszając to wyjaśnienie odetchnęliśmy, ale już po krótkiej chwili znowu zaczęliśmy się niepokoić o przyszłość. Czy zaproszenie to dobry znak? Podekscytowani, w pośpiechu przygotowaliśmy się do wizyty, wkładając po raz pierwszy nowe ubrania i podarowane nam przez rząd buty. Wyglądaliśmy całkiem reprezentacyjnie. Thangme w pośpiechu wetknął nam jeszcze do rąk białe jedwabne szarfy pouczając nas, jak należy je podać przy powitaniu. Z tym zwyczajem zetknęliśmy się już w Kyirongu i obserwowaliśmy go często u prostych ludzi. Białe szarfy wręcza się w Tybecie przy każdej wizycie, prośbie do ważniejszej osoby i z okazji wielkich uroczystości. Szarfy takie widuje się w różnych gatunkach i jakość ich zależy od pozycji ofiarodawcy.

Pierwszy raz od naszego efektownego wejścia do miasta szliśmy znowu ulicą. Dom rodziców Dalajlamy był niedaleko. Niebawem stanęliśmy u wielkich wrót, obok w małym domku czekał już strażnik, który na nasz widok pokłonił się z szacunkiem do ziemi.

Do pałacu szło się przez wielki ogród, pełen przepięknych wierzb i grządek warzywnych. Poprowadzono nas na drugie piętro. Otwierają się jakieś drzwi – niskie ukłony: stoimy przed matką Króla-Boga. Siedzi w wielkiej, jasnej sali na niewysokim tronie, wkoło wiele służby. Imponująca postać kobieca, pełna dostojeństwa i szlachetności. Chociaż obca jest nam pełna pokory i czci postawa Tybetańczyków w obliczu „Świętej Matki”, to jednak wyraźnie odczuliśmy podniosłość tej chwili.

A „Święta Matka” uśmiecha się już do nas ciepło, z wyraźną radością biorąc od nas

kataki, które kłaniając się podajemy jej, tak jak nauczył nas Thangme – trzymając je w wyprostowanych rękach. Szarfy natychmiast odbiera od niej służący, a Matka z promiennym, dobrodusznym uśmiechem, wbrew tybetańskim zwyczajom, podaje nam rękę na przywitanie.

W tym momencie wchodzi ojciec Dalajlamy, dostojny, starszy mężczyzna. I znowu ukłony, ceremonialne wręczanie kataków, ale i on po chwili zupełnie naturalnie ściska nam dłonie. Od czasu do czasu bywają tu Europejczycy i europejskie zwyczaje nie są całkiem obce naszym gospodarzom, co dają do zrozumienia z nutką dumy... Po krótkiej chwili wszyscy siadamy do herbaty. Wchodzą służący, nalewają najpierw ojcu, potem matce, na końcu nam i wychodzą. Herbata zaskakuje nie znanym nam aromatem i jest parzona inaczej niż zazwyczaj w Tybecie. Zainteresowani pytamy o szczegóły i natychmiast wszystkie lody topnieją. Oboje zaczynają opowiadać o swoich ojczystych stronach, o Amdo, gdzie żyli jako prości chłopci na małym gospodarstwie, zanim najmłodszy syn rozpoznany został jako inkarnacja dalajlamy*... Amdo* leży w Chinach, w prowincji Czinghai, ale niemal wszyscy mieszkańcy są Tybetańczykami. Sposób parzenia herbaty przywieźli ze swej ojczyzny do Lhasy, na czekającą ich nową drogę życia. Herbatę taką parzy się inaczej niż zwykle w Tybecie – bez masła, z dodatkiem mleka i szczyptą soli. O dawnej ojczyźnie tych dwojga przemitych ludzi przypominała jeszcze jedna rzecz – ich dialekt. Językiem tybetańskim Tybetu centralnego władali bardzo słabo i jako tłumacz służył im 14-letni brat Dalajlamy, który już od dziecka przebywał w Lhasie i opanował czysty język tybetański, a w dialekcie Amdo rozmawiał tylko z rodzicami.

Podczas rozmowy mieliśmy możliwość przyjrzenia się bliżej naszym gospodarzom. Obydwoje sprawiali bardzo dobre wrażenie. Naturalna, pełna wdzięku prostota sposobu bycia zdradzała ich pochodzenie, przy czym ich zachowanie i postawa były isticie arystokratyczne. To był dla nich niesłychany skok – z małej chłopskiej chaty na odległej prowincji wprost do Lhasy, i to do stanu książęcego! Teraz należał do nich pałac, w którym mieszkali, i rozległe posiadłości ziemskie. Tak ogromna i nagła zmiana warunków życia nie spowodowała jednak najmniejszego uszczerbku w ich psychice. „Święta Matka” jest dostojna, skromna i sprawia wrażenie bardziej inteligentnej od ojca, któremu jednak sława chyba nieco uderzyła do głowy...

Po chwili nadszedł ich 14-letni syn, Lobsang Samten. Ożywiony i otwarty zarzuca nas pytaniami, chce poznać szczegółowo nasze przeżycia. Jego młodszy „boski” brat, powiada z dumą, polecił mu opowiedzieć sobie o nas wszystko. A więc Dalajlama zainteresował się nami! Jesteśmy mile poruszeni tą wiadomością i pragniemy wiedzieć o nim więcej.

* System inkarnowanych lamów był przyjęty w Tybecie w stosunku do przełożonych niektórych klasztorów i wielkich nauczycieli. W przypadku rzeczywistej głowy państwa zastosowano go po raz pierwszy po śmierci Dalajlamy V. Dalajlama jest inkarnacją bodhisattwy Czenrezi (skr. Awalokiteśwary). Istotą inkarnacji jest buddyjskie pojęcie bodhisattwy, tj. wysoko zrealizowanej istoty, która powodowana współczuciem odradza się, rezygnując z nirwany, aby pomagać czującym istotom na drodze do wyzwolenia z cierpienia (przyp. tłum.)

* Pn.-wsch. prowincja Tybetu, obecnie w Chinach (przyp. tłum.)

Dowiadujemy się, że Tybetańczycy w ogóle nie używają tytułu „dalajlama”*, który pochodzi z języka mongolskiego i znaczy „rozległy ocean”. Dalajlamę powszechnie nazywają „gyalpo rimpocze”, co tłumaczy się w przybliżeniu „drogocenny król”. Rodzice i bracia zaś, rozmawiając z nim używają bardziej familiarnej formy „kundün”, co znaczy po prostu „obecność”.

„Święci rodzice” mają sześcioro dzieci. Najstarszy syn, na długo przed odnalezieniem Dalajlamy uznany również za inkarnację jednego z Buddów, nosił zaszczytny tytuł lamy w klasztorze Tagcel. Do niego, podobnie jak do wszystkich inkarnowanych lamów, Tybetańczycy zwracają się „rimpocze”. Drugi z kolei syn Gyalpo Thündrup przebywał w szkole w Chinach, a Lobsang Samten miał zostać urzędnikiem duchownym. Dalajlama liczył podówczas jedenaście lat i oprócz braci miał jeszcze dwie siostry. Później „Święta Matka” wydała na świat jeszcze jedną inkarnację Ngari Rimpocze. Jako matka trzech inkarnacji, była zjawiskiem nadzwyczajnym w buddyjskim świecie.

Już podczas pierwszej wizyty nawiązaliśmy serdeczny kontakt z tą skromną, mądrą kobietą. Trwał on aż do chwili jej ucieczki przed chińską Czerwoną Armią gdy wszystko się skończyło. Oczywiście, nasza przyjaźń nie miała nic wspólnego z ponadzmysłową czcią, którą otaczali ją wszyscy Tybetańczycy. Przyznaję jednak, że pomimo mojego sceptycyzmu wobec spraw metafizycznych, i ja uległem wielkiej sile osobowości i wiary emanującej ze „Świętej Matki”.

Dopiero z biegiem czasu stało się dla nas jasne, jak wielką wagę miało to zaproszenie. Nie wolno zapominać, że w całym Tybecie nikt poza tą rodziną i kilkoma osobistymi służącymi w randze opatów nie ma prawa rozmawiać z Boskim Królem, a jednak pomimo całkowitej izolacji od świata osobiście zainteresował się on naszym losem!

Gdy wizyta miała się ku końcowi, zapytano nas, jakie mamy życzenia. Nie chcąc grzeszyć nieskromnością, ograniczyliśmy się do podziękowań za gościnę. Ale już na skinienie weszli służący, wnosząc pełne worki mąki i campy, masło i miękkie wełniane koce. „To na osobiste życzenie Kundüna!” – rzekła matka i śmiejąc się wcisnęła każdemu z nas do ręki banknot stu sangów*. Zrobiła to tak naturalnie, że nie przyszło nam nawet do głowy, by poczuć się zawstydzonym.

Podziękowania, podziękowania, ukłony – z oszołomienia aż kręci nam się w głowach – zaczynamy opuszczać pokój. Przy pożegnaniu Lobsang Samten, w dowód szczególnej przyjaźni, w imieniu rodziców zakłada nam na szyję białe szarfy, a my kłaniamy się jeszcze raz.

* Tytuł ten został nadany przez przywódcę mongolskiego plemienia Tümedów Altanchana przełożonemu klasztoru Drepung. Chan zaprosił cieszącego się dużym rozgłosem mnicha do Mongolii. Wizyta doszła do skutku w 1578 r. Podczas spotkania przebiegającego w atmosferze szacunku i sympatii obie osobistości obdarzyły się nawzajem zaszczytnymi tytułami. Od tej chwili dalajlamowie byli suwerennymi władcami Tybetu, aż do zajęcia tego kraju przez Chiny, (przyp. red.)

* Tybet posiadał własny system monetarny od 1772 r. Banknoty z pieczęcią dalajlamy były w obiegu aż do inwazji chińskiej (przyp. tłum.)

Lobsang osobiście prowadzi nas do ogrodu, pokazuje nam stajnie i wspaniałe konie z Silingu i Ili – dumę jego ojca! W czasie rozmowy sugeruje, że mógłbym udzielać mu lekcji zachodniej nauki. Tą uwagą dotknął moich najskrytszych pragnień. Często wyobrażałem sobie, że mógłbym tu zarabiać na utrzymanie, ucząc szlacheckie dzieci.

Odprowadzani przez służbę, obładowani prezentami wróciliśmy do domu Thangme w świetnym nastroju, mając nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży. Tu czekano już na nas w napięciu. Musieliśmy dokładnie wszystko opowiadać, a osoby, które przyszły nas odwiedzić, były już szczegółowo poinformowane o honorze, jaki nas spotkał, i urośliśmy w oczach wszystkich niepomierne!

Podarowaną nam żywność ofiarowaliśmy naszej miłej gospodyni jako drobne zadośćuczynienie za kłopot i wydatki związane z nami i zamieszanie wywołane przez składane nam nieustannie wizyty. Pani domu wzbraniała się energicznie powtarzając, że przecież nigdy dotąd nie przekraczali jej progu tak dostojni goście.

Nazajutrz przybył do nas z wizytą brat Dalajlamy. Nasza gospodyni z szacunku nie odważyła się pokazać aż do chwili, gdy wszyscy domownicy ustawili się, aby powitać gościa, a młody lama udzielał błogosławieństwa dotykając kolejno ich głów. 25-letni Rimpocze przybył ze swojego klasztoru, by nas zobaczyć. Po raz pierwszy mieliśmy możliwość poznania wielkiego inkarnowanego lamy. W Tybecie zazwyczaj wszyscy mnisi nazywani są lamami, w rzeczywistości jednak tytuł ten przysługuje tylko inkarnacjom i nielicznym mnichom, wyróżniającym się ascetycznym życiem i cudami, których dokonują. Wszyscy lamowie mają prawo do udzielania błogosławieństwa i czczeni są niczym święci.

Możemy swobodnie poruszać się po Lhasie

Po dziesięciu dniach od naszego przybycia otrzymaliśmy z Ministerstwa Spraw Zewnętrznych, że przyznano nam swobodę poruszania się. Równocześnie przekazano nam wspaniałe, długie płaszcze karakułowe, na które wcześniej wzięto nam miarę. Na każde futro zużyto aż sześćdziesiąt skórek. Cieszyliśmy się bardzo, chociaż moja radość była nieco przyćmiona nieustannym bólem spowodowanym atakami isziasu.

Jeszcze tego samego dnia spacerowaliśmy sobie po Lhasie, w naszym tybetańskim przyodziewku, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Czegóż tam nie było! Centrum miasta to jeden wielki dom towarowy, sklep obok sklepu, a jeżeli kogoś nie stać na pomieszczenie, sprzedaje po prostu na ulicy. Sklepy nie mają wystaw w naszym rozumieniu. Każdy otwór w ścianie to wejście do nowego interesu, choćby to była maleńka dziura. Są to prawdziwe kramy, w których znaleźć można wszystko, od igieł po gumowe kalosze, a tuż obok eleganckie sklepy z sukniem, bawełną, jedwabiem i brokatami, specjalne sklepy z żywnością, w których obok produktów rodzimych stoją na półkach amerykańskie wojskowe konserwy z wołowiną, australijskie masło i angielska whisky. Nie ma rzeczy, której by nie można było kupić lub przynajmniej zamówić. Kosmetyki Elizabeth Arden, kremy Ponds, szminki, puder, róż – znaleźć można wszystko i wszystko znajduje nabywców. Amerykańskie nadwyżki wojskowe z okresu wojny leżą obok udźców z jaka i pojemników z masłem. Na zamówienie można sprowadzić maszyny do szycia, radia i gramofony, a nawet najnowszą płytę Binga Crosbiego na najbliższe przyjęcie. Ale przede wszystkim barwny tłum i targi, śmiech i klótnie. Wszyscy lubują się w handlowaniu i transakcje przedłużają się w nieskończoność. Tu nomada próbuje zamienić puszysty ogon jaka na tabakę, obok arystokratka w asyście służących i służek godzinami przerzuca stosy brokatów i jedwabi i nie mniej wymagająca żona nomady, która wybiera barwną bawełnę na nowe flagi modlitewne.

Prości ludzie noszą przeważnie ubiór zwany nambu, z czystej wełnianej surówki tkanej ręcznie na szerokość około dwudziestu centymetrów. Materiał na nambu leży wystawiony przed sklepami, zwinięty w wielkie bele w kolorze białym lub w tonacji niebiesko-fioletowej, jako że do farbowania używa się indygo i rzewienia. Białe nambu noszą niemal wszyscy poganiacze osłów, bo nie farbowany ubiór jest oznaką ubóstwa. Miara centymetrowa nie jest

znana, materiał mierzy się na łokcie, podobnie jak dawniej u nas. Dzięki moim długim kończyom, nieźle wychodziłem przy zakupach...

Potem zobaczyliśmy olbrzymi sklep z kapeluszami. Filcowe kapelusze to ostatni krzyk mody w Lhasie. Taki elegancki kapelusz w połączeniu z tybetańskim strojem tworzy całość jedyną w swoim rodzaju! Ale Tybetańczycy cenią sobie europejskie kapelusze o szerokich rondach jako ochronę przed słońcem, bo tutaj nikt nie chce być opalony. Jednakże oryginalne kapelusze tybetańskie, bogato zdobione, są bardziej malownicze i rzucają się w oczy w kolorowym tłumie ulicy. Rząd w trosce o zachowanie starych przepięknych strojów narodowych próbuje nieco przyhamować wpływ obcej mody, wydając odpowiednie zarządzenia, i nie jest to bynajmniej ingerencja w osobistą wolność Tybetańczyków. Kobiety noszą zwykle trójkątne, bogato zdobione nakrycia głowy i kapeluszy używają bardzo rzadko.

Podobnej zasady trzymają się urzędnicy i ich służba. Na fantazję nie brakuje miejsca i każdy poprzez łączenie kolorów i materiałów może wyrazić swoją indywidualność.

Poza europejskimi kapeluszami Tybetańczycy nad wyraz lubią się w parasolach. Można je kupić w różnych wielkościach, kolorach i jakości, a służą przede wszystkim do ochrony przed słońcem. Najlepszą klientelę stanowią oczywiście mnisi z wygolonymi głowami, którzy z wyjątkiem wielkich uroczystości nie noszą nakryć głowy.

Gdy odurzeni nadmiarem wrażeń wróciliśmy do domu, okazało się, że czeka na nas sekretarz Misji Brytyjskiej, który jako przyjaciel Thangme przybył złożyć nam prywatną wizytę. Zdążył już wiele o nas usłyszeć – wyjaśnił – i bardzo ciekaw jest naszych przeżyć i trasy, którą zdołaliśmy pokonać. Przebywał kiedyś w Gartoku, jako przedstawiciel handlowy swojego rządu, i znał trochę te rejony. Jego wizyta była nam bardzo na rękę. Przecież tak bardzo pragnęliśmy przesłać wiadomość do kraju, gdzie pewnie od dawna uznano nas za zaginionych, a bezpośrednie połączenie ze światem miała właśnie tylko Misja Brytyjska. Tybet bowiem nie należy do Powszechnego Związku Poczтового i jego kontakty pocztowe są nader skomplikowane.

Zachęcenі przez sekretarza poselstwa wybraliśmy się nazajutrz do brytyjskiej siedziby, aby osobiście przedłożyć naszą prośbę. Budynek misji znajdował się na skraju miasta, na wzgórzu, w wielkim, przypominającym park ogrodzie i widzieliśmy go już, gdy po raz pierwszy wchodziliśmy do Lhasy.

Służący w czerwonych liberiach wprowadzili nas najpierw do ogrodu, gdzie Reginald Fox, radiooperator, odbywał swoją poranną przechadzkę. W Lhasie mieszkał od wielu lat, za żonę pojął Tybetankę i miał czworo prześlicznych dzieci o jasnych włosach i wielkich, czarnych oczach w kształcie migdału; dwoje starszych przebywało w szkole w Indiach.

Fox był jedynym mężczyzną w Lhasie, który posiadał godny zaufania motocykl. Poza obowiązkami w Poselstwie Brytyjskim zajmował się nieustannym ładowaniem baterii radiowych dla całej Lhasy i dzięki swej solidności był powszechnie znany i ceniony. Przez radio miał bezpośrednie połączenie z Indiami.

Tymczasem zostaliśmy zaanonsowani i służący poprowadził nas na pierwsze piętro. Na słonecznej werandzie stoi pięknie nakryty stół ze śniadaniem. I oto wchodzi szef poselstwa. Wita nas serdecznie i zaprasza na prawdziwie angielskie śniadanie. Ileż to lat upłynęło od czasu, kiedy ostatni raz siedzieliśmy w fotelach? Obrus, flakon z kwiatami, książki, przytulnie europejsko urządzony pokój – nasze oczy wędrują w milczeniu i mamy wrażenie jakbyśmy wrócili do domu. Nasz gospodarz rozumie to uczucie. Uśmiechając się podąża za naszym wzrokiem i gdy patrzymy na książki, uprzejmie zaprasza do korzystania z jego biblioteki.

Zaczyna się rozmowa. Taktownie nie pada pytanie, które w głębi duszy tak bardzo nas niepokoi: czy nadal jesteśmy jeńcami wojennymi? Wreszcie decydujemy się zapytać wprost, czy nasi koledzy siedzą jeszcze za drutami? Fox nie jest w stanie udzielić nam odpowiedzi na to pytanie, ale obiecuje zaczerpnąć informacji z Indii. Teraz przystępuje już całkiem otwarcie do skomentowania naszej sytuacji. Zna doskonale wszystkie szczegóły naszej ucieczki i sugeruje, że dowiedział się od Rządu Tybetańskiego o naszym rychłym powrocie do Indii. Ta perspektywa nie bardzo nam odpowiada. W takim razie – pyta – może interesowałaby nas praca w Sikkimie? Ma tam odpowiednie znajomości i za kilka dni właśnie się tam udaje. Przyznajemy otwarcie, że wolelibyśmy pozostać w Tybecie. Gdyby jednak okazało się to niemożliwe, chętnie skorzystamy z jego propozycji.

Waga problemów dotyczących naszej przyszłości nie zepsuła nam jednak apetytu. Śniadanie jest wyśmienite, dawno nam tak nic nie smakowało – niebawem dzbanki, miski i koszyczki są puste. Czy wezmą nam to za złe? Ale nasz gospodarz tylko się uśmiecha i dyskretnie daje znak, aby doniesiono jedzenie. Potem rozmowa przechodzi na tematy prywatne. Wreszcie możemy wyrazić naszą prośbę, aby umożliwił nam przesłanie wiadomości do Ojczyzny! Przedstawiciel poselstwa obiecuje przekazać ją za pośrednictwem Czerwonego Krzyża. Później zezwalano nam od czasu do czasu na wysyłanie listów przez Przedstawicielstwo Brytyjskie. Przeważnie jednak zmuszeni byliśmy korzystać ze skomplikowanej funkcjonującej poczty tybetańskiej: najpierw wysyłaliśmy list do granicy, w podwójnej kopercie i ze znaczkami tybetańskimi. Na granicy pewien człowiek usuwał pierwszą kopertę, naklejał indyjskie znaczki i wysyłał list dalej. Przy dużym szczęściu list z Europy docierał tu w 2 tygodnie, a wiadomości z Ameryki w 20 dni.

W Tybecie listy doręczane są przez gońców pocztowych, którzy przebiegają sztafetowo po 6,5 kilometra. Przekazywanie poczty odbywa się w maleńkich chatkach znajdujących się we wszystkich punktach węzłowych. Każdy goniec nosi miecz i dzwonek jako atrybuty urzędu. Miecz służy w razie potrzeby jako broń, a dzwonki odstraszały w nocy dzikie zwierzęta. W Tybecie jest w obiegu pięć rodzajów znaczków, które drukowane są w mennicy i sprzedawane w urzędach pocztowych.

Składamy oficjalne wizyty dostojnikom z Lhasy

Wracaliśmy z wizyty w Misji Brytyjskiej bardzo zadowoleni, bo i tam spotkaliśmy się z przychylnością i żywiliśmy nadzieję, że Anglik przekona się o naszej niewinności. W świetnym nastoju przeszliśmy trzy kilometry dzielące nas od miasta i znaleźliśmy się u stóp Potali, w dzielnicy Szö, gdzie mieściły się główne urzędy, świątynie i państwowe drukarnie. Wtem niespodziewanie podeszło do nas kilku służących prosząc, abyśmy zechcieli wstąpić do domu ich pana. Zaciekawieni spyaliśmy kim jest ten pan, który życzy sobie naszej wizyty? Okazało się, że zaprasza nas wysokiej rangi duchowny urzędnik rządowy – jeden z czterech Trünji Czemo – potężnych bonpów, dzierżących w swych rękach losy wszystkich mnichów w Tybecie.

Wprowadzono nas do solidnego, dużego domu. Cała służba to mnisi. Wszędzie pachnie czystością, tak że na kamiennej podłodze w pokoju można by jeść. Wita nas serdecznie starszy, sympatyczny mężczyzna. Natychmiast pojawia się herbata i keksy. Po zwykłej wymianie grzeczności zaczyna się rozmowa, z której rychło wnioskuje o uczciwych intencjach naszego gospodarza. Jest świadom – podkreśla z naciskiem – że jego kraj jest zacofany i potrzebuje takich ludzi jak my. Niestety, nie wszyscy podzielają jego opinię i dlatego jest gotów wstawić się za nami. Jakie jest nasze wykształcenie? Co umiemy? Jaki zawód wykonywaliśmy w ojczyźnie? Po tylu latach wreszcie spotkaliśmy kogoś, z kim mogliśmy rozmawiać o naszych studiach. Gospodarz okazał szczególne zainteresowanie zawodem Aufschnaitera, inżyniera rolnictwa i przyznał, że w Tybecie brakuje fachowców w tej dziedzinie. A przecież tyle można by w tym rozległym kraju zrobić...

Nazajutrz składaliśmy oficjalną wizytę u każdego z czterech ministrów. W ich rękach spoczywa najwyższa władza w Tybecie i podlegają tylko regentowi. Trzej z nich są dostojnikami świeckimi, czwarty jest mnichem. Wszyscy pochodzą z arystokratycznych rodów tybetańskich i mieszkają w okazałych domach.

Długo zastanawialiśmy się, któremu należy najpierw złożyć wizytę. Wypadało właściwie zacząć od ministra – mnicha. Spodziewając się jednak, że największe zrozumienie znajdziemy u najmłodszego, postanowiliśmy bezceremonialnie zacząć od Surkhanga, który miał 32 lata i uchodził za najbardziej postępowego ministra.

Minister Surkhang osobiście wyszedł nam na spotkanie, powitał nas serdecznie i natychmiast poczuliśmy wzajemną sympatię. Niebawem zaskoczył nas swoją wiedzą o wydarzeniach na świecie. Zaprosił nas na wspaniały obiad, a pod koniec wizyty żegnaliśmy się jak starzy znajomi.

Następnie udaliśmy się do ministra Kapszöpy. Był to człowiek sporej tuszy, zachowywał się jak osoba świadoma należnego mu szacunku i przyjął nas dość wyniośle. Siedział na tronie, łaskawie czekając aż podejdziemy i złożymy pokłony, po czym wskazał przygotowane dla nas krzesła i zarzucił nas potokiem frazesów. Dla zwiększenia efektu zaczynał w odpowiednich momentach głośno chrząkać i służący natychmiast podsuwał mu pod usta małą złotą spluwaczkę. To był szczyt pozerstwa. Wprawdzie w Lhasie spluwanie jest rzeczą powszechnie przyjętą i spluwaczkę można znaleźć przy każdym stole, to jednak podsuwanie spluwaczki pod usta – tego już doprawdy za wiele!

Tego człowieka nie dało się „rozgryźć” przy pierwszym spotkaniu. Postanowiliśmy więc zachowywać się biernie, byliśmy niemniej uprzejmi i w przepisowej postawie piliśmy ceremonialną filiżankę herbaty. Ponieważ pan Kapszöpa nie przewidział, że możemy znać tybetański, zaprosił w charakterze tłumacza swojego bratanka, który z racji znajomości angielskiego zatrudniony był w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Później wielokrotnie mieliśmy z nim do czynienia. Był on typowym przedstawicielem młodego pokolenia, kształconego w indyjskich szkołach, z głową pełną reformatorskich projektów dla Tybetu. Jednakże obecnie nie odważyłby się zjednywać konserwatywnych mnichów dla swoich idei. Pewnego razu, gdy znaleźliśmy się sam na sam, pozwolił sobie na uwagę, że mamy z Aufschnaiterem pecha, przybywając do Lhasy o kilka lat za wcześnie; gdyby on i kilku młodych arystokratów dzierżyli teki ministrów, mielibyśmy pełne ręce roboty...

Rozstawszy się wreszcie ze zdawkowymi uprzejmościami Kapszöpy, ujrzelśmy w holu tłum ludzi o wylęknionych twarzach, przybyłych tu z różnymi prośbami i czekających z prezentami na audiencję.

Natomiast minister mnich rezydujący przy ośmiokilometrowej ulicy pielgrzymek, zwanej Lingkorem, przyjął nas o wiele skromniej. Nie był już pierwszej młodości. Miał krótką białą brodę, z której był bardzo dumny, ponieważ broda w Tybecie należy do rzadkości. Mówił jasno, zwięźle, rzeczowo i, w przeciwieństwie do innych, unikał wyrażania jednoznacznych opinii. Nazywał się Rampa i jako jeden z nielicznych mnichów miał arystokratyczny rodowód. Rozwój ogólnej sytuacji musiał go skrycie niepokoić, bo interesowały go bardzo nasze poglądy na politykę Rosji. W starych pismach – rzekł – istnieje przepowiednia, która głosi, że wielka siła z północy zaleje Tybet, zniszczy religię i zawładnie całym światem...

Ostatnia wizyta należała się Pünkhangowi, najstarszemu z czterech ministrów. Był to człowieczek niskiego wzrostu, z grubymi okularami na krótkowzrocznych oczach, co było czymś niezwykłym w Tybecie, ponieważ okulary jako „zagraniczny wymysł” są odrzucane. Urzędnikom zabrania się ich używania, a w prywatnym życiu także patrzy się na nie

niechętnie. Nasz minister musiał otrzymać specjalne zezwolenie od Dalajlamy XIII na używanie okularów w urzędzie, ale podczas wielkich ceremonii był z powodu swej krótkowzroczności całkowicie bezradny. Pünkhang przyjął nas w obecności swojej żony i chociaż siedział na należnym mu wyższym miejscu, wystarczył rzut oka, by zorientować się, że w tym domu pierwsze skrzypce gra małżonka. Po wygłoszeniu kilku powitalnych uprzejmości nie doszedł już do słowa, bo żona zalała nas potokiem pytań.

Później Pünkhang poprowadził nas do swojej domowej kaplicy. Do zakurzonego pomieszczenia przenikało niewiele światła i panował tu mrok. Pünkhang, jako potomek rodziny jednego z dalajlamów, szczycił się bardzo swoim pochodzeniem – wskazując na jeden z wielu świętych posążków na ołtarzu objaśnił, że przedstawia on Boskiego Króla urodzonego w rodzie, z którego i on pochodzi.

Z biegiem czasu poznałem także synów Pünkhanga. Najstarszy był gubernatorem w Gyance. Bardziej interesująca była jego żona, księżniczka z Sikkimu, z pochodzenia Tybetanka. Była to jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem, posiadająca ten niewypowiedziany wdzięk kobiet Azji – odbicie prastarej kultury wschodu. Równocześnie była kobietą nowoczesną, mądrą i wykształconą w najlepszych szkołach Indii. Była pierwszą kobietą w Tybecie, która odmówiła poślubienia równocześnie braci swojego męża, ponieważ to nie odpowiadało jej poglądom. Można było z nią prowadzić konwersację jak z najświetlejszą damą europejskich salonów. Interesowała się kulturą, polityką i wszystkim, co działo się w świecie. Często rozmawialiśmy na temat równouprawnienia kobiet... Ale do tego daleko jeszcze w Tybecie.

Żegnając się z Pünkhangiem i jego żoną poprosiliśmy, aby i on zechciał poprzeć nasze starania o pozwolenie na pobyt w Tybecie. Podobnie jak inni obiecał oczywiście uczynić wszystko, co tylko będzie w jego mocy. Przebywaliśmy jednak w Azji dostatecznie długo, by wiedzieć, że tutaj nigdy nie pada wyraźnie słowo „nie”. Wydalenie z Tybetu zawsze było możliwe, i co wtedy? Czy znowu znaleźlibyśmy się w Indiach, za drutami?

Uznaliśmy za konieczne zabezpieczenie się ze wszystkich stron i postanowiliśmy nawiązać dobre stosunki także z Chińskim Przedstawicielstwem Dyplomatycznym. Charge d'affaires przyjął nas ze słynną chińską uprzejmością i obiecał natychmiast przekazać do swojego rządu nasze pytanie o możliwość uzyskania zezwolenia na pobyt i pracę w Chinach.

Staraliśmy się, jak widać, na wszystkie sposoby zabiegać o pomoc i przekonać wszystkich, że nikomu nie zagrażamy. Zdarzało się bowiem dosyć często, że podczas spacerów obcy ludzie zaczepiali nas, zadając nam bardzo dziwne pytania, a pewnego razu jakiś Chińczyk zrobił nam nawet zniechęcające zdjęcie. Aparat fotograficzny w Lhasie – to było coś nadzwyczajnego! Ten epizod dał nam wiele do myślenia. Dochodziły nas wieści, że po Lhasie kręcą się rozmaici ludzie przekazujący informacje za granicę. Może brano nas za agentów jakiegoś obcego mocarstwa? Jedynie Anglicy wiedzieli doskonale, że jesteśmy niegroźni, zdążyli bowiem dokładnie dowiedzieć się skąd przybywamy i sprawdzić nasze

dane. Inni mogli nam przypisywać wszystko, co tylko komu przyjdzie do głowy. Co do nas – polityczne ambicje były nam zupełnie obce, pragnęliśmy jedynie uzyskać azyl i pracę aż do chwili, kiedy będziemy mogli wrócić do Europy.

Tymczasem zapanowała prawdziwa wiosna i chociaż minęła zaledwie połowa lutego, nastała piękna, ciepła pogoda. Trzeba pamiętać, że Lhasa leży bardziej na południe od Kairu*, a wysokość sprawia, że promieniowanie słoneczne jest bardzo silne. Czuliśmy się znakomicie. Przydałoby się nam tylko nieco więcej wolnego czasu. Codzienne zaproszenia i wizyty, wielogodzinne świąteczne obżarstwo, przechodzimy z rąk do rąk, jak cudowne zwierzątka – wiemy żywot najprawdziwszych leniuchów i wkrótce mamy już tego dość! Chcemy zażyć trochę sportu. Ale poza niewielkim placem do koszykówki nie ma tu urządzeń sportowych. Młodzi Tybetańczycy i Chińczycy byli uszczęśliwieni, gdy zaproponowaliśmy im wspólną grę. Ilekroć tylko pozwalał na to mój iszias, wtajemniczałem ich w reguły i tajniki koszykówki. Na placu znajdował się także prysznic, który – rzekłbym – przyciągał nas najbardziej. Ale za kąpiel trzeba było uiścić „drobną opłatę”, bagatelka – dziesięć rupii. Nieprawdopodobna cena, zważywszy że tyle kosztuje jedna owca. Wysoka cena ma swoje uzasadnienie – do podgrzewania wody potrzebny jest bowiem wysuszony krowi nawóz, którego w Lhasie brakuje i sprowadzany jest tu z daleka.

Słyszeliśmy, że przed kilku laty było nawet w Lhasie boisko do piłki nożnej, istniało jednaście drużyn i rozgrywano prawdziwe piłkarskie zawody! Pewnego razu, dokładnie w środku meczu, nadciągnęła gradowa burza, która spowodowała wielkie straty. Od tej chwili zabroniono gry w piłkę nożną! Być może regent już wcześniej patrzył niechętnym okiem na ten sport, być może mnisi obawiali się o swoje wpływy, bo mieszkańcy z zapamiętaniem kibicowali meczom, nie wyłączając mnichów z pobliskich klasztorów Drepung i Sera. W każdym razie gradobicie uznano za karę boską, zesłaną za uprawianie tego niecnego sportu, i boisko zostało zlikwidowane.

Nawiązując do tej historii zapytaliśmy przyjaciół, czy rzeczywiście istnieją lamowie, którzy posiadli moc powstrzymywania gradu i burz. Tybetańczycy wierzą w to niezachwianie. Na wszystkich polach spotyka się małe kamienne wieżyczki, w których pali się kadzidło i ustawia miseczki ofiarne, gdy tylko nadciąga niepogoda. Niektóre wioski posiadają nawet własnych „zaklinaczy pogody”. Są to mnisi, uważani za szczególnie biegłych w tej dziedzinie.

Rytuał polega na tym, że dmąc w wielkie muszle, mnisi wydobywają z nich wibrujące tony podobne do bicia dzwonów kościelnych, które czasem jeszcze słyszy się u nas w górskich wioskach, gdy nadciąga burza. Ale w Tybecie nie traktuje się burzy jako zjawiska fizycznego – wszystko to cuda, czary i wola bóstw...

Pewnego razu usłyszeliśmy na ten temat zabawną anegdotę z czasów Dalajlamy XIII. Miał on oczywiście osobistego wróżbitę i zaklinacza pogody. Był to największy wróżbita

* Lhasa leży na wysokości 3700 m n.p.m. (przyp. tłum.)

owych czasów. Do jego szczególnych obowiązków należało ochranianie przed burzami ogrodu przy letnim pałacu dalajlami. Kiedyś zdarzyło się, że potężna burza gradowa zniszczyła wszystko – piękne kwiaty, dojrzewające jabłka i soczyste brzoskwinie. Zaklinacza wezwano przed oblicze żyjącego Buddy, który siedział zagniewany na tronie i, ujrawszy przerażonego wróżbitę, zażądał by natychmiast dokonał on cudu, pod groźbą kary i zwolnienia z pracy! Czarownik padł na kolana i poprosił o sito. Zwykle, najzwyczajniejsze sito... Czy Pan zechce zadowolić się takim cudem, że woda wlana do sita nie wycieknie? Dalajlama skinął głową i wróżbita wlał wodę do sita. I patrzcie tylko! Nie wyciekła nawet jedna kropla! Honor czarownika został uratowany i mógł on zachować swoje stanowisko.

Nie wiadomo, czy wróżbita posłużył się hipnozą, czy też zastosował jeden z wielu trików, znanych mu ze starych ksiąg magicznych? W każdym razie uratował własną skórę.

Tymczasem nieustannie łamaliśmy sobie głowy, jak tu zarobić na życie, jeżeli pozwolą nam zostać w Lhasie. Na razie nie mogliśmy narzekać – troszczono się o nas wspaniałomyślnie. Na polecenie ministra spraw zagranicznych dostarczono nam worki campy i mąki, herbatę i masło. I miłą niespodziankę w postaci 500 rupii, którą w imieniu rządu wręczył nam bratanek Kapszöpy. Natychmiast odpowiedzieliśmy listem dziękczynnym, w którym zaoferowaliśmy swoją pracę i umiejętności, w zamian za mieszkanie i wyżywienie.

Przyjaźń z Carongiem

Już od trzech tygodni gościliśmy w domu pana Thangme. Teraz zapraszał nas do siebie bogaty Carong. Przystaliśmy na tę propozycję z wdzięcznością – Thangme miał pięcioro dzieci i niezręcznie nam było dłużej zajmować ich pokój. To on, przygarniając z ulicy dwóch biednych wagabundów, był naszym prawdziwym przyjacielem, wyświadczył nam wielką przysługę i nigdy nie zapominaliśmy o tym. Na Nowy Rok otrzymywał od nas zawsze białą szarfę, a później, gdy już miałem własny dom, zaproszenie na przyjęcia świąteczne.

U Caronga przygotowano nam obszerny pokój, urządzony w europejskim stylu. Był tam stół i fotele, łóżka i piękne dywany, a tuż obok pokoju małe oddzielne pomieszczenie do mycia. Znaleźliśmy jeszcze coś, czego nam dotąd tak bardzo brakowało: zamykaną toaletę. Ta sprawa to bardzo przykry problem w całym Tybecie – pod tym względem panuje całkowita swoboda i nikt się tu nie krępuje. Przy ścianie domu stał niewysoki murek z kilkoma schodkami, na nim platforma, kilka otworów, w dole dziura wykopana w ziemi – to szczyt komfortu. A i takie urządzenia spotyka się nieczęsto.

Rankiem poszliśmy do kuchni po ciepłą wodę do mycia. Było to olbrzymie pomieszczenie na zewnątrz budynku, wsparte na słupach. Podłogę tworzyło zwykłe klepisko, a pośrodku stał wielki gliniany piec, dostępny ze wszystkich stron, w którym bez przerwy, w dzień i w nocy, płonął ogień podsycany przez służącego. Gdy nadchodził czas gotowania, mężczyzna uruchamiał olbrzymie miech i na palenisku wybuchały iskry, jak w kuźni. Trzeba pamiętać, że Lhasa leży na wysokości 3700 m i przy mniejszej ilości tlenu do rozpalenia nawozu jaków, który służy tu za opał, oraz do podtrzymania płomienia niezbędne są dodatkowe środki.

Carong mógł sobie pozwolić na zatrudnienie kilku kucharzy. Szef kuchni pracował poprzednio w pierwszorzędnym hotelu w Kalkucie i kuchnia europejska nie była mu obca. Potrafił przygotować nie tylko wspaniałe pieczyste, ale także wyborne ciasta. Inny kucharz wrócił niedawno z Chin, gdzie poznał wszystkie specjalności kuchni chińskiej. Carong uwielbiał zaskakiwać gości nieznanymi przysmakami.

Dziwiło nas niezmiernie, że w kuchniach wytwornych domów kobiety spełniały tylko funkcje pomocnicze i nigdy nie były kucharkami!

Posiłki w Tybecie jada się w nieco innych porach niż u nas. Rano pija się herbatę z masłem, jak i później wielokrotnie w ciągu całego dnia. Słyszałem, że mieszkańcy Lhasy wypijają dziennie do dwustu filiżanek herbaty z masłem! To oczywiście przesada, ale rzeczywiście można odnieść takie wrażenie. Istnieją dwa zasadnicze posiłki, jeden podaje się przed południem, o dziesiątej, drugi – wieczorny – po zachodzie słońca.

Pierwszy posiłek, zawsze taki sam: campe z dodatkami, spożywaliśmy obydwaj w naszym pokoju. Wieczorem zazwyczaj zapraszano nas do Caronga. Przy olbrzymim stole zasiadała cała rodzina, podawano wiele dań i ten posiłek był właściwie głównym punktem dnia, kiedy to spotykali się razem wszyscy domownicy i omawiali najważniejsze wydarzenia.

Po kolacji siadaliśmy w salonie, nieco przeładowanym dywanami, kuferkami i posążkami, zapalaliśmy papierosa i popijając szklaneczkę piwa podziwialiśmy najnowsze zakupy pana domu. Wprost nie do wiary, co też Carong potrafił zdobyć! Posiadał nawet wspaniały odbiornik radiowy. Z wielką przyjemnością wylapywaliśmy wszystkie możliwe rozgłośnie na świecie, które odbierać można na Dach Świata bez najmniejszych zakłóceń. Raz słuchaliśmy najnowszych płyt, innym razem mogliśmy wypróbować powiększalnik, podziwiać aparat fotograficzny, a nawet teodolit, który Carong przyniósł i rozpakował przy nas pewnego wieczoru. I z tymi wszystkimi przedmiotami umiał się obchodzić. Był jedynym mężczyzną w Lhasie, który miał tyle „koników” na raz i doprawdy nie mogliśmy lepiej trafić. Zbierał znaczki, utrzymywał korespondencję z całym światem (przy wydatnej pomocy swego syna), posiadał znakomitą bibliotekę i piękne zbiory zachodniego malarstwa. Były to przeważnie upominki, pozostawiane mu w darze przez przybywających do Lhasy Europejczyków, którym udzielał gościny.

Carong był nieprzeciętnym człowiekiem. Nieustannie próbował wprowadzać w kraju reformy, a gdy rząd rozstrzygał jakieś ważne sprawy, niezwłocznie wzywano go jako doradcę. Jedyny żelazny most w Tybecie był jego zasługą. Został on na jego zlecenie zaprojektowany i skonstruowany w Indiach, następnie rozłożony na części i przeniesiony kawałek po kawałku na grzbietach jaków i ludzi na Dach Świata. Carong był samoukiem najnowocześniejszego formatu i z jego talentami nawet w krajach zachodnich uznano by go za wybitną osobowość.

Jego syn, George – zachował swoje imię szkolne z Indii – wdał się w swego ojca. Już przy pierwszym spotkaniu mogliśmy podziwiać jego wiedzę i wielostronność zainteresowań. W tym okresie pasjonował się fotografią i zdjęcia robił naprawdę niezłe. Pewnego wieczoru zaskoczył nas, pokazując własnoręcznie nakręcony kolorowy film. Brzęczenie projektora, kolorowe obrazy wciąż przecież nie znanego nam świata stwarzały złudzenie, że siedzimy w kinie „Urania” w Wiedniu! Czar prysnął, gdy nagle zabrakło prądu. Słaby silniczek miał swoje humory i trzeba było uruchamiać go ciągle od nowa. Taka to była drobna różnica!

Naszą jedyną wieczorną rozrywkę stanowiły zaproszenia do Caronga oraz książki wypożyczane od niego i z Misji Brytyjskiej. W Lhasie nie ma ani kina, ani teatru, nie mówiąc

już o lokalach, i całe życie towarzyskie odbywa się w prywatnych domach.

Dni spędzaliśmy na nieustannych zabiegach, by nie uronić ani jednego wrażenia, nie przeoczyć żadnej ciekawej rzeczy. Wciąż tkwił w nas lęk, że nie zdążymy wszystkiego poznać, zanim pewnego pięknego dnia wydalą nas z tego kraju. Wprawdzie nasze obawy nie wynikały z jakichś bezpośrednich powodów, ale jednak nie ufaliśmy przesadnie ugrzecznionym słówkom i uprzejmościom. Czy to przypadkowo słyszeliśmy już tyle razy historię o angielskim nauczycielu? Rząd tybetański zwrócił się do niego z prośbą o założenie w Lhasie szkoły na wzór europejski, proponując mu wieloletni kontrakt. Po sześciu miesiącach musiał pakować walizki, bo przeciwni temu projektowi mnisi potrafili obrzydzić mu skutecznie Tybet.

Tybet nie zna pośpiechu

Regularnie każdego dnia składaliśmy wizyty i rewizyty, bo wciąż nas zapraszano, i dzięki temu zdołaliśmy już nieźle poznać życie rodzinne wyższych sfer. Myśląc o naszych europejskich miastach, zazdrościliśmy mieszkańcom Lhasy przede wszystkim jednej rzeczy: oni zawsze mieli czas! Nieustanny pośpiech – najcięższa choroba naszego wieku – jeszcze do Tybetu nie dotarł. Tutaj nikt się nie przepracowuje. W urzędach wszystko odbywa się spokojniutko, bez pośpiechu. Urzędnicy pojawiają się tuż przed południem i wczesnym popołudniem udają się z powrotem do domów. Gdy któremuś przeszkodzą goście, wysyła po prostu służącego do kolegi i prosi o zastępstwo.

Kobiety nie słyszały jeszcze o równouprawnieniu i odniosłem wrażenie, że wcale im to nie przeszkadza. Długie godziny spędzają na robieniu makijażu, nawlekaniu pereł, wybierają materiały i wymyślają, w jaki sposób na najbliższym przyjęciu przyćmić panią Takątoataką. W domu nie kiwną nawet palcem, ale jako symbol swej władzy trzymają zawsze w ręce pęk kluczy. W Lhasie najmniejszą szufladę zamyka się na sto zamków.

Nadto istnieje jeszcze gra madżong, rodzaj chińskiego domina, którą przez długi czas pasjonowała się cała Lhasa. Grało się w nią dnie i noce zapominając o bożym świecie, obowiązkach urzędowych, o domu i rodzinie. Stawki były bardzo wysokie. Nawet służba grała potajemnie, przegrywając często w kilka godzin oszczędności całego roku. W końcu rząd powiedział dość! Oficjalnie zabroniono gry, skupując równocześnie wszystkie pionki, a na grających ukradkiem przeklętych grzeszników nałożono wysokie kary pieniężne i przymusowo kierowano ich do pracy. Im wyższa ranga grzesznika, tym surowsza kara. I to poskutkowało – choć doprawdy, nigdy bym nie uwierzył w skuteczność takich metod. Lhasa długo jeszcze wzdychała i nosiła żalobę po tej grze, ale zakazu przestrzegała. Potęga władzy jest nieograniczona – powoli, coraz wyraźniej wszyscy zaczęli dostrzegać zaniedbania powodowane namiętnością do gry. A w soboty – dni w Tybecie wolne od pracy – znalazły się inne rozrywki, gra w szachy lub halnę, opowiadanie niewinnych dowcipów, gra słów i rozwiązywanie zagadek.

Oczywiście nie zaznałbym spokoju, gdybym nie poznał gry madżong. I zrozumiałem jak łatwo mogła przerodzić się w pasję. Rzecz jasna nie dałem się wciągnąć, zagrałem tylko od

czasu do czasu, przy szczególnej okazji, w święta i zawsze w znamienitym towarzystwie.

Jakaż była nasza radość, gdy pewnego dnia spotkaliśmy starego znajomego – żołnierza z Szangce, który eskortował nas kiedyś do granicy indyjskiej i opowiadał nam tyle o Lhasie. Był on najsympatyczniejszym strażnikiem, z jakim mieliśmy do czynienia. Wtedy na pożegnanie zawołał jeszcze: do zobaczenia w Lhasie! I rzeczywiście tak się stało!

Spotkaliśmy go w herbaciarni, gdzie często kupowaliśmy chleb i pieczywo. Opowiedział nam, że teraz jest rządowym gońcem i wiele o nas słyszał. Jako zwykły żołnierz, nie odważyłby się odwiedzić nas w domu ministra Caronga. Tak więc po dwóch latach jego deportowani dotarli jednak do Świętego Miasta!

Zaprosiliśmy go na herbatę i ciasto, a właściciel herbaciarni, tłusty muzułmanin, czuł się bardzo zaszczycony naszą obecnością w jego lokalu. Usługiwał nam osobiście, posługując się przy tym angielskim lub raczej czymś, co sam przez to rozumiał. Z dumą wyznał nam, że pochodzi z Kaszgaru, gdzie służył w wytwornym angielskim domu i stamtąd wyniósł swój kulinarny kunszt. Jego wyroby chwaliła cała Lhasa, ale nam za bardzo pachniały one zjełczałym masłem. Tybetańczycy tłumnie robili u niego zakupy i zarabiał naprawdę świetnie. Jak przystało na pobożnego muzułmanina, wraz z całą rodziną kilkakrotnie odbył pielgrzymkę do Mekki i Medyny. Fakt, że za pieniądze mieszkańców tego świętego miasta wyznawca innej religii mógł odbywać pielgrzymki do swoich świętych miejsc, wydaje mi się w najwyższym stopniu godny podkreślenia!

Grozi nam wydalenie z Tybetu

16 lutego 1946 mijał miesiąc naszego pobytu w Lhasie. Nasze losy wciąż się ważyły; nie mieliśmy pracy i przyszłość bardzo nas martwiła.

Właśnie tego dnia odwiedził nas Kapszöpa. Przybył oficjalnie, jako wysłannik Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Zobaczywszy jego minę od razu wiedzieliśmy, co się święci. Co prawda nie wykluczaliśmy takiego obrotu sprawy, a jednak ta wiadomość spadła na nas jak grom z jasnego nieba: rząd nie wyrażał zgody na nasz dalszy pobyt w Tybecie i natychmiast miano nas odesłać do Indii. Często wyobrażaliśmy sobie tę sytuację, ale teraz fakty wytrąciły nas kompletnie z równowagi. Nasze głośne protesty Kapszöpa skwitował wzruszeniem ramion oznajmiając, że musimy zwrócić się z tym do wyższych władz.

Naszą następną reakcją na tę smutną wiadomość było gorączkowe poszukiwanie map Tybetu Wschodniego, jakie tylko były do dostania w Lhasie. Wściekli zasiedliśmy wieczorem do studiowania tras i układania planów. Jedno było pewne – za żadną cenę nie wrócimy za druty. Lepiej znowu uciekać i spróbować szczęścia w Chinach! Ta myśl nieco nas uspokoiła. Posiadaliśmy trochę pieniędzy, niezłe wyposażenie i w każdej chwili mogliśmy zakupić żywność. Tylko ten mój iszias! Ból dawał mi się stale we znaki i nie ustępował mimo pigułek i zastrzyków, które załatwił mi Aufschnaiter od lekarza Misji Brytyjskiej. Byłem bliski rozpacz, czyżby ten głupi iszias miał wszystko udaremnić?

Nazajutrz, spuściwszy nieco z tonu, pokuśtykałem do rodziny Dalajlamy. Jego matka i Lobsang Samten obiecali opowiedzieć wszystko młodocianemu Boskiemu Królowi i wyrazili przekonanie, że z pewnością zechce się on za nami ująć. Rzeczywiście tak się stało i chociaż młody Dalajlama nie sprawował jeszcze władzy, jego przychylność z pewnością bardzo nam pomogła. W tym czasie Aufschnaiter chodził po całej Lhasie, uruchamiając wszystkie znajomości. Aby broń boże niczego nie zaniedbać, ułożyliśmy po angielsku podanie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w którym wyłuszczyliśmy ponownie wszystkie argumenty przemawiające za pozostawieniem nas w Tybecie:

„Do

Tybetańskiego Ministerstwa

dnia 17 lutego 1946 roku

W dniu wczorajszym Se* Kapszöpa Kuszo przekazał nam w imieniu Tybetańskiego Rządu nakaz natychmiastowego opuszczenia Tybetu i powrotu do Indii. Odpowiadając na to wezwanie, pozwalamy sobie wyjaśnić co następuje:

W maju 1939 roku przybyliśmy z Niemiec do Indii w charakterze alpinistów z zamiarem powrotu do Niemiec w sierpniu tegoż roku. 3 września 1939 roku, w dniu wybuchu wojny, zostaliśmy aresztowani i osadzeni w obozie internowania.

W 1943 roku dzienniki opublikowały układ zawarty pomiędzy rządami Tybetu i Indii, dotyczący tranzytu towarowego z Indii do Chin przez terytorium Tybetu, z wyłączeniem sprzętu wojennego. Na podstawie treści tego układu założyliśmy, że Tybet jest w tej wojnie państwem neutralnym, i podjęliśmy wszelkie możliwe wysiłki, aby dostać się do Tybetu.

Fakt posiadania przez Tybet statusu państwa neutralnego został potwierdzony przez Mr. Hopkinsa, szefa Przedstawicielstwa Brytyjskiego w Lhasie, podczas naszej wizyty w przedstawicielstwie. Równocześnie zapewnił nas on, że nie wystąpi do Rządu Tybetańskiego z wnioskiem o wydalenie nas na powrót do Indii.

Zgodnie z umowami międzynarodowymi obowiązuje zasada, że jeńcom wojennym, którym uda się przedostać na terytorium państwa neutralnego, przysługuje prawo przebywania na tym terytorium do chwili, kiedy możliwa będzie repatriacja. Wszystkie neutralne państwa świata przestrzegają tej zasady i nie wydają takich uchodźców w niewolę.

Wiadomo nam, że internowani w Indiach Niemcy do obecnej chwili nie zostali repatriowani i wydalenie nas do Indii byłoby równoznaczne z oddaniem nas do niewoli.

W wypadku gdyby Rząd Tybetański uznał nasz pobyt w swoim kraju za sprzeczny z tradycyjnym nastawieniem wobec obcokrajowców – jak to przedstawił nam pan Kapszöpa – pozwalamy sobie zauważyć, że Rząd Tybetański już w latach ubiegłych dopuścił możliwość wyjątków w tym zakresie. Jeżeli zatem odstąpiono od tego ograniczenia w wypadku obcokrajowców zajmujących stanowiska urzędowe, a także innych obcokrajowców, to wolno nam się spodziewać, że zostaniemy potraktowani podobnie. Winni jesteśmy Rządowi Tybetańskiemu głęboką wdzięczność za okazaną nam przychylność i gościnność, z którą spotykaliśmy się na każdym kroku i wyrażamy ubolewanie z powodu wszelkich kłopotów związanych z naszą sprawą. Wyrażamy równocześnie nadzieję, że Rząd Tybetański bez wątpienia zechce zrozumieć nasze położenie: Po tym jak udało nam się wydostać na wolność, znajdziemy się na powrót w obozie, w którym dogorywaliśmy prawie przez pięć lat.

Składamy na ręce Rządu Tybetańskiego gorącą prośbę, by zechciał nas potraktować tak, jak inne neutralne kraje traktują zbiegłych z niewoli więźniów i zezwolił nam na pozostanie w Tybecie aż do chwili, gdy będzie możliwa nasza repatriacja.

Peter Aufschnaiter

* Se – forma grzecznościowa w zwrotach odnoszących się do syna (przyp. red.)

Wyglądało tak, jakby wszystko sprzysięgło się przeciwko nam. Mój iszias atakował mnie tak mocno, że ledwo się ruszałem, a teraz dokuczliwy ból sprawił, że nie mogłem wstać z łóżka. Podczas gdy ja leżałem i jęcząc z bólu łamałem sobie głowę nad znalezieniem jakiegoś rozwiązania, Aufschnaiter ocierał sobie nogi do krwi, biegając w naszej sprawie po całym mieście. To były gorączkowe dni!

21 lutego pojawiło się przed naszymi drzwiami kilku żołnierzy z żądaniem, byśmy natychmiast spakowali rzeczy, ponieważ mają rozkaz eskortowania nas do granicy indyjskiej. Wymarsz jutro z rana!

To był już szczyt wszystkiego. Jakże ja mogłem ruszyć w drogę, przecież ledwo mogłem dojść do okna – zrozpaczony zademonstrowałem to porucznikowi. Zrobił bezradną minę. Jak wszyscy żołnierze na świecie, musiał wykonywać rozkazy i nie miał nic do powiedzenia. Opanowawszy się nieco, poprosiłem go o przekazanie zwierzchnikom mojego stanowiska, że nie jestem w stanie opuścić Lhasy na własnych nogach i muszę być niesiony. Żołnierze odeszli.

Natychmiast zaalarmowaliśmy Caronga, prosząc go o radę i pomoc, ale i on nie mógł nic zrobić. „Rozkazom rządowym nie można się sprzeciwiać” – powiedział z powagą. Wróciliśmy do siebie przeklinając moją chorobę. Gdybym był zdrowy, nic nie byłoby w stanie nas zatrzymać. Ucieklibyśmy jeszcze tej nocy, bowiem lepsze trudy, głód i niebezpieczeństwa niż najwygodniejsze życie za drutami. Jutro nie pójdzie im ze mną tak łatwo. Rozgoryczony, postanowiłem stawiać bierny opór.

Ale następnego ranka nic się nie zdarzyło. Nie zjawili się ani żołnierze, ani nie przekazano nam żadnej wiadomości... Zaniepokojeni pchnęliśmy służącego do Kapszöpy. Kapszöpa, bardzo zmieszany, zjawił się u nas osobiście. Aufschnaiter, wskazując na moje łoże boleści, przystąpił do negocjacji. Może uda się pójść na kompromis? Nasunęło nam się podejrzenie, że to jednak Anglicy maczali we wszystkim palce.

Tybet, jako niewielki kraj, chciał żyć w zgodzie ze swymi sąsiadami i utrzymywał dobre stosunki przy pomocy dyplomatycznych gestów. Z powodu dwóch niemieckich jeńców nie będzie ryzykować zadrażnień z potężną Anglią. Dlatego Aufschnaiter wpadł na pomysł, aby poprosić angielskiego lekarza, który w tym okresie pełnił równocześnie funkcję szefa Misji Brytyjskiej, o wydanie zaświadczenia o moim stanie zdrowia. Kapszöpa z radością przystał na tę propozycję. Popatrzyliśmy na siebie porozumiewawczo – nasze podejrzenia się potwierdziły!

Lekarz przyszedł do mnie jeszcze tego samego dnia. Powiedział, że Rząd Tybetański pozostawił w jego rękach decyzję o naszym wyjeździe i zrobił mi kilka zastrzyków, które zresztą niewiele mi pomogły. Większą ulgę przynosiła mi ciepła, watowana kołdra – prezent od Caronga.

Postanowiłem twardo, że nie poddam się chorobie, nie dopuszczę do tego, by tak złośliwie pokrzyżowała nam wszystkie plany, i największym wysiłkiem woli zmuszałem się do wykonywania ćwiczenia, które polecił mi pewien lama. Codziennie przez długie godziny siedząc w fotelu turlałem po podłodze laskę tam i z powrotem – omal nie krzycząc z bólu. Powolutku, powoli rzeczywiście było trochę lepiej. Znowu mogłem wyjść do ogrodu i wygrzewać się w wiosennym słońcu, jak staruszek.

Początek roku Ognia-Psa

Nadszedł marzec. Nastala pełnia wiosny. Największe tybetańskie święto – Nowy Rok*, wypadło tym razem 4 marca. Przez całe trzy tygodnie trwania uroczystości nie robi się tu nic poza świętowaniem. Niestety, nie mogłem w tym uczestniczyć. Z dała docierały do mnie uderzenia bębnów i dźwięk trąb, a po ożywionym ruchu panującym w domu wiedziałem, że dzieje się coś bardzo ważnego. Każdego ranka do mojego łóżka podchodził Carong wraz z synem, odziani codziennie w inne wspaniałe szaty z jedwabiu i brokatu, abym mógł ich podziwiać. Aufschnaiter oczywiście brał udział w uroczystościach i wieczorem musiał mi składać dokładne sprawozdanie.

Obchodzono nadejście nowego roku zwanego rokiem Ognia-Psa. Czwartego marca Rada Miasta przekazała władzę w ręce mnichów. Świeccy władcy zwracają symbolicznie swój urząd duchownym, od których go otrzymali. Nastają twarde, budzące grozę rządy. Rozpoczyna się od wielkich porządków. W tym okresie Lhasa lśni czystością – inaczej niż zazwyczaj. Równocześnie proklamuje się w całym mieście pokój. Ustają kłótnie, urzędy zamykają swe bramy, ale na ulicach ruch się ożywia, kwitnie handel i targi – z wyjątkiem chwil, gdy przechodzą pochody i procesje. Wszelkie przestępstwa kryminalne, wykroczenia, ba – nawet gry, karane są teraz bardzo surowo. Mnisi bywają bezlitośni i sieją powszechną grozę. Zdarzało się, że ludzie poddani zwyczajnej karze chłosty umierali pod ich batem. W takich wypadkach dochodzi oczywiście do energicznej interwencji regenta, który wie jak znaleźć winnych.

W ogólnym świątecznym zamieszaniu i zgiełku tak jakby zapomniano o naszej sprawie. Pozostawiono nas w spokoju, a my ze swej strony staraliśmy się nie rzucać w oczy. Prawdopodobnie rząd chwilowo zadowolili się zaświadczeniem angielskiego lekarza, który uznał, że nadal jestem niezdrowy. Znowu zyskaliśmy trochę cennego czasu! Przede wszystkim musiałem wrócić do zdrowia, a potem zobaczymy, może uda nam się przedostać nawet do Chin.

Z dnia na dzień robiło się coraz cieplej i codziennie z przyjemnością opalałem się w

* Święto Nowego Roku (z tzw. Wielką Modlitwą) zostało ustanowione w 1409 r. przez Congkape. Odtąd odprawiano uroczystości aż do zakazu chińskiego w 1959 r. (przyp. red.)

ogrodzie. Tym większe było moje zdumienie, gdy zbudziwszy się pewnego ranka, ujrzałem cały wiosenny przepych pokryty śniegiem. Tak późny opad śniegu w Lhasie był podwójnym zaskoczeniem. Miasto położone jest tak głęboko w Azji, że śnieg pada tu rzadko, a w zimie utrzymuje się krótko, ponieważ południowe usytuowanie miasta i silne nasłonecznienie – typowe dla tej wysokości – sprawiają, że szybko topnieje. Tego dnia śnieg także szybko zniknął, ale dzięki niemu burza piaskowa, która niebawem przyszła, była mniej dokuczliwa, ponieważ piach i pył związane wilgocią przestały unosić się w powietrzu.

Burze piaskowe nadciągające tu punktualnie każdej wiosny „uszczęśliwiają” kraj przez dwa miesiące. Do Lhasy docierają wczesnym popołudniem. W oddali widać potężne czarne chmury nadciągające z niesamowitą prędkością. Najpierw znika Potala – na ten znak wszyscy w popłochu szukają schronienia. Życie w mieście zamiera. Brzęczą szyby w oknach, na ławkach zrezygnowane bydło odwraca się zadem do wiatru i cierpliwie czeka, kiedy znów będzie można skubać trawę. Watahy ulicznych kundli – służba oczyszczania miasta – kulą się w zaułkach. Zazwyczaj nie są tak łagodne. Pewnego dnia Aufschnaiter musiał przejść obok sfory zwabionej zapachem krwi i pożerającej właśnie padłego konia – do domu wrócił w opłakanym stanie, w poszarpanym płaszczu i spodniach.

Okres burz to najbardziej przykra pora roku. Nawet gdy nie opuszcza się mieszkania, to i tak piach zgrzyta między zębami, ponieważ nie ma tutaj podwójnych okien. Jediną pociechą jest fakt, że zwiastują one rzeczywiście koniec zimy. Każdy ogrodnik wie, że już nie musi się obawiać mrozów. Nad kanałami zaczynają się zielenić łąki i rozkwitają „włosy Buddy” na słynnej płaczącej wierzbie przy wejściu do Katedry. Delikatne zwisające gałązki, pokryte na wiosnę drobnymi żółtymi pyłkami kwiatowym, zasługują w pełni na tę poetycką nazwę.

Skoro tylko stanąłem nieco na nogi, zapragnąłem być użyteczny. W ogrodzie Caronga rosły setki młodych drzewek owocowych. Ponieważ jednak wyrosły one z nasion, nigdy nie owocowały. Przystąpiłem więc razem z synem Caronga, Georgiem, do oczekowania drzewek. Domownicy mieli znowu powód do śmiechu. Czynność uszlachetniania jest w Tybecie właściwie nie znana i brak też w języku tybetańskim odpowiedniego słowa. Gospodarze nazwali więc oczekowanie „zaślubinami” i niezmiennie ich to bawiło.

Szczęśliwy ludek ze swoim dziecinnym poczuciem humoru. Tybetańczycy są wdzięczni za każdy powód do śmiechu. Gdy ktoś się jąka albo pośliźnie, potrafią się śmiać całymi godzinami. Cudze kłopoty i ułomności dostarczają najlepszej zabawy, ale nigdy nikomu źle się nie życzy. Ich namiętność do drwin i kpiny jest niepohamowana. Ponieważ nie ma tu gazet, dezaprobata wobec nie lubianych osób lub zdarzeń wyrażana jest w żartobliwych wierszykach i piosenkach. Wiezorami chłopcy i dziewczęta spacerują po Parkhorze nucąc najnowsze przyspiewki. Nawet najwyższe osobistości muszą pogodzić się z krytyką. Zdarza się wprawdzie, że rząd zakazuje śpiewania jakiejś piosenki, lecz jest zbyt mądry, by za to karać i wtedy chociaż nie słychać jej już w miejscach publicznych, krąży tym częściej po cichu.

W Nowy Rok Parkhor* przeżywa swój wielki okres. Ta ulica tworzy wewnętrzny pierścień wokół Katedry i tutaj tętni życie całego miasta. Tu mieści się większość sklepów, tu rozpoczynają się i kończą wszystkie procesje i wojskowe parady. Wieczorem, zwłaszcza w dni świąteczne, przeciągają tędy tłumy wiernych mrucząc modlitwy, a wielu przemierza tę drogę własnym ciałem, padając na bruk z wyciągniętymi do przodu rękoma i wykonując tak zwane „pokłony”. Parkhor ma także mniej nabożne oblicze. Piękne kobiety paradują tu w najnowszych toaletach i flirtują z młodymi wielmożami, a nawet miejscowe piękności lekkich obyczajów znajdują tu to, czego szukają. Taki jest Parkhor – centrum życia handlowego, towarzyskiego i plotkarstwa.

Piętnastego dnia pierwszego tybetańskiego miesiąca czułem się na tyle dobrze, że byłem już w stanie przyglądać się świątecznym uroczystościom. W tym dniu przypada największe święto. Odbywa się wspaniała procesja, w której uczestniczy osobiście Jego Świątobliwość Dalajlama.

Carong obiecał nam miejsca przy oknie w jednej ze swych kamienic, stojącej przy Parkhorze. Niestety musieliśmy siedzieć na parterze, ponieważ podczas procesji nikt nie może znajdować się powyżej głów dostojników przeciągających w orszaku. Zabronione jest także wznoszenie budynków przekraczających dwa piętra, bo robienie konkurencji Katedrze czy też Potali byłoby bluźnierstwem. Reguły tej ściśle się przestrzega. Niskie, mroczne i zapluskwione domy stały się dla niektórych dostojników zbyt małe i niewygodne, ponieważ jednak wyższa zabudowa jest zabroniona, problem rozwiązuje się inaczej. Na okres lata na płaskich dachach domów ustawia się drewniane składane domki i dziwiłem się jak szybko zawsze znikały, gdy tylko miała przeciągać procesja z dalajlamą lub regentem.

Na ulicy fałuje kolorowy tłum w radosnym oczekiwaniu na procesję, a ja wraz z żoną Caronga sadowię się przy oknie. Gospodyni jest miłą, starszą kobietą, troszczącą się o gości. Jesteśmy szczególnie radzi, że dotrzymuje nam towarzystwa, objaśniając wszystko, co się dzieje. To co teraz widzimy, to zupełnie inny, nie znany nam świat, w który wprowadza nas swoim spokojnym, przyjemnym głosem.

Z ziemi wyrastają tajemnicze dziesięciometrowe rusztowania. To na figury z masła* – wyjaśnia nasza przewodniczka. Te prawdziwe maślane dzieła sztuki, które mnisi lepią przez długie miesiące, zostaną ustawione na rusztowaniach tuż po zachodzie słońca. W klasztorach istnieją specjalne wydziały, gdzie szczególnie utalentowani mnisi, prawdziwi artyści, z niewiarygodną wprost cierpliwością ugniatają farbowane na przeróżne kolory masło, lepią z niego wieże i piramidy, modelują i ozdabiają je najdelikatniejszymi ornamentami. Setki tych godnych podziwu dzieł sztuki wystawione będą tylko przez jedną noc* wzdłuż ulicy, którą

* Trasa, którą pielgrzymi okrążają Katedrę. Okrążanie obiektów sakralnych jest jedną z praktyk buddyjskich

* Tzw. tormy – ofiary rytualne z pożywienia. W Tybecie każda szkoła buddyzmu ma własną tradycję sporządzania torm, ich kształtu, barwy, itp. (przyp. tłum.)

* Jest to jedna z metod przekazywania tzw. prawdy o nietrwałości i przemijaniu, stanowiącej podstawę buddyjskiej medytacji (przyp. tłum.)

przeciąga procesja, a ich świetność i rozmiary świadczą o hojności arystokracji i najbogatszych rodów Lhasy. Każda figura kosztuje немало i często musi być finansowana przez kilka rodzin. Ponieważ najpiękniejsza otrzymuje nagrodę rządową, wszyscy próbują się prześcignąć. Od kilkudziesięciu lat nagrodę uzyskują mnisi z klasztoru Gyü.

Niebawem frontony wewnętrznego kręgu Parkhoru znikają, przysłonięte kolorowymi, trójkątnymi figurami. Wkoło tłoczy się nieprawdopodobna cizba i zobaczenie czegokolwiek staje się wielkim problemem. Powoli zapada zmierzch. O zmroku wkraczają oddziały wojskowe Lhasy z kotłami i trąbami. Formują szpaler, powstrzymując napór dziesiątek tysięcy widzów, aby ulicą mogła przeciągnąć procesja.

Szybko nastaje noc. Lecz oto zapala się morze płomyków i robi się jasno jak w dzień. Tysiące chybliwych lampek maślanych, a pomiędzy nimi, gdzieniegdzie rażące oczy światło lampy gazowej. Ponad dachami wyrasta świecący dysk księżyca. W Tybecie piętnastego dnia każdego miesiąca zawsze przypada pełnia. Wszystko gotowe – zaczyna się wielkie święto. Tłum milknie i zastyga w oczekiwaniu.

Bóg wznosi rękę do błogosławieństwa

Nadchodzi wielka chwila. Otwierają się wrota Katedry i powoli ukazuje się Dalajlama, młody Król-Bóg wspierany przez dwóch opatów. Pełen czci lud pochyla się do ziemi. Zgodnie z ceremoniałem wszyscy winni paść na ziemię, ale z braku miejsca jest to niemożliwe. Plecy tysięcy ludzi chylą się jak łań dotknięty podmuchem wiatru. Król-Bóg kroczy powoli, dostojnie wokół Parkhoru, zatrzymując się co chwila przed figurami z masła. Towarzyszy mu wspaniała świta: najwyżsi dostojnicy i arystokracja oraz kolejno, stosownie do hierarchii zajmowanych stanowisk, administracja kraju. Ooo, w orszaku kroczy nasz znajomy, Carong! Idzie tuż za Dalajlamą, odpowiednio do swej wysokiej rangi. W prawej ręce, jak wszyscy szlachetnie urodzeni, trzyma tłące się kadzidło.

Przejęty wciąż tłum stoi w zupełnym milczeniu. Słyszać tylko dźwięki instrumentów, na których grają mnisi: obojów, trąb, kotłów i czyneli. Ten obraz jest jak wizja z innego świata, niezwykła, nierzeczywista, której poddajemy się nawet my, „trzeźwi” Europejczycy. W chybottliwym żółtym świetle lampek zdają się ożywać maślane figury, wyimaginowany podmuch wiatru kołysze egzotycznymi kwiatami, szeleści w fałdach wspaniałych szat bóstw, demon rozwiera paszczę – Bóg unosi rękę do błogosławieństwa.

Czy i my ulegliśmy temu oszałamiającemu, niezwykłemu mirażowi? Dysk księżyca w pełni – symbol świata, któremu składany jest teraz hołd – śle uśmiech swym wiernym... Czy jest to znak przychylności bogów?

Żywy Budda zbliża się... teraz przechodzi obok naszego okna. Kobiety zastygają w głębokim pokłonie, wstrzymując oddech. Tłum zamiera. Głęboko poruszeni chowamy się za pochylonymi plecami kobiet, próbujemy się bronić przed jakąś siłą, która wciąga nas w pole niezwykłej energii... Powtarzam sobie: przecież to dziecko, tylko dziecko... A przecież ma on tysiące wiernych, do niego płyną modlitwy przepełnione tęsknotą i nadzieją. W Lhasie czy w Rzymie – wszystkich ludzi łączy to samo pragnienie: znaleźć Boga i służyć mu. Przemykam oczy. Szept modlitw, niezwykła muzyka, woń kadzideł unosząca się w niebo...

Dalajlamą zakończył swój obchód i znowu znikł w wielkim Cug Lag Khanie^{*}. Żołnierze odeszli szczękając bronią. W tej samej chwili wielotysięczny tłum, jak obudzony z hipnozy,

^{*} „Sala sutr” w której czyta się święte pisma buddyjskie – sutry.

pogrąża się w chaosie. Gwałtowna zmiana nastroju wytrąca nas zupełnie z równowagi. Wrzaski, dzika gestykulacja... Ludzie pchają się, potracają, padają, tratują się niemal na śmierć. Płaczliwie modlący się wierni, pogrążeni w głębokiej ekstazie, nagle zamieniają się w szaleńców. Natychmiast wkracza do akcji straż zakonna*. Są to olbrzymie chłopiska o twarzach pokrytych czarną farbą i ramionach wypchanych dla wzbudzenia trwogi. Bezlitośnie walą kijami w tłum. Świętym figurom maślanym grozi niebezpieczeństwo. Wszyscy zupełnie bez sensu tłoczą się wokół piramid. Słysząc lament i płacz, ale razy są mało skuteczne. Zbity tłum pcha się natychmiast z powrotem w to samo miejsce. Wydaje się, że w ludzi wstąpiły demony. Czyżby to ci sami ludzie zaledwie przed chwilą chylili pokornie głowy przed dzieckiem? Teraz uderzenia batów znoszą jakby to było błogosławieństwo. Ponad głowami smolne łuczywa. Wrzaski bólu szalejącej masy. Tu jakaś poparzona twarz, tam jęki tratowanego.

Już późna noc. Po takich przeżyciach nie można zasnąć. Przed zamkniętymi oczyma przesuwają się obrazy, jak pogmatwany, przygniatający sen. Z ulicy wciąż dobiegają wrzaski. W półsen z wolna sączą się dźwięki oboju. Ogarnia mnie smutek.

Następnego ranka na ulicach pusto. Maślane figury uprzątnięte, ani śladu po pokorze i nocnej ekstazie. Miejsce wysokich rusztowań zajęły znów stragany. Kolorowe święte figury zostały przetopione, a masło posłuży teraz do napełniania lampek lub będzie troskliwie przechowywane, jako święte lekarstwo.

Tego ranka złożono nam wiele wizyt. Święto Nowego Roku ściąga do Lhasy Tybetańczyków ze wszystkich stron, jak Tybet długi i szeroki, nomadów z płaskowyżu i mieszkańców prowincji zachodnich. Znaleźli się wśród nich nawet znajomi z naszej dalekiej podróży. Odnaleźli nas bez trudu, bo mówiła o nas cała Lhasa i każde dziecko wiedziało gdzie mieszkamy.

Otrzymaliśmy w darze suszone mięso – tutejszy przysmak – i przy okazji dowiedzieliśmy się, że wszystkich urzędników dystryktów, przez które wędrowaliśmy, rząd ukarał grzywnami, grożąc znacznie ostrzejszymi sankcjami za podobne wykroczenia w przyszłości. Zrobiło nam się bardzo nieprzyjemnie, gdy usłyszeliśmy, że ludziom, którzy serdecznie nas ugościli, przysporzyliśmy tyle nieprzyjemności. Najwyraźniej jednak nikt nie miał nam tego za złe. Pewien bonpo, którego wywiedliśmy w pole naszym starym, nieważnym glejtem, roześmiał się na nasz widok radośnie i zapewniał, że cieszy się z naszego ponownego spotkania.

Tegoroczne obchody święta Nowego Roku nie minęły jednak zupełnie beztrzesko. Na Parkhorze wydarzyło się nieszczęście, które przyćmiło wszystkie tematy.

Na czas ceremonii noworocznych ustawia się tam olbrzymie pnie, do których mocowane są chorągwie modlitewne. Sprowadza się je do Lhasy z bardzo daleka, a ich transport to

* rekrutująca się ze specjalnej kategorii mnichów tzw. „braci świeckich” dop-dopów – tyb. dap-dop, co znaczy siłacz (przyp. tłum.)

odrębna historia. Gdy po raz pierwszy zobaczyłem jak się to odbywa, byłem zdumiony i wstrząśnięty. Mimo woli pomyślałem o burlakach na Wołdze. Pień wleczony jest przez około dwudziestu ludzi przywiązanych doń powrozami. Kulisi biegną truchtem w takt głuchoj i monotonnej pieśni, dysząc ze zmęczenia i ociekając potem, a nadzorca nie daje im chwili wytchnienia. Ta pańszczyźniana praca stanowi część daniny na rzecz feudalnego systemu. Po drodze tragarze zmieniają się w kolejnych osadach, które zobowiązane są dostarczać odpowiedniej ilości kulisów. Monotonne dźwięki nadające rytm temu pańszczyźnianemu marszowi mają ulżyć w morderczej pracy. O wiele mądrzej byłoby oszczędzać płuca. Patrząc na uległość tych ludzi, czułem jak ogarnia mnie wściekłość. Jako człowiek nowoczesny, nie mogłem pojąć uporu, z jakim odrzucano w tym kraju wszelki postęp. Przecież te kolosy można było transportować inaczej, niż wyłącznie siłą ludzkich mięśni. Po cóż przed setkami lat Chińczycy wynaleźli koło! Transport i handel, całe życie Tybetu rozkwitłoby w szybkim tempie, wzrósłby dobrobyt. Ale nie – rząd nie życzył sobie używania koła.

Później, gdy kierowałem pracami nad regulacją rzeki, znajdowałem wiele dowodów utwierdzających mnie w przekonaniu, że przed wieloma setkami lat w Tybecie posługiwano się już kołem. Odkopywaliśmy niejedną, lecz setki ociosanych kamiennych bloków wielkości szafy i ich transport z kamieniołomów odległych o wiele kilometrów możliwy był jedynie za pomocą środków technicznych. Co za ironia! Teraz robotnicy, chcąc przenieść taki blok o kilka metrów, rozbijali go na osiem części.

Coraz mocniej utwierdzałem się w przekonaniu, że złoty wiek Tybetu dawno już minął. Dokumentem o historycznym znaczeniu jest kamienny obelisk z roku 763. Wtedy to armia tybetańska dotarła aż do bram stolicy Cesarstwa* i narzucając pokój Chińczykom zobowiązała ich do rocznej kontrybucji na rzecz Tybetu w wysokości 50000 bel jedwabiu.

Jest jeszcze Potala. Ten pałac także musiał powstać w okresie świetności kraju, w innej epoce. W dzisiejszych czasach nikomu nie przyszłoby do głowy wznoszenie takiej monumentalnej budowli. Pewnego razu zapytałem kamieniarza pracującego u mnie, dlaczego teraz nie buduje się takich pałaców? Odpowiedział rozbijająco, że Potala jest dziełem bogów i ludzkie ręce nigdy nie byłyby w stanie dokonać czegoś podobnego. To cudowne dzieło tworzyły nocami niebiańskie istoty i dobre duchy.

I w tym przypadku da się zauważyć tę samą obojętność wobec postępu i wszelkich aspiracji, z jaką tragarze wloką swoje pnie drzew.

Tybet odwracał się coraz bardziej od potęgi władzy i siły militarnej, skłaniając się ku religii. Być może tak było lepiej...

Ale wracając jeszcze do nieszczęścia. Te potężne pnie drzew sprowadzane do Lhasy na Nowy Rok wiąże się skórzanymi rzemieniami w olbrzymie dwudziestometrowe maszty, do

* Okres od VII – IX wieku – to czas nieustannych akcji wojennych prowadzonych przez Tybet. Głównym przeciwnikiem były Chiny, więc Tybetańczycy napierali w tym kierunku coraz dalej i dalej na tereny graniczne dzisiejszego Kansu, Syczuanu, Jünnanu i Szansi. W pewnym momencie zawładnęli nawet Czanganem, który był wówczas stolicą Chin (przyp. red.)

których potem przywiązuje się flagi z wydrukowanymi modlitwami. Inaczej niż w Europie, chorągwie modlitewne umocowuje się tutaj wzdłuż masztu, od wierzchołka do podstawy. Rzemienie ze skóry jaków były prawdopodobnie za słabe i w czasie podnoszenia maszt rozsypał się na części zabijając trzech robotników i raniąc wielu innych.

Ten zły omen wstrząsnął całym Tybetem i wszyscy widzieli przyszłość w ponurych barwach. Przepowiadano wiele katastrof, trzęsienia ziemi i powodzie, mówiono o wojnie, spoglądając znacząco w stronę Chin. Wszyscy ulegali tym przesądom, nawet arystokraci z angielskim wykształceniem.

Mimo wszystko rannych zaniesiono do siedziby Misji Brytyjskiej, a nie do ich łamów. Znajdowało się tam zawsze kilka łóżek przeznaczonych dla Tybetańczyków. Angielski lekarz miał pełne ręce roboty. Codziennie rano przed jego drzwiami ustawiała się kolejka pacjentów. Po południu odbywał wizyty u chorych, w mieście. Ponieważ wyników pracy lekarza nie dało się ignorować, mnisi w milczeniu znosili to wtargnięcie w obszar ich kompetencji. Ponadto Anglia była wielką potęgą w Azji.

Opieka lekarska to jeden z najczarniejszych rozdziałów w życiu Tybetu. Lekarz angielskiej misji i ów chiński doktor, który mnie leczył, byli jedynymi wykształconymi lekarzami* na trzy i pół miliona mieszkańców* tego kraju. Lekarze mieliby co robić w Tybecie, jednakże Rząd Tybetański nigdy nie pozwoliłby sobie na zaproszenie do Tybetu obcych lekarzy. Cała potęga spoczywa bowiem w rękach mnichów i nawet urzędnicy rządowi wzywając do chorego angielskiego doktora, narażają się na ich krytykę.

* Autor nie bierze pod uwagę absolwentów kolegium medycznego w Lhasie (przyp. tłum.)

* rzyp. Ludność tybetańska liczyła w chwili inwazji chińskiej 6 milionów (przyp. tłum.)

Pierwsze oferty pracy

Pewnego dnia Aufschnaiter został poproszony do wysokiego urzędnika, który zlecił mu budowę kanału nawadniającego. Nie posiadaliśmy się ze szczęścia, bo był to pomyślny znak na przyszłość, pierwszy krok na drodze do naszej egzystencji w Lhasie i w dodatku utorowany przez mnichów.

Aufschnaiter przystąpił natychmiast do prac mierniczych. Ponieważ nie miał żadnego fachowca do pomocy, powędrowałem do jego miejsca pracy na Lingkorze*, aby mu pomagać. Gdy tam dotarłem, oczom moim ukazał się niesamowity widok, jakiego próżno by szukać na całym świecie. Wkoło przykrywając się opończami kucaly setki, ba, tysiące mnichów, oddając się zajęciu, które zwykle wykonujemy w ustronnym miejscu. Tego obrazu nie da się opisać! Miejsce pracy Aufschnaitera nie było godne zazdrości.

Aufschnaiter pracował sprawnie i już po czternastu dniach mógł przystąpić do kopania rowów. Oddano mu do dyspozycji stu pięćdziesięciu robotników i czuliśmy się doprawdy jak wielcy przedsiębiorcy. Niestety, metody pracy w tym kraju mieliśmy dopiero poznać...

Tymczasem i dla mnie znalazło się zajęcie. Dla schorowanego mężczyzny najodpowiedniejszym miejscem pracy był nadal ogród Caronga, zastanawiałem się więc, jakby go upiększyć. Pewnego dnia wpadłem na niezły pomysł: trzeba zrobić wodotrysk.

Zacząłem mierzyć, kreślić i wkrótce plany były gotowe. Carong wpadł w zachwyt. Osobiście wybrał służących, którzy mieli pracować, a ja siedząc na słońcu dyrygowałem tym hufcem. Wkrótce gotowa była sieć podziemnych rur i wykopany basen. Pracami betoniarskimi osobiście dowodził Carong, który od czasu wzniesienia żelaznego mostu uchodził za eksperta w tej dziedzinie i nie mógł sobie odmówić takiej przyjemności.

Następnie na dachu jego domu umieściliśmy zbiornik z wodą zasilającą sadzawkę. Niestety, pompowanie wody do góry było zajęciem bardzo mozolnym. Jednakże jak to się mówi: nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – pompka ręczna służyła mi równocześnie do treningu mięśni.

Nadeszła wreszcie wielka chwila. Za pierwszym razem woda trysnęła na wysokość dachu. Wszyscy cieszyli się jak dzieci. Od tej chwili ten jedyny wodotrysk w Tybecie stał się

* Droga dookoła Lhasy, którą pielgrzymi okrążają Świąte Miasto (przyp. red.)

sensacją wszystkich słynnych bankietów wydawanych w ogrodzie Caronga.

Moc nowych wrażeń i niezwykle zajęcia sprawiły, że niemal zapomnieliśmy o naszych kłopotach. Aż pewnego dnia Thangme przyniósł gazetę wydawaną w języku tybetańskim i pokazał nam artykuł na nasz temat. Zaciekawieni, rzuciliśmy się do czytania. Artykuł przychylnie opowiadał o tym, jak przebiliśmy się przez góry aż do Lhasy i o naszej prośbie o udzielenie azylu, skierowanej do pobożnego i neutralnego Tybetu. Ta życzliwa notatka mogła pozytywnie wpłynąć na opinię publiczną i wiele sobie po niej obiecywaliśmy, oczekując na rozpatrzenie naszego podania. Co prawda gazeta ta w Europie byłaby świstkiem bez znaczenia, bo w nakładzie pięciuset egzemplarzy ukazywała się raz w miesiącu w Kalimpongu, a więc w Indiach, i wydawca sam musiał ją sprzedawać. Jednak w Lhasie była dość popularna, zwłaszcza w środowisku, dla którego była pisana, a pojedyncze jej egzemplarze otrzymywali tybetolodzy na całym świecie.

Święta sportowe u bram Lhasy

Tymczasem uroczystości noworoczne jeszcze się nie zakończyły. Wielkie ceremonie wprawdzie już minęły, ale teraz przyszła pora na imprezy sportowe, odbywające się na Parkhorze przed Cug Lag Khanem. Oczywiście mnie – zapalonego sportowca, szczególnie to interesowało. Codziennie o wschodzie słońca byłem już na miejscu, ponieważ zawody rozpoczynały się bardzo wcześnie.

Sprytnie zdobyliśmy miejsce przy oknie na drugim piętrze Przedstawicielstwa Chińskiego i ukryci za firankami przyglądaliśmy się konkurencjom. Był to jedyny sposób na ominięcie zakazu siedzenia powyżej parteru w obecności regenta. Siedział on na tronie na najwyższym piętrze katedry Cug Lag Khan, za muślinową zasłoną, a czterej ministrowie wyglądali przez okna.

Najpierw odbywały się zawody na ringu. Nie potrafię ocenić, czy walczone w stylu wolnym czy bardziej grecko-rzymskim, w każdym razie jakieś reguły obowiązywały. Tutaj do uznania nokautu wystarcza, by zawodnik dotknął ziemi inną częścią ciała niż nogami. Nie istnieją żadne listy zawodników, nie ma żadnych specjalnych przygotowań. Na ziemi rozkłada się filcową matę i spośród tysięcy zgromadzonych widzów zgłaszają się mężczyźni, którzy chcą walczyć. O treningu nikt tu nie słyszał.

Obnażeni zawodnicy, jedynie w opaskach na biodrach, drżą z zimna w porannym chłodzie. Są wysocy, muskularni. Pysznąc się, swoją odwagę i siłę demonstrują dzikimi gestami i wymachiwaniem przeciwnikowi przed nosem. Ale o zapasach nie mają pojęcia i dla zapaśnika z prawdziwego zdarzenia byłiby łatwą ofiarą. Walka jest krótka i pary zawodników zmieniają się bardzo szybko. Nie walczą zbyt zajadle, nie ma też jakiejś specjalnej nagrody dla zwycięzcy. Po zakończeniu walki obydwaj zawodnicy, zwycięzca i pokonany, otrzymują białą szarfę. Skłaniają się przed bonpo, który im ją wręcza, przed regentem padają kornie trzy razy na twarz i w najlepszej komitywie schodzą razem z ringu.

Kolej na następną konkurencję – podnoszenie ciężarów. Wielki, lśniący głaz, który znajduje się na placu, widział zapewne już setki takich noworocznych imprez. Trzeba go dźwignąć i przenieść wokół masztu z flagami modlitewnymi. Tylko nielicznym się to udaje. Najczęściej zawodnik przecenia swe siły; wykrzywiając się okropnie podchodzi do kamienia i

nie może go poderwać z ziemi albo wypuszcza z rąk, niemal miażdżąc sobie nogi. Zmaganiom towarzyszą nieustanne wybuchy śmiechu widzów.

Nagle z oddali dobiega tętent galopujących koni. Podnoszenie ciężarów zostaje pośpiesznie przerwane. Już za chwilę rozpoczną się wyścigi konne. Zwierzęta zbliżają się w tumanach kurzu.

W wyścigach konnych także nie ma specjalnego toru. Mnisi-strażnicy walą kijami w ciekawski tłum, który nieostrożnie wchodzi zwierzętom w drogę. Ale w ostatniej chwili to nacierające konie same wyznaczają tor. Dla nas takie zawody są czymś niezwykłym! Konie puszczane luzem na zbiorowym starcie kilka kilometrów przed miastem pędzą bez jeźdźców do celu przez cofającą się ciżbę. Do startu dopuszczane są wyłącznie konie hodowane w Tybecie i każde zwierzę nosi nazwisko właściciela, umieszczone na chuście przywiązanej przy zadzie. W grę wchodzi honor stajni! Wygrać może oczywiście tylko koń dalajlami lub ze stajni rządowej. A gdyby jakiemuś innemu koniowi przyszło do głowy być szybszym, to i tak służba powstrzyma go przed metą. Wszyscy w wielkim napięciu śledzą bieg, podniecony tłum i służba możnych krzyczą i dopingują zwierzęta, właściciele starają się zachowywać z godnością. Rozpędzone stado mija nas w dzikim pędzie, zmierzając do celu położonego tuż za miastem.

Jeszcze nie opadły tumany kurzu spod końskich kopyt, a już zbliżają się pierwsi biegacze. W tej konkurencji także może wziąć udział każdy ochotnik. Czegóż tutaj nie nazywa się bieganiem! Drepcze, kto tylko może. Mali chłopcy i starcy. Biegną boso, pokryte pęcherzami nogi broczą krwią, twarze wykrzywione, brak im tchu – widać, że nigdy nie trenowali. Wielu „zawodników” wypada jeszcze daleko przed metą kilometrowego odcinka, a ich cierpienie widzowie kwitują żartami.

I znów tak jak poprzednio – na trasie kuśtykają jeszcze ostatni biegacze, a już zaczyna się następny punkt programu. Pędzą konie, tym razem z jeźdźcami. Witają ich radosne okrzyki i pozdrowienia. Jeźdźcy odziani są w stare historyczne stroje, dziko zacinają z bata i wyciskają z koni ostatki sił. Widzowie krzyczą i gestykują. Jakiś koń poniósł, jeździec z łoskotem ląduje w tłumie, ale nikomu to nie przeszkadza.

Turniej jeździecki kończy zawody na Parkhorze. Wszyscy zwycięzcy trzymają w rękach drewniane tabliczki, na których numerem oznaczono kolejność dotarcia do mety. Zwyciężyło stu biegaczy i niemal ta sama liczba jeźdźców. Sędziowie wręczają im białe i kolorowe szarfy, ale nie słychać oklasków – ten zwyczaj jest w Tybecie nie znany. Lud śmieje się i krzyczy z radości, gdy zdarzy się jakaś komiczna sytuacja. Otrzymał należne mu igrzyska.

A na zakończenie odbywają się jeszcze zawody jeździeckie na wielkim błoniu za Lhasą. Znowu utknęliśmy w olbrzymiej ciżbie i z wdzięcznością przyjmujemy zaproszenie do namiotu jednego z dostojników. Odświętne namioty wyglądają wspaniale. Stoją w rzędach, zgodnie z pozycją właścicieli. Uszyte z jedwabi i brokatów, ozdobione wspaniałymi ornamentami, tworzą z przepysznymi szatami mężczyzn i kobiet prawdziwą symfonię

kolorów. Urzędnicy świeccy, poczynawszy od czwartej rangi w górę, noszą błyszczące jedwabne szaty w żółtym kolorze i duże płaskie kapelusze obramowane futrem z niebieskich lisów. Lisy sprowadzono z Hamburga. Własne, tybetańskie lisy nie zaspokajają ich wymagań. Zarówno mężczyźni, jak kobiety pragną za wszelką cenę przewyższyć innych swym kosztownym ubiorem. To ich prawdziwie azjatyckie umiłowanie przepychu sprawia, że nawiązują kontakty handlowe z całym światem. Mimo iż nie mają większego pojęcia o geografii, lisy sprowadzają z Hamburga, perły z Japonii, turkusy przez Bombaj z Persji, korale z Włoch, a bursztyny z Berlina i Królewca. Później sam pisywałem listy z zamówieniami bogatych dostojników w różne strony świata. Bogactwo i przepych są tu potrzebą, która najwyraźniej ujawnia się w odświętnych strojach. Prosty lud zupełnie nie zna luksusu, ale z uwielbieniem i czią podziwia bogactwo swych panów. Wielkie święta to demonstracja potęgi i majętności, a wysocy bonpowie doskonale wiedzą, co się ludowi należy. W ostatnim dniu uroczystości czterej ministrowie wymieniają wzajemnie kosztowne nakrycia głowy ze swymi służącymi, których kapelusze są czerwone i ozdobione czerwonymi frędzlami. Gestem tym manifestują przez krótką chwilę swą równość z ludem, zyskując bezgraniczne uwielbienie. Ale powróćmy jeszcze do turniejów jeździeckich!

Zawody jeździeckie to prawdopodobnie pozostałość po wielkich paradach wojskowych i najpopularniejsze przedstawienie. W dawnych czasach panowie feudalni zobowiązani byli do dostarczania swemu władcy w określonym terminie zastępów wojska, jako dowodu ciągłej gotowości na wypadek wojny. I chociaż pierwotne znaczenie widowiska już zanikło, nawiązuje ono do okresu wojen i wpływu Mongołów słynących ze sztuki jeździeckiej, o której do dziś opowiada się w Tybecie cuda. Również teraz mieliśmy okazję podziwiać niewiarygodną zręczność Tybetańczyków, która wprawiła nas w zdumienie.

Każdy arystokratyczny ród dostarcza do tych zawodów pewną liczbę uczestników i oczywiście pragnie, aby jego drużyna wypadła jak najlepiej. Zespoły dowodzą swego mistrzostwa w jeździe konno i strzelaniu. Patrząc na ich zmagania, nie mogłem wyjść z podziwu. Jeźdźcy pędzą stojąc niemal w siodłach i wywijają nad głową strzelbą z zapalonym lontem. W chwili, gdy galopujący koń mija wiszącą tarczę, strzelają pod kątem prostym do celu. Natychmiast wymieniają flintę na łuk i strzałę. Radosne okrzyki tłumu obwieszczają, że strzał był celny. Biegłość Tybetańczyków we władaniu bronią i jej wymianie jest wprost niesłychana!

Podczas tych uroczystości Rząd Tybetański znowu daje świadectwo swej wzorowej gościnności, nawet wobec obcych. Dla wszystkich zagranicznych przedstawicielstw rozstawia się wspaniałe namioty, a służba i oficerowie łącznikowi dbają o zaspokojenie wszelkich życzeń gości.

Na placu, gdzie odbywały się uroczystości, widziałem wówczas szczególnie wielu Chińczyków. Chociaż należą do tej samej rasy co Tybetańczycy, można ich natychmiast odróżnić. Tybetańczycy nie mają tak wyraźnie skośnych oczu, mają twarze o ładnych rysach i

rumianych policzkach. Wśród Chińczyków bogate stroje chińskie często ustępują już miejsca europejskim ubraniom, a wielu nosi okulary – przez co są, przynajmniej pod tym względem, mniej konserwatywni od Tybetańczyków. Są to przeważnie kupcy mieszkający w Lhasie, którzy dzięki kontaktom ze swą ojczyzną zawierają tutaj bardzo korzystne transakcje handlowe. Mieszkają tu chętnie i często osiedlają się w Lhasie na stałe. Mają ku temu jeszcze inny szczególnie powód. Większość Chińczyków to namiętni palacze opium, a w Tybecie, mimo iż nawet na palenie papierosów rząd patrzy bardzo niechętnie, a w szczególnych wypadkach stosuje za to kary, zakaz palenia opium nie obowiązuje. Niekiedy wprawdzie zdarzy się, że za nęcącym przykładem Chińczyków również tubylec sięgnie po fajkę z opium, ale i w takim wypadku potwierdza się autorytatywna władza rządu: palenie opium nie może się rozprzestrzeniać, bo rząd czujnym okiem strzeże zakazu palenia w ogóle. W Lhasie można wprawdzie kupić każdy gatunek papierosów produkowanych na świecie, ale obowiązuje ścisły zakaz palenia w urzędach, na ulicach i podczas uroczystości. W okresie Nowego Roku, gdy rządy obejmują mnisi, obowiązuje zakaz sprzedaży papierosów.

Ale za to każdy Tybetańczyk zażywa tabaki! Lud i mnisi używają sporządzonej samodzielnie. Każdy jest dumny z własnej mieszanki i gdy spotykają się dwaj Tybetańczycy, najpierw częstują się szczyptą tabaki. Jest to także okazja do pochwalenia się tabakierą – przedmiotem dumy każdego Tybetańczyka. Tabakiery bywają przeróżne – od tanich, zrobionych z rogu jaka, aż do kosztownych flakoników z jadeitu, oprawnych w złoto. Z pietyzmem wysypuje się szczyptę proszku na paznokcie kciuka i za chwilę... W tej dziedzinie Tybetańczycy są niedościgłymi mistrzami – nie kichnąwszy ani razu wydmuchują przez usta olbrzymie tumany proszku. A jeśli już ktoś – ku uciechu wszystkich – zaczynał straszliwie kichać, to mogłem być tylko ja.

W Lhasie mieszkają także Nepalczycy. Są bogato odziani i otyli – już z daleka widać, że tym korpulentnym kupcom nieźle się tutaj powodzi. Dzięki dawnym traktatom, po dziś dzień zwolnieni są całkowicie z podatków. Po przegranej wojnie, Tybetańczycy zmuszeni byli nadać Nepalczykom ten przywilej, a oni tego z niego korzystają. Najpiękniejsze sklepy na Parkhorze należą właśnie do nich. Obdarzeni szóstym zmysłem „dobrego interesu” są przebiegłymi handlarzami. Swoje rodziny pozostawiają najczęściej w Nepalu i po pewnym czasie wracają do nich – inaczej niż Chińczycy, którzy chętnie żenią się z Tybetankami, tworząc przykładowe małżeństwa.

Podczas oficjalnych uroczystości nepalscy dyplomaci wyłaniają się z wielobarwnego tłumu jak najbardziej kolorowa wyspa. Ich stroje przyćmiewają powszechne bogactwo barw, a czerwone wojskowe kurtki Gurków, tworzących ich gwardię przyboczną, lśnią już z daleka.

Gurkowie cieszą szczególną sławą w Lhasie. Są jedynymi ludźmi, którzy ośmielają się łamać zakaz łowienia ryb. Na wieść o tym Rząd Tybetański składa protest w Przedstawicielstwie Nepalskim i teraz zaczyna się zabawa. Ponieważ misji zależy na utrzymaniu dobrych stosunków z rządem, przestępców musi oczywiście spotkać zasłużona

kara. Jednakże wysocy urzędnicy częstokroć sami mają nieczyste sumienie, wielu arystokratów lhaskich docenia smak zakazanego owocu potraw rybnych, przeto nieszczęśnicy grzesznicy zostają skazani na karę chłosty, ale kara ta nigdy nikomu nie sprawiła bólu...

Żaden człowiek w Lhasie nie odważyłby się własnoręcznie łowić ryb. W całym Tybecie jedna tylko miejscowość cieszy się tym przywilejem. Położona jest nad Cangpo pośrodku piaszczystej pustyni. Nie rośnie tam zboże, nie ma pastwisk i nie ma krów. Rybołówstwo stanowi jedyne źródło pożywienia i w tym wypadku prawo uczyniło ustępstwo. Mieszkańcy tej wsi traktowani są oczywiście jako ludzie drugiej kategorii, na równi z rzeźnikami i kowalami.

Pokażną część mieszkańców Lhasy stanowią muzułmanie. Posiadają oni własny meczet i cieszą się pełną swobodą w uprawianiu obrzędów religijnych. Tolerancja to jedna z najpiękniejszych cech narodu tybetańskiego. Pomimo skrajnej teokracji i absolutystycznych rządów rodzimego duchowieństwa, nie spotyka się najmniejszego przejawu misjonarskiego fanatyzmu i każda religia jest respektowana.

Muzułmanie w większości przywędrowali z Indii i całkowicie zintegrowali się z Tybetańczykami. Początkowo zgodnie ze swą religijną gorliwością żądali, aby ich małżonki przechodziły na islam. Ale wtedy wkroczył rząd, udzielając zgody na małżeństwo Tybetanki z muzułmaninem pod warunkiem, że kobieta pozostanie przy swoim wyznaniu. Kobiety i dziewczęta z tych mieszanych małżeństw noszą jeszcze tybetańskie stroje z pięknymi zapaskami w poprzeczne pasy, a zasłonę islamską na twarz tylko symbolicznie, w formie nakrycia głowy. Mężczyźni wyróżniają się wśród mieszkańców miasta swoimi fezami i turbanami. Najczęściej są to kupcy, utrzymujący bardzo dobre stosunki z Indiami, a zwłaszcza z Kaszmirem.

Podczas turnieju jeździeckiego, na wielkim błoniu jak na olbrzymim półmisku zobaczyć można wszystkie grupy ludności Lhasy. Żyje tu jeszcze barwna mieszanina Lhadakijczyków, Bhutańczyków, Mongołów, Sikkimczyków, Kazachów i wszystkich sąsiadujących z Tybetem plemion. Szczególną i odrębną grupę stanowią Hui-Huis-chińscy muzułmanie z prowincji Kuku-Nor, którzy są właścicielami rzeźni usytuowanych w specjalnej dzielnicy poza Lingkhorem. Traktuje się ich z lekką pogardą, ponieważ ubój zwierząt jest niezgodny z naukami buddyjskimi*. Ale nawet oni mają swoje świątynie.

Niezależnie od różnic wyznaniowych, rasowych i obyczajowych w uroczystościach i imprezach noworocznych bierze udział cała Lhasa. Obok siebie stoją nawet namioty dwóch „Wielkich Rywalizujących” o względy Tybetu – Anglików i Chińczyków.

Po turnieju jeździeckim i zawodach w strzelaniu z łuku na odległość uroczystości zakończyły się zawodami arystokracji. Jak długo żyję nie widziałem czegoś podobnego i

* Buddyzm hołduje zasadzie nieczynienia krzywdy żadnym czującym istotom, jako że w nieprzerwanym kręgu bytów wszystkie istoty byty kiedyś naszymi matkami (przyp. tłum.)

nigdy bym w to nie uwierzył. W miejscu zawodów rozpina się kolorową zasłonę, przed nią zawieszona jest czarna tarcza o średnicy około piętnastu centymetrów z koncentrycznie włożonymi jeden w drugi skórzanymi pierścieniami. Strzelec staje w odległości około trzydziestu metrów i wypuszcza strzałę do czarnej tarczy. Strzały wydają w czasie lotu szczególny dźwięk, który słychać dość daleko. Później miałem w ręce taką strzałę i przyjrzałem się jej dokładnie. Zamiast grotu zatknięty jest na niej podziurkowany drewniany czop i powietrze przechodzące przez te otwory w czasie lotu strzały wydaje charakterystyczne dźwięczne tony. Zawodnicy strzelali tak celnie, że niemal każda strzała trafiała w sam środek tarczy. Arystokratów także nagradzano białymi szarfami.

Wieczorem, po zakończeniu uroczystości feudalni panowie wracają do miasta we wspaniałym orszaku, a wzdłuż ulic stoi lud i podziwia bogactwo swych półbogów. Lud jest zadowolony. Oczy i uszy nasyciły się widowiskiem, a serca wiernych przez długi czas będą krzepić mistyka wielkiej Ceremonii i wspomnienie widoku młodego Króla-Boga. Teraz znowu można powrócić do dnia codziennego. Kupcy otwierają sklepy i targują się ze zwykłą chciwością, na rogach ulic pojawiają się gracze w kości, do miasta wracają psy, które w okresie wielkich porządków z oczywistych powodów wyniosły się z Lingchoru.

* * *

Nadal pozostawiano nas w spokoju. Zbliżało się lato, moje isziasowe dolegliwości z wolna ustępowały. Na temat wydalenia nas nie padło dotąd ani słowo. W pogodne dni mogłem już pracować w ogrodzie, mimo że wciąż pozostawałem pod stałą opieką angielskiego lekarza. Zleceń mi nie brakowało. Wieść o tym, że nowe urządzenie ogrodu Caronga i wodotrysk były moim dziełem, rozniosła się szybko i arystokraci, jeden za drugim, wszyscy chcieli mieć coś podobnego. Tybetańczyk kocha swój ogród i uprawia kwiaty z prawdziwym nabożeństwem. Sadzi je na każdym skrawku ziemi, w przeróżnych naczyniach – w starych czajnikach i puszkach po konserwach. Każdy dom, wszystkie pokoje ozdobione są kwiatami.

Aufschnaiter był bardzo zajęty budową swojego kanału i od rana do wieczora przebywał na miejscu budowy. Praca ustawała tylko na czas wielkich ceremonii. Fakt, że jego pracodawcami byli mnisi, można nazwać szczęśliwym zbiegiem okoliczności, bo chociaż świeccy dostojnicy odgrywają wielką rolę w zarządzaniu krajem, to jednak we wszystkich sprawach ostateczne słowo należy do wąskiego grona mnichów. Dlatego bardzo się uradowałem, gdy pewnego dnia zaproponowano mi pracę w ogrodzie klasztoru Cedrungów.

Zakon Cedrungów

Cedrungowie to urzędnicy duchowni, którzy stanowią rodzaj zakonu. Dzięki surowemu wychowaniu w duchu wspólnoty znacznie przewyższają swą siłą urzędników świeckich i to oni stanowią najbliższe otoczenie dalajlami. Z nich wywodzi się osobista służba młodocianego Boga: szambelan, nauczyciele i osobista ochrona – to wysocy Cedrungowie. Dalajlama uczestniczy w ich codziennych obowiązkowych zgromadzeniach, które służą pobudzaniu i utrzymywaniu ducha wspólnoty.

Duchowni urzędnicy zakonu Cedrungów, wszyscy bez wyjątku, mają za sobą surowe wykształcenie. Ich szkoła znajduje się we wschodnim skrzydle Potali, a nauczyciele, zgodnie z tradycją, wywodzą się z klasztoru Mondroling, położonego na południe od Cangpo i słynącego z kultywowania tybetańskiego piśmiennictwa i gramatyki. W szkole Cedrungów może się uczyć każdy Tybetańczyk, ale dostać się do klasztoru jest bardzo trudno. Od setek lat obowiązuje bowiem zasada ograniczająca liczbę mnichów do stu siedemdziesięciu pięciu. Wcześniej liczba ta wyznaczała także ilość urzędników świeckich; w Tybecie było więc zawsze ogółem trzystu pięćdziesięciu urzędników. Ostatnio na skutek utworzenia kilku nowych urzędów, liczba ta nieco się zwiększyła.

Młody uczeń-mnich, po ukończeniu osiemnastego roku życia, zdaniu odpowiednich egzaminów i oczywiście – przy odrobinie protekcji, może zostać Cedrungiem. Tym samym uzyskuje on rangę najniższego stopnia i, zależnie od swych uzdolnień, może wspiąć się aż do rangi trzeciego stopnia. Cedrungowie odziani są w bordowe szaty zwykłych mnichów, na które narzucają wierzchnie jedwabne okrycia, znamionujące ich pozycję, na przykład – żółte dla trzeciej rangi. Młodzi uczniowie Cedrungów wywodzą się najczęściej z ludu i tworzą zdrową przeciwwagę dla dziedzicznej arystokracji świeckiej. Czekają na nich szerokie pole do działania, ponieważ nie ma takiego urzędu, w którym obok urzędnika świeckiego, nie zasiadałby przynajmniej jeden urzędnik duchowny. Takie wspólne piastowanie urzędu ma zapobiegać niebezpieczeństwu despotycznej dyktatury jednego dygnitarza, które w systemie feudalnym zawsze istnieje.

Właśnie najwyższy szambelan młodocianego Boga, o dźwięcznym tytule Drönje Czemo, wezwał mnie, aby mi zaproponować pracę w ogrodzie Cedrungów. To była moja olbrzymia

szansa! Dał mi równocześnie do zrozumienia, że ogród Dalajlamy także wymaga pielęgnacji i o ile moja praca zyska uznanie... Natychmiast się zgodziłem. Przydzielono mi do pomocy kilku pracowników i zabrałem się do dzieła z tak wielkim zapalem, że ledwie wystarczało mi czasu na prywatne lekcje angielskiego i matematyki, których zacząłem udzielać kilku młodym arystokratom.

Czyż teraz mogło nam jeszcze coś grozić? Pracę proponowali nam najwyżsi urzędnicy duchowni – czyż nie był to znak, że pogodzone się już z naszą obecnością i po cichu nas tolerowano?

Niestety, jeszcze raz mieliśmy przeżyć ciężki szok. Pewnego dnia, z samego rana przybył do nas wysoki przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych Czibub, ostatni z czterech Tybetańczyków, którzy przed laty studiowali w Rugby. Misja sprawiała mu wyraźną przykrość. Wielokrotnie przeprasząc i wyrażając ubolewanie obwieścił nam, że angielski lekarz uznał mnie za zdolnego do podróży i rząd oczekuje od nas natychmiastowego wyjazdu. Jako dowód pokazał mi list angielskiego lekarza, który informował, że chociaż nie wyzdrowiałem całkowicie, podróż nie będzie zagrażać mojemu życiu.

Przez chwilę czuliśmy się tak, jakby nas ktoś zdzielił obuchem, bo o możliwości wydalenia z Tybetu przestaliśmy już myśleć. Opanowaliśmy się jednak szybko i zaczęliśmy zwięźle przedstawiać nasze argumenty. Nawrotu mojej choroby nie dało się przecież wykluczyć. Jakież będzie mój los, gdy w uciążliwej podróży nagle nie będę w stanie zrobić kroku? A tam, w Indiach nastała właśnie pora największych upałów. Po długim pobycie w górskim i zdrowym powietrzu Lhasy każdemu zaszkodziłaby tak nagła zmiana klimatu. A co będzie z rozpoczętymi pracami? Podjęliśmy je przecież na polecenie najwyższych urzędników i musimy skończyć! Pragniemy więc jeszcze raz wnieść stosowne podanie do rządu.

W głębi duszy pogodziliśmy się z koniecznością rychłego powrotu do Indii, równocześnie jednak planowaliśmy znowu dostać się w rejon Himalajów, bo przecież nasi koledzy nadal siedzieli w Indiach za drutami, mimo że był już kwiecień 1946 roku.

Jednak od tego dnia nie usłyszeliśmy już więcej o nakazie opuszczenia Tybetu, chociaż byliśmy na to przygotowani.

Z biegiem czasu przestano nas w Lhasie traktować jak obcych. Na ulicach nikt się już za nami nie oglądał, dzieci przestały pokazywać nas palcami i odwiedzano nas nie tyle z czystej ciekawości, co z sympatii.

Wyglądało na to, że także Misja Brytyjska nabrała przekonania o naszej nieszkodliwości, bo chociaż Delhi żądało naszej ekstradycji, to jednak bez szczególnego nacisku. A zachowanie oficjalnych czynników tybetańskich świadczyło, że jesteśmy tu mile widziani.

Powoli zaczynaliśmy się czuć jak u siebie w domu. Zarabialiśmy już wystarczająco dużo, by powoli uniezależniać się od gościnności Caronga. Praca sprawiała nam wiele radości, a czas płynął szybko. Jedyną rzeczą, której nam brakowało i za którą tęskniliśmy, były listy z

kraju. Od dwóch lat nie mieliśmy żadnych wiadomości i zapewne uznano nas już za zmarłych. Nieustannie jednak pocieszałyśmy się, że nasze położenie jest zupełnie znośne i mamy wszelkie powody do zadowolenia. Mieliśmy dach nad głową, o środki do życia nie musieliśmy się martwić i nie odczuwaliśmy też braku „zdobyczy zachodniej cywilizacji”. Europa z całym jej zamętem była tak odległa. Często kiwaliśmy z politowaniem głową, słysząc nadawane przez radio wiadomości. Nie zachęcały one do powrotu do ojczyzny...

Zaproszenia do znakomitych domów Lhasy bardzo urozmaicały nam życie. Nieustannie podziwialiśmy tybetańską gościnność, a wyszukane potrawy, pojawiające się na stołach, wprawiały nas w ciągłe zdumienie.

Najmłodszy syn Boskiej Matki

Oficjalne przyjęcie w domu rodziców Dalajlamy przyćmiło wszystko, co dotychczas widzieliśmy. Właściwie wziąłem w nim udział zupełnie przypadkowo. Pracowałem właśnie w ogrodzie – ponieważ i tam miałem zakładać nowe rabaty – gdy wezwano mnie do matki Boga, która stwierdziła, że pora już dzisiaj zakończyć moją pracę i przyłączyć się do grona gości. Nieco zakłopotany, patrzyłem na dostojne towarzystwo w sali przyjęć. Znajdowało się tam około trzydziestu arystokratów odzianych w najświetniejsze szaty i panował bardzo podniosły nastrój. Wkrótce poznałem przyczynę tego świetnego zgromadzenia. Przyjęcie wydano z okazji narodzin najmłodszego syna Boskiej Matki, którego wydała na świat przed trzema dniami. Speszony wyjąkałem życzenia, podając matce wypożyczoną naprędce szarfę. Uśmiechnęła się do mnie łaskawie. Znowu ją podziwiałem, jak gdyby nigdy nie przechadzała się po salonie i prowadziła z gośćmi ożywioną konwersację. Zadziwiające jak szybko tutejsze kobiety wstają z połogu. Z powodu porodu nie czyni się tu wiele wrzawy, lekarzy nie ma i kobiety pomagają sobie same. Każda jest dumna, gdy ma dużo zdrowych dzieci i karmi je piersią z podziwu godną wytrwałością. Nikogo nie dziwi, jeśli trzy – czy czteroletnie dziecko domaga się jeszcze piersi. Kobiety nomadów i żebraczki noszą niemowlę na piersiach, w kieszeni okrycia z owczej skóry. Kiedy są zajęte pracą głodne dziecko samo zaczyna ssać. W Tybecie wszyscy bez wyjątku, biedni czy bogaci, nad wyraz kochają dzieci i bardzo je rozpieszczają. Niestety, niemal w każdej rodzinie choroby weneryczne zbierają swe żniwo i rodziny wielodzietne, zwłaszcza w mieście, należą do rzadkości.

Gdy dziecko przychodzi na świat w rodzinie arystokratycznej, niemowlę natychmiast otrzymuje własną służącą, która nie opuszcza go nawet na chwilę, ani w dzień, ani w nocy. Narodziny dziecka to zawsze wielkie święto. W Tybecie nie znana jest ceremonia chrzcin oraz pojęcia ojca chrzestnego i matki chrzestnej – w naszym rozumieniu. Imię, a raczej imiona, ponieważ każde dziecko ma kilka imion, nadaje lama, który w wyborze odwołuje się do astrologii i związków ze świętymi. Jeżeli dziecko przeszło jakąś ciężką chorobę, zwyczajowo nadaje mu się inne imię w przekonaniu, że poprzednie było złym znakiem i należy je porzucić. Tak zdarzyło się z jednym z moich przyjaciół – dorosłym mężczyzną, który po przebyciu ciężkiej dyzenterii otrzymał nowe imię. Oczywiście myliłem się ciągle,

zwracając się do niego.

Święto z okazji narodzin najmłodszego brata Dalajlamy było radosną, iście lukullusową ucztą. Gości posadzono na poduszkach przy niskich stolikach, ściśle podług rangi. Przez dwie godziny roznoszono rozmaite dania. Próbowałem je wszystkie zliczyć, ale udało mi się tylko do czterdziestu! Taka uczta wymagała wcześniejszego treningu i trzeba było pilnować się od samego początku, żeby być w stanie dotrzeć do ostatnich smakołyków. Zręczni służący wnosili półmisek za półmiskiem, bezgłośnie uprząтали i podawali nowe wspaniałości. Czegóż tam nie było! Obok potraw tybetańskich z jagnięcego mięsa i mięsa jaków, kurcząt i ryżu – delikatesy z całego świata. I jeszcze specjały indyjskie – curry i wszelkie drażniące podniebienie przyprawy. A gdy na końcu podano jeszcze obowiązkową tukpę*, z trudem można było dać jej radę.

Chociaż wszyscy są zmęczeni jedzeniem, niektórzy goście zaczynają domagać się gier – i tak czas upływa bardzo szybko, aż do wieczora. Teraz znowu posiłek. Jeszcze bardziej wystawny. I znowu wielogodzinne jedzenie. Człowiek zadaje sobie po cichu pytanie: czy istnieją potrawy, których tu jeszcze nie podano? Dania są bardzo ostre i pobudzają pragnienie, więc teraz pije się duże ilości czangu. A jeżeli dla kogoś piwo jest zbyt słabe, może napić się whisky lub portwajnu. Humory są coraz lepsze a gospodarze zadowoleni, że goście dobrze się bawią. Rausz nie przynosi nikomu wstydu – świadczy o dobrym nastroju.

Po kolacji przyjęcie w domu położnicy skończyło się. Na dworze służba i konie stoją gotowi, by odwieźć gości do domów – jest to znak najwyższej gościnności. Wszyscy żegnają się, dziękują i otrzymują jeszcze białe szarfy na szyję. Wszyscy zapraszają się nawzajem i trzeba mieć wprawne ucho, by wyczuć, które zaproszenie jest czczą grzecznością, a które należy traktować poważnie. Wiele czasu upłynęło, zanim nauczyliśmy się z Aufschnaiterem rozróżniać drobne niuanse tonu i formuły zaproszenia i mogliśmy się cieszyć ze sposobu, w jaki nas zapraszano.

* rosół z makaronem (przyp. tłum.)

Przyjaźń z Lobsangiem Samtenem

W tym domu mieliśmy gościć jeszcze nie raz, a z Lobsangiem Samtenem złączyły nas wkrótce więzy prawdziwej przyjaźni. Lobsang był sympatycznym młodzieńcem. Obecnie stał u progu swej kariery duchownego urzędnika i jako brata młodocianego Boga czekała go błyskotliwa droga, wyznaczona jego wysokim urodzeniem i pozycją. Pewnego dnia odegra on ważną rolę pośrednika pomiędzy bratem a rządem. Ale ciężar tej pozycji już teraz rzucał cień na jego życie. Nie miał on swobody wyboru towarzystwa, a każdy jego krok był natychmiast interpretowany. Gdy przychodził z oficjalną wizytą do domu jakiegoś wysokiego urzędnika, towarzystwo milkło i wszyscy, czy to minister, czy gubernator – natychmiast zrywali się ze swych siedzeń, okazując szacunek należny bratu Króla-Boga. To wszystko mogło łatwo przewrócić w głowie młodemu człowiekowi, jednak Lobsang zachował skromność charakteru.

Często opowiadał mi o swoim bracie – Bogu, żyjącym samotnie w Potali. Już dawno zauważyłem podczas przyjęć, że wszyscy goście chowali się, gdy tylko na dachu Potali ukazała się postać spacerującego Dalajlamy. Lobsang udzielił mi wzruszającego wyjaśnienia. Młody Bóg posiadał kilka pierwszorzędných lornetek, które otrzymał w darze, i lubił przyglądać się z dachu Potali pracy i życiu swych poddanych. Potala była dlań właściwie złotą klatką. W ciągu dnia spędzał wiele godzin na nauce i modłach w mrocznych pomieszczeniach. Rozrywek i wolnego czasu nie miał wiele. Gdy ktoś w rozbawionym towarzystwie poczuł, że jest obserwowany, natychmiast umykał z pola widzenia. Nikt nie chciał smucić Króla-Boga, któremu nie wolno było zażywać takich przyjemności.

Lobsang był jedynym jego przyjacielem i powiernikiem, jedynym, który miał do niego w każdej chwili dostęp. Już teraz był on łącznikiem pomiędzy światem zewnętrznym i Królem-Bogiem i musiał opowiadać bratu o wszystkim, co nowego się zdarzyło. W ten sposób dowiedziałem się, że Dalajlamę bardzo interesowała nasza praca i często przyglądał się także moim zajęciom w ogrodzie.

Lobsang powiedział mi też, że brat z radością oczekuje przeprowadzki do letniej rezydencji – Norbulingki*. Nadeszła już piękna pora roku, w Potali było ciasno i duszno –

* „Ogród Klejnotów”. Położona w zach. części miasta letnia rezydencja dalajlamów. Pierwszy niewielki pawilon

tęsknił za ruchem na świeżym powietrzu i pragnął zmienić siedzibę jak najprędzej.

Tymczasem przeminęły burze piaskowe i brzoskwiniowe drzewa stały w pełnym rozkwicie. Resztki śniegu na okolicznych szczytach lśniły w słońcu oślepiającą bielą. Ten kontrast nadawał w pełni rozkwitłej wiosnie niepowtarzalny czar, dobrze mi znany z ojczystych gór. Wreszcie nadszedł dzień, kiedy ciepła pora roku zapanowała oficjalnie. Jest to hasło do zmiany zimowej odzieży na letnią, ponieważ zimowego futra pod żadnym pozorem nie wolno zrzucić według własnego widzimisię. Rokrocznie, na podstawie rozmaitych znaków wzmiankowanych w starych religijnych księgach, ustala się dzień, w którym arystokracja i mnisi przebijają się w letnie szaty, niezależnie od tego, czy przyjdą jeszcze burze i śnieżyce, czy też już wcześniej nastąpiły ciepłe dni. Jesienią, gdy sięga się po zimowe odzienie, jest podobnie. Nieustannie słychać narzekania, że zmiana odzieży nastąpiła za wcześnie lub za późno i wszyscy duszą się z gorąca albo niemal umierają z zimna. Ale tego, co raz zostało ustalone, trzeba się trzymać.

Zmiany odzieży dokonuje się na wezwanie podczas wielogodzinnej ceremonii. Służba znosi na plecach ciężkie toboły z nowymi ubiorami. U mnichów odbywa się to prościej, bo zmieniają oni tylko kapelusze obszyte futrem na nakrycia głowy w kształcie talerza z papiermache. Gdy wszyscy mieszkańcy na raz ukazują się w letniej odzieży, całe miasto zmienia nagle wygląd. Ale zmiana garderoby następuje jeszcze raz z okazji wspaniałej procesji, gdy wszyscy urzędnicy odprowadzają swego władcę do letniej rezydencji. Nie mogliśmy się z Aufschnaiterem doczekać tej ceremonii; była to przecież szansa ujżenia z bliska Żyjącego Buddy.

Procesja do Norbulingki

Była prawdziwie letnia pogoda i wspaniale świeciło słońce. Całe miasto wyległo przez zachodnią bramę czortenu, ustawiając się szpalerem wzdłuż trzykilometrowej drogi prowadzącej z Potali do letniej rezydencji Norbulingka. W tłoczącej się cizbie znalezienie dobrego miejsca było nie lada sztuką!

Przybył tu każdy, kto tylko mógł poruszać się o własnych siłach, z bliska i z daleka. Co za wspaniały widok! I jaka szkoda, że nie mam kamery! Chciałoby się mieć kolorowy film, aby utrwalić ten wspaniały, barwny, ruchomy obraz.

Święto początku lata było dniem radości. Cieszyli się wszyscy – młodzi i starzy. Cieszyłem się i ja, że ten młodzieniec opuszcza swoje ciemne więzienie i zamieszka w letnim pałacu. W jego życiu nie było zbyt wiele słońca! O ile monumentalna architektura Potali na zewnątrz prezentuje się wspaniale, to jako mieszkanie jest ona ciemna i nieprzystępna. Prawdopodobnie wszyscy boscy królowie pragnęli opuścić zimowy pałac jak najprędzej, bo letni ogród – Norbulingkę, założył już Dalajlama VII, a ukończona została dopiero w czasach Dalajlamy XIII*. Stara legenda mówi, dlaczego ten właśnie kolor wybrano jako symbol:

* Dalajlama VII – 1708-1757 r.; Dalajlama XIII – 1876-1933 r. (przyp. tłum.).

Tenże Dalajlama XIII był wielkim reformatorem i nowocześnie myślącym człowiekiem. On pierwszy pozwolił sobie na sprowadzenie do Lhasy trzech samochodów, co na owe czasy było czymś niesłychanym.auta rozebrane na części przetransportowano przez góry na grzbietach jaków i tragarzy, a w Lhasie zmontował je ponownie mechanik wyszkolony w Indiach. Został on potem „królewskim szoferem” i często ze smutkiem opowiadał mi o „swych” trzech samochodach, które starannie zakonserwowane stały teraz w baraku. Stare austiny i dodge, które przez krótki czas stanowiły sensację na Dachy Świata, opłakiwały teraz zmarłego pana, rdzewiejąc z godnością. Do dziś opowiada się ze śmiechem jak Dalajlama XIII użył ich do potajemnej ucieczki z zimowego pałacu. Gdy nadeszła jesień, przeprowadzono go w pompatycznej procesji z Norbulingki do Potali. Zaraz po przybyciu na miejsce wsiadł niespostrzeżenie do jednego z samochodów i szybko wrócił do letniej rezydencji.

Z dala dobiega dźwięk puzonów, słysząc trąby – zbliża się procesja! W tłumie rozchodzi się pomruk, ale po

Kiedy wielki reformator buddyzmu Congkapa przyjmowany był do klasztoru Sakya, zajmował ostatnie miejsce w szeregu nowicjuszy. Gdy przy rozdawaniu szat zakonnych przyszła na niego kolej, okazało się, że zabrakło czerwonych czapek – zwykłego nakrycia głowy mnichów. Aby mógł otrzymać w ogóle jakąś czapkę, sięgnięto po pierwszy lepszy kapelusz. Przypadek sprawił, że był on w żółtym kolorze. Congkapa nigdy go już nie zdejmował, a żółty kolor stał się znakiem zreformowanego kościoła.

Podczas ceremonii i audiencji Dalajlama nosił także żółtą, jedwabną czapkę i kolorem tym oznaczano wszystkie jego przedmioty. Ten przywilej przysługiwał tylko jemu.

W wielkich klatkach niesione są ulubione ptaki boskiego króla. To tu, to tam papuga wykrzykuje tybetańskie pozdrowienia, a tłum ekstatycznie wzdycha, jakby to był głos samego boga. Następnie w pewnej odległości od służących kroczą mnisi z religijnymi chorągwiami, a po nich ze staromodnymi instrumentami orkiestra na koniach, odziana w kolorowe starodawne stroje. Instrumenty wydają szczególne, jęklive dźwięki, trąby nie są zbyt zgrane, ale wszystko robi wiele hałasu i jest efektownie wyreżyserowane. Teraz nadjeżdżają zastępy Cedrungów, także konno i uszeregowani ściśle według rangi. Za nimi służba prowadzi ulubione konie Dalajlamy, wspaniale przystrojone. Uprzęże są koloru żółtego, wszystkie metalowe części uprzęży i siodeł wykonane są z czystego złota, a czapaki z rosyjskich brokatów. Konie, jakby świadome swej wartości, suną ogniście tanecznym krokiem wzdłuż tłumu, który oniemiał z zachwytu.

A teraz kolej na największych wielmożów tego kraju! Najwyższe miejsce w hierarchii zajmują mężczyźni piastujący urząd osobistych opiekunów Boskiego Króla – szambelan, podczaszy, nauczyciel i wszyscy ci, którzy mają honor stanowić pomost pomiędzy ludem i rządem. Są to – oprócz rodziców i rodzeństwa – jedyne osoby, którym wolno rozmawiać z młodocianym Bogiem; mnisi na stanowiskach opatów w wierzchnich szatach z żółtego jedwabiu. Otoczeni są przez olbrzymów ze straży przybocznej Jego Świątobliwości, mężczyźni starannie dobranych według wzrostu i siły – każdy musi mierzyć nie mniej niż dwa metry, a jeden jak słyszałem miał podobno nawet 2,45 m wzrostu. Są to prawdziwe olbrzymy o potężnych barach, z długimi pejcami w dłoniach i jedyne ludzkie dźwięki w tej głębokiej ciszy pochodzą od nich. Raz po raz niskim basem wzywają do cofnięcia się lub zdjęcia kapelusza – raczej ze względu na wymogi ceremoniału, bo ludzie i tak stoją pełni pokory na skraju drogi, z pochylonymi głowami i złożonymi dłońmi, a wielu z nich pada ze czcią na kolana dotykając czołem ziemi. Potem kroczy uroczyście dowódca Armii Tybetańskiej, trzymając miecz w pozycji „prezentuj broń”. Jego mundur khaki ponuro kontrastuje z szatami

chwili nastaje nabożna cisza, bo oto zbliża się czoło procesji. Straż przednią tworzy chmara sług zakonnych, którzy dźwigają w tobołkach osobisty dobytek Jego Świątobliwości. Każdy toboł owinięty jest w żółte jedwabne chusty. Kolor żółty jest barwą zreformowanego kościoła lamaickiego, zwanego w skrócie „żółtym kościołem”^{*} [*lub „Żółtymi Czapkami” – inaczej szkoła Gelugpa, „Wzór Cnoty”, wprowadzona w XV w. przez Congkapę szkoła buddyzmu tybetańskiego, która rozrosła się na taką skalę, że w ciągu dwóch wieków zajęła miejsce starszych szkół zakonnych zarówno na arenie religijnej, jak i politycznej. Jej najwyższym reprezentantem jest Dalajlama]

z ciężkich brokatów i jedwabi. Szczegóły umundurowania pozostawiono jego osobistej fantazji. Pewnie dlatego epolety i odznaczenia są ze szczerego złota, a na głowie ma tropikalny hełm.

A teraz – wszyscy wstrzymują oddech – oto zbliża się obity żółtymi jedwabiami palankin młodocianego Żyjącego Buddy. Lektykę, która w promieniach słońca wygląda jak szczerozłota, niesie trzydziestu sześciu mężczyzn* ubranych w suknie z zielonego jedwabiu. Na głowach mają czerwone kapelusze w kształcie talerza. Kontrast błyszczących kolorów nasyconej żółci, zieleni i czerwieni jest urzekający. Nad palankinem jeden z mnichów trzyma olbrzymi, mieniający się barwami tęczy parasol z pawich piór. Ten obraz, jakby wyłaniający się z jakiejś dawno zapomnianej wschodniej bajki, to prawdziwa uczta dla oka.

* Są to oficerowie Armii Tybetańskiej (przyp. tłum.)

Chcemy zobaczyć Dalajlamę

Tłum wokół zastyga w głębokim pokłonie, nikt nie ośmiela się podnieść wzroku. Tylko my dwaj skłaniamy się lekko i zapewne rzucamy się w oczy. Ale przecież koniecznie chcemy zobaczyć Dalajlamę! I oto... uśmiecha się do nas, z twarzą tuż przy szybie palankinu. Pełne naturalnego wdzięku, szlachetne rysy i uśmiech dziecka. A więc i on ciekaw był nas ujrzeć! Wyraźnie czujemy jego spojrzenie!

Palankin mija nas powoli, kołysząc się w rytmie odświętnego kroku. Krok trzydziestu sześciu mężczyzn niosących lektykę jest zadziwiająco równy. Dowiedziałem się później, że przez wiele tygodni ćwiczyli tę umiejętność pod okiem arystokraty czwartej rangi i dzięki temu osiągnęli tę zdumiewającą harmonię.

Kulminacyjny punkt procesji – centrum duchowe – był już za nami. Teraz kolej na potęgę świecką. Po obu stronach palankinu suną czterej ministrowie na wspaniałych koniach. Za nimi druga lektyka, równie bogata, lecz niesiona przez mniejszą ilość mężczyzn. Oto regent! Tagtra Gyalcab Rimpocze – „Tygrysia Skala, Szlachetny Zastępca Króla”, starszy pan w wieku około 73 lat. Patrzy milcząco przed siebie, nikogo nie pozdrawia i nie uśmiecha się, zdaje się nie widzieć tłumu. Czcigodny zastępca młodocianego boga ma tyluż wrogów co przyjaciół. Panuje przytłaczająca cisza... Za nim jadą konno przedstawiciele „trzech filarów państwa”: opaci klasztorów Sera, Drepung i Ganden. Ich wierzchnie szaty są także złotego koloru, ale utkane są z wełny. Na ogolonych głowach mają płaskie, połączone kapelusze z papiermache. Za nimi postępuje arystokracja świecka. Wielmoże ustawieni są zgodnie z hierarchią zajmowanych stanowisk. Każda grupa ubrana jest jednolicie; szczególnie uderzają ich różnorodne nakrycia głowy. Małeńkie białe czapeczki arystokratów niższej rangi, zakrywające tylko węzeł włosów i wiązane wstążeczką pod brodą, wyglądają komicznie.

Jestem jeszcze całkowicie pochłonięty obserwowaniem pochodu, a już do uszu dobiegają znajome dźwięki. Nie do wiary – to angielski hymn! W połowie drogi do letniego pałacu zajęła pozycję orkiestra Straży Przybocznej. Teraz właśnie mijają palankin z Dalajlamą... Jako wyraz czci orkiestra intonuje hymn „Boże chroń króla”! Wielekroć słyszałem go w lepszym wykonaniu, ale nigdy dotąd nie byłem tak zaskoczony. Jak się później dowiedziałem, była to kiepska próba naśladowania europejskich zwyczajów; Kapelmistrz Straży

Przybocznej, który wraz z kilkoma oficerami odbywał szkolenie w angielskiej armii w Indiach, zauważył że ta melodia towarzyszy zawsze wszystkim uroczystościom. Postanowił więc przenieść ją do Tybetu. Istniał nawet tybetański tekst do niej, jednakże nie słyszałem, aby go kiedyś śpiewano.

Po kilku fałszywych dźwiękach trębaczy, którym najwyraźniej zabrakło tchu, orkiestra dęta całkiem poprawnie dobrnęła wreszcie do końca hymnu i przyłączyła się do procesji. Teraz przyszła kolej na stojącą już w pobliżu letniej rezydencji kapelę kobziarzy, wyłonioną z liczącej pięćset osób policji miejskiej, i... rozległy się melodie szkockie.

Muzyka tybetańska, której słuchałem przy wielu okazjach, posługuje się tylko jednogłosową frazą i miło brzmi także dla naszego ucha. W jednej melodii następują wielokrotne zmiany rytmu i nastroju.

Uroczysty pochód zniknął za szeroko otwartą bramą ogrodu. Tam odbywa się jeszcze jedna ceremonia, która kończy się uroczystą biesiadą wszystkich urzędników.

Powoli tłum się rozchodzi. Jedni wracają do pracy, inni wykorzystując piękny dzień, urządzają piknik za miastem. Dla ludu skończyło się jedno z największych dorocznych wydarzeń. Chciałoby się je jeszcze nieco przedłużyć. Kobiety z arystokratycznych i kupieckich rodów paradują w nowych letnich kapeluszach, trochę flirtują i długi czas będą miały o czym plotkować. Nieco dalej nomadzi, pocąc się swoich ciepłych kożuchach zwijają namioty. Przybyli tu tylko po to, aby zobaczyć procesję, i zaraz wracają do swej chłodniejszej ojczyzny w Czangthangu.

Podobnie jak żadnemu Tybetańczykowi nie przyszłoby do głowy wybrać się latem z pielgrzymką do Indii, nomadzi bardzo niechętnie przybywają w lecie do Lhasy. Miasto położone jest na wysokości „zaledwie” 3700 metrów i koczownicy, żyjący przeciętnie o 1000 metrów wyżej, nie są przyzwyczajeni do tutejszych temperatur.

Także i my wróciliśmy do domu pod głębokim wrażeniem wszystkiego, co ujrzeliśmy. Nic nie byłoby w stanie lepiej opisać stosunków władzy w tym kraju niż obraz, który mieliśmy właśnie okazję oglądać. Centrum i szczyt stanowią dalajlama i regent. Po prawej i lewej stronie wiodą jednakowe stopnie w dół. Czoło procesji tworzą mnisi, demonstrując swoją rolę i znaczenie w państwie. Dopiero w drugim rzędzie kroczy świecka arystokracja.

Centrum gmachu państwa stanowi religia. Pielgrzym pokonuje tysiące trudności, z odległego Czangthangu przybywa nomada, aby raz w roku uczestniczyć we wspaniałej manifestacji swojej wiary i potem żyć jej wspomnieniem w samotności swego twardego żywota. Przebieg codziennego dnia wyznacza ludowi wiara, młynki modlitewne obracają się nieustannie, wierni szepczą święte formuły*, na dachach domostw i przełęczach górskich powiewają modlitewne chorągwie. Deszcz i wiatr, wszystkie zjawiska przyrody, samotne szczyty gór skutych śniegiem i lodem są świadectwem wszechobecności bóstw. Gdy nadciąga gradowa burza – gniewają się, pomyślność i urodzaj świadczą o ich przychylności. Życie ludu

* Tzw mantry Powtarzanie ich służy uspokojeniu umysłu i aktywizuje odpowiednie energie

zależy od ich woli, a jej interpretatorami są lamowie. Z niepokojem wypatruje się znaków, na początku i u kresu każdego przedsięwzięcia jawi się dobry lub zły omen. Wszyscy nieustannie zanoszą modły dziękczynienia i prześlągania. Wszędzie płoną maślane lampki – w najznakomitszym domu arystokraty i w samotnym namiocie nomady. Czy płomyk miga w miedzianych miseczkach biedaków, czy też w złotych czarkach bogaczy – zapaliła je ta sama wiara. W Tybecie nie przywiązuje się zbyt wielkiej wagi do życia doczesnego, śmierć nie budzi lęku. Wiadomo, że nastąpią ponowne narodziny i wszyscy mają nadzieję, że dzięki swej pobożności odrodzą się w wyższej formie bytu. Kościół jest najwyższą instancją i nawet najzwyczajniejszy mnich cieszy się wśród ludu wielkim szacunkiem. Wszyscy zwracają się do niego „kuszo”, chociaż ten tytuł przysługuje niższej arystokracji. W każdej rodzinie co najmniej jednego syna poświęca się do życia klasztornego. To wyraz szacunku dla kościoła, a dziecko ma zapewniony lepszy start w życiu.

W ciągu tych wielu lat nie spotkałem nikogo, kto wyraziłby najmniejsze choćby zwątpienie w naukę Buddy. Oczywiście istnieje w Tybecie wiele sekt*, lecz różnice dotyczą tylko aspektów zewnętrznych. Trudno doprawdy oprzeć się religijnej żarliwości, którą promieniują wszyscy poddani króla. Już po krótkim czasie niepodobieństwem było, abym bezmyślnie zabił muchę, a w towarzystwie Tybetańczyka nie odważyłbym się zabić owada tylko dlatego, że był dla mnie dokuczliwy.

Ta postawa jest często wzruszająca. Gdy w czasie pikniku mrówka zacznie po kimś chodzić, zdejmuje się ją najdelikatniej i kładzie na ziemi, a gdy do filiżanki herbaty wpadnie mucha – oznacza to małą katastrofę. Owada ratuje się przed utopieniem, bo może to być reinkarnacja zmarłej babci. W podobny sposób wszyscy i w każdej sytuacji zadają sobie trud ratowania dusz i życia. Zimą dla uchronienia życia rybek i robaków rozbija się lód w zamrożonych bajorach, a latem, gdy kałuże zaczynają wysychać, wyciąga się żyjątko i przenosi na inne miejsce. Dzieciaki, żebracy i służący często godzinami brodzą w wodzie, dopóki z ostatniej kropli kałuży nie wyciągną wszystkich stworzonek. Wkłada się je do wiadra lub puszki po konserwie i wypuszcza do rzeki. Tym samym uczyniło się coś dla dobra duszy. Można też chodzić od domu do domu i sprzedawać „uratowane” stworzenia zamożnym ludziom, aby i oni mieli swój udział w słusznym dziele. Im więcej istot uda się komuś uratować, tym jest szczęśliwszy. Taki związek ze wszystkimi stworzeniami jest prawdziwie wzruszającą cechą tego narodu.

Nigdy nie zapomnę pewnego przeżycia, którego doświadczyłem w towarzystwie duchownego urzędnika i zarazem mojego przyjaciela – Łangdüli. Wybraliśmy się kiedyś do jedynej chińskiej restauracji w Lhasie i na jej podwórzu zobaczyliśmy biegającą gęś, najwyraźniej przeznaczoną do garnka. Nagle Łangdüla sięgnął do kieszeni i za sporą sumę odkupił gęś od Chińczyka, po czym kazał służącemu zanieść ją do swojego domu. Przez

* Autorowi chodzi zapewne o szkoły buddyzmu. W Tybecie istnieją cztery wielkie szkoły buddyzmu: Kagyüpa, Nyingmapa, Sakyapa i wspomniana już wcześniej Gelugpa (przyp. red.)

wiele następnych lat dreptała po jego podwórku, dożywając spokojnej starości.

Typową postawę Tybetańczyków wobec wszystkich żyjących stworzeń obrazuje rozporządzenie przerywania wszelkich prac budowlanych w całym Tybecie na okres medytacji młodego Dalajlamy, a trwała ona trzy lata. Nakaz wydano, ponieważ podczas prac ziemnych – nawet przy zachowaniu największej ostrożności – nie da się uniknąć zabijania robaków i owadów. Rozesłano gońców we wszystkie strony, do najodleglejszych zakątków kraju, rozkaz musiał dotrzeć do najmniejszego gospodarstwa. Później, gdy osobiście kierowałem robotami ziemnymi, widziałem na własne oczy, jak robotnicy co chwila odstawiali narzędzia i z każdej łopaty ziemi wygrzebywali wszelkie żyjątka, ratując je od śmierci. Naturalną konsekwencją tej postawy jest fakt, że w Tybecie nie stosuje się kary śmierci. Chociaż morderstwo uważa się za najohydniejszą zbrodnię, to jednak zabójca zostaje poddany tylko karze chłosty, a jego nogi zakuwa się w kajdany. Straszliwa chłosta jest w gruncie rzeczy mniej humanitarna niż nasza kara śmierci, bo prowadzi często do konania w potwornych męczarniach, ale zasady wiary nie zostają złamane. Zbrodniarze, skuci w żelazne łańcuchy, kończą żywot albo w więzieniu w dzielnicy Szö, albo zostają przekazani namiestnikowi dystryktu, który za nich odpowiada. Jeden taki przypadek znaleźliśmy już z własnego doświadczenia i los mordercy nie wydawał się nam wtedy tak bardzo godny pożałowania. Wprawdzie przez całe życie musi on chodzić w kajdanach i nie otrzymuje wsparcia od państwa, ale spotyka przecież zawsze wielu dobrych ludzi, którzy go nakarmią, przepełnieni nabożnym współczuciem. Oczywiście, chodzi znowu o uratowanie życia. Przestępcom odsiadującym karę więzienia wiedzie się znacznie gorzej. Posiadają oni tylko jeden jedyny przywilej – w dniu urodzin i śmierci Buddy mogą żebrać o jałmużnę na Lingkhorze, skuci po dwóch w kajdany.

Za kradzież i drobniejsze występki grozi publiczna kara chłosty. Złoczyńcy zawiesza się na szyi deskę z opisem wykroczenia i musi tak stać kilka dni pod czymś w rodzaju pręgierza. Ale i do niego podchodzą miłosierni ludzie i podają mu napój i strawę. Rabusie i zbójcy stają przed sądem i za dokonane przestępstwa najczęściej obcina się im ręce lub nogi. Byłem wstrząśnięty, gdy dowiedziałem się, w jaki sposób sterylizowane są ich rany – krwawiący kikut zanurza się we wrzącym maśle. Ale i takie kary nie odstraszą złoczyńców. Gubernator opowiadał mi, że zuchwale nadstawiają kończynę, a po kilku tygodniach popełniają nowe przestępstwa i nawet on sam był zdumiony ich odwagą. Jednak w Lhasie, w Świętym Mieście, już od wielu lat poniechano wykonywania tak niehumanitarnych kar.

Przestępstwa polityczne karane są bardzo surowo. Do dziś mówi się o karze, jaka spotkała mnichów z klasztoru Tengyeling, którzy przed czterdziestu laty próbowali paktować z Chińczykami. Klasztor został zrównany z ziemią a jego nazwa zakazana.

W Tybecie nie ma sędziów zawodowych. W każdej sprawie śledztwo powierzone zostaje dwóm lub trzem arystokratom; niestety, taki system sprzyja korupcji i tylko niewielu arystokratów cieszy się opinią niezawisłych sędziów. W systemie feudalnym przekupstwo

stanowi dobre źródło dochodów. Jednak gdy ktoś czuje się pokrzywdzony niesprawiedliwym wyrokiem, ma jeszcze wielką szansę. Podczas procesji może on osobiście wręczyć list dalajlamie siedzącemu w lektyce. Zostaje wprawdzie ukarany za złamanie etykiety, ale gdy dalajlama uzna jego rację, zostanie natychmiast ułaskawiony. Oczywiście, jeżeli okaże się, że nie miał słuszności, za czelność musi odpokutować podwójnie.

W samej Lhasie funkcję urzędu sądowego sprawuje magistrat, z wyjątkiem dwudziestu jeden dni, kiedy podczas obchodów święta Nowego Roku władza przechodzi w ręce mnichów. Magistrat jest reprezentowany przez dwóch urzędników świeckich i mają oni pełne ręce roboty, bo wraz z pielgrzymami napływa do miasta wiele szumowin.

W wyjątkowej sytuacji są Kacarowie, mieszkańcy Tybetańczyków z Nepalczykami. Posiadają oni własny urząd, składający się w połowie z Nepalczyków i w połowie z Tybetańczyków. Urząd ten utrzymuje równocześnie stosunki dyplomatyczne pomiędzy oboma krajami.

Susza i wyrocznia z Gadong

Wkrótce po tym jak Dalajlama przeniósł się do swej letniej rezydencji, nastąpiło lato. W Lhasie to cudowna pora! Upał nie przekracza 35° C, a noce są przyjemne i chłodne. Ale jednak suchy klimat daje znać o sobie – opady zdarzają się rzadko i wkrótce wszyscy z utęsknieniem oczekują na deszcz. W Lhasie i okolicy istnieje kilka obmurowanych kamieniem studzien, ale latem zwykle wysychają i wtedy ludność musi czerpać wodę z Kyiczu. Chociaż rzeka oczywiście uchodzi za świętą, niekiedy wrzuca się do niej zwłoki, a ryby dbają już o to, by natychmiast znikły one bez śladu. Ponieważ Kyiczu wypływa z lodowców, woda w niej jest kryształowo czysta, jak w górskim strumieniu.

Zawsze gdy studnie w mieście zaczynają wysychać i pola jęczmienia stoją suche i spękane, ukazuje się osobliwe rozporządzenie rządowe: każdy mieszkaniec Świętego Miasta zobowiązany jest skrapiać ulice dopóty, dopóki rozkaz nie zostanie cofnięty. Zaczyna się dziwny ruch, jakbyśmy nagle znaleźli się w mieście głupków. Każdy, kto ma ręce i nogi, biegnie z wiadrami i dzbanami do rzeki, by przetaszczyć do miasta cenną ciecz. Panowie wysyłają swoich służących, ale potem wyjmują z ich rąk dzbany pełne wody i z wielkim zapalem przyłączają się do wodnej batalii – obficie polewane są nie tylko ulice, ale i przechodnie. Biedny czy bogaty, stary czy młody – wszyscy wylegają na ulice, znikają różnice stanów i każdy tylko leje, wylewa, polewa i pryska. Strugi wody chluszczą zdradziecko z okien, z dachów spadają potoki. Powyciągano wszystkie stare strzykawki, by siknąć komuś znienacka w twarz. Prym wiodą oczywiście dzieci. Wreszcie mogą robić to, co zwykle jest zabronione, i rzecz jasna używają radości bez opamiętania. Oczywiście trzeba robić dobrą minę do złej gry, nawet gdy jest się mokrym od stóp do głów. Kto psuje zabawę, ten dopiero dostaje za swoje!

Jest to prawdziwe ludowe święto! Sklepy są po części pozamykane i gdy ktoś ma coś do roboty na ulicy lub chce zrobić zakupy na Parkhorze, wraca do domu zupełnie mokry. Oczywiście, dzieciaki szczególnie mnie sobie upatrzyły. Z powodu wysokiego wzrostu stanowią dobry cel i „dżermen Henrigla”, niemiecki Heinrich, musiał oberwać więcej niż inni.

Podczas gdy na ulicach Lhasy szaleje wodna bitwa, do letniej rezydencji dalajlamy

zostaje wezwany najsylniejszy tybetański zaklinacz pogody – „wyrocznia z Gadong”. Tam czeka już dostojne zgromadzenie najwyższych urzędników, któremu osobiście przewodniczy Dalajlama. Wszyscy cierpliwie czekają. Mnich-wyrocznia po kilku chwilach wpada w trans. Jego ciałem wstrząsają drgawki, z ust wydobywają się jęki. Natychmiast jeden z duchownych urzędników bardzo uroczyście zaczyna prosić zaklinacza o deszcz, bowiem krajowi grozi klęska nieurodzaju. Ruchy wyroczni stają się coraz bardziej ekstatyczne, niezrozumiałe pomruki zmieniają się w urywane okrzyki – podchodzi sekretarz, wsłuchuje się w słowa wyroczni, notuje je szybko wprawną ręką i zapisaną tabliczkę przekazuje Gabinetowi. Ciało medium, opuszczone przez swoje bóstwo, zapada w głębokie omdlenie i zostaje wyniesione z sali.

Teraz cała Lhasa w napięciu oczekuje na deszcz. I rzeczywiście zaczyna padać! Można wierzyć w cuda lub szukać racjonalnego wyjaśnienia, ale fakt jest faktem – wkrótce po tym spektaklu leje deszcz! Dla Tybetańczyków oczywiste jest, że w czasie transu bóstwo wstąpiło w ciało wyroczni i wysłuchało prośb swego ludu.

Mnie takie wyjaśnienie oczywiście nie zadowoliło i uparcie poszukiwałem wytłumaczenia prozaicznego. Być może woda wylewana przez wiele dni na ulice spowodowała powstanie chmur? Może były to zwiastuny monsunu, które nieco opóźnione dotarły na Płaskowyż Tybetański? Misja Brytyjska zamontowała stację meteorologiczną i na podstawie regularnie prowadzonych pomiarów zarejestrowano średni roczny opad równy 35 centymetrów. Najobfitsze opady występowały zawsze w tym samym czasie. Aufschnaiter na podstawie pomiaru stanu wód Kyiczu także potrafił później określić początek przyboru wód, który co rok wypadał niemalże na ten sam dzień. Wkładając nieco mistycznego wysiłku, mógłby zostać dobrą wyrocznią.

Powszechnie mówiło się, że dawniej w okolicach Lhasy opady były znacznie obfitsze. Rosły tu wielkie lasy, które sprawiały, że klimat był chłodny i wystarczająco wilgotny. Jednak skutek długotrwałej rabunkowej gospodarki lasy zostały doszczętnie wytrzebione. Obecnie, jak okiem sięgnąć nie widać już drzew. Lhasa ze swymi sztucznie wyhodowanymi wysokimi wierzbami i topolami wygląda jak zielona oaza w pozbawionej drzew dolinie Kyiczu. Podczas wycieczek często widywaliśmy stare pnie, ślady dawnych lasów. Jakże piękna musiała być kiedyś ta okolica. Ubolewaliśmy bardzo, że planowe leśnictwo nie znajdowało tu u nikogo zrozumienia. Jeden z wielu projektów, które przedłożyliśmy rządowi, obejmował zakładanie leśnych szkółek i kształcenie pracowników gospodarki leśnej. Zdobywanie opału urosło już w Lhasie do poważnego problemu. Drewno jest tu bardzo drogie, ponieważ sprowadza się je z bardzo daleka i tylko bogatych stać na taki luksus. Przeważnie pali się nawozem jaków, a jego gromadzenie przybiera często groteskowe formy.

Gdy z Czangthangu przybywają wielkie karawany z wełną i rozbijają obozy na skraju miasta, natychmiast biegną tam z koszami kobiety i dzieci. Pośród krzyków, śmiechu i kłótni kręcą się między zwierzętami i zbierają odchody jaków do koszy, dosłownie „w locie”. Takie

zawody powtarzają się też każdego wieczoru, kiedy liczne konie Lhasy pędzi się do wodopoju. Świeżym nawozem jaków okleja się ściany domostw i po kilku dniach staje się on suchy i zdatny do palenia.

Rano nad miastem wisi gruba, niebieska chmura, jak dym z wielu fabryk. Ale to tylko ciężki czad unoszący się z palonego nawozu i pierwsze podmuchy rannego wietrzyku rozwiewają go, przepędzają ku góróm.

Dzień powszedni w Lhasie

Mieszkańcy Lhasy nie przestawali się nami interesować. Zapraszani tu i tam i często proszeni o radę, wkrótce poznaliśmy wszechstronnie codzienne życie miasta: urzędy publiczne, stosunki rodzinne, poglądy i zwyczaje. Codziennie zdarzało się coś nowego, wiele rzeczy wkrótce utraciło swoją tajemniczość, ale niektóre nadal pozostawały dla nas spowite w mrok. Na pewno jedno uległo zmianie – przestaliśmy być obcymi i traktowano nas już jak swoich.

Tymczasem rozpoczął się sezon kąpielowy i wszyscy wyruszali na zieloną trawkę. W ogrodach na brzegu rzeki panował ożywiony ruch. Dzieci i dorośli pluskali się w płytkich wodach odnogi Kyiczu. Włożyć kolorowe ubranie, zabrać dzbanek czangu i trochę suchego prowiantu – oto recepta na szczęśliwy dzień. Oczywiście można to samo robić w bardziej komfortowym wydaniu. Szlachetnie urodzeni rozbijają haftowane namioty, a niektóre młode damy, które studiowały w Indiach, obnoszą dumnie modne kostiumy kąpielowe. Czas upływa na pluskaniu, jedzeniu i grze w kości. Każdego dnia wieczorem na brzegu rzeki zapala się kadzidła, w podzięcie bogom za piękny dzień.

Moje umiejętności pływackie wzbudzały ogólny podziw. O pływaniu nie mają tu większego pojęcia, ponieważ rzeka jest zbyt zimna do nauki pływania. Ludzie pluskają się, a w najlepszym razie utrzymują się na wodzie za pomocą ruchów przypominających kraula. I oto zjawilem się ja, pływak sportowy. Zewsząd posypały się zaproszenia, oczywiście w nadziei, że dostarczę oczekiwanego przez wszystkich widowiska. Przy moim isziasie był to dopust boży, bo woda miała temperaturę najwyżej dziesięciu stopni. Od czasu do czasu decydowałem się jednak sprawić publiczności przyjemność, wykonując skok do wody. Czasem moja obecność nad rzeką bardzo się przydawała. Szczęśliwym trafem zdołałem trzy razy uratować życie tonącym; Khyiczu nie była całkiem bezpieczna z powodu wirów, powstałych w wyniku niefachowo przeprowadzonej regulacji rzeki.

Pewnego dnia byłem gościem Ministra Spraw Zagranicznych Surkhanga i jego rodziny, którzy rozbili namiot nad brzegiem rzeki. Był z nami jedyny syn z drugiego małżeństwa Surkhanga – Dżigme, co znaczy „nieustraszony”. Przybył on właśnie do domu na wakacje z Indii, gdzie kształcił się i w szkole nauczył się trochę pływać. Leżałem sobie właśnie na

wznak w wodzie, pozwalając unosić się prądowi, gdy nagle usłyszałem krzyk i zobaczyłem, że ludzie na brzegu gestykują gwałtownie, wskazując na wodę. Musiało się coś stać! Podpłynąłem szybko do brzegu i pobiegłem ku namiotom. W jednym z wirów dostrzegłem ciało Dżigmy. Zniknęło i znowu się ukazało... Bez namysłu wskoczyłem do wody. Wir zaczął mnie wciągać, ale ja byłem silniejszy niż Dżigme. Moje doświadczenie nauczyciela sportu bardzo się teraz przydało. Udało mi się schwycić bezwładne ciało i przyciągnąć do brzegu. Po krótkim czasie, ku radości ojca i zdumionych widzów, Dżigme zaczął znowu oddychać. Minister ze łzami wdzięczności zapewniał, że bez mojej pomocy jego syn już by nie żył. Uratowałem ludzkie życie i poczytano mi to za wielką zasługę.

Epizod ten sprawił, że pomiędzy mną i rodziną Surkhanga zawiązały się bliższe stosunki i nagle stanąłem wobec najosobliwszego związku, jaki kiedykolwiek poznałem. Małżeństwo Surkhanga było niezwykle, nawet jak na stosunki tybetańskie. Minister spraw zagranicznych był rozwiedziony z pierwszą żoną. Druga zmarła zostawiając mu Dżigme. Obecnie miał młodą żonę, wspólnie z urzędnikiem niższej rangi, a w kontrakcie ślubnym jako trzeci małżonek figurował Dżigme, ponieważ Surkhang nie chciał pozostawić całego majątku żonie.

Podobnie zagmatwane stosunki można znaleźć w wielu rodzinach. Spotkałem się kiedyś z groteskową sytuacją, gdy matka była szwagierką swojej własnej córki. W Tybecie istnieje poligamia i poliandria, ale mimo to większość Tybetańczyków żyje w małżeństwach monogamicznych. W przypadku gdy mężczyzna posiada kilka żon, związek ten w zasadniczy sposób różni się od bliskowschodnich haremów. Zdarza się tak najczęściej, gdy wzenił się on w dom, w którym jest kilka siostr i brakuje syna jako dziedzica. W ten sposób majątek pozostaje stale w jednej rodzinie. Tak właśnie było w wypadku naszego gościnnego przyjaciela Caronga. Poślubił on trzy siostry, a dalej ją obdarzył go ich nazwiskiem rodowym.

Pomimo tych często osobliwych związków, małżeństwa nie rozpadają się częściej niż u nas. Przyczynia się do tego mentalność Tybetańczyków, którzy nie przesadzają ze swoimi uczuciami. Gdy kilku braci dzieli się jedną kobietą, zawsze najstarszy jest panem domu, a pozostali mają prawo do żony jedynie wtedy, kiedy on znajduje się poza domem – w podróży lub gdy zabawia się gdzieś indziej. Ostatecznie nikt na tym źle nie wychodzi. Kobiet jest w nadmiarze, ponieważ każda wioska ma swój klasztor i wielu mężczyzn żyje w celibacie, jako mnisi. Dzieci ze związków pozamałżeńskich są pozbawione praw do dziedziczenia – majątek należy wyłącznie do dzieci pani domu. Nie jest istotne, który z braci jest ojcem dziecka. Najważniejsze, że majątek pozostaje w rodzinie.

Tybet nie zna problemu przeludnienia. Od wieków liczba mieszkańców utrzymuje się na stałym poziomie. Oprócz wielomęstwa oraz niezliczonej ilości mnichów jest to skutek wysokiej wczesnej umieralności. Według mojego szacunku przeciętna długość życia Tybetańczyka wynosi około trzydziestu lat. Umiera wiele małych dzieci, a pośród całej administracji kraju był tylko jeden urzędnik w wieku siedemdziesięciu lat oraz czterech

urzędników sześćdziesięcioletnich.

W wielu książkach o Tybecie czytałem, że pan domu proponuje gościowi własną żonę lub córkę. Gdybym na to liczył, spotkałoby mnie wielkie rozczarowanie. Zdarza się, że w żartach proponuje się komuś młodą, ładną służącą, ale dziewczęta nie godzą się na to bez zachodu; one także chcą być zdobywane. Kobiety lekkich obyczajów znaleźć można oczywiście wszędzie, więc i w Lhasie niektóre piękności umieją miłością zarabiać na życie.

Dawniej małżeństwa zawierano tylko za pośrednictwem rodziców. Obecnie często się zdarza, że młodzi sami wybierają sobie partnera. Małżeństwa zawiera się w bardzo młodym wieku: dziewczęta już w szesnastym roku życia, a mężczyźni najpóźniej w siedemnastym lub osiemnastym. Szlachta ma własne twarde prawa. Poślubić można tylko osobę ze swego stanu, a krewnych tylko siódmej generacji, co zapobiega łączeniu się bliskich krewnych. Na wyjątek od tych zasad może zezwolić jedynie dalajlama. W szczególnych przypadkach może on także podnieść zdolnych mężczyzn do stanu szlacheckiego i w ten sposób do około dwustu arystokratycznych rodów Tybetu przenika świeża krew.

Po zaręczynach dziewczyna rozpoczyna przygotowania do ślubu. Posag – głównie stroje i biżuteria, zależy od zajmowanej pozycji. W dniu ślubu, jeszcze przed wschodem słońca, narzeczoną przybywa konno do swojego nowego domu. Tam w domowej kaplicy lama błogosławi związek. Zwyczaj podróży poślubnej jest nie znany, ale odbywa się wielkie święto, które zależnie od zamożności trwa trzy do czternastu dni. Goście pozostają w domu weselników także na noc. Później młoda oblubienica zaczyna zadomawiać się w nowym miejscu. Prawdziwą panią domu zostanie jednak dopiero po śmierci teściowej.

Rozwody zdarzają się rzadko i wymagają specjalnej zgody rządu. Dla cudzołożników przewidziano bardzo drastyczne kary, jak np. obcięcie nosa. Jednakże nigdy nie spotkałem się z przypadkiem zastosowania takiej sankcji. Wprawdzie raz pokazano mi starą kobietę bez nosa, która podobno została schwytana na zdradzie, ale równie dobrze mógł to być przypadek syfilisu.

Lekarze, uzdrowiacze i wróżbici

Poruszę teraz bardzo drastyczny problem w Tybecie. Przypadki chorób wenerycznych występują w Lhasie bardzo często, ale podobnie jak do innych schorzeń nie przywiązuje się do nich większej wagi. Choroby najczęściej są zanedbywane, a lekarza wzywa się, gdy już jest za późno. Prastary środek leczniczy – rtęć, mnisi z medycznych fakultetów znają i tutaj.

Ileż można by uczynić w przyszłości dla Tybetu przez poprawę warunków sanitarnych i leczenia! Na przykład – chirurgia jest tu prawie nie znana! Obaj z Aufschnaiterem wpadaliśmy w paniczny strach na myśl o możliwości zapalenia wyrostka robaczkowego. Każdy podejrzany ból wzbudzał w nas lęk, bo byłoby absurdem umrzeć w XX wieku na ślepą kiszkę. Tybetańczycy nie znają żadnych ingerencji chirurgicznych w ludzkie ciało, poza rozcinaniem wrzodów. Położnictwo także jest nie znane. Jediną pracą, o której można by powiedzieć, że ma coś wspólnego z chirurgią jest zajęcie domdów, mężczyźni którzy ćwiartują zwłoki zmarłych. Często informują oni krewnych, pragnących poznać przyczynę śmierci, lub zainteresowanych studentów medycyny, gdy tylko zauważą w zwłokach coś szczególnego.

Niestety szkoły medyczne są głuche na wszelki postęp. Nauka Buddy i jego apostołów jest dla nich najwyższym prawem, którego nie wolno naruszyć. Obowiązuje ustalony system, ale jest to system liczący całe wieki. Jeszcze do chwili obecnej ze szczególną dumą traktuje się np. umiejętność zidentyfikowania każdej choroby na podstawie pulsu^{*}.

Istnieją dwa kolegia medyczne: mniejsze leży na wzgórzu Czagpori, „Żelaznej Górze”, większe na dole, w mieście. Każdy klasztor wysyła do nich pewną liczbę swoich inteligentnych młodzieńców. Studia trwają od dziesięciu do piętnastu lat. Wykładowcami są starzy mnisi – uczeni. Mali chłopcy – mnisi, siedząc na ziemi w pozycji Buddy, z tabliczkami na kolanach, słuchają i obserwują swoich nauczycieli. W nauczaniu używa się często kolorowych tablic. Kiedyś widziałem, jak nauczyciel posługując się graficznymi ilustracjami objaśniał oznaki zatrucia po spożyciu pewnej rośliny. Pokazywał roślinę, objawy w ludzkim

^{*} Celem wieloletnich studiów w dawnej tradycyjnej tybetańskiej szkole medycznej było wykształcenie lekarzy w „trzech korzeniach tybetańskiego drzewa medycyny” – anatomii, pulsologii, diagnostyki oraz farmacji. Chorobę rozpoznawano na podstawie jej symptomów (wywiad lekarski), badań języka i moczu oraz szczególnego wyczuwania uderzeń tętna, mierzonego poprzez specjalne ustawianie palców na przedramieniu pacjenta. Stawianie diagnozy na podstawie badania pulsu jest trudne i wymaga wielkiej praktyki (przyp. red.)

organizmie i antidotum. Była to dokładnie ta sama metoda pogładowa, którą stosuje się w naszych szkołach.

Astronomia należy tu do nauk medycznych i ściśle jest z nimi związana. W szkołach, na podstawie starych ksiąg, co rok układa się kalendarz księżycowy. Zaćmienia słońca i księżyca zestawiane są podobnie jak w naszych kalendarzach ludowych.

Jesienią cała szkoła, mnisi-uczniowie wraz ze swymi nauczycielami wyruszają w góry na poszukiwanie ziół. Chłopcy bardzo lubią ten okres, pełen zabawy, ale także ciężkiej pracy. Miejsce obozowania zmienia się codziennie, aż w końcu ciężko objuczone jaki ciągną w kierunku Tra Yerpa, do jednego z najświętszych miejsc Tybetu. Tutaj znajduje się szczególna świątynia, w której dokonuje się sortowania i suszenia ziół. W zimie najmłodszy uczniowie w mozołę mieli zioła na drobniutki proszek. Dokładnie opisane, przechowywane są później przez przeora szkoły w skórzanych woreczkach nie przepuszczających powietrza.

Te szkoły są zarazem państwowymi aptekami, w których każdy bezpłatnie lub w zamian za drobny dar otrzymać może poradę i lekarstwo. Dla uczniów ta opieka jest równocześnie praktyką.

Tybetańczycy są rzeczywiście bardzo zaawansowani w znajomości ziół i ich właściwości leczniczych. Sam często z pełnym zaufaniem korzystałem z tej nauki. Nawet jeśli ich pigułki nie wyleczyły mojego isziasu, to często kupowałem sobie zioła przeciw przeziębieniu i gorączce.

Opat szkoły medycznej jest równocześnie osobistym lekarzem dalajlamy. Jest to zaszczytny, ale i bardzo ryzykowny urząd. Po śmierci Dalajlamy XIII, który miał dopiero 54 lata, głośno pomawiano opata i miał on dużo szczęścia, że tylko stracił urząd i obyło się bez chłosty.

W miastach i klasztorach można poddać się szczepieniom przeciwko ospie. Wobec innych epidemii Tybetańczycy są całkowicie bezbronni i pochłonęły one wiele ludzkich istnień. Ratunkiem dla Tybetu jest jego chłodny klimat i czyste górskie powietrze. Przy panującym brudzie i żalosnych warunkach higienicznych katastrofy byłyby bowiem nieuniknione. Podkreślaliśmy przy każdej okazji jak ważne są ulepszenia sanitarne i plan kanalizacji Lhasy był już znacznie zaawansowany – przynajmniej w naszych głowach.

Jednak lud o wiele bardziej ufa uzdrowiaczom i wróżbitom, leczącym za pomocą modłów, niż mnichom szkół medycznych, którzy leczą podobnie jak nasi znachorzy. Lamowie często smarują pacjentów swoją świętą śliną, chorym podaje się także campe i masło zmieszane z moczem świętych mężów. Mniej szkodliwe są wycinane z drewna pieczęcie z modlitwami, które po zanurzeniu w poświęconej wodzie przykładają się do bolesnych miejsc. Szczególnie ulubione jako amulety przeciwko chorobom i niebezpieczeństwom są maleńkie figurki bóstw, lepiące z gliny przez lamów. Jednak najbardziej cenionym lekarstwem są przedmioty pochodzące od dalajlamy. Niemal każdy arystokrata pokazywał mi z dumą swoje relikwie Dalajlamy XIII, pieczołowicie zaszyte w

jedwabne woreczki. Carong, jako były ulubieniec tego dalajlamy, posiadał wiele jego przedmiotów osobistego użytku i nie mogłem się nadziwić, że on i jego wychowany w Indiach syn, światli i postępowi ludzie, byli tak bardzo przywiązani do tego przesądu.

Wiara Tybetańczyka w ochronną moc amuletów jest bezgraniczna – w podróży czy podczas wojny czuje się chroniony przed wszelkim niebezpieczeństwem. Gdy czasem próbowałem przytaczać kontrargumenty, chciano się ze mną zakładać, że na przykład posiadanie amuletu czyni właściciela odpornym na kule. Kiedyś odpowiedziałem natychmiast pytaniem: jeżeli bepańskiemu psu zawiesi się na szyi amulet, to czy wówczas nie można będzie obciąć mu ogona? Wszyscy byli przekonani, że to jest niemożliwe. Poczucie taktu i wzgląd na gościnność, którą mi okazywano, powstrzymywały mnie przed uczynieniem próby dla przykładu. Nie chciałem przecież ranić czyichkolwiek przekonań religijnych.

Wiele kobiet i mężczyzn utrzymuje się z wróżbiarstwa i układania horoskopów. Staruszki przykucnięte wzdłuż trasy pielgrzymów i przepowiadające przyszłość za drobny datek, to zwykły obrazek na ulicach Lhasy. Pytają o rok urodzenia, przeliczają coś szybko na swojej mali* i pytający idzie dalej, pocieszony tajemniczymi słowami. Przepowiednie lamów i inkarnacji cieszą się całkowitym zaufaniem. Nikt nie uczyni tu kroku bez zapytania o przyszłość. Przed udaniem się na pielgrzymkę czy też objęciem nowego stanowiska zawsze trzeba się najpierw zapytać, jaki termin rozpoczęcia będzie pomyślny.

Niedawno żył w Lhasie bardzo słynny lama, u którego wizyty i audyencje trzeba było zamawiać na wiele miesięcy wcześniej. Wraz ze swoimi uczniami wędrował on z miejsca na miejsce, aby podołać wszystkim zaproszeniom, i otrzymywał tak niezliczone dary, że wystarczyłyby na utrzymanie wielu ludzi. Lama cieszył się tak wielkim szacunkiem, że nawet Mister Fox, angielski radiooperator, od lat cierpiący na podagrę, z utęsknieniem oczekiwał jego przybycia. Niestety nie doczekał się swojej kolejki, ponieważ sędziwy lama zmarł.

Ów lama był wcześniej zwyczajnym mnichem. Po studiach trwających dwadzieścia lat zdał znakomicie egzaminy w jednym z największych klasztorów, po czym udał się na odosobnienie. Przez kilka lat wiódł żywot pustelnika. Mieszkał w jednej z tych samotnych pustelni, które rozrzucone są po całym Tybecie. Mnisi zaszywają się w nich dla medytacji, niektórzy nawet polecają uczniom zamurować wejście i przez wiele lat żyją tylko campą i herbata.

Nasz mnich także stał się sławny dzięki przykładowemu życiu. Nigdy nie spożywał potraw, których przyrządzanie wymagało zniszczenia życia, odrzucał nawet jajka. Mówiono, że nigdy nie potrzebował snu i nie używał łóżka. Tę ostatnią pogłoskę mogę potwierdzić osobiście, przez trzy dni mieszkał bowiem obok mnie. Przypisywano mu także różne cuda: i tak pewnego razu od jego wielkiej energii miał zapłonąć różaniec, który trzymał w dłoniach. Z otrzymywanych darów zafundował miastu największy posąg Buddy, cały ze złota.

* „Różaniec” tybetański o wielu poziomach symboliczno-znaczeniowych. Składa się ze 108 paciorków (wykonuje się je z różnych materiałów) i w praktyce buddyjskiej służy do liczenia mantr (przyp. tłum.)

W Tybecie żyła także jedyna inkarnowana kobieta. Nazywała się Maciora-Piorun. Widywałem ją często podczas uroczystości na Parkhorze. Wówczas była szesnastoletnią, odzianą zawsze w zakonne szaty, niczym nie wyróżniającą się dziewczyną, która studiowała w Lhasie. A jednak, była to najświętsza kobieta Tybetu i gdziekolwiek się pojawiła, ludzie prosili ją o błogosławieństwo. Później żyła w męskim klasztorze nad jeziorem Yamdrok.

W Lhasie krążyło zawsze mnóstwo opowieści i pogłosek o świętych mniszkach i lamach. Miałem wielką ochotę sprawdzić ich cuda. Nie wypadało jednak ranić uczuć religijnych Tybetańczyków. Byli w swej wierze szczęśliwi i tak prawych charakterów, że nikt nigdy nie uczynił najmniejszej próby nawracania ani mnie, ani Aufschnaitera. My zaś szanowaliśmy ich zwyczaje, chodziliśmy do ich świątyń i przestrzegaliśmy ich etykiety, wręczając białe, jedwabne szarfy.

Państwowa wyrocznia

Podobnie jak lud, który w codziennych troskach szuka porady u wróżbitów i lamów, rząd przed podjęciem ważnych decyzji także odwołuje się do państwowej wyroczni. Pewnego razu poprosiłem mojego przyjaciela Langdüla, aby zabrał mnie na taką ceremonię. Wczesnym rankiem pojechaliśmy konno do klasztoru Neczung. Zaszczytny tytuł państwowej wyroczni należał wówczas do dziewiętnastoletniego mnicha, który pochodził z prostej rodziny, ale już w czasie egzaminów zwracał uwagę swymi zdolnościami medium. Chociaż rutyną nie dorównywał jeszcze swojemu poprzednikowi, który uczestniczył w rozpoznaniu Dalajłamy XIV, spodziewano się po nim wiele. Często łamałem sobie głowę, czy wchodził tak szybko w długotrwały trans, mimo obecności wielu osób, wyłącznie dzięki niesłychanej zdolności koncentracji, czy też używał narkotyków lub innych środków.

Mnich sprawujący funkcję wyroczni musi posiadać umiejętność oddzielania ducha od ciała, po to, aby bóstwo świątynne mogło weń wstąpić i przemówić. W tym momencie, dzięki swym zdolnościom medialnym, staje się on manifestacją bóstwa. Tybetańczycy są o tym przekonani i także Langdüla głęboko w to wierzył.

Rozmawiając o tych sprawach, przebyliśmy osiem kilometrów dzielące nas od klasztoru Neczung*. Ze świątyni dobiegała głucha, niesamowita muzyka. Wchodzimy do środka – widok jest przerażający: ze wszystkich ścian szczerzą zęby straszne, powykrzywiane twarze i trupie czaszki, a ciężkie od kadzideł powietrze aż dusi. Z prywatnych komnat wyprowadzają właśnie młodego mnicha do ciemnej świątynnej sali. Na jego piersiach wisi okrągłe lustro. Służba spowija go w kolorowe, jedwabne szaty i podprowadza do tronu. Teraz wszyscy się cofają. Poza głuchą, ekstatyczną muzyką nie słychać innych dźwięków. Medium zaczyna się koncentrować.

Obserwuję uważnie, nie spuszczam oczu z jego rysów, dostrzegam najdrobniejszy nawet skurcz na jego twarzy. Zdaje się, że życie uchodzi z niego coraz bardziej. Teraz zastyga w bezruchu. Ta twarz – to sztywna maska. I nagle ciało wypręża się jak rażone piorunem. Przez

* Założony na przełomie XIV w, zniszczony podczas rewolucji kulturalnej, później częściowo odbudowany. W końcu XVII w. medium klasztoru zostało uznane za państwową wyrocznię. Jej zadaniem była pomoc w podejmowaniu decyzji rządowych w ważnych często sprawach politycznych Tybetu. W 1959 r. medium ucieka wraz z dalajlamą do Indii, gdzie rezyduje w klasztorze o tej samej nazwie w Dharamsah (przyp. red.)

salę przebiega westchnienie. Oto wstąpiło weń bóstwo! Ciało medium zaczyna drzeć coraz silniej, na czoło występuje perlisty pot. Podchodzą służący i wkładają mu na głowę olbrzymią, fantastyczną koronę, którą musi podtrzymywać dwóch mężczyzn, tak ciężki jest ten niesamowity przedmiot. Drobnie ciało mnicha pod ciężarem tiary zapada się jeszcze głębiej w poduszki tronu. Nic dziwnego, że media żyją krótko – przemyka mi przez głowę, bo podczas takich seansów ich siły pożera niesamowity duchowy i fizyczny wysiłek. Drzenie narasta, głowa chwieje się pod wielkim ciężarem, oczy wychodzą z orbit. Twarz nabrzmięwa i pokrywa się niezdrowym szkarłatem. Przez zaciśnięte zęby wydobywają się jakieś syczące dźwięki. Nagle medium podrywa się. Słudzy chcą go wesprzeć, ale wyrывa się i przy dźwiękach obojów zaczyna wirować w niesamowitym, ekstatycznym tańcu. Poza muzyką słychać w świątyni tylko jego jęki i zgrzytanie zębami. Teraz wielkim pierścieniem na kciuku zaczyna walić dziko w błyszczącą tarczę na piersiach – ten stuk zagłusza nawet tępe dudnienie bębnow. Oto wiruje na jednej nodze, wyprostowany sztywno pod olbrzymią koroną, którą przedtem dźwigało dwóch mężczyzn. Służący wciskają mu w dłonie ziarna jęczmienia, a on rzuca je w tłum wylęknionych widzów. Wszyscy chylą się w pokorze, a ja się obawiam, aby nie wzięto mnie za intruza. W tej chwili mnich jest nieobliczalny... Może przeszkadzam mu w rozmowie z bogami? Ale oto uspokaja się nieco. Służba trzyma go teraz mocno. Jeden z ministrów zbliża się do medium. Na głowę pochyloną pod ciężarem korony zarzuca jedwabną szarfę i zaczyna zadawać pytania troskliwie przygotowane przez Gabinet. Obsadzenie gubernatora, rozpoznanie wysokiej inkarnacji, wojna czy pokój – o tym wszystkim ma rozstrzygnąć wyrocznia. Często pytania trzeba powtarzać, póki wieszcz nie zacznie wydawać bełkotliwych dźwięków. Na próżno usiłowałem wyróżnić w tym mamrotaniu jakieś zrozumiałe słowa! Kiedy przedstawiciel rządu stoi tak, kornie schylony, próbując coś zrozumieć, stary mnich wprawną ręką zapisuje odpowiedzi. Robił to już w swym życiu setki razy, ponieważ wcześniej służył jako sekretarz u zmarłego wieszczu. Nie mogłem wyzbyć się podejrzenia, że to właśnie sekretarz był właściwą wyrocznią. Odpowiedzi, które zapisywał, mimo całej swej dwuznaczności wyznaczały jednak kierunek i wystarczały, aby zwolnić Gabinet od największej odpowiedzialności. Jeżeli wieszcz stale udzielał złych odpowiedzi, przeprowadzano krótki proces i odbierano mu stanowisko. Logiki tej metody nigdy nie udało mi się pojąć. Czyż to nie bóg przemawiał przez medium?

Tymczasem pozycja państwowej wyroczni cieszyła się powszechnym szacunkiem, jako że wieszcz piastuje urząd „dalamy”, odpowiadający trzeciej randze, i jest największym panem klasztoru Neczung, z wszystkimi należnymi mu przywilejami.

Ostatnie pytania stawiane przez przedstawiciela rządu pozostają już bez odpowiedzi. Czy to młody mnich utracił siły, czy też bóg się rozgniewał? Teraz do dygoczącego medium podchodzą mnisi i podają mu małe, jedwabne szarfy, a on drżącymi rękoma zawiązuje na nich węzły. Szarfy te będą potem zawieszane na szyjach składających prośby błagalników, jako amulety chroniące przed wszelkim niebezpieczeństwem. Potem wyrocznia próbuje

jeszcze wykonać kilka tanecznych kroków, ale pada na ziemię. Czterech mnichów wynosi ją ze świątyni.

Całkiem oszołomiony opuszczam gompę* i stoję w oślepiającym blasku słońca. Mój europejski zdrowy rozsądek nie wie co począć z tym, co ujrzałem. Później jeszcze wielokrotnie byłem świadkiem zadawania pytań wyroczni, ale nie udało mi się znaleźć wyjaśnienia chociażby w przybliżeniu tłumaczącego tę zagadkę.

Zawsze szczególnym przeżyciem było dla mnie spotkanie wieszcza w codziennym życiu. Nie mogłem się przyzwyczaić do siedzenia z nim przy jednym stole i do słuchania jak siorbie tukpę zwyczajem całej tutejszej arystokracji. Gdy spotykałem go na ulicy, zdejmowałem kapelusz, a on uprzejmie się do mnie uśmiechał. Miał wtedy oblicze miłego młodego mężczyzny, w niczym nie przypominające purpurowej i ekstatycznie wykrzywionej twarzy.

Później, podczas uroczystości noworocznych, widziałem go jak chwiejnie posuwał się ulicami Lhasy... Z obu stronach podtrzymywali go służący, a on co trzydzieści, czterdzieści metrów opadał wyczerpany na fotel, specjalnie dla niego niesiony. Wszyscy cofali się przed nim i lud w milczeniu radował się tym demonicznym widowiskiem.

Wyrocznia ma jeszcze jeden „swój” wielki dzień. Jest to dzień tzw. „Wielkiej Procesji”, kiedy dalejłama przynoszony jest do miasta, by odwiedzić Katedrę – inaczej niż w czasie zwykłej procesji, kiedy przeprowadza się do letniej rezydencji. Znowu cała Lhasa jest na nogach i trudno znaleźć miejsce na ulicy. Na pustym placu rozpięto jeden namiot. Żołnierze zakonnici powstrzymują biczami – jak to zwykle – ciekawski tłum. Namiot osłania przed spojrzzeniami widzów jeszcze jedną tajemnicę. Dalama z Neczungu przygotowuje się tam do wejścia w trans.

Oto w lektyce niesionej przez trzydziestu sześciu mężczyzn powoli zbliża się Boski Król. Uroczystemu pochodowi towarzyszy muzyka mnichów, a puzony, trąby i bębny dają znać, że nadchodzi kulminacyjna chwila. Teraz dalejłama znajduje się już przed namiotem wyroczni. W tej samej chwili zataczając się wypada z niego mnich, opętany przez swego boga. Jego twarz znowu jest nabrzmiała, z ust wydobywają się syczące dźwięki, ugina się pod ciężarem tiary, ale miota się dziko i odpycha sługi. Chwyta nosidła lektyki, bierze je na ramiona i biegnie przez szpaler, a królewski majestat chwieje się niepokojąco. Podbiega służba i nosiciele lektyki, próbują pomóc mu w dźwiganiu tego ciężaru. Wyrocznia po zrobieniu około trzydziestu kroków pada nieprzytomna na ziemię. Nosze są już w pogotowiu Słudzy przykrywają wyrocznię i zanoszą ją do namiotu. Urzeczony tłum z zachwytem śledzi ten błyskawiczny występ. Zgodnie z przewidzianym porządkiem procesja rusza dalej. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, co dokładnie oznacza ten rytuał. Być może przedstawia symbolicznie poddanie się opiekuńczego bóstwa Żyjącemu Buddzie.

Oprócz wyroczni do spraw państwowych i przepowiadania pogody, żyje jeszcze w Lhasie

* Świątynia lub pomieszczenie do medytacji i odprawiania rytuałów, w którym umieszczony jest wizerunek Buddy (przyp. tłum.)

co najmniej sześć innych mediów, a wśród nich jest nawet stara kobieta, uchodząca za manifestację jednego z żeńskich bóstw opiekuńczych. Za drobny datek była ona gotowa wejść w trans i dopuszczała do głosu bóstwo. Zdarzało się, że robiła to cztery razy w ciągu dnia. W moich oczach była ona dość przebiegłą szarlatanką...

Istnieją także wyrocznie, które wszedłszy w trans, zdolne są skrócić w spiralę olbrzymi miecz i u wielu lhaskich arystokratów takie miecze leżą przed domowymi ołtarzami. Mnie osobiście próby zgięcia miecza nigdy się nie powiodły.

Zwyczaj zwracania się do wyroczni pochodzi jeszcze z czasów przedbuddyjskich, kiedy to bogowie żądali ofiar z ludzi, i został przejęty w niemal nie zmienionej formie. Za każdym razem oglądanie wyroczni wywierało na mnie głębokie wrażenie, ale mimo wszystko byłem rad, że moich decyzji nie musiałem od niej uzależniać.

Pogodna jesień w Lhasie

Czas szybko upływał i chociaż w Lhasie mieszkaliśmy już kilka miesięcy, co dzień doświadczaliśmy nowych fascynujących rzeczy. Niemal zapominaliśmy, że istnieje także dzień powszedni. Teraz nastała jesień – najpiękniejsza pora w Lhasie. W ogrodach kwiaty stały w pełnym rozkwicie – wiele z nich było efektem mojej pracy! – a liście na drzewach zaczynały żółknąć. Owoców było w bród: na straganach leżały brzoskwinie, jabłka, winogrona z południowych prowincji, wspaniałe okazy pomidorów i dyń. Arystokraci wydawali teraz wystawne przyjęcia, ponieważ ta pora roku dostarczała wszelkich smakołyków, jakich tylko można zapragnąć.

Był to również stosowny czas na wspaniałe wycieczki. Niestety, w Tybecie to zajęcie jest czymś nie znanym. Żadnemu Tybetańczykowi nie przyszłoby do głowy wspiąć się na jakąś górę dla przyjemności. Jedynie mnisi z powodów kultowych w określone dni wchodzi na okoliczne szczyty, wysokie przeciętnie na około 5600 m. Arystokraci wysyłają z nimi zazwyczaj służących, którzy w imieniu swych panów zapalają na szczycie kadzidła. Dobrze jest przecież pozyskać sobie łaskawość bogów i oddać im cześć. Potem rozpina się flagi modlitewne, które powiewają na wietrze, a bezczelne sępy czekają już na ofiarną campę. Jednakże każdy z ofiarników jest rad, gdy po dwóch trzech dniach może wrócić do miasta. Natomiast my z Aufschnaiterem nie odmówiliśmy sobie przyjemności wejścia na wszystkie okoliczne szczyty dla czystej przyjemności. Nie przedstawiały one wprawdzie technicznych trudności, które byłyby dla nas podniętą, ale z każdego roztaczały się przepiękne widoki. Na południu, w Himalajach, zupełnie blisko widać było siedmiotysięcznik Nyenczenthanglha. To przez jego masyw schodziliśmy przed rokiem, wędrując do Lhasy.

Lodowców nie było widać z miasta. Opinia, że w Tybecie wszędzie można napotkać lód i śnieg, mija się z prawdą. Jakże chętnie znowu pojeździlibyśmy na nartach! Ale nawet gdybyśmy zechcieli powtórzyć eksperyment z nartami własnego wyrobu, to śnieg był zbyt daleko – trzeba by zabrać konie, namioty i służbę. Uprawianie sportu w bezludnych okolicach jest wielce kłopotliwe.

Poprzestaliśmy zatem na wspinaczce. Nasz sprzęt nie był firmowy – solidne wojskowe buty i inne części garderoby pochodziły z armii amerykańskiej. Ale to wystarczało.

Tybetańczycy nie mogli wyjść z podziwu nad szybkim tempem naszych wycieczek. Pewnego razu zmuszony byłem nawet zapalić na szczycie kadzidła, po to aby zobaczyli je z dachów domostw moi przyjaciele, inaczej nikt by nie uwierzył, że rzeczywiście stanęliśmy na wierzchołku. Trasy, które ich służącym zajmowały dwa do trzech dni, my pokonywaliśmy w ciągu jednego.

Pierwszym Tybetańczykiem, którego udało mi się namówić na wycieczkę, był mój przyjaciel Łangdūla. Przyznaję, że miał bardzo dobrą kondycję. Z biegiem czasu zaczęli się do nas przyłączać także inni i wszyscy zachwycali się pięknymi widokami i cudownym górskim kwieciami.

W Tybecie także góry nazywano imionami bogów. Zdumiewające, że Tybetańczycy potrafili znajdować coraz to nowe imiona dla tysięcy szczytów. Oczywiście były to najczęściej nazwy lokalne i zdarzało się, że mieszkańcy po północnej stronie góry inaczej ją nazywali niż sąsiedzi z południa.

Ulubionym celem moich wycieczek było niewielkie górskie jezioro, oddalone od Lhasy zaledwie o jeden dzień marszu. Po raz pierwszy dotarłem do niego w porze deszczowej. W Lhasie obawiano się wtedy, że wystąpi ono z brzegów. Prastara opowieść głosi bowiem, że jezioro jest połączone z Katedrą podziemnymi korytarzami i każdego roku rząd wysyłał mnichów, którzy ofiarami mieli przebłagać tamtejsze duchy. Docierało tam także wielu pielgrzymów, którzy wrzucali do jego wód pierścienie i monety. Na brzegach stały kamienne szałas, służące za schronienie. Ja także w nich nocowałem. Moim zdaniem jezioro było niegroźne i nawet gdyby wystąpiło z brzegów, Lhasie by nie zagroziło. Było to spokojne, idylliczne miejsce. Przeciągały tędy bez lęku stada dzikich owiec, gazy, świstaki i lisy. Wysoko w błękitie krążyły orłosepy brodate. Tutaj człowiek im nie zagrażał – w okolicach Świętego Miasta nikt nie odważyłby się urządzić polowania. Brzegi jeziora porastała tak wspaniała roślinność, że na jej widok serce każdego botanika zabiłoby żywiej. Rosła tam na przykład tybetańska odmiana cudownego żółtego i modrego maku, którą poza tym ujrzyć można tylko w ogrodach botanicznych Londynu.

Jednak te wycieczki nie zaspokajały moich sportowych potrzeb i często się zastanawiałem, co by tu jeszcze przedsięwziąć. Wpadłem na pomysł, aby zbudować kort tenisowy i udało mi się zainteresować nim pewną liczbę osób. Założyłem listę i zebrałem przedpłaty na zakup potrzebnych materiałów. Lista była imponująca i miała niemal międzynarodowy charakter. Znajdowali się na niej Hindusi, Chińczycy, Sikkimczycy, Nepalczycy i oczywiście wielu młodych lhaskich arystokratów. Ci ostatni mieli początkowo pewne wahania, ponieważ nawet piłka nożna była urzędowo zabroniona, lecz udało mi się rozproszyć ich obawy argumentem, że gra w tenisa jest sportem nie przyciągającym wielu widzów, nie wywołuje kłótni. Nawet klasztorom musi wydać się niegroźna. Ponadto cennym wsparciem moralnym był dla nas fakt, że w Misji Brytyjskiej znajdował się już jeden kort tenisowy.

Dobrałem więc robotników i poleciłem im wyrównać teren nad brzegiem rzeki. Mimo iż znalezienie odpowiedniej ziemi było dosyć trudne, to jednak po miesiącu wszystko było gotowe i byliśmy bardzo dumni ze swego dzieła. Siatki, rakiety i piłeczki sprowadziliśmy z Indii. Urządziliśmy też małe party, podczas którego nastąpiło uroczyste otwarcie „Klubu Tenisowego Lhasa”

Wszystkie dzieci rwały się do podawania piłek. Ponieważ jednak nigdy w życiu nie miały piłki w rękach, robiły to bardzo niezgrabnie. Później, gdy do naszego klubu przychodzili członkowie Misji Brytyjskiej, można było oglądać zabawne sceny, bo rolę chłopców do podawania piłek pełnili żołnierze Gwardii Przybocznej z Misji Nepalskiej – wspaniali mężczyźni w kolorowych mundurach. Niebawem zebraliśmy pewną liczbę dobrych zawodników. Niezaprzeczalnie najlepszymi byli Mister Liu – sekretarz chińskiego poselstwa dyplomatycznego, oraz nowy szef Misji Brytyjskiej Mister Richardson – szczupły Szkot, przebiegły i uparty w swej politycznej działalności. Jego jedyną pasją był wspaniały ogród pełen kwiatów i warzyw. Odwiedzając go, wkraczało się niczym do ogrodu z bajki.

Dzięki grze w tenisa kwitły bardzo miłe stosunki towarzyskie. Zapraszaliśmy się nawzajem, popijaliśmy herbatę i przez kilka godzin graliśmy w brydża. Tak spędzałem moje niedziele. Już kilka dni wcześniej cieszyłem się na nie, bo trzeba było przebrać się „wyjściowo” i przez tę chwilę człowiek przypominał sobie milieu, z jakiego pochodził.

Mój przyjaciel Łangdüla sprawdził się także teraz. Pasjonował się grą w tenisa i był wartościowym partnerem do brydża.

Nasz kort miał jeszcze jedną dodatkową zaletę – można było z niego korzystać przez cały rok i tylko w okresie burz piaskowych trzeba było uważać, ponieważ zamiast siatki drucianej rozwiesiliśmy olbrzymie zasłony. Gdy nad Potalą gromadziły się chmury, należało bardzo szybko zdejmować naszą „siatkę”, aby nie porwała jej nadciągająca wichura.

Tybetańczycy mają swoje tradycyjne jesienne rozrywki. Należy do nich przede wszystkim puszczanie latawców. Gdy mija okres deszczowy i przejrzyste jesienne powietrze wabi w plener, na bazarach pojawia się mnóstwo przepięknych, wielobarwnych latawców. Dokładnie w pierwszy dzień ósmego miesiąca tybetańskiego zaczyna się zabawa. W odróżnieniu od naszych stron, uczestniczą w niej nie tylko dzieci. Jest to prawdziwe święto ludowe, ale zachwyca się nim także arystokracja.

Pierwszy latawiec wzbija się z Potali – jest to znak startu. Po chwili niebo nad Lhasą wypełnia niezliczona ilość latawców. Dzieci i dorośli stoją godzinami na płaskich dachach, oddając się zabawie z powagą i zaangażowaniem, jakie u nas obserwować można najwyżej podczas jakichś mistrzostw. Latawce uwiązane są na mocnych niciach, zaimpregnowanych klejem i sproszkowanym szkłem. Każdy próbuje przeciąć swoim latawcem linki przeciwnika i gdy się to uda, na dachach rozlegają się okrzyki radości. Latawiec powoli opada, dzieci rzucają się ku niemu, bo teraz należy już do nich i mogą go sobie puszczać w górę. Zwycięża ten, kto najdłużej utrzyma swój latawiec w powietrzu. Zabawa trwa przez cały miesiąc,

wypełnia każdą wolną chwilę i urywa się znienacka, tak jak nagle się rozpoczęła.

Któregoś dnia, gdy włóczyłem się po bazarze oglądając latawce, przydarzyło mi się coś osobliwego. Jakiś zupełnie nieznany Tybetańczyk zaproponował mi sprzedaż zegarka, właściwie zardzewiałego rupiecia bez cyferblatu. Mężczyzna twierdził, że nic mu po nim, ponieważ zegarek jest zepsuty, a ja, Europejczyk, być może potrafię go jeszcze naprawić. Przystawał na każdą cenę. Wziąłem zegarek do ręki i natychmiast go rozpoznałem – to zegarek Aufschnaitera, spieniężony przez niego w zachodnim Tybecie! Był to jeden z pierwszych wodoodpornych rolexów i Aufschnaiter miał go na wyprawie na Nanga Parbat. Pozbywał się zegarka wtedy z ciężkim sercem. Zapewne sprawiłbym nim przyjemność, nawet jeżeli nie dałoby się go naprawić! Niewątpliwie był to kuriozalny przedmiot. Aufschnaiter będzie miał w listopadzie urodziny. Mimo nikłej nadziei, oddałem zegarek do naprawy bardzo zręcznemu muzułmańskiemu majstrowi. Był on zachwycony jego mechanizmem i wkrótce udało mu się zegarek naprawić. Aufschnaiter zrobił wielkie oczy, gdy mu wręczałem ten prezent. Nosi go aż po dzień dzisiejszy.

Jesień zdaje się pobudzać ochotę do zajęć fizycznych we wszystkich warstwach społecznych Lhasy. Niekiedy mogłem obserwować w ogrodzie Cedrungów, jak spędzają wolny czas duchowni urzędnicy. Ich ulubioną rozrywką była gra, która wyglądała bardzo prymitywnie, ale wymagała wielkiej zręczności. Polega ona na celowaniu do rogu jaka, ustawionego w odległości około trzydziestu metrów. Im częściej uda się go przewrócić, tym większa wygrana pieniężna. I ja brałem często udział w tej grze, ale nie twierdzę, że z większym powodzeniem.

W ogrodach można było także usłyszeć śpiewne brzęczenie wypuszczanych strzał, bo arystokraci z upodobaniem uprawiają łucznictwo.

Jesienią odbywają się też wielkie targi końskie. Z położonego w północnych Chinach Silingu przybywają do miasta olbrzymie karawany z setkami koni. Rozpoczyna się ożywiony handel i ubijanie interesów. Ludzie w Lhasie znają się na koniach i umieją się targować. Za szczególnie piękne zwierzęta płaci się wysokie sumy, bo arystokraci lubią swe stajnie i zależy im na tym, aby co rok dosiadać nowego rasowego wierzchowca. Jest to luksus, na który stać tylko bogatych. Lud jeśli w ogóle używa koni, to są to wyhodowane w Tybecie koniki pony. Do takich zbytków arystokrację zobowiązuje dodatkowo ranga i pozycja. Szlachcicowi jadącemu konno zawsze towarzyszy służba. Na przykład, etykieta wymaga, aby ministrowi towarzyszyło sześciu jednakowo odzianych jeźdźców i dlatego każdy arystokrata ma w swej stajni od dwóch do dwudziestu koni – stosownie do rangi.

Dość często widywałem także jeżdżące wierzchem dystygowane kobiety. Ich spódnice są tak szerokie, że umożliwiają dosiadanie konia po męsku. Przez całe tygodnie towarzyszą one swym mężom w pielgrzymkach lub podróżach do nowego miejsca pracy. Przed słońcem chroni je daszkowate nakrycie głowy, twarz pokrywają dodatkowo roślinnym wyciągiem ciemnobrunatnego koloru, a usta zakrywają szalem. Obawiam się, że często popełniałem

niezręczność nie rozpoznając ich od razu, gdy w takim przebraniu przejeżdżały ulicami Lhasy – wszak wyglądały identycznie.

Podczas takich długich podróży cztero – czy pięcioletnie dzieci siedzą na podółku jadących wierzchem służących, starsze siedzą przypięte w siodłach podobnych do kołyski, trzymając się drewnianych łąków.

Wielką wagę przykładą się do wyglądu siodła i uprzęży. W mieście wszyscy urzędnicy zobowiązani są do używania drewnianych siodła w kształcie kolebki, które jednak w dłuższej podróży byłyby niewygodne, zarówno dla jeźdźcy jak i zwierzęcia, i zastępuje się je siodłami ze skóry. Podczas procesji widuje się jeszcze wspaniałe stare siodła, zdobne złotem i srebrem, oraz drogocenne czapraki. Po uprzęży natychmiast można rozpoznać rangę właściciela. Jeżeli na szyi konia dynda olbrzymi czerwony chwost, jego pan zajmuje wysoką pozycję, a dwa chwosty są oznaką szczególnie wysokiej rangi. Ulice także świadczą o tym, jak wielkie znaczenie ma jazda konna. Przed prywatnymi domami i budynkami urzędów stoją cokoły ułatwiające dosiadanie i zsiadanie z koni. Gdy jakiś szlachcic przybywa konno, natychmiast wybiega mu naprzeciw służba, podprowadza konia na przeznaczone miejsce i pomaga panu przy zsiadaniu.

Na początku grudnia przeżyliśmy jeszcze jeden podniecający dzień. Wszyscy oczekiwali przepowiedzianego zaćmienia księżyca i już od wczesnego wieczora na dachy wyległy tłumy ciekawych. W chwili gdy cień ziemi zwolna wpelzał na tarczę księżyca, przez całe miasto przeszedł szept. Zaraz potem odezwało się nagle głośne klaskanie i okrzyki – w ten sposób usiłowano przepędzić demona, który stanął przed księżycem! Gdy ciemność ustąpiła, zadowoleni ludzie rozeszli się do domów, by świętować zwycięstwo przy czangu i grze w kości.

Wydaję przyjęcie z okazji Bożego Narodzenia

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Zapragnąłem zrobić moim przyjaciołom niespodziankę i postanowiłem wydać przyjęcie. Prawdziwą biesiadę z okazji świąt – z choinką i prezentami. Zaznałem w Lhasie tyle uprzejmości, tyle razy mnie zapraszano, że i ja chciałem sprawić znajomym przyjemność. Przygotowując party miałem pełne ręce roboty. Mój przyjaciel Trethong, syn zmarłego ministra, oddał mi do dyspozycji na parę dni swój dom. Wynająłem wprawnych służących i kucharzy, wypożyczyłem naczynia i zakupiłem dla moich gości drobne upominki: latarki, scyzoryki, komplety do pingponga i gry towarzyskie. Mój gospodarz Carong i jego rodzina mieli otrzymać specjalne prezenty. Potem przyszła kolej na gwóźdź programu – choinkę. Pani Carong pożyczyła mi krzak jałowca w pięknej donicy, a ja przystroiłem go świecami, jabłkami, orzechami i słodyczami. Jałowiec wyglądał niemal jak prawdziwa świąteczna choinka.

Tutejszym zwyczajem uroczyste przyjęcie rozpoczęło się już przed południem. Przy pełnieniu honorów mistrza ceremonii wspierał mnie Łangdüla, ponieważ obawiałem się, by nie popełnić jakiejś gary w etykiecie. Przybyli goście z zaciekawieniem oglądali „choinkę” ze wszystkich stron, podziwiali paczuszki ułożone pod drzewkiem, cieszyli się i niecierpliwicki jak u nas dzieci na gwiazdkę. Dzień upłynął na jedzeniu, piciu i grach, a gdy nastał wieczór, poprosiłem wszystkich, aby przeszli na chwilę do drugiego pokoju. Łangdüla, który miał udawać św. Mikołaja, ubrał kozuch na drugą stronę, a ja zapaliłem świece na choince. Z gramofonu rozległa się pieśń „Cicha noc, święta noc”, drzwi się rozwarły i szeroko otwartym ze zdumienia oczom moich gości ukazała się rozświetlona choinka. Mr. Liu zaczął nucić melodię, a goście, którzy znali ją z angielskich szkół, zaczęli śpiewać. Panował niezwykle nastrój – krąg biesiadników różnej narodowości i znajoma ojczyzna kołęda w sercu Azji! Dotychczas udawało mi się twardo poskramiać uczucia, ale w tej chwili z trudem powstrzymałem łzy wzruszenia i bolesnej tęsknoty. Ale będąc zmuszonym żyć tutaj, nie można sobie pozwolić na takie emocje. Oczywiście, że wszystko tu jest inne i nic nie da się porównać z Ojczyzną. Jednak trzeba się przestawić i nauczyć radować tutejszymi zwyczajami i obrzędami.

Dobre humory gości, ich radość z podarków i odrobina alkoholu pomogły mi uciszyć

tęsknotę. Po skończonym przyjęciu, goście zegnając się ze mną zapewniali solennie, że „niemieckie święto noworoczne” bardzo im się podobało. Rok temu dwie białe bułeczki pośród pustkowi Czangthangu były dla nas najpiękniejszym prezentem gwiazdkowym. Teraz siedzieliśmy w gronie przychylnych nam ludzi, przy suto zastawionym biesiadnym stole, nie powinniśmy więc uskarżać się na los.

Mamy pełne ręce roboty

W 1947 rok wkroczyliśmy bez specjalnych uroczystości. Aufschnaiter ukończył budowę swojego kanału nawadniającego i miał przystąpić do nowego ważnego zadania. Lhasa posiadała starą elektrownię, zbudowaną przed czterdziestu laty przez jednego z czterech absolwentów uniwersytetu w Rugby. Obecnie była ona już w opłakanym stanie i dostarczała bardzo niewiele prądu. W dni powszednie wystarczało go zaledwie do napędzania maszyn w mennicy i tylko w dni świąteczne prąd płynął do domów i oświeślał jasnym światłem mieszkania ministrów.

Tybet ma własną mennicę, w której drukuje się banknoty i bije monety. Jednostką płatniczą jest sang; stosując podział dziesiętny, uzyskuje się szo i karma. Kolorowe banknoty ze znakiem wodnym drukuje się na mocnym papierze wytwarzanym w Tybecie, a numery banknotów są wpisywane ręcznie tak udatnie, że – jak dotąd – wszelkie próby podrabiania pieniędzy zawodziły. Banknoty prezentują się bardzo efektownie. Monety z symbolami Tybetu: górami i śnieżnymi lwami są bite w złocie, srebrze i miedzi. Znaki te – na tle wschodzącego słońca – znajdują się także na fladze tybetańskiej i znaczkach pocztowych.

Praca niewielkiej mennicy była całkowicie uzależniona od dostaw prądu i dlatego zwrócono się do Aufschnaitera z prośbą, aby podjął się rozbudowy i ulepszenia elektrowni. Aufschnaiter zdołał przekonać odpowiednie władze, że nie na wiele się to zda i konieczne byłoby wykorzystanie wód Kyiczu, ponieważ turbina zasilana była dotychczas przez leniwe wody niewielkiej odnogi. Także i teraz obawiano się, że użycie wód świętej rzeki do takich celów wzbudzi gniew bogów i na Lhasę spadnie kara. Przekonanie rządu do tego projektu było wielką zasługą Aufschnaitera. Zezwolono mu na rozpoczęcie pomiarów i otrzymał mieszkanie poza miastem w letniej rezydencji pewnego wielmoży, aby nie musiał codziennie chodzić do odległego miejsca pracy.

Teraz widywaliśmy się rzadziej. W Lhasie zatrzymywały mnie obowiązki nauczyciela i trenera tenisa. Moi dorośli i mali uczniowie czynili ogólnie zadowalające postępy, ale wytrwałością Tybetańczycy nie mogą się niestety chlubić. Na początku zachwycają się wszystkim i zaczynają wiele nowych rzeczy, ale już po krótkim czasie ich zainteresowanie słabnie. Dlatego moi uczniowie często się zmieniali, co mnie bynajmniej nie cieszyło.

Wszystkie dzieci arystokratów były inteligentne, bystre i zdolnością pojmowania nie ustępowały naszym dzieciom. Tybetańskie dzieci uczęszczające do szkół indyjskich uczyły się nie gorzej od dzieci Europejczyków. A przecież trzeba pamiętać, że najpierw musiały one opanować język, w którym nauczano. Mimo to, bardzo często były prymusami. W College'u św. Józefa w Dardżylingu najlepszym uczniem był chłopiec z Lhasy, a do tego jeszcze był mistrzem we wszystkich sportach.

Poza nauczaniem miałem się wszelkich dodatkowych prac. W Lhasie pieniądze leżą dosłownie na ulicy! Trzeba mieć tylko trochę inicjatywy. Mógłbym na przykład założyć mleczarnię ze świeżym mlekiem i masłem lub sprowadzić z Indii maszynę do produkcji lodu spożywczego. Brakowało zegarmistrzów, szewców, ogrodników. Handel także dawał olbrzymie pole do popisu, zwłaszcza dla kogoś, kto władał angielskim i mógłby nawiązać kontakty z Indiami. Iluż ludzi żyło ze sprzedaży w Lhasie towarów zakupionych na indyjskich bazarach. Nie trzeba na to żadnej licencji; papiery mistrzowskie, świadectwo zawodowe – to pojęcia nie znane. Nie trzeba też płacić podatków. W wielu dziedzinach konkurencja nie istnieje i ceny ustala się według dowolnej kalkulacji. Jednak nie mieliśmy z Aufschnaiterem zamiaru zajmować się handlem, czy też pracować wyłącznie dla pieniędzy. Pragnęliśmy mieć pracę, która by nas satysfakcjonowała. A przede wszystkim chcieliśmy być pożyteczni dla rządu, aby zrewanżować się za okazaną nam gościnność. Dlatego cieszyliśmy się bardzo, gdy ludzie zwracali się do nas w różnych sprawach. Pełnić właściwie rolę „służącej do wszystkiego”, zaspokajaliśmy naszą potrzebę odwzajemnienia się. Zdarzało się jednak, że ta lub inna prośba wprowadzała nas w zakłopotanie, bo nie zawsze znaliśmy się na wszystkim, tak jak sądzono.

Pewnego razu polecono nam nagle pozłocić od nowa posągi bóstw. Na szczęście w niewyczerpanej bibliotece Caronga znaleźliśmy książkę z przepisem na sporządzenie farby ze sproszkowanego złota. W tym celu należało sprowadzić z Indii rozmaite chemikalia, ponieważ Nepalczycy, którzy są mistrzami w złotnictwie i pracach srebrniczych zazdrośnie strzegą swych tajemnic.

Po całym Tybecie rozsiane są bogate pokłady złota, ale nigdzie nie wydobywa się go nowoczesnymi metodami. Od starożytności na wyżynach Czangthangu wygrzebuje się złoto w sposób prymitywny, posługując się rogami gazeli. Niektóre prowincje do dzisiaj muszą płacić podatki w formie dostaw złota. Kruszec wydobywa się tylko w niezbędnych ilościach, bo i w tym wypadku istnieją obawy przed zemstą niepokojonych duchów ziemi. Dlatego też unika się wszelkich nowocześniejszych metod eksploatacji złóż.

Wiele największych rzek Azji wypływa z Tybetu i niosą one w swych wodach złoto z gór. Ale eksploatują je dopiero sąsiedzi, a w samym Tybecie wypłukiwane jest tylko w niewielu miejscach, gdzie jest to szczególnie rentowne. We wschodnim Tybecie niektóre rzeki żłobią nieckowate jamy. Gromadzą się w nich niesione prądem grudki złota i wystarczy je od czasu do czasu wybierać. Najczęściej to gubernator dystryktu trzyma rękę na tych

naturalnych płuczkach złota.

Zawsze się dziwiłem, że nikt jeszcze nie wpadł na pomysł, aby wydobywać złoto do własnej kieszeni. Kąpiąc się w strumieniach płynących w okolicach Lhasy, można dostrzec w promieniach słońca złoty pył i jest to nadzwyczajny widok! Jednak to bogactwo leży nie wykorzystane, podobnie jak w wielu innych rejonach kraju; częściowo dlatego, że ta stosunkowo lekka praca wydaje się Tybetańczykom zbyt mozolna. Z drugiej zaś strony Tybetańczycy mają większą słabość do złota niż my. Nie tyle ze względu na jego wartość materialną, ile dla pełnionej przez nie roli symbolu świetności i przepychu. Wszystkie klejnoty w Tybecie to wspaniałe okazy sztuki złotniczej, a w świątyniach nagromadzono nieprzebrane bogactwa. Wprost trudno się napatrzeć! Ze szczerego złota są metrowej wysokości lampy maślane, złotymi płatkami pokryte są posągi bóstw sięgające kilku pięter. Rozrzutnie ozdobiono grobowce – świadectwa umiłowania przepychu i szczodrości zarazem. Biedacy często zdejmują z palca jedyną obrączkę i pozostawiają ją w świątyni, chcąc w ten sposób nie tylko zdobyć przychyłność bóstw, ale i dodać coś do tych nieprzebranych skarbów, które tak wiele dla nich znaczą.

Użytkowanie innych bogactw naturalnych Tybetu wygląda podobnie. Mika, żelazo, miedź, srebro i inne minerały dostarczane są corocznie do Lhasy jako tradycyjna danina. Ale nikomu nie przyjdzie na myśl, aby rozbudować przemysł lub wykorzystywać naturalne skarby na własny użytek. Nikt nie chce niepokoić duchów ziemi i wszyscy obawiają się kary w postaci podziemnych wstrząsów. Potrzebne w mennicy płyty miedziane, lepiej sprowadzać z Indii długą, trwającą kilka tygodni drogą przez góry, podobnie jak stare żelazne amortyzatory kolejowe, przeznaczone na miecze. Zamiast wydobywać z ziemi węgiel, suszy się na opał odchody jaków i koni. Nawet złoża drogiej soli kamiennej pozostają nienaruszone, bo bezodpływowe jeziora Czangthangu dostarczają jej przecież w wystarczającej ilości. Corocznie tysiące ładunków soli wymienia się na ryż w Butanie, Nepalu i Indiach. Ropa naftowa tryska z otwartych bajor i ludzie napełniają nią swoje kopące lampy. Być może tu i ówdzie znalazłby się jakiś przedsiębiorczy Tybetańczyk, który marzy, aby wzbogacić się na wydobywaniu skarbów. Ale nikt nie ma odwagi zrobić pierwszego kroku. Ci ludzie instynktownie czują, że gdyby rzucili wyzwanie swym potężnym sąsiadom, byłby to kres ich spokojnej egzystencji. Własny majątek lokuje się raczej w handlu rzeczami mniej wstrząsającymi światem...

Tuż przed naszym drugim tybetańskim Nowym Rokiem otrzymaliśmy pierwsze listy z kraju. Po trzech latach! Listy były w drodze od roku, przewędrowały naokoło świata, a na kopercie były pieczętki nawet z Reykjavíku. Cóż to za uczucie, gdy ma się świadomość, że z Dachy Świata udało się nawiązać nić kontaktu z odległą, niezapomnianą Ojczyzną!

Wiadomości z Europy nie dodawały otuchy. Umacniały nasze pragnienie, które kiełkowało już od pewnego czasu, aby tutaj pozostać, aby osiedlić się w Lhasie. W starej ojczyźnie nie pozostawiliśmy obaj bardziej osobistych związków. Lata spędzone w tym

ostatnim spokojnym zakątku świata zmieniły nas. Nauczyliśmy się rozumieć mentalność tutejszych ludzi, językiem tybetańskim władaliśmy już na tyle biegle, że służył nam nie tylko do komunikowania prostych kwestii, ale mogliśmy prowadzić konwersację na wyższym poziomie, ze wszystkimi wymogami uprzejmości. Mały radioodbiornik zapewniał nam kontakt ze światem. Podarował mi go pewien minister z prośbą o przekazywanie wszystkich politycznych informacji, szczególnie tych, które dotyczyły Azji Centralnej. Doznawałem przedziwnego uczucia, słysząc głosy we wszystkich językach świata tak wyraźnie dobiegające z tej małej skrzyneczki. Bo na Dachy Świata nie ma dentysty borującego zęby, nie ma tramwajów, ani fryzjera z brzęczącymi maszynkami, nie ma więc też zakłóceń w odbiorze.

Każdy dzień zaczynałem od wysłuchania wiadomości i już od wczesnego rana kiwałem głową, nie mogąc się nadziwić, czego to ludzie na całym świecie nie uważają za ważne. Czy wyprodukowano jakiś silnik mocniejszy o kilka koni niż w poprzedniej serii? Czy ktoś przeleciał nad oceanem o dwie minuty szybciej niż przed dwoma miesiącami...? Jakież to było mało ważne! Nastawienie do przedmiotów zmienia się zależnie od punktu widzenia. Tutaj miarą prędkości jest tempo jaka i tak jest od tysięcy lat. Czy wprowadzenie zmian sprawiłoby, że Tybet byłby szczęśliwszy? Bez wątplenia – już zbudowanie drogi do Indii podniosłoby znacznie standard życia Tybetańczyków. Ale równocześnie do kraju przeniknęłoby tzw. „współczesne tempo”, niszcząc jego spokój i swobodę. Nie należy narzucać ludziom wynalazków, które są zbyt odległe od poziomu ich aktualnej egzystencji. W Tybecie istnieje piękne przysłowie: „Nie sposób wejść na piąte piętro Potali, nie wszedłszy najpierw na parter!”

Można by postawić pytanie, czy sposób życia i kultura Tybetu nie kompensują wielu zdobyczy techniki? Gdzież na Zachodzie spotkać można tak wielką uprzejmość? Tutaj nikt nie „traci twarzy”, nikt nie jest napastliwy. Przeciwnicy polityczni traktują się z wzajemnym szacunkiem i uprzejmością i pozdrawiają się grzecznie na ulicy. Kobiety pochodzące z arystokracji są zadbane i kulturalne, mają znakomity gust i wspaniale pełnią rolę pani domu. Nikogo by nie zdziwiło, gdybyśmy – dwaj kawalerowie – wzięli sobie do prowadzenia domu jedną lub kilka kobiet, a nasi tybetańscy przyjaciele proponowali nawet, abyśmy wzięli razem chociaż jedną. W chwilach samotności nosiłem się niekiedy z myślą, aby znaleźć sobie towarzyszkę, ale jeśli nawet spodobała mi się jakaś dziewczyna, było mi trudno się zdecydować. Obawiałem się, że nasz kontakt duchowy byłby niewystarczający, a inne rzeczy nie miały dla mnie aż tak wielkiego znaczenia, aby wiązać się z dziewczyną na stałe. Najchętniej sprowadziłbym sobie żonę z Ojczyzny. Ale najpierw brakowało mi na to środków, a później na przeszkodzie stałyby wydarzenia polityczne.

Żyłem więc samotnie i później – gdy miałem bliższy kontakt z Dalajlamą – okazało się, że wyszło mi to na dobre; gdybym był żonaty, potężni mnisi będący u władzy zapewne jeszcze bardziej niechętnym okiem patrzyliby na nasze spotkania. Wszak żyją oni w surowym

celibacie i unikają wszelkich kontaktów z kobietami. Homoseksualizm – niestety – zdarza się tu bardzo często, a nawet jest mile widziany jako świadectwo, że kobiety nie mają dla mnichów znaczenia. Bywa czasem, że jakiś mnich się zakocha i prosi o zwolnienie z klasztoru, aby poślubić swoją wybrankę. Zezwolenie uzyskuje bez większych przeszkód. W takim wypadku szlachetnie urodzeni przechodzą do urzędów świeckich, zachowując swoją rangę, natomiast mnich prostego pochodzenia traci pozycję i najczęściej zarabia na życie jako kupiec. Bardzo surowe kary spotykają mnichów, którzy zadają się z kobietami, zanim uzyskali zwolnienie z klasztoru.

Pomimo mojej samotności z wyboru, czas szybko uciekał. Godziny wolne od pracy wypełniały mi lektury i składanie wizyt, a także odwiedziny, które składaliśmy sobie wzajemnie z Aufschnaiterem. Odkąd nie mieszkaliśmy razem, bardzo łaknęliśmy wzajemnej wymiany myśli, czuliśmy, że praca nie zadowala nas całkowicie, i niekiedy ogarniały nas wątpliwości, czy nie można by lepiej spożytkować naszego czasu. Tak wiele było do zrobienia w tym kraju – zwłaszcza na polu badawczym! Często snuliśmy plany, aby opuścić Lhasę i jak poprzednio wędrować przez kraj od jednej stacji postojowej do drugiej, jako biedni pielgrzymi, żeby go poznać, tak jak nikt dotąd. Aufschnaiter ciągle marzył, aby spędzić rok nad olbrzymim, tajemniczym jeziorem Namczo i obserwować jego przypływy i odpływy.

Obcokrajowcy i ich losy w Tybecie

Stopniowo pobyt w Lhasie przestawał być dla nas sensacją. A jednak co dzień, od nowa, zdawaliśmy sobie sprawę z tego, jak dużo mamy szczęścia, mogąc tutaj mieszkać. Rząd często zwracał się do nas o przetłumaczenie listów nadchodzących z całego świata, w których ludzie najróżniejszych zawodów prosili o zezwolenie na wjazd do Tybetu. Wielu z nich oferowało swoje umiejętności w zamian li tylko za mieszkanie i wyżywienie, aby tylko mieć możliwość poznania Tybetu. Pisali też chorzy na gruźlicę w nadziei na wyleczenie choroby lub przedłużenie życia w zdrowym tybetańskim powietrzu. Ci ludzie zawsze otrzymywali odpowiedź: osobiste życzenia i błogosławieństwo od dalajlamy, a nierzadko – dar pieniężny. Na inne podania nigdy nie odpisywano i nikomu nie udzielono pozwolenia na wjazd. Tybet opierał się nawet najbardziej obiecującym propozycjom i robił wszystko, aby zachować swą izolację. Pozostawał wciąż „Krajem Zakazanym”.

Obcokrajowców, których widziałem w czasie mojego pięcioletniego pobytu w Lhasie, mógłbym zliczyć na palcach.

W roku 1947, z rekomendacji Anglików, oficjalne zaproszenie uzyskał młody francuski dziennikarz Amaury de Riencourt, który zatrzymał się w Lhasie przez trzy tygodnie.

Rok później przybył słynny tybetolog profesor Tucci. Do Tybetu przyjechał już po raz siódmy, ale dopiero tym razem udało mu się dostać do Lhasy. Profesor uchodził za najlepszego znawcę historii i kultury Tybetu, przetłumaczył wiele tybetańskich ksiąg i opublikował kilka własnych prac. Swoją znajomością dat z historii Tybetu zaskakiwał nieustannie Chińczyków, Nepalczyków, Hindusów i samych Tybetańczyków. Spotykałem go kilka razy na przyjęciach, a pewnego razu zdarzyło się nawet, że w obecności liczного towarzystwa paskudnie mnie ośmieszył, stając przeciwko mnie w dyskusji. Kwestia dotyczyła kształtu ziemi. W Tybecie reprezentowany jest pogląd, że ziemia ma kształt płaskiej tarczy. Ja oczywiście broniłem gorliwie tezy o kulistości ziemi. Moje argumenty zdawały się przekonywać niektórych Tybetańczyków. Dla poparcia swych wywodów, wobec wszystkich gości wezwałem na świadka profesora Tucciego. Ku mojemu nieopisanemu zdziwieniu stanął on po stronie niedowiarków, wygłaszając opinię, że wszyscy naukowcy winni stale rewidować swe teorie i pewnego pięknego dnia – równie dobrze – mogą się potwierdzić

poglądy Tybetańczyków. Brudna robota, zważywszy, że nauczałem także geografii, o czym wszyscy wiedzieli. Profesor Tucci pozostał w Lhasie osiem dni. Potem odwiedził najslynniejszy tybetański klasztor Samye i opuścił kraj z bogatym materiałem naukowym i wieloma cennymi księgami z drukarni pałacowej w Potali.

Inna interesująca wizyta w Lhasie miała miejsce w 1949 roku, kiedy to przybyli dwaj Amerykanie: Lowell Thomas senior i junior. Oni także przebywali w Lhasie osiem dni, uczestniczyli w codziennych przyjęciach wydawanych na ich cześć i odbyli audiencję u dalajlamy. Obydwaj nakręcili film i robili wspaniałe zdjęcia kraju i ludzi. Syn napisał z dziennikarskim zacięciem bestseller, ojciec zaś – znany w USA komentator radiowy – zrobił nagrania magnetofonowe do swoich audycji.

Bardzo im zazdrościłem doskonałego sprzętu filmowego i fotograficznego, a zwłaszcza filmów, ponieważ już wtedy sprawiliśmy sobie z moim przyjacielem Langdülą aparat firmy *Leica* i filmów ciągle nam brakowało. Amerykanie podarowali nam dwa kolorowe i były to pierwsze i jedyne filmy, jakie miałem w Tybecie.

Ówczesna sytuacja polityczna ułatwiła Amerykanom wjazd do Tybetu. Zagrożenie przez Chiny – chociaż już historyczne – stało się znowu aktualne. Wszystkie chińskie reżimy, czy to cesarski, nacjonalistyczny czy komunistyczny, rościły sobie prawa do Tybetu i traktowały go jako jedną ze swych prowincji. Roszczenia te były całkowicie sprzeczne z wolą mieszkańców kraju lamów, kochających niezawisłość i mających do niej pełne prawo. W tej sytuacji Rząd Tybetański zdecydował się na gest zaproszenia Amerykanów, aby za pośrednictwem ich działalności publicystycznej jasno uzmysłowić światu niezawisłość kraju.

Poza tymi czterema gośćmi rządu, przyjechali jeszcze do Tybetu, w celach zawodowych, inżynier i mechanik. Inżynier był Anglikiem i pracował w General Electric Company (G.E.C.). Przybył do Lhasy z zadaniem zamontowania urządzeń w nowej elektrowni i bardzo chwalił Aufschnaitera za wykonaną dotychczas pracę.

Mechanik Nedbailoff był Rosjaninem, „białym”, i od czasów rosyjskiej rewolucji walczył się po Azji. W końcu wylądował w tym samym obozie dla internowanych co ja i w 1947 miał być repatriowany do Rosji. Ratując głowę uciekł do Tybetu, ale ponieważ znalazł się na terenach kontrolowanych przez Anglików, tuż za granicą został ponownie aresztowany. Był jednak dobrym fachowcem i ostatecznie zaczęto go tolerować w Sikkimie. Do Lhasy został wezwany w celu naprawy maszyn w starej elektrowni. Kilka miesięcy po jego przybyciu Czerwona Gwardia Chińska wkroczyła do Tybetu i zmuszony był znowu uciekać. Podobno ostatecznie wylądował w Australii. Jego przeznaczeniem była ciągła ucieczka. Miał duszę podróżnika lubiącego przygody i ze wszystkich niebezpieczeństw wychodził bez szwanku. Oprócz pracy lubił mocną wódkę i młode dziewczęta – obu tych rzeczy w Świątym Mieście nie brakowało.

Ogłoszenie niezawisłości Indii przesądziło o losach Misji Brytyjskiej w Lhasie. Wymieniono personel i tylko Mr. Richardson pozostał tu do połowy września 1950 r.,

ponieważ Hindusi nie mieli fachowca na to stanowisko. Reginalda Foxa Rząd Tybetański pozostawił jako radiooperatora. Otrzymał on polecenie założenia radiostacji we wszystkich ważnych strategicznie punktach, ponieważ niebezpieczeństwo najazdu Chińczyków było coraz większe. W rejonie Czamdo, który był punktem zapalnym we wschodnim Tybecie, niezbędny był odpowiedzialny człowiek, zezwolono więc Foxowi na sprowadzenie na to stanowisko młodego Anglika, Roberta Forda. Poznałem go przelotnie w Lhasie. Był to młody, miły człowiek, który lubił tańczyć. To on nauczył samby młodych arystokratów w Lhasie. Na przyjęciach chętnie tańczono, najczęściej tańce swojskie, przypominające stepowanie, i niekiedy fokstrota. Starsi potrząsali wówczas głowami i uważali za bardzo niestosowne, że tańczący trzymają się tak blisko w tańcu – podobnie jak to miało miejsce kilkadziesiąt lat wcześniej, gdy na naszych parkietach pojawił się walc.

Ford wyruszył w wielkiej karawanie do Czamdo i niebawem można było z nim rozmawiać przez radio. Przebywał w tak odległym i jakże osamotnionym posterunku – jedyny Europejczyk na setkach kilometrów kwadratowych! A przecież radioamatorzy z całego świata prześcigali się w próbach nawiązania z nim łączności. Dzięki tym pogaduszkom napływało dla Forda i Foxa mnóstwo listów i prezentów. Na nieszczęście, sporządzane przez Forda notatki z tych niewinnych rozmów stały się niebawem jego zgubą. Podczas ucieczki przed Chińczykami został on odcięty przez jeden z oddziałów Czerwonej Gwardii i okarżono go o niewiarygodne rzeczy tylko po to, by znaleźć pretekst do skazania. Zarzucono mu, że otrul pewnego lamę, a zapiski w jego notatniku uznano za dowód działalności szpiegowskiej. Ten sympatyczny, i bogu ducha winny, człowiek do chwili obecnej pozostaje więźniem komunistycznych Chin. Dotychczasowe próby wydostania go z więzienia, podejmowane przez brytyjskiego przedstawiciela w Pekinie, nie powiodły się niestety*.

W czasie mojego siedmioletniego pobytu w Tybecie spotkałem jeszcze jednego białego mężczyznę; był nim Amerykanin Bessac, ale o jego losie opowiem później.

* Ford więziony był pięć lat (przyp. tłum.)

Audiencja u Dalajlamy

Nadszedł nasz drugi tybetański Nowy Rok. Tym razem uczestniczyłem od początku we wszystkich uroczystościach. Do Lhasy znowu przybyły tysiące ludzi z namiotami i całe miasto przypominało obóz wojskowy. Celebrowano nadejście roku o nazwie „Ogień-Świnia” i te obchody w niczym nie ustępowały zeszłorocznym. Ja, oczywiście, byłem szczególnie ciekaw tych obrzędów, których z powodu choroby nie zobaczyłem rok temu.

Do dzisiaj najżywiej zachowałem w pamięci obraz parady tysiąca żołnierzy w starym, rycerskim rynsztunku. Zwyczaj ten nawiązuje do historycznego wydarzenia z dawnych lat. Pewnego razu na Lhasę ruszyła armia muzułmańska. Podczas straszliwego marszu, u podnóża gór Nyenczenthangiha wojsko zaskoczyła potężna burza śnieżna, zasypując je całkowicie. Miejscowi bonpowie triumfalnie wnieśli do Lhasy oręż zamarzniętych żołnierzy i od tej pory podczas uroczystości noworocznych prezentuje go tysiąc Tybetańczyków. Przeciągają stare chorągwie, szczękają kolczugi i uprząże, hełmy z napisami w języku urdu lśnią w słońcu, a w wąskich uliczkach odbijają się echem wystrzały starych strzelb, ładowanych przez lufę... Osobliwy to obraz – średniowieczna parada w starożytnym mieście! W tym otoczeniu pochod zdaje się być dawną rzeczywistością, a nie li tylko historyczną reminiscencją. Oddział z dwoma generałami na czele, maszeruje przez Parkhor w kierunku pustego placu na krańcu miasta. Tam czekają już dziesiątki tysięcy ludzi zgromadzonych wokół olbrzymiego ogniska. W jego płomieniach, wzbijających się ku niebu, spalają się ofiary: olbrzymie ilości masła i płodów rolnych. Zbity tłum patrzy w milczeniu, a lamowie wrzucają do ognia trupy czaszki i symboliczne figury złych duchów. Równocześnie grzmą głucho armatnie wystrzały – to żołnierze oddają wszystkim okolicznym szczytom honorowe salwy z moździerzy. Nadchodzi punkt kulminacyjny. Wyrocznia w transie zbliża się chwiejnym krokiem do ogniska, wiruje w tańcu i po chwili pada na ziemię. Jest to znak, który wyrывa masy z osłupienia i wprawia je w trans. Ludzie zaczynają krzyczeć i ekstatycznie falować. W takich chwilach tłum jest nieobliczalny. W 1939 r. jedyna niemiecka ekspedycja do Tybetu* ledwie uszła z życiem w czasie tego święta. Gdy operatorzy zaczęli filmować chwiejącą się w transie wyrocznię, tłum

* Autorowi chodzi o naukową wyprawę niemieckiego zoologa Ernsta Schafera na przełomie 1938/39, która w końcu dotarła do Lhasy (przyp. red.)

obrzucił ich gradem kamieni i musieli ratować się ucieczką przez mury ogrodów i dachy. Epizod ten nie był oznaką politycznej nienawiści lub niechęci wobec obcych, wypływał wyłącznie z fanatycznych uczuć religijnych, które mogą prowadzić do takich wypadków. Ja także musiałem mieć się na baczności, gdy później sam fotografowałem dla Dalajlamy, bo niemal zawsze dochodziło do podobnych ekstatycznych scen. Dlatego byłem bardzo dumny, że udało mi się zrobić kilka zdjęć także dla siebie.

Podczas tych noworocznych uroczystości najwyższy szambelan Jego Świątobliwości powiadomił nas, że znajdujemy się na liście oczekujących na audiencję u Dalajlamy. Aczkolwiek młodego Boga widzieliśmy już kilkakrotnie, a nawet niezaprzeczalnie uśmiechnął się do nas w czasie procesji, to możliwość audiencji w Potali bardzo nas ekscytowała. Czułem, że to zaproszenie jest dla nas niezwykle ważne; i rzeczywiście, utorowało nam ono drogę, która później miała mnie zaprowadzić w bezpośrednie otoczenie Dalajlamy.

W wyznaczonym dniu ubraliśmy nasze futrzane płaszcze. Kupiliśmy najdroższe jedwabne szarfy, jakie można było dostać w Lhasie, i pośród kolorowego tłumu mnichów, nomadów i odświętnie ubranych kobiet wstępowaliśmy po wielu kamiennych stopniach ku Potali. Im podchodziliśmy bliżej, tym wspanialszy był widok na miasto. Widać było piękne ogrody i willowe domy. Droga wiodła pośród niezliczonych młynków modlitewnych, stale wprawianych w ruch przez pobożnych przechodniów, aż wreszcie przekroczyliśmy olbrzymie wrota i znaleźliśmy się w pałacu.

Ciemne krużganki i malowidła bóstw opiekuńczych na ścianach wiodą przez niższe piętra na dziedziniec. Olbrzymie świetliki, sięgające od ośmiu do dziesięciu metrów w dół, pozwalają zobaczyć, jak niesamowicie grube są mury pałacu. Strome, kilkupiętrowe drabiny wyprowadzają z tego dziedzińca wprost na otwarty dach – taras. Wszyscy stąpają ostrożnie, szczebel po szczeblu, każdy stara się czynić mniej hałasu niż poprzednik i zapalczywi mnisi-strażnicy nie mają powodu do użycia bata. Na górze stoi już zbita grupa ludzi – pragną oni otrzymać osobiste błogosławieństwo Żyjącego Buddy. Na Potali widać jeszcze kilka mniejszych budyneczków o złotych dachach. W nich znajdują się osobiste pokoje Dalajlamy. Długa kolejka wiernych z mnichami na przedzie posuwa się ku drzwiom. Za nimi obradują właśnie – jak co dzień – duchowni urzędnicy. Wchodzimy obaj tuż po mnichach. Znalazłszy się w komnacie audiencyjnej, musieliśmy tego wyciągać szyję, aby zza wielu głów ujrzyć Żyjącego Buddę. On, jakby na chwilę zapominając o swym dostojeństwie, także wyciągnął szyję, aby zobaczyć obcych, o których już tak wiele słyszał.

Dalajlama siedzi w pozycji Buddy na pokrytym drogocennymi brokatami tronie, lekko pochylony do przodu. W tej pozycji będzie przez wiele godzin błogosławić wiernych, przeciągających przed nim w nie kończącej się kolejce. U stóp tronu leżą góry sakiewek, zwojów jedwabiu i setki białych szarf.

Wiedzieliśmy, że nie wolno nam wręczyć szarf osobiście – odbiera je od nas jeden z

opatów. Teraz, gdy sam już stoję przed Dalajlamą, odważam się złamać etykietę i rzucam na jego oblicze ukradkowe spojrzenie. Dostrzegam zaciekawiony uśmiech chłopca na twarzy o czystych, pięknych rysach. Wyciągniętą do błogosławieństwa ręką dotyka lekko mojej głowy, podobnie jak czynił to mnichom. Wszystko przebiega bardzo szybko; już w następnym oka mgnieniu stoimy przed nieco niższym tronem Regenta. On także dotyka w błogosławieństwie naszych głów i już opat zarzuca nam na szyje czerwone szarfy – amulety, zapraszającym gestem wskazując na poduszki, na których mamy usiąść. Podają nam herbatę i ryż. Zgodnie ze zwyczajem rzucamy kilka ziaren w górę przed siebie, na ofiarę bogom.

Z naszego spokojnego kącika możemy obserwować, co dzieje się przed nami. Przed tronem przechodzą jeszcze tysiące ludzi, by otrzymać błogosławieństwo. Kornie pochyleni, z wystawionym językiem* – osobliwy to dla nas obraz. Nikt nie odważy się podnieść oczu. Zamiast dotknięcia ręką, które otrzymali mnisi i my – lekkie muśnięcie jedwabnym chwostem. Podążamy wzrokiem za długim korowodem, który wciąż napływa zza drzwi. Nie ma takiej osoby, która nie przyniosłaby chociaż najmniejszego upominku. Często jest to tylko podarta szarfa. Ktoś następny może być pielgrzymem z obładowaną prezentami służbą. Wszystkie dary są natychmiast skrzętnie zapisywane przez skarbnika i niektóre, stosownie do potrzeb, przeznaczane na użytek Potali. Jedwabne szarfy sprzedaje się później lub wręcza zwycięzcom w zawodach. Tylko sakiewki składane u stóp tronu stanowią osobistą własność Króla-Boga. Gromadzone są w skarbcu złota i srebra w Potali, w którym – zbierane od lat – leżą nieprzebrane skarby, dziedziczone przez kolejne inkarnacje.

Jednak to nie wielkie skarby wywierają na nas najsilniejsze wrażenie, ale oddanie malujące się na twarzach tych wszystkich ludzi. Dla wielu z nich – to najważniejsza chwila ich życia. Pielgrzymowali tysiące kilometrów, w pyle padając na twarz, na kolana, niektórzy byli w drodze całe miesiące i lata. Cierpieli głód i zimno po to, by w Lhasie otrzymać błogosławieństwo dalajlami. Automatyczne dotknięcie jedwabnym chwostem wydawało mi się zbyt małą nagrodą za tyle oddania. A przecież każdy z tych ludzi promieniował szczęściem, gdy stojący obok tronu mnich zakładał im jeszcze na szyję cieką jedwabną wstążkę. Będą ją przechowywać i nosić przy sobie przez całe życie w pudełeczku na amulety lub zaszytą w maleńkim woreczku, w przekonaniu, że zapewni im ochronę przed wszelkim nieszczęściem. Rodzaj wstążki zależy od rangi udzielającego błogosławieństwa, ale na każdej zawiązany jest słynny potrójny magiczny węzeł*. Wstążki wiązane są wcześniej przez urzędników mnichów i tylko dla ministra i najwyższych opatów węzły zawiązuje osobiście dalajlama w ich obecności.

„Niebawem w tym niezbyt dużym pomieszczeniu, gdzie powietrze i światło dostaje się tylko przez świetliki, robi się bardzo duszno. Dym z kadzideł i płonących lampek dławi w

* Jest to tradycyjna forma tybetańskiego pozdrowienia, odpowiednik naszego „dzień dobry”. Obecnie zanika, spotyka się ją jeszcze tylko u starych Tybetańczyków (przyp. tłum.)

* Taka wstążka z zawiązanym węzłem nazywa się po mongolsku dzangia, po tybetańsku lung-dü, co znaczy „węzeł ochraniający” (przyp. red.)

piersiach. Panuje cisza, w której słyszeć tylko szuranie butów.

Aczkolwiek długo marzyliśmy o ujrzeniu Boskiego Króla, a ponadto było tu na co patrzeć, to jednak odetchnęliśmy z ulgą, gdy ceremonia wreszcie się skończyła. Prawdopodobnie większość obecnych – poza tłumem przybyłym po błogosławieństwo – ma podobne odczucia, bo najwyżsi dostojnicy muszą uczestniczyć w tej uroczystości stojąc. Ale to należy do ich urzędowych obowiązków i jest ponadto wielkim honorem.

Skoro tylko ostatni pielgrzymi opuszczą komnatę, Dalajlama podnosi się, a z nim wszyscy obecni. Wspierany przez służących udaje się na swe prywatne pokoje, podczas gdy my trwamy jeszcze w pokłonie. Gdy opuszczamy komnatę, zbliża się jeden z mnichów i wręcza każdemu z nas stusangowy banknot, ze słowami: „Gyalpo Rimpocze ki söre re” – „to dar od szlachetnego króla”.

Ten gest nas zaskoczył tym bardziej, że – jak nam później powiedziano – po raz pierwszy obdarowano kogoś w ten sposób. Oczywiście, jak to w Lhasie, natychmiast wiedziało o tym całe miasto, zanim sami zdążyliśmy komukolwiek o tym wydarzeniu opowiedzieć. Przez wiele lat przechowywaliśmy owe banknoty jako talizman i musimy przyznać, że w czasie, gdy opuszczaliśmy Tybet, okazał się on bardzo skuteczny.

Zwiedzamy Potalę

Po zakończonej audyencji mieliśmy wraz z pielgrzymami sposobność zwiedzenia licznych świętych miejsc w Potali. Jedną z największych budowli – pałac Potala powstał w obecnej formie przed około trzystu laty, za czasów Dalajlamy V. Dawniej na tym samym wzgórzu wznosiła się twierdza królów Tybetu, zburzona później w czasie wojen przez Mongołów. Tysiące kobiet i mężczyzn odrabiało pańszczyznę, dźwigając kamień po kamieniu z kilometrowych odległości, a zręczni kamieniarze, bez żadnych technicznych ułatwień wznosili tę budowlę, która jakby wyrastała ze skał. Rozpoczęte dzieło wydawało się zagrożone, gdy jego twórca – Dalajlama V – nagle zmarł. Ówczesny regent zataił śmierć Jego Świątobliwości, ponieważ sam nie cieszył się dostatecznym autorytetem, aby poddani chcieli wykonywać tę pańszczyznę dla niego. Z tych powodów przez pewien czas utrzymywano wersję o chorobie Króla-Boga, a później o tym, że dalajlama oddaje się praktyce medytacyjnej w odosobnieniu – tę mistyfikację podtrzymywano przez dziesięć lat, aż do ukończenia pałacu. Patrząc dzisiaj na tę monumentalną budowlę można zrozumieć i usprawiedliwić to oszustwo.

Na dachu Potali odnaleźliśmy także grobowiec władcy, któremu pałac zawdzięcza swe powstanie. Szczątki Dalajlamy V spoczywają w czortenie obok innych boskich królów. Znajduje się tam siedem podobnych grobowców, przed każdym siedzą mnisi, modlą się i wydobywają ze swych modlitewnych bębenków głucho dźwięki. Jeżeli chce się zobaczyć stupy, trzeba wspiąć się po stromych drabinach. W panującym mroku jest to karkołomne przedsięwzięcie, ponieważ szczeble są śliskie od brudu gromadzącego się na nich od stuleci.

Największa stupa to sięgający kilku pięter czorten Dalajlamy XIII. Na jego pokrycie zużyto podobno ponad tysiąc kilogramów płatków złota. W złotych ornamentach osadzono bezcennej wartości kamienie szlachetne i perły, składane w ofierze przez wiernych. Całość sprawia wrażenie nadmiernego przepychu, ale to odpowiada mentalności Azjatów.

Po zwiedzeniu różnych kaplic udaliśmy się do zachodniego skrzydła, w którym mieszka dwustu pięćdziesięciu mnichów. Ta część budowli zwie się Namgyetraszang. Jest ciasna, zawila i niezbyt zachęcająca dla Europejczyka, lecz widok przez małe okienka wynagradza wszystko: wzgórze Czagpori i kryształowy nurt Kyiczu wyglądają stąd zachwycająco. Nisko

w dole leżą domy dzielnicy Szö i trzeba się mocno wychylić, aby je zobaczyć. Jakaż piękna jest stąd Lhasa, z jej kwadratowymi domami i płaskimi dachami! Brudu zalegającego w ciasnych uliczkach stąd nie widać.

Zaczynamy powoli opuszczać Potalę. Schodząc mijamy jakieś drzwi, które zwracają naszą uwagę wielkim rozmiarem. Okazuje się, że to drzwi pawilonu, który nakazał zbudować Dalajlama XIII na swoje samochody. I tutaj wkroczył zatem wiek dwudziesty. Nawet jeżeli obecnie nikt z tych aut nie korzysta, to sprowadzenie ich było przecież wyrazem pragnienia postępu. Oczywiście, że później i tak konserwatywni mnisi byli silniejsi od wszelkiej nowej idei i dlatego dzisiaj Tybet wygląda tak samo jak przed setkami lat.

Wschodniego skrzydła, mieszczącego różne urzędy i szkołę Cedrungów, nie zdążyliśmy tym razem zwiedzić, ponieważ zostaliśmy zaproszeni na obiad przez głównego szambelana. Jego mieszkanie, zgodnie z zajmowaną przezeń pozycją, znajdowało się kilka pięter poniżej komnat Dalajlamy. W Potali mieszka wielu urzędników i opatów, a ich mieszkania położone i urządzone są stosownie do piastowanych przez nich stanowisk.

W następnych latach wielokroć mieszkalem w Potali, przy okazji wizyt składanych przyjaciółom. Życie i ruch w tej duchowej twierdzy przypominają życie w średniowiecznym zamczysku. Z trudem można znaleźć coś, co należałoby do współczesnego świata. Wieczorem, o ustalonej godzinie, pod nadzorem głównego podskarbiego zamyka się wszystkie bramy. Po całym pałacu snują się strażnicy z lampkami oliwnymi i sprawdzają, czy wszystko jest w porządku. Ich głosy rozlegają się po krużgankach – poza tym panuje zupełna cisza. Noce są spokojne i długie, bo w Potali spać chodzi się wcześniej. W przeciwieństwie do towarzyskiego życia w mieście tutaj się nie świętuje. Czorteny zmarłych boskich królów tchną atmosferą śmierci tak uroczyście i ponuro, że Potala sprawia wrażenie ogromnego grobowca. Bez trudu zrozumiałem, dlaczego młody władca był tak uszczęśliwiony, gdy nadeszła pora przeprowadzki do pałacu letniego. Jakże smutny żywot wiodło tutaj to samotne dziecko, bez rodziców i towarzyszy zabaw. Nie znało innych rozmów, poza rozmowami ze swymi starymi nauczycielami i opatami. A jedyne urozmaicenie stanowiły rzadkie wizyty jego brata, Lobsanga Samtena, który przynosił pozdrowienia z rodzinnego domu i opowiadał o nowinkach z miasta.

Po obiedzie u szambelana opuściliśmy pałac. Po drodze spotkaliśmy nosiwodów, którzy ciężko dysząc dźwigali w drewnianych stągwiach wodę do kuchni Jego Świątobliwości, ze źródła u stóp Czagpori. Było ono ogrodzone parkanem, a klucz do bramki posiadali tylko kucharze władcy. Mimo sporej odległości od miasta, wielu ludzi czerpało wodę z odpływu tego źródła, ponieważ uchodziła za najlepszą w mieście.

W źródle pojono też codziennie słonia Dalajlamy, jedyne słonia w Tybecie. Żyjący Budda otrzymał go w darze od maharadży Nepalu, bowiem i tam czczono dalajlamę jako inkarnację. Wielu Nepalczyków wstępuje do klasztorów tybetańskich, poświęcając swe życie religii. Tworzą oni w obrębie klasztorów niewielkie gminy i są bardzo inteligentnymi

uczniami. W dowód czci dla Dalajlamy Nepal wysłał mu dwa słonie. Niestety, jeden nie przetrwał przeprawy przez Himalaje, mimo iż prawie tysiąckilometrową trasę oczyszczono z kamieni i pozamiatano, aby słoniom – uchodzącym odtąd jako własność Dalajlamy za święte – ułatwić przemarsz do Tybetu. Dla słonia, który przeżył, przygotowano na wszystkich miejscach postojowych specjalne stajnie. Gdy „Langczen Rimpocze” – tak nazwano słonia – dotarł do Lhasy, zapanowała powszechna radość, bo nikt jeszcze nie widział tutaj takiego olbrzyma. Otrzymał własny dom w północnym skrzydle Potali i niekiedy kroczył w procesjach, ubrany w drogocenne brokaty. Wszyscy jeźdźcy omijali go wielkim łukiem, ponieważ tybetańskie konie płoszyły się, spotkawszy w wąskiej uliczce takie wielkie i nieznane zwierzę.

Jeszcze w czasie trwania uroczystości noworocznych zaszło smutne wydarzenie – zmarł ojciec młodego Króla-Boga, mimo iż czyniono wszystko, aby go wyleczyć z choroby. Mnisi i lekarze robili co tylko było w ich mocy, aby utrzymać go przy życiu. Przygotowali nawet kukłę, na którą zarzekli chorobę, by potem spalić ją nad rzeką. Taki sposób wypędzania choroby jest reliktem religii bon* i chociaż jest powszechnie stosowany, jemu nie uratował życia. Wielokrotnie sugerowałem, aby wezwano angielskiego lekarza, ale dom dalajlamy musi świecić przykładem i nawet w krytycznej sytuacji nie może sobie pozwolić na odstępstwo od tradycyjnych wzorców postępowania.

Zgodnie z tutejszym zwyczajem zwłoki wywieziono na przeznaczone do tego celu święte miejsce poza miastem. Tam je poćwiartowano i pozostawiono ptactwu. W Tybecie nie nosi się żałoby po zmarłym w takim znaczeniu jak u nas. Ból rozłąki uśmierza wiara w rychłe ponowne narodziny, śmierć dla Tybetańczyków nie jest straszna. Przez 49 dni pali się lampki maślane, potem w domu zmarłego odprawiony zostaje stosowny rytuał i więcej się już o śmierci nie wspomina. Wdowy i wdowcy po pewnym czasie mogą ożenić się ponownie i życie biegnie dalej!

* Pierwotna, animistyczna, przedbuddyjska religia Tybetu, której kapłani przez magiczne obrzędy wypędzali złe duchy i przez ofiary starali się wpłynąć na przeznaczenie (przyp. red.)

Spisek mnichów z klasztoru Sera

W 1947 roku wybuchła w Lhasie mała wojna domowa. Wiele wskazywało na to, że były regent Reting Rimpocze, który wcześniej dobrowolnie zrezygnował z piastowanego stanowiska, znowu zapragnął władzy. Miał on jeszcze pośród urzędników i ludu wielu zwolenników, którzy nieustannie podzegli przeciwko obecnemu regentowi, chcąc przywrócić ster władzy Retingowi. Przewrót miał być zainicjowany przez najzupełniej nowoczesny zamach bombowy, z użyciem bomby zegarowej. Bomba, w formie prezentu od nieznanego, została dostarczona do domu pewnego wysokiego urzędnika duchownego, jednak zanim dar przekazano na ręce regenta, diabelskie urządzenie eksplodowało. Na szczęście nikt nie zginął, ale nieudany zamach sprawił, że odkryto sprzysiężenie. Tagtra Rimpocze ingerował szybko i skutecznie. Mała armia pod wodzą jednego z ministrów, wkroczywszy do klasztoru Retinga, aresztowała byłego regenta. Jednak mnisi z klasztoru Sera* sprzeciwili się tej rządowej interwencji i całe miasto ogarnęła panika. Kupcy zabarykadowali się w sklepach i pochowali towary. Nepalczyki schronili się w budynku swojego przedstawicielstwa dyplomatycznego, które niebawem zamieniło się w prawdziwy skarbiec, ponieważ przenieśli tam wszystkie swoje majątki. Szlachta pozamykała bramy domostw, a służbie rozdała broń. W mieście ogłoszono stan wyjątkowy.

Aufschnaiter, zobaczywszy kolumny wojska maszerujące w kierunku klasztoru Sera, czym prędzej opuścił swoją wiejską posiadłość i wrócił spiesźnie do miasta. Natychmiast przystąpiliśmy wspólnie do zorganizowania obrony domu Caronga.

Znacznie bardziej niż przewrotu rządowego obawiano się, że tysiące mnichów z klasztoru Sera wylegnie na ulice i zacznie się plądrowanie miasta. Nie dowierzano również oddziałom rządowym, uzbrojonym dość nowocześnie. Wszak nie po raz pierwszy w historii Lhasy zdarzało się coś podobnego...

W napięciu oczekiwano na wyprowadzenie uwięzionego Retinga. Tymczasem został on już dawno potajemnie przewieziony do Potali. Sięgnięto do tego podstępu, aby zmylić zbuntowanych mnichów, którzy planowali akcję uwolnienia Retinga. Oczywiście było, że z

* Jeden z sześciu wielkich kompleksów klasztornych szkoły Gelugpa, położony w pobliżu Lhasy. Zbudowany w XV w. na pow. 12 ha. Żył w nim ponad 5000 mnichów. Po rewolucji kulturalnej wyjątkowo dobrze zachowała się główna świątynia. Obecnie żyje w nim kilkuset mnichów (przyp. tłum)

chwilą schwywania ich przywódcy sprawę właściwie już przegrali. Jednakże powodowani fanatyzmem, wciąż nie dawali za wygraną i doszło do ostrej strzelaniny. Opór został złamany dopiero wtedy, gdy kilka dni później z rozkazu rządu ostrzelano klasztor z haubic i kilka domów legło w gruzach. Armii udało się pokonać mnichów i do miasta powoli wrócił spokój.

Jeszcze wiele tygodni toczyło się postępowanie przeciwko winnym i na porządku dziennym były kary chłosty i wygnania.

Kule świszczały jeszcze nad miastem, a już lotem błyskawicy rozeszła się wieść o śmierci zbuntowanego regenta. Przebąkiwano o najróżniejszych przyczynach zgonu. Wielu podejrzewało polityczne morderstwo, ale większość ludzi wierzyła, że jako lamie, udało mu się dostać na tamten świat za sprawą własnej siły woli i koncentracji. Nagle w całym mieście zaczęto mówić o nieprawdopodobnych cudach, jakich miał dokonać, i jego nadnaturalnych mocach. Podobno kiedyś podczas spaceru zalepił gołymi rękoma gliniany garnek z kipiącą zupą, należący do jakiegoś pielgrzyma, tak jakby glina była jeszcze miękka i plastyczna.

Rząd odmawiał wszelkich komentarzy, nie potwierdzał ani nie zaprzeczał pogłoskom. Prawdopodobnie tylko kilka osób wiedziało, co naprawdę się zdarzyło. Zbuntowany regent miał także wrogów z okresu swych poprzednich rządów. Kiedyś rozkazał wykluć oczy pewnemu ministrowi, podejrzanemu o knucie spisku – więc mogła to być zemsta. Jak to zwykle bywa po kryzysach, cierpieli także niewinni i wielu dawnych popleczników Retinga utraciło stanowiska. Jeden z przywódców jego partii popełnił nawet samobójstwo. Był to jedyny przypadek samobójstwa, o jakim słyszałem w czasie mojego pobytu w Tybecie, ponieważ jest ono niezgodne z poglądami religijnymi Tybetańczyków i tylko ktoś wyjątkowo zdesperowany decyduje się targnąć na swoje życie. Rząd także nie ukarałby tego mężczyzny karą śmierci i decyzja o ostrzale klasztoru Sera nie przyszła ministrom łatwo, ale być może ów mężczyzna obawiał się kary okaleczenia ciała, jaką dawnej stosowano, i chciał uniknąć takiego losu.

Ponieważ w więzieniach zabrakło miejsc, na szlachcie spoczywał obowiązek przyjęcia pod swój dach winnych i utrzymywania ich. Wkrótce z tych powodów niemal w każdym domu spotykało się skazańców zakutych w kajdany, z sztykami w drewnianych dybach. Dopiero w dniu oficjalnego objęcia władzy przez Dalajlamę więźniowie polityczni i kryminaliści zostali ułaskawieni.

Większość mnichów z klasztoru Sera zbiegła do Chin. Bardzo często w rewoltach zdarzających się w Tybecie maczali palce Chińczycy. Majątki buntowników skonfiskowano i wystawiono na publiczną licytację. Domy i pawilony należące do Retinga Rimpocze rozebrano, a jego wspaniałe drzewa owocowe i wszystkie ogrody poprzysadzano w inne miejsca. Klasztor oddano na pastwę żołnierzom, którzy splądrowali go doszczętnie i jeszcze wiele tygodni później na bazarach pojawiały się złote naczynia, brokaty i inne wartościowe przedmioty. Aufschnaiter otrzymał od rządu konia ze stajni Retinga, który ze względu na rozległość terenu jego pracy bardzo mu się przydał. Dotychczas musiał stale wynajmować

wierzchowca.

Ze sprzedaży majątku Retinga do rządowej kasy wpłynęło kilka milionów rupii. Setki ładunków angielskiej wełny, osiemset ubiorów z jedwabi i brokatów – to tylko niewielka częśćka jego mienia, świadcząca o tym, jak bogatym można zostać w Tybecie. Reting pochodził z ludu i jego kariera zaczęła się z chwilą, gdy będąc jeszcze małym chłopcem, został rozpoznany jako inkarnacja.

Święta religijne poświęcone Buddzie

Byłem bardzo rad, gdy niepokoje przebrzmiały i miasto wracało powoli do swego normalnego życia. Czwarty miesiąc tybetańskiego kalendarza, uchodzący za święty miesiąc narodzin i śmierci Buddy, i religijne celebracje związane z tymi rocznicami usunęły wszystkie ślady po niedawnej rebelii. Do Lhasy znowu napływały tysiące pielgrzymów. Po Lingkhorze przeciągały procesje, a wierni własnym ciałem odmierzali jego ośmiokilometrowy krąg. Potrzeba na to jedenastu dni i wykonania około pięciuset pokłonów na zakurzonej ulicy lub skalistej ścieżce Czagpori. Wierni padają na kolana, wyciągają swe ciało na całą jego długość, dotykają ziemi czołem i wyciągniętymi do przodu rękoma, wstają, i znowu padają, powtarzając: *Om mani padme hum*. Mantra ta jest na wargach wszystkich bez wyjątku, niezależnie od stanu i rangi. Siostra dalajlamy klęczy obok prostej nomadki i, chociaż różnią się ubiorami, pobożność ich jest równie żarliwa. Dopiero pod koniec dnia, po skończonych rytuałach, zauważa się ogromne różnice. Na arystokratów czeka służba, konie i obfity posiłek. Nomadka przewiązuje mocniej suknię i układa się do snu na ulicy, aby rano z tego samego miejsca zacząć znowu swoją drogę. Pokłony kontynuuje się dokładnie od miejsca, w którym poprzedniego dnia się je przerwało. Fanatyczni pątnicy przemierzają Lingkhor szerokością własnego ciała, po to, aby ani na chwilę nie odwrócić twarzy od Świętego Miasta. Ale wśród pobożnych są też „profesjonaliści”, którzy te pokutne czynności wykonują „na zlecenie”, za majątnych ludzi, i żyją wyłącznie z jałmużny. „Zarabiają” oni tak wiele, że przynajmniej raz w roku stać ich na złożenie bogatej ofiary na rzecz jakiegoś klasztoru.

Poznałem pewnego starego mężczyznę, który od czterdziestu lat codziennie wykonywał pokłony, nurzając się w prochu na Lingkhorze, i znany był w klasztorze Sera ze swej szczodrości. Miał on wielu „klientów” wśród bogatych arystokratów i przy wykonywaniu pokłonów stosował specjalną metodę. Na piersi zakładał skórzany fartuch, na dłonie rękawiczki podkute żelazem i dosłownie rzucał się w proch ulicy, wykorzystując dynamikę takiego „skoku”, aby przesunąć ciało jak najdalej do przodu z miejsca, w którym zakończył poprzedni pokłon.

Piętnastego dnia czwartego miesiąca, w rocznicę śmierci Buddy, ruch na Lingkhorze osiągnął szczyt. Wzdłuż drogi pielgrzymi porozstawiali namioty, a żebrzący mnisi

pozajmowali najdogodniejsze pozycje. Gdy rozbłysły pierwsze promienie słońca, ruszyła procesja dostojników – wokół Lingkhoru modląc się przeciągają powoli przed szpalerem widzów wszyscy członkowie rządu, z wyjątkiem dalajlamy i regenta. Tuż za nimi postępuje służba z ciężkimi workami i rozdziela wśród tłumu miedziane monety. Żaden żebrak nie odejdzie z pustymi rękami. Miedziaki otrzymują nie tylko naprawdę potrzebujący. Widziałem jak rękę wyciągało wielu naszych robotników ziemnych i rzemieślników i wyglądało na to, że nikt z blisko pięciu tysięcy otrzymujących datki nie czuł się tym skrzepowany. Rozdzielanie jałmużny trwa cały dzień. Dary rozdają wszyscy majątni dobroczyńcy, włącznie z Nepalczykami, Muzułmanami i Chińczykami. Poza pieniędzmi ofiarowuje się wszelkie jedzenie i *campe*.

W taki dzień na Lingkhorze miałby się czym cieszyć etnolog; obserwować tu można przekrój całego tybetańskiego społeczeństwa. Widać też ogromną przepaść pomiędzy jedyną klasą posiadaczy – arystokracją, i ludem.

Jak to zazwyczaj bywa, podczas takich uroczystości sprytni ludzie robią wszystko, aby dobrze zarobić. Jakiś mężczyzna powiesił na murze ogrodu kolorowe tablice przedstawiające różne sceny i monotonnym głosem śpiewał stosowne opowiastki. Ciasno zbity tłum przysłuchiwał się w milczeniu. Była to powieść o bohaterskim Gesarze*, który własną ręką położył trupem tysiąc wrogów. Gdy opowieść się kończy, każdy rzuca swój grosik. Słuchacze się zmieniają, a trubadur zaczyna snuć opowieść od nowa. Albo zaczyna całkiem nową historię o przeszłości Tybetu. Zupełnie jak dawniej nasi śpiewacy uliczni, opiewający zbrodnie na jarmarkach.

Inni zarabiają pieniądze rzeźbieniem w kamieniu formuł modlitewnych. Wierni chętnie kupują takie kamienie i układają z nich długie rzędy murków mani*, które porozrzucane są po całym Tybecie. Wiele z nich liczy już setki lat, są poprzerastane mchem i trawą. Często wmurowuje się w ich ściany młynki modlitewne. Z wierzchu murki pokrywa się tabliczkami łupkowymi lub większymi kamieniami z inskrypcjami czy wizerunkami buddów. Napotykając na drodze taki murek, należy obejść go z lewej strony i tylko wyznawcy religii bon przechodzą obok, mając go po swej lewej ręce. Murki te mają podobne znaczenie jak u nas droga krzyżowa, lub krzyż czy obraz w miejscu wypadku i śmierci. Tu i tam jakiś majątny człowiek zakłada nowe murki mani, aby przez tę ofiarę zasłużyć na swe pomyślniejsze odrodzenie.

Podczas tego świętego miesiąca surowo zabrania się zabijania wszelkiego zwierzęcia*. Dlatego brak jest świeżego mięsa i nie urządza się przyjęć. Życie towarzyskie zamiera, bo nie można przecież podjąć gości ot tak, jakąś zwykłą potrawą.

* Legendarny bohater eposu tybetańskiego, poważany szczególnie we wschodnim Tybecie. Dharmapala – „Strażnik nauki”, broniący wiernych i święte miejsca przed negatywnymi wpływami (przyp. red.)

* Kamienie nazywają się mani, bo najczęściej wyryta jest na nich mantra *om mani peme hung* (przyp. tłum.)

* Według buddystów skutki czynów popełnionych w tym miesiącu wzrastają dziesięć milionów razy (przyp. tłum.)

Ale prosty lud umie sobie znaleźć przyjemności. Najbardziej radosna część dnia rozgrywa się na północnym zboczu Potali. Jest tam duży staw z małą wyspą pośrodku, na której stoi świątynia węzów. Ulubioną rozrywką jest przepłynięcie się – za parę groszy – na wysepkę łódką ze skóry jaka. Potem można zrobić piknik na brzegu, poleżeć w trawie i nacieszyć się letnim słońcem.

Gdy święty miesiąc się skończył, zaczęły się znowu wielkie przyjęcia. W lecie trwają one często całe dni i tygodnie, w pięknych ogrodach lub nad brzegiem rzeki, a dobre towarzystwo prześciga się nawzajem w wystawnych ucztach, tańcach i grach. Dziwiłem się często, że arystokratów nie nudzą te nieustanne uczty i zaproszenia.

Pierwsze zlecenia rządowe

Rząd zlecił nam wykonanie dokładnego planu Lhasy. Aufschnaiter przerwał swoje prace na obrzeżach miasta i razem przystąpiliśmy do pomiarów. Dotychczas nikt takiego planu nie robił – rząd po raz pierwszy polecił wykonać pomiary miasta. Wprawdzie w ubiegłym wieku indyjscy tajni agenci przywieźli do swojej ojczyzny szkice Lhasy, ale były one rysowane z pamięci i przez to niedokładne. Teodolit Caronga bardzo nam się teraz przydał; uzbrojeni w taśmy pomiarowe, chodziliśmy po wszystkich zaułkach Świętego Miasta. Pracować mogliśmy jedynie wczesnym rankiem, bo gdy na ulicach zaczynało tętnić życie, natychmiast otaczały nas gromady ciekawskich. Ponieważ sami nie byliśmy w stanie obronić się przed gapiami, przydzielono nam dwóch policjantów. Mimo to, co chwila i tak ktoś próbował zaglądać do obiektywu równocześnie z Aufschnaiterem, tyle że z drugiej strony. Wędrowanie w przenikliwym chłodziu poranka po brudnych, zanieczyszczonych odchodami ulicach wcale nie należało do przyjemności.

Sporządzenie niezbędnych pomiarów i szkiców zajęło nam całą zimę. Musieliśmy też wspinać się na dachy, aby Aufschnaiter mógł nanieść na plan budynki, a ja zebrałem ponad tysiąc nazw domów, wszystkie w oryginalnej pisowni. Gdy kopie dla dalajlamy i głównych urzędów były gotowe, w Lhasie narodziła się nowa gra towarzyska: wszyscy uczyli się odczytywać plan miasta, a odnalezienie własnego domu dostarczało wiele radości.

W tym czasie rząd nosił się już z zamiarem skanalizowania i zelektryfikowania Lhasy. Do realizacji tego projektu zaangażowano także nas. Ani ja, ani Aufschnaiter nie mieliśmy przygotowania technicznego do wykonania takiego zadania, ale mój kolega, jako dyplomowany inżynier rolnictwa, posiadał znakomite umiejętności matematyczne, a po odpowiedzi na szczegółowe pytania sięgaliśmy do odpowiednich podręczników. W tym roku rząd wypłacał już Aufschnaiterowi miesięczną pensję w rupiach, a ja uzyskałem stałą posadę na początku 1948 roku. Do dziś jestem bardzo dumny z poborów, które wówczas otrzymywałem.

Tymczasem nastało lato. Pewnego razu, kilka miesięcy po audyencji u Dalajlamy, wezwano mnie w środku nocy do Norbulingki. Wezbrane wody Kyiczu zagrażały pałacowi! Podczas monsunu spokojna rzeka zamienia się błyskawicznie w rwący, miejscami niemal na

dwa kilometry szeroki nurt. Gdy wyszedłem na dwór, stare umocnienia już się chwiały. W potokach deszczu przy świetle latarek natychmiast przystąpiliśmy z żołnierzami gwardii do usypywania nowych wałów. Starą groblę udało nam się umocnić na tyle, że wytrzymała do rana. Nazajutrz poleciłem wykupić wszystkie worki na bazarze i wypełnić je gliną i ceglami z trawy. Pięciuset kulisów i żołnierzy pracowało w nadzwyczajnym – jak dla nich – tempie i zdążyliśmy uporać się z pracą, zanim rzeka przerwała stare wały.

Równocześnie ze mną wezwano wyrocznię z Gadong i mnich ten, zakwaterowany na ten czas w jednym z pawilonów Norbulingki, został moim sąsiadem. Obydwaj mieliśmy to samo zadanie – poskromić powódź! Dobrze jednak, że nie powierzono wyłącznie wyroczni, ale zaangażowano też tysiące rąk do pracy. W czasie gdy my sypaliśmy na groblę ostatnie łopaty ziemi, na brzegu rzeki wyrocznia wchodziła w trans i rozpoczynała swój taniec. Jeszcze tego samego dnia przestało lać, powódź ustąpiła i obydwoj zaszliśmy na pochwałę Dalajlamy.

Później zwrócono się do mnie z zapytaniem, czy mógłbym coś przedsięwziąć, aby na stałe zapobiec niebezpieczeństwu powodzi zagrażającemu rok w rok Norbulingce. Natychmiast przystałem na tę propozycję, ponieważ z pomocą Aufschnaitera byłem gotów podjąć się fachowego przeprowadzenia regulacji rzeki. Dawno już zorientowałem się, że główny błąd Tybetańczyków polega na budowaniu wałów ochronnych o pionowych ścianach.

Prace rozpoczęliśmy już wczesną wiosną 1948 roku, ponieważ chciałem ukończyć zadanie przed nadejściem monsunu. Przydzielono mi nieprawdopodobną ilość robotników – pięciuset żołnierzy i tysiąc kulisów. W trakcie budowy wprowadziłem jeszcze jedną innowację. Udało mi się przekonać rząd, że praca będzie postępować znacznie szybciej, jeżeli każdy robotnik zamiast wykonywać pracę pańszczyźnianą otrzyma codzienną zapłatę. Dzięki temu na budowie panował zawsze dobry nastrój. Rzecz jasna wydajności pracy nie można było mierzyć europejską miarą. Jedną łopatę obsługiwało często trzech ludzi: dwaj ciągnęli za umocowany do styliska sznurek, a trzeci ją wbijał. Tutejsi ludzie są znacznie słabsi od naszych robotników i zawsze otwierali usta ze zdumienia, gdy zniecierpliwiony sam chwytałem za łopatę. I w dodatku jeszcze te ciągle przerwy i pauzy! Ktoś krzyczy, bo zobaczył na łopacie robaka: wszyscy rzucają pracę, ratują robaka i przenoszą go w bezpieczne miejsce!

Przy budowie grobli pracowało także wiele kobiet i wcale nie ustępowały one mężczyznom. Przez cały dzień dźwigały na plecach kosze wypełnione ziemią, śpiewając monotonne melodie dla utrzymania równego kroku. Tutejsi żołnierze – jak to na całym świecie bywa – to wielcy podrywacze i nieustannie przekomarzają się z kobietami. Na budowie bardzo często pracowało nawet więcej kobiet niż mężczyzn. Aufschnaiter zatrudniał przez pewien czas trzysta Tybetanek i garstkę mężczyzn. Skutki tego, że jedna piąta mężczyzn przebywa w klasztorach, wyraźnie dają się odczuć.

Niska wydajność pracy Tybetańczyków jest z pewnością spowodowana ich ubogą dietą. Campa, herbata z masłem i rzodkiew z papryką stanowią podstawowe pożywienie prostego

mężczyzny. Na budowie przez cały dzień kipi kocioł z maślaną herbatą i każdy otrzymuje należną mu porcję, a w południe jeszcze zupeł. Dziwiło mnie, że pomimo tak skromnego wyżywienia, robotnicy byli zadowoleni i pogodni. Po prostu są do takich warunków przyzwyczajeni – mięso jest drogie i w domu także rzadko je widzą.

Oprócz żołnierzy i kulisów przydzielono mi czterdzieści łodzi ze skóry jaków. Przewoźnicy cieszą się niewielkim szacunkiem, ponieważ – podobnie jak garbarze – stykają się ze skórą zwierząt, sprzeniewierzając się tym samym naukom Buddy. W pamięci utkwiło mi pewne drastyczne zdarzenie, dobrze obrazujące jak są tutaj traktowani:

Pewnego razu jeden z dalajlamów podróżując do klasztoru Samye przejechał przez tę samą przełęcz, której stale używali przewoźnicy w drodze zejściowej do rzeki. Teraz, poprzez kontakt z Królem-Bogiem przełęcz stała się święta i żaden z przewoźników nie mógł jej już przekraczać. Odtąd musieli oni, dźwigając łodzie na plecach, chodzić inną, znacznie wyżej położoną i uciążliwą drogą; przez co tracili mnóstwo czasu. Łodzie ważą ponad sto kilogramów, przełęcz sięgają ponad pięciu tysięcy metrów.

Jakże wielką rolę odgrywa w tym kraju religia, skoro jej zasady tak zdecydowanie mogą zmieniać nawet codzienne nawyki! Widok ludzi przeciągających z łodziami na plecach niezmiennie mnie poruszał. Powoli, rytmicznym krokiem posuwali się w górę rzeki, bo wiosłowanie pod prąd było niepodobieństwem. Każdy przewoźnik ma jedną owcę, która z całym dobytkiem swego pana na grzbiecie towarzyszy mu truchtem, wierna jak pies. Gdy łódź jest już spuszczone na wodę, wskakuje do niej sama, jak wytresowana.

Na łodziach, które mi przydzielono do budowy grobli, przewożono granitowe głazy z położonego w górze rzeki kamieniołomu. Jak na takie łodzie – niełatwe to zadanie. Najpierw, przed załadowaniem kamieni, trzeba było umocnić burty deskami. Ale przewoźnicy należą do najsilniejszych ludzi w kraju i są też dobrze opłacani. Bynajmniej nie są uniżeni, jak można by się tego spodziewać po ich poślednim miejscu w hierarchii społecznej. Tworzą własną gildię i są z tego dumni.

Zabawnym trafem jednym z moich współpracowników został „wysoki bonpo” z Tradün. Co wieczór wypłacał robotnikom należność za przepracowany dzień. Obydwaj dobrze zachowaliśmy siebie w pamięci i teraz często wspominaliśmy te jakże ciężkie dla mnie czasy. Dzisiaj mogłem się z tego śmiać. Wówczas bonpo odbywał inspekcję, podróżując z dwudziestoma sługami, i okazał nam bardzo dużo uprzejmości i życzliwości. Któżby pomyślał, że kiedyś będziemy razem pracować i że będę nawet zajmować nadrzędne stanowisko! Niekiedy trudno mi było uwierzyć, że od tego czasu minęły już cztery lata. Jakże mocno wchłonął mnie ten kraj! Często przyłapywałem się na robieniu typowych dla Tybetańczyków gestów, które widywałem setki razy w ciągu dnia i powtarzałem je już zupełnie bezwiednie.

Ponieważ moja praca polegała na pielęgnowaniu ogrodów Jego Świątobliwości, zwierchnikami moimi byli mnisi najwyższych rang a interesowali się nią także członkowie

rządu. Często nadjeżdżał konno cały gabinet z sekretarzami i służbą, posyłano po Aufschnaitera i obdarowywano nas masą komplementów, jedwabnymi szarfami i pieniędzmi. Dary pieniężne otrzymywał także każdy robotnik, a reszta dnia była wówczas wolna od pracy.

Pod koniec czerwca grobla była gotowa. W samą porę, bo wkrótce zaczęły się pierwsze powodzie. Tego roku wezbrane wody podeszły bardzo wysoko, ale grobla wytrzymała. Na obszarze zagrożonym powodzią posadzono wierzby, a ich świeża zieleń jeszcze bardziej zdobiła otoczenie letniego pałacu.

Prace i zabawy w „Ogrodzie Klejnotów”

W okresie, gdy pielęgnowałem ogrody Norbulingki, dygnitarze duchowni zapraszali mnie często na kolację i często też u nich nocowałem. Byłem chyba pierwszym Europejczykiem, któremu pozwolono mieszkać w Potali i letniej rezydencji Króla-Boga. Mogłem zatem podziwiać wspaniały park, drzewa iglaste i krzewy sprowadzone ze wszystkich zakątków kraju, wspaniałe jabłka, gruszki i brzoskwinie przeznaczone na stół Dalajlamy. Ogrodnicy pielęgnowali rabaty i piękne drzewa, utrzymywali też w należytym stanie dróżki spacerowe. Do cięższych prac sprowadzano żołnierzy Gwardii Przybocznej.

Park otoczony jest wysokim murem, ale zwiedzać go może każdy. Wprawdzie u bram stoją strażę, jednak pilnują one tylko, by zwiedzający odziani byli w tradycyjny tybetański strój. Ktoś w europejskim kapeluszu na głowie lub europejskich butach nie ma wstępu do parku i tylko mnie traktowano wyjątkowo. Jednak w okresie świąt celebrowanych w ogrodzie także ja, mimo upału, musiałem podporządkować się tej regule i tego się pocilem w podbitym futrem kapeluszu. Straże stojące przy bramach prezentują broń, oddając honory wszystkim arystokratom od czwartej rangi w górę, a i ja dostąpiłem tego zaszczytu.

Pośrodku ogrodu napotyka się znowu wysoki mur, tym razem żółty, który odgradza prywatny ogród Żyjącego Buddy. Prowadzą doń dwie bramy silnie strzeżone przez żołnierzy. Przekraczać je mogą wyłącznie opaci i osobiści opiekunowie młodocianego Boga. Złote dachy świątyń połyskują tajemniczo poprzez listowie i krzyk oswojonego pawia jest jedynym dźwiękiem, który dochodzi do zewnętrznego świata. Nikt nie wie, co się dzieje w tym najbardziej świętym miejscu. Nawet ministrowie gabinetu nie mają tam wstępu, a dla tybetańskiego ludu mur ten kryje mistyczną tajemnicę.

Już sam ten żółty mur jest celem wielu pielgrzymów, którzy modlą się okrążając go w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. Przy murze co kawałek ustawiono psie budy i gdy tylko ktoś podejdzie zbyt blisko, ich mieszkańcy o długiej sierści zaczynają wściekle ujadać. Psy są wprawdzie na łańcuchach z mocnych powrozów, skręconych z wełny jaków, ale ochryple szczekanie stanowi pewien dysonans w tym świecie pokoju. Później, gdy otwartą się dla mnie nawet bramy żółtego muru, trochę się z tymi srogimi stworzeniami zaprzyjaźniłem, ale tylko w tej mierze, w jakiej to w ogóle było możliwe.

Cała Lhasa z niecierpliwością oczekiwała na letnie występy teatralne, które odbywają się na olbrzymim kamiennym podium. Licznie przybyli widzowie pchają się, a gdy nie uda się już wcisnąć w pobliże sceny, można zasiąść w cieniu wspaniałego parku. Różne trupy teatralne popisują się przez całe siedem dni, od wschodu do zachodu słońca. Aktorami są wyłącznie mężczyźni, ponieważ tematyka jest ściśle religijna. Wszyscy wywodzą się z ludu i z rozmaitych zawodów. Po festiwalu wracają do swojej pracy i tylko nielicznym udaje się osiągnąć taką sławę, że mogą z niej żyć.

Rokrocznie wystawia się te same sztuki. Role recytuje się śpiewnie, co przypomina naszą operę, orkiestra składa się z bębnow i czyneli i służy zasadniczo do wyznaczania rytmu wstawek tanecznych. Operowy przebieg dramatu przerywają tylko komicy, wygłaszając swoje kwestie. Wspaniałe, cenne kostiumy są własnością rządu i przechowuje się je zawsze w letniej rezydencji.

Jedną z grup teatralnych, Gyumalagma, słynie ze swych parodii. Były to jedyne występy, które i mnie doskonale rozbawiły. Co chwila mogłem podziwiać cywilną odwagę tej trupy. Repertuar świadczył o znakomitym poczuciu humoru i wigorze tego narodu, który stać było na to, aby parodiować własne słabości, ba – nawet instytucje klasztorne, i śmiać się z tego serdecznie. Na przykład, gdy na scenie ukazuje się wyrocznia, tańczy swój ekstatyczny taniec i wreszcie nieprzytomna pada na ziemię, widownia trzęsie się ze śmiechu. Mężczyźni przebrani za mniszki w przekomiczny sposób parodiują w pantomimie modlące się kobiety, które za pieniądze udają pobożność. A kiedy na scenę wkracza jeszcze mnich i mniszki zaczynają go kokietować, wybuchom śmiechu nie ma końca. Nawet najbardziej poważni mnisi śmieją się do łez.

Zza muślinowej kotary ogląda występy także Dalajlama, wprawdzie znajduje się w pawilonie ogrodowym za żółtym murem, ale scenę widać z niego doskonale. Po obu stronach podium zajmują miejsca urzędnicy, w namiotach ustawionych ściśle według rangi ich właścicieli. W południe cała administracja defiluje przed oknami swego pana, udając się na wspólny obiad, wydawany z kuchni dalajlamy. Później następują wzajemne zaprosiny do domów bądź urzędów i we własnym gronie świętuje się dalej. Tymczasem na scenie pojawiają się bez przerwy coraz to nowe sztuki i aktorzy i wielu widzów wcale nie ruszają się z miejsca – śledząc akcję od początku do końca, z otwartymi ustami.

Każdy dzień rozpoczyna i kończy parada wszystkich stacjonujących w Lhasie oddziałów wojska. Przeciągają przez ogród z własną orkiestrą, prezentując broń przed władcą „krajów lamów”. Wieczorna parada jest sygnałem do nagradzania aktorów. Teraz spada na nich deszcz białych szarf, w których zawinięto pieniądze. Ze spichrzów władcy wynosi się worki campy, herbaty oraz masło, a przedstawiciel dalajlamy wręcza każdemu artyście białą szarfę i kopertę z gotówką. Gdy święto w Letnim Ogrodzie ma się ku końcowi, aktorów z ich przedstawieniami zapraszają do siebie bogaci arystokraci i klasztory. Artyści wystawiają swoje dramaty w różnych miejscach jeszcze przez cały następny miesiąc, oblegani tak

tłumnie przez publiczność, że często nie obywa się bez interwencji policji.

We własnym mieszkaniu – prawdziwy komfort

W tym roku w moim prywatnym życiu wszystko odmieniło się na dobre i wiodło mi się coraz lepiej. Wreszcie mogłem być panem we własnym domu. Otrzymałem piękne mieszkanie, w którym mogłem żyć całkiem nieskrępowanie. Nigdy nie zapomniałem, jak wiele zawdzięczam Carongowi, który otworzył dla mnie swój dom i pomógł mi zapuścić korzenie w Lhasie. Odkąd zacząłem pracować, płaciłem mu za mieszkanie. Od niektórych arystokratów, którzy czasowo obejmowali stanowiska na prowincji, otrzymałem kilka propozycji zajęcia się ich domem i ogrodem oraz zarządzania ich służbą. To było bardzo obiecujące i w tej sytuacji mogłem sobie wreszcie pozwolić na prowadzenie własnego domu!

Wybrałem jeden z domów ministra spraw zagranicznych Surkhanga, jako że był to w warunkach tybetańskich jeden z najbardziej nowoczesnych budynków Lhasy. Miał solidne ściany, a we frontowej było wiele okien z małymi szybami. Na moje potrzeby był jednak zbyt obszerny i dlatego zamieszkałem tylko w kilku pokojach, a resztę poleciłem zamknąć. Sypialnię urządziłem sobie w pokoju oświetlanym o wschodzie promieniami słońca. Tuż przy łóżku, w zasięgu ręki, postawiłem radioodbiornik, a na ścianach powiesiłem zdjęcia Alp z jakiegoś szwajcarskiego kalendarza, który niewiadomym sposobem znalazł się w Lhasie. Możliwe, że w przesyłce ze szwajcarskimi zegarkami. Rzeźbione i barwnie malowane szafy i skrzynie w moim pokoju podobne były do naszych mebli wiejskich. W lecie należało dobrze zabezpieczyć ubrania, ponieważ mole i wszelkie robactwo są prawdziwą plagą w Lhasie. Wszystkie podłogi w domu były kamienne i mój służący był nadzwyczaj dumny, gdy lśniły jak lustro. Wcierał w posadzki воск i każdego ranka tańczył w wełnianych skarpetach po wszystkich pokojach – praca zatem była dla niego równocześnie przyjemnością. Wszędzie porozkładano kolorowe dywany. Sufity są tu przeważnie wsparte na kolumnach i dlatego dywany mają niewielkie rozmiary. W Tybecie żyje wielu doskonałych tkaczy, którzy – wzywani do szlacheckich domów – tkają na miejscu dywany odpowiedniej wielkości. W czasie pracy siedzą na podłodze, mając przed sobą drewniane krosna, i z ręcznie uprzedzonych włókien zawiązują węzłki w tradycyjne wzory. Spod ich zręcznych palców wychodzą smoki, pawie, kwiaty i rozmaite motywy. Takie dywany mogą przetrwać całe pokolenia. Ich osnowa jest niezwykle mocna, a barwniki – sporządzane z kory drzew

rosnących w Bhutanie, z zielonych łupin orzechów i wyciągów roślinnych – bardzo trwałe.

Do salonu zamówiłem sobie biurko i dużą deskę kreślarską. O ile w rzeźbieniu i wykonywaniu mebli według starych wzorów stolarze byli bardzo zręczni, to wobec nowego zadania okazali się zupełnie bezradni. Twórcza inicjatywa we wszystkich rzemiosłach jest tu zupełnie zaniedbywana i ani szkoły, ani prywatne warsztaty nie sprzyjały twórczym eksperymentom.

W salonie znajdował się ołtarz domowy, o który z całą starannością dbał mój służący. Codziennie napełniał świeżą wodą siedem miseczek ofiarnych, a płomycek lampki maślanej nigdy nie wygasał. Żyłem w nieustannej obawie przed włamaniem, ponieważ posążki bóstw zdobne były w wysadzone turkusami korony ze szczerego złota. Na szczęście moja służba była bardzo odpowiedzialna i przez te wszystkie lata nie przydarzyło się nic złego.

Długo łamałem sobie głowę nad rozwiązaniem problemu kąpeli i prysznicy. Wreszcie, wierząc dziurki po bokach dużego kanistra na benzynę, zmajstrowałem zbiornik na wodę i prysznic, po czym powiesiłem go na ścianie w pomieszczeniu przylegającym do mojej sypialni. Ponieważ miało ono kamienną posadzkę, zrobienie odpływu wody nie przedstawiało większego problemu: po prostu przebiłem w ścianie niewielką dziurę, co z uwagi na tutejszą metodę murowania bez cementu poszło mi dość łatwo. Ta prymitywna łazienka przyciągała wielu moich przyjaciół, bo kąpeli zażywali oni w najlepszym razie w małej cynowej balii lub w zimnej rzece. Płaski dach mojego domu, z kamienną obmurówką, byłby idealnym miejscem do opalania się. Ale tutaj nikt nie zna czegoś podobnego i nikt by tego nie zrozumiał. Nikt nie chce być opalony, a ilustracje w zachodnich czasopismach, przedstawiające opalających się ludzi, wywołują niemałą konsternację...

Podobnie jak na wszystkich dachach w mieście, i na moim tarasie w rogu zatknięto na maszcie flagę modlitewną. Mnie maszt posłużył dodatkowo do zamocowania anteny radiowej. W każdym domu znajdują się też gliniane kadzielnice do palenia wonnych ziół i wiele innych „przynoszących szczęście” przedmiotów. Zawsze dokładałem wszelkich starań, aby wszystko było w porządku, aby niczego nie zaniedbać i nie sprzeniewierzyć się tutejszym zwyczajom.

Wkrótce ten dom stał się moim prawdziwym domem i bardzo się cieszyłem wracając do niego po pracy lub po skończonym przyjęciu. Mój służący Nyima („słońce”) czekał już na mnie z gorącą wodą i herbatą, wszędzie lśniło czystością, było przytulnie i spokojnie. Jedyne problem miałem z zapewnieniem sobie samotności, ponieważ służący przebywają tutaj zawsze w pobliżu lub w zasięgu głosu swego pana i wchodzi co chwila bez wezwania, aby dolać herbaty. Wprawdzie Nyima starał się respektować moje życzenia, ale był bardzo do mnie przywiązany. Wieczorami stale wystawał pod drzwiami gospodarzy, którym składałem wizytę, chociaż wyraźnie kazałem mu, by szedł spać. Obawiał się, że mogą na mnie napaść, gdy będę wracał do domu i stał w pogotowiu z rewolwerem i mieczem, gotów oddać za mnie życie. Jego oddanie było rozbrajające.

Nyimie pozwolono mieszkać z żoną i dziećmi i mogłem się przekonać, jak bardzo kochają swoje dzieci także prości ludzie. Gdy któreś zachorowało, nie szczędzili pieniędzy, aby wezwać najlepszego lamę.

Ja także robiłem wszystko, aby moja służba była zdrowa, ponieważ chciałem widzieć wokół siebie zadowolone twarze. Miałem możliwość szczepienia ich i leczenia w indyjskiej misji, która bardzo chętnie pomagała, ale wymagało to sporo trudu, bo Tybetańczycy lekceważą zazwyczaj choroby dorosłych.

Poza osobistym służącym, którego miesięczne wynagrodzenie wynosiło około trzydziestu marek, rząd przydzielił mi jednego żołnierza jako gońca oraz parobka do koni. Odkąd zacząłem pracować w Norbulingce mogłem stale jeździć na jednym z wierzchowców ze stajni Dalajlamy. Początkowo miał to być codziennie inny koń, ponieważ koniuszy musiał bardzo uważać, aby ich nie przemęczać. W sytuacji, gdyby któryś z wierzchowców stracił na wadze – koniuszemu groziło natychmiastowe zwolnienie ze służby. Dla mnie jednak te ciągłe zmiany konia były dość nieprzyjemne. Zwierzęta, przyzwyczajone do spokojnego życia na pięknych łąkach Norbulingki, płoszyły się co chwila w wąskich i ruchliwych ulicach miasta. W końcu oddano do mojej dyspozycji trzy konie i pozwolono mi dosiadać każdego z nich przez cały tydzień. Dzięki temu mogliśmy się trochę do siebie przyzwyczaić. Wierzchowce – jak wszelka własność dalajlamy – miały żółtą uprząż. Teoretycznie mógłbym na tych koniach noszących barwy Boskiego Króla wjechać aż do Potali lub zrobić rundę na Parkhorze o takiej porze, kiedy było to zabronione nawet ministrom.

Stajnia, kuchnia i pomieszczenia dla czeladzi znajdowały się w sąsiednim budynku, w otoczonym wysokim murem ogrodzie. Ten ogród polubiłem najbardziej. Był bardzo duży – posadziłem mnóstwo kwiatów i warzyw, a jeszcze wystarczało miejsca na pole do krykieta i badmintona. Ustawiłem też stół do jakże lubianej przez Tybetańczyków gry w ping-ponga. W niewielkiej szklarence zasadziłem trochę warzyw i już wczesną wiosną miałem na stole smaczną zieleń. Wszyscy goście musieli podziwiać moje grządki, bo bardzo byłem z nich dumny. Często korzystałem też z rad i doświadczeń Mr. Richardsona.

Rano i wieczorem zajmowałem się ogrodem i niebawem mogłem zbierać plony mojej gorliwej pracy. Już pierwszego roku obrodziły mi pięknie pomidory, kalafior, sałata i kapusta. Wszystkie warzywa były olbrzymie i – co zadziwiające – nie utraciły przy tym smaku. Recepta była właściwie bardzo prosta: wystarczyło dbać tylko o to, by korzenie miały dość wilgoci, a suche powietrze i niemal tropikalne słońce stwarzały wspaniałe warunki do wegetacji. Oczywiście podlewanie nie było takie całkiem łatwe, ponieważ w Lhasie brakowało wodociągów i nie można było podlewać wężem. Grządki trzeba więc było formować tak, aby stale ciekła przez nie strużka wody.

W pracach ogrodowych pomagały mi zawsze dwie kobiety, zwłaszcza przy plewieniu, ponieważ chwasty rosną tu równie bujnie jak warzywa. Ale trud opłacił się sowicie. Z powierzchni szesnastu metrów kwadratowych zebrałem dwieście kilogramów pomidorów –

niektóre ważyły po pół kilo! Podobnie było z innymi warzywami. Mimo że lato trwa krótko, wszystkie warzywa znane w Europie można tutaj uprawiać z powodzeniem.

Do Tybetu docierają echa światowej polityki

Wzburzone fale światowej polityki dosięgły także spokojnego życia tybetańskiej stolicy. Wojna domowa^{*} w Chinach zaczęła przybierać niepokojące rozmiary i zaczęto się obawiać, że zamieszki wybuchną także wśród Chińczyków osiadłych w Lhasie. Rząd tybetański postanowił zademonstrować niezależność Tybetu od chińskiej polityki i pewnego dnia zdecydował o wydaleniu przedstawicieli Chin. Nakaz, od którego nie było odwołania, dotyczył około stu osób.

Z typową azjatycką przebiegłością wykorzystano chwilę, kiedy chiński radiooperator właśnie grał w tenisa, i zajęto jego nadajnik. Dowiedziawszy się o nakazie opuszczenia Tybetu, nie miał on już możliwości porozumienia się ze swym rządem. Równocześnie zamknięto na czternaście dni urząd pocztowy i telegraf, a świat obiegła pogłoska o nowej wojnie domowej w Lhasie.

O czymś takim oczywiście nie było mowy. Chińczyków objętych nakazem opuszczenia Tybetu traktowano z wyszukaną uprzejmością, wydano na ich cześć pożegnalne przyjęcie, wymieniono im tybetańskie pieniądze na rupie, po najlepszym kursie, przydzielono bezpłatnie kwatery oraz zwierzęta juczne i ze sztandarami i orkiestrą eskortowano ich aż do indyjskiej granicy. Chińczycy nie bardzo byli w stanie pojąć, o co chodzi, i z ciężkim sercem opuszczali miasto. Większość z nich powróciła do Chin lub na Formozę, kilku skierowało się wprost do Pekinu, gdzie w rządzie zasiadał już Mao Ce-tung.

W ten sposób został wznowiony trwający od stuleci pojedynek pomiędzy Tybetem i Chinami. Wydalenie chińskich dyplomatów czerwone Chiny uznały za afront, a nie za gest neutralności.

W Lhasie wówczas zdawano już sobie jasno sprawę z olbrzymiego zagrożenia niezawisłości Tybetu i jego religii ze strony czerwonych Chin. Przepowiednie wyroczni i rozmaite zjawiska przyrodnicze uzasadniały te obawy. Wielką kometę w roku 1948 interpretowano jako zwiastuna grożącego niebezpieczeństwa, a przypadki rodzenia się wynaturzonych form zwierząt domowych uznawano za zły omen. Ja także miałem bardzo

^{*} Chodzi o III wojnę domową w latach 1946-49, która zakończyła się zwycięstwem Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, niedobitki wojsk Kuomintangu schroniły się na Tajwan (Formozę) (przyp. red.)

poważne obawy, ale wynikały one z całkowicie trzeźwych rozważań. Przyszłość Azji widziałem w czarnych barwach.

W tymże roku Rząd Tybetański wyznaczył czterech wysokich urzędników, którzy mieli wyruszyć w podróż po świecie. Zazdrościłem im, że zawitają także w te strony świata, o których zawsze po cichu marzyłem... Podróż ta była wielkim wydarzeniem w ich życiu. Będą zapewne beztrząsowo zwiedzać szeroki świat i podziwiać wszystkie jego cuda. Z rozmysłem wybrano szczególnie wykształconych i postępowo myślących arystokratów, aby pokazać światu, że w Tybecie nie żyją dzikusy.

Grupie przewodził sekretarz ministerstwa finansów Szakabpa, a pozostałymi uczestnikami tej małej ekspedycji w świat byli mnich Czangkyimpa, Pangdacang, który wzbogacił się na handlu, oraz generał Surkhang, syn ministra spraw zagranicznych z pierwszego małżeństwa. Dwaj ostatni władali trochę angielskim i znali nieco zachodnie zwyczaje. Rząd zatroszczył się o eleganckie ubrania i płaszcze dla nich. Z myślą o przyjęciach oficjalnych wzięli wspaniałe tybetańskie szaty z jedwabiu, ponieważ podróżowali jako delegacja państwowa z paszportami dyplomatycznymi.

Podróż zaczęli od Indii, a stamtąd polecili do Chin, gdzie zatrzymali się nieco dłużej. Następnie pojechali przez Filipiny na Hawaje i do San Francisco. W Ameryce zatrzymywali się w wielu miejscach; podejmowani byli przez mężów stanu, zwiedzili wiele fabryk – zwłaszcza te, w których przerabiano tybetańskie surowce.

Na Europę przewidziano podobny program. Cała podróż trwała niemal dwa lata i za każdym razem nadejście listu od nich wywoływało w Lhasie nie lada sensację, a wiadomości rozchodziły się po mieście lotem błyskawicy. W Ameryce wielkie wrażenie wywarły na nich drapacze chmur, w Europie najbardziej podobał się im Paryż. Wrócili do kraju z nowymi zamówieniami na tybetańską wełnę i olbrzymią ilością prospektów maszyn rolniczych, krosien, maszyn tkackich i przędzalniczych – i wielu innych rzeczy. W ich bagażach znalazł się także rozłożony na części *jeep*. Szofer Dalajlamy XIII zmontował go niebawem i zrobił próbną jazdę po mieście. Ku ogólnemu rozczarowaniu *jeep* się już więcej na ulicach nie pokazał, ponieważ jego przeznaczeniem było napędzanie maszyn w mennicy. Niejeden arystokrata zapragnął zostać posiadaczem takiego auta, ale nie był to jeszcze czas ku temu.

Jednym z powodów wizyty w Stanach Zjednoczonych był zakup sztab złota, które teraz pod silną strażą transportowano do Lhasy.

Czwórce powracających delegatów zgotowano uroczyste powitanie, wydawano przyjęcia i opowiadaniom nie było końca. Poprzednio to ja i Aufschnaiter byliśmy ekspertami od odpowiedzi na pytania o szerokim świecie. Teraz, siedząc w kręgu słuchaczy, prawdopodobnie najbardziej łaknęliśmy informacji o rozwoju wydarzeń na świecie. Czterej delegaci nie mogli się naopowiadać. Z zachwytem rozprawiali o olbrzymich fabrykach, autach i samolotach, o supernowoczesnym statku „Queen Elizabeth”, o wyborach prezydenckich w Ameryce i... oczywiście o intymnych doświadczeniach z białymi kobietami.

W czasie podróży najlepiej się bawili, gdy nikt nie mógł odgadnąć ich pochodzenia. Brano ich za Chińczyków, Birmańczyków, Japończyków i tym podobnych, ale nigdy nikt nie wpadł na to, że są Tybetańczykami.

Ich opowieści obudziły znowu moją dawną tęsknotę za Ojczyzną, bo dotyczyły też tego kawałka świata, który był moim domem. Na początku 1948 roku rozpoczęto repatriację więźniów z indyjskich obozów... Jakże chętnie pojechałbym na kilkumiesięczny urlop do Europy! Jednak na takie kosztowne przedsięwzięcie nie było mnie stać.

Podczas gdy czwórka delegatów z przyjemnością podróżowała po świecie, sytuacja polityczna w Azji uległa wielkim zmianom. Anglia uznała niepodległość Indii, a w całych Chinach władzę zdobyli komuniści. Tymczasem w Tybecie – na razie – wszystko biegło dawnym trybem. W Lhasie ważniejsza od całej światowej polityki była tradycyjna pielgrzymka Dalajlamy do klasztorów Drepung i Sera.

Dalajlama wizytuje klasztory

Przed oficjalnym przejęciem władzy każdy młodociany Król-Bóg zobowiązany jest do złożenia wizyty w klasztorach Drepung i Sera i zdania egzaminu dojrzałości w formie religijnej dysputy. Na to wydarzenie czekała z zapartym tchem cała Lhasa od wielu miesięcy. Orszak Dalajlamy stanowią oczywiście wszyscy arystokraci, a mnisi klasztoru Drepung przygotowali specjalny pałac na przyjęcie Króla-Boga i jego wspaniałej świty.

Uroczysta procesja wije się jak wielki wąż ośmiokilometrową drogą do klasztoru. Szlachta w otoczeniu niezliczonej ilości sług w całym przepychu parady na wspaniałych koniach i tylko władca niesiony jest w palankinie. U wrót klasztoru oczekują już boskiego gościa czterej opaci Drepungu ze wspaniałą świtą, by poprowadzić go do pałacu. Ta wizyta jest najważniejszym wydarzeniem w życiu mnichów tego klasztorowego miasta, ponieważ spośród dziesięciu tysięcy mieszkańców Drepungu z trudem znajdzie się kogoś, kto ma szczęście przeżyć taką wizytę po raz drugi.

W tym dniu ja także podążyłem konno do Drepungu, otrzymawszy od kilku zaprzyjaźnionych mnichów zaproszenie na cały czas trwania uroczystości. Od dawna pragnąłem poznać bliżej chociaż jedno z takich miast-klasztorów. Dotychczas, podobnie jak inni pielgrzymi, mogłem zaledwie rzucić okiem na jego świątynie i ogrody.

Przyjaciele zaprowadzili mnie do jednego z wielu identycznie wyglądających kamiennych domów i wskazali mi spartańskie pomieszczenie. Mnich imieniem Pema, którego czekały niebawem egzaminy końcowe i który miał już swoich uczniów, podjął się roli Cicerone i oprowadzał mnie po mieście, objaśniając jego strukturę i organizację. W naszej kulturze próżno by szukać czegoś podobnego. Za murami tego klasztoru czas jakby zatrzymał się przed tysiącami lat i nic nie wskazywało na to, że jesteśmy w dwudziestym wieku. Budynki o grubych, szarych murach zdają się stać od tysięcy lat, a obrzydliwy zapach zjełczałego masła i nie myjących się mnichów przeniknął głęboko w ściany ich mieszkań.

Każdy dom zamieszkuje pięćdziesięciu do sześćdziesięciu mnichów. Na każdym piętrze znajduje się kuchnia. Obfite posiłki są jedyną przyjemnością mnichów, a co bardziej inteligentnym znośniejszym czyni życie nadzieja na osiągnięcie – przez gorliwe studia – wysokiego stanowiska. Poza tym wiodą żywot istic spartański. Nie posiadają żadnej

własności prywatnej, co najwyżej maślaną lampkę, religijny obraz lub pudełeczko na amulety. Zwykła prycza to jedyna wygoda, jaka im przysługuje. Obowiązuje absolutne posłuszeństwo. Mnich-uczeń przybywa do klasztoru jako mały chłopiec i natychmiast wciska się go w bordowe szaty, których nie zdejmuje do końca życia. Przez pierwsze lata musi wykonywać najniższe prace i służyć swym nauczycielom. Jeżeli jest mądry i bystry, uczy się pisać i czytać, rozpoczyna studia i dopuszczany jest do egzaminów. Jednak tylko niewielu udaje się piąć krok po kroku w górę, większość pozostaje przez całe życie na poziomie służących. Wybrańcami będą ci, którzy po trzydziestu lub czterdziestu latach opanują nauki Buddy w takim stopniu, że będą w stanie zdać egzaminy końcowe; oni mają szansę sięgnięcia po najwyższe urzędy duchowne.

Klasztory pełnią jednocześnie rolę akademii teologicznych i przygotowują do funkcji wyłącznie duchownych, natomiast mnisi przeznaczeni do piastowania godności urzędników duchownych kształcą się w szkole Cedrungów w Potali.

Raz do roku w Katedrze lhaskiej odbywają się publiczne egzaminy końcowe dla uczniów szkół klasztornych. Dopuszcza się do nich jedynie dwudziestu dwóch kandydatów z całego Tybetu. Po bardzo trudnej dyskusji przed komisją złożoną z osobistych nauczycieli dałajlamy, pięciu najlepszym przyznaje się rangę najwyższego stopnia. Pozostali będą piastować funkcje nauczycieli i opatów w mniejszych klasztorach. Zwyczajem w egzaminach odbywających się w Katedrze może udać się na odosobnienie i oddając się tylko praktyce medytacyjnej wieść życie pustelnika lub też poświęcić się funkcjom publicznym, które mogą go wynieść nawet do godności regenta. Jednakże taka sytuacja zdarza się wyjątkowo, ponieważ tak wysoki urząd mogą piastować jedynie inkarnacje. Może się jednak zdarzyć, że tego honoru dostąpi mężczyzna z ludu, nie będący ani szlachcicem, ani Żyjącym Buddą. Ostatnio miało to miejsce w 1910 roku, gdy Dałajlama XIII zbiegł przed Chińczykami do Indii i konieczne było wyznaczenie jego zastępcy. Niemniej daleka to droga – prowadzi przez wiele lat samotnego życia w klasztorze, a nawet zdany egzamin w Katedrze nie gwarantuje osiągnięcia tak wysokiej pozycji.

Dziesięć tysięcy mnichów klasztoru Drepung podzielono na grupy. Każda ma własną świątynię i własny ogród. Wczesne godziny poranne spędzają w gompach na wspólnych modłach, otrzymują ze wspólnej kuchni swoją maślaną herbatę i zupę i dopiero po południu wracają do domów, gdzie odbywa się właściwa nauka – i tak aż do wieczora. Mimo to, każdy ma trochę czasu na spacer, niewinne gry lub na ugotowanie sobie dodatkowej porcji stawy. Mnisi otrzymują racje żywnościowe z rodzinnych gmin i z tego powodu grupowani są w miarę możliwości według miejsca pochodzenia. W niektórych domach mieszkają więc sami Mongołowie lub Nepalczyki, albo uczniowie-mnisi pochodzący z jednego miasta, na przykład z Szigace.

Na terenie klasztornego miasta nie wolno zabijać żadnych zwierząt. Jednak zimny klimat wymaga diety zawierającej chociażby trochę mięsa i gminy często dostarczają swoim

mnichom suszone mięso jaków. W pobliskich wsiach można czasem kupić także mięso świeże.

Poza darmowym wyżywieniem i mieszkaniem mnisi otrzymują niewielkie kieszonkowe, pochodzące z gratyfikacji rządowych oraz darów od pielgrzymów. Jeżeli mnich wyróżnia się zdolnościami, zawsze znajdzie sponsora wśród szlachty lub zamożnych kręgów kupieckich. Duchowieństwo tybetańskie jest bardzo majątne, ponieważ w jego rękach znajduje się większość ziemi i do klasztorów napływają olbrzymie ilości płodów rolnych. Każdy klasztor posiada własnych kupców, którzy zaopatrują go we wszystkie potrzebne rzeczy. Wprost trudno uwierzyć jak wielkie sumy pochłania utrzymanie klasztorów. Kiedyś pomagałem zaprzyjaźnionemu urzędnikowi zakonnemu w sporządzaniu spisu wydatków za miesiąc uroczystości noworocznych, który wszyscy mnisi spędzają w Lhasie. W tym okresie rząd dostarczył im trzy tysiące kilogramów herbaty i pięćdziesiąt tysięcy kilogramów masła, a ponadto otrzymali pieniądze z datków w wysokości ponad pół miliona marek.

Postacie w bordowych szatach nie zawsze są łagodnymi i wykształconymi braciszkami. Większość z nich to ordynarni, niewrażliwi ludzie, dla których bicz dyscypliny nigdy nie jest wystarczająco twardy. Najgorsi z nich należą do nielegalnej wprawdzie, ale tolerowanej organizacji dap-dopów, żołnierzy-mnichów. Na gołym ramieniu zawiązują oni czerwoną wstążkę i dla wzbudzenia grozy czernią twarze sadzą. Za paskiem mają zatknięty olbrzymi klucz, który zależnie od potrzeby służy im do bicia lub do rzucania. Nierzadko chowają w kieszeni ostry, szewski nóż. Wielu z nich to znane w Lhasie zawadiaki. Ich chód jest wyzywający, słyną z zaczepności i każdy ma się na baczności, aby im nie wejść w drogę. Z ich szeregów powstał później batalion ochotników do walki z czerwonymi Chińczykami, który zasłynął z odwagi. Jednak i w czasie pokoju nie brakuje im okazji do rozładowania nadmiaru energii, ponieważ pomiędzy dap-dopami z różnych klasztorów wybuchają nieustanne zatargi. Najbardziej łagodną formą tych potyczek są zawody lekkoatletyczne pomiędzy zespołami klasztorów Sera i Drepung. W dniu rozgrywek dap-dopowie z obu klasztorów zbierają się na placu walki i głośnymi okrzykami zagrzewają swoich protegowanych. Zawodnicy zrzucają mnisie szaty i stoją w krótkich, obszytych dzwoneczkami przepaskach na biodrach. Zaczyna się walka: bieg, rzucanie kamieniem i pewna odmiana skoku w dal i w głąb. W tym celu wykopuje się olbrzymie, głębokie na kilka metrów doły. Skoczkiem rozpędzając się wykonują wyskok w górę, jakby przez płotek, i przeleciawszy w powietrzu często dwadzieścia do trzydziestu metrów lądują w dole. Zawodnicy się zmieniają: raz skacze mnich z Drepungu, po nim mnich z klasztoru Sera, ale mierzy się tylko różnice pomiędzy skokami. Zwycięzcą jest najczęściej cieszący się poparciem rządu klasztor Drepung, który ze względu na swą wielką liczebność jest z stanie wystawiać do walki lepszych zawodników.

Jako że byłem kiedyś instruktorem sportowym, często wybierałem się do Drepungu, a mnisi ogromnie się cieszyli, gdy przyłączałem się do ich treningu. Tutaj spotkałem jedynych

w całym Tybecie muskularnych mężczyzn.

Wszystkie zawody kończą się ogromnym uroczystym obżarstwem i rzadko miałem okazję widzieć podobne ilości pałaszowanego mięsa.

Wielkie klasztory Drepung, Sera i Ganden, tzw. „trzy filary państwa”, odgrywają w politycznym życiu kraju decydującą rolę. Ich opaci razem z ośmioma urzędnikami rządowymi stoją na czele Zgromadzenia Narodowego. Bez zgody tych mnichów nie może zostać podjęta żadna decyzja, a oni oczywiście w pierwszym rzędzie dbają o zdobycie przewagi swych klasztorów. Wiele postępowych idei umierało przedwcześnie, napotykać ich sprzeciw. Aufschnaiter i ja długo byliśmy im także solą w oku. Jednak przekonawszy się z biegiem czasu, że nie mamy żadnych ambicji politycznych, przestrzegamy zwyczajów tybetańskich, włączamy się w życie kraju i wykonujemy pożyteczne prace, poniechali oporu przeciwko nam.

Jak już powiedziałem, klasztory pełnią rolę akademii teologicznych. Dlatego też wszyscy Żyjący Buddowie*, a jest ich w Tybecie ponad tysiąc, muszą się w nich kształcić. Wszystkie inkarnacje przyciągają nieustannie pielgrzymów, którzy napływają tysiącami po ich błogosławieństwo.

Podczas siedmiodniowego pobytu Dalajlamy w klasztorze Drepung w ceremoniach uczestniczyli, siedząc w pierwszym rzędzie, także inkarnowani mnisi – było to prawdziwe zgromadzenie bogów!

Codziennie w cienistych ogrodach klasztornych odbywały się słynne debaty władcy Tybetu z jednym z opatów. Stanowią one jeden z najbardziej intymnych aspektów życia religijnego lamaizmu i nigdy bym nie pomyślał, że wolno mi będzie być ich świadkiem.

A jednak... Podczas śniadania Lobsang Samten zapytał, czy chciałbym z nim pójść do ogrodów. Ten nieoczekiwany gest sprawił, że mogłem przeżyć spektakl, którego nie oglądał chyba żaden wyznawca innej religii. Oczywiście w towarzystwie brata Dalajlamy nikt nie ośmielił się zabronić mi wstępu do ogrodu. Ujrzałem osobliwy obraz. Na dziedzińcu posypanym białym żwirem na tle ciemnych drzew siedziało stłoczonych chyba ze dwa tysiące mnichów w czerwonych szatach, a na wysokim tronie siedział Dalajlama i czytał głośno Święte Księgi. Po raz pierwszy usłyszałem jego dźwięczny, chłopięcy jeszcze głos. Przemawiał bez śladu zakłopotania, z pewnością człowieka dorosłego. Występował publicznie po raz pierwszy. Ten czternastolatek spędził wiele lat swojego życia na studiach, a teraz po raz pierwszy miał dowieść swoich umiejętności przed surowym audytorium.

Od tego pierwszego występu zależało bardzo wiele. Nawet jeśli by zawiódł, co i tak nie zmieniłoby przypisanej mu drogi, miało się teraz okazać, czy będzie on instrumentem mnichów, czy ich panem. Nie wszyscy jego poprzednicy byli tak mądrzy jak Dalajlama V i postępowi jak Dalajlama XIII. Wielu pozostawało przez całe życie marionetkami swych

* Określenie „Żyjący Budda” jako chińskie tłumaczenie tyb. słowa lama jest błędem. W buddyzmie tybetańskim przyjmuje się, że pewne istoty, do których należy także dalajlama, mogą wybierać sposób swego odrodzenia. Takich ludzi nazywa się tulku – inkarnacjami (przyp. tłum.)

wychowawców i losy kraju spoczywały w rękach regentów. O inteligencji tego chłopca opowiadano już teraz cuda. Podobno po jednorazowym przeczytaniu książki potrafił powtórzyć ją z pamięci. Od wczesnych lat interesował się sprawami państwa i krytykował lub chwalił decyzje Zgromadzenia Narodowego.

Rozpoczęła się dysputa. Dalajlama zgodnie ze zwyczajem usiadł na ziemi, podobnie jak mnisi, by zrównoważyć przewagę wysokiego urodzenia. Przeor klasztoru, w którym odbywała się dzisiejsza dyskusja, stanął przed Dalajlamą i zaczął zadawać pytania, podkreślając je przewidzianymi zwyczajowo gestami. Następowala błyskawiczna replika, a po niej natychmiast padało kolejne podchwytliwe pytanie. Dalajlama odpowiadał swobodnie z uśmiechem pewności na młodej twarzy, nie tracąc ani na chwilę spokoju.

Później zamieniono role i siedzącemu na ziemi opatowi zadawał pytania Dalajlama. Teraz można się było przekonać, że nie był to wyreżyserowany spektakl mający pokazać inteligencję młodego Buddy. Opat musiał się bardzo pilnować, by nie utracić twarzy w obecności swych uczniów, bo bywał przyparty do muru.

Po skończonej dyspucie młody Król-Bóg wrócił na tron i matka, jedyna obecna tam kobieta, podała mu herbatę w złotej miseczce. Rzucił ukradkowe spojrzenie w moim kierunku, jakby chciał się upewnić także o mojej aprobacie. Byłem do głębi poruszony tym, co zobaczyłem, a przede wszystkim podziwiałem pewność siebie tego boskiego chłopca, który pochodził przecież z prostej rodziny. Niewiele brakowało a uwierzyłbym w reinkarnację...

Później miewałem jeszcze sposobność obserwowania podobnych dysput, prowadzonych przez mnichów. Nie zawsze przebiegały one tak spokojnie i układnie. Słuchacze często opowiadali się po jednej czy drugiej stronie, ekscytowali się bardzo i dyskusja nierzadko kończyła się rękoczynami.

Religijną debatę zakończyły bardzo długie wspólne modły, przypominające litanie*, i Dalajlama wspierany przez swych opatów powrócił do pałacu. Od dawna wielce mnie dziwił chód tego chłopca, podobny do chodu starca. Teraz dowiedziałem się, że taki jest wymóg rytuału, który określa dokładnie każdy ruch. Sposób poruszania się ma naśladować chód świętych mężów i być zarazem ekspresją dostojeństwa dalajlamy.

Jakże pragnąłem wykonać kilka zdjęć z tego nadzwyczajnego wydarzenia! Ale na całe szczęście – jak się później okazało – nie wziąłem aparatu. Nazajutrz, gdy mój przyjaciel Łangdüla próbował zrobić zdjęcie Dalajlamie okrążającemu rytualnie klasztor, rozpętała się burza. Okazało się, że Łangdüla zabrał ze sobą aparat fotograficzny, bez mojej wiedzy, i udało mu się potajemnie wykonać jedno ujęcie. Nie uszło to uwadze jakiegoś gorliwego mnicha, który nie omieszkał natychmiast o tym donieść. Łangdüle wezwano do sekretarza regenta i poddano ostremu przesłuchaniu. Za przewinienie zdegradowano go, dając mu

* Modlitwy te brzmią jak litania, bo zawierają m.in. imiona mistrzów tzw. Linii Przekazu określonej szkoły buddyjskiej i praktyki medytacyjnej. Linia Przekazu jest gwarantem autentyczności i „czystości” przekazywanych nauk (przyp. tłum.)

równocześnie do zrozumienia, że winien się cieszyć, pozostając dalej w szeregach mnichów. Ponadto skonfiskowano jego aparat. Został tak surowo ukarany, chociaż posiadał szlachectwo piątej rangi i był kuzynem poprzedniego regenta. Incydent stał się tematem dnia w całym klasztorze, ale sam Łangdüla nie wyglądał na zbyt przejętego – znał przecież dobrze upadki i wzloty urzędniczej kariery.

Nieprzyjemne wydarzenie poszło wkrótce w niepamięć. Uwagę wszystkich przykuła zbliżająca się kolejna ceremonia, w czasie której Dalajlama miał złożyć tradycyjne ofiary na wysokim na 5600 m szczycie Gompe Uce, wznoszącym się tuż za klasztorem Drepung.

Wczesnym rankiem ruszyła konno wielka karawana, licząca z pewnością tysiąc ludzi i kilka setek koni. Pierwszym celem była pustelnia usytuowana w połowie wysokości góry. Konia Dalajlamy prowadziło dwóch koniuszych. Po drodze przygotowano wiele miejsc postojowych i za każdym razem w ustalony tradycją sposób celebrowano dosiadanie i schodzenie z konia przez Dalajlamę. Na każdej stacji czekał tron wyścielony dywanami, aby Jego Świątobliwość w godny sposób mógł odetchnąć. Pod wieczór procesja dotarła do pustelni. Zapalono dziękczynne kadzidła za szczęśliwą drogę i wszyscy zatopili się w ćwiczeniach medytacyjnych. Noc spędzono w przygotowanych namiotach i prowizorycznych kwaterach. Nazajutrz czekały już jaki i jeszcze przed wschodem słońca Dalajlama ze swym prześwietnym orszakem dotarł konno na wierzchołek. Mnisi klasztoru Drepung doszli tam wcześniej, dawno wydeptanymi, stromymi ścieżkami. Gdy wszyscy stanęli na szczycie, rozpoczęto znowu modły i złożono bogom ofiary. W dole lud oczekiwał na chwilę, gdy na szczycie wzbije się dym, był to bowiem znak, że tam na górze władca modli się już o pomyślność swych poddanych. Ja już poprzedniego dnia dotarłem skrótami na wierzchołek i z dyskretnej odległości obserwowałem rytuał składania ofiar. Stawiły się tam także całe stada wron i kawek, zwabione zapachem campy i ofiarnego masła. Głośno kracząc czekały niecierpliwie, by rzucić się na resztki przyniesionych tu ofiar.

Większość towarzystwa ze świty Dalajlamy stała na szczycie góry po raz pierwszy i ostatni w życiu. Młodszym górska wycieczka najwyraźniej sprawiała przyjemność; przystawali co chwila z radością, pokazując sobie różne miejsca w pięknej panoramie. Natomiast starsi mnisi i urzędnicy, często już sporej tuszy, nie zwracali uwagi na piękne widoki. Zziajani, przysiadali często, a służący podawali im orzeźwiające napoje.

Jeszcze tego samego dnia tą samą drogą orszak powrócił konno do klasztoru, a po kilku dniach Dalajlama ruszył do klasztoru Sera, gdzie odbyła się jeszcze raz podobna jak w Drepungu dysputa i ceremonia.

Doradcy młodocianego Boga początkowo wyrażali wątpliwości, czy i temu klasztorowi należy się taki honor, wszak przed kilkoma zaledwie miesiącami mnisi z klasztoru Sera buntowali się przeciwko rządowi. Ale i w tym przypadku okazało się, że młody władca stoi ponad wszelkimi intrygami i klikami. Mnisi w niezmiernie wzruszający sposób starali się dowieść swego oddania i czci dla Dalajlamy i robili wszystko, aby zgotować mu świetniejsze

przyjęcie niż koledzy z Drepungu. Wynieśli na światło dzienne wszystkie swoje tysiącletnie skarby, ozdabiając bez umiaru świątynię; na dachach powiewały nowe flagi modlitewne i wszystkie uliczki były pięknie pozamiatane.

Gdy Dalajlama wracał z wizyt w klasztorach do Norbulingki, na ulice wyległa radośnie cała Lhasa.

Archeologiczne odkrycia Aufschnaitera

Tymczasem moje życie płynęło spokojnie. Miałem państwową posadę, tłumaczyłem wiadomości i artykuły z gazet, wznosiłem od czasu do czasu groble i kanały nawadniające i regularnie odwiedzałem Aufschnaitera budującego kanał na skraju miasta.

W tym czasie poczynił on wielce interesujące odkrycia. Podczas prac ziemnych jego robotnicy natrafili na gliniane skorupy. Aufschnaiter przykazał pozbierać je starannie i przystąpił do sklejania ich, kawałek po kawałku. Ukazały się piękne wazy i dzbany o kształtach, jakich na próżno by teraz szukać. Aufschnaiter obiecał robotnikom nagrodę za każde znalezisko oraz pouczył, by kopali możliwie ostrożnie i natychmiast przywołali go, gdy tylko coś znajdą. Każdy tydzień dostarczał coś ciekawego. Kompletne groby z doskonale zachowanymi szkieletami, a przy nich naczynia i drogie kamienie.

Aufschnaiter miał teraz nowe zajęcie w chwilach wolnych od pracy: sklejał skorupy, rejestrował je i pakował. Poruszał się w czasach odległych zapewne o tysiące lat. Miał prawo być dumny ze swych zbiorów, bo znalazł pierwsze świadectwa jakiejś dawnej kultury tego kraju. Musiały być bardzo stare; żaden lama nie umiał ich zidentyfikować, a i w starych księgach nie znaleziono żadnych wzmianek o epoce, w której zmarłych grzebano i umieszczano w grobach podarunki.

Aufschnaiter chciał przekazać te znaleziska do Muzeum Archeologicznego w Indiach i gdy po inwazji komunistycznych Chin opuszczaliśmy Lhasę, zabraliśmy te skarby ze sobą. Aufschnaiter zatrzymał się wówczas w Gyance, a dalszy transport tych przedmiotów do Indii powierzył mnie.

Problemy rolne w Tybecie

Wkrótce po tych odkryciach nadarzyła się nam okazja wyjazdu z Lhasy i poznania nowych rejonów. Kilku arystokratów zwróciło się do mnie z prośbą, abym obejrzał ich posiadłości ziemskie i przedstawił ewentualne sugestie co do ich uprawy. Uzyskali dla mnie urlop od rządu i niebawem odwiedzałem kolejno ich majątki. Panujące tam stosunki przypominały nasze średniowiecze. Pług, jak przed tysiącem lat, składał się z drewnianego radła i żelaznego lemiesza. Do prac na roli używano „dzo”, krzyżówki wołu i jaka, który znakomicie nadawał się na zwierzę pociągowe. Dzo podobne jest bardziej do jaka i mleko krów dzo jest bardzo cenione, ze względu na dużą zawartość tłuszczu.

Jednym z problemów, z którymi Tybetańczycy nie umieją sobie poradzić, jest nawadnianie pól. Wiosna jest zwykle bardzo sucha, ale nikomu nie przyjdzie do głowy, aby skierować na spragnione pola wodę z wezbranych topniejącymi śniegami potoków i rzek.

Ziemskie majątki szlachty są ogromne. Przemierzenie ich konno trwa często kilka dni. Do każdego majątku należą tysiące chłopów pańszczyźnianych, którym przeznaczono niewielkie poletka do uprawy na własne potrzeby, a dla właściciela muszą odpracować określoną ilość dni. Rządcy majątków, zwykle bardzo wierni swoim panom, władają jak książęta. Ich dziedzic piastuje rządowe stanowisko w Lhasie i nie ma czasu troszczyć się o swoje włości, a w nagrodę za szczególne zasługi otrzymuje coraz to nowe połacie ziemi. W ten sposób niejeden szlachcic staje się z biegiem czasu właścicielem nawet dwudziestu olbrzymich farm. Ale równie szybko może je stracić. Gdy popadnie w niełaskę, wszystkie jego posiadłości przechodzą ponownie na własność państwa. Jednak mimo to istnieją rody, które już od setek lat siedzą w swoich zamkach, i noszą nazwiska identyczne z nazwą danego regionu. Ich twierdze, zbudowane zazwyczaj przez przodków na skałach, górują nad dolinami. Wznoszone na równinach, otaczane były fosami, które rzecz jasna dawno już wyschły i dziś są puste. Stara broń, przechowywana w zamkach, świadczy o waleczności przodków, którzy nieustannie musieli bronić się przed Mongołami niosącymi mord i pożogę.

Jazda konno przez nieznanne rejony, trwająca całe dni i tygodnie, była dla mnie przyjemną odskocznią od życia w Lhasie. Nie musiałem się nigdzie spieszyć – nie miało bowiem znaczenia, czy wrócę do Lhasy o jeden dzień później, czy wcześniej. Pozwoliłem więc sobie

popływać łodzią ze skóry jaków po szerokiej Brahmaputrze. To było wspaniałe! Często nadkładałem drogi, aby zwiedzić jakiś interesujący stary klasztor. Wziąłem ze sobą *leicę* i chociaż musiałem bardzo oszczędzać filmy – bo na bazarach nie było materiałów do tego aparatu – zrobiłem sporo zdjęć okolic i ludzi.

Zimowe sporty w Lhasie

Gdy wróciłem do Lhasy, nastała już zima. Niewielkie odnogi Kyiczu były skute lodem i to natchnęło nas nowym pomysłem. Z małym gronem przyjaciół – był wśród nich także brat Dalajlamy – założyliśmy towarzystwo łyżwiarskie. Nie my pierwsi zresztą uprawialiśmy ten sport w Tybecie. Ku wielkiemu zdumieniu miejscowej ludności, łyżwiarstwo uprawiał personel Misji Brytyjskiej w Gyance. Właściwie objęliśmy po nich spadek, nabywając łyżwy, które podarowali służbie, gdy opuszczali placówkę. Resztę brakującego sprzętu sprowadziliśmy z Indii. Pierwsze nasze kroki na łyżwach wywoływały ogólną uciechę wśród zbierających się regularnie ciekawskich, ale też i obawy, czy ktoś nie rozbije sobie głowy albo czy nie załamie się lód. Ku przerażeniu rodziców znajdowało się coraz więcej entuzjastów, którzy pragnęli za wszelką cenę spróbować jazdy na łyżwach. Dla nie uprawiających sportu, konserwatywnych arystokratów było nie do pojęcia, jak można z własnej woli przywiązać sobie do stóp „noże” i ślizgać się na nich.

Jedyny mankament naszego lodowiska polegał na tym, że już około dziesiątej rano lód stawał się miękki, ponieważ także w zimie słońce grzeje tu bardzo mocno. Nie pozostawało nam nic innego, jak odpowiednio wcześnie zaczynać naszą zabawę. Ale za to później można było jeszcze pograć w tenisa. Na zakończenie urządzaliśmy zazwyczaj mały piknik, raz u tego, innym razem u kogoś innego. To były moje najmielsze chwile, gdy bez żadnych ceremonii i zobowiązań, jakie pociągało za sobą życie w Lhasie, mogłem sobie swobodnie poszaleć w gronie młodzieży.

Kamerzysta Żyjącego Buddy

O naszych wyczynach dowiedział się Dalajlama od swojego brata. Niestety, z tarasów Potali nie było widać lodowiska i nie mógł nas obserwować. Ale on także bardzo pragnął zobaczyć ten nowy, wesoły sport na lodzie. Pewnego dnia przysłał mi swoją kamerę z poleceniem, abym sfilmował dla niego nasze zabawy.

W Potali znajdował się dobrze zachowany kompletny sprzęt fotograficzny, pochodzący jeszcze z majątku Dalajlamy XIII, który przyjaźniąc się z Sir Charlesem Bellem przejął od niego wiele pomysłów i nowych idei. Później młody Dalajlama otrzymał w darze od Misji Brytyjskiej nowy sprzęt z nowoczesnym aparatem projekcyjnym, a czterej podróżnicy po świecie przywieźli najnowszą kamerę. Ponieważ nigdy jeszcze nie filmowałem, poprosiłem o wszystkie prospekty i instrukcje i zanim przystąpiłem do dzieła, dokładnie je przestudiowałem. Nakręciwszy film, wysłałem go do wywołania w Indiach za pośrednictwem urzędu spraw zagranicznych i Misji Brytyjskiej i po dwóch miesiącach Dalajlama miał go już w rękach. Film udał się nadzwyczajnie.

Poprzez ten film nawiązałem pierwszy osobisty kontakt z młodym władcą Tybetu. Osobliwe – to właśnie produkt XX wieku stanowił punkt wyjścia do narodzenia się przyjaźni, która rozwijała się ponad wszelkimi konwenansami i łączyła nas coraz silniej.

Dalajlama przez Lobsanga Samtena przekazał mi swe życzenie, abym fotografował dla niego ceremonie i uroczystości. Od tej chwili pozostawaliśmy w ciągłym kontakcie. Przekazywał mi stale szczegółowe instrukcje i często zdumiewałem się, że pomimo swych wyteżonych studiów, tak intensywnie zajmuje się zdjęciami. Czasem było to kilka słów na karteczce, innym razem przekazywał życzenia przez usta Lobsanga Samtena. Raz wskazywał mi kierunek, z którego jego zdaniem najkorzystniej będzie padać światło, kiedy indziej znów zwracał moją uwagę na to, że ta lub inna ceremonia zacznie się punktualnie. Ja także mogłem mu już wtedy przekazać prośbę, by podczas procesji zechciał dłużej spojrzeć w kierunku, gdzie – zgodnie z ustaleniami – będę stać z kamerą.

Oczywiście, podczas ceremonii starałem się jak najmniej rzucać w oczy z moim aparatem. Ten problem najwyraźniej niepokoił także młodego Króla-Boga; często prosił mnie pisemnie na karteczce, abym raczej zrezygnował ze zrobienia zdjęcia, niż przepychał się do

przodu. Naturalnie nie dało się robić zdjęć, pozostając całkowicie nie zauważonym. Wkrótce jednak wszyscy wiedzieli, że filmuję i fotografuję na polecenie Jego Świątobliwości i starano mi się to ułatwiać. Nawet groźni żołnierze zakonni robili mi często miejsce swoimi pejcami i zachowywali się jak owieczki, gdy prosiłem, aby mi pozwali do zdjęcia. Ustawiałem się zawsze w dokładnie przemyślanym miejscu i dzięki temu byłem w stanie robić takie ujęcia z uroczystości religijnych, jakie zapewne dotychczas nikomu się nie udały. Ponadto zawsze miałem przy sobie swoją *laicę* i pewne szczególne zdjęcia robiłem także dla siebie. Jednak często zmuszony byłem sam rezygnować z najpiękniejszych scen na korzyść mojego zleceniodawcy. Najbardziej żałowałem, że tylko na niewielu zdjęciach udało mi się uchwycić wyrocznię w transie.

Katedra w Lhasie

Szczególnie ładne zdjęcia udało mi się zrobić lhaskiej Katedrze. Świątynia Cug Lag Khan została zbudowana w VII wieku i w niej znajduje się najbardziej drogocenny w Tybecie posąg bóstwa. Historia powstania Katedry sięga czasów słynnego króla Songcena Gampo, którego dwie małżonki wyznawały wiarę buddyjską. Jedna pochodziła z Nepalu i ufundowała drugą co do wielkości świątynię w Lhasie – Ramocze. Druga żona – Chinka, przywiozła ze sobą złoty posąg bóstwa. Obydwu udało się przekonać do buddyzmu króla, który wówczas wyznawał jeszcze starą religię bon. Później podniósł on buddyzm do rangi religii państwowej i nakazał zbudowanie katedry, aby umieścić w nim ów wspaniały posąg.

Niestety, świątynia ma te same niedostatki co Potala. Z zewnątrz jest wspaniałą, wywierającą bardzo wielkie wrażenie budowlą, jej wnętrze jednak jest mroczne, pełne zakamarków i nieprzyjemne. Nagromadzono w niej nieprzebrane skarby, wzbogacane co dzień nowymi darami, na przykład: każdy minister obejmujący stanowisko obowiązany jest kupić nowe jedwabne i brokatowe tkaniny dla spowicia wszystkich posągów i ufundować kielich ze szczerego złota na topione masło. W lampach nieustannie płoną olbrzymie jego ilości i zapach zjełczanego tłuszczu latem i zimą wypełnia powietrze ostrym, duszącym swędem. Z tych obfitych ofiar jedyny pożytek mają myszy. Tysiące ich buszują w fałdach jedwabnych szat posągów, wspinają się, schodzą w dół, wyżerają z miseczek ofiarnych campe i masło. W świątyni panują ciemności, nie wpada najmniejszy nawet promyk słońca i tylko lampy maślane na ołtarzach rzucają chybottliwe światło. Wejście do sanktuarium zagraadza ciężka, żelazna krata, otwierana wyłącznie o określonej porze.

W jednym z ciemnych i wąskich korytarzy odkryłem dzwon zawieszony u sufitu. Zobaczywszy na nim jakiś napis, spróbowałem go odszyfrować i... własnym oczom nie wierzyłem! Pięknie odlany na dzwonie relief brzmiał: *Te deum laudamus*. Dzwon ten to prawdopodobnie jedyna pozostałość po kaplicy, którą wznieśli w Lhasie przed kilkuset laty katolicy misjonarze. Nie udało im się wówczas osiąść na trwałe i zmuszeni byli opuścić kraj. Jednakże głęboki szacunek, jakim darzy się w Tybecie każdą religię, sprawił zapewne, że dzwon przechowuje się w Katedrze. Pragnąłem dowiedzieć się czegoś więcej o tej kaplicy kapucynów i jezuitów, niestety wszelki ślad po niej zaginął.

* * *

Pod wieczór Katedra zapełnia się wiernymi, a przed najświętszym posągim ustawia się długa kolejka ludzi. Każdy dotyka kornie czołem figury Buddy i pozostawia jakąś drobną ofiarę. Mnich wlewa wiernym w wyciągniętą dłoń święconą wodę, zabarwioną szafranem. Część z niej się łyka, a resztą spryskuje się czubek głowy. W świątyni przebywa stale wielu mnichów, którzy pod okiem wysokiego urzędnika strzegą nieprzebranych skarbów i dolewają masła do lampek.

Kiedyś uczyniono próbę założenia instalacji elektrycznej w Katedrze, aby lepiej oświetlić ciemne korytarze i kaplice. Niestety, nastąpiło krótkie spięcie i wybuchł niewielki pożar. Wszystkich „elektryków” biorących udział w tych pracach natychmiast zwolniono i nikt już więcej nie chciał słyszeć o sztucznym świetle.

Przed wejściem do Katedry leżą wielkie kamienne płyty. Są one wypolerowane jak lustro i mają wiele zagłębień; od ponad tysiąca lat wierni padają tu na twarz, okazując cześć bogom. Patrząc na wgłębienia w posadzce i oddanie malujące się na ich twarzach, można łatwo zrozumieć, dlaczego katolicka misja nie miała tutaj szans. Zapewne lama z Drepungu opuszczałby Watykan nie mniej zrezygnowany. W obu tych religiach nauka o szczęściu po Tamtej Stronie jest silnie zakorzeniona i mają one wiele wspólnego. W życiu doczesnym zalecają pokorę – buddysta pada na twarz przed wizerunkami swych bóstw, katolik zaś na kolanach pokonuje święte schody w Rzymie. Ale istnieje też wielka różnica: tutaj wiernych nie popędza jeszcze od rana do wieczora żadna cywilizacja, nie trzeba się spieszyć, można oddawać się sprawom wiary i pogrążyć w skupieniu. Religia zajmuje tutaj w życiu człowieka jeszcze dużo miejsca, tak jak to było u nas przed wiekami.

Podobnie jak przed naszymi kościołami, miejsce przed wrotami świątyni należy do żebraków. I tutaj wiedzą oni doskonale, że w obliczu boga, człowiek staje się wrażliwszy i miłosierny. Ale, jak wszędzie, zdarzają się też żebracy – naciągacze. W czasie gdy budowałem moją groblę, rząd potrzebując rąk do pracy podjął próbę zatrudnienia wałęsających się żebraków. Okazało się, że spośród ponad tysiąca lhaskich żebraków siedmuset było zdolnych do pracy. Skierowano ich do robót ziemnych w zamian za wyżywienie i wynagrodzenie. Nazajutrz do pracy zgłosiła się tylko połowa, a po kilku dniach nie pokazał się już żaden. Była to żalosna próba. To nie nędza, brak pracy czy ułomność zmuszają tych ludzi do żebractwa, lecz zwykłe próżniactwo. W Tybecie można żyć z żebraniny zupełnie nieźle, bo żebrakowi nikt tu drzwi nie pokaże. Nawet jeżeli jałmużna to tylko trochę campy i mały miedziany grosik, to dwugodzinny „utarg” wystarcza, aby utrzymać się przy życiu. Teraz można sobie leniwie przysiąść na murku, pograć się na słoneczku i niech się dzieje, co chce. Później pogra się trochę w kości, a na noc znajdzie się jakiś zaciszny kącik w podwórzu lub na ulicy i można okutać się w swój kozuch...

Wielu żebraków choruje na obrzydliwe choroby budzące litość i oczywiście robią na nich interes, wystawiając na widok publiczny swoje rzeczywiste i udawane ułomności.

Na ulicach prowadzących do miasta wałęsają się także całe chmary żebraków. Interes idzie tu wcale nieźle, ponieważ na ulicach panuje duży ruch i niemal każdy pielgrzym, kupiec czy szlachcic, przybywając do miasta lub opuszczając je, zawsze rzuci parę groszy biedakowi. Często miałem okazję obserwować takie sceny, gdy odprowadzałem przyjaciół wyruszających konno do Indii lub witałem przybywających.

Tybetańska gościnność

Odprowadzanie i witanie to jeden z najbardziej sympatycznych zwyczajów, jakie kiedykolwiek poznałem i o których naprawdę warto opowiedzieć. Stanowią one jeden z elementów tybetańskiej gościnności. Gdy ktoś wyjeżdża, przyjaciele rozbijają namiot, często jeszcze dziesięć kilometrów za miastem, i oczekują na rozpoczynającego podróż z pożegnalną ucztą. Potem wszyscy go żegnają, życzą mu pomyślności i podają białe szarfy. Przy powrocie sytuacja się powtarza i jeżeli ktoś ma licznych przyjaciół, może się zdarzyć, że witany jest uroczyście w wielu miejscach. Często powracający do domu widzi Potalę już wcześniej rano, ale na drodze do miasta w kilku namiotach czekają przyjaciele z powitalnym przyjęciem i do miasta przybywa on dopiero wieczorem. Jego karawana zamienia się w bogaty, uroczysty pochód i do domu wkracza w radosnym przekonaniu, że o nim nie zapomniano.

Spodziewając się obcokrajowca, Ministerstwo Spraw Zagranicznych wysyła gościowi naprzeciw swoich przedstawicieli, którzy go oficjalnie witają i podejmują. Zagranicznych posłów wita się z wojskowymi honorami, a przedstawiciele gabinetu wręczają im jedwabne szarfy. W mieście czeka już na gościa, jego służbę i zwierzęta, odpowiednia kwatera i mnóstwo prezentów. Krótko mówiąc, chyba nigdzie na świecie nie otacza się podróżujących tak wielką uprzejmością i gościnnością.

W czasie wojny zdarzało się dość często, że samoloty gubiły drogę na trasie pomiędzy Indiami i Chinami. Jest to niewątpliwie najtrudniejsza trasa powietrzna na świecie, ponieważ przelot nad Himalajami wymaga od pilota wielkich umiejętności i doświadczenia. Wystarczy że raz się pomyli, a wejście na właściwy kurs będzie prawie niemożliwe, ponieważ materiał kartograficzny dotyczący Tybetu jest bardzo szczupły.

Pewnej nocy nad Świętym Miastem dał się słyszeć warkot silników, wywołując wielkie zaniepokojenie. Dwa dni później z okręgu Samye dotarła wiadomość, że wylądowało tam na spadochronach pięciu Amerykanów. Rząd zaproponował im powrót do Indii przez Lhasę. Piloci nie mogli wyjść z podziwu, gdy jeszcze spory kawałek przed miastem, w namiocie, powitano ich serdecznie maślaną herbatą i białymi szarfami. Opowiadali później, że stracili zupełnie orientację i skrzydłami samolotu otarli się niemal o śniegi na przełęczy Nyenczenthanglha. Zawrócili, ale na powrotny lot zabrakło im benzyny. Byli więc zmuszeni

poświęcić maszynę i ratować się na spadochronach. Wylądowali szczęśliwie i poza drobnymi zadrapaniami i złamaniem ręki nie odnieśli poważniejszych obrażeń. Po krótkim pobycie w Lhasie wracali do Indii konno, otoczeni całym tybetańskim komfortem.

Załoga innego amerykańskiego samolotu, który spadł tu w czasie wojny, miała mniej szczęścia. We wschodnim Tybecie znaleziono tylko szczątki dwóch samolotów, nikt z załogi się nie uratował. Rząd nakazał pozbierać resztki maszyn, zapakować je i zabezpieczyć.

Jeszcze inny samolot runął prawdopodobnie po południowej stronie Himalajów, w prowincji zamieszkaney przez półdzikie plemiona, żyjące w dżungli. Nie są oni wyznawcami religii buddyjskiej, chodzą niemal nadzy i każdy Tybetańczyk boi się ich zatrutych strzał. Od czasu do czasu wylaniają się ze swych lasów, aby wymienić skóry i piżmo na sól i sztuczną biżuterię. Kiedyś przy takiej okazji oferowali przedmioty, które mogły pochodzić tylko z samolotu amerykańskiego. Ale to był jedyny ślad tego nieszczęścia, jaki przeniknął na światło dzienne, i jakiegokolwiek poszukiwania nie miały sensu. Miałem wielką ochotę udać się na miejsce tragedii, aby poszukać innych śladów, ale prowincja ta leżała zbyt daleko i zmuszony byłem z tego zamiaru zrezygnować.

Reorganizacja wojska i nasilanie się pobożności

Sytuacja polityczna Tybetu pogarszała się coraz bardziej. Chińczycy ogłosili już uroczyście, że wkrótce „wyzwolą” Tybet. Nawet w Lhasie wszyscy zdawali sobie sprawę, jak poważne zagrożenie to oznacza, bowiem Chińczycy zawsze realizowali swoje zamierzenia.

W kraju lamów zaczęto na gwałt reorganizować armię. Tym specjalnym zadaniem obarczono jednego z ministrów. Tybet ma stałą armię. Każda miejscowość, zależnie od liczby mieszkańców, zobowiązana jest wystawić do służby wojskowej określoną ilość mężczyzn, co stanowi jeden z obowiązków wobec państwa. Nie jest to służba wojskowa w naszym rozumieniu, ponieważ państwo zainteresowane jest wyłącznie ilością osób. Mężczyzna objęty obowiązkiem wojskowym może sobie opłacić zastępcę i wysłać go do armii zamiast siebie. Tacy zastępcy dość często przez całe życie pozostają żołnierzami.

Instruktorzy wojskowi odbywali służbę w Indiach i umieją posługiwać się nowoczesną bronią. Język rozkazów był dotychczas mieszaniną tybetańskiego, hindi i angielskiego. Nowy minister obrony nakazał w pierwszym rządzie wydawanie rozkazów w języku państwowym, tybetańskim. W miejsce angielskiego hymnu „Boże chroń króla” wprowadzono nowy tekst i skomponowano melodię nowego hymnu tybetańskiego. Hymn opiewał niezawisłość Tybetu i jego oddanie dla jaśnie oświeconego władcy, Dalajlamy.

Rozległe łąki wokół Lhasy zamieniły się w poligon wojskowy, sformowano nowe oddziały i Zgromadzenie Narodowe specjalną uchwałą zobowiązało arystokratów i dobrze sytuowanych obywateli do dostarczenia dodatkowego tysiąca mężczyzn w pełnym uzbrojeniu. Natomiast to, czy zgłoszą się do służby osobiście, czy też przyślą kogoś w zastępstwie, pozostawiono ich indywidualnej decyzji. Przystąpiono też do organizowania kursów oficerskich dla urzędników świeckich i zakonnych, co u większości wzbudziło patriotyczny entuzjazm.

Letnie mundury wojskowe były uszyte z bawełny w jednolitym kolorze khaki, zimowe zaś – z materiałów tkanych z owczej wełny i farbowanych zielonymi łupinami orzechów. Krojem nawiązywały one do tradycyjnego ubioru tybetańskiego: podobna do płaszcza opończa, która równocześnie służy za koc, długie spodnie i wysokie tybetańskie buty. W lecie głowę chroni przed ostrym słońcem kapelusz o szerokim rondzie, a w zimie przed mrozem –

futrzana czapka. Oddziały, jako formacja, sprawiają wrażenie silnych i walecznych, ale oczywiście nie można ich porównywać z wojskiem europejskim czy amerykańskim. Pruski feldfelbel mógłby się tu jednak wiele jeszcze nauczyć, zwłaszcza jeśli chodzi o bezwarunkowe posłuszeństwo, przykładniejszego z pewnością nigdzie by nie znalazł. Nie ma w tym nic dziwnego, ponieważ armia składa się w głównej mierze z poddanych, którzy nawykli do ślepego posłuszeństwa. Przy tym jeszcze myśl, że mają bronić swego kraju i religii, pobudza we wszystkich pewność siebie i ducha walki.

W przeszłości, w spokojnych czasach, armii nie poświęcano zbyt wiele uwagi. Ale i wtedy na gminach spoczywał obowiązek dostarczania rekrutom żywności i dotacji pieniężnych. Obecnie rząd zaczął zdawać sobie sprawę z wagi dobrej organizacji i sam zaczął wypłacać żołd swym oficerom i żołnierzom.

Początkowo sporych trudności nastroczało zapewnienie wyżywienia tak liczny nowo utworzonym oddziałom. Powstał problem transportu, zboże na chleb trzeba było przywozić często z bardzo odległych spichrzów. Magazyny, które znajdowały się w okolicach obfitujących w zboże, to wielkie kamienne budowle bez okien, z otworami wentylacyjnymi. Ziarno może być w nich przechowywane przez wiele lat, ponieważ suche powietrze zapobiega fermentacji. Ale teraz zostały opróżnione, ponieważ zapasy na wypadek wojny przewieziono na miejsce przewidywanej linii frontu. Dlatego jeszcze przez długi czas krajowi nie zagrażał brak żywności. Tybet można by otoczyć murem i nikt nie cierpiałby głodu i zimna, ponieważ można w nim znaleźć wszystko, co jest niezbędne do życia trzem milionom mieszkańców tego ogromnego kraju.

Kuchnie polowe dostarczały żołnierzom obfitych posiłków, a żołd wystarczał ponadto na papierosy i czang. Żołnierze byli zadowoleni.

Także w wojsku tybetańskim łatwo jest po mundurze odróżnić oficera od szeregowca. Im wyższy stopień, tym bogatsze ozdoby ze szczerzego złota. Wygląda na to, że oficerów nie obowiązują szczegółowe przepisy dotyczące umundurowania. Kiedyś widziałem generała, który oprócz złotych epoletów miał na piersiach przypięte mnóstwo błyszczących drobiazgów. Prawdopodobnie naoglądał się zbyt wielu zagranicznych czasopism ilustrowanych i wzorując się na nich, dekorował się sam, jako że w Tybecie nie nadaje się medali. Tybetański żołnierz zamiast odznaczeń otrzymuje o wiele bardziej namacalne nagrody: po zwycięstwie ma prawo do łupów i dlatego plądrowanie jest na porządku dziennym – jedynie zdobyta broń musi zostać zwrócona. Dobrym przykładem stosowanych metod jest zwalczanie band rabusiów, czego często sam byłem świadkiem. Lokalni bonpowie mogą zwrócić się do rządu o pomoc, kiedy rabusie zbyt dają się im we znaki. Wówczas do walki z nimi włącza się mniejsze oddziały wojskowe. Mimo że wszystkim znane są bezpardonowe metody bandytów, żołnierze chętnie służą w tych oddziałach, bo żołnierz nie myśli o niebezpieczeństwie, tylko wyłącznie o łupie. Prawo do łupu spowodowało już wiele krzywd i sam zmuszony byłem oglądać tragiczne wydarzenie, kiedy to zgubne nastawienie

kosztowało życie wielu ludzi.

Po zajęciu Turkiestanu przez czerwone Chiny, stacjonujący tam amerykański konsul Machiernan wraz ze swym młodym krajanem, studentem Bessacem, i trzema Rosjanami chcieli uciec i schronić się w Tybecie. Konsul, za pośrednictwem ambasady amerykańskiej w Indiach, zwrócił się do Rządu Tybetańskiego z prośbą o zezwolenie na przejazd i Lhasa natychmiast wysłała we wszystkie strony gońców ze specjalnym poleceniem, aby umocnione posterunki graniczne i patrole nie utrudniały uchodźcom przejazdu. Droga niewielkiej karawany wiodła przez Kuen Lun i Czangthang. Wielbłądy czuły się znakomicie, świeżego mięsa dostarczały upolowane khyangi. Nieszczęśliwym trafem, właśnie w to miejsce, gdzie Amerykanie z towarzyszącymi im osobami przekraczali granicę, goniec rządowy dotarł za późno. Żołnierze stojący na strażnicy nie czekając na jakiegokolwiek wyjaśnienia, bez ostrzeżenia sięgnęli po broń. Oprócz ich nadmiernej gorliwości przyczynił się do tego zapewne widok tuzina obładowanych wielbłądów.

Amerykański konsul i dwaj Rosjanie zginęli na miejscu. Trzeci Rosjanin był ranny, a Bessacowi nic się nie stało. Natychmiast został pojmany i wraz z rannym kolegą eskortowano go do najbliższej siedziby władz. Po drodze traktowano ich w sposób pozostawiający wiele do życzenia. Bessacowi ubliżano i grożono, uważając go za wroga. Nadgorliwi graniczni żołdacy natychmiast zabrali się do dzielenia łupów i wielce się cieszyli wartościowymi przedmiotami, zwłaszcza lornetkami i aparatami fotograficznymi. Ale jeszcze zanim transport dotarł do najbliższego bonpo, nadjechał goniec z rozkazem zgotowania gościnnego przyjęcia Amerykaninowi i jego towarzyszom. Wszystkim zrzedły miny. Tybetańscy żołnierze zaczęli prześcigać się w uprzejmościach. Niestety, co się stało, to się nie odstanie!

Ten tragiczny zbieg okoliczności kosztował życie trojga ludzi. Gubernator wysłał do Lhasy odpowiedni raport. Po przeczytaniu go wszyscy byli wstrząśnięci tą tragedią i rząd, jak tylko mógł, dawał dowody ubolewania. Do Bessaca i rannego Rosjanina przysłano wykształconego w Indiach pielęgniarza i prezenty. Zaproszono ich do Lhasy, aby zechcieli być koronnymi świadkami przeciwko aresztowanym już żołnierzom. Zgodnie ze zwyczajem, naprzeciw przybywającym wyjechał konno wysoki urzędnik, znający trochę angielski. Przyłączyłem się do powitalnej grupy, ponieważ sądziłem, że możliwość porozmawiania o niedawnych przeżyciach chociaż trochę ulży młodemu Amerykaninowi. Pragnąłem go także przekonać, że rząd nie ponosił winy za ten incydent i w jego imieniu wyrazić najszczerze ubolewanie. W strugach padającego deszczu spotkaliśmy młodego mężczyznę – był wysoki jak topola i małego tybetańskiego konia nie było prawie pod nim widać. Biedak. Jakże musiało mu być ciężko na duszy! Niewielka karawana uchodźców wędrowała przez tyle miesięcy, w ciągłej ucieczce wśród tylu czyhających niebezpieczeństw i pierwsze spotkanie z tym krajem, gdzie mieli uzyskać azyl, przyniosło śmierć jego trojgu towarzyszom.

W namiocie rządowym czekała teraz na pozostałych przy życiu nowa odzież i obuwie, a w Lhasie dom z ogrodem, kucharz i służba na przyjęcie gości. Na szczęście rana Rosjanina

Wasiljewa nie zagrażała jego życiu, wkrótce mógł kuśtykać o kulach po ogrodzie. Pozostali oni w Lhasie jeden miesiąc i w tym czasie zdążyłem nawiązać z Bessacem serdeczną przyjaźń. Nie żywił on urazy do kraju, w którym spotkało go tyle złego, a jako jedyne go zadośćuczynienia, zażądał ukarania żołnierzy, którzy tak źle obchodzili się z nim w drodze do gubernatora. Proszono go o obecność podczas wykonywania kary, aby wykluczyć jakąkolwiek pomyłkę. Ale gdy ujrzał jak ciężkiej chłości poddano winnych, sam poprosił o złagodzenie wyroku.

Podczas wymierzania kary robił zdjęcia, które później zostały opublikowane w czasopiśmie „Life” i oczyściły rząd tybetański w opinii publicznej.

W Lhasie robiono wszystko, aby zabitym oddać cześć zgodnie z zachodnim obyczajem. Dzięki temu gdzieś pośrodku Czangthangu stoją dzisiaj trzy drewniane krzyże. Ich historia jest tym bardziej tragiczna, że ofiary zginęły w chwili, gdy sądziły, że są uratowane.

Bessac został przyjęty przez Dalajlamę i później wyruszył ku granicy z Sikkimem, gdzie oczekiwali go już przedstawiciele jego kraju.

Niespokojne czasy sprowadziły do Tybetu jeszcze innych uchodźców, oni jednak mieli więcej szczęścia. Przez Czangthang przywędrowała karawana wielbłądów z mongolskim księciem i dwiema jego żonami – Polką i Mongołką. Byłem pełen uznania dla tych kobiet, które zdobyły się na taki niebywały wysiłek, a zdumiałem się jeszcze bardziej, zobaczywszy dwoje przemiłych dzieci, które zniosły wszystkie trudy ucieczki. Mieszkali przez pół roku w Lhasie, a potem przenieśli się do Indii, gdzie żyją po dziś dzień.

Dramatyzm naszych czasów dobrze ukazują zdarzenia towarzyszące jeszcze innym uchodźcom. Stu pięćdziesięciu Rosjan uciekało ze swej ojczyzny, przemierzając całą Rosję pieszo. Po kilku trudnych latach mieli wreszcie wycieńczającą tułaczkę za sobą, ale nim dotarli do Lhasy, przy życiu pozostało ich zaledwie dwudziestu. Rząd pomagał im, jak tylko mógł, otrzymali wyżywienie i udostępniono im środki transportu. Jednakże los sprawił, że zaraz po przybyciu do Lhasy musieli natychmiast ruszyć dalej do Indii. Ścigani, zmuszeni byli tułać się po całym świecie, aż dopiero przed kilkoma dniami przeczytałem, że wszyscy cało i zdrowo dotarli wreszcie do Hamburga, skąd chcą popłynąć do Stanów Zjednoczonych, by tam wreszcie, po dramatycznej tułaczce, znaleźć swoją drugą ojczyznę.

Zrozumiałe, że w tych krytycznych czasach rząd chciał nie tylko zmobilizować ochronę kraju, ale starał się też pobudzić siły do wewnętrznej obrony. W tym celu wystarczyło odwołać się do religii, stanowiącej największe źródło siły życiowej Tybetu. W służbie tej idei powołano nowych urzędników, wydawano nowe zarządzenia i przeznaczono olbrzymie środki finansowe na organizację kampanii w całym Tybecie. Wszystkich mnichów zobowiązano do regularnego organizowania zgromadzeń i czytania wiernym Kandzuru – tybetańskiej biblii. W celu wywołania przychylności bogów wszędzie rozwieszano nowe flagi i ustawiano młynki modlitewne. Ze starych skrzyń wyjmowano amulety posiadające szczególną moc. Zdwojono ilość składanych ofiar, na wszystkich wierzchołkach zapalano

ognie, a wiatr kręcił nowymi młynkami modlitewnymi, ślącymi na wszystkie strony świata prośby do bóstw ochronnych lamaizmu. Niezachwianie wierzone, że głębokie oddanie religijne zapewni ochronę wystarczającą do zachowania niezawisłości Tybetu.

W tym samym czasie radio Pekin regularnie nadawało – już w języku tybetańskim – obietnicę rychłego „wyzwolenia” Tybetu.

Tym silniej niż zwykle masy chroniły się w twierdzy religii. Ceremonie odbywające się na początku roku 1950 przyćmiły pompą i przepychem wszystkie, które dotychczas oglądałem. Z całego Tybetu przybywają wierni i w religijnym uniesieniu tłoczą się w ciasnych uliczkach Lhasy. Niestety, ja nie mogłem pozbyć się przygnębiającej myśli, że ta wzruszająca wiara nigdy nie poruszy złotych bóstw... Jeżeli nie przyjdzie pomoc z zewnątrz, Tybet zostanie wkrótce brutalnie wyrwany ze swej spokojnej egzystencji.

Dalajlama znowu poprosił mnie o zrobienie zdjęć z uroczystości świątecznych i tym razem mogłem oglądać wszystko z bliska. Cztery tygodnie po „dużym” święcie modłów noworocznych odbywa się – przewyższające je chyba przepychem – „małe” święto*. Modły trwają tym razem „tylko” dziesięć dni. O tej porze wszystko zaczyna się już zielenić i miasto w wiosennym i odświeżonym przepychu przedstawia niezapomniany widok; być może za sprawą chmur, gromadzących się gdzieś hen, na horyzoncie... To święto oznacza wielkie dni dla dzielnicy Szö, leżącej u stóp Potali. W tym dniu na dwie godziny spuszcza się z murów Potali olbrzymią chorągiew – z pewnością jest to największa chorągiew na świecie. Zwinięta w rulon, przechowywana jest w specjalnie zbudowanym pawilonie w Szö. Do jej przeniesienia i rozwinięcia potrzeba pięćdziesięciu mnichów. Zrobiona jest z ciężkiego, czystego jedwabiu, na którym naszyto przepiękne, kolorowe postaci bóstw. Podczas gdy wywieszona na pałacu promieniuje nad miastem, z Katedry Cug Lag Khan powoli rusza w kierunku Szö wspaniała procesja i tam kończą ją uroczyste ceremonie. Potem następują osobliwe tańce. Są to prastare tańce rytualne wykonywane przez mnichów. W maskach, obwieszeni drogocennymi rzeźbionymi ozdobami z kości, obracają się powoli w takt bębnów. Lud zastygły w napięciu, wpatruje się w te niesamowite postaci. Od czasu do czasu przez tłum przebiega szmer. To komuś wydaje się, że wypatrzył Dalajlamę, który siedzi na dachu Potali, niemal sto metrów ponad głowami wiernych, i przez lornetkę przygląda się temu niesamowitemu widowisku. Na kamiennych schodach ludzie nieustannie padają na twarz przed chorągwią haftowaną w bóstwa, która zwinięta jeszcze przed zakończeniem tańców, znowu przechowywana będzie w ciemnościach, aż do przyszłego roku.

* „Małe” święto – Mały Mönlam, jest w zasadzie powtórzeniem święta Wielkiej Modlitwy – Wielkiego Mönlamu, ustanowionego przez Congkape po odnowieniu i upiększeniu świętego posągu Dzo-bo. Nabożeństwa Wielkiego Mönlamu trwają 20 dni

Drukarnie i książki

Dzielnica Szö, położona u stóp Potali, znana jest ze swej drukarni państwowej. Z tego wysokiego, ponurego budynku, z rzadka tylko przenika na zewnątrz jakiś dźwięk. Nie słychać tam hałasujących maszyn i tylko po salach odbijają się echem przytłumione głosy mnichów. Na długich półkach leżą, jedno na drugim, klocki drukarskie, które używane są tylko wtedy, gdy zamówiona jest nowa książka. Wydrukowanie książki pochłania niezmierznie dużo pracy. Mnisi zaczynają najpierw od wystrugania z drewna gruszy drewnianych deseczek, ponieważ nie ma w Tybecie tartaków. Potem rzeźbią w nich pełne zawijasów tybetańskie sylaby – mozolnie, literka po literce. Gotowe tabliczki układa się w odpowiedniej kolejności i starannie przechowuje. Przygotowanie książki to ciężka praca – taka książka na przykład jak tybetańska biblia zajmuje całą salę. Farbę drukarską sporządza się z sadzy, której dostarcza mnichom nawóz jaków, używany jako opał. Najczęściej są oni od stóp do głów uczernieni w czasie tej pracy.

Wreszcie można przystąpić do odbijania poszczególnych klocków na produkowanym ręcznie tybetańskim papierze. Książek się nie zszywa; składają się z zadrukowanych po obu stronach, luźnych kartek, które wkłada się pomiędzy dwie drewniane deseczki. Książki można zamawiać wprost w drukarni lub kupić u księgarza na Parkhorze. Zwyczajowo owija się je w domu w jedwabne chusty i – ponieważ treść jest zawsze religijna – traktuje się je z szacunkiem i ich miejsce jest zwykle na ołtarzu. W każdym bogatszym domu Lhasy znajduje się komplet tomów tybetańskiej bibliai, a także dwieście czterdzieści tomów komentarzy. Tybetańczycy obchodzą się z tymi księgami z wielkim szacunkiem. Na przykład nikomu nie przysłoby do głowy, aby położyć księgę na miejscu do siedzenia. Natomiast naszych książek nie szanują wcale. Kiedyś znalazłem cenny podręcznik gramatyki tybetańskiej w miejscu najmniej do tego stosownym. Brakowało tylko kilku pierwszych stron, więc je sobie odpisałem z innego egzemplarza i byłem bardzo zadowolony ze swej zdobyczy.

Cena tybetańskich książek zależy od jakości papieru. Wartość kompletnego wydania „bibliai” równa się cenie szlachetnego konia lub tuzina najlepszych jaków.

Poza drukarnią w Szö, druga wielka drukarnia znajduje się w pobliżu Szigace, a ponadto każdy większy klasztor posiada własne klocki ksylograficzne książek, w których opisano

żywoty lokalnych świętych, i annałów klasztornych.

Cała kultura Tybetu, podobnie jak u nas w dawnych czasach, inspirowana jest przez religię. Dzieła sztuki budowlanej i rzeźby, poezja i malarstwo są gloryfikacją wiary i mają wzbudzać szacunek i respekt wobec kościoła. Nie istnieją tu jeszcze rozbieżności pomiędzy religią i nauką, a więc na treść wszystkich książek składa się płatanina dogmatów religijnych, poznania filozoficznego i porad praktycznych, opartych na doświadczeniu. Pieśni i wiersze zapisywane są tylko odręcznie, na luźnych kartkach, nie wydaje się ich w formie książkowej. Wyjątek stanowią wiersze Dalajlamy VI, które wydrukowano i wydano jako książkę. Kupiłem je sobie na bazarze i często czytałem, ponieważ w doskonałej formie wyrażają tęsknotę za miłością. Nie tylko ja żywiłem szczególne upodobanie do tych strof samotnego więźnia, Tybetańczycy także lubią wiersze swojego dawno zmarłego władcy. Był on wyjątkową postacią w długiej linii dalajlamów. Kochał kobiety i często w przebraniu wymykał się do miasta. Ale ludzie nie mogli mu darować jego namiętnej duszy poety.

Cenniejsze od wszystkich drukowanych dzieł są liczne manuskrypty, pisane najczęściej przez utalentowanych mnichów. Ich tematyka jest mniej uczona; często są to anegdoty, jak na przykład zbiór anegdot słynnego tybetańskiego satyryka Agu Thönpy, który bardzo dowcipnie krytykuje życie polityczne i religijne swojej epoki i do dzisiaj jest bardzo chętnie czytany. Na każdym przyjęciu opowiada się jego historyjki, aby zabawić gości. Dzięki tybetańskiemu poczuciu humoru i komizmu zyskał on pozycję klasyka i podczas mojego pobytu w Lhasie najlepszy komik w mieście nosił jego imię.

Istnieją też szczególne księgi, zawierające dokładne zasady rysowania i malowania thanek. Thanki są to wieszane na ścianach malowidła o motywach religijnych, które znaleźć można w każdej gompie i niemal w każdym prywatnym domu. O ich wartości decyduje wiek i jakość wykonania. Thanki są najbardziej ulubioną pamiątką z Tybetu i wszyscy obcokrajowcy uganiają się za nimi. Obrazy te, malowane na cennym jedwabiu, przedstawiają życiorysy bóstw i mężczyźni, którzy je malują, są bardzo dumni ze swojego zajęcia, ponieważ wymaga ono gruntownej znajomości ksiąg, zawierających stosowne legendy. Artyści mają pełną swobodę w przedstawianiu pojedynczych epizodów, natomiast w malowaniu postaci bóstw obowiązują ściśle określone zasady i proporcje. Na czas pracy jedwab napina się na ramach, a gdy dzieło jest gotowe, obszywa się je kosztownymi brokatami. Ponieważ thanki przedstawiają zawsze motywy religijne, traktuje się je jak przedmioty kultu religijnego i dlatego nie można ich publicznie sprzedawać. Ten przepis jest w Tybecie ściśle przestrzegany. Przedmiotami związanymi z religią nie handluje się, a w przypadku ich sprzedaży zadośćuczynieniem jest dostarczenie do gompy lampek maślanych lub rozdzielanie jałmużny. Wbrew tym zasadom, thanki przedostają się za granice Tybetu, gdzie miłośnicy sztuki chętnie i dobrze za nie zapłacą. Często dawałem do zrozumienia moim przyjaciółom, jak bardzo pragnę posiadać jedno z takich wspaniałych malowideł, ale nikt nie chciał sprzedać mi thanki. Natomiast tuż przed moim wyjazdem wręczono mi kilka w prezencie.

Kiedy później zobaczyłem w Dardżylingu jeden szczególnie piękny okaz, który zapragnąłem włączyć do mojej kolekcji, musiałem się nieźle wykosztować.

Wiele starych thanek wędruje do Potali lub innych klasztorów, ponieważ nikt by thanki nie zniszczył, a z drugiej strony majątni ludzie chętnie wieszają na ścianach zamiast starych thanek-nowe, lśniące świeżymi barwami, na błyszczącym jedwabiu. Później usłyszałem od Dalajlamy, że w licznych nie używanych pomieszczeniach jego zimowego pałacu wisi ponad dziesięć tysięcy zapomnianych thanek. Miałem też możliwość przekonać się o tym osobiście.

Co rok jesienią odbywają się w Lhasie wielkie porządki i malowanie. Maluje się wszystkie domy prywatne i świątynie, odświeża się nawet Potalę. Malowanie wysokich, stromych murów Potali to bardzo niebezpieczna praca i dlatego wykonują ją stale ci sami, wprawni ludzie. Wiszą w powietrzu na linach skręconych z wełny jaków i polewają mury białą farbą z małych glinianych naczyń; wykonują karkołomne zjazdy do ozdobnych gzymsów i nadają nowego blasku wszystkim ornamentom. W wielu miejscach, gdzie deszcz nie zdołał wypłukać farby, przez setki lat utworzyła się wskutek tego corocznego bielenia gruba wapienna skorupa. A jednak promieniująca nad miastem oślepiającą bielą Potala przedstawia zachwycający widok.

Bardzo się ucieszyłem, gdy Dalajlama zechciał mi zlecić sfilmowanie tych robót. Znowu miałem możliwość uwiecznienia czegoś z pewnością nie spotykanego nigdzie indziej na świecie. Wczesnym rankiem człapałem wolno w górę po nie kończących się schodach, z tłumem skorych do żartów kobiet dźwigających farbę. Wielkie ilości farby potrzebnej do wybielenia tej olbrzymiej budowli wynoszą w górę kobiety z Szö, a stu kulisów pracuje przez czternaście dni, aby nadać stromym murom nową, paradną szatę. Nie musiałem się zatem spieszyć ze zdjęciami i mogłem wyszukiwać sobie odpowiednią perspektywę do zrobienia efektownych ujęć. Najbardziej podniecające było czekanie z kamerą na chwilę, kiedy robotnicy zawieszeni pomiędzy niebem a ziemią balansowali na swoich linach. Przy tej okazji zezwolono mi też na wchodzenie do wszystkich pomieszczeń pałacowych. W większości pokoi panowały egipskie ciemności, ponieważ gromadzone przez setki lat stare rupiecie zasłaniały całkowicie okna i dostanie się do nich kosztowało mnie немало trudu. Wielkimi oczyma patrzyły na mnie zapomniane posągi Buddy, nikt już nie palił na ich cześć lampek maślanych i nikt nie padał na twarz u ich stóp. Pod warstwami kurzu odkrywałem coraz wspanialsze stare thanki. Muzea na całym świecie byłyby szczęśliwe, posiadając choćby część tych skarbów, które tutaj pokrywał pył zapomnienia. Dzisiaj podziwiał je już tylko myszy i pająki. Na najniższym piętrze mój przewodnik pokazał mi jeszcze jedną osobliwość tej jedynej w swoim rodzaju budowli: pod kolumnami dźwigającymi sufit ujrzałem wsunięte kliny. Budowla podobna do drapacza chmur w ciągu wieków zaczęła się zapadać i najbieglejsi w Lhasie rzemieślnicy trudzili się, aby ją unieść. Ci niewykształceni ludzie dokonali dzieła wprost niewiarygodnego technicznie.

Udało mi się wtedy nakręcić dość interesujący film o malowaniu Potali, który, jak wiele

innych, wysłano do wywołania w Indiach.

Buduję kino dla Dalajlamy

Dalajlama najwyraźniej zapragnął oglądać regularnie moje filmy. Pewnego razu Lobsang Samten zaskoczył mnie pytaniem, czy podjąłbym się zbudowania pomieszczenia do projekcji filmów. Już dawno nauczyłem się w Lhasie, że nie wolno mówić od razu „nie”, nawet jeśli nie ma się pojęcia o rzeczach, których od nas oczekują. Aufschnaiter i ja byliśmy znani jako „ludzie do wszystkiego” i rozwiązywaliśmy już trudniejsze problemy. W lecie, na przykład, zaprojektowałem budynek szkolny dla tysiąca dzieci, ponieważ w Lhasie zaczęto powoli rozumieć, że brak wykształcenia jest wielkim błędem.

Po krótkim namyśle poprosiłem o prospekty aparatów projekcyjnych Dalajlamy, ponieważ nie znałem napięcia prądu, jakiego wymagają, i nie wiedziałem, jak długie musi być pomieszczenie projekcyjne. Gdy zdecydowałem się przyjąć to zadanie, opaci, którzy byli osobistymi opiekunami młodego Boga, wręczyli mi oficjalne zlecenie. Od tej chwili wrota do wewnętrznego ogrodu Norbulingki, zwykle zamknięte dla wszystkich, stały przede mną otworem.

Do prac przystąpiłem w zimie 1949/50, kiedy młody król przeniósł się znowu do swej siedziby w Potali. Obejrzałem sobie budynki i wybrałem do adaptacji znajdujący się przy wewnętrznym murze pawilon, który od śmierci Dalajlamy XIII stał nie używany. Przydzielono mi do pracy najlepszych lhaskich rzemieślników i żołnierzy Gwardii Przybocznej. Kobiet w tym wypadku nie zaangażowano, ponieważ swą obecnością skalałyby to „święte miejsce”. Kazałem poskręcać krótkie sztaby żelaza i użyłem je, zamiast filarów, jako elementy nośne do wsparcia sklepienia. Pomieszczenie miało dwadzieścia metrów długości i musiałem zrobić na zewnątrz na podwyższeniu niewielką przybudówkę na aparat projekcyjny, dostępną z zewnątrz i z widowni. W pewnej odległości od sali kinowej zbudowałem mały domek na silnik benzynowy i generator. Zrobiłem to na wyraźne życzenie Dalajlamy, który polecił poprosić mnie o umieszczenie generatora tak, aby nie słychać było jego hałasu. Pragnął on uniknąć dodatkowego niepokojenia starego regenta, bo przecież budowa kina w Norbulince już sama w sobie była przedsięwzięciem wystarczająco rewolucyjnym. Dlatego też wybudowałem jeszcze specjalne komory na rury wydechowe i był to, jak się później okazało, niezły pomysł. Ponieważ staremu silnikowi benzynowemu nie

można było całkowicie zawierzyć, zaproponowałem, aby w razie konieczności do napędzania prądnicy użyć *jeepa*. Było oczywiste, że życzenie Dalajlamy było ważniejsze od tego, do czego zwykle powinien służyć *jeep*.

Europejczyk nie jest sobie w stanie wyobrazić, jak wielką wagę przywiązuje się do zachcianek Króla-Boga. Aby spełnić jego pragnienia, uruchamia się całą maszynę rządową. Najpierw próbuje się znaleźć upragniony przedmiot w Lhasie. Gdy się to nie uda, wysyła się do Indii specjalnego posłańca. W czasie całej drogi trzyma on czerwoną chorągiewkę, której widok działa podobnie jak u nas syrena straży ogniowej. Każdy wie, że zbliża się wysłannik ze specjalnym zadaniem, że bardzo mu się spieszy i wszyscy starają się mu pomóc. Na stacjach tazamów otrzymuje rączego konia i nawet jeśli ktoś inny długo czeka na najlepszego wierzchowca, musi go oczywiście odstąpić. Często przed posłańcem wysyła się gońca, który anonsuje u najbliższego bonpo jego przybycie. Posłańcy, zwani atrungami, przejeżdżają w siodle bez przerwy około 120 km dziennie, nie wspominając już o wielu wysokich przełęczach, które muszą pokonywać pieszo. Nie ma dla nich wytchnienia, co najwyżej mogą trochę podrzemać w siodle – karawanseraj nie przyniesie im spoczynku. Ponadto pas ich opończy opieczętowany jest pieczęcią gabinetu, tak że nie mogą jej zdjąć. Jednak ci jeźdźcy bardzo są dumni ze swych zadań, cieszą się najwyższym szacunkiem, a u każdego bonpo czeka na nich jedzenie i picie oraz dary pieniężne.

W moim przypadku wystarczyło także kiwnięcie palcem i już stał do dyspozycji *jeep*. Niestety, pewnych trudności nastąpił wjazd do wewnętrznego ogrodu, ponieważ brama w Żółtym Murze była o kilka centymetrów za wąska. Młody władca znalazł na to radę: po prostu kazał bramę poszerzyć. To było odważne świadectwo umiejętności przeforsowania swojej woli, ponieważ otoczenie miało wielkie opory wobec wprowadzania jakichkolwiek zmian, zanim młodociany król osiągnie pełnoletność. W ziejąca dziurę w Żółtym Murze czym prędzej wstawiono nowe wrota i postarano się zatrzeć wszelkie ślady jak najprędzej, aby uniknąć niepotrzebnej sensacji. Umiejętność realizowania swoich pomysłów – w dodatku jeszcze bez ranienia uczuć swojego otoczenia – stanowiła o mocy tego chłopca.

Tak więc *jeep* otrzymał swój własny domek i często ratował sytuację, gdy stary motor zastrajkował. Szofer Dalajlamy XIII pomógł mi w założeniu instalacji elektrycznej i wkrótce całe urządzenie zaczęło działać. Potem osobiście się postarałem, aby w ogrodzie nie pozostał nawet ślad prac budowlanych i w miejscach nieuniknionego spustoszenia założyłem nowe rabaty i ścieżki. Naturalnie, przy tej niepowtarzalnej okazji nie omieszkałem spenetrować dokładnie ogrodu, który zwykle jest pilnie strzeżony. Nie mogłem przecież wtedy wiedzieć, że w przyszłości będę tu częstym gościem.

Tymczasem nastąpiła wiosna i Norbulingka rozkwitła całą swą krasą i spokojem. Brzoskwinie i grusze pokryły się kwieciami, na trawnikach puszyły się tęczowopióre pawie, a w poustawianych na słońcu donicach rozkwiwały setki rzadkich kwiatów. Na sztucznych stawach znajdowały się wysepki z małymi świątynkami i mostkami. W innym zakątku parku

założono niewielkie zoo. Większość klatek stała pusta, zostało w nich tylko kilka rysiów i dzikich kotów. Dawniej były tu pantery i niedźwiedzie. Niestety, w ciasnych klatkach wkrótce zeszły z tego świata. Dalajlama otrzymywał nieustannie najprzeróżniejsze zwierzęta, zwłaszcza ranne, gdyż w Ogrodzie Klejnotów znajdowały dobrą opiekę.

W ogrodzie, oprócz świątyń, stały porozrzucane między drzewami małe pawilony. Każdy z nich miał specjalnie przeznaczenie: jeden służył młodemu królowi do medytacji, drugi do czytania, a jeszcze inny jako miejsce do nauki i zebrań mnichów. Największy budynek, killkupiętrowy, stał pośrodku ogrodu i był na poły świątynią, na poły służył Jego Świątobliwości za mieszkanie. Ale i w nim okna były małeńkie i wydaje mi się, że określenie tego skromnego budynku mianem pałacu było znaczną przesadą. Jedynie zieleń drzew sprawiała, że wyglądał on bardziej pogodnie od Potali, która przypominała raczej więzienie.

Ale i ogród był zbyt ponury. Drzewa, rosnące swobodnie od lat, tworzyły prawdziwy gąszcz i nikt nie próbował nawet ich przycinać. Ogrodnicy narzekali, że cała ich praca wokół kwiatów i drzew owocowych idzie na marne, ponieważ w cieniu nic nie chce rosnąć. Sprawiłoby mi wielką radość, gdybym mógł uporządkować ten ogród i założyć nowe rabaty, bo chociaż dbało o niego wielu ogrodników, to jednak brakowało mu jakiegoś stylu. W końcu zdołałem przekonać głównego szambelana o konieczności ścięcia przynajmniej pojedynczych drzew i osobiście nadzorowałem pracę drwali. Ogrodnicy zamieszkujący w małych domkach w obrębie Żółtego Muru nie wykazywali wielkiego zrozumienia dla takich poczynań; zajęci byli głównie uprawianiem i pielęgnowaniem kwiatów doniczkowych, które w dzień stały na powietrzu, a na noc wnoszone były troskliwie do domu.

Z wewnętrznego ogrodu prowadziły drzwi wprost do stajni. Stały tam ulubione konie Dalajlamy i oswojony khyang, którego otrzymał w darze. Zwierzęta żyły sobie spokojnie, doglądane troskliwie przez liczną służbę, były grube i tłuste, ponieważ ich pan nigdy ich nie dosiadał.

Nauczyciele i osobiści służący, szambelan i podczaszy Dalajlamy mieszkali poza Żółtym Murem w wielkiej Norbulingce. Stały tam wygodne bloki mieszkalne – jak na tybetańskie warunki nadzwyczaj schludne, w których stacjonowało także pięciuset żołnierzy silnej Gwardii Przybocznej. Dalajlama XIII osobiście troszczył się o swoje oddziały. Otrzymały one mundury o europejskim kroju. Nadzorował też ćwiczenia w specjalnie do tych celów wybudowanym pawilonie. Zauważyłem, że nawet włosy żołnierzy strzyżone były po europejsku, co jest w Tybecie zupełnie nie spotykane. Prawdopodobnie Dalajlamie XIII w czasie pobytu w Indiach spodobał się angielscy żołnierze i wzorując się na nich, zorganizował własną ochronę.

Oficerowie mieszkali w ładnych, niewielkich bungalowach, przy których rosły piękne kwiaty na rabatach. Służba oficerów i ich podwładnych była lekka, polegała głównie na trzymaniu warty i paradnych marszach podczas świąt i uroczystych procesji.

Moje prace zakończyłem na długo przed przeprowadzką Dalajlamy do letniego pałacu.

Czy sala kinowa mu się spodoba? Spodziewałem się, że Lobsang Samten z pewnością będzie na pierwszym pokazie i przekaże mi jego opinię. Do obsługi projektora Dalajlama wezwie prawdopodobnie filmowca z przedstawicielstwa indyjskiego, gdzie podczas bardzo sympatycznych przyjęć pokazywano niekiedy gościom angielskie i indyjskie filmy. Miałem wtedy możliwość obserwowania dziecięcego wprost entuzjazmu, z jakim Tybetańczycy je śledzili, zwłaszcza filmy o dalekich krajach. Kiedyś byłem świadkiem jak podczas filmu o Pigmejach budujących swe mosty z lian Tybetańczycy szaleli wprost z radości. A już najbardziej zachwycali ich filmy rysunkowe Walta Disneya. Ciekawe, jak będzie reagował młodociany władca?

* * *

Przygotowania do procesji rozpoczęto w pewien piękny, dosyć już ciepły, wiosenny dzień. O świcie wszyscy stali na nogach, aby zgodnie ze zwyczajem wodą z glinianych dzbanów spryskać zakurzoną drogę do Norbulingki. Inni znowu po obu stronach drogi, wzdłuż wytyczonej wapnem białej linii, układali kamienie, aby zatrzymać złe duchy, wierząc że w ten sposób uniemożliwią im przejście przez ulicę. Potem z miasta ruszył tak wielki tłum, że miejsce do filmowania zdobyłem niemal z narażeniem życia. Pomógł mi, jak zwykle w takich sytuacjach, mój służący. Był to olbrzym o zeszpeconej ospą, dziobatej twarzy, który samym wyglądem mógł wzbudzić grozę. Cały czas z oddaniem dźwigał moje kamery, torując mi drogę w zbitym tłumie. Mój strażnik nie tylko wzbudzał strach, ale dowiódł też już kiedyś swej odwagi w naprawdę niebezpiecznej sytuacji.

Niekiedy zdarzało się, że zabłąkane lamparty podchodziły aż do miejskich ogrodów. Ponieważ takiej bestii nie wolno zabić, wabi się ją i próbuje schwytać za pomocą różnych trików. Pewnego razu taki lampart dostał się do Ogrodu Klejnotów. Osaczony ze wszystkich stron, z przestrzeloną łapą, został zapędzony do rogu ogrodu i ryczał dziko na każdego, kto próbował się doń zbliżyć. Mój służący, który wówczas był żołnierzem Gwardii Przybocznej, rzucił się na niego z gołymi rękoma i przytrzymał go aż do chwili, kiedy inni przybiegli z workiem. Lampart oczywiście bronił się zaciekle i mocno go poranił. Zwierzę żyło jeszcze kilka dni w zoo Dalajlamy, lecz wkrótce zdechło.

Do miejsca, gdzie stałem, zbliżał się Dalajlama w swym palankinie. Ujrzawszy mnie robiącego zdjęcia, znowu się do mnie uśmiechnął. „Pewnie cieszy się skrycie ze swojego małego kina” – oprócz mnie, taka myśl nikomu nie mogła przyjść do głowy. Czyż nie byłoby to naturalne u samotnego czternastolatka? Ale jeden rzut oka na pokorną, pełną uniesienia twarz mojego służącego przypominał mi, że dla pozostałych jest on nie samotnym chłopcem, ale bogiem.

Podczas gdy procesja przeciągała dalej swą trasą, przecisnąłem się przez ludzki tłum, aż do głównego wejścia do Norbulingki. Chciałem sfilmować barwny wjazd Dalajlamy do

Ogrodu Klejnotów i być może zrobić kilka zdjęć szczególnie charakterystycznych scen. Przed bramą czekała już służba wszystkich jadących w procesji urzędników, aby przejąć konie od swych panów. Jazda konno na terenie Ogrodu Klejnotów jest zabroniona, dlatego konie zostawia się na zewnątrz. Służba trzyma odświętnie przybrane wierzchowce przez długie godziny, aż do zakończenia ceremonii, kiedy panowie zaczną wracać do domów. Ten wspaniały, barwny obraz: odświętnie ubrany tłum, ogniste konie, błyszczące uprzęże i jaskrawe czapaki – i jeszcze świeżo pomalowane kamienne lwy u wrót – to z pewnością byłyby piękne zdjęcia.

Gdy procesja zniknęła w ogrodzie, tłum zaczął się dzielić na grupy, które powracały do miasta, radośnie śpiewając. Ja także chciałem już wracać, ale nigdzie nie mogłem dostrzec mojego konia. Za każdym razem, gdy pojawiałem się w pobliżu Norbulingki, służba widząc żółtą uprzęż rzucała się natychmiast do mojego zwierzęcia. Chociaż sam jestem wielkim przyjacielem zwierząt i o powierzone mi konie bardzo dbałem, służący nie mogli sobie darować okazji, aby je nakarmić i wyczyścić. Zmuszony byłem potem prosić o doprowadzenie mojego konia ze stajni Dalajlamy. Konie, osły i muły karmi się tu głównie grochem. Owies rośnie wyłącznie jako chwast. Nomadzi dają swoim zwierzętom nawet suszone mięso, jako bardziej pożywną karmę, a przed trudniejszymi trasami szczególnie smakowity kąsek to campa zmieszana z masłem i liśćmi herbaty.

Parobcy Dalajlamy tworzą własną gildię. Cieszą się złą opinią, wzbudzają lęk i tego to wykorzystują. Gdzie tylko się pojawiają, żądają sutej gościny, która kończy się najczęściej pijatyką. Wszyscy podchodzą do nich ostrożnie, nawet w najlepszych domach przyjmowani są uprzejmie, bo historia Tybetu zna wiele przypadków, kiedy ulubiony służący dalajlamy zdobywał bogactwo i władzę. Najbliższy przykład to były ogrodnik imieniem Khünpela, z którym, przypadkowo, mieszkałem przez rok w jednym domu.

Przyszedł na świat w Norbulingce i jako młody chłopiec zwrócił na siebie uwagę Dalajlamy XIII przez pewne drobne zdarzenie. Kiedyś upuścił donicę z kwiatami. Donica się rozbiła, a on tak się tym przejął, że chciał popełnić samobójstwo. Mnisi z trudem odwiedli go od tego zamiaru, powiadamiając o wszystkim Dalajlamę. Ten, wzruszony opowieścią, wezwał chłopca do siebie, przemówił do niego dobrym słowem, dał mu lepszą pracę i odtąd stale się nim interesował. Nie pomylił się co do chłopaka, bowiem Khünpela miał bystry i otwarty umysł i wkrótce stał się wartościowym pomocnikiem we wdrażaniu idei reformatorskich Dalajlamy. Wybijał się coraz bardziej i stopniowo usuwał w cień Caronga, poprzedniego pupila. Aż do śmierci swego pana zajmował miejsce tuż za nim i miał ogromną władzę, aczkolwiek nie posiadał tytułów ani urzędu. Ta umiejętność otaczania się właściwymi ludźmi była jedną z zalet Dalajlamy XIII.

Po śmierci Dalajlamy XIII Zgromadzenie Narodowe oskarżyło Khünpelę, że przyczynił się do przedwczesnej śmierci swego pana. Jego prosta odpowiedź na zarzuty zrobiła pewne wrażenie: argumentował, że jest chyba ostatnim człowiekiem, którego można by o coś

takiego podejrzewać, a jeżeli już podważa się jego miłość do swego pana, to należałoby wziąć pod uwagę, że wraz ze śmiercią dalajlamy następuje także kres jego kariery. A jednak został pozbawiony majątku, wydalony z miasta i przez wiele lat żył w małej, odludnej osadzie na południu prowincji Kongpo. Nie mogąc znieść dłużej bezczynności, uciekł do Indii i dopiero w czasie mojego pobytu w Lhasie został ułaskawiony przez regenta. Ceniłem go bardzo wysoko i często ubolewałem, że nie jest w stanie przeforsować swoich postępowych idei – to on, na przykład, przed dwudziestu laty założył mennicę i zmodernizował armię.

Po raz pierwszy twarzą w twarz z Kundünem

Rozmyślając o tych sprawach, bez pośpiechu wracałem konno do domu. Zbliżałem się już do miasta, gdy nagle dogonił mnie podniecony żołnierz Gwardii Przybocznej; szukano mnie już w całym mieście – powiedział, oznajmiając, abym zechciał zaraz wrócić do Letniego Ogrodu. „Pewnie zawiodły urządzenia projekcyjne” – pomyślałem natychmiast, ponieważ absurdem byłoby przypuszczać, że niepełnoletni jeszcze król, wbrew wszelkim konwencjom, mógłby mnie wzywać do siebie. Zawróciłem niezwłocznie konia i wkrótce wjeżdżałem do Norbulingki, wokół której było znowu cicho i spokojnie. Za bramą Żółtego Muru czekało już kilku mnichów, którzy ujrawszy mnie, zaczęli machać wskazując mi drogę do wewnętrznego ogrodu. Mimo iż podczas prac budowlanych często tam wchodziłem, dzisiaj poczułem się bardzo dziwnie. Ale oto już Lobsang Samten wyszedł mi naprzeciw, szepecząc coś wciska mi w dłoń białą szarfę. Teraz już nie było wątpliwości: jego brat chce mnie widzieć!

Skierowałem się czym prędzej ku sali kinowej, ale zanim zdążyłem tam wejść, otworzyły się drzwi i stanąłem oko w oko z Żyjącym Buddą. Mimo całego zaskoczenia skłoniłem się głęboko i podałem mu moją szarfę. Wziął ją ode mnie lewą ręką, prawą wykonując impulsywny gest błogosławieństwa, będący raczej spontanicznym wyrażeniem uczuć chłopca, który wreszcie przehorsował swoją wolę, niż ceremonialnym położeniem ręki na głowie. W sali kinowej siedzieli już ze spuszczoneymi głowami trzej opaci, osobiści opiekunowie Króla-Boga. Wszystkich trzech znałem dobrze i nie uszło mojej uwadze, jak łodowato odpowiedzieli dzisiaj na moje pozdrowienie. Z pewnością nie mogli się pogodzić z wtargnięciem intruza w ich dziedzinę, ale nie odważyliby się otwarcie przeciwstawić życzeniu Dalajlamy. Młody Król-Bóg był tym bardziej serdeczny. Promieniał na twarzy i zasypywał mnie pytaniami. Wydawało mi się, że mam przed sobą samotną istotę, którą przez wiele lat nurtowały różne problemy i teraz, gdy wreszcie ma z kim porozmawiać, chciałaby uzyskać odpowiedź na wszystko na raz. Nie dał mi zresztą czasu do namysłu, ponaglając do założenia filmu, który już od dawna chciał obejrzeć. Był to film dokumentalny o kapitulacji Japończyków. Opatów, którzy mieli stanowić audytorium, odesłał na widownię.

Zapewne musiałem obchodzić się z projektorem niezbyt zręcznie i zbyt wolno, bo nagle niecierpliwie odsunął mnie na bok, sam wziął film do ręki i okazało się, że poczyna sobie

znacznie wprawniej niż ja. Powiedział mi, że przez całą zimę zajmował się w Potali aparatami, zdążył już nawet rozłożyć projektor na części i złożyć go ponownie. Zauważyłem wówczas po raz pierwszy, że lubił sam dociekać sedna rzeczy, zamiast przyjmować coś już gotowe. Później doszło do tego, że jak jakiś dobry ojciec, pragnący zachować autorytet u dziecka, spędzałem całe wieczory na przypominaniu sobie na pół zapomnianych rzeczy lub uczyłem się nowych. Każde jego pytanie traktowałem bardzo poważnie i zadawałem sobie wiele trudu, aby na nie sumiennie odpowiedzieć. Zdawałem sobie bowiem sprawę z tego, że moje odpowiedzi będą stanowiły podstawę jego wykształcenia i wiedzy o zachodnim świecie.

Już przy tym pierwszym spotkaniu zaskoczył mnie swoimi technicznymi zdolnościami. Rozłożenie i złożenie projektora bez jakiegokolwiek instrukcji – nie umiał przecież przeczytać angielskich prospektów – było, jak na czternastolatka, mistrzowskim wyczynem. Teraz, gdy film już szedł na ekranie, był uszczęśliwiony, że aparat działa i nie szczędził mi pochwał.

Gdy tak siedzieliśmy razem w kabinie, śledząc projekcję przez otwory w ścianie, cieszył się wszystkim, co widział i słyszał, często chwycił bezwiednie moje dłonie i ścisnął je z podniecenia – zupełnie tak samo, jak robiłby to w ożywieniu każdy inny chłopiec. Chociaż pierwszy raz w życiu siedział sam na sam z białym człowiekiem, zachowywał się całkowicie naturalnie, bez najmniejszego onieśmienia. Podczas przewijania następnego filmu wcisnął mi do ręki mikrofon nalegając, abym coś powiedział. Równocześnie przez okienka obserwował bacznie oświetloną elektrycznym światłem widownię, gdzie na dywanach siedzieli jego nauczyciele. Widziałem, że miał wielką ochotę zobaczyć zdumione miny czcigodnych opatów, kiedy nagle z głośnika rozlegnie się głos, ale bądź co bądź byli to jego nauczyciele i chociaż był ich panem, czuł przed nimi respekt. Nie chciałem mu zepsuć przyjemności i poprosiłem publikę o pozostanie na miejscach, zapowiadając, że następny film przyniesie sensację z Tybetu. Był zachwycony i śmiał się radośnie z zaskoczenia mnichów, zszokowanych moim wesołym, lekkim tonem. Nikt dotąd nie wyrażał się tak swobodnie w obecności boskiego władcy i on sam śledził tę ciekawą sytuację z pałającymi oczyma.

Puszczanie jednego z filmów, które nakręciłem w Lhasie, pozostawił mnie, a sam zajął się pulpitem rozdzielczym. Jako że był to mój pierwszy film, byłem niemniej od niego ciekaw rezultatów. Okazało się, że mogłem być zadowolony, a niedostatki, które nie uszłyby pewnie uwadze fachowca, nie miały tu większego znaczenia. Film przedstawiał moje ujęcia z „małego” święta noworocznego i nawet opaci zapomnieli na chwilę o powadze, rozpoznając swoje czcigodne postaci na błyszczącym ekranie, a gdy ukazało się zbliżenie ministra, który zdrzemnął się podczas ceremonii, rozległ się głośny śmiech. Jednakże był to śmiech dobrotliwy, bo każdy z nich nie raz musiał walczyć z sennością. Wszakże wieść o tym, że Dalajlama ujrzał chwilę słabości swojego ministra musiała rozejść się wśród arystokracji, bo później, gdy tylko pojawiłem się gdzieś z kamerą, wszyscy przybierali godne pozy.

Oczywiście, swoim kinem najbardziej cieszył się sam Dalajlama. Jego zazwyczaj powolne ruchy stały się ożywione i młodzieńcze, komentował z zachwytem każde ujęcie.

Później poprosiłem go o zgodę na pokazanie filmów, które sam nakręcił. Odpowiedział skromnie, że po tym, co zobaczył, nie śmie pokazywać swoich niezdarnych prób. Zdołałem go jednak przekonać, bo sam byłem ciekaw, co wydawało mu się godne filmowania. Oczywiście, że nie miał wielkiego wyboru. Z dachu Potali nakręcił rozległą panoramę doliny lhaskiej – pejzaż zbyt szybko się poruszał. Po nich następowało kilka niedoświetlonych zbliżeń arystokratów na koniach i karawan, przeciągających dzielnicą Szö. Zbliżenie postaci jego kucharza wskazywało, że chętnie robiłby portrety. Ten film był pierwszą próbą w jego życiu i nakręcił go bez jakichkolwiek wskazówek czy informacji z prospektów.

Gdy film się skończył, polecił mi, abym przez mikrofon zapowiedział koniec projekcji. Następnie otworzył drzwi na widownię i dając opatom do zrozumienia, że nie będą mu już potrzebni, zwolnił ich skinieniem ręki. Zobaczyłem znowu jasno, że nie mam przed sobą marionetki, lecz wybitną osobowość, zdolną do narzucenia własnej woli.

„Henrig, ty masz włosy jak małpa!”

Gdy zostaliśmy sami, wspólnie schowaliśmy filmy i przykryliśmy aparaturę żółtymi pokrowcami. Potem usiedliśmy na widowni, na wspinałych dywanach, oświetlonych promieniami słońca wpadającymi przez otwarte okna. Na szczęście przyzwyczailem się już do siedzenia na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, bo w pomieszczeniach Dalajlamy nie było krzeseł ani poduszek do siedzenia. Początkowo nie śmiałem usiąść, ponieważ wiedziałem, że w obecności Króla-Boga nie wolno siedzieć nawet ministrom; nie było tu też tronu, który podkreślałby przynajmniej jego pozycję. Ale on po prostu chwycił mnie za rękaw i pociągnął w dół, kładąc kres moim wahaniom.

Powiedział mi, że od dawna planował to spotkanie, ponieważ wiedział, że musi kiedyś uczynić ten krok, aby dowiedzieć się czegoś o świecie. Liczył się z tym, że regent będzie temu przeciwny, ale miał zamiar spełnić swoją wolę i nawet przygotował sobie odpowiedź na jego sprzeciw. Zdecydowanie postanowił przyswoić sobie, poza religijną wiedzą, także inne umiejętności i ja wydawałem mu się jedyną osobą, która mogłaby mu w tym pomóc. O tym, że byłem dyplomowanym nauczycielem, nie miał pojęcia, a nawet gdyby wiedział, zapewne i tak nie wywarłoby to na nim większego wrażenia. Zapytał, ile mam lat, i bardzo się zdziwił, że dopiero trzydzieści siedem. Podobnie jak wielu Tybetańczyków, moje „żółte” włosy uznał za oznakę podeszłego wieku. Z dziecięcą ciekawością przyglądał się mojej twarzy i dziwił się rozmiarom mojego nosa, który jest przecież zupełnie normalnej wielkości, ale w porównaniu z małymi nosami mongolskimi, wzbudzał już nie raz sensację. Wreszcie dostrzegł włoski na mojej dłoni i powiedział śmiejąc się rozbrajająco: „Henrig, ty masz włosy jak małpa!” Natychmiast przyszła mi do głowy riposta, ponieważ znałem legendę, która głosi, że Tybetańczycy pochodzą ze związku swojego bóstwa Czenrezi z demonicą. Łącząc się z nią, Czenrezi przybrał postać małpy, a ponieważ dalajlama jest inkarnacją tego Buddy*, porównanie nie było dla mnie obraźliwe.

Poprzez takie wesołe uwagi nasza rozmowa stała się swobodna i obydwaj pozbyliśmy się onieśmienia. Teraz i ja mogłem mu się bliżej przyjrzeć. Dobre wrażenie, jakie zrobił na

* dokładniej Bodhisattwy Czenrezi, jednego z ośmiu wielkich bothisattwów, którzy ślubowali odradzać się i pomagać istotom dopóty, dopóki wszystkie nie wyzwolą się z samsary tj. bytu uwarunkowanego (przyp. tłum.)

mnie wcześniej, w czasie przelotnych spotkań, pogłębiło się teraz jeszcze bardziej. Jego skóra była jaśniejsza, niż u przeciętnego Tybetańczyka i o kilka odcieni jaśniejsza, niż skóra lhaskich arystokratów. Jego wyraziste, nieznacznie tylko skośne oczy natychmiast mnie zafascynowały. Tryskały życiem i nie przypominały nieprzeniknionego wzroku Mongołów. Jego policzki pałały i z ciekawości pochylał się ku mnie co chwila. Uszy miał lekko odstające – jak się później dowiedziałem była to jedna z cech świadczących o tym, że jest on inkarnacją Buddy. Dla ochrony głowy przed chłodem Potali, włosy miał nieco dłuższe niż to było w zwyczaju. Jak na swój wiek, był wyrośnięty i w przyszłości osiągnie pewnie słuszny wzrost swoich rodziców. Niestety, wskutek długotrwałych studiów i siedzenia z pochylonymi plecami, przywykł do wadliwej postawy ciała. Szlachetne, wysmukłe dłonie spoczywały zazwyczaj w bezruchu. Zauważyłem, że często ze zdumieniem spoglądał na moje ręce, gdy wypowiadany przeze mnie słowom towarzyszyły gesty. Ponieważ Tybetańczycy w ogóle nie posługują się gestykulacją, co jest równocześnie wyrazem spokoju Azjatów, najdrobniejszy mój ruch zwracał jego uwagę. Podobnie jak wszyscy mnisi, Dalajlama nosił także bordowe szaty, zalecone kiedyś przez Buddę, i zewnętrze nie różnił się od innych duchownych urzędników.

Czas upływał nam jak z bicia trzasnął. Miałem wrażenie jakby pękały wszelkie tamy i chłopiec musi teraz wszystko z siebie wyrzucić. Byłem zaskoczony, jak wiele różnych wiadomości przyswoił sobie z książek i czasopism. Na temat drugiej wojny światowej posiadał siedmiotomowe angielskie dzieło. Podpisy pod ilustracjami polecił już sobie przetłumaczyć na tybetański i umiał rozpoznawać poszczególne typy samolotów, samochodów i czołgów, a także znał dobrze takie nazwiska jak Churchill, Eisenhower czy Mołotow. Ponieważ jednak nie miał nikogo, komu mógłby zadawać pytania, często nie mógł uchwycić wzajemnych powiązań i teraz był uszczęśliwiony, że wreszcie znalazł się człowiek, któremu może zadać pytania nurtujące go od wielu lat.

Było już około trzeciej po południu, gdy wszedł Sopön Khenpo, opat, który dbał o cielesne sprawy Dalajlamy, aby przypomnieć młodemu królowi o jedzeniu. Wstałem chcąc się pożegnać, ale on natychmiast pociągnął mnie, abym usiadł z powrotem, polecając opatowi przyjść później. Nieśmiało wyjął zeszyt z zasmarowaną różnymi rysunkami okładką i poprosił, abym przejrzał jego próby pisania. Ku mojemu zdumieniu ujrzałem, że ćwiczył pisanie dużych liter alfabetu łacińskiego. A więc zajmował się nie tylko męczącymi studiami religijnymi, ale wypełniał sobie samotne godziny majstrowaniem przy najnowocześniejszych zachodnich aparatach i z własnej inicjatywy rozpoczął naukę obcych języków. Nalegał, abyśmy natychmiast przystąpili do lekcji języka angielskiego. Wymowę zapisywał sobie zaraz swoim drobnym tybetańskim pismem.

Zapewne upłynęła już następna godzina, bo Sopön Khenpo pokazał się w drzwiach po raz drugi, prosząc tym razem bardziej stanowczo, aby Dalajlama zechciał pamiętać o czekającym posiłku. Równocześnie próbował mnie wcisnąć tacę z ciastem, białą bułeczką i owczym

serem. Gdy się wzbraniałem, wyjął białą serwetkę i owinąwszy jedzenie, poprosił abym je wziął ze sobą do domu. Jednak Dalajlama nie chciał przerwać naszej rozmowy i przymilnym głosem prosił swego opiekuna o jeszcze trochę cierpliwości. Patrząc z miłością na swego podopiecznego, opat zgodził się i zostawił nas samych. Odniosłem wrażenie, że obdarza on chłopca prawdziwą ojcowską miłością i bardzo się o niego troszczy. Ten siwowłosy opat pełnił już tę samą funkcję u Dalajlamy XIII i zachował ją po jego śmierci. Świadczyło to o jego odpowiedzialności i wierności, ponieważ urzędnicy rzadko pozostają na swych stanowiskach, gdy zmieniają się ich panowie.

Dalajlama zaproponował, abym następnego dnia odwiedził jego rodzinę, która latem zamieszkiwała w Norbulingce, i bym tam czekał aż przyśle po mnie, po skończeniu swoich obowiązków. Na pożegnanie serdecznie uściśnął mi dłoń – znając pewnie ten zwyczaj z czasopism – aby wyrazić swoją przyjaźń.

Wracając przez pusty ogród i przechodząc przez wielkie wrota, sam nie wierzyłem, że właśnie przez pięć godzin gawędziłem z Boskim Królem Kraju lamów. Ogrodnik zamknął za mną bramę i strażnicy, którzy zdążyli już zmienić się kilkakrotnie, zupełnie skonfundowani zaprezentowali broń. Powoli wracałem na moim koniu do Lhasy. Gdyby nie zawiniątko z ciastem w moich rękach, myślałbym, że to był sen. Który z moich przyjaciół uwierzyłby, gdybym mu powiedział, że właśnie przez kilka godzin rozmawiałem sam na sam z Żyjącym Buddą? Pewnie uśmiechnęliby się współczująco, patrząc na mnie jak na szaleńca...

Przyjaciel i nauczyciel Dalajlamy

Czułem się bardzo szczęśliwy z powodu zadania, które na mnie czekało. Nauczanie i przekazywanie wiedzy temu inteligentnemu młodzieńcowi – władcy kraju tak wielkiego jak Niemcy, Francja i Hiszpania razem wzięte – było naprawdę wielkim zadaniem.

Jeszcze tego samego wieczoru wyszukałem czasopisma, zawierające szczegóły dotyczące budowy myśliwców odrzutowych. Dzisiaj w tej materii nie byłem zbyt mocny i zmuszony byłem złożyć obietnicę, że następnym razem będę w stanie objaśnić wszystko na podstawie rysunków. Odtąd zawsze przygotowywałem sobie materiał na następne spotkania, ponieważ pragnąłem nieco usystematyzować chłpiące łaknienie wiedzy Dalajlamy.

Mój plan często zawodził, gdy nagle zaczynał on zadawać pytania z całkiem innych dziedzin i nie pozostawało mi nic innego, jak odpowiadać na nie tak jak umialem. I tak, aby rozmawiać o bombie atomowej, trzeba było mówić o pierwiastkach. To znowu wymagało informacji na temat metali, ale w języku tybetańskim nie ma słowa metal, musiałem więc wyjaśniać wszystko bardzo szczegółowo i pytania spadały na mnie niczym lawina.

Tak rozpoczął się nowy rozdział mojego pobytu w Lhasie i moje życie nabrało sensu. Zniknęło niezadowolenie i uczucie niespełnienia. Nie porzuciłem starych obowiązków i nadal gromadziłem informacje, sporządzałem mapy, ale dni stały się dla mnie za krótkie i często pracowałem do późnej nocy. Przyjemności i zainteresowania poszły na bok, ponieważ Dalajlama mógł mnie wezwać w każdej chwili i zawsze musiałem mieć czas dla niego. Na przyjęcia do moich przyjaciół przestałem przychodzić z rana, jak to było w zwyczaju, lecz zjawiałem się dopiero późnym popołudniem. Jednak nie traktowałem tego wszystkiego jako wyrzeczenia, byłem szczęśliwy wiedząc, że wreszcie znalazłem cel w życiu.

Lekcje z moim dostojnym uczniem były dla mnie często nie mniej pouczające. Dzięki niemu dowiedziałem się sporo o historii Tybetu i naukach Buddy, ponieważ jego wiedza w tej dziedzinie była nieprawdopodobna. Nasze debaty religijne trwały często długie godziny i był on całkowicie pewny, że zdoła mnie przekonać do buddyzmu. Powiedział mi, że właśnie studiuje księgi zawierające przekaz prastarej wiedzy o sposobach oddzielania ciała i ducha. Historia Tybetu zna wielu świętych, którzy potrafili – pozostając ciałem zatopieni w medytacji – oddziaływać równocześnie w miejscu oddalonym o setki mil. Młody Dalajlama

był przekonany, że dzięki sile wiary i zastosowaniu odpowiednich metod – ściśle przepisanych rytuałów – będzie kiedyś w stanie działać w odległych miejscach, na przykład w Samye. Z chwilą gdy osiągnie już te zdolności*, wyśle mnie tam, aby kierować mną z Lhasy. Pamiętam, że odpowiedziałem mu wówczas ze śmiechem: „O Kundünie, wtedy i ja zostanę buddystą!”

* Siddhi (tyb. ngö drub) – szczególne zdolności osiągane w wyniku medytacji. Dzielą się na zwyczajne i absolutne. Zwyczajne siddhi są zdolnościami fizycznymi i psychicznymi, absolutne – to rozpoznanie natury umysłu (przyp. red.)

Czerwone Chiny zagrażają Tybetowi

Niestety, nigdy nie przeprowadziliśmy tego eksperymentu. Na naszą przyjaźń już od samego początku kładły się cieniem wydarzenia polityczne. Czerwone Chiny przybierały coraz bardziej arogancki ton, prezentowany w Radiu Pekin, a rząd Czang Kai-Szeka przeniósł się już na Formozę. Tybetańskie Zgromadzenie Narodowe w Lhasie obradowało bez przerwy, powołując coraz to nowe oddziały wojska. W Szö odbywały się ćwiczenia i parady wojskowe, a Dalajlama własnoręcznie błogosławił nowe chorągwie i przekazywał je armii.

Anglik Fox miał pełne ręce roboty ze szkoleniem nowych radiooperatorów, ponieważ każdy oddział otrzymywał co najmniej jeden nadajnik.

Tybetańskie Zgromadzenie Narodowe, ciało podejmujące najważniejsze decyzje, składa się z pięćdziesięciu świeckich i duchownych urzędników. Przewodniczą mu czterej opaci z klasztorów Drepung, Sera i Ganden, którym pomagają czterej świeccy sekretarze finansowi i czterej urzędnicy duchowni. Członkami zgromadzenia mogą być zarówno świeccy, jak i duchowni urzędnicy rozmaitych urzędów, z wyjątkiem czterech ministrów Gabinetu. Zgodnie z konstytucją, obradują oni w sąsiedniej sali i otrzymują na bieżąco podjęte uchwały, nie posiadają jednak prawa weta. Ostateczne decyzje należą do dalajlamy, a do chwili osiągnięcia przez niego pełnoletności – w jego imieniu – do regenta. Oczywiście nikt nie odważyłby się dyskutować nad propozycją tak wysokiego autorstwa. Największymi wpływami w Zgromadzeniu Narodowym cieszą się zawsze pupile władcy.

Jeszcze przed kilku laty, oprócz „małego” zwoływano corocznie tzw. Wielkie Zgromadzenie Narodowe. Składało się ono ze wszystkich urzędników i przedstawicieli cechów rzemieślniczych: krawców, kamieniarzy, cieśli, itp. To prawie pięciusetosobowe zgromadzenie zniesiono po cichu, ponieważ poza zadośćuczynieniem literze prawa, nie miało ono praktycznie żadnego znaczenia w sytuacji, gdy regent posiadał rzeczywistą władzę absolutną.

Teraz gdy nadeszły trudne czasy, coraz częściej zasięgano rady u wyroczni. Jej przepowiednie były ponure i bynajmniej nie podnosiły Tybetańczyków na duchu. Głosiły mianowicie: „Świętemu Krajowi zagraża potężny wróg z północy i wschodu” lub „Religia jest w niebezpieczeństwie”. Mimo że spotkania z wyrocznią były ściśle tajne, jej

przepowiednie przenikały na zewnątrz i powtarzano je sobie szeptem. Jak to w okresach kryzysu i wojny bywa, od przeróżnych pogłosek huczało w mieście jak w ulu, i często siła wroga urastała do legendy. Wyrocznie miały co robić, bo ważyły się nie tylko losy kraju, ale także każdy obawiał się o swoje prywatne dobra. Częściej niż zazwyczaj szukano więc rady u bogów. Odwoływano się do znaków i każde zdarzenie traktowano jako dobry lub zły omen. Co bardziej przezorni, przewozili swój majątek na południe lub do odległych posiadłości. Ale lud święcie wierzył w pomoc bogów i był przekonany, że zdarzy się cud, który odwróci wojnę od kraju.

Jednak Zgromadzenie Narodowe zdawało sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Zaczęto pojmować, że polityka izolacji jest teraz wielkim zagrożeniem dla państwa. Był już najwyższy czas, aby nawiązać stosunki dyplomatyczne i całemu światu ogłosić wolę niezawisłości Tybetu, ponieważ twierdzenie Chin, że Tybet jest ich prowincją, nie zostało dotychczas oficjalnie podważone. Gazety i rozgłoszenie całego świata mogły donosić o kraju lamów cokolwiek chciały – i tak nigdy na to nie zareagowano, ponieważ tybetańska interpretacja całkowitej własnej neutralności politycznej nie dopuszczała komentowania wiadomości. Teraz zaczęto sobie zdawać sprawę z niebezpiecznych konsekwencji takiej postawy i zaczęto pojmować znaczenie propagandy. Radio Lhasa przystąpiło do codziennego nadawania w eter – w językach tybetańskim, chińskim i angielskim – informacji o stanowisku Tybetu.

Spośród władających językiem angielskim arystokratów i urzędników rząd wybrał delegatów, którzy mieli pojechać do Pekinu, Delhi, Waszyngtonu i Londynu. Niestety, dotarli oni zaledwie do Indii i tam pozostali, ponieważ brak zdecydowanego działania Rządu Tybetańskiego oraz intrygi wielkich mocarstw przeszkodziły delegatom w kontynuowaniu misji.

Młody Dalajlama, choć wolny od nienawiści i uprzedzeń, zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Nadal jednak wierzył w pokojowy rozwój wydarzeń. Podczas naszych spotkań zauważyłem, jak bardzo przyszły władca zaczął interesować się polityką. Spotykaliśmy się zawsze sami na widowni małego kina i często – z drobiazgów tylko – mogłem wnioskować, jak bardzo cieszył się z mojego przybycia. Niekiedy rozpromieniony wybiegał mi naprzeciw przez ogród, z wyciągniętą do przywitania ręką. Pomimo okazywanej mi przezeń serdeczności i nazywania mnie swoim przyjacielem, zawsze okazywałem należny mu respekt i traktowałem go jak przyszłego króla Tybetu – i mojego zwierzchnika. Zlecił mi udzielanie mu lekcji angielskiego, geografii i matematyki, musiałem też obsługiwać jego kino i dostarczać mu informacji o aktualnych wydarzeniach na świecie. Sam pomyślał o tym, aby zaproponować podwyższenie mojej gaży, i chociaż nie mógł wydać takiego rozkazu, wystarczyło przecież tylko jego życzenie.

Dalajlama zadziwiał mnie nieustannie swoją zdolnością rozumienia, wytrwałością i pilnością. Gdy zadałem mu do przetłumaczenia dziesięć zdań, tłumaczył z własnej woli dwa

razy tyle. Zauważyłem, że nauka języków szła mu bardzo łatwo, podobnie jak wielu Tybetańczykom. Nie jest rzadkością, że arystokraci i kupcy poza językiem ojczystym władają mongolskim, chińskim, nepalskim i hindi. Nawiasem mówiąc, nie jest prawdą, że te języki są do siebie podobne. Dla przykładu: w alfabecie tybetańskim nie ma „F”, za to wiele „R”, a w języku chińskim jest na odwrót. Zatem wymowa „F” sprawiała mojemu czcigodnemu uczniowi największej trudności. Słuchanie jego wymowy dawało mi dużo radości. Ponieważ mój angielski też nie był doskonały, pomagaliśmy sobie jego przenośnym radiem, słuchając codziennie wiadomości i zapisując je sobie dla utrwalenia.

W jednym z urzędów w opieczętowanej skrzyni odkryłem angielskie podręczniki. Wystarczyło jedno skinienie i jeszcze tego samego dnia dostaliśmy je i urządziliśmy w sali kinowej małą bibliotekę. Dalajlama nie mógł się nacieszyć tym znaleziskiem, ponieważ dla Lhasy był to prawdziwy skarb. Patrząc na jego gorliwość i żądzę wiedzy, często ze wstydem wspominałem własną młodość.

W spuściznie po Dalajlamie XIII znajdowało się wiele angielskich książek i map, ale ich stan wskazywał, że właściciel prawie z nich nie korzystał. Swoją wiedzę zdobył on podczas długoletnich podróży po Chinach i Indiach, a znajomość zachodniego świata zawdzięczał przyjaźni z Sir Charlesem Bellem. Nazwisko tego Anglika było mi znane, ponieważ będąc w niewoli czytałem jego książki. Był on wielkim obrońcą niezawisłości Tybetu. Pracował w charakterze politycznego oficera łącznikowego pomiędzy Sikkimem, Tybetem i Bhutanem i dalajlamę poznał w Indiach, po jego ucieczce z Tybetu. Pomiędzy tymi dwoma dojrzałymi mężczyznami zawiązała się wówczas bliska przyjaźń, trwająca przez wiele lat. Sir Charles Bell był pierwszym białym, któremu udało się w ogóle wejść w osobisty kontakt z jednym z dalajlamów.

Mój młody uczeń, chociaż nie mógł jeszcze podróżować, interesował się szerokim światem niewiele mniej. Geografia, której byłem dyplomowanym nauczycielem, stała się także ulubionym przedmiotem Boskiego Króla. Rysowałem mu olbrzymie ściennie mapy całego świata i szczegółowe mapy Azji i Tybetu. Posługując się globusem, mogłem mu na przykład wyjaśnić, dlaczego radio Nowy York „spóźnia się” o jedenaście godzin. Wkrótce orientował się we wszystkim. Pojęcie „Kaukaz” było mu tak samo bliskie jak „Himalaje”. Był szczególnie dumny z tego, że najwyższy szczyt świata leży w jego kraju, i podobnie jak wielu Tybetańczyków dziwił się, że tylko nieliczne kraje na świecie są większe od jego państwa.

Trzęsienie ziemi i inne złe znaki

Nasze przyjemne lekcje tego lata przerwały różne budzące lęk zdarzenia. Coraz częściej pojawiały się złe znaki: rodziły się zniekształcone zwierzęta, pewnego ranka znaleziono na ziemi rozbity kapitel kolumny, leżący u stóp Potali. Rząd na próżno wysyłał w takie miejsca mnichów, którzy modłami mieli powstrzymać złe duchy. A gdy pewnego pięknego, słonecznego dnia z rzygacza w kształcie głowy smoka, znajdującego się na dachu Katedry, zaczęła kapać woda, w całej Lhasie zapanowała trwoga.

15 sierpnia Świąte Miasto nawiedziło silne trzęsienie ziemi. Następny zły omen! Wszystkich ogarniał jeszcze strach na myśl o zeszłorocznej komecie, której błyszczący ogon widniał na niebie przez całe dnie i noce. Starzy ludzie przypominali sobie, że po pojawieniu się poprzedniej wybuchła wojna z Chinami. O ostatniej słyszałem już wcześniej przez radio, ponieważ lotnicy zauważyli ją już nad Australią. A gdy pojawiła się nad Lhasą, poszedłem z moim przyjacielem Łangdülą na nocną przechadzkę, aby podziwiać to fantastyczne zjawisko.

Trzęsienie ziemi przyszło zupełnie niespodziewanie. Wszystkie domy w Lhasie zaczęły drżeć i w oddali rozległo się około czterdzieści głuchych detonacji, wywołanych prawdopodobnie przesuwaniem się warstw ziemskich. Od wschodu pojawiła się na bezchmurnym niebie ognista luna, a drobne drgania utrzymywały się przez następne dni. Stacje indyjskie donosiły o wielkich zmianach skorupy ziemskiej w graniczącej z Tybetem prowincji Assam. Nastąpiło tam przemieszczanie się dolin i całych gór, a wskutek obrywów górskich wpadających do Brahmaputry powstały potworne spustoszenia.

Dopiero kilka dni później dotarły do Lhasy wiadomości o tym, że w Tybecie katastrofa przybrała znacznie większe rozmiary. Centrum trzęsienia ziemi znajdowało się najprawdopodobniej w południowym Tybecie. Wskutek ruchów tektonicznych legło w gruzach wiele skalnych klasztorów, zasypując setki mnichów i mniszek. Często ginęli wszyscy i nawet nie miał kto powiadomić najbliższego bonpo o tragedii. Popękały mury zamczysk, z których pozostały tylko sterczące w niebo ruiny, a w nagle powstających rozpadlinach znikali ludzie, jakby chwytni przez duchy.

Wszystkie te zjawiska można było wytłumaczyć także racjonalnie, ale odebranie Tybetańczykom ich przesądów, to jakby zabranie im części ich życia. Im więcej bojaźni

wywołuje zły omen, tym więcej siły i zaufania czerpie się z pomyślnych znaków.

O złowieszczych zjawiskach informuje się najdokładniej przede wszystkim Dalajlamę. Mimo że zabobonny, podobnie jak jego naród, był on bardzo ciekaw mojego zdania o tych sprawach. Tematom do rozmów nie było końca i wciąż brakowało nam czasu, aby porozmawiać o wszystkim. Spędzał ze mną swój wolny czas i tylko nieliczni wiedzieli, że zamiast odpoczywać wolne chwile spędza ucząc się ze mną. Zawsze przestrzegał skrupulatnie rozkładu godzin. Im radośniej mnie witał, tym niespokojniej spoglądał na zegarek, gdy jego wolny czas się kończył. O określonej porze czekał już na niego w pawilonie nauczyciel religii.

O tym, jak rzetelnie traktował także mój czas, dowiedziałem się przez przypadek. Pewnego dnia, kiedy odbywało się wiele ceremonii, nie liczyłem się już z wezwaniem do Norbulingki i wybrałem się z przyjaciółmi na spacer na pobliskie wzgórze. Wcześniej jednak, na wypadek gdyby jednak Dalajlama zechciał mnie wezwać, poinstruowałem służącego, aby dał mi znać miganiem lusterka. Rzeczywiście, o zwykłej porze zobaczyłem sygnał i czym prędzej wróciłem do miasta. Przy promie czekał już mój służący z koniem, ale mimo pośpiechu spóźniłem się dziesięć minut. Dalajlama podbiegł do mnie i chwytając mnie w zniecierpliwieniu za obie ręce zapytał: „Henrig, gdzie byłeś tak długo? Nie mogłem się już ciebie doczekać!” Zacząłem go przeproszać, że tak go zaniepokoiłem, i wtedy dopiero zrozumiałem, co dla niego znaczyły te godziny.

W tym dniu obecna była także jego matka i najmłodszy brat. Puściłem im jeden z osiemdziesięciu filmów, które posiadał Dalajlama. Po skończonej projekcji Sopön Khenpo, szambelan, przyniósł dla matki Jego Świątobliwości szczególnie duże zawiniątko z pieczywem. Przy tej okazji mogłem zobaczyć spotkanie matki z synem. Wiedziałem, że od momentu rozpoznania chłopca jako inkarnacji rodzina nie ma już do niego prawa i, podobnie jak dla wszystkich, staje się on dla niej wyłącznie Żyjącym Buddą. Dlatego odwiedziny matki były wizytą niemal oficjalną i przybyła ona w odświętnym ubiorze i w biżuterii. Przy pożegnaniu skłoniła się, a Dalajlama pobłogosławił ją, kładąc dłoń na jej głowie. Gest ten wyrażał chyba najlepiej ich związek. Nawet matka nie została pobłogosławiona obiema dłońmi, takie błogosławieństwo przysługiwało tylko mnichom i wysokim urzędnikom.

Gdy zostaliśmy sami, Dalajlama z dumą pokazał mi swoje zadanie z matematyki. Ten przedmiot zaniedbywaliśmy nieco obydwaj, ponieważ Dalajlama umiał znakomicie posługiwać się powszechnym w całym Tybecie abakusem* i to wystarczało jego potrzebom. Przyrządem tym, używanym dawniej i u nas, Tybetańczycy umieją posługiwać się zadziwiająco biegle. Nie raz przegrałem zawody, stając z ołówkiem i kartką w ręce przeciwko temu liczydłu. Ludzie nie posiadający abakusa używają do liczenia glinianych skorupki albo pestek brzoskwini i grochu, tak jak w szkole. Najprostsze rachunki załatwia się przy pomocy

* Liczydło – prostokątna deska z wyrytymi żłobkami, w których kamykami zaznaczano jednostki poszczególnych rzędów przedstawianej liczby. Do XVIII w. używane także w zachodniej Europie (przyp. red.)

różańca, który każdy Tybetańczyk ma zawsze pod ręką.

Niekiedy – aczkolwiek bardzo rzadko – zdarzało się, że przeszkadzano nam w naszym spotkaniu. Pewnego razu gwardzista straży przybocznej przyniósł jakiś ważny list. Ten olbrzymi mężczyzna padł trzykrotnie na twarz, zgodnie z etykietą wciągnął głośno oddech i wręczył list. Następnie cofając się opuścił pomieszczenie i bezszelestnie zamknął za sobą drzwi. Dopiero w takich chwilach uświadamiałem sobie wyraźnie, jak bardzo łamałem wszelki ceremoniał.

List przysyłał najstarszy brat Dalajlamy, przeor klasztoru Kumbum w chińskiej prowincji Czinghai*. W tych rejonach czerwoni Chińczycy zdobyli już władzę i teraz próbowali przy pomocy Tagsela Rimpocze pozyskać przychyłność Dalajlamy. List zapowiadał jego przybycie, a ponieważ był długo w drodze, Tagsela Rimpocze można się było spodziewać niebawem.

W tym samym dniu udałem się z wizytą do rodziny Dalajlamy. Matka przywitała mnie wyrzutami. Uwadze jej macierzyńskiej miłości nie uszło, jak bardzo jej synowi na mnie zależy i jak często spoglądał na zegarek, gdy się nie zjawiałem. Wyjaśniłem jej moje spóźnienie i przekonałem, że nie było ono spowodowane moją lekkomyślnością. Na pożegnanie prosiła mnie, abym nigdy nie zapominał, jak niewiele samodzielnie wybranej radości zaznaje w życiu jej syn.

Być może dobrze się stało, że miała okazję chociaż raz przekonać się osobiście, co znaczyły dla Dalajlamy te nasze spotkania. Po kilku miesiącach, gdy już cała Lhasa wiedziała dokąd jeżdżę codziennie w południe i – jak było do przewidzenia – mnisi zaczęli komentować te ciągle odwiedziny, wtedy to ona wystąpiła energicznie w obronie życzeń swojego syna.

Kiedyś, gdy znowu przekraczałem wrota Żółtego Ogrodu, odniosłem wrażenie, jakby Dalajlama wypatrywał mnie przez swoje małe okienko. Wydawało mi się, że ma okulary i zdziwiło mnie to, ponieważ nigdy ich u niego nie widziałem. Kiedy go o to zapytałem, wyznał mi, że już od pewnego czasu ma kłopoty z oczami. Dlatego do nauki zakładał okulary, które brat sprowadził mu przez indyjskie poselstwo. Prawdopodobnie zepsuł sobie wzrok jako małe dziecko, gdy godzinami oglądał Lhasę przez lornetkę, a czytanie i studiowanie w ciemnej, źle oświetlonej Potali też nie sprzyjało poprawie jego wzroku.

Tego dnia miał na sobie krótką czerwoną kurteczkę narzuconą na mnisie szaty. Sam ją sobie zaprojektował i bardzo był z niej dumny. Mógł ją jednak nosić tylko w czasie wolnym od zajęć. Jej największą zaletą były kieszenie, ponieważ w ubiorach tybetańskich nie ma ich w ogóle. Dalajlama zauważył je zapewne w czasopiśmie lub w mojej kurtce i zorientował się jak bardzo są użyteczne. Jak każdy chłopiec w jego wieku, nosił w nich nóż, śrubokręt, słodycze i tym podobne rzeczy. Upychał w nich także kredki i wieczne pióra i był zapewne pierwszym dalajlamą, który lubił takie rzeczy. Cieszył się także bardzo swoim zbiorem zegarków, pochodzącym częściowo z majątku Dalajlamy XIII. Jednak swój najbardziej

* Chińska nazwa tybetańskiej prowincji Amdo, zajętej przez Chiny na początku XX wieku (przyp. tłum.)

ulubiony okaz – omegę z datownikiem, nabył za własne, otrzymane w darze pieniądze. Do czasu osiągnięcia pełnoletności mógł dysponować jedynie tymi pieniędzmi, które wierni składali w ofierze u stóp tronu. Dopiero później skarbce Potali i Ogrodu Klejnotów staną przed nim otworem i jako władca Tybetu, będzie jednym z najbogatszych ludzi na świecie.

„Władza dla Dalajlamy!”

Po raz pierwszy odezwały się żądania, aby uznać Dalajlamę za pełnoletniego. W tym trudnym okresie na tronie bardziej pożądanym był młody, niezależny król, niż rządy regenta i jego zauszników, bardzo niepopularne z powodu korupcji. Nie mogły one być przykładem i oparciem dla narodu zagrożonego wojną.

W tych dniach zdarzyło się coś, czego jak świat światem Lhasa jeszcze nie widziała; pewnego dnia na murach przy głównej ulicy prowadzącej do Norbulingki pojawiły się plakaty: „Władza dla Dalajlamy!” Niżej, jako uzasadnienie, następowała cała lista przewinień protegowanych regenta, wobec których wysuwano ciężkie oskarżenia.

Na najbliższym spotkaniu z Dalajlamą rozmawialiśmy oczywiście o tym zdarzeniu, o którym zresztą słyszał już od swego brata. Podejrzewano, że autorami tych roszczeń byli mnisi z klasztoru Sera. Dalajlama bynajmniej nie był zachwycony takim obrotem sprawy, ponieważ nie czuł się jeszcze dostatecznie dojrzały do tak odpowiedzialnego zadania. Wiedział, że jeszcze wiele musi się nauczyć i większą wagę przywiązywał do naszego planu lekcji, niż do plakatów na murach. Niepokoiło go pytanie, czy dorównałby uczniom na Zachodzie, czy też w zachodnich szkołach uznano by go za nie douczonego Tybetańczyka? Zupełnie uczciwie mogłem go zapewnić, że byłby uczniem nieprzeciętnej inteligencji i nadrobienie wiedzy szkolnej nie sprawiłoby mu najmniejszego trudu. Nie tylko Dalajlama wyrażał takie poczucie mniejszej wartości. Tybetańczycy w rozmowach często mówili: „o niczym nie wiemy, jesteśmy tacy głupi!”. Jednakże już same takie wypowiedzi dowodziły, że jest przeciwnie: w żadnym wypadku nie można było o nich powiedzieć, że są ograniczeni, mylili tylko wykształcenie z inteligencją.

Z pomocą Misji Indyjskiej zdobywałem odpowiednie filmy do naszego kina, pragnąłem bowiem sprawiać radość Dalajlamie i starałem się, by program był urozmaicony. Pierwszym filmem był film „Henryk V” i byłem bardzo ciekaw, jak odbierze go młody Król-Bóg. Zezwolił on obejrzeć film także swoim opatom, a gdy zgasło światło, na widownię wcisnęli się nawet ogrodnicy i kucharze zatrudnieni wewnątrz Żółtego Muru. Publiczność przykucnęła na dywanach, Dalajlama i ja siedzieliśmy – jak zwykle podczas projekcji – na schodach, prowadzących do pomieszczenia operatorskiego. Szeptem tłumaczyłem mu tekst, starając się

równocześnie odpowiadać na jego pytania. Dobrze, że wcześniej się przygotowałem, bo Niemcowi nie jest wcale tak łatwo tłumaczyć Szekspira z angielskiego na tybetański. Sceny miłosne powodowały sporą konsternację na widowni i przy powtórным oglądaniu tego filmu, już tylko w dwójkę, pominąłem je. Kundün był filmem zachwycony. Bardzo zainteresowało go życie wielkich ludzi, nie tylko władców, ale też słynnych dowódców wojskowych i techników, i nalegał, abym o nich opowiadał jak najwięcej.

Sprowadziłem też dokumentalny film o Mahatmie Gandim, który przyjęto tu z wielkim szacunkiem i Dalajlama oglądał go kilka razy.

Już wcześniej zwróciłem uwagę na jego znakomite poczucie smaku. Kiedyś gdy porządkowaliśmy filmy, wybrał wszystkie komedie i filmy czysto rozrywkowe, prosząc abym je wymienił. Najbardziej przemawiały do niego filmy wojenne, o nauce i o kulturze. Kiedyś pomyślałem sobie, że sprawię mu radość wyjątkowo pięknym filmem o koniach, ale niestety musiałem stwierdzić, że specjalnie się końmi nie zainteresował. „To śmieszne” – powiedział, mając na myśli Dalajlamę XIII – „że poprzednie ciało tak bardzo lubiło konie, a mnie one tak niewiele obchodzą”. Wolał zajmować się silnikiem *jeepa* i rozkładać na części swoją nowo zdobytą *laicę*. Ale niebawem okazało się, że jego techniczne przygotowanie nie było wystarczające do takich zabaw i w rezultacie musiałem mu pożyczyć mój aparat.

W tym czasie znacznie urósł, tak jak to bywa w jego wieku, i był trochę niezdarny. Kiedyś upuścił światłomierz i był z tego powodu nieszczęśliwy niczym mały chłopiec, który zepsuł sobie zabawkę. Musiałem mu przypomnieć, że przecież jest władcą wielkiego kraju i może sobie kupić tyle światłomierzy, ile tylko zechce. Nieustannie zadziwiał mnie swoją skromnością – z pewnością dziecko pierwszego lepszego bogatego kupca było bardziej rozpieszczone niż on. Służących miał także mniej od niejednego arystokraty. Jego życie było ascetyczne i samotne, a także przez wiele dni w roku nie wolno mu było ani mówić, ani jeść.

Jego brat Lobsang Samten, jedyna osoba, która mogła dotrzymywać mu towarzystwa, chociaż starszy, nie dorównywał mu umysłowo. Początkowo Dalajlama chciał, aby i on uczestniczył w naszych lekcjach. Ale dla Lobsanga ten obowiązek był męką i prosił mnie często, bym zechciał go wytłumaczyć przed Kundünem. Przyznał mi się, że z naszych lekcji prawie nic nie rozumie i musi walczyć z sennością. Za to w wielu sprawach związanych z rządzeniem był o wiele bardziej praktyczny i już teraz wspierał brata w sprawowaniu publicznych obowiązków.

Kundün przyjmował częste przeprosiny swojego brata z całkowitym spokojem. Dziwiło mnie to niezmiernie, ponieważ Lobsang Samten sam mi opowiadał, jak bardzo Dalajlama był impulsywny jako dziecko. Zauważyłem, że teraz po tej cesze nie zostało ani śladu. Był raczej zbyt opanowany i zbyt poważny jak na swój wiek. Ale gdy się śmiał, śmiał się serdecznie jak dziecko i przepadał za niewinnymi psotami. Niekiedy boksował się ze mną dla żartów i czasem nieźle mi nadokuczał. Równocześnie dawał dowody swojej wielkiej spostrzegawczości. Na przykład, gdy zadawał mi pytania, na które nie umiałem natychmiast

odpowiedzieć, koncentrując się, zazwyczaj odruchowo podpieralem ręką podbródek i kiedy zdarzyło się, że wracałem do domu nie znalazłszy odpowiedzi, powiedział do mnie żartem: „Henrig, ale jutro rano nie podpieraj sobie znowu głowy, tylko opowiedz mi zaraz wszystko dokładnie!”

Niezależnie od tego, jak bardzo Kundün był otwarty na zachodnie problemy, zmuszony był przecież przestrzegać starych, liczących setki lat zwyczajów. Wszystkie przedmioty pochodzące z osobistego dobytku Dalajlamy uchodziły za nadzwyczaj skuteczne lekarstwo i ochronę przed wszelkimi chorobami i złymi duchami. Wszyscy nagabywali mnie stale o pieczywo i owoce, które przynosiłem do domu z kuchni Jego Świątobliwości. Największą radością, jaką mogłem sprawić moim przyjaciółom, było przekazanie im części tych darów. Natychmiast je zjadano, w przekonaniu że nie ma lepszego środka zapobiegawczego na wszelkie nieszczęście. To przekonanie było jeszcze stosunkowo nieszkodliwe. O wiele mniej wyrozumiałości miałem dla zwyczaju picia moczu Żyjącego Buddy – środka najbardziej cenionego, ale aplikowanego tylko w szczególnych przypadkach. Dalajlama sam dziwił się temu i nie lubił, gdy go o to proszono. Jednakże nie przeciwstawiał się tym zwyczajom i nie zaprzętał sobie nimi specjalnie głowy. W Indiach niemal na każdej ulicy spotykało się ludzi pijących mocz świętych krów.

Dobrze wiedziałem, jak bardzo młody król pragnie wydobyć swój naród z tych przesądów. Gdy zaczynaliśmy rozmawiać o nauce i przyszłych reformach, marzeniom nie było końca. Przygotowaliśmy już plan: z małych, neutralnych krajów, nie posiadających w Azji interesów mocarstwowych, chcieliśmy sprowadzić do Tybetu fachowców. Z ich pomocą należało zorganizować oświatę i leczenie oraz wykształcić własne kadry. Mojemu przyjacielowi Aufschnaiterowi przypadło najważniejsze zadanie. Dla inżyniera rolnictwa było w Tybecie tak wiele pracy, że nie starczyłoby mu życia, aby się ze wszystkim uporać. On sam był strasznie zapalony do tych idei i o niczym innym nie marzył, jak o życiu tutaj i pracy dla Tybetu. Ja z kolei chciałem się poświęcić szkolnictwu, znajdując dla siebie zadanie, o jakim nie mógłbym nawet zamarzyć przy wyborze przedmiotu studiów na Uniwersytecie. Jednakże wszystkie te plany były zawieszone w jakże niepewnej przyszłości. Aufschnaiter i ja mieliśmy dość rozsądku, aby nie ulegać zbyt łatwo złudnym nadziejom. Najazd czerwonych Chin na Tybet był nieuchronny. Wtedy i dla nas nie będzie miejsca w tym kraju, jako że zajmowaliśmy jednoznaczne stanowisko wobec niezawisłości tego niewielkiego, miłującego pokój narodu.

Czternasta Inkarnacja Czenrezi

Pewnego razu, gdy mój związek z Kundünem stał się już zażyły, zapytałem, czy mógłby mi opowiedzieć o tym, jak rozpoznano go jako inkarnację. Wiedziałem już, że urodził się 6 czerwca 1935 roku w pobliżu wielkiego jeziora Kuku-Nor. Gdy z okazji dnia urodzin złożyłem mu życzenia, byłem jedyną osobą, która to zrobiła. Daty urodzin nie mają dla Tybetańczyków najmniejszego znaczenia, nie pamięta się ich i nie świętuje rocznic. Dla narodu jest nieistotne, kiedy urodził się ich król, ponieważ on tylko reprezentuje Czenrezi, bóstwo współczucia, które rezygnując z nirwany, pojawiło się ponownie na świecie – jako jeden z ponad tysiąca Żyjących Buddów – aby pomagać innym. Czenrezi stał się patronem Tybetu, a jego inkarnacje królami kraju Bö – tak zwie się Tybet w rodzimym języku. Mongolski władca Altan-chan, który stał się buddystą, nadał inkarnacjom Czenrezi tytuł dalajlamy, używany teraz na całym świecie. Obecny dalajlama jest czternastą inkarnacją Czenrezi*. Naród widział w nim bardziej Żyjącego Buddę niż króla i modły słał nie do władcy, lecz do patrona kraju.

Młodemu Królowi nie było łatwo sprostać wymaganiom, które mu stawiano. Wiedział, że oczekuje się od niego boskich wyroków, że każdą jego decyzję uważa się za nieomylną i że przejdzie ona do historii Tybetu. Już teraz przygotowywał się do tego trudnego urzędu poprzez głębokie studia religijne i częste wielotygodniowe medytacje. Nie był on obdarzony tą pewnością siebie, jaka cechowała trzynastą inkarnację Czenrezi. Carong opowiedział mi kiedyś zdarzenie charakteryzujące dobrze przewagę zmarłego władcy. Chciał on wprowadzić nowe prawa, ale natrafił na zażarty opór konserwatywnego otoczenia, które powoływało się na zarządzenia Dalajlamy V w podobnych kwestiach. Dalajlama XIII odpowiedział na to: „A kto był piątym ciałem?” Wtedy mnisi padli przed nim na twarz. Ta odpowiedź zamknęła wszystkim usta, ponieważ był on nie tylko trzynastą inkarnacją, ale także piątą i wszystkimi pozostałymi. Pomyślałem wówczas, jak wiele szczęścia miał Tybet, że żaden z jego władców nie posiadał charakteru Nerona czy Iwana Groźnego. Tybetańczyk oczywiście w ogóle by takiej refleksji nie zrozumiał – inkarnacja boga współczucia musiała być dobra.

* Skr. Avalokiteśvara. Jego ziemskie wcielenia – to tybetański król Songcen Gampo, który rządził w latach 629-49, dalajlamowie i karmapowie (zwierzchnicy szkoły Kagyüpa) Czteroręki Czenrezi jest formą emanacji dalajlamów

Dalajlama nie był w stanie wyczerpująco odpowiedzieć na moje pytanie dotyczące historii jego rozpoznania. On sam był wówczas małym dzieckiem i tylko mgliście przypominał sobie tamte wydarzenia. Widząc jak bardzo mnie to interesuje, poradził mi, żebym zwrócił się do pewnego arystokraty, który uczestniczył w jego odnalezieniu.

Jednym z niewielu pozostałych jeszcze przy życiu świadków był obecny dowódca armii Dzasa Künsangce. Pewnego wieczoru opowiedział mi chętnie o przebiegu tego nadzwyczaj tajemniczego wydarzenia.

Już na pewien czas przed swoją śmiercią w 1933 roku Dalajlama XIII zaczął czynić sugestie o sposobie swoich ponownych narodzin. Po śmierci jego zwłoki, siedzące w pozycji Buddy z głową skierowaną na południe, spoczęły w Potali. Pewnego ranka odkryto, że głowa zwrócona jest na wschód. Natychmiast skierowano się do wyroczni – szarfa rzucona przez mnicha w transie spadła w kierunku wschodzącego słońca. Jednak przez następne dwa lata nie znaleziono dalszych wskazówek. W tej sytuacji regent w poszukiwaniu rady udał się z pielgrzymką do słynnego jeziora Czö Khor Gye. Wieść głosi, że spojrzawszy w wody tego jeziora, człowiek ujrzeć może część swego przyszłości. Niestety, leży ono o osiem dni drogi od Lhasy i nie udało mi się znaleźć nigdy dość czasu, aby udać się tam z pielgrzymką i zrobić kilka zdjęć tego cudownego jeziora, a także popatrzeć w jego tonie.

Po długich modlitwach i medytacjach regent stanął na brzegu i spojrzał w taflę jeziora. Ujrzał wizję trzypiętrowego klasztoru o złotych dachach, a obok niego chiński wiejski domek z pięknie rzeźbionymi krokwiemi. Przepelniony wdzięcznością za boski znak, powędrował regent z powrotem do Lhasy i zarządził przygotowania do poszukiwań. Cały naród w napięciu czekał na rezultaty, ponieważ bez swego żywego patrona czuł się już bardzo osierocony. U nas rozpowszechniło się błędne mniemanie, jakoby każda inkarnacja odradzała się w chwili śmierci. Nie jest to zgodne z nauką buddyjską i mogą upłynąć całe lata, zanim bóstwo zstąpi ze swych niebiańskich sfer, przyjmując postać ludzką. Specjalne grupy wyruszyły na poszukiwanie świętego dziecka dopiero w 1937 r., kierując się niebiańskimi znakami. Wysłannikami byli mnisi, ale w każdej grupie znajdował się jeden urzędnik świecki. Wieźli oni ze sobą wiele osobistych przedmiotów Dalajlamy XIII, a wśród często zniszczonych i zużytych rzeczy także i nowe, wspaniale błyszczące, o tym samym przeznaczeniu.

Jedna z grup, do której należał także mój świadek, z Kyecangiem Rimpocze na czele dotarła aż do dystryktu Amdo w chińskiej prowincji Czinghai. W tym rejonie znajduje się wiele klasztorów, ponieważ tutaj urodził się reformator lamaizmu Congkapa. Ludność, częściowo tybetańska, żyje w dobrych stosunkach z ludnością muzułmańską. Wysłannicy znaleźli wielu chłopców, ale żaden z nich nie spełniał kryteriów i wszyscy zaczęli powątpiewać w skuteczność misji. Wreszcie po długiej wędrówce natrafili na trzypiętrowy klasztor o złotych dachach. Jak w olśnieniu, przed oczami stanęła im wizja regenta, a potem wzrok ich padł na wiejską chatę ze wspaniale rzeźbionymi krokwiemi. Podnieceni, zgodnie ze

zwyczajem zarzucili na siebie ubiory swoich służących. Ta maskarada ma głęboki sens, pozwala bowiem uniknąć zwracania na siebie uwagi i ułatwia nawiązanie kontaktu z ludźmi, a o dobry kontakt trudniej jest podróżującemu w stroju bonpo. Służba w ubiorach swych panów otrzymuje pokoje gościnne, a przebrani arystokraci swoje miejsce w kuchni, w której bawią się także dzieci gospodarzy.

Po przekroczeniu progu wysłańcy wiedzieli od razu, że w tym domu znajdą właściwe dziecko i czekali w napięciu na to, co musiało się zdarzyć. Mieli rację. Natychmiast zaczął się ku nim wyrwać mały, może dwuletni chłopiec. Złapał za szaty lamę, który miał na szyi małą Dalajlamy XIII i bez onieśmienia zaczął krzyczeć: „Sera lama, Sera lama”. Fakt, że w służącym rozpoznał lamę był zaskakujący, ale stwierdzenie dziecka, że lama pochodzi z klasztoru Sera, nawet u lamów obytych z mistycznymi zdarzeniami wywołało osłupienie. Mały złapał za różaniec i tak długo nim szarpał, aż zdjął go lamie i sam założył sobie na szyję.

Arystokraci z trudem tylko powstrzymali się od rzucenia się przed nim na twarz, ponieważ nie mieli wątpliwości: odnaleźli inkarnację! Pożegnali się jednak i wrócili dopiero po kilku dniach, już bez przebrania. Czterej bonpowie zaczęli pertraktacje z rodzicami, którzy oddali już jednego syna do klasztoru, jako inkarnację. Potem przeszli z dzieckiem do domowej kaplicy. Zamknęli drzwi i poddali chłopca przewidzianym sprawdzianom. Najpierw pokazali mu różne male. Między nimi znajdowała się mała zmarłego dalajlamy, która wyglądała bardzo niepozornie. Chłopiec swobodnie, bez wahania chwycił właściwy różaniec i skacząc z radości zaczął z nim biegać po pokoju. Spośród wielu dzwonków także wybrał dzwonek zmarłego, którym przywoływał on swoich służących. Sięgnął też po wysłużoną laskę królewską, nie zaszczycając nawet spojrzeniem nowej, z uchwytem z kości słoniowej i srebra. Przy oględzinach ciała chłopca dostrzeżono znaki charakterystyczne dla inkarnacji Czenrezi: duże, lekko odstające uszy i znamiona na klatce piersiowej, które miały być śladami po drugiej parze rąk czterorękiego bóstwa.

Wysłańcy mieli całkowitą pewność. Przez Chiny i Indie wysłali do Lhasy zaszyfrowany telegram z informacją o swoim odkryciu i natychmiast otrzymali polecenie, zobowiązujące wszystkich do zachowania absolutnej tajemnicy, aby uniknąć intryg, które mogłyby zaszkodzić wielkiej sprawie. Czterej wysłańcy zaprzysięgli przed thanką z wizerunkiem Czenrezi, którą wieźli ze sobą, i ruszyli dalej, aby przeegzaminować jeszcze kilku chłopców w celu zatarcia śladów. Sprawa była bardzo delikatna, ponieważ cała akcja poszukiwawcza odbywała się na terytorium Chin. Za żadną cenę nie można było zdradzić, że znaleziono tu właściwego dalajlamę, ponieważ Chiny mogłyby zażądać wysłania z nim do Lhasy oddziałów wojska, w charakterze eskorty. Dlatego też wystosowano do gubernatora prowincji Ma Pufanga prośbę o zezwolenie na przewiezienie chłopca do Lhasy, gdzie ma się odbyć wybór dalajlamy spośród wielu kandydatów. Ma Pufang zażądał za wydanie chłopca sto tysięcy chińskich dolarów. Natychmiast przekazano mu żadaną sumę. Okazało się jednak, że był to

błąd, ponieważ Chińczycy zorientowali się, jak bardzo Tybetańczykom zależy na tym chłopcu, i ponownie zażądali pieniędzy, tym razem trzystu tysięcy dolarów. Zorientowawszy się w popełnionym błędzie, delegacja dostarczyła tylko część żądanej sumy, którą pożyczono od muzułmańskich kupców. Reszta miała zostać wypłacona po przyjeździe do Lhasy na ręce kupców, przybywających z karawaną. Gubernator przystał na te warunki.

Późnym latem 1939 roku karawana składająca się z czterech arystokratów ze służącymi, kupców, dziecka i jego rodziców wyruszyła wreszcie w kierunku Lhasy. Wędrowali przez wiele miesięcy zanim dotarli do granicy Tybetu. Tam oczekiwał ich już ze swym orszakiem minister gabinetu, który wręczył dziecku list regenta, stwierdzający oficjalnie jego wybór. Wtedy po raz pierwszy oddano mu honory należne dalajlamie. Rodzice, którzy podejrzewali wprawdzie, że ich syn musi być wysoką inkarnacją, skoro tyle dla niego się robi, dopiero teraz dowiedzieli się oficjalnie, że to właśnie on jest przyszłym władcą Tybetu. Oznaczało to punkt zwrotny także w ich życiu.

Począwszy od tego dnia, udzielanie błogosławieństw było dla Dalajlamy czymś tak naturalnym, jakby robił to zawsze. On sam pamiętał jeszcze do dzisiaj swój pierwszy wjazd do Lhasy, w złotej lektyce. Nigdy nie widział tak wielu ludzi, ponieważ na ulice wyległo całe miasto, aby pozdrowić nowe wcielenie Czenrezi, które wreszcie po tylu latach nieobecności wracało do Potali. Od śmierci „poprzedniego ciała” upłynęło już sześć lat, a z nich minęły już niemal dwa od przyjęcia przez bóstwo obecnej formy.

W lutym 1940 podczas wielkich uroczystości noworocznych nowy Dalajlama objął uroczyście tron. Równocześnie otrzymał nowe imiona, między innymi takie, jak: Święty, Chwalebny, Potężny w Słowie, Doskonałe Poznanie, Absolutna Mądrość, Dzierżawca Doktryny, Ocean. Wszystkich zdumiewał nadzwyczajnym jak na swój wiek dostojeństwem i powagą, z jaką uczestniczył w wielogodzinnych ceremoniach. Wobec służących swego poprzednika, którzy przejęli nad nim pieczę, był tak ufny i miły, jakby znał ich od zawsze.

Byłem wielce rad, poznając tę historię poniekąd z pierwszej ręki, ponieważ z biegiem lat wokół tego cudownego wydarzenia powstało wiele legend i słyszałem już przeróżne ich wersje.

Przygotowania do ucieczki Dalajlamy

Im bliżej jesieni, tym częściej przerywano nam wspólnie spędzane godziny. Niespokojny czas wciskał się już nawet do cichych zaułków Ogrodu Klejnotów. Pod presją wydarzeń zaczęto coraz bardziej wtajemniczać młodego króla w zagadnienia sprawowania władzy. Zgromadzenie Narodowe przeniosło się do Norbulingki, aby natychmiast powiadamiać Jego Świątobliwość o ważnych zdarzeniach. Młody Dalajlama już wtedy zadziwiał wszystkich urzędników swą dalekowzrocznością i mądrą krytyką. Bez wątpienia, los państwa spocznie niebawem w jego rękach!

Sytuacja była coraz poważniejsza. Ze wschodniego Tybetu dochodziły informacje o koncentracji chińskiej konnicy i artylerii przy granicy państwa. Wysłano oddziały wojska na wschód, mimo iż wiadomo było, że są zbyt słabe, aby powstrzymać wroga. Wysiłki Tybetu, by osiągnąć coś na drodze dyplomatycznej, nie powiodły się – delegacje utknęły w Indiach. Z zewnątrz też nie można było spodziewać się pomocy – przykład Korei wystarczająco dowiódł, że przeciwko Czerwonej Armii nie wystarczy nawet pomoc Stanów Zjednoczonych. Zaczęto poddawać się rezygnacji.

7 października 1950 roku wróg zaatakował granice Tybetu w sześciu miejscach jednocześnie. Doszło do pierwszych walk. Wieści o nich dotarły do Lhasy dopiero dziesięć dni później. Podczas gdy za wolność i niezawisłość kraju żołnierze oddawali już swe życie, w Lhasie celebrowano uroczystości i oczekiwano na cud. Po otrzymaniu wiadomości o nieszczęściu, rząd wezwał najsłynniejsze wyrocznie kraju. W Norbulingce rozgrywały się dramatyczne sceny. Sędziwi opaci i wieloletni ministrowie błagali wyrocznie o wsparcie w tych najtrudniejszych godzinach. W obecności Kundüna starzy mężczyźni ze łzami w oczach rzucali się do stóp jasnowidzącym mnichom, błagając aby tym razem zechcieli wskazać właściwą drogę. W kulminacyjnej chwili transu wyrocznia państwowa nagle wyprężyła się gwałtownie, po czym padła do nóg Dalajlamie krzycząc: „Uczyńcie go królem!” Przepowiednie pozostałych wyroczni były podobne. Ponieważ woli bóstw nie można było lekceważyć, zaczęto przygotowania do przekazania tronu pełnoletniemu Dalajlamie.

Tymczasem oddziały chińskie wkroczyły już setki kilometrów w głąb kraju. Kilku tybetańskich dowódców już skapitulowało, inni tracili nadzieję wobec przewagi wroga.

Gubernator stolicy Tybetu wschodniego przekazał do Lhasy drogą radiową prośbą o zgodę na poddanie się, uznając dalszy opór za bezcelowy. Zgromadzenie Narodowe nie wyraziło zgody. Wysadziwszy więc magazyny z amunicją, zaczął uchodzić wraz z angielskim radiooperatorem Fordem w kierunku Lhasy. Niestety, kilka dni później chińska armia odcięła im drogę i obydwaj dostali się do niewoli. O losie młodego Forda opowiedziałem już wcześniej.

W sytuacji najwyższego zagrożenia Zgromadzenie Narodowe wystosowało do Stanów Zjednoczonych pilną prośbę o pomoc w walce z agresorem. Mały, żyjący w pokoju kraj zaatakowano pod pretekstem, że Czerwona Armia Ludowa nie może tolerować dłużej imperialistycznych wpływów w Tybecie. Tymczasem cały świat wie, że w tym kraju nie ma żadnych obcych wpływów! Żaden kraj nie zamykał się tak szczelnie przed wszelkim wpływem z zewnątrz. Każdy obcokrajowiec, któremu dane było raz dotknąć tybetańskiej ziemi, mógł o tym zaświadczyć. W Tybecie nie ma żadnych imperialistycznych wpływów i nie ma czego „wyzwalać”! Jeśli ktoś zasługuje na pomoc Stanów Zjednoczonych, to właśnie ten zaatakowany kraj. Ale prośba została odrzucona. ONZ wyraziła nadzieję, że Chiny i Tybet zawrą pokojową ugodę.

Tybetańczycy zrozumieli, że bez wsparcia z zewnątrz kraj będzie zmuszony poddać się wrogowi. Kto nie chciał żyć pod obcymi rządami, zaczął pakować swoje mienie. Również Aufschnaiter i ja zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że straciliśmy naszą drugą ojczyznę, i myśl o pożegnaniu bardzo nas przygnębiała. Jednak zmuszeni byliśmy opuścić Tybet, jeśli chcieliśmy uniknąć wplątania w jego politykę. Kraj ten ofiarował nam gościnę i postawił przed nami wiele zadań do rozwiązania, w które zaangażowaliśmy się całym sercem. Okres, kiedy dane mi było udzielać lekcji Dalajlamie, był najpiękniejszym okresem mojego życia. Ale nigdy nie mieliśmy nic wspólnego z uzbrajaniem Tybetu czy dowodzeniem armią, jak to utrzymywało wiele europejskich czasopism.

Co dzień docierały coraz bardziej dramatyczne wieści. Dalajlama zaczął się martwić także o nasz los. Po długiej naradzie zdecydowaliśmy, że powinienem wziąć mój dawno już planowany urlop, aby mieć więcej swobody poruszania się i równocześnie uniknąć niepotrzebnych plotek. Za kilka dni Dalajlama miał przenieść się do Potali i obecnie nie będzie tam czasu na lekcje. Najpierw chciałem pojechać do południowego Tybetu i zwiedzić miasto Szigace, a później udać się dalej – do Indii.

Zbliżały się ceremonie ogłoszenia pełnoletności Dalajlamy. Rząd przeprowadziłby je jak najszybciej, ale należało poczekać na pomyślny dzień, wskazany przez wyrocznię. Równocześnie zrodziło się pytanie o dalsze losy młodego władcy. Czy Żyjący Budda ma pozostać w Lhasie, czy też uciekać? W sprawach najwyższej wagi odwoływano się tradycyjnie także do doświadczeń poprzednich inkarnacji. Dlatego duże znaczenie przypisywano ucieczce Dalajlamy XIII przed Chińczykami], która miała miejsce przed czterdziestu laty i wpłynęła pomyślnie na jego los. Jednak tak ważnej decyzji rząd nie mógł

podjąć samodzielnie, ostatnie słowo należało do bogów. W obecności Dalajlamy i regenta ulepiono dwie kulki z campy. Na złotej wadze sprawdzono, czy jednakowo ważą. Włożono do nich dwie karteczki z napisanymi ręcznie słowami – do jednej „Tak”, do drugiej „Nie”. Kulki wrzucono do złotego pucharu, a puchar włożono w dłonie wyroczni, która – już w transie – wykonywała swój taniec. Wyrocznia zaczęła obracać puchar szybko, coraz szybciej, aż jedna kulka wypadła na ziemię. To była kulka z karteczką „Tak”. Decyzja zapadła: Dalajlama powinien opuścić Lhasę.

Dłuższy czas zwlekałem z wyjazdem, pragnąc poznać plany Dalajlamy. Było mi niezmiernie ciężko opuszczać go w tak niebezpiecznym czasie. Jednak on nalegał na mój wyjazd i pocieszał mnie, że spotkam go jeszcze na południu kraju, bowiem czyniono już gorączkowe przygotowania do jego ucieczki. Utrzymywano je jednak w największej tajemnicy, aby uniknąć niepokoju wśród narodu. Chociaż Chińczycy znajdowali się jeszcze kilkaset kilometrów na wschód od Lhasy, i tam się zatrzymali, obawiano się, że niespodziewana ofensywa może odciąć Dalajlamie drogę ucieczki na południe. Chociaż dokładano wszelkich starań o zachowanie tajemnicy, wkrótce zaczęły krążyć rozmaite pogłoski. Ukrycie wywozu prywatnego majątku Dalajlamy okazało się niemożliwe. Z Lhasy wyruszały codziennie obładowane karawany mułów, strzeżone przez żołnierzy straży przybocznej. Widząc to, arystokraci także przestali się wahać i zaczęli przenosić się z rodzinami i majątkiem w bezpiecznym kierunku.

Na zewnątrz życie w Lhasie toczyło się codziennym trybem. Pojawiły się tylko kłopoty z transportem, ponieważ wielu ludzi zatrzymywało swoje zwierzęta pociągowe do własnego użytku. Na bazarze wzrosły nieznacznie ceny i nadzwyczaj ożywił się handel używanymi rzeczami. Docierały wieści o bohaterskich czynach pojedynczych tybetańskich żołnierzy, ale armia jako taka została rozbita. Nieliczne oddziały, które jeszcze się bronią, niebawem ugną się pod naporem wroga.

W 1910 roku Chińczycy wkroczyli do Lhasy, plądrując i paląc, i teraz mieszkańców Świętego Miasta paraliżował strach na myśl o tym, że coś takiego może się powtórzyć. Trzeba jednak dodać, że tym razem słyszało się nieustannie o dyscyplinie i tolerancji chińskich oddziałów, a powracający już z niewoli żołnierze opowiadali wszędzie, jak dobrze byli traktowani.

Moje pożegnanie z Lhasą

W połowie listopada 1950 roku opuściłem Lhasę. Wciąż nie mogłem się na to zdecydować, ale pewnego dnia rozstrzygnęła możliwość bezpiecznego transportu. Aufschnaiter, który pierwotnie miał zamiar wyjechać razem ze mną, w ostatniej chwili jeszcze raz się zawahał. Wziąłem więc jego bagaż, a on miał podążyć za mną kilka dni później.

Z ciężkim sercem przyszło mi pożegnać się z domem, który tak długo był jak mój własny, z ulubionym ogrodem, z płaczącą służbą. Mój mały pies nie odstępował mnie na krok, jakby wiedział, że nie mogę go zabrać. Nie zniósłby upałów w Indiach, a wiedziałem, że tutaj będzie miał przynajmniej dobrą opiekę. Zapakowałem tylko swoje książki i zbiory, resztę rzeczy podarowałem służącym. Co chwila nadchodzili jeszcze przyjaciele, przynosząc mi upominki, a mnie coraz trudniej przychodziło się z nimi rozstać. Niewielką pociechą była nadzieja, że większość z nich wkrótce znowu zobaczę, gdy z orszakiem Króla-Boga opuszczą Lhasę. Wielu z nich łudziło się, że Chińczycy nigdy tu nie dojdą i że po skończonym urlopie będę mógł spokojnie wrócić do miasta. Niestety – nie podzielałem tej kojącej nadziei i w duchu żegnałem się z wszystkimi miejscami, które pokochałem. Jeszcze raz dosiadłem mojego konia i wziąłem do ręki aparat, aby zrobić dla siebie jak najwięcej zdjęć. Miały być mi stale pamiątką, a być może pomogą mi w przyszłości pozyskać serca innych dla tego pięknego i tak osobliwego kraju.

O mglistym poranku wsiałem do mojej małej łodzi ze skóry jaków. Chciałem popłynąć rzeką Kyiczu aż do miejsca, gdzie wpływa ona do wielkiej Cangpo. Dzięki tej sześciogodzinnej podróży łodzią oszczędziłem sobie dwudniowej jazdy konno. Moje bagaże wysłałem wcześniej z karawaną.

Na brzegu zostali moi przyjaciele i służba, machając mi smutno na pożegnanie. Ledwie zdążyłem zrobić kilka zdjęć, a już prąd porwał łódź i wkrótce straciłem ich z oczu. Na szyi miałem wiele białych kataków – pożegnalne dary, które równocześnie zapewniały szczęście w przyszłości. Siedziałem w łodzi nie mogąc oderwać oczu od Potali, dominującej jeszcze przez długi czas w pejzażu. Wiedziałem, że stoi tam teraz młody Dalajlama i patrzy na mnie przez swój teleskop.

Jeszcze tego samego dnia dogoniłem karawanę, która składała się z czternastu jucznych zwierząt, obładowanych moimi bagażami, oraz dwóch koni – dla mnie i dla mojego służącego. Wierny Nyima uparł się bowiem, aby mi towarzyszyć. Droga wiodła nas to w górę, to w dół, przez wierzchołki i przełęcze i po tygodniu dotarliśmy do miasta Gyance, leżącego przy głównym szlaku karawanowym do Indii. Niedawno jeden z moich najlepszych przyjaciół został gubernatorem tego regionu i oczekiwał mnie tutaj z radością. Zatrzymałem się u niego w gościnie i teraz razem celebrowaliśmy święto przejęcia władzy przez młodego Dalajlamę, które obchodzono w całym Tybecie.

Ceremonie rozpoczęły się w Lhasie 17 listopada i, ze względu na powagę sytuacji w kraju, miały trwać tylko trzy dni. Wiadomość o tym zdarzeniu dotarła przez gońców do wszystkich miast i wsi. Na wszystkich dachach powiewały nowe flagi modlitewne, naród na chwilę zapomniał o budzącej trwogę przyszłości i świętował jak dawniej, radując się śpiewem, tańcem i ucztowaniem. Wszyscy mieli powód do radości, bo nigdy przedtem nie wiązano tak wielu nadziei ze wstąpieniem na tron nowego dalajlamy. Młody władca stał ponad wszelkimi klikami i intrygami i dał już wiele dowodów swojego zdecydowania i jasnego widzenia spraw. Jego naturalny instynkt podszeptał mu wybór właściwych doradców i pozwoli uniknąć wpływu ludzi wyrachowanych.

Ja jednak wiedziałem, że jest za późno. Dalajlama obejmował swój urząd w chwili, gdy jego los jako władcy był już przesądzony. Gdyby był o kilka lat starszy, jego rządy mogłyby odmienić bieg zdarzeń.

Jeszcze w tym samym miesiącu zrobiłem z Gyance wypad do drugiego co do wielkości miasta Tybetu – Szigace, słynącego z wielkiego klasztoru Taszilhünpo*, gdzie czekali już na mnie niecierpliwie przyjaciele, łaknący najnowszych wiadomości z Lhasy. Tutaj problem ucieczki nie był tak żywy jak w stolicy, ponieważ klasztor był siedzibą panczenlamy.

* „Góra Szczęśliwości”, założony w XV w. przez kuzyna i ucznia Congkapy Gendüna Duba, późniejszego Dalajlamę I. Jeden z ważniejszych klasztorów Szkoły Gelugpa w Centralnym Tybecie (przyp. red.)

Panczenlama i dalajlama

Chińczycy od wieków stawiali na tę wysoką inkarnację jako na przeciwnika w rozgrywkach z dalajlamą. Obecny panczenlama był jeszcze o dwa lata młodszy od młodocianego Króla-Boga. Został wychowany w Chinach i proklamowany przez Pekin jako prawowity władca Tybetu. W rzeczywistości nie rościł on sobie najmniejszych pretensji do tej pozycji, ponieważ prawnie należał do niego tylko klasztor Taszilhünpo wraz z posiadłościami. Jako inkarnacja Öpame, stał on wprawdzie wyżej w hierarchii Żyjących Buddów niż Czenrezi, jednak w przeszłości był jedynie nauczycielem Króla-Boga. Powodowany wdzięcznością Dalajlama V ogłosił go wysoką inkarnacją, nadając mu równocześnie ogromne beneficja.

W trakcie poszukiwania ostatniej inkarnacji panczenlamy sprawdzono także wielu kandydatów. Jeden z chłopców został odnaleziony na terytorium chińskim i wówczas władze nie chciały zgodzić się na wyjazd dziecka do Lhasy bez wojskowej eskorty. Wszystkie starania Rządu Tybetańskiego były bezowocne i pewnego dnia Chińczycy po prostu ogłosili chłopca autentyczną inkarnacją Öpame i jedynym prawowitym panczenlamą.

Tym sposobem umocnili swoją kartę w grze przeciwko Tybetowi i byli zdecydowani wykorzystać ten atut z nieubłaganą konsekwencją. To że byli zwolennikami komunizmu, nie przeszkadzało im szerzyć przez radio religijnej propagandy i roszczeń mocarstwowych, jednak w Tybecie nie zyskali wielu popleczników. Zwolennicy ci wywodzili się głównie z okolic Szigace i z klasztoru Taszilhünpo, ponieważ tutaj chciano niezależności od Lhasy i chętnie widziano by władcę w panczenlamie. Także na „wyzwolicielską armię” oczekiwano bez obaw, ponieważ krążyły pogłoski o współpracy młodego panczenlamy z Chińczykami. Naród Tybetański bez wątpienia pragnął także jego błogosławieństwa, ponieważ jako inkarnacja Buddy cieszył się on wielkim szacunkiem. Jednak nawet pod presją Chin nigdy nie uznano by go za władcę Tybetu. Ta pozycja zastrzeżona była wyłącznie dla dalajlamy, jako patrona kraju. W przyszłości Chińczycy nie tylko nie osiągnęli zamierzonego celu, ale nawet zmuszeni byli zrezygnować z traktowania osoby panczenlamy jako atutu i zakres jego władzy ograniczony był, tak jak wcześniej, do klasztoru Taszilhünpo.

W czasie pobytu w Szigace poświęciłem więcej czasu na zwiedzenie tego klasztoru.

Znowu zobaczyłem miasto, w którym żyło tysiące mnichów! Z ukrycia spróbowałem zrobić kilka zdjęć. Największe wrażenie wywarł na mnie znajdujący się w jednej ze świątyń złoty posąg bóstwa, wysoki na dziewięć piętér, z ogromną głową, na którą można się wspiąć po drabinach.

Miasto Szigace leży w pobliżu klasztoru, nad wielką Cangpo, i dzięki twierdzy górującej nad miastem podobne jest nieco do Lhasy. Ma dziesięć tysięcy mieszkańców i słynie z najlepszych rzemieślników w Tybecie. Przerabia się tu głównie wełnę dostarczaną karawanami z pobliskiego Czangthangu. Szigace znane jest także z tkactwa dywanów, chociaż dywany z Gyance są bardziej cenione.

Mimo iż miasto położone jest wyżej od Lhasy i klimat ma znacznie zimniejszy, rośnie tu najlepsza pszenica w Tybecie i dalajlama oraz wielu arystokratów właśnie z Szigace sprowadzają mąkę.

Ucieczka Dalajlamy

Po kilku dniach wróciłem konno do Gyance. Tam oczekiwał mnie niecierpliwie mój przyjaciel z wiadomością, że Dalajlama już niebawem będzie tędy przejeżdżał. Świadczył o tym rozkaz przygotowania wszystkich stacji karawanowych i doprowadzenia do porządku wszystkich dróg; w okresie wojny nie mogło to oznaczać nic innego. Nie miałem żadnych wątpliwości i natychmiast zaofiarowałem gubernatorowi pomoc w przygotowaniach.

W karawanserajach zgromadzono olbrzymie zapasy grochu i jęczmienia, jako paszę dla zwierząt. Do czyszczenia i naprawy dróg zaangażowano tysiące pracowitych rąk. Towarzyszyłem gubernatorowi podczas jego długich inspekcji. Po powrocie dowiedzieliśmy się, że Dalajlama opuścił Lhasę 19 grudnia i był już w drodze do Gyance. Jego matkę i siostrę spotkaliśmy, gdy właśnie przejeżdżały przez miasto. W karawanie swojego czcigodnego brata podróżował jedynie Lobsang Samten. Tutaj też spotkałem znowu, po trzech latach, Tagcela Rimpocze. Chińczycy zmusili go do pojechania pod eskortą z misją do swojego brata. Jednak nic tym nie wskórali, nie miał on wcale zamiaru wpływać na Dalajlamę, a był zadowolony, że mógł się im wymknąć. Chińską eskortę aresztowano i na rozkaz rządu zarekwirowano jej nadajnik.

Karawana „Świętej Rodziny” przedstawiała się dość skromnie. Chociaż matka nie była już najmłodsza i należałoby się jej lektyka, długie dzienne odcinki pokonywała konno, podobnie jak inni. Jeszcze zanim wyruszyliśmy z gubernatorem na spotkanie Dalajlamie, „Święta Matka” wraz ze swymi dziećmi i służbą kontynuowała ucieczkę, podążając na południe.

Około trzy dni jechałem konno z moim przyjacielem na powrót w kierunku Lhasy. Na przełęczy Karo spotkaliśmy forpocztę karawany Jego Świątobliwości i ujrzelśmy spowitą tumanami kurzem długą kolumnę wspinającą się wolno w górę. Orszak młodego władcy składał się z około czterdziestu arystokratów, a dwustu doborowych żołnierzy uzbrojonych w nowoczesne pistolety maszynowe oraz kilka haubic stanowiło wojskową ochronę. Za nimi wlokła się cała armia służących i kucharzy, dbających o wygodę Jego Świątobliwości, i wreszcie na końcu nie kończący się wąż półtora tysiąca zwierząt jucznych, które wdrapywały się jedno po drugim na przełęcz. W środku kolumny powiewały dwie flagi: narodowa flaga

Tybetu i osobista chorągiew Dalajlamy XIV, wskazujące na obecność władcy.

Ujrzawszy młodego Króla-Boga na swoim siwku, zbliżającego się z wolna ku przełęczy, mimowolnie pomyślałem o powtarzanej szeptem w Lhasie prastarej przepowiedni, która podobno głosiła, że Dalajlama XIII ma być ostatnim w długim rządzie swoich poprzedników.

Przepowiednia zdawała się sprawdzać. Od koronacji minęły już cztery tygodnie, a młody władca nie miał możliwości przejęcia władzy. Wróg wkroczył już do kraju, a ucieczka ze stolicy była następnym krokiem ku nieszczęściu.

Teraz gdy przejeżdżał koło mnie, zdjąłem kapelusz, a on pomachał do mnie przyjaźnie. Na przełęczy tliły się kadzidła na powitanie młodego Boga, ale we flagach modlitewnych załopotana złowieszczo nadchodząca burza, pospieszono więc czym prędzej do najbliższej stacji postojowej. Tam było już wszystko przygotowane i na przybyłych czekał ciepły posiłek. Dalajlama miał nocować w pobliskim klasztorze. Tej nocy długo byłem przy nim myślami. Samotny jak w Potali, siedzi pewnie w nieprzytulnym pokoju, a jedynym jego towarzystwem są zakurzone posągi bóstw. Nie ma tam pieca dającego ciepło, okna zaklejone papierem ledwie chronią przed burzą i zimnem, a odrobiny światła dostarcza kilka maślanych lampek.

Młody władca, który dotychczas widział tylko Potalę i Ogród Klejnotów, poznaje teraz swój kraj w jakże smutnych okolicznościach. Sam zapewne łaknął teraz pociechy i podpory. Ale on musi zawsze stać wyniośle ponad wszystkim i nieprzerwanie udzielać błogosławieństwa niezliczonym rzeszom, które nadeszły ze wszystkich kierunków, aby od niego czerpać siłę i nadzieję.

Jego brat, Lobsang Samten, ciężko chory podróżował w lektyce. Przeszedł atak serca i przeraziłem się słysząc o końskiej kuracji, której go poddano. W dniu wyjazdu przez wiele godzin był nieprzytomny i lekarz Dalajlamy przywrócił go do życia przypalając mu ciało. Od niego dowiedziałem się później o szczegółach tego pamiętnego wyjazdu z Lhasy.

Ucieczka Dalajlamy utrzymywana była w ścisłej tajemnicy. Nie chciano niepokoić ludności, a także obawiano się, że mnisi z wielkich klasztorów uczynią wszystko, aby go odwieść od tej decyzji. Dlatego dopiero późnym wieczorem powiadomiono wybranych do podróży urzędników, że wyjazd nastąpi o drugiej w nocy. Po raz ostatni wypito w Potali herbatę maślaną i – zgodnie z przesądem – pozostawiono świeżo napełnione miseczki, co ma zapewnić szybki powrót. Przez cały następny dzień nie wolno też zmiatać pokoju wyjeżdżającego – byłby to bardzo zły omen.

Nocą kolumna uciekinierów w milczeniu opuszczała miasto, drogą do Norbulingki. Tam po krótkiej modlitwie Dalajlama po raz ostatni spotkał się ze swoimi najbardziej zaufanymi ludźmi.

Minął zaledwie jeden dzień od wyruszenia karawany w drogę, a już wszędzie rozniosła się wieść o ucieczce Dalajlamy. Tysiące mnichów z klasztoru Dżang wyległo mu naprzeciw i rzucając się pod kopyta jego wierzchowca błagało, aby ich nie opuszczał. Jeżeli odejdzie, bezbronni bez przewodnika, zostaną rzućeni na pastwę Chińczyków. Zaczęto się obawiać, że mnisi spróbują udaremnić Dalajlamie dalszą podróż. Ale w tej krytycznej chwili znowu ujawniła się siła osobowości młodego władcy. W kilku słowach wyjaśnił mnichom, że będzie w mocy uczynić więcej dla swego kraju, jeżeli nie wpadnie w ręce wroga, że będzie prowadził pertraktacje i wróci natychmiast po zawarciu pomyślnych układów. Gdy mnisi zaczęli rzucać na ulice tysiące białych kataków i monety, życząc tysiąckroć powodzenia – wszyscy odetchnęli z ulgą. Wprawdzie błagali oni jeszcze o szybki powrót, ale pozostawili karawanie wolną drogę.

Młody władca po raz pierwszy ogląda swój kraj

Wieści o rychłym przejeździe dalajlamy dotarły także do Gyance. Podobnie jak na całej niemal 500-kilometrowej trasie ucieczki i tutaj dla odpędzenia złych duchów poukładano wzdłuż drogi białe kamyczki. Z pobliskich klasztorów przybywali spiesźnie mnisi i mniszki pragnący ujrzeć swego Króla-Boga i pomodlić się do niego. Wszyscy mieszkańcy stali od wielu godzin w pogotowiu, oczekując na jego przybycie. Indyjska konnica, stacjonująca w pobliżu, wyjechała karawanie naprzeciw, aby także oddać cześć Dalajlamie. Ze wszystkich większych miejscowości nadciągnęły procesje, Dalajlama zsiadł z konia i do miasta wniesiony został uroczyście w lektyce.

Mieliśmy w zwyczaju wyruszać w drogę krótko po północy, aby uniknąć burz piaskowych, wiejących w ciągu dnia nad płaskowyżem. Noce były lodowate. Dalajlama szczelniej otulał się swą podbitą futrem, jedwabną opończą i naciągał na uszy ogromną futrzaną czapę. Najzimniejsze były ranki, kiedy temperatura spadała często do -30° , i mimo że o tej porze nie wiał wiatr, jazda konno była udręką. Zazwyczaj z pierwszymi promieniami słońca zamaskowana karawana docierała niespostrzeżenie do następnej stacji postojowej. Dopiero wtedy mogłem zrobić kilka zdjęć z tej godnej pamięci ucieczki, przeznaczonych dla młodego władcy i dla potomności.

W drodze Dalajlama często zeskakiwał z konia zanim opaci zdążyli mu pomóc i wyprzedzał wszystkich, idąc młodzieńczym, długim krokiem. Oczywiście, wtedy wszyscy musieli zsiąść z koni i korpulentni arystokraci, którzy maszerowali pierwszy raz w życiu, pozostawiali całe kilometry w tyle. Przez dwa dni jechaliśmy wśród strasznej zawieruchy śnieżnej i marzliśmy przeraźliwie. Wszyscy odetchnęli, gdy przełęcz himalajska pozostała wreszcie za nami i zaczęliśmy schodzić w cieplejsze, zalesione okolice.

Lodowe olbrzymy tych gigantycznych gór zrobiły na Dalajlamie głębokie wrażenie. Podczas naszych spotkań w Norbulingce opowiadałem mu często o wielu wyprawach z całego świata, które co rok wyruszają w Himalaje. Wiedział on doskonale, jak bardzo zależy białym mężczyznom na zdobyciu wysokich szczytów, ale nie mógł tego zrozumieć. Nigdy by mi się nie udało obudzić w nim entuzjazmu dla zorganizowania tybetańskiej wyprawy. Zbyt głęboko zakorzeniona jest w każdym buddyście wiara, że Himalaje są siedzibą bogów. Każdy

wypadek w górach traktowany jest jako kara zesłana na człowieka przez duchy-strażników za naruszenie świata bogów.

Jakże często ubolewaliśmy z Peterem Aufschnaiterem z powodu tego nastawienia! Tybet byłby idealnym krajem wypadowym do zdobywania najwyższych szczytów świata i spędziliśmy wiele godzin, rozważając nieskończone możliwości, planując trasy dojścia i ustalając drogi wspinaczkowe. W towarzystwie dobrych wspinaczy nic by nas nie powstrzymało przed próbą zdobycia przynajmniej jednego z siedmiotysięczników wznoszących się w pobliżu Lhasy. We dwójkę moglibyśmy także spróbować mniejszych dróg; niestety, wszystko rozbijało się o brak odpowiednich środków i sprzętu. O pomocy z zewnątrz nie mogło być mowy. Przekonaliśmy się na własnej skórze jak niechętnie traktuje się w tym kraju obcych. I wciąż jeszcze uznawaliśmy za cud, że Tybetańczycy pozwolili nam żyć wśród siebie, ba, że zaczęli nas nawet traktować jak swoich! Byliśmy pierwszymi Europejczykami, którzy oficjalnie od Rządu Tybetańskiego uzyskali posadę i wynagrodzenie. Anglicy przebywający często całe lata w Tybecie pozostawali zawsze w służbie własnego rządu, żyjąc we własnym środowisku jak na wyspie, nawet jeśli cieszyli się wielkim szacunkiem ludności i podejmowani byli gościnnie w kręgach szlacheckich. Bywając w gościnie w Misji Brytyjskiej, często zazdrościłem Anglikom porządnego domu i panujących w nim własnych, ojczystych zwyczajów. Brakowało mi tych wszystkich rzeczy, które były niezbędne do stworzenia w moim domu europejskiej atmosfery. Tutaj zrozumiałem, że przywiązanie do własnego stylu życia – w czym Anglicy są mistrzami – stanowi najlepszą ochronę przed zagubieniem się w bardziej prymitywnych zwyczajach innych ludów.

Próbowaliśmy z Aufschnaiterem znajdować zawsze złoty środek. Usiłowaliśmy przestrzegać obyczajów narodu, który udzielił nam gościny, nie zarzucając całkowicie zwyczajów, w których wyrosliśmy. Ułatwiała to porozumienie i tylko dzięki takiej postawie udało nam się uzyskać głęboki wgląd w mentalność tego osobliwego narodu. Nasza zdolność przystosowania się była tak duża, że niektórzy Tybetańczycy wyrażali przekonanie, iż poprzedni nasz żywot z pewnością spędziliśmy w ich kraju. Świadczyły o tym nasza znajomość języka i zrozumienie dla ich obyczajów. Wprawdzie nie podzielałem tej opinii, ale słuchałem tego z życzliwym uśmiechem, wiedząc, że wyrażała największy komplement.

Olbrzymia karawana Dalajlamy schodziła teraz z himalajskich wyżyn w dół, ku sosnowym lasom doliny Czumbi. Raz po raz spoglądałem za siebie, na lodową piramidę Czomolhari, która widoczna była jeszcze przez wiele dni. Nasze skostniałe członki powoli rozgrzewały się w ciepłym powietrzu nizin. Dalajlama ujrzał tu po raz pierwszy prawdziwy las z bystrzymi strumykami i bardzo cieszył się tym widokiem. Także i teraz często schodził z konia i szedł pieszo, ku ubolewaniu swych otyłych arystokratów. Mijaliśmy pojedyncze chłopskie chaty, przypominające moją austriacką Ojczyznę. Na widok Dalajlamy mieszkańcy padali na twarz lub nieruchomieli szepcząc modlitwy. W drodze towarzyszyła nam nieustannie woń kadzideł, a ich dym spowijał nas niczym mgła. Przy pewnej małej osadzie

zgromadziło się tak wielu ludzi pragnących otrzymać błogosławieństwo, że byliśmy zmuszeni się zatrzymać. Dalajlama z małej werandy błogosławił kolejno wszystkich zgromadzonych i wielu jego poddanych miało łzy w oczach.

Szesnaście dni po opuszczeniu stolicy dotarliśmy do tymczasowego celu ucieczki – do domu gubernatora dystryktu w Czumbi. Dalajlama w swym żółtym palankinie niesiony był uroczyście, z całą pompą, przez szpaler utworzony w tysięcznym tłumie do skromnego domu gubernatora, który nazwano z tej okazji: „niebiańskim pałacem, światłem i komnatą wszechświata”. Żaden śmiertelnik nie zamieszka już nigdy w pokoju, w którym Dalajlama spędził choćby tylko jedną noc, bo staje się on od tej chwili kaplicą, w której wierni będą składać ofiary i modlić się o błogosławieństwo swego Króla-Boga.

Urzędnicy, których zakwaterowano w wiejskich domach pobliskich osad, musieli obejść się bez komfortu, do którego przywykli. Większość żołnierzy trzeba było odesłać w głąb kraju, ponieważ znalezienie dla nich kwater i zapewnienie im wyżywienia okazało się zbyt trudne. Trzeba było także zrezygnować ze zwierząt jucznych, ponieważ już po kilku dniach zaczęło brakować paszy. Na wszystkich dościach do doliny postawiono posterunki. Na wjazd lub wyjazd konieczne było specjalne zezwolenie. W orszaku Dalajlamy podróżował przynajmniej jeden przedstawiciel każdego urzędu i wkrótce zaczęło się codzienne urzędowanie i posiedzenia, podobnie jak w Lhasie. Pomędzy stolicą a tymczasową siedzibą rządu krążyli kurierzy. Dalajlama wiozł ze sobą Wielką Pieczęć, którą nadawał urzędową moc decyzjom podejmowanym przez kadłubowe władze w Lhasie. Kurierzy na koniach bili wszelkie rekordy szybkości – pewien mężczyzna przejechał do Lhasy i z powrotem w osiem dni. Posłańcy przybywający z najświeższymi wiadomościami o posuwaniu się wojsk chińskich byli w tej chwili jedynymi łącznikami pomiędzy Lhasą i światem. Dopiero później dojechał tu Anglik Fox ze swoimi urządzeniami i w najprymitywniejszych warunkach uruchomił nadajnik radiowy.

Kobiety i dzieci arystokratów, towarzyszące im w ucieczce, wyruszyły od razu w dalszą drogę do Indii, ponieważ w Czumbi nie wystarczało kwater dla wszystkich. Wielu potraktowało tę sytuację jako okazję odbycia pielgrzymki do świętych miejsc buddyzmu w Indiach i Nepalu. Nawet rodzina Dalajlamy, włącznie z Lobsangiem Samtenem, ruszyła dalej na południe i zamieszkała w bungalowie w podgórskiej miejscowości Kalimpong. W Indiach wielu Tybetańczyków po raz pierwszy zobaczyło kolej żelazną, samoloty i auta; jednak po krótkich chwilach zachwyty uchodźcy zaczęli tęsknić do swej ojczyzny, która cywilizacyjnie pozostawała wprawdzie w tyle, ale stanowiła mocną podstawę ich bytu.

Moje ostatnie dni w Tybecie

W Czumbi mieszkalem sam u zaprzyjaźnionego urzędnika, który udzielił mi gościny. Moje zadanie w Tybecie było właściwie skończone i chociaż nudziłem się często, wciąż nie mogłem się zdecydować na pożegnanie z ludźmi, których tak pokochałem. Czułem się jak widz dramatu, który choć przeczuwa tragiczne zakończenie i chciałby je zmienić, siedzi jak porażony, oczekując na ostatni akt. Pragnąc zagłuszyć niepokój, codziennie wychodziłem w góry i szkicowałem liczne mapy.

Wykonywałem jeszcze tylko jedno oficjalne zadanie: codziennie słuchałem w moim małym odbiorniku wiadomości z całego świata i przekazywałem je na bieżąco Ministrowi Spraw Zagranicznych. Chińczycy nie posuwali się dalej w głąb kraju, nieustannie jednak wzywali Rząd Tybetański, aby przybył do Pekinu na pertraktacje. Dalajlama i rząd uznali w końcu, że najlepiej będzie zadośćuczynić tym żądaniom i wysłali do Pekinu delegację wyposażoną w pełnomocnictwa. Ponieważ wszelki opór stracił sens, rząd wiedząc, że komunistycznym Chinom zależy na powrocie Dalajlamy, użył jego osoby jako atutu. Ze wszystkich warstw społecznych nieprzerwanie przybywały do Czumbi liczne delegacje i błagały swego władcę o pozostanie w kraju. Cały Tybet pogrążył się w przygnębieniu. Dalajlama dopiero teraz zrozumiał, jak głęboko naród przywiązany jest do swego króla. Opuszczenie przezeń Tybetu oznaczało dla kraju utratę błogosławieństwa i pomyślności.

Ochronnemu bóstwu Tybetu, Czenrezi, nie pozostawało nic innego, jak przyjąć warunki Chińczyków i powrócić do Lhasy.

Po długich negocjacjach został w Pekinie zawarty układ, na mocy którego wewnętrzna administracja krajem pozostawała w rękach dalajlamy. Układ gwarantował Tybetańczykom także poszanowanie religii i wolność wykonywania praktyk religijnych. W zamian za to komunistyczne Chiny zażądały prawa do reprezentowania Tybetu w polityce zagranicznej oraz przejęcia obrony kraju. W tym tkwiło sedno sprawy. Punkt ten uprawniał komunistyczne Chiny do wysłania do Tybetu dowolnej ilości żołnierzy i tym samym umożliwia im forsowanie dalszych roszczeń.

Dom gubernatora leżał w najwęższym miejscu doliny, gdzie nie docierał nigdy promień słońca, i było w nim bardzo zimno. Dlatego Dalajlama przeniósł się niebawem do

romantycznego klasztoru Dungkhar. Tam żył w odosobnieniu, otoczony mnichami i osobistymi służącymi, i trudno mi było znaleźć możliwość porozmawiania z nim, tak jak to bywało dawniej, w Lhasie.

Mój przyjaciel Lobsang Samten także mieszkał w klasztorze i niekiedy zapraszał mnie do siebie. Wtedy uczestniczyliśmy razem w długich spacerach Dalajlamy, który ze swoją świtą często odwiedzał okoliczne klasztory. Chodził bardzo szybko i wszyscy mieli kłopot z dotrzymaniem mu kroku. Tutaj po raz pierwszy miał okazję do fizycznego wysiłku i spełnienia swojego dawnego pragnienia, o którym tak często rozmawialiśmy w Lhasie. Ruch fizyczny wszystkim dobrze robił; świta musiała ruszać się żwawiej, mnisi rezygnowali z tabaki, a żołnierze z palenia i picia. Mimo smutnego nastroju nie zapomniano o żadnym święcie religijnym, a nawet starano się celebrować je możliwie najuroczyściej. Ale każde święto było zaledwie namiastką lhaskich uroczystości, ponieważ brakowało wszystkich środków do zachowania okazałości i przepychu. Jednym z przyjemniejszych epizodów było przybycie kilku indyjskich uczonych, którzy w złotej urnie przywieźli młodemu królowi autentyczne relikwie Buddy. Przy tej okazji zrobiłem ostatnie i najlepsze zdjęcia Dalajlamy.

Im dłużej przebywaliśmy w dolinie Czumbi, tym bardziej gał blask i pompa arystokratów. Z koni – poza kilkoma wyjątkami – trzeba było już dawno zrezygnować i chodziło się tylko pieszo. Nadal mieli oni służących i sami nie musieli nawet palcem kiwnąć, ale brakowało wygód, domów przypominających pałace, rozrywek i przyjęć. Nieustannie snuto drobne intrygi, pojawiały się i znikwały plotki. W istocie nadszedł kres ich władzy. Nie mogli podejmować żadnych samodzielnych decyzji, lecz musieli akceptować zdanie Dalajlamy. A kto wie, czy mimo obietnic Chińczycy zechcą po powrocie oddać im ich majątki! Oni także czuli, że nadszedł koniec feudalizmu.

W dolinie Czumbi pozostałem aż do marca 1951 roku, a potem zdecydowałem się na dalszą podróż do Indii. Już od tygodni odczuwałem głęboki niepokój, ponieważ wiedziałem, że mnie nie dane już będzie powrócić do Lhasy. Jednakże będąc wciąż pracownikiem Rządu Tybetańskiego, musiałem przed wyjazdem poprosić o urlop. Otrzymałem go natychmiast. Paszport, który wystawił mi Gabinet, ważny był sześć miesięcy i zawierał klauzulę z prośbą do indyjskiego rządu, o udzielenie mi pomocy w drodze powrotnej do Tybetu. Uśmiechnąłem się gorzko – wiedziałem, że nigdy nie będę mógł z tej klauzuli skorzystać.

Za sześć miesięcy Dalajlama zapewne już dawno będzie z powrotem w Lhasie, będzie być może tolerowany jako inkarnacja bóstwa Czenrezi, ale nie będzie już władał jako król wolnego narodu.

Długo łamałem sobie głowę, szukając właściwego rozwiązania mojego problemu. Kalkulując na zimno, uznałem wyjazd do Indii za jedyne wyjście. Z Aufschnaiterem utrzymywałem kontakt listowny. On nie mógł rozstać się z Tybetem. Kiedyś, podczas krótkiego spotkania w Gyance, wyznał mi, że zostanie w Tybecie tak długo, jak to będzie możliwe, i dopiero potem uda się do Indii. Żegnając się obydwaj nie mieliśmy pojęcia o tym,

że nie zobaczymy się przez wiele lat. Zabrałem jego bagaż aż do Kalimpongu i tam go zdeponowałem. Potem nie słyszałem o Aufschnaiterze przez cały rok. Zdawało się, że po prostu zaginął. Zaczęły krążyć najbardziej fantastyczne pogłoski i wielu uznało go za zmarłego. Dopiero po moim powrocie do Europy dowiedziałem się, że przeniósł się do naszej baśniowej wioski Kyirong i mieszkał w niej aż do chwili, gdy i tam dotarli Chińczycy. Pozostawał tam dosłownie do ostatniej chwili – jemu jeszcze trudniej niż mnie przyszło pożegnać się z Tybetem. Byłem szczęśliwy, gdy ze stolicy Nepalu dał wreszcie znak życia i jego zniknięcie w końcu się wyjaśniło.

Aufschnaiter pchany nienasyconą żądzą badacza pozostaje nadal dobrowolnym więźniem Dalekiego Wschodu. Niewielu ludzi poznało Himalaje i „Zakazany Kraj” tak dobrze jak on. Ileż będzie miał do opowiadania, gdy po wszystkich tych latach wróci do domu! Mimo iż przeżyliśmy razem w Azji trzynaście lat, to przecież każdy człowiek widzi świat przez inne okulary.

Ciemne chmury nad Potalą

Dłużej nie mogłem już zwlekać. Wyjeżdżałem z ciężkim sercem, pełen obaw o los młodego króla. Cień Mao Ce-tunga nadciąga już złowieszczo nad Potalę. Zamiast flag modlitewnych zaczną powiewać czerwone sztandary z sierpem i młotem – symbole zdobywania władzy nad światem i nowej ery w Azji. Może Czenrezi, wieczny bóg współczucia, przetrwa i ten reżim, podobnie jak wcześniejsze najazdy Chińczyków. Pozostawało mi tylko żywić nadzieję, że Tybetańczycy, ten najbardziej pokojowy naród na świecie, nie będzie zbyt prześladowany i wszystkie te zmiany nie zepchną go z jego własnej drogi. Oby starczyło mu mądrości, aby zachować własną tożsamość. Siedem lat temu, dokładnie niemal co do dnia, po raz pierwszy wkraczałem na tybetańską ziemię i stanąłem, podobnie jak dziś, przed stosami kamieni z flagami modlitewnymi na przełęczy granicznej prowadzącej do Indii. Wówczas byłem głodny i zmęczony, ale radosny, że wreszcie dotarłem do utęsknionego kraju. Dzisiaj miałem konie, otaczała mnie służba i dzięki oszczędnościom nie musiałem się martwić o najbliższą przyszłość, lecz nie opuszczało mnie głębokie przygnębienie. Nie odczuwałem najmniejszej ciekawości i podniecającego oczekiwania, jak to zwykle bywa przy przekraczaniu granicy nowego kraju. Z żalem oglądałem się za siebie, na Tybet. Hen, w oddali w ostatnim pozdrowieniu wznosiła się jak olbrzymi czorten piramida Czomolhari.

Przedemną Sikkim. Strzelająca w niebo Kangchenjunga – ostatni ośmiotysięcznik na ziemi, którego jeszcze nie widziałem. Ująłem w dłonie cugle mojego konia i powoli zacząłem schodzić w dół, na ziemię indyjską.

Kilka dni później znalazłem się w Kalimpongu i po wielu latach znowu wśród Europejczyków. Po tak długim czasie odzwyczailem się od ich widoku i towarzystwa. Natychmiast rzucili się na mnie reporterzy wielu gazet, aby usłyszeć najświeższe wiadomości z Dachy Świata. Długo nie mogłem oswoić się z panującym wokół gwarem i ruchem. Z trudem przyzwyczajałem się od nowa do osiągnięć cywilizacyjnych, ale i tutaj znaleźli się przyjaciele, którzy mi w tym pomogli. Z Indiami również było mi trudno się pożegnać – tutaj znajdowałem się nadal bliżej Tybetu i jego losów – i wciąż przesuwalem swój powrót do Europy.

Dalajlama ze swym orszakiem powrócił do Lhasy jeszcze latem tego roku. Tybetańskie rodziny, które zbiegły do Indii, zaczęły także wracać do domów w Tybecie. W czasie pobytu w Kalimpongu widziałem przejazd głównego chińskiego gubernatora Tybetu, udającego się do Lhasy, gdzie miał przejąć władzę. Do jesieni 1951 roku cały Tybet znalazł się pod chińską okupacją wojskową; wiadomości z kraju lamów docierały coraz rzadziej i były coraz bardziej mętne.

W kraju, który nagle zmuszony był wyżywić dwadzieścia tysięcy obcych żołnierzy, zapanował głód. W europejskich czasopismach oglądałem zdjęcia olbrzymich plakatów z Mao Ce-tungiem powywieszanych u stóp Potali. Po Świętym Mieście jeżdżą czołgi. Wierni dalajlamie ministrowie zostali już odwołani, a do Lhasy wjechał panczenlama w eskorcie i wśród szczęku chińskiego oręża. Chińczycy są dość mądrzy, aby uznać dalajlamę jako oficjalną głowę rządu, ale faktycznie w kraju rządzi wyłącznie prawo okupanta, który osiadł tu już na dobre. Dysponując potężną organizacją, Chińczycy zdążyli już zbudować setki kilometrów dróg*, które połączyły ten trudno dostępny kraj z Chinami.

Z wielkim zainteresowaniem śledzę te wszystkie wydarzenia, ponieważ częśćka mojego „ja” jest nierozzerwalnie związana z Tybetem. Gdziekolwiek bym żył, zawsze będę tęsknić za tym krajem... Czasem zdaje mi się, że słyszę łopot skrzydeł i krzyk dzikich gęsi i żurawi przeciągających nad Lhasą w księżycowe, zimne noce...

Pragnę gorąco obudzić tą książką trochę sympatii i zrozumienia dla narodu, którego wola życia w wolności i pokoju dotychczas obchodzi świat tak niewiele.

* Przed najazdem chińskim nie było w Tybecie dróg jezdnych w naszym rozumieniu. Do początku lat pięćdziesiątych podróż z Lhasy do Pekinu trwała 8-9 miesięcy lądem lub 4-5 miesięcy lądem i morzem – przez Sikkim i Kalkutę (przyp. tłum.)

Czternaście lat później

Minęło prawie piętnaście lat od chwili, gdy po wkroczeniu Chińczyków zmuszony byłem opuścić Tybet. Niestety, moje gorące życzenia, aby kraj ten ominęło najgorsze, nie spełniły się, a moja nadzieja, że pomiędzy nierównymi partnerami możliwa jest lojalna współpraca, także okazała się złudna. Ani gotowość Dalajlamy do spełnienia warunków układu, ani mądrość Tybetańczyków nie wystarczyły do zachowania gwarantowanej im samodzielności – wbrew postanowieniom „Siedemnastopunktowej Ugody”^{*}, czy to w polityce wewnętrznej, czy w swobodzie wykonywania praktyk religijnych. Stało się oczywiste, że Chińczycy od samego początku nie mieli zamiaru przestrzegać jej warunków.

O rozmiarach przemocy i okropnościach stosowanych systematycznie przez nowych, bezlitosnych władców świat dowiedział się dopiero po opublikowaniu sprawozdania Międzynarodowej Komisji Prawników w lipcu 1960 roku. Niezależne stowarzyszenie 40000 prawników z całego świata wybrało komisję do zbadania wypadków naruszenia przez okupanta praw człowieka i godności ludzkiej w Tybecie. Wyniki tych badań były wstrząsające i jednoznaczne: teokratyczna struktura społeczna Tybetu i prastara tybetańska kultura skazane są na zagładę. Tybetańczykom, jako samodzielnemu narodowi, grozi unicestwienie.

Skonstruowany przez Chińczyków program, tzw. „Droga do socjalizmu”, zakładał całkowitą zmianę tybetańskiego stylu życia i, co za tym idzie, konieczność zniszczenia religijnej wiary i wszystkich instytucji kościelnych. Splądrowano słynne stare klasztory, zniszczono ich cały dorobek kulturalny i pozbawiono materialnych podstaw egzystencji lub całkowicie je zniszczono. Mnichów kierowano do prac przymusowych, deportowano ich do Chin i zmuszano do porzucania celibatu. Zgładzono wielu duchowych mistrzów i nauczycieli. Tysiące Tybetańczyków wysiedlano przymusowo do Chin, sprowadzając na ich miejsce miliony osadników chińskich. Te przeprowadzane przez Chińczyków masowe przesiedlenia miały na celu uczynienie z Tybetańczyków mniejszości we własnym kraju. „Resocjalizacja” młodzieży tybetańskiej i inne „socjalistyczne” metody miały prowadzić do jej przemiany. Oczywiście te rządy przemocy budziły w narodzie niepokój i opór, a w konsekwencji

^{*} Ugoda ta podpisana została 23 maja 1951 r. w Pekinie (przyp. red.)

sprzeciw. Realizowanie przez zdobywców w bezwzględny sposób ich nieludzkich celów doprowadziło wreszcie do otwartego powstania dręczonego narodu.

Tybetańczycy walczą o wolność

Historia walki o wolność Tybetu zaczęła się w jesieni 1954 roku, kiedy to komunistyczne Chiny zaczęły systematycznie rozszerzać swoje rządy przemocy w Tybecie na Litang, Czatin, Batang, Tranko i inne wschodnio-tybetańskie prowincje, leżące już poza granicami kraju. Tam, w prowincji Kham, żyją słynni Khampowie. Te tereny, to tybetański „dziki zachód”. Pełno tam bandytów i ludność od niepamiętnych czasów przywykła do noszenia karabinów i pistoletów. Chińczycy obawiając się, że broń może być użyta przeciwko nim, rozkazali w październiku 1954 roku złożenie na milicji wszelkiej broni, łącznie z amunicją. Khampowie odmówili.

Walka o przejęcie kontroli nad bronią Khampów ciągnęła się przez cały rok 1955, przy czym Chińczycy zazwyczaj gorzej na tym wychodzili. W Lhasie i w całym Tybecie przywódcy narodu wykazywali dobrą wolę poprawnego współżycia z Chińczykami. Nikt nie może zaprzeczyć, że Lhasa, a zwłaszcza Dalajlama starał się ze wszelkich miar, aby żyć w pokoju pod rządami narzuconymi przez Chińczyków. To Chińczycy ze swoimi bezwzględными metodami ponoszą całkowitą odpowiedzialność za wybuch powstania. To właśnie konflikt z Khampami w 1955 r. zaognił stosunki pomiędzy Tybetańczykami i ich ciemiężycielami.

Jesienią Chińczycy zarządzili zgłoszenie do opodatkowania wszystkich koni, osłów, owiec, kóz, każdego skrawka łąki i uprawnego pola. Podatek miał być bezzwłocznie przekazany dalej, do Pekinu. Ponadto chińscy urzędnicy podatkowi nachodzili wszystkie klasztory, dokonując rejestrów i wyceny znajdujących się tam posągów i świętych ksiąg, które miały zostać obciążone przez Pekin podatkami.

Następnie Chińczycy przystąpili do wprowadzania reformy rolnej i podburzania chłopów przeciwko ich panom. Jak w każdym kraju, znalazła się oczywiście i tu pewna liczba niezadowolonych i Chińczycy zapłacili im za rozniesienie niepokoju. W jesieni 1955 Chińczycy nabrali przekonania, że grunt do zainscenizowania publicznych procesów przeciwko tybetańskim obszarnikom został już wystarczająco przygotowany. W kraju, w którym od wieków panował feudalizm, była to czysta kpina. Właścicieli ziemskich przywleczono przed sądy, lżono ich i traktowano jak przestępców. Płatnym prowokatorom

obiecano, że po usunięciu „wyzyskiwaczy” cały kraj będzie należał do nich. Potem nastąpiło przykre rozczarowanie, gdy ludzie przekonali się, że najlepsze kawałki uwłaszczonych gruntów przypadły chińskim osadnikom i rodzinom chińskich żołnierzy.

Wielu posiadaczy ziemskich było Khampami, a Khampowie nie zniosą spokojnie podobnego traktowania. Dlatego trudno się dziwić, że bohater narodowy i bojownik o wolność, który pojawił się w tym czasie, pochodził z prowincji Kham. Był nim czterdziestoczteroletni Andruszang, głowa jednego z najstarszych, najbogatszych i najbardziej szanowanych rodów Khampów. Znany był w całym Tybecie jako człowiek dobroduszny, gotowy do udzielania pomocy i pierwszy do wspierania innych, gdy znaleźli się w biedzie. Ten mężczyzna ruszył teraz w góry i na czele garstki przyjaciół stanął do walki z Chińczykami. Początkowo ograniczali się do spuszczenia kamiennych lawin na górskie drogi używane przez Chińczyków. Wkrótce jednak zaczęli napadać na chińskie posterunki wojskowe i rekwirować broń, amunicję i żywność, której tak dotkliwie brakowało. W ciągu trzech miesięcy ich zastępy urosły do kilkuset ludzi, którzy zwalczali Chińczyków w całej prowincji. Chińczycy odpowiedzieli zbombardowaniem Czatingu, Batangu i Tranko oraz zniszczeniem klasztorów. Później zbombardowali także Cekundo i Litang, dwa miasta podejrzane o wspieranie Khampów. Tymczasem Andruszang wyruszył ze swymi ludźmi na Lhasę, z nadzieją, że uda mu się tam uzyskać wpływ na lokalny rząd i wywierać silniejszą presję na Chińczyków.

Na wiosnę 1958 roku wokół Lhasy zgrupowało się w ukryciu wiele oddziałów walczących Khampów. Wielu kupców i posiadaczy majątków z Khamu i innych części kraju przybyło do stolicy, ponieważ tu mniej obawiali się zemsty Chińczyków. Niebawem Lhasa stała się przeludniona i z dnia na dzień coraz dotkliwiej zaczynało brakować żywności.

W całym Tybecie było bardzo niespokojnie. Bojownicy – Khampowie, przejęli kontrolę nad dużymi obszarami kraju. Chińscy żołnierze nie odważali się już oddalać od swych koszar i chiński gubernator obawiał się poważnych kłopotów. Wiedząc, że w Świętym Mieście ukrywają się setki powstańców z Khamu, wydał rozkaz natychmiastowego opuszczenia miasta przez wszystkich nie zamieszkających na stałe w Lhasie i powrotu do swoich rodzinnych stron. Gdy pewnego kwietniowego poranka gubernator nakazał swym oddziałom aresztowanie drobnych handlarzy pochodzących spoza Lhasy oraz wszystkich odwiedzających miasto, napięcie wzrosło do ostatnich granic. W ciągu jednego dnia aresztowano ośmiuset Tybetańczyków i nakazano im opuszczenie Lhasy. Jednakże z obawy przed zemstą Andruszanga nie odważono się zaaresztować ani jednego Khampy.

Andruszang obserwował z ukrycia wszystkie wydarzenia i zdawał sobie sprawę, że nadszedł czas na przeprowadzenie większych operacji. Nakazał swym zwolennikom wykupienie wszelkiej dostępnej broni i amunicji. Wśród jego stronników, liczących około trzy tysiące odważnych młodych Khampów, wielu chciało wstąpić do oddziałów „Khelenpa”, będących rodzajem sił specjalnego przeznaczenia. Były to grupy młodych bojowników po

specjalnym przeszkoleniu, zdecydowanych raczej umrzeć za wolny Tybet niż żyć pod chińskimi rządami.

W maju 1958 roku Andruszang podzielił swoją małą armię na grupy składające się z trzech lub czterech mężczyzn i rozkazał im udać się do Nyemo, położonego osiemdziesiąt kilometrów na południe od Lhasy, i tam zebrać się poza wsią. Wiedział on, że w klasztorze znajdującym się w pobliżu Nyemo znajduje się tajny arsenał rządu z Lhasy. Wiedział też, że do skłonięcia mnichów do otwarcia arsenału wystarczy mu tylko zniszczyć chiński garnizon w Nyemo.

W jasną, księżycową noc na pogrążone we śnie Nyemo uderzyły oddziały Andruszanga. Chińska załoga, równo tysiąc dwustu mężczyzn, także spała, z wyjątkiem straży utworzonych najczęściej z przymusowych rekrutów, którzy mieli już dość służby w „chińskiej armii wyzwolenczej”. Tuż po północy ludzie Andruszanga zaatakowali. Uzbrojeni w karabiny, pistolety i miecze pokonali zniecierpliwionych wartowników, a potem cały garnizon.

O świcie na polu walki leżało tysiąc martwych Chińczyków, reszta zbiegła. Ale gdy nadszedł dzień, Khampowie już zniknęli. Z klasztornego arsenału wynieśli pięćset nowych karabinów i duże ilości amunicji. Zdobyć mogli uzbroić nowych rekrutów, coraz liczniej napływających do szeregów Andruszanga, który stał się prawdziwym narodowym bohaterem. Nadal niszczyli szlaki komunikacyjne Chińczyków i przeprowadzali drobne ataki. Przecięli także drogę pomiędzy Lhasą i Szigace, gdzie w klasztorze Taszilhünpo rezydował panczenlama. Wreszcie zniszczyli ważny prom na Brahmaputrze i ruszyli do Konka-Dzongu, gdzie zniecierpliwieni zaatakowali chińskie oddziały wspierające. W regularnej bitwie zabili dwustu Chińczyków, zniszczyli trzydzieści dziewięć ciężarówek i zdobyli znowu duże ilości broni i amunicji.

W jesieni 1958 bojownicy Khampowie byli na tyle silni, że odważyli się na otwartą bitwę. Na pole walki Andruszang wybrał Cetang, spore miasto handlowe, leżące na południe od Brahmaputry, które Chińczycy zamienili w bazę wojskową. Mieli wiele lat na umocnienie się tam i jako główną przeszkodę zbudowali szeroką na trzy metry i głęboką na półtora metra fosę, wypełnioną wodą. Nikt nie pomyślałby nawet, że można ją sforsować, nie będąc odkrytym przez żołnierzy, którzy dzień i noc trzymali straż. Z tych powodów ta chińska baza uchodziła za niemożliwą do zdobycia.

Mieszkańcy Cetangu mieli dość chińskiego okupanta i ci, którzy znali tajniki chińskiej obrony, zdradzili go chętnie Andruszangowi. I tak w pewną ciemną noc kilku odważnych Cetangczyków, ryzykując życiem, przedostało się do głównych posterunków. Zabili wartowników i uruchomili mechanizm spuszcający wodę z fosy. Teraz, pod osłoną ciemności, garnizon zaatakowali ludzie Andruszanga. Po bitwie trwającej kilka godzin na polu walki pozostało trzy tysiące martwych Chińczyków.

Było to największe zwycięstwo Khampów, ale nie spoczęli. W listopadzie 1958 roku pod dowództwem Andruszanga walczyło już dwanaście tysięcy Khampów, którzy kontrolowali

całe terytorium na południe od Brahmaputry i na wschód od Gyance, wspierani wszędzie przez miejscową ludność. Teraz nie była to już wyłącznie rewolta posiadaczy ziemskich i kupców, lecz powstanie narodowe, w którym wszystkie warstwy społeczne walczyły o uwolnienie swego kraju od okupanta.

Tymczasem sytuacja w Lhasie była coraz bardziej napięta. Wiosną 1958 roku Chińczycy wiedzieli już – chociaż nie byli w stanie tego udowodnić – że wielu urzędników rządowych, którzy oficjalnie współpracowali z nimi, potajemnie wspiera Khampów. W lecie 1958 roku niepokój Chińczyków wzrósł do tego stopnia, że zażądali tzw. „dowodu dobrej woli” – Dalajlama miał wystawić do walki z Khampami swoich żołnierzy i osobistą Gwardię Przyboczną.

Dalajlama, pragnąc zyskać na czasie, rozpoczął dobrze przemyślaną grę dyplomatyczną. Tybetańczycy to naród z natury bardzo spokojny. Nigdy nie podnoszą głosu, jeżeli łagodną odpowiedzią są w stanie uniknąć kłótni. Gdy więc Chińczycy zaproponowali Dalajlamie wysłanie przeciw Khampom jego własnych żołnierzy, odpowiedział bardzo uprzejmie, że chętnie by to uczynił, jednak jego żołnierze są zbyt słabo uzbrojeni i nie byłiby równorzędnym przeciwnikiem dla Khampów. Gdy Chińczycy zgłosili gotowość odpowiedniego uzbrojenia żołnierzy, Dalajlama wyraził ubolewanie, że nie jest w stanie zaufać w pełni swym żołnierzom i nie wie, czy zechcą walczyć z Khampami.

Nieustannie wymieniano noty dyplomatyczne, a tymczasem zbliżał się okres, kiedy Dalajlama miał się udać z oficjalną wizytą do trzech największych klasztorów Tybetu, Sera, Drepung i Ganden, których nie odwiedzał już od kilku lat. Opaci tych klasztorów należeli do najbardziej wpływowych ludzi w Tybecie. Podczas wizyty odbyli długie narady z Dalajlamą i jego ministrami. Był lipiec 1958 i przywódcy narodu obawiali się już o życie młodego króla. Postanowiono wydać edykt, zabraniający komukolwiek dostępu do Dalajlamy bez specjalnego zezwolenia Kaszagu, tzn. Rady Ministrów. Żywiono nadzieję, że dzięki temu uda się utrzymać Chińczyków z dala od pałacu Dalajlamy i uniknąć zamordowania lub uprowadzenia młodego króla.

Edykt wywołał wściekłość Chińczyków, którzy dobrze wiedzieli, o co chodzi. Namiestnik wojskowy odpowiedział, że Kaszag nie reprezentuje narodu i edykt jest nieważny. Rada Ministrów zareagowała bardzo mądrze. W miejsce rozwiązanego po wkroczeniu Ludowej Armii Wyzwoleńczej Congdü – Zgromadzenia Narodowego – utworzono nowe zgromadzenie. Poprzednie, w skład którego wchodziło sześciuset przedstawicieli wszystkich warstw narodu: arystokracji, mnichów, kupców, drobnych kupców i rzemieślników, było ciałem funkcjonującym nieco ociężale i chociaż jego decyzje nie posiadały mocy wykonawczej, Kaszag je respektował. Nowo utworzone Congdüi, którego przedstawicieli wybrano spośród tych samych warstw narodu, składało się tylko z sześćdziesięciu mężczyzn. Kaszag poinformował Chińczyków, że mogą się kontaktować z Dalajlamą przez Zgromadzenie Narodowe. Był październik 1958 r. Wokół młodego króla

wzniesiono ochronne mury. Chiński gubernator na rozkaz Pekinu czynił wszystko, aby je przełamać, doradcy Dalajlamy zaś starali się za wszelką cenę je umocnić. W listopadzie 1958 roku Chińczycy wysłali Dalajlamie zaproszenie do Pekinu na obrady Zgromadzenia Narodowego Chińskiej Republiki Ludowej, które miały się odbyć w styczniu 1959 roku. Zaczęła się nowa gra dyplomatyczna – na zwłokę, w której chodziło o zyskanie na czasie. Dalajlama wysłał do Czou En-laja notę, w której pisał, że chętnie przyjąłby zaproszenie, jednakże z żalem donosi, że właśnie w styczniu staje do egzaminów doktorskich i ma nadzieję, że chiński premier zechce zrozumieć ich wagę. Chińczycy, pragnąc za wszelką cenę zdobyć wpływ na Dalajlamę, odpowiedzieli, że są gotowi przesunąć termin zgromadzenia na później. Jednakże cały naród, pod żadnym pozorem, nie chciał się zgodzić na wyjazd swego Dalajlamy do Pekinu.

W stolicy działał już także podziemny ruch młodzieży – Cogpa. Ci młodzi ludzie byli autorami haseł, które wkrótce powtarzał cały naród: „Chińczycy do domu – chcemy niezawisłości”.

W tym krytycznym okresie, 9 marca 1959 roku o dziesiątej rano do pałacu Norbulingka jechał na rowerze zdrajca, który miał zwabić Dalajlamę w chińską pułapkę. Do roli Judasza Chińczycy przeznaczili mnicha Phagpalę. Zwyczajowo o dziesiątej rano wszyscy urzędnicy zakonnicy przybywali na spotkanie z Dalajlamą. 9 marca na tym codziennym zgromadzeniu stu siedemdziesięciu pięciu mnichów-urzędników pojawił się także Phagpala. Miał na sobie zwykły luźny ubiór mnicha w bordowym kolorze i żółtą koszulę. Korzystając z okazji, zaczął coś szeptać Dalajlamie na stronie. W imieniu Chińskiego Namiestnika Tybetu, generała Tan Kuan-sana, zaprosił go, w najgłębszej tajemnicy, do dowództwa chińskiego garnizonu wojskowego na jutrzejsze przedstawienie chińskiego teatru. Zdradziecki mnich podkreślił z naciskiem, że jest to zaproszenie nieoficjalne i w imię interesów chińsko-tybetańskich Dalajlama powinien przybyć bez ministrów Kaszagu, a tylko w towarzystwie trzech do czterech nie uzbrojonych osób. Dalajlama przyjął to zaproszenie z udawanym zachwytem. Jednak już sam sposób jego przekazania łamał protokół pałacowy i dlatego natychmiast zawiadomił o tym swojego najstarszego nauczyciela Jongdzina Rimpocze, który rozpoznając wielkie niebezpieczeństwo, wtajemniczył w sprawę trzech członków Kaszagu o nieposzlakowanej lojalności: Surkhanga, Szasura i Liuszara. Ci najwierniejsi z wiernych naradzali się przez całą noc z dziewiątego na dziesiąty marca. Doszli do przekonania, że Chińczycy chcą uprowadzić Dalajlamę z Lhasy i zgładzić go, jeśli nie zechce być ich marionetką. Tej nocy po raz pierwszy zaczęto rozważać ucieczkę do Indii. Ponieważ jednak co bardziej zaufani poplecznicy wahali się przed samodzielnym podjęciem tak brzemiennej decyzji, zwołali nowo utworzone Congdü – sześćdziesięciu przedstawicieli narodu. Oni z kolei postanowili odwołać się do opinii większej liczby przedstawicieli.

Rano historycznego 11 marca 1959 roku zebrało się niemal tysiąc Tybetańczyków – arystokratów, kupców, mnichów, drobnych kupców i rzemieślników – i przez siedem dni

debatowało nad sposobem uratowania życia ich ukochanego religijnego przywódcy i głowy państwa. Wszyscy byli zgodni co do tego, że nad Dalajlamą zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo. Było to największe zgromadzenie przedstawicieli narodu w historii Tybetu i jako pierwszą uchwałę podjęło decyzję o unieważnieniu upokarzającej tzw. „Siedemnastopunktowej Ugody” z Chińczykami.

Tymczasem jeszcze tej samej nocy po całej Lhasie rozniosła się lotem błyskawicy pogłoska o zagrożeniu życia i bezpieczeństwa Dalajlamy. Już o świcie 10 marca u bram Ogrodu Klejnotów stanęły kobiety Lhasy. O godzinie ósmej zgromadziło się tam już tysiąc kobiet, które były zdecydowane nie przepuścić ani jednego Chińczyka. O dziesiątej u króla stawili się na codzienne obrady wielcy lamowie. Do dwunastej w południe ochronny mur wokół pałacu tworzyło już ponad dziesięć tysięcy kobiet, mężczyzn i dzieci, którzy zablokowali wszystkie dojścia do Norbulingki. W tłumie panowało tak ogromne napięcie, że w każdej chwili groziło wybuchem. Zgromadzeni wiedzieli, że w chińskim garnizonie oczekuje się na przybycie Dalajlamy na „teatralne przedstawienie”, i byli zdecydowani za wszelką cenę nie dopuścić do tej wizyty.

Po zakończeniu porannego posiedzenia zdrajca Phagpala wraz z innymi mnichami opuścił Norbulingkę. Niebawem jednak wrócił do pałacu – najwyraźniej po to, aby odprowadzić Dalajlamę do chińskiego garnizonu. Nie miał już na sobie szat mnicha; ubrany był w chińską kurtkę, na szyi miał biały szal, którym zakrywał dolną część twarzy w nadziei, że w ten sposób przemknie się niepostrzeżenie do pałacu. Gdy przy głównej bramie zatrzymały go strażę, wyciągnął z kieszeni kurtki pistolet, ale zanim zdążył wystrzelić został obezwładniony. Zdarto mu z twarzy szal i natychmiast wszyscy go poznali! W tłumie zawrzało. Jakiś człowiek sięgnął po swój tybetański miecz i rozplątał zdrajcy głowę.

Podczas siedmiodniowych obrad Congdü, wokół pałacu Norbulingka dzień i noc stał gęsty tłum Tybetańczyków, którzy całkowicie spontanicznie utworzyli piętnastotysięczną straż obywatelską, i każdy był gotów oddać życie za Dalajlamę.

Tymczasem chińscy żołnierze nie opuszczali koszar i żaden chiński oficer nie odważył się wyjść ze swej kwatery. Pod indyjskim konsulatem zebrało się wielu Tybetańczyków, prosząc o pomoc Indii. Wtedy chiński gubernator wydał rozkaz wystrzelenia na Norbulingkę dwóch granatów. To właśnie te strzały decydująco wpłynęły na rozwój wydarzeń; kilka godzin później „zdobycz” – Dalajlama, o którego gubernator tak walczył i którego pomocy tak potrzebował, aby zapanować nad Tybetańczykami, wymknął się już swym prześladowcom.

Ucieczkę Dalajlamy – z jego rodziną, nauczycielami, ministrami, orszakiem osiemdziesięciu osób i strażnikami – umożliwiła w znacznym stopniu jedna z tych słynnych przerażających burz piaskowych. Pod jej osłoną wszystkim udało się ująć niepostrzeżenie z pałacu. Burza piaskowa, która nadciągnęła późnym popołudniem i szalała do samego wieczora, zaćmiła wszystkie światła reflektorów, skierowanych na Norbulingkę przez Chińczyków. Każdy Tybetańczyk stojący w piętnastotysięcznym tłumie okutał głowę

opończą i zwrócony plecami do wyjącego wiatru, opierał się nawałnicy przez długie godziny, dopóki burza się nie skończyła. Nikt nie opuścił miejsca, by schronić się w domu. Podczas gdy wkoło szalały siły natury, umiłowany Dalajlama w przebraniu zwykłego strażnika przemknął się przez zebrane tłumy. W Ramagang na przygotowanym już promie przepłynął rzekę i dalej skierował się konno ku Brahmaputrze i terenom kontrolowanym przez Khampów.

Dokonało się to wieczorem 17 marca 1959 roku. 18 marca o drugiej nad ranem pięćuset ostatnich żołnierzy tybetańskiego pułku utworzyło strażę tylną Dalajlamy. Czterystu z nich było doborowymi członkami Khelenpy, owych oddziałów specjalnych. Wszyscy oni poprzysięgli raczej umrzeć, niż dopuścić do Dalajlamy na odległość strzału chociażby jednego Chińczyka. Podczas tej dramatycznej ucieczki znajdowali się przez większość czasu w odległości czterech dni marszu za Dalajlamą.

Jeszcze przez następne czterdzieści godzin zgromadzony tłum pozostawał wokół pałacu Norbulingka, tworząc ochotniczo przyboczną straż do ochrony króla. Ponieważ w tym czasie nic się nie zdarzyło, wszyscy sądzili, że Dalajlama nadal przebywa w swoim pałacu, co spowodowało, że zyskał on na cennym czasie.

19 marca rano Chińczycy zwołali posiedzenie dowódców i kilku tybetańskich kolaborantów. Następnie, „gwarantując” Dalajlamie uszanowanie jego osoby i bezpieczeństwo osobiste, zażądali, aby opuścił Norbulingkę. Przyrzekli także zaniechanie wszelkich represji wobec mieszkańców Lhasy, ogłaszając równocześnie, że zgromadzeni w Norbulingce „najwięksi reakcjoniści” muszą zostać unicestwieni.

Chińczycy, nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi na swoje „przyrzeczenia”, przystąpili do regularnego artyleryjskiego bombardowania letniego pałacu, aby wywabić zeń Dalajlamę. Armaty ostrzeliwały pałac z trzech stron. Pierwszy granat zniszczył zachodnią bramę. Ale to był dopiero początek systematycznego ostrzału terenu pałacowego wielkości mili kwadratowej. Znajdowała się tam nie tylko rezydencja Dalajlamy, ale także letnie pawilony opatów, nauczycieli, kanclerza, ministrów i straży przybocznej. Były też olbrzymie stajnie, w których stały nie tylko wspaniałe dworskie wierzchowce, ale i stare wysłużone szkapę, owce, kozy i inne zwierzęta, które dożywały tu spokojnie starości, zgodnie z buddyjskim obyczajem, karmione i otaczane opieką.

Chińskie bombardowanie było zdumiewająco skuteczne. Pierwsza seria skierowana była na granice terenu. Potem nastąpiła przerwa. Następnie pod ostrzałem znalazł się teren położony bliżej środka. W ten sposób Chińczycy zawężali pole ostrzału, aż wreszcie cały teren został zrównany z ziemią. Bombardowali teren systematycznie od zewnątrz do środka, z przerwami, pozostawiając Dalajlamie możliwość wyjścia, i starali się zmusić go do oddania się w ręce Chińczyków.

Podczas wielogodzinnego ostrzału artyleryjskiego żaden z piętnastu tysięcy Tybetańczyków nie opuścił swojego ochotniczo zajmowanego posterunku przed pałacem.

Wielu z nich w tym dniu zginęło. Inni biegli do zniszczonych budynków, aby ratować resztki sakralnych przedmiotów. Żywy mur Tybetańczyków stał wokół pałacu jeszcze w nocy z dziewiętnastego na dwudziestego marca. O ucieczce Dalajlamy dowiedziano się dopiero w południe dwudziestego marca.

Na ulicach miasta pojawiły się uzbrojone chińskie samochody wyposażone w głośniki, przez które obwieszczano, że „...Dalajlamę porwali bandyci...” Wiadomość ta miała dramatyczny oddźwięk: z jednej strony wszyscy poczuli wielką ulgę, że ich król jest bezpieczny, z drugiej zaś byli wściekli, że Chińczykom udało się go wypędzić.

Teraz w Lhasie rozgorzała straszna dwudniowa wojna, w której straciło życie ponad ośmiuset Tybetańczyków. To była rzeź bezbronnych. Chińczycy strzelali do nie uzbrojonego tłumu, bombardowali domy i świątynie, a także liczne klasztory w Lhasie i okolicy. Wśród zabitych było wiele młodzieży. Młodzi mężczyźni z podziemnego ruchu Cogpa okazali się zdyscyplinowanym tajnym stowarzyszeniem. Należeli do niego głównie młodzi Tybetańczycy, którzy zostali wysłani przez Chińczyków na przeszkolenie do Pekinu, gdzie robiono wszystko, aby ich „nawrócić”. Większość miała za sobą trzyletnią naukę w komunistycznych szkołach. Jeden z nich, Ngałang Senge, utalentowany syn kupca, uważany był przez Chińczyków za wielce obiecującego przedstawiciela młodego pokolenia. W Pekinie był znakomitym uczniem i zastępcą nauczyciela w szkole średniej. Zrażony wszystkim, co ukazała mu komunistyczna rzeczywistość w Chinach i w Tybecie, po powrocie do domu założył wraz z przyjaciółmi i dawnymi kolegami ze szkoły organizację Cogpa. Dokładnie tak samo jak na Węgrzech i w Polsce, to właśnie młodzież – a więc grupa ludzi, którą komuniści za wszelką cenę chcieli „przekształcić” – stanowiła tutaj załóżek ruchu oporu.

Senge, wspaniały, atletycznie zbudowany młodzieniec, był ulubieńcem wszystkich mieszkańców Lhasy. W pierwszej fazie rewolty Cogpa pod jego kierownictwem nie odgrywała jeszcze aktywnej roli. Ale zbierał on broń, amunicję i zajmował się naborem rekrutów do oddziałów walczących Khampów. Dopiero pod koniec bitwy w Lhasie Senge stanął przy promie Ramagang, pomagając do ostatniej chwili swym ludziom w ucieczce z miasta. O świcie jako ostatni wskoczył na prom z uniesionymi w górę rękoma, machając ludziom, których sylwetki majaczyły na drugim brzegu, w przekonaniu, że są to żołnierze tybetańscy. Ale to byli Chińczycy. W chwili gdy uniósł ręce w pozdrowieniu, został trafiony.

Tego samego dnia na promie Ramagang zginął bohaterską śmiercią jeszcze jeden młody Tybetańczyk. Był nim Lobsang Gendon Saduczang, który już w 1950 roku ubezpieczał ucieczkę Dalajlamy. Ci mężczyźni to tylko dwóch spośród wielu tysięcy Tybetańczyków, którzy zginęli w masakrze. W ten sposób uniknęli może gorszego losu, teraz bowiem Chińczycy odważyli się już wkroczyć do usłanej ciałami zabitych stolicy. Natychmiast aresztowali wszystkich pozostałych przy życiu mężczyzn pomiędzy szesnastym a sześćdziesiątym rokiem życia i wywieźli ich do pracy przymusowej do Chin.

Dzięki wsparciu całego narodu, a szczególnie walczących Khampów, Dalajlama wraz z

całym orszakiem w dramatycznych okolicznościach dotarł 31 marca 1959 roku do granicy indyjskiego Assamu i znalazł się pod ochroną indyjskiej armii.

Twierdzenie Chińczyków, jakoby powstanie zorganizowała „klasa reakcjonistów”, zostało już dawno obalone. Masa uchodźców pochodzących głównie z biednego ludu mówi sama za siebie. Ponadto dowództwo powstania, które utworzyło „Narodową armię ochotniczą do obrony Tybetu”, planowało – z aprobatą Dalajlamy – przeprowadzenie istotnych zmian w politycznej i społecznej strukturze Tybetu. W oświadczeniu z pierwszego stycznia 1959 roku powstańcy głosili: „...Zobowiązujemy się do poprawy warunków i standardu życia naszego narodu. Zobowiązujemy się do przeprowadzenia w kraju wszystkich koniecznych reform, w sposób zgodny z warunkami naturalnymi, obyczajami i duchem naszego narodu. W dziedzinie rozwoju gospodarczego obiecujemy wspierać i wspomagać z całych sił naszych koczowników, chłopów, rzemieślników i robotników oraz wprowadzić zmiany we wszystkich dziedzinach naszego narodowego bytu. Opowiadamy się za polityką pokojowego wprowadzania tych zmian...”

Epilog

Kończąc tę książkę przed czternastu laty nie przypuszczałem, że w Europie i Ameryce pojawi się kiedykolwiek możliwość obiektywnego sprawdzenia mojego opisu narodu tybetańskiego. Można mi było wtedy jedynie wierzyć, że Tybetańczycy są godnymi miłości, inteligentnymi i otwartymi ludźmi. Dzisiaj jednak, kiedy dziesiątki tysięcy Tybetańczyków mieszkają w Indiach, setki otrzymały azyl w Europie, wielu pracuje i naucza w amerykańskich uniwersytetach, mogę z dumą odwołać się do moich opisów. Wszędzie gdzie żyją, potrafili się dobrze przystosować, bardzo szybko opanowali język i okazali się odpowiedzialnymi ludźmi.

Kiedyś w małym szwajcarskim miasteczku spotkała mnie piękna nagroda, gdy burmistrz powiedział: „gdybym tak mógł wszystkich gastarbeiterów wymienić na Tybetańczyków!” Było to potwierdzenie moich opinii i wielki komplement. Tybetańczycy dowiedli, że także w obcym kraju są zdyscyplinowani i wdzięczni swojemu Dalajlamie, który wybrał ich, aby pracowali z dala od ojczyzny i kształcili się, by w przyszłości służyć swojemu narodowi. Być może nawet znowu we własnym kraju. Bowiem nikt nie może im odebrać nadziei, że nastanie dzień, kiedy będą mogli znów żyć i pracować w Tybecie.

Od przybycia Dalajlamy do Indii sytuacja się nieco zmieniła. O ile w pierwszych latach był on dla premiera Nehru i Hindusów tylko jakimś tolerowanym królem na wygnaniu, to po agresji Chińczyków w Assamie jego pozycja korzystnie się zmieniła. Hindusi wspierają wychowanie młodzieży wiedząc, że Tybetańczycy stanowią wdzięczny obiekt do kształcenia. Z biegiem czasu zezwolono Dalajlamie na założenie własnych organizacji, mających na celu niesienie pomocy uchodźcom tybetańskim w Nepalu, Bhutanie i Sikkimie. Podczas swoich publicznych wystąpień spotyka się on obecnie z wielkim szacunkiem. W 1964 roku podczas Światowego Kongresu Buddystów w Benares miałem okazję sfilmować Dalajlamę razem z prezesem Związku Buddystów Indyjskich. On sam żyje skromnie i w odosobnieniu, myśląc nieustannie o niesieniu wsparcia swemu oddanemu narodowi. Ostatnio, podczas naszego spotkania w 1965 roku, wskazując na górę manuskryptów i tybetańskich traktatów filozoficznych wyraził nadzieję, że dziedzictwo duchowe i idee w nich zawarte mogą być skuteczną przeciwwagą dla doktryn komunistycznych.

Również Panczenlama, odgrywający przez wiele lat jedynie rolę chińskiej marionetki, musiał zrozumieć bezwzględność komunistycznego światopoglądu. W duszy pozostał zawsze Tybetańczykiem i nie był w stanie całkowicie ukryć miłości do swego narodu. W lecie 1965 roku nagle zniknął z życia publicznego. Według doniesień z Kalkuty miał zostać stracony.

Podobny los spotkał Caronga, w którego domu i rodzinie zaznałem tyle serdecznej gościnności. Nie mogąc znieść życia na wygnaniu, zdecydował się w 1964 roku na powrót do Lhasy. Został natychmiast uwięziony przez Chińczyków, poddany przesłuchaniom i potwornym torturom. Wreszcie zwłoki Caronga oddano jego krewnym; do końca nie wiadomo, czy zamęczono go na śmierć, czy też popełnił samobójstwo. Nie wykluczone, że w skrajnej rozpacz, zgodnie ze starym tybetańskim zwyczajem połknął diamentowe opiłki, aby uniknąć dalszych męczarni. W każdym razie, jego krewni stwierdzili, że zanim umarł obcięto mu język.

Chociaż wszystkie te informacje przepływające do nas ponad Himalajami z Dachu Świata są tak bardzo przygnębiające, równocześnie jednak utwierdzają mnie w przekonaniu, że moja przyjaźń dla Dalajlamy i jego rodziny jest coraz głębsza. Wreszcie otworzyła się także przede mną możliwość odwdzięczenia się – chociaż w małym stopniu – za naprawdę królewską gościnność, jaką okazywano mi w czasie mego siedmioletniego pobytu w Tybecie. Gdy w Muzeum Etnograficznym w Wiedniu otwarto moją dużą wystawę o Tybecie, z której dochód przeznaczony był dla uchodźców tybetańskich, Dalajlama przesłał mi przez swojego brata Lobsanga Samtena i ministra Thubtena W. Phala (podczas budowy grobli w Lhasie był on moim zwierzchnikiem i jednym z czterech, którzy pod osłoną ciemności uciekli z Dalajlamą) następującą wiadomość:

Do mojego przyjaciela Heinricha Harrera,

W związku z otwarciem wystawy „Tybet” życzę ci z całego serca powodzenia. Z tej okazji wysyłam do ciebie mojego osobistego przedstawiciela na Europę, Thubtena Phala, moją siostrę Džecün Pema i mojego brata Lobsanga Samtena. Żyjąc w Tybecie przez siedem lat, stałeś się jednym z nas i poznałeś tak znakomicie nasz kraj, że jesteś w stanie najżywiej przedstawić narodowi austriackiemu tybetańską sztukę i kulturę.

Do moich modlitw dołączam życzenie, aby ta wystawa odniosła sukces.

Dalajlama

Rok tybetański Drewno-Wąż

dwudziesty dzień jedenastego miesiąca (17.01.1966)